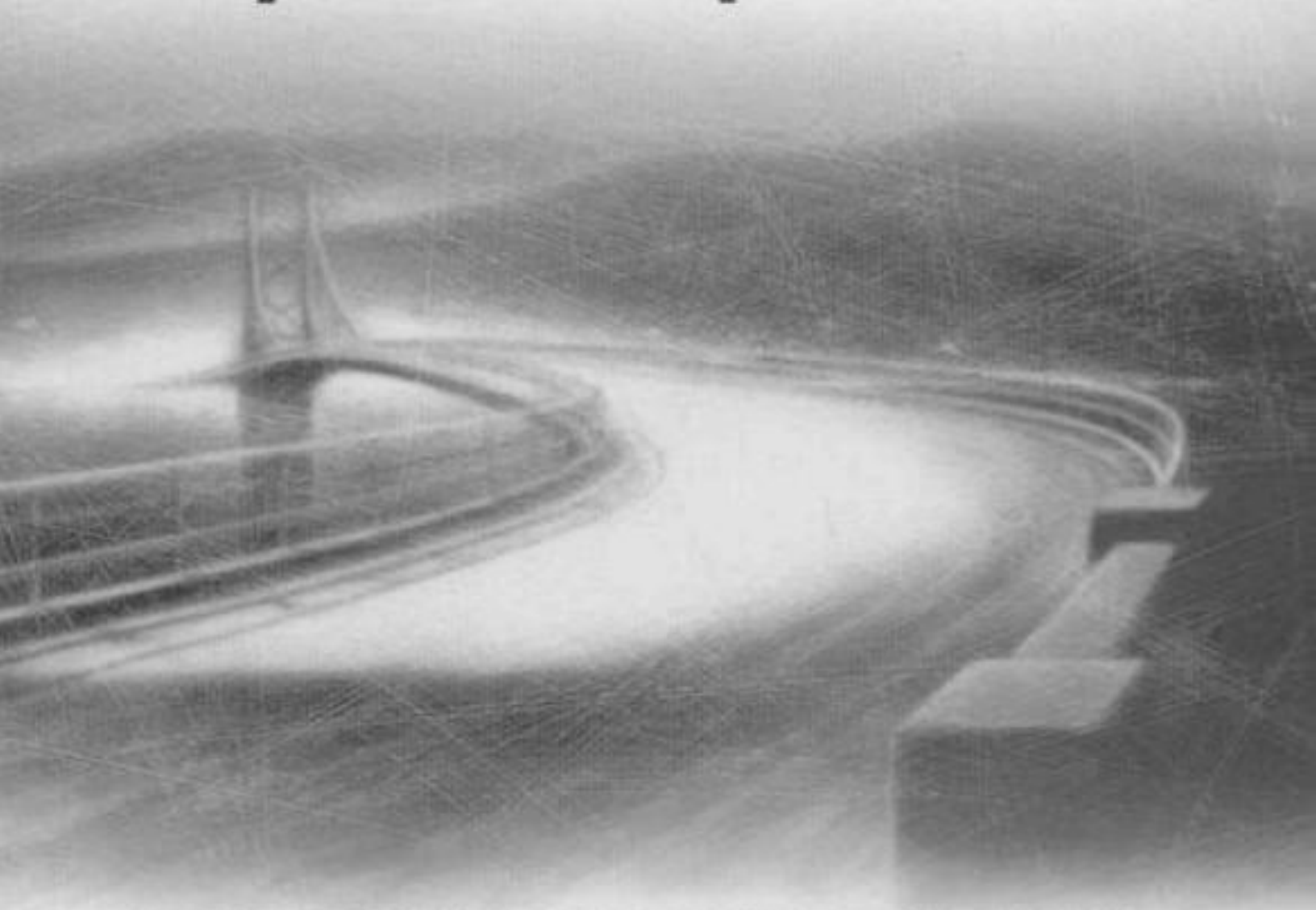


Dean
KOONTZ

Trzynastu apostołów



POMIĘDZY KINGIEM, COBENEM A „ARCHIWUM X”...

KOONTZ DEAN R

Trzynastu apostołow

DEAN KOONTZ

Z angielskiego przełożyli WITOLD NOWAKOWSKI IZABELA MATUSZEWSKA

Dedykuję tę książkę moim przyjaciółom, Jerry'emu i Mary Ann Crowe. Znamy się długo, ale ostatnio doszliśmy z Gerdą do wniosku, że mamy do Was świętą cierpliwość. Dziękuję zatem za rozrywkę, jakiej nam zawsze dostarczacie (czasem świadomie), za dom zbudowany u wrót piekła i za to, że umiecie wytknąć mi wszystkie błędy. Każdą pomyłkę. Choćby najmniejszą. Taką maleńką, że nawet Bóg by jej nie zauważył. Dzięki. Dzięki. Dzięki.

Spis treści

Trzynastu apostołów

Czarna dynia

Pani Attyla Hun

W głąb ciemności

Dłonie

Złodziej

W potrzasku

Bruno

My troje

Twardziel

Kocięta

Zamieć

Brzask świtu

Chase

Nota do czytelnika

Źródła opowiadań

Trzynastu apostołów

Było jesienne popołudnie. Joey Shannon wjechał pożyczonym wozem do Asherville i nagle oblał się zimnym potem. Ogarnęło go straszliwe poczucie bezradności.

Miał szczerą ochotę szarpnąć kierownicą, zawrócić na środku ulicy, wcisnąć gaz do dechy i uciec stąd jak najdalej.

Mieścina była tak samo ponura jak większość sennych osiedli górniczych w Pensylwanii. Tłuste lata skończyły się już dawno temu, wraz z zamknięciem kopalni. Ale to nie ten widok zmroził mu krew w żyłach i doprowadził go na skraj rozpacz. Na dobrą sprawę sam nie wiedział, co wywołało tę reakcję. Może za długo zwlekał, zanim wrócił?

Część handlowa ciągnęła się zaledwie przez dwie przecznice, korzystał z niej niecały tysiąc mieszkańców i jakieś dwa tysiące ludzi z okolicznych wsi i miasteczek. Niskie, najwyżej dwupiętrowe domy – zbudowane jeszcze w połowie dziewiętnastego wieku i przez stulecie pociemniałe od pyłu węglowego – wyglądały niemal tak samo, jak zapamiętał je z dzieciństwa.

Lecz rada miejska albo zrzeszenie kupców poważnie wzięły się do odnowy. Wszystkie drzwi, okna, okapy i okiennice zostały na nowo pomalowane. Kilka lat temu wyrąbano w chodnikach dziury i posadzono w nich młode klony. Drzewa wyrosły najwyżej na dwa metry i wciąż wspierały się na palikach.

Jesienne, bursztynowo-czerwone liście powinny nieco ożywiać miasto, ale pod koniec dnia Asherville było posępne, skulone i odpychające. Dziwnie zmarniało słońce, które balansowało na najwyższych szczytach gór leżących na zachodzie, dawało niewiele światła. W bladożółtej poświacie cienie drzewek stawały się coraz dłuższe i na kształt chudych rąk sięgały w stronę zniszczonej asfaltowej jezdni.

Joey włączył ogrzewanie. Poczł mocniejszy powiew, lecz dopiero po chwili zrobiło mu się trochę cieplej.

Nad dzwonnica kościoła Matki Boskiej Bolesnej jakiś ogromny czarny ptak zataczał wielkie kręgi na tle purpurowego nieba. Wyglądał niczym ciemny anioł szukający schronienia w świętym przybytku.

Kilku przechodniów snuło się po ulicach. Joey minął parę samochodów. Oczywiście nie widział żadnych znajomych twarzy. Nie było go tu bardzo długo. Ludzie zmienili się przez lata. Niektórzy pewnie wyjechali. Inni umarli.

Skręcił w zwirową dróżkę wiodącą do starego domu po wschodniej stronie miasta. Nie wiadomo dlaczego bał się coraz bardziej. Owszem, drewniane ściany wyraźnie tęskniły za farbą, a smołowany dach wymagał gruntownej naprawy, ale dom nie wyglądał gorzej niż te, które stały w śródmieściu. Skromny. Przygnębiający. Zaniedbany. Nic więcej. Pomimo biedy

Joey spędził tu szczęśliwe lata. Jako dziecko nawet nie zdawał sobie sprawy, że rodzice ledwo wiążą koniec z końcem. Poznał prawdę dopiero wtedy, gdy poszedł do college'u i z pewnego dystansu spojrzal na życie w Asherville. Teraz jednak przez kilka minut siedział w samochodzie, ogarnięty niepojętym strachem. Bał się wysiąść i wejść do środka.

Wreszcie wyłączył silnik i zgasił światła. Ogrzewanie działało słabo, ale w chwili gdy go zabrakło, zrobiło się przeraźliwie zimno. Dom czekał.

Może ten dziwny strach bierze się z poczucia winy, spotęgowanego przygnębieniem? – pomyślał Joey. Nie był najlepszym synem. Przegapił szansę, żeby choć trochę odpokutować za dawne winy. Być może bał się, że przez resztę życia będzie dźwigał to brzemie. Nie miał już komu wyznać swoich grzechów i nie miał od kogo otrzymać rozgrzeszenia.

Nie. To jednak go nie przerażało. Na widok domu poczuł ucisk w piersiach i drapanie w gardle, ale nie ze smutku, chodziło o coś innego.

O zmierzchu zerwał się lekki wiatr z północnego wschodu. Zakolysał gałęziami wysokich na sześć metrów sosen rosnących wzdłuż alejki.

Joey nie wiedział, co się z nim dzieje. W pierwszej chwili wydawało mu się, że zobaczy coś nadzwyczajnego. Uświadomił sobie, że to samo czuł, kiedy był ministrantem i służył podczas mszy. Zawsze czekał na ów nieuchwytny moment, w którym zwykle wino zmieniało się w świętą krew Chrystusa.

Pokręcił głową, śmiejąc się z własnego strachu. To głupota... – pomyślał. Zachowuję się niczym dzieciak, który boi się strasydła skulonego gdzieś pod łóżkiem.

Wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika, by wyjąć walizkę. Nagle zląkł się, że ze środka skoczy na niego jakiś potwór. Serce waliło mu jak oszalałe. Otworzył bagażnik i odruchowo cofnął się krok.

Oczywiście wewnątrz nie było nic, poza starą i poobijaną walizką. Joey dla uspokojenia nerwów wziął głęboki oddech, zabrał bagaż i zatrzasnął klapę.

Potrzebował solidnego drinka. Zawsze sięgał po whisky w obliczu kłopotów. Czasami to pomagało.

Zewnętrzne schody były rozchwiane. Nieodnawiana od lat podłoga werandy trzeszczała głośno i uginała się przy każdym kroku. Joey tylko czekał, aż zbutwiałe deski pękną nagle pod jego ciężarem.

Ostatni raz był tutaj przed dwudziestu laty. Zdziwiło go, że dom uległ takiemu zniszczeniu. Przez ostatnie dwanaście lat ojciec co miesiąc dostawał pokaźny czek od drugiego syna. Za te pieniądze mógł bez problemu zrobić solidny remont albo wynająć nowe lokum. Ciekawe, co się stało z całą tą kasą?

Klucz – tak jak mu mówiono – leżał pod wycieraczką. Owszem, widok Asherville przyprawiał o ciarki na plecach, ale przynajmniej nikt tu nie bał się włamania. Wiele domów pozostawało niezamkniętych nawet pod nieobecność właścicieli.

Prosto z werandy wchodziło się do salonu. Joey postawił walizkę przy schodach prowadzących na pierwsze piętro.

Zapalił światło.

Kanapa i amerykańka były inne niż przed dwudziestu laty, ale wyraźnie podobne do poprzednich. Poza tym chyba nic się nie zmieniło – z wyjątkiem telewizora, tak wielkiego, jakby należał do Boga.

Resztę parteru zajmowała kuchnia wraz z jadalnią. Stał tam ten sam zielony stół z chromowanym brzegiem, Joey jadał przy nim jako dziecko. Krzesła też były stare, chociaż z nowymi obiciami.

Joey miał dziwne wrażenie, że już od wieków nikt tutaj nie mieszkał. Że dom czekał zamknięty jak grób przez stulecia, aż ktoś odważy się wejść do środka. Matka zmarła szesnaście lat temu, ojciec zaledwie przedwczoraj, lecz można pomyśleć, że nie ma ich od niepamiętnych czasów.

W rogu kuchni były drzwi do piwnicy. Wisiał na nich kalendarz banku First National. Październikowe zdjęcie przedstawiało stertę pomarańczowych dyń na zwiędłych liściach. Jedna dynia miała wycięte usta, nos i oczy jak na Halloween.

Joey zbliżył się do drzwi, lecz nie otworzył ich od razu.

Dobrze pamiętał tę piwnicę. Składała się z dwóch pomieszczeń, do których z zewnątrz prowadziły dwa oddzielne wejścia. W jednej części był piec i bojler, a w drugiej – pokój brata.

Przez chwilę stał z ręką na starej żelaznej klamce, zimnej jak lód i nieczulej na ciepło jego palców.

Klamka zgrzytnęła cicho, kiedy ją nacisnął.

Przekręcił włącznik. Błysnęły dwie przyćmione kurzem i słabe żarówki, wiszące u sufitu. Jedna znajdowała się w połowie schodów, a druga już w kotłowni. Żadna z nich w zasadzie nie rozpraszała mroku.

Joey nie chciał po nocy lazić do piwnicy. Spokojnie mógł to zrobić rano. A tak w ogóle, to po co miałby się tam szwendać?

W marnym świetle widział popękany fragment betonowej podłogi u podnóża schodów. Tu też na pozór nic się nie zmieniło. Ciemność zdawała się wyrastać z wąskich szczelin i pelzać po

ścianach.

–Halo? – zawołał.

Zdziwił się na dźwięk własnego głosu. Przecież dobrze wiedział, że w domu nikogo nie ma.

Mimo to czekał na odpowiedź. Cisza.

–Jest tam ktoś? – spytał. Nic.

W końcu zgasił światło w piwnicy i zamknął drzwi.

Zabrał walizkę i poszedł na piętro. Krótki, wąski korytarz, wyłożony zniszczonym szarozielonym linoleum, ciągnął się od schodów aż do łazienki.

Na prawo były drzwi do pokoju rodziców. Prawdę mówiąc, to od szesnastu lat, czyli od dnia śmierci matki, ojciec sypiał tam zupełnie sam. Teraz zabrakło też i jego.

Na lewo, za pojedynczymi drzwiami, był pokój, w którym kiedyś mieszkał Joey. Kiedyś. Przed dwudziestu laty.

Ciarki przebiegły mu po plecach i odwrócił się gwałtownie w stronę schodów. Zdawało mu się, że ktoś za nim idzie. Kto? Śmieszne. Wszyscy stąd odeszli. Odeszli lub poumierali. Schody były zupełnie puste.

Nie wiedzieć czemu, ale ów skromny, mały, ciasny i bezbarwny dom wydawał mu się przeogromnym tajemniczym miejscem, pełnym sekretnych komnat, w których rozgrywał się ukryty dramat i toczyło się nieznane życie. Cisza nie była zwykłą ciszą, lecz wibrowała w uszach niczym krzyk śmiertelnie przerażonej kobiety.

Joey pchnął drzwi i wszedł do swojego dawnego pokoju.

Nareszcie w domu.

Bał się. Nie wiedział czego. A może wiedział, ale ta wiedza istniała gdzieś pomiędzy instynktem a wspomnieniem.

Tej nocy z północnego zachodu nadciągnęła jesienna burza i Joey Shannon nie mógł popatrzeć na gwiazdy. Ciemność zakrzepla w gęste chmury i osiadła na zboczach gór, gasząc ostatni promyk światła i zamieniając niebo w kamienny strop ciasnego lochu.

W dzieciństwie Joey często wyglądał przez okno pokoju i zerkał na skrawek nieba nad górami. Widok gwiazd i krótka wędrówka księżycy nad przełęczą przypominały mu, że poza Asherville i Pensylwanią istnieją jeszcze inne światy. Gdzieś tam daleko leżał kraj ogromnej szansy – kraj, w którym nawet chłopiec z biednej górniczej rodziny mógł pokierować swoim dalszym życiem i stać się zupełnie nowym człowiekiem. Zwłaszcza gdy był to chłopiec z głową pełną marzeń i chęcią do działania.

Tej nocy czterdziestoletni Joey znowu zgasił światło i usiadł przy parapecie. Gwiazd jednak nie zobaczył. Miał za to ze sobą butelkę jacka danielsa.

Ostatni raz był tutaj równo dwadzieścia lat temu, także w październiku, podczas krótkiej przerwy w zajęciach na college'u. Świat wydawał mu się wtedy dużo lepszy. Joey studiował na uczelni stanowej w Shippensburgu. Dostawał małe stypendium, a na resztę wydatków zarabiał, pracując w weekendy i wieczorami w supermarkecie. Mama zrobiła na kolację jego ulubione danie – klopsy w sosie pomidorowym z ziemniakami i pieczoną kukurydzą. Potem zagrał z ojcem partyjkę bezika.

Starszy syn, P.J. (od Paul John), też przyjechał na weekend do domu. Było więc sporo śmiechu, zabawy i czułości. Jak w prawdziwej rodzinie. Spotkania z P.J. zawsze dostarczały niezapomnianych wrażeń. Brylował we wszystkim, czego popróbował – był najlepszy w liceum i potem na studiach, rządził na boisku, wygrywał w pokera. Wszystkie ładne dziewczęta spoglądały na niego rozmarzonym wzrokiem. A przy tym umiał postępować z ludźmi i za każdym razem swoim zachowaniem stwarzał sympatyczną, miłą atmosferę. W naturalny sposób zdobywał przyjaciół i objawiał przedziwną wewnętrzną empatię, która sprawiała, że potrafił już przy pierwszym spotkaniu zdobyć zaufanie swojego rozmówcy. Cieszył się popularnością w każdym towarzystwie. Co więcej, przychodziło mu to bez większego trudu. Był inteligentny, ale nie zarozumiały, przystojny, lecz nie zapatrzony w siebie, dowcipny, ale nie złośliwy – krótko mówiąc, wymarzony kandydat na starszego brata. Joey wciąż widział w nim wzór postępowania i przez wiele lat próbował mu dorównać. Najchętniej by się z nim zamienił.

Niestety, nigdy mu się to nie udało. P.J. kroczył od sukcesu do sukcesu, a Joey staczał się po równi pochyłej.

Teraz pochylił się i wziął parę kostek lodu z wiaderka stojącego obok krzesła. Machinalnym ruchem wrzucił je do szklanki i zalał podwójną porcją whisky.

W tym jednym był na pewno dobry. W picciu. Na koncie nigdy nie miał więcej niż dwa tysiące baksów, ale pijał tylko najlepsze mieszanki. Takie jak jack daniels. Nikt nie mógł powiedzieć,

że Joey Shannon należał do tanich pijaków.

Ostatniej nocy w tym pokoju – to była sobota, dwudziestego piątego października 1975 roku – popijał colę. Wtedy nie ciągnęło go do alkoholu. Gwiazdy świeciły jak diamenty na pociemniałym niebie, a on rozmyślał o nowym życiu, które czekało nań za górami.

Teraz miał whisky. Dar od losu.

Znów był dwudziesty piąty października – i znów sobota, tyle że 1995 roku. Joey nigdy nie lubił soboty. Z jakichś nieznanych sobie powodów uważał ją za najgorszy dzień tygodnia. Może dlatego, że wszyscy wtedy szli na kolację, randkę lub do kina? Cieszyli się, że już po pracy... On sam nie widział w tym powodów do radości. Ot, jeszcze jeden tydzień spędzony w więzieniu, które nosiło szumną nazwę „życia”.

Burza zaczęła się tuż przed jedenastą. Na skrawku nieba, niczym płynne srebro, pojaśniały wstęgi błyskawic. W ich migotliwym świetle Joey raz po raz widział w szybie swoje odbicie. Echo grzmotu strząsnęło z chmur pierwsze krople deszczu. Uderzyły o szybę i zaraz rozmazały widmową twarz Shannona.

O wpół do pierwszej wstał z krzesła i rzucił się na łóżko. W pokoju było ciemno jak w kopalni, ale Joey nawet po dwudziestu latach potrafił po omacku poruszać się po domu. Oczami wyobraźni widział każdą rysę na starym linoleum, okrągły chodnik utkany przez matkę, wąskie łóżko ze zwykłym żelaznym wezglowiem i nocną szafkę z wypaczonymi szufladami. W rogu stało strasznie porysowane biurko, przy którym przez dwanaście lat odrabiał lekcje. W tym samym miejscu, jako ośmio – lub dziewięciolatek, pisał pierwsze opowiadania o potworach, czarodziejskich królestwach i lotach na Księżyc.

W dzieciństwie kochał książki i chciał zostać pisarzem. Pod tym względem nie poniósł najmniejszej porażki – pewnie dlatego, że nigdy nie spróbował. Po pamiętnym weekendzie w październiku 1975 roku ostatecznie zerwał z pisaniem i porzucił dawne marzenia.

Na łóżku brakowało kordonkowej kapy. Prawdę mówiąc, nie było tam nawet pościeli, ale podpity i zmęczony Joey nie kłopotał się takimi drobiazgami.

W koszuli i spodniach położył się na gołym materacu. Nie zdjął nawet butów. W ciemnym pokoju rozległo się znajome skrzypienie mocno sfatygowanych sprężyn.

Mimo zmęczenia Joey nie zamierzał zasnąć. Pół butelki whisky nie stłumiło strachu ani nie uspokoiło jego skołatanych nerwów. Ciągle czuł się nieswojo. Gdyby zasnął, stałby się zupełnie bezbronny. Musiał jednak choć trochę odpocząć. Za dwanaście godzin miał pochować ojca, powinien więc zachować resztkę sił na pogrzeb. To na pewno nie będzie łatwe.

Przesunął krzesło pod same drzwi, przechylił je i podparł klamkę. W ten sposób stworzył prostą, ale skuteczną barykadę.

Pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Żaden intruz nie mógł bez hałasu wśliznąć się przez okno. A poza tym było zamknięte.

Teraz Joey mógł spać spokojnie. Wiedział, że nikt go nie zaskoczy. Nikt. Nic.

Wrócił do łóżka i przez chwilę wsłuchiwał się w szum deszczu bijącego w dach. Gdyby ktoś teraz włamał się do domu, to na pewno by go nie usłyszał. Głuchy pomruk burzy tłumił wszystkie pozostałe dźwięki.

– Chyba przechodzisz kryzys, Shannon – wybełkotał do siebie Joey. – Głupiejesz na stare lata.

Deszcz, niczym ponury dobośz na pogrzebie, powiódł go w ciemną otchłań snu.

A we śnie Joey dzielił łożę z nieboszczką owiniętą w dziwny przezroczysty całun z ciemnymi plamami krwi. Trup nagle poruszył się, jakby ożywiony jakąś demoniczną mocą i pogładził go białą ręką po twarzy. „Pokochamy się? – spytały zimne usta. – Nikt się o tym nie dowie. Gdyby ktoś pytał, powiem, że nic nie widziałam. Przecież jestem martwa i ślepa”. Odwróciła głowę w jego stronę i zobaczył, że nie miała oczu. Puste oczodoły ziały przejmującym mrokiem. „Jestem twoja, Joey. Tylko twoja”.

Obudził się nie tyle z krzykiem, ile z rozpaczliwym płaczem. Usiadł na brzegu łóżka, ukrył twarz w dłoniach i szlochał cicho.

Chociaż go mdliło i miał zawroty głowy od przepicia, to jednak dziwił się swojemu zachowaniu. Serce waliło mu jak młot, lecz w gruncie rzeczy czuł raczej smutek niż strach. Na pewno nie znał zamordowanej. Była upiorem z jego wyobraźni, zrodzonym ze zmęczenia podlanego solidną porcją whisky. Wczoraj w nocy zaledwie trochę drzemał, ponieważ przejął się śmiercią ojca. Bał się podróży do Asherville. Teraz miał zwidy od gorzały i długiej bezsenności. Obca kobieta była niczym innym jak koszmarem zjawą. A jednak na wspomnienie jej czarnych oczodołów budziło się w nim poczucie przeraźliwej krzywdy, tak straszliwej, jakby utracił pół świata.

Spojrzał na podświetlany cyferblat. Wpół do czwartej rano. Spał zatem niecałe trzy godziny.

Za oknami wciąż było ciemno i dał się słyszeć monotony szum wciąż padającego deszczu.

Joey wstał z łóżka i podszedł do biurka, na którym zostawił napoczętą butelkę whisky. Jeszcze jeden głębszy na pewno nie zaszkodzi. Przecież jakoś musiał przetrwać aż do rana.

Odkręcił korek i nagle poczuł, że coś go kusi, aby natychmiast spojrzeć przez okno. Ciągnęła go tam jakaś magnetyczna siła. Stawił jej opór. Okropnie bał się, że po drugiej stronie ociekającej deszczem szyby zobaczy właśnie tę kobietę, lewitującą na poziomie piętra. Martwą, o mokrych i splątanych włosach, z dziurami w twarzy czarniejszymi od otaczającej nocy, w przezroczystej koszuli nocnej i z wyciągniętymi dłońmi – w niemej prośbie, żeby

otworzył okno i wraz z nią zapadł się w otchłań burzy.

Był przekonany, że latała tam na kształt i podobieństwo ducha. Nawet nie zerknął w stronę okna. Odwrócił głowę. Gdyby zobaczył zjawę choćby kątem oka, na pewno przyszłoby do niego. Wampiry też pukały w szybę i błagały, żeby je wpuścić, ale nie mogły wejść do domu bez wyraźnego zaproszenia.

Joey usiadł na łóżku z flaszką w dłoni. Uparcie odwracał wzrok od zamkniętego w ramy skrawka nocy.

Nie był pewny, czy się kompletnie urząnął, czy też pomału tracił rozum.

Zakręcił flaszkę, nie pociągnąwszy z niej ani łyka – i sam zdziwił się, że to zrobił.

Rano deszcz wprawdzie przestał padać, ale niebo wciąż było zasnuwane ciężkimi chmurami.

Joey nie miał kaca. Wiedział, jak pić i jednocześnie złagodzić bolesne skutki. Codziennie brał ogromną dawkę witaminy B-complex, żeby uzupełnić straty poczynione przez alkohol. Wiadomo przecież, że przyczyną kaca jest niedobór witaminy B. Joey znał wszystkie odpowiednie sztuczki. Pił metodycznie i w pełni świadomie. Niemal uczynił z tego własny zawód.

W kuchni znalazł coś w rodzaju śniadania: kawałek suchego ciasta kawowego i pół szklanki soku pomarańczowego.

Wykąpał się, włożył białą koszulę, ciemnoczerwony krawat i jedyny garnitur, jaki miał w walizce. Nie nosił go już co najmniej pięć lat, toteż marynarka wisiała na nim jak na wieszaku. Kołnierzyk koszuli też okazał się o numer za duży. W sumie Joey wyglądał jak piętnastolatek ubrany w ciuchy ojca.

Może to ciągle strumień alkoholu odmienił jego metabolizm – dość powiedzieć, że natychmiast spalał wszystko, co pochłonał, i zawsze w grudniu był pół kilo lżejszy niż rok wcześniej w styczniu. Nasuwał się wniosek, że za sto sześćdziesiąt lat mógł w ogóle wyparować.

O dziesiątej wybrał się do Domu Pogrzebowego Devokowskiego przy głównej ulicy. Zakład był wprawdzie zamknięty, ale wpuszczono go, bo właściciel, spodziewał się tej wizyty.

Louis Devokowski od trzydziestu pięciu lat pracował jako przedsiębiorca pogrzebowy w Asherville. Nie garbił się, nie miał ziemistej cery i nie zacierał rąk jak inni przedstawiciele tego fachu, przedstawiani w filmach i komiksach. Wręcz przeciwnie – był krępy i rumiany, z grzywą ciemnych włosów bez śladu siwizny. Ktoś mógłby pomyśleć, że dla niego ustawiczny kontakt ze zmarłymi okazał się dobrą receptą na długie i dostatnie życie.

–Joey.

–Panie Devokowski...

–Bardzo mi przykro.

–Mnie także.

–Wczoraj przyszło tu pół miasta, żeby go pożegnać.

Joey nic nie odpowiedział.

–Był powszechnie lubiany. Joey wołał się nie odzywać.

–Chodźmy do niego – zaproponował Devokowski.

Przeszli do wyciszonej sali z przyćmionym oświetleniem, wyłożonej bordowym dywanem, z bordowymi draperiami na beżowych ścianach. W półmroku majaczyły wielkie bukiety róż. Słodkawy zapach kwiatów unosił się w powietrzu.

Trumna była przepiękna: brązowa z obramowaniem z polerowanej miedzi i błyszczącymi uchwytyami. Joey przez telefon prosił Devokowskiego, żeby wybrał najlepszy model. Tego na pewno chciał P.J. – a on płacił.

Joey z wahaniem podszedł do katafalku, jakby spodziewał się, że tak jak w koszmarnym śnie w trumnie zobaczy siebie.

Ale był tam tylko Dan Shannon. W schludnym niebieskim garniturze spoczywał w pokoju na łożu z kremowej satyny. Mocno postarzał się przez minione lata. Wydawał się jakby mniejszy, przytłoczony życiem i zadowolony z tego, że wreszcie mógł odejść.

Pan Devokowski taktownie wycofał się z sali, zostawiając klienta sam na sam z ojcem.

–Przepraszam – szepnął Joey. – Przepraszam, że nie wróciłem. Przepraszam, że już nigdy więcej nie widziałem ciebie ani mamy.

Ostrożnie dotknął twarzy ojca. Błady policzek był zimny i suchy. Joey cofnął rękę i szeptał dalej, coraz bardziej roztrzęsionym głosem:

–Poszedłem w złym kierunku. Skręciłem... w dziwną drogę... z której nie było już odwrotu. Nie wiem, dlaczego tak się stało, tato. Sam tego nie rozumiem.

Przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa.

Zapach róż wydawał mu się coraz cięższy.

Dan Shannon mógł z powodzeniem uchodzić za górnika, chociaż w rzeczywistości nigdy w życiu nie pracował w kopalni. Miał dużą i wyrazistą twarz, szerokie bary, silne dłonie o grubych palcach, poznaczone białymi bliznami. Był mechanikiem samochodowym. Zupełnie dobrym – ale niestety w złym miejscu i czasie, żeby zarobić na rodzinę.

–Zasługiwałaś na lepszego syna – powiedział Joey. – Dobrze chociaż, że miałaś dwóch, prawda? – Zamknął oczy. – Przepraszam. Jezu... Przepraszam!

Serce mu krwawiło z bólu. Poczuł na piersi ciężkie żelazne kowadło. Ale rozmowy ze zmarłymi nie dawały rozgrzeszenia. W tej chwili nawet Bóg nie mógł go pocieszyć.

Joey wyszedł z sali. W przyległym pomieszczeniu czekał na niego Devokowski.

–P.J. już wie? Joey pokręcił głową.

–Jeszcze go nie znalazłem.

–Jak to „nie znalazłeś”? – obruszył się Devokowski. – Przecież jesteście braćmi.

Na moment zapomniał o zawodowej uprzejmości i zrobił zgorzoną minę.

–Ale on ciągle podróżuje – mruknął Joey. – Sam pan słyszał... Zawsze gdzieś w drodze, w pogoni za przygodą. To chyba... nie moja wina.

Devokowski z niechęcią pokiwał głową.

–Tak. Jakiś czas temu czytałem o nim w „People”.

P.J. Shannon był wziętym kronikarzem życia „na walizkach”; chyba najbardziej znanym przedstawicielem literackiej cyganerii od czasów Jacka Kerouaca.

–Mógłby czasami zajrzeć do domu – Devokowski westchnął. – Napisać jeszcze jedną książkę o Asherville. Pierwsza była naprawdę dobra. Chyba najlepsza. Biedny P.J... Kiedy się dowie o śmierci taty, na pewno wpadnie w okropną rozpacz. Bardzo go kochał.

Ja też, pomyślał Joey, lecz nie powiedział tego na głos. Po tych dwudziestu latach milczenia i tak nikt by mu nie uwierzył. Ale on kochał Dana Shannona. Boże, naprawdę kochał... Tak samo matkę, Kathleen – chociaż nie przyjechał na pogrzeb i nie czuwał przy łożu śmierci.

–P.J. odwiedził nas jeszcze w sierpniu – ciągnął Devokowski. – Został przez tydzień. Ojciec obwoził go po okolicy. Był dumny z takiego syna.

W drzwiach stanął jego pomocnik, smutny młody człowiek w ciemnym ubraniu.

–Czas przewieźć zwłoki do kościoła, proszę pana – powiedział wypraktykowanym szeptem.

Devokowski spojrział na zegarek.

–Pójdiesz na mszę? – spytał swojego gościa.

–Oczywiście – odparł Joey.

Przedsiębiorca zdawkowo skinął głową i odwrócił się, jakby w ten sposób chciał dać do zrozumienia, że akurat w przypadku tego z braci Shannonów wcale nie było to takie oczywiste.

Niebo wyglądało, jakby ktoś je spalił – czarne jak węgiel, ale w wielu miejscach niby przysypane szarą warstwą grubego popiołu. Znowu zanosilo się na ulewę.

Joey miał cichą nadzieję, że nie zacznie padać podczas mszy albo na cmentarzu.

Poszedł do samochodu. Nadchodził z tyłu, nieco z lewej, od strony kierownicy. Nagle

zobaczył, że kłapa bagażnika sama się otwiera i unosi na kilka centymetrów. Z ciemnego wnętrza bojaźliwie wysunęła się szczupła ręka, jakby w błagalnym geście. Ręka bez wątpienia należała do kobiety. Kciuk był złamany i zwisał pod dziwnym kątem. Krew kapiała z pokiereszowanych palców.

Asherville zamarło, zda się ogarnięte jakąś mroczną klątwą. Wiatr ucichł. Chmury, które do niedawna w nieustannym pędzie sunęły z północnego zachodu, teraz skamieniały jak sklepienie piekła. Wszystko stało w miejscu. Panowała cisza. Joey też zatrzymał się w pół kroku, wręcz otępiały z przerażenia. Poruszała się tylko ręka. Tylko w niej została odrobina życia. Czegoś chciała – i nic poza tym nie miało najmniejszego znaczenia.

Joey nie mógł patrzeć na zwisający kciuk, zerwane paznokcie i powoli kapiącą krew. Nie mógł – ale patrzył, zmuszany do tego tajemniczą siłą. Wiedział, że to była kobieta w przezroczystej koszuli, którą widział we śnie. Teraz prześladowała go na jawie, choć na zdrowy rozum takie rzeczy zdawały się niemożliwe.

Ręka odrobinę dalej wychynęła z cienia i z wolna obróciła się dłonią do góry. Pośrodku widniała krwawa plama, jakby w tym miejscu ktoś ją przebił gwoździem.

Joey ze strachu zamknął oczy i w tej samej chwili zobaczył sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej. Widział je tak wyraźnie, jakby stał przy ołtarzu. Srebrzysty brzęk świętych dzwonek przerwał uroczystą ciszę, lecz nie rozległy się inne dźwięki. Ten głos pochodził z jego pamięci, z porannych mszy w pomroku dziejów. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Zobaczył kielich migoczący w świetle gromnicy. Hostię trzymaną w górze przez kapłana. Wyteżył zmysły, żeby wyczuć moment przemienienia. Moment spełnienia wszelkich nadziei i nagrody za niezachwianą wiarę. Ulotna chwila najdoskonalszej tajemnicy. Wino w krew. Jest jeszcze jakaś nadzieja dla świata i dla podobnych do mnie potępieńców?

Myśli stały się równie niewdzięczne jak widok zakrwawionej dłoni. Joey otworzył oczy. Ręka zniknęła. Bagażnik był zamknięty. Dmuchał wiatr i po ciemnym niebie przetaczały się chmury burzowe. Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

Joey nigdy naprawdę nie widział uchylonej pokrywy bagażnika ani widmowej ręki. Halucynacje.

Powoli przyjrzał się własnym dłoniom. Miał wrażenie, że należą do kogoś innego. Trzęsły się jak galareta.

Delirium tremens. Drgawki. Majaki. Zjawy wylaniające się z pustej ściany... albo z bagażnika. Każdy pijak kiedyś to przeżywał. Zwłaszcza wtedy, gdy chciał zerwać z piciem.

Joey usiadł za kierownicą i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął piersiówkę whisky. Wpatrywał się w nią przez kilka minut. Po pewnym czasie zdjął nakrętkę, wciągnął w nozdrza zapach alkoholu i podniósł butelkę do ust.

Chyba jednak za długo nad nią rozmyślał – a może za długo stał przed bagażnikiem – bo w tej samej chwili zobaczył karawan, który właśnie wyjechał z bramy domu pogrzebowego i skręcił w prawo, w stronę kościoła. Minęło zatem tyle czasu, że pracownicy Devokowskiego zdążyli wynieść z zakładu trumnę z ciałem ojca.

Joey chciał być trzeźwy podczas nabożeństwa. Chyba nigdy w życiu niczego bardziej nie pragnął.

Nawet nie umoczył ust. Zakręcił flaszkę i schował ją do kieszeni.

Włączył silnik i pojechał w ślad za karawanem do kościoła.

Po drodze parę razy miał wrażenie, że coś się rusza w bagażniku. Usłyszał stłumiony stuk. Pukanie. Słaby, zimny i jękliwy okrzyk.

Kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej wyglądał tak samo jak przedtem. Ciemne drewno, czule wypolerowane na jedwabisty połysk, witraże, czekające tylko na promień słońca, żeby pokolorować alegorie męki i zbawienia, porozwieszane nad ławkami po drugiej stronie nawy... Wąskie sklepienia, ginące gdzieś w niebieskawym cieniu... i draperia powietrza utkana z zapachów olejku cytrynowego, kadzidla i rozgrzanego wosku.

Joey usiadł w ostatniej ławce w nadziei, że nikt go nie pozna. Nie miał przyjaciół w Asherville. Bez pomocy w postaci solidnej porcji whisky bał się wzgardliwych spojrzeń i uśmiezków, na które w pełni zasłużył.

Na mszę przyszło ponad dwieście osób. Panował smutny nastrój, może nawet smutniejszy niż na innych pogrzebach. Dan Shannon był powszechnie lubiany i wszyscy żalowali, że już musiał odejść.

Wiele kobiet ukradkiem ocierało łzy. Za to mężczyźni z Asherville mieli suche oczy. Nie przywykli do tego, by publicznie płakać – a na osobności też im się to niemal nie zdarzało. Żaden z nich od ćwierćwiecza nie pracował w kopalni, lecz wszyscy pochodzili ze starych górniczych rodzin i przywykli do życia w ciągłym cieniu tragedii. W przeszłości codziennie czekali na wiadomość, że ktoś z bliskich zginął w wybuchu, zawale lub umarł na pylicę. W tej kulturze stoicyzm był więcej niż wartością – bez niego po prostu nigdy by nie istniała.

Nie zdradzaj swoich uczuć. Nie obdarzaj krewnych i przyjaciół swoim strachem i żmartwieniami. Trwaj. Tak brzmiało kredo Asherville, mocniejsze nawet niż moralne nauki proboszcza, wspierane dwoma tysiącami lat świętej wiary.

Joey ostatni raz był na nabożeństwie przed dwudziestu laty. Prawdopodobnie na życzenie wiernych ksiądz odprawił tradycyjną mszę po łacinie – śpiewną i pełną pięknych słów, które zniknęły z niej w połowie dwudziestego wieku, kiedy Kościół postanowił być bardziej „nowoczesny”.

Ale Joey pozostał niewzruszony. Urok mszy nie budził ciepła w jego sercu. Swoimi postępkami już dawno postawił się poza nawiasem wiary. Teraz postrzegał ją jak człowieka, który podziwia piękny obraz przez okno galerii. Niby coś widać, ale jednocześnie w szybie za wiele się odbija, żeby zobaczyć go w całości.

Msza była piękna, chociaż zimna niczym błysk zimowego słońca na polerowanej stali. Arktyczny widok.

Prosto z kościoła Joey udał się na cmentarz. Powoli wspinał się na wzgórze. Pod nogami szeleściły mu zeschnięte liście, leżące na wciąż zielonej trawie.

Ojciec miał spocząć obok matki. Na podwójnej kamiennej tablicy ciągle brakowało jednego

nazwiska.

Joey pierwszy raz zobaczył grób matki. Spojrzał na datę śmierci wyrytą w granitowej płycie, lecz mimo to nie doznał nagłego poczucia straty. Wystarczająco wiele cierpiał przez minione lata.

Prawdę mówiąc, utracił matkę już wiele wcześniej, w dniu, kiedy na dobre pożegnał się z domem.

Karawan zatrzymał się w alejce niedaleko grobu. Lou Devokowski razem z pomocnikiem przejęli dowództwo nad grupą grabarzy.

Otwartą mogiłę czekającą na Dana Shannona otaczał wysoki na metr plot z czarnej folii, ustawiony nie tyle po to, żeby zapewnić ludziom względne bezpieczeństwo, ile by przesłonić widok gołej ziemi. Pan Devokowski sądził, że u wrażliwszych osób mogłoby to budzić ponure refleksje. Szef grabarzy taktownie zakrył płachtą mały pagórek, piętrzący się tuż obok grobu, oraz przystroił go wieńcami kwiatów i pękami liści paproci.

Joey z poczuciem winy podszedł jak najbliżej i zajrzał za barierę, w głąb dziury ziejącej w ziemi. Chciał dokładnie zobaczyć miejsce spoczynku ojca.

Na dnie grobu, do połowy zagrzebane w grząskim błocie, leżały zwłoki owinięte tylko w zakrwawione płótno. Naga kobieta. Joey nie widział jej twarzy, zakrytej mokrymi strąkami jasnych włosów.

Odskoczył w tył, wpadając na stojących za nim żałobników.

Nie mógł zaczerpnąć tchu. Wydawało mu się, że płuca ma zatkane gliną z grobu ojca.

Grabarze, smętni jak chmura gradowa, ostrożnie postawili trumnę na parcianych pasach rozpiętych nad mogiłą.

Joey chciał krzyknąć do nich, żeby przerwali pracę i popatrzyli w dół, na leżącą pod spodem kobietę. Słowa uwięzły mu w gardle.

Przyszedł ksiądz. Wiatr szarpał jego czarną sutanną i białą komżą. Rozpoczęła się główna część pochówku.

Trumnę opuszczono do głębokiej na dwa metry otchłani i złożono na zwłokach. Za chwilę przysypią ją ziemią i nikt nie pozna tajemnicy grobu. Kobieta zniknie dla tych, którzy ją kochali i którzy zapewne jej szukali wielce przerażeni.

Joey znów usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić słowa. Dygotał na całym ciele.

W gruncie rzeczy wiedział, że na dnie mogiły naprawdę nic nie ma. To była tylko zjawa.

Halucynacja. *Delirium tremens*. Jak robale, które Ray Milland widział łażące po ścianach w filmie *Stracony weekend*.

A mimo to miał ochotę wrzasnąć. Za wszelką cenę chciał przerwać tę żelazną obręcz ciszy, która go otaczała. Chciał ryknąć na nich, żeby natychmiast usunęli trumnę i zerknęli do grobu – chociaż podejrzewał, że nic tam nie znajdują... i że najzwyczajniej w świecie wezmą go za głupca.

Z dołu wydobywała się woń wilgotnej darni i gnijących korzeni, przywodząca na myśl maleńkie ruchliwe stworzenia, żyjące w urodzajnej ziemi – żuki, dżdżownice i rój innych istot, nieznanym mu z nazwy.

Joey odwrócił się, przepchnął przez tłum stu, a może więcej żałobników, którzy przyszli z kościoła na cmentarz, i chwiejnym krokiem pobiegł w dół wzgórza, klucząc pomiędzy nagrobkami. Schował się do samochodu.

Nagle odzyskał głos i oddech. Kilka razy ze świstem zaczerpnął tchu i jęknął:

–Boże, Boże, Boże...

Był przekonany, że oszalał. Dwadzieścia lat regularnego picia wywołało nieodwracalne zmiany w mózgu. Szare komórki obumarły, ciągle kąpane w alkoholu.

Zabrnął już tak daleko, że tylko w dalszym grzechu mógł znaleźć ukojenie. Wyciągnął flaszkę z kieszeni.

Wiedział, że przez najbliższy miesiąc w okolicy aż będzie huczało od plotek. Spora część żałobników z zainteresowaniem patrzyła na jego ucieczkę. Wielu też, nie bacząc na niezadowolenie księdza, nadal ukradkiem zerkąło w tę stronę, żeby broń Boże nie przegapić następnego aktu.

Joey zupełnie nie dbał o to, co sobie o nim pomyślą. W ogóle miał wszystko gdzieś. Może z wyjątkiem whisky.

Ale pogrzeb trwał nadal – a Joey przedtem obiecał sobie, że będzie trzeźwy do samego końca ceremonii. Wprawdzie już kiedyś złamał wiele przysiąg, lecz ta wydawała mu się najważniejsza.

Nie otworzył butelki.

Na wzgórzu, pod na wpół nagimi gałęziami jesiennych drzew i sinym niebem, nieczuła ziemia przyjęła ciało Dana Shannona.

Żałobnicy z wolna zaczęli się rozchodzić. Teraz już bez żenady spoglądali w stronę samochodu, w którym siedział Joey.

Tuż po odejściu księdza na cmentarzu zawirowały liście porwane nagłym podmuchem wiatru. Ulatywały nad grobami niczym rozgniewane duchy, obudzone z niespokojnego snu.

Po niebie przetoczyło się echo gromu. Znowu zbierało się na burzę, więc ludzie przyspieszyli kroku.

Grabarz z pomocnikiem zabrali lewary i zdemontowali czarny plastikowy płot wokół grobu.

Zacząło padać. Jeden z grabarzy w żółtym przeciwdeszczowym płaszczu zdjął kwiaty i płachtę z pagórka wykopanej ziemi.

Drugi usiadł za kierownicą małego spychacza, zwanego „rysiem”. Pojazd był tak samo żółty jak peleryna grabarza.

Zanim deszcz zdążył zalać otwartą mogiłę, „ryś” zepchnął ziemię do dołu i ugniótł gąsienicami.

–Żegnaj – powiedział Joey.

W tym momencie chyba powinien mieć wrażenie, że coś się definitywnie kończy... Ze zamknął jakiś ważny etap w swoim życiu. Niestety, czuł jedynie pustkę. Dla niego jeszcze nic się nie skończyło – choćby nawet liczył na to, że tak będzie.

Joey wrócił do domu, poczłapał do kuchni i wąskimi schodami zszedł na dół, do piwnicy. Minał piec i niewielki bojler.

Drzwi do dawnego pokoju P.J. pociemniały z wilgoci i starości. Joey musiał je otworzyć siłą. Klamka zgrzytnęła głośno, skrzyknęły zawiasy.

Deszcz tłukł zawzięcie w dwa wąskie poprzeczne okienka, umieszczone wysoko na ścianie. Skąpe światło błyskawic nie rozświetlało mroku. Joey wymacał wyłącznik przy drzwiach i zapalił wiszącą pod sufitem żarówkę.

Maleńka izba była pusta. Ojciec pewnie już dawno sprzedał skromne łóżko i resztę mebli, żeby zarobić parę dolarów. Podczas odwiedzin P.J. sypiał na pierwszym piętrze, w dawnym pokoju brata. Mógł tam spokojnie mieszkać, gdyż wiedział, że Joey i tak nie przyjedzie.

Kurz. Pajęczyny. Na ścianie nad podłogą kilka ciemnych smug pleśni – niczym plamy z testu Rorschacha.

Jedynym śladem dawniejszej bytności P.J. były plakaty do tak kiepskich filmów, że mimo woli budziły szczerą rozbawienie. Przypięte do ściany starymi pineskami, żółte, spękane i podarte na rogach.

W liceum P.J. marzył, że kiedyś zapomni o nędzy, wyjedzie z Asherville i zostanie filmowcem.

–Ale to mi potrzebne – opowiadał bratu, wskazując na plakaty – przypomina, że nie warto za wszelką cenę dążyć do sukcesu. W Hollywood możesz stać się sławny i bogaty, choćbyś kręcił najgorszą szmirę. A jak nie mam talentu, to rzucę dawne plany i nikt mi nie powie, że gdzieś dałem dupy.

Może to los tak sprawił, a może gdzieś po drodze P.J. stracił zainteresowanie filmem i nie dotarł do Hollywood. Jak na ironię losu zyskał sporą sławę jako pisarz – chociaż początkowo to Joey miał zostać znanym literatem.

P.J. zbierał wyrazy uznania od krytyków. Nieustannie wędrował po Stanach Zjednoczonych i ze swoich wojaży przywoził powieści napisane starannie wyważoną prozą, zwodniczo proste, a jednocześnie pełne tajemniczej głębi.

Joey mu zazdrościł, ale bez zawiści. P.J. w pełni zasłużył na wszystkie pochwały i wysokie tantiemy płynące na konto bankowe. Joey był dumny z brata.

Od dzieciństwa łączyły ich szczególne więzi, nadal żywe, choć podtrzymywane na wielką odległość, najczęściej przez telefon, kiedy P.J. dzwonił gdzieś z Montany lub Maine, Key West lub jakiejś zakurzonej miejsciny na preriach Teksasu. Widywali się raz na trzy, cztery lata. P.J.

zawsze zjawiał się niespodziewanie – i zostawał na dzień lub dwa. Najczęściej na dzień.

Joey nikogo bardziej nie kochał niż brata – i wydawało mu się, że już nie pokocha. Ale tu w grę wchodziła nie tylko miłość.

Jego uczucie było bogatsze, głębsze... Nie umiał tego w pełni wytłumaczyć.

Deszcz bębnił w trawnik ciągnący się tuż za oknami. Grzmoty dudniły tam na górze, jakby w zupełnie innym świecie.

Joey przyszedł po słoik, lecz w małej piwnicy przecież nie było nic oprócz plakatów.

Na betonowej podłodze koło jego nogi jakby znikąd pojawił się duży czarny pająk. Przebiegł obok.

Zamiast go zdeptać, Joey patrzył za nim, dopóki pająk nie zniknął w szparze pod listwą.

Zgasił światło i przeszedł do kotłowni, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Na schodach, już przed samą kuchnią, powiedział na głos:

–Słoik? Jaki słoik?

Zatrzymał się i ze zdziwioną miną spojrzął za siebie, do piwnicy. Słoik czegoś? Słoik na coś?

Nie pamiętał, skąd przyszło mu to do głowy. W ogóle nie pamiętał żadnego słoika.

Jeszcze jedna widoma oznaka demencji. Za długo nie pił.

Wciąż dokuczały mu uczucia strachu i dezorientacji, które naszyły go już wczoraj, od kiedy przybył do Asherville. Wszedł po schodach i wyłączył światło w piwnicy.

Spakowana walizka czekała w salonie. Joey wyniósł ją na werandę, zamknął drzwi i włożył klucz pod wycieraczkę, tam skąd go wyjął niecałą dobę wcześniej.

Za plecami usłyszał coś jakby stłumione szczerzenie. Odwrócił się i zobaczył na schodach zmokniętego, wyliniałego psa o czarnej sierści. Pies szczerzył kły i spoglądał na niego żółtymi oczami, gorejącymi jak dwa kawałki rozpalonej siarki.

–Poszedł stąd – cicho powiedział Joey, bez cienia groźby w głosie.

Pies warknął głucho, pochylił głowę i naprężył mięśnie, jakby szykował się do skoku.

–Obaj tu jesteśmy obcy – mruknął Joey, nie ruszywszy się nawet na centymetr.

Pies popatrzył na niego ze zdziwieniem, zadrżał, oblizął pysk i w końcu uciekł.

Joey wziął walizkę, stanął na szczycie schodów i patrzył, jak skulone zwierzę biegnie w szarych strugach ulewnego deszczu. Pies z wolna stawał się coraz bledszy, niczym uchodząca zjawą. Wreszcie skręcił za róg następnego domu i zniknął. Joey był niemal przekonany, że miał do czynienia z jeszcze jedną złudą.

Biuro prawnika mieściło się na pierwszym piętrze ceglanej kamienicy przy głównej ulicy, tuż nad gospodą Old'Town. W niedzielę po południu bar był zamknięty, ale w witrynie ciągle migwały małe reklamy „Rolling Rock” i „Pabst Blue Ribbon”. Krople deszczu płynące po szybie mieniły się zielonym i niebieskim światłem.

Henry Kadinska wynajmował dwa pokoje w końcu ciemnego korytarza, tuż obok dentysty i agenta handlu nieruchomościami. Drzwi do biura były otwarte.

Joey wszedł do środka.

–Halo? – zawołał.

–Chodź tutaj, Joey – odpowiedział mu męski głos zza następnych, też otwartych drzwi.

Drugi pokój okazał się większy od pierwszego, ale niewiele. Przy dwóch ścianach w regałach stało pełno prawniczych książek, na trzeciej nieco krzywo wisiały dwa dyplomy. Okna przesłaniały stare drewniane żaluzje, nieprodukowane chyba od pół wieku. W wąskich szparach widniały plastry deszczowego dnia.

Po obu stronach pokoju stały identyczne mahoniowe biurka. Współlokatorem Henry'ego był kiedyś jego ojciec, Lev, dawniej jedyny prawnik w całym mieście. Zmarł, zanim Joey zdał maturę. Nieużywane, ale schludne i błyszczące biurko odgrywało rolę pomnika.

Henry odłożył fajkę do kryształowej popielniczki, wstał z fotela, wyciągnął rękę nad blatem i potrząsnął prawicą gościa.

–Zauważyłem cię na nabożeństwie, ale wołałem nie przeszkadzać.

–Nie widziałem... żadnych znajomych – odparł Joey.

–Trzymasz się jakoś?

–Tak. Trzymam.

Przez chwilę stali, patrząc na siebie – i nie wiedzieli, co powiedzieć. Potem Joey powoli usiadł w wygodnym fotelu, twarzą do biurka.

Henry wrócił na swoje miejsce i sięgnął po fajkę. Był szczupłym pięćdziesięcioletkiem o mocno wystającej grdyce. Jego głowa wydawała się nienaturalnie duża w stosunku do reszty ciała. Tę dysproporcję podkreślały włosy, rosnące mu dopiero jakieś dziesięć albo dwanaście centymetrów nad brwiami. Piwne oczy łagodnie spoglądały zza grubych okularów.

–Znalazłeś klucz tam, gdzie ci mówiłem? Joey przytaknął.

–W domu niewiele się zmieniło, prawda? – zagadnął Henry.

–Mniej, niż się spodziewałem.

–Twój tato nigdy nie miał dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na wydatki. A kiedy w końcu trochę się wzbogacił, to nie wiedział, jak je wydawać. – Wetknął fajkę do ust i przyłożył do niej płonąca zapalną. – PJ. zawsze miał mu to za złe.

Joey niespokojnie poruszył się w fotelu.

–Panie Kadinska... Nie mam pojęcia, po co tu przyszedłem. Dlaczego pan mnie wezwał?

–PJ. nic nie wie o śmierci ojca?

–Nagrałem mu się na automatyczną sekretarkę w mieszkaniu w Nowym Jorku. Ale on tam bardzo rzadko bywa. Może przez miesiąc w ciągu roku.

Henry pyknął z fajki. W powietrzu uniósł się aromatyczny zapach wiśniowego tytoniu.

Pomimo książek i dyplomów pokój nie przypominał zwykłej kancelarii prawniczej. To było miłe miejsce – może troszeczkę zaniedbane, lecz przyjemne. Wtulony w fotel Henry Kadinska czuł się wygodnie w swojej pracy jak w starej piźarni.

–Zdarzało się, że i przez tydzień nie odsłuchiwał wiadomości – bąknął Joey.

–Dziwny sposób na życie... Ciągłe w drodze. Ale jemu z tym dobrze.

–Uwielbia to.

–Potem pisze wspaniałe książki – powiedział Kadinska.

–Tak.

–Bardzo mi się podobają.

–Jak wszystkim.

–Bije z nich takie cudowne poczucie wolności... Umiłowanie ducha...

–Panie Kadinska... Ciągłe leje, więc chciałbym jak najszybciej wyruszyć do Scranton. Z samego rana mam samolot.

–Oczywiście – rzekł Henry z wyraźną nutą rozczarowania. Wyglądał teraz jak samotny maleńki człowieczek, który liczył na dłuższą przyjacielską rozmowę.

Pochylił się, żeby poszukać czegoś w szufladzie. Joey ospale powiódł wzrokiem po pokoju i

zauważył, że jeden z krzywo wiszących dyplomów nosi nadruk Harvardu. Dziwne jak na prawnika z małej górniczej miejsciny.

Potem zobaczył, że na półkach stały nie tylko książki prawnicze. Sporo filozofii. Platon, Sokrates, Arystoteles, Kant, św. Augustyn, Kierkegaard, Bentham, Santayana, Schopenhauer, Empedokles, Heidegger, Hobbes i Francis Bacon.

A może mimo wszystko pan Henry Kadinska niedobrze czuł się w roli drobnego adwokata? Może po prostu robił to, co musiał, z początku jako satelita ojca, a potem już z przyzwyczajenia?

Czasami, zwłaszcza w pijanym widzie, Joey zupełnie zapominał, że nie on jeden miał marzenia – i nie on jeden z czegoś zrezygnował.

–To jest testament twojego ojca – powiedział Kadinska, kładąc na biurku jakąś teczkę.

–Testament? – ze zdumieniem spytał Joey. – PJ. powinien tutaj być w tej chwili. Mnie nic do tego.

–Wręcz przeciwnie. Dokument o nim nawet nie wspomina. Ojciec wszystko zapisał tobie.

Joey aż się wzdrygnął z poczucia winy.

–Ale dlaczego?

–Dlaczego nie? Przecież jesteś jego synem.

Joey spojrzał mu prosto w oczy. Doszedł do wniosku, że ten jeden jedyny raz musi powiedzieć całą prawdę. Że zachowa się z godnością i będzie zupełnie szczery. Ojciec by go za to pochwalił.

–Obaj dobrze znamy smutną odpowiedź, proszę pana. Zawiodłem go na całej linii. Złamałem serce mojej matce. Nie przyjechałem do niej, chociaż przez dwa lata cierpiała na raka. Nigdy nie wziąłem jej za rękę. Nie pocieszałem taty. Nie widziałem go przez ostatnie dwadzieścia lat. Owszem, dzwoniłem. Może sześć albo osiem razy – i to wszystko. Nie zawsze podawałem mu adres lub numer telefonu, pod którym mógł mnie znaleźć. Jeżeli znał go, to na wszelki wypadek nie włączałem sekretarki, żeby nie odbierać. Byłem niedobrym synem, panie Kadinska. Jestem pijakiem, samolubem i wykolejńcem. Nie zasługuję na żaden spadek, choćby najmniejszy.

Henry Kadinska z bólem w oczach słuchał tego wyznania. – Teraz nie jesteś pijany, Joey... i nie wierzę, żebyś w głębi serca był złym człowiekiem.

–Zapewniam pana, że do wieczora na pewno się upiję – odparł cicho Joey. – Ale jeśli pan naprawdę myśli, że jestem choć trochę dobry, to po prostu nie zna się pan na ludziach. W gruncie rzeczy nic pan o mnie nie wie. To może nawet lepiej.

Kadinska odłożył fajkę do popielniczki.

–Cóż... Ojciec potrafił ci wybaczyć. Dostajesz dosłownie wszystko.

Joey wstał.

–Nie. Nie mogę tego przyjąć. Nie chcę. Ruszył w stronę wyjścia.

–Zaczekaj, proszę – powiedział prawnik.

Joey zatrzymał się i popatrzył na niego przez ramię.

–Czeka mnie jeszcze długa jazda przez góry w tę pogodę – mruknął.

Henry Kadinska nie ruszył się z fotela. Wziął fajkę do ręki.

–Gdzie mieszkasz?

–Przecież pan wie. W Las Vegas. Właśnie tam mnie pan znalazł.

–Pytałem raczej: gdzie w Las Vegas?

–Bo co?

–Jestem prawnikiem. Przez całe życie o coś pytam. Już za późno, żeby to zmienić.

Odpowiedz.

–W przyczepie na parkingu.

–Takim osiedlu parkingowym? Tam gdzie jest wspólny basen i kort tenisowy?

–Stare przyczepy – burknął Joey. – Niektóre naprawdę stare.

–Więc nie ma kortu i basenu?

–Do diabła, nie ma nawet trawy!

–Az czego żyjesz?

–Jestem krupierem przy blackjacku. Czasami kręcę ruletką.

–To stała praca?

–Nie. Idę tam tylko wtedy, kiedy muszę.

–Kiedy nie pijesz?

–Kiedy mogę – przyznał się bez bicia, pamiętając o postanowieniu, że tym razem powie całą prawdę. – Dobrze płacą i dostają napiwki od klientów. Trochę odkładam, żeby mieć pieniądze na... na wakacje. W sumie więc nie narzekam.

–Jeżeli ciągle zmieniasz pracę, to już nie znajdziesz zatrudnienia w jakimś nowym modnym kasynie.

–To prawda – zgodził się Joey.

–Stacasz się zatem coraz niżej.

–Strasznie pan srogi jak na człowieka, który przed chwilą mówił o współczuciu.

Kadinska poczerwieniał z zakłopotania.

–Przepraszam, Joey... Chcę tylko cię przekonać, że w tej sytuacji nie powinieneś rezygnować ze spadku.

Ale Joey pozostawał niewzruszony.

–Nie zasługuję na to. Nie chcę, nie wezmę, koniec, kropka. Domu przecież i tak nikt nie kupi, a ja tam się z powrotem nie wprowadzę.

Kadinska stuknął palcem w teczkę z papierami;

–Dom faktycznie nie jest wart zbyt wiele. Pod tym względem masz zupełną rację. Ale nie o to chodzi, Joey. Zostało ponad ćwierć miliona dolarów w aktywach – w banku i depozycie.

Joey poczuł, że mu zasycha w gardle. Dostał niemalże palpacji serca. Przedtem nie zauważył, że w biurze Henry'ego czyha wokół niego przeraźliwa ciemność.

–To nieprawda. Ojciec był biedny...

–Ale twój brat już dawno odniósł spory sukces. Prawie od czternastu lat, miesiąc w miesiąc, regularnie przysyłał czek na tysiąc dolarów. Mówiłem ci już, jak się złościł, że ojciec tego nie wydaje. Dan odnosił czek do banku i w ten sposób, przy składanym procencie, dorobił się okrągłej sumki.

–To nie moje... – roztrzęsionym głosem oznajmił Joey. – To są pieniądze PJ. On je przysłał i do niego powinny wrócić.

–Ojciec przeznaczył je dla ciebie. Wszystkie. Testament został sporządzony zgodnie z prawem.

–Niech pan to odda mojemu bratu, kiedy tylko tu się zjawi – powiedział Joey i odwrócił się, żeby odejść.

–PJ. na pewno uzna wolę ojca. Każe ci to zatrzymać.

–Nie chcę. Nie chcę! – coraz głośniejszy powtarzał Joey. Kadinska dogonił go w drugim pokoju, złapał za łokieć i zatrzymał.

–To nie takie proste, Joey.

–Nieprawda.

–Jeżeli rzeczywiście nie chcesz tego przyjąć, musisz formalnie zrzec się spadku.

–Zrzekam się. Już to zrobiłem. Nic nie chcę!

–Trzeba spisać odpowiedni dokument, z pieczęcią notariusza. Joey spocił się, chociaż dzień był chłodny, a w biurze nikt nie włączył ogrzewania.

–Ile czasu to wszystko zajmie?

–Najlepiej wpadnij do mnie jutro po południu...

–Nie! – Serce waliło mu jak młot. Miał wrażenie, że za chwilę połamie mu mostek i żebra. – Nic z tego. Nie spędzę tutaj jeszcze jednej nocy. Wyjeżdżam do Scranton. Rano lecę do Pittsburgha, a stamtąd do Vegas. Tak, tak... aż do Vegas! Niech pan mi przyśle te papiery.

–Może to nawet lepiej? – mruknął Kadinska. – Będziesz miał nieco więcej czasu na zastanowienie.

Już nie przypominał zahukanego mola książkowego. Zmienił się nie do poznania.

Joey daremnie szukał w jego oczach poprzedniej łagodności. Czaiło się w nich jakieś zło, chciwość handlarza dusz... Krótko mówiąc, stał przed czymś, co pod skórą miało twardą łuskę. W innym świetle oczy Henry'ego byłyby niczym żółte ślepiec, który niedawno włączył się przed werandę domu Shannonów.

Joey wyrwał rękę z dłoni adwokata, odepchnął go i z przerażeniem rzucił się do wyjścia.

–Co się stało? – zawołał za nim Kadinska.

Korytarz. Biuro handlu nieruchomościami. Dentysta. Schody. Joey rozpaczliwie chciał wyrwać się na powietrze i splukać brud w strumieniach deszczu.

–Joey, co się z tobą dzieje?

–Daj mi spokój! – wrzasnął na całe gardło.

Na szczycie schodów zatrzymał się tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił. W ostatniej

chwili złapał się balustrady.

W dole leżała martwa blondynka, owinięta w przezroczysty całun, częściowo zaplamiony krwią. Ciasno skręcona folia ścisnęła nagie piersi. Joey wyraźnie widział jej sutki, lecz nie mógł zobaczyć twarzy.

Spod okrycia wysunęło się trupio blade ramię. Martwa dłoń wykonała kilka błagalnych gestów.

Joey nie mógł patrzeć na zmaltretowane palce i dziurę w delikatnej dłoni. Najbardziej bał się, że upiorna zjawa przemówi do niego zza zasłony. Nie chciał słyszeć tego, co być może miała mu do powiedzenia.

Pisnął jak wystraszone zwierzę, odwrócił się i chciał uciekać tam, skąd przed chwilą przyszedł.

–Joey?

Henry Kadinska stał w mrocznym korytarzu. Zdawało się, że cienie lgną do niego. Tylko w grubych szklach okularów połyskiwało żółte światło wiszącej u góry lampy. Zagradzał drogę. Nadchodził. Myślał, że teraz dobije targu.

Joey musiał wyjść na dwór i skąpać się w deszczu. Umknął przed adwokatem i wrócił na schody.

Blondynka wciąż leżała z dłonią wyciągniętą w niemej prośbie. O co błagała? O litość?

–Joey?

Głos Henry'ego. Tuż za nim.

Joey ostrożnie zszedł po kilku stromych stopniach, z wolna coraz bardziej się rozpędzając, przekonany, że w ostateczności przeskoczy nad blondynką lub kopnie ją, gdyby przypadkiem chciała go zatrzymać. Zbiegał po dwa schodki naraz, z dala od poręczy, z trudem utrzymując chwiejną równowagę. Był już w połowie schodów, dotarł do dwóch trzecich, a ona wciąż leżała. Jeszcze osiem, sześć, cztery kroki... Wyciągnęła rękę z krwawą plamą, błyszczącą pośrodku dłoni. Joey postawił nogę na ostatnim stopniu i krzyknął rozdierającym głosem. Kobieta zniknęła. Pędem minął miejsce, w którym przed chwilą leżała, z trzaskiem otworzył drzwi i wybiegł na ulicę, przed gospodę.

Wystawił twarz pod neonowe niebieskie i zielone krople deszczu. Taki ziąb wróżył ślizgawicę. W sekundę przemókl do suchej nitki – a mimo to nie poczuł się zupełnie czysty.

Wsiadł do samochodu i spod fotela wyciągnął schowaną tam wcześniej butelkę whisky.

Deszcz nie splukał go od środka. Wciąż miał w sobie smród zgnilizny. Musiał się zdezynfekować. Czym? Rzecz jasna, tylko wódką.

Odkręcił korek i pociągnął solidny łyk. Potem drugi.

Zakrztusił się, zaczerpnął tchu i szybko zakręcił butelkę, bojąc się, żeby przypadkiem nie rozlać resztki cennego płynu.

Kadinska nie wyszedł za nim na ulicę i Joey wcale nie chciał na niego dłużej czekać. Uruchomił silnik, odbił od krawężnika, przejechał przez doszczętnie zalane skrzyżowanie i skręcił w główną ulicę, w stronę peryferii.

W gruncie rzeczy nie wierzył, że wyjedzie z miasta. Wiedział, że go coś zatrzyma. Samochód nagle się zakrztusi, stanie i nie ruszy z miejsca. Będzie miał stłuczkę na przejeździe, chociaż ulice są zupełnie puste. Piorun uderzy w słup telegraficzny i zwali go w poprzek drogi. Coś uprze się, żeby nie wyjechał. Nie potrafił odpędzić od siebie tych podejrzeń ani ich sobie rozsądnie wytłumaczyć.

Z napięciem minął granice miasta... i nic się nie zdarzyło. Główna ulica przeszła w zwykłą szosę. W miejsce skulonych i przygnębiających budynków Asherville pojawiły się pola i lasy.

Joey dygotał – trochę ze strachu, a trochę z przemoczenia. Ujechał dobre półtora kilometra, zanim pomyślał o tym, że niedawno odrzucił ćwierć miliona dolców. Nie miał pojęcia, dlaczego tak zareagował na ów niespodziewany uśmiech losu. Wiedział jedynie, że jego dusza znalazła się w niebezpieczeństwie.

Choć z drugiej strony, jeśli istniało piekło, to już od dawna na nie zasłużył.

Pięć kilometrów za Asherville dojechał do rozwidlenia. Szosa, którą przyjechał, biegła dalej, niczym błyszcząca czarna wstęga, ginąca gdzieś w zapadającym zmierzchu. Po lewej była droga Coal Valley wiodąca do miejsciny o tej samej nazwie.

W tamtą niedzielną noc, przed dwudziestoma laty, wracając do college'u, zamierzał skręcić do Coal Valley i pojechać przez góry jakieś dwadzieścia kilometrów, aż do zjazdu na starą trzypasmówkę, przez miejscowych zwaną Black Hollo w. Stamtąd na zachód piętnaście kilometrów, do autostrady pensylwańskiej. Zawsze tak jeździł, bo było krócej.

Lecz tamtej nocy, z jakichś zupełnie niepojętych przyczyn, minął skręt do Coal Valley i pojechał prosto dwadzieścia pięć kilometrów do skrzyżowania ze stanową. Dopiero tam skręcił na Black Hollow, ale po drodze miał wypadek, który na zawsze zmienił jego życie.

Jechał dziesięcioletnim fordem mustangiem model '65. Znalazł go kiedyś na złomowisku, wyremontował z pomocą taty i odnowił. Po prostu kochał ten samochód. Nie miał drugiej tak pięknej rzeczy, w dodatku własnoręcznie wypieszczonej i doprowadzonej do dawnej świetności.

Na wspomnienie mustanga Joey odruchowo dotknął czoła po lewej stronie, tuż pod włosami. Dwupółcentymetrowa blizna była prawie niewidoczna, ale wyczuwał ją palcami. Przypomnił sobie nagły poślizg, samochód kręcący się po mokrej nawierzchni, zderzenie z drogowskazem i stłuczoną szybę.

Pamiętał krew.

Teraz zatrzymał się przed rozjazdem i spojrzał w lewo, w stronę Coal Valley. Wiedział, że jeśli tam pojedzie, tak jak powinien to zrobić od razu, zyska jeszcze jedną szansę, żeby naprawić własne życie.

Dziwna myśl... Niemal równie głupia jak ta, że jakaś obca siła zatrzyma go w Asherville. Ale tym razem to była prawda. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Co więcej, nabrał przekonania, że w szarym zmierzchu październikowego dnia istotnie budzą się nadludzkie moce. To właśnie tam – na górskiej drodze – czekała nań odpowiedź na pytanie o sens życia. Dziewiętnaście lat temu szosa do Coal Valley została zamknięta i zniszczona. Dziś wyglądała na nietkniętą, tak samo jak pamiętnej nocy. Ktoś odbudował ją w magiczny sposób.

Joey minął znak „stop” i zatrzymał chevroleta w płytkiej zatoczce tuż za rozjazdem, naprzeciwko skrętu do Coal Valley. Zgasił światła, ale nie wyłączył silnika.

W zamierającym świetle dwie czarne asfaltowe wstęgi ciągnęły się pod drzewami i znikwały w mroku tak gęstym jak cień nadchodzącej nocy. Zeschłe jesienne liście kolorową plamą kładły się na ziemi i emanowały jakimś dziwnym blaskiem.

Serce mocno mu waliło.

Zamknął oczy i wsłuchał się w szum deszczu.

Po pewnym czasie lekko uchylił powieki, przekonany, że drogi do Coal Valley już nie ma. Że to kolejna złuda. Ale nie... Wciąż była, czarna i migotliwa w srebrzystej ulewie. A złotorude liście błyszcząły na podobieństwo klejnotów, wabiących wędrowca, żeby zerknął głębiej w tunel pod drzewami i skrytą za nim ciemność.

Niemożliwe.

A jednak...

Dwadzieścia jeden lat temu w Coal Valley sześćioletni Rudy DeMarco wpadł do szczeliny w ziemi, która pękła pod nim, gdy bawił się na podwórku. Zwabiona krzykiem pani DeMarco znalazła go w głębokim na dwa metry dole, wypełnionym oparami siarki, ulatującymi gdzieś ze spodu. Skoczyła za nim, chociaż w dole panował taki upał, jakby trafiła do przedsionka piekła. Dno przypominało ruszt; nogi chłopca uwięzły między luźnymi kamieniami, nad szalejącym niżej morzem ognia. Pani DeMarco, krztusząc się i kaszląc, po omacku znalazła syna i wyrwała go ze szczeliny. Uparcie pełzła po gorącej ziemi, chociaż grunt trząsał się i zapadał pod jej stopami. Wreszcie dno całkowicie znikło i mało brakowało, a oboje wpadliby w gorejącą otchłań. Jakoś jednak zdołała wydostać się z gryzącego dymu i wyciągnąć chłopca na trawę. Palił się. Nakryła go własnym ciałem, żeby zdusić ogień, i sama też zaczęła płonąć. Przycisnęła go mocno do piersi i zaczęła się turlać po trawie, głośno krzycząc o pomoc. Jej wołanie brzmiało tym głośniejsz, że Rudy zupełnie umilkł. Miał spalone ubranie, włosy i połowę buzi. Był czarny na całym ciele. Śmigłowcem został przewieziony do szpitala w Pittsburghu, gdzie trzy dni później zmarł wskutek rozległych oparzeń.

Przez szesnaście lat przed wypadkiem mieszkańcy Coal Valley żyli nad podziemnym pożarem, szalejącym w zamkniętej kopalni. Ogień zżerał nietknięte złoża antracytu i w ten sposób poszerzał szyby i korytarze. Urzędnicy byli przekonani, że kiedyś sam się wypali. Wszelkie próby podjęcia akcji ratunkowej kończyły się na kosztownych debatach i konsultacjach. Każda strona usiłowała odsunąć od siebie odpowiedzialność finansową za rozpoczęcie działań. Mieszkańcom Coal Valley rozdano czujniki tlenku węgla, żeby przypadkiem nie ulegli naglemu zaczadzeniu oparami przedostającymi się z piwnic do ich

domów. W osadzie rozmieszczono rury wentylacyjne, którymi uchodził dym i część toksycznych gazów z płonącej kopalni. Jeden z takich kominów stał nawet na boisku szkoły podstawowej.

Dopiero tragiczna śmierć Rudy'ego DeMarco obudziła z letargu polityków i biurokratów. Władze federalne kupiły najbardziej zagrożony teren, poczynając od domów stojących bezpośrednio nad najbardziej płonącymi tunelami. Potem przyszła kolej na następne, nawet te, pod którymi były tylko głęboko położone, lecz mimo wszystko łatwopalne pokłady węgla. W ciągu niespełna roku większość ludzi przeprowadziła się gdzieś indziej. Schludne kiedyś Coal Valley stało się miastem widmem.

Tamtej deszczowej nocy, której Joey złą drogą wracał do college'u, w Coal Valley mieszkały już tylko trzy rodziny. Wszystkie miały się wyprowadzić przed Świętem Dziękczynienia.

Po wyjeździe ostatnich mieszkańców przez cały rok w dolinie warczały buldożery. Zburzono wszystkie domy, wywieziono gruz i zerwano popękane od ognia ulice. Na okolicznych łąkach i wzgórzach zasiano młodą trawą i przywrócono im na pozór naturalny wygląd. Ogień miał płonąć nadal – niektórzy powiadali, że sto albo dwieście lat – dopóki nie wypali całego węgla.

Geologowie, specjaliści od prac górniczych i urzędnicy z Ministerstwa do spraw Zasobów Naturalnych byli zgodni, że pożar z czasem obejmie obszar powyżej tysiąca sześciuset hektarów. To było dużo więcej niż cała powierzchnia miasta. Podejrzewano, że na dawnej szosie do Coal Valley mogą pojawić się zdradliwe dziury i pęknięcia, groźne dla kierowców. Postanowiono więc ją zlikwidować.

Drogi nie było, kiedy Joey wczoraj jechał do Asherville. Teraz czekała. Z mokrego zmięchu prowadziła w nieznaną noc. Droga, którą kiedyś ominął.

Joey znów trzymał butelkę w ręce. Była otwarta, chociaż nie pamiętał, żeby zdjął nakrętkę.

Ciekawe... Gdyby tak wypił resztkę whisky, to może ciemny tunel drzew rozmazałby się, zbladł i zniknął? Może nie warto ludzić się nadzieją, że są ludzie, którym los daje drugą szansę? Kto by tam wierzył w takie odkupienie... Joey był przekonany, że na dziwnej drodze zaznałby tylko więcej smutków i zgryzoty.

Podniósł butelkę do ust.

Grom przetoczył się po zimnym niebie. Ulewa łomotała z taką siłą, że nie słyszał cichego warkotu silnika.

Whisky pachniała słodko jak zbawienie.

Deszcz, deszcz, oberwanie chmury. Burza zmyła ostatnie światło gasnącego dnia.

Joey nie musiał martwić się, że zmoknie, ale przed nocą nie miał ucieczki. Mrok z wolna

sączył się do samochodu... Stary przyjaciel, z którym spędzili razem wiele godzin, gdy ze smutkiem rozmyślał nad przegranym życiem.

Joey i mrok. Dobrana para, niestroniąca od butelki whisky. Potem przychodził sen, który przynosił chociaż chwilowe ukojenie. Joey tępo patrzył przed siebie. W każdej chwili mógł wypić ostatni łyk gorzały i na dobre zapomnieć o złudnej nadziei.

Tajemnicza droga zniknie mu sprzed oczu, a on powróci do pustej egzystencji, otulony w bezpieczną mgielkę otępienia.

Siedział tak bardzo długo. Chciał się napić. Nie pił.

Nie zauważył samochodu, który nadjechał główną szosą. Drgnął dopiero wtedy, gdy światło reflektorów wpadło przez tylną szybę chevroleta. Znalazł się nagle w epicentrum blasku, jakby stanął na drodze wielkiej lokomotywy z ogromnym, świecącym, cyklopowym okiem. Odruchowo spojrział w lusterko i skrzywił się oślepiiony klującą jasnością.

Obcy samochód minął go z warkotem i ostro skręcił w lewo, w drogę do Coal Valley. Spod kół bryznęły strugi brudnej wody. Joey nawet nie zdążył przyjrzeć się kierowcy.

Deszcz niemal natychmiast zmył błoto z szyby chevroleta. Joey zerknął przez okno. Obcy samochód zwolnił. Sądząc po tylnych światłach, przejechał pod drzewami jeszcze ze sto metrów i stanął.

–Nie... – szepnął do siebie Joey.

Czerwone światła stopu jarzyły się na pustej drodze niczym gorejące oczy demona, straszne, lecz pociągające, zdradliwe, ale hipnotyczne.

–Nie.

Joey odwrócił głowę i popatrzył przed siebie, na wtuloną w ciemność drugą szosę – tę, którą wybrał przed dwudziestu laty. Wtedy pojechał źle... A teraz? Przede wszystkim nie wracał do college'u. Miał już czterdzieści lat i zamierzał w porę dotrzeć do Scranton, żeby złapać poranny samolot do Pittsburgha.

Na drodze do Coal Valley ciągle błyszczwały światła. Obcy samochód czekał.

Scranton. Pittsburgh. Vegas. Przyczepa na parkingu. Stłamszone, ale ciche i bezpieczne życie. Żadnej nadziei... i żadnych przykrych niespodzianek.

Czerwone światła stopu. Latarnia morska w czasie sztormu. Joey zakręcił piersiówkę. Nie wypił ani kropli. Włączył reflektory i zwolnił hamulec.

–Jezu, pomóż... – mruknął.

Minął rozjazd i wjechał na drogę do Coal Valley.

Czekający samochód zaraz ruszył. Oddalał się coraz szybciej.

Joey Shannon podążył za widmowym kierowcą, przez kurtynę dzielącą rzeczywistość od marzeń, w stronę miasta, które od dawna nie istniało, na spotkanie z nieznanym i niezrozumiałym losem.

Liście strząsane deszczem i wiatrem gęsto spadały na moką szosę. Uderzały o szybę, przylegając na chwilę i trzepocząc niczym schwytyany nietoperz. A potem znikwały, zgarnięte wycieraczką.

Joey trzymał się jakieś sto metrów za jadącym przed nim samochodem. Był za daleko, żeby rozpoznać markę i model. Powtarzał sobie, że w ten sposób wciąż może zmienić zdanie, wrócić na główną drogę i pojechać do Scranton. Nie chciał pozbawiać się tej szansy poprzez znajomość z przewodnikiem. Im mniej wiedział, tym bardziej czuł się bezpieczny. Instynktownie kilometr za kilometrem coraz bardziej oddalał się od realnego świata, zdążając w głąb nieznannej pustki. Rozjazd już dawno zniknął w mroku nocy.

Niecałe pięć kilometrów dalej ujrzał na poboczu białego dwudrzwiowego plymoutha valianta – samochód, który Joey uwielbiał jako mały chłopiec, ale którego od tamtej pory nie widział już całe lata. Plymouth zapewne musiał być popsuty, bo na szosie płonęły trzy czerwone flary. W ich świetle – jakby za sprawą demonicznego przeistoczenia – krople deszczu zmieniały się w ulewę krwi.

Obcy samochód zwolnił, niemal zatrzymał się obok plymoutha, a potem pojechał dalej.

Na szosę wyszła jakaś postać w czarnym płaszczu z kapturem, z latarką w dłoni. Machała ręką, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę.

Joey spojrzał na umykające światła drugiego samochodu. Lada moment mogły gdzieś zginąć za zakrętem albo wzniesieniem.

Minął plymoutha i odruchowo zerknął na kierowcę. To kobieta, pomyślał. A raczej dziewczyna. Uderzająco ładna. Szesnasto – albo siedemnastolatka.

Jej twarz, do połowy skryta pod kapturem, lecz oświetlona blaskiem trójkąta, w dziwny sposób przypominała mu zatroskane oblicze posągu Najświętszej Marii Panny w kościele Matki Boskiej Bolesnej w Asherville. W karmazynowym świetle migoczących świec zwykle spokojna porcelanowa twarz Dziewicy przybierała czasem właśnie taki zmartwiony i jakby nieobecny wyraz.

Joey jechał powoli. Dziewczyna popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem i w tej samej chwili ujrzał coś strasznego. Wzdrygnął się z przerażenia. Przez ułamek sekundy ujrzał ją bez oczu, pobitą i zakrwawioną. W duchu wiedział, że musi wysiąść i jej pomóc, bo w przeciwnym razie dziewczyna nie dożyje rana, lecz zginie w ciemnościach nocy okrutną i gwałtowną śmiercią.

Zjechał na pobocze przed maską plymoutha i otworzył drzwi. Wciąż był mokry po zimnej kąpieli, której zażył zaledwie dwadzieścia minut temu na ulicy przed biurem Henry'ego Kadinska. Nie zwracał zatem uwagi na ulewę. Chłód nocy nawet w połowie tak mu nie dokuczał

jak lodowaty strach, drzemiący na dnie serca od chwili, gdy dowiedział się o spadku.

Podbiegł kilka kroków. Dziewczyna wyszła mu naprzeciw i spotkali się przed samochodem.

–Dzięki Bogu, że się zatrzymałeś! – zawołała. Deszcz sypał jej z kaptura, tworząc coś w rodzaju przejrzystej woalki.

–Co się stało? – zapytał Joey.

–Po prostu zgasł.

–W czasie jazdy?

–Tak. Ale to nie akumulator.

–Skąd wiesz?

–Elektryka działa.

Z twarzy błyszczącej w czerwonej poświacie spoglądały na Joeya wielkie i ciemne oczy. Krople deszczu jak łzy płynęły jej po policzkach.

–Może prądnicą – powiedział.

–Znasz się na samochodach?

–Trochę.

–Dla mnie to czarna magia – przyznała. – Jestem zupełnie bezradna.

–Tak jak wszyscy – mruknął. Popatrzyła na niego spod oka.

Była młoda, naiwna i jeszcze nieświadoma wszystkich okrucieństw świata. A jednak Joey dostrzegł w jej spojrzeniu o wiele więcej, niżby się spodziewał.

–Pogubiłam się – westchnęła, zapewne w dalszym ciągu mówiąc o samochodach.

Joey otworzył maskę plymoutha.

–Pożyczysz światła?

W pierwszej chwili jakby nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale potem podała mu latarkę.

–Obawiam się, że to nic nie da.

Joey pochylił się. Ulewa tłukła go po plecach. Sprawdzał, czy kopułka rozrządu na pewno tkwi na swoim miejscu, kapturki świec i kable akumulatora.

–Może podwiesz mnie do domu? – zaproponowała dziewczyna. – Rano wrócę tutaj razem z tatą.

–Jeszcze spróbuję go zapalić – odparł Joey i zamknął maskę.

–Nie masz płaszcza ani nawet kurtki – rzekła z troską dziewczyna.

–I co z tego?

–Zaziębisz się na śmierć.

–To tylko woda. Ksiądz polewa nią maleńkie dzieci.

W górze wiatr poruszył gałęziami kalmii i obsypał ich rześnistym gradem zeschniętych liści, które przez chwilę wirowały w locie, aby bez życia spocząć na asfalcie jak symbol utraconych marzeń i nadziei, zalegających w mrocznych zakamarkach serca.

Joey otworzył drzwi samochodu, usiadł za kierownicą i położył latarkę na sąsiednim fotelu. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Włączył starter, ale silnik nawet nie zaskoczył. Zapalił reflektory, które od razu pojaśniały pełnym blaskiem.

W jaskrawym kręgu zobaczył stojącą na jezdni dziewczynę. Już nie miała na sobie czerwonej poświaty. Czarny płaszcz ciężko zwisał jej z ramion. Twarz i dłonie na wpół ukryte w fałdach materiału wydawały mu się nienaturalnie białe.

Przyglądał jej się przez kilka sekund. Był ciekaw, co go tu przywiodło i jak dla nich obojga skończy się ta noc pełna dziwów. Potem wyłączył reflektory.

Dziewczyna znowu stała w pelgającym świetle flary, w strumieniach czerwonego deszczu.

Joey pochylił się nad fotelem pasażera, zablokował drzwi i wysiadł, zabierając z sobą latarkę i kluczyki.

**–Nie mam pojęcia, co mu dolega – mruknął. Trzasnął drzwiami i przekręcił kluczyk w zamku.
– Dobra, podwiozę cię. Dokąd jedziemy?**

–Do Coal Valley. Właśnie wracałam do domu, kiedy to się stało.

–Tam nikt nie mieszka.

–Prawie – odpowiedziała. – Łącznie z nami zostały trzy rodziny. Prawdziwe miasto duchów.

Joey był mokry i zziębnięty niemal do szpiku kości. Marzył jedynie o tym, żeby jak najszybciej wsiąść do własnego samochodu i włączyć ogrzewanie na pełny regulator. Ale kiedy znowu spojrzął w ciemne oczy dziewczyny, zrozumiał nagle, że to właśnie dla niej zjawił się z powrotem na drodze do Coal Valley. Powinien to zrobić dwadzieścia lat temu. Zamiast więc

poszukać schronienia w chevrolecie, zawahał się, bo nie wiedział, czy nie popełni błędu. Na dobrą sprawę wszystko, co by teraz zrobił – nawet gdyby odwiózł ją do domu – mogło się na koniec obrócić przeciw niemu. Straciłby ostatnią szansę na zbawienie.

–Co się stało? – spytała.

Joey patrzył na nią jak zauroczony i rozmyślał o skutkach podjętej decyzji. Dziewczynę peszyło jego pozbawione wyrazu spojrzenie. On też czuł się speszony, tyle że swoimi myślami.

–Pokaż ręce – polecił nagle, bez zastanowienia... i zdziwił się, że to powiedział.

–Ręce?

–Pokaż ręce.

Wiatr wśród gałęzi śpiewał pieśń weselną, a noc stała się kaplicą tylko dla nich dwojga.

Dziewczyna ze zdumioną miną wyciągnęła przed siebie delikatne dłonie.

–Odwróć je – powiedział Joey.

Zrobiła, o co prosił, i w tej samej chwili jeszcze bardziej stała się podobna do Matki Boskiej, która chciałaby przygarnąć wiernych do swojego łona i w ten sposób dać im wieczne ukojenie.

Ale w mroku nie widział dobrze jej dłoni.

Drżącą ręką uniósł latarkę.

Z początku wyglądały na całkiem nietknięte. Potem wśród kropel deszczu zobaczył małe sińce.

Joey wstrzymał oddech i zamknął oczy. Gdy spojrział znowu, siniaki były już ciemniejsze.

–Po co mnie straszysz? – spytała dziewczyna.

–Bo sam się boję.

–Dziwnie się dzisiaj zachowujesz.

–Popatrz na swoje dłonie – odparł. Spojrzała w dół.

–Co widzisz? – zapytał.

–To co zwykle. Dłonie.

Wicher zawodził w górze głosem milionów ofiar. Burzliwa noc rozbrzmiewała wołaniem o

litość.

Joey zapewne trząsłby się jak w febrze, gdyby nie to, że zmarł z obłądnego strachu.

–Nie widzisz sińców?

–Jakich sińców?

Uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

–Nie widzisz? – spytał.

–Nie.

–Nic nie czujesz?

Prawdę mówiąc, sińce zmieniły się w otwarte rany. Krew popłynęła po bladej skórze.

–Widzę... – wyjąkał Joey półżywy z przerażenia. – Widzę coś... co dopiero będzie.

–Po co mnie straszysz? – powtórzyła.

Wcale nie była martwą blondynką, owiniętą w zakrwawiony całun. Pod kapturem zobaczył kosmyki czarnych włosów.

–Ale możesz skończyć tak samo jak ona – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

–Kto?

–Nie znam jej. Wiem jednak, że nie była po prostu złudzeniem. Na pewno. To nie delirka, tylko coś więcej. Coś... zupełnie innego, tylko...

Krwawe stygmaty powiększały się z minuty na minutę, ale dziewczyna wciąż ich nie widziała ani nie czuła bólu.

Joey nagle zrozumiał, że ta ponura wizja jest ostrzeżeniem przed nadciągającą groźbą. Nad dziewczyną ciążyło jakieś mroczne fatum, które spłoszył, skręcając na drogę do Coal Valley. Teraz z wolna wracało. Nie powinni dłużej zostawać na szosie.

–Chyba zawrócił – szepnął.

Dziewczyna zacisnęła dłonie, jakby zawstydzona jego natarczywym spojrzeniem.

–Kto?

–Nie wiem – odparł i wbił wzrok gdzieś daleko, tam gdzie zalana deszczem czarna

dwupasmowa szosa ginęła w ciemnościach.

–Ten facet w tamtym samochodzie? – zapytała dziewczyna.

–Tak. Widziałaś go?

–Nie. Wiem tylko, że to facet. Zauważyłam rozmazaną postać, niewiele jaśniejszą od cienia. To bardzo ważne?

–Nie jestem pewien. – Wziął ją pod ramię. – Chodź. Lepiej się stąd wynosić.

Szybkim krokiem podeszli do chevroleta.

–Jesteś zupełnie inny, niż myślałam – powiedziała dziewczyna.

Joey zdziwił się, kiedy to usłyszał. Zanim jednak zdążył o coś spytać, zobaczył w mroku swój samochód i stanął jak wryty, nie wierząc własnym oczom. Słowa zamarły mu na ustach.

–Joey? – usłyszał.

Chevrolet zniknął. Na jego miejscu stał ford. Mustang, rocznik 1965. Jego mustang. Ten sam stary gruchot, którego kiedyś wspólnie z ojcem doprowadzili do porządku. Granatowy, z białymi oponami.

–Co się stało? – spytała dziewczyna.

Tamtej nocy jechał mustangiem. Przed dwudziestu laty rozwalił go na autostradzie w zderzeniu z drogowskazem.

Lecz ten samochód był nietknięty. Nawet boczna szyba, którą wtedy stłukł głową, nie miała żadnych pęknięć, rys ani zadrapań. Krótko mówiąc, mustang wyglądał kwitnąco jak zawsze.

Wiatr zaskowyczał glucho, jakby noc także oszalała. Deszcz chlastał srebrnym biczem zmaltretowaną szosę.

–Gdzie Chevrolet? – rozdygotanym głosem spytał Joey.

–Co?

–Chevrolet – powtórzył głośniejsz, żeby przekrzyczeć szum ulewy.

–Jaki Chevrolet?

–Z wypożyczalni. Ten, którym tu przyjechałem.

–Ale... przyjechałeś tym – odparła. Popatrzył na nią z osłupieniem.

Tak jak przedtem w oczach dziewczyny dostrzegł cień tajemnicy, ale nie sądził, żeby chciała go okłamać. To nie miało najmniejszego sensu.

Puścił jej rękę i powoli przeszedł wzdłuż mustanga, wodząc dłonią po tylnym błotniku, drzwiach i masce. Czuł pod palcami chłodny, śliski dotyk mokrego metalu. Samochód był tak prawdziwy jak ziemia, po której teraz stąpał... Tak realny jak serce, które mu łomotało w piersiach.

Dwadzieścia lat temu, zaraz po wypadku, zdołał pojechać dalej pokiereszowanym wozem. Dotarł nim do college'u. Jeszcze do dziś pamiętał chroboty i zgrzyty towarzyszące mu przez całą drogę aż do Shippensburga. Tak waliło się w gruzy jego młode życie.

Pamiętał krew.

Ostrożnie otworzył drzwi po stronie kierowcy. Błysnęło światło. Zrobiło się wystarczająco jasno, aby zauważył, że na fotelu nie ma żadnych rdzawych śladów. Rana na czole krwawiła mu jak diabli; w szpitalu musieli ją zszywać. Zanim dojechał na ostry dyżur, siedzenie było całe pochłapane. Zdziwiony spojrział na czystą tapicerkę.

Dziewczyna przeszła z drugiej strony, wsiadła do samochodu i trzasnęła drzwiami.

Noc nagle zrobiła się przeraźliwie pusta i pozbawiona życia jak zapomniana krypta faraona, zakopana w piaskach Egiptu. Cały świat umarł i tylko Joey Shannon został, aby posłuchać groźnego ryku burzy.

Bał się usiąść za kierownicą. To wszystko było zbyt niesamowite. Miał wrażenie, że wkroczył w ostatnią fazę delirium – chociaż wiedział, że przecież jest zupełnie trzeźwy.

Potem przypomniał sobie rany na szczupłych dłoniach dziewczyny. Nieznana groźba skryta w mroku rosła z każdą mijającą chwilą. Joey nie czekał dłużej. Wsiadł do samochodu, zamknął drzwi i oddał dziewczynie latarkę.

–Zimno mi. Włącz ogrzewanie.

Sam nawet nie pomyślał o tym, że jest zziębnięty i przemoczony. Przez moment siedział otępiały, nie wiedząc, co się wokół dzieje. Dostrzegał jedynie kształty, barwy, czuł zapach wielkiej tajemnicy, której na imię było mustang.

W stacyjce tkwiły kluczyki.

Uruchomił silnik. Rozległ się równy, monotony warkot, tak mu dobrze znany jak tembr własnego głosu. Silny i upojny dźwięk miał w sobie nostalgiczną siłę, która podniosła go na duchu. Pomimo trupów i upiorów, pomimo strachu, który mu dokuczał przez cały pobyt w Asherville, poczuł się dziwnie podniecony.

Jakby mu nagle ubyło lat. Odeszły wszystkie złe wspomnienia. Przez krótką chwilę patrzył w przyszłość z ufnością siedemnastolatka.

Dziewczyna pokręciła jakimś wyłącznikiem. Owionął ich ciepły nawiew.

Joey zwolnił hamulec ręczny i wcisnął sprzęgło, lecz zanim ruszył, spojrzał na nią i powiedział:

–Pokaż ręce.

Zrobiła to ze zrozumiałym ociąganiem, wyraźnie zaniepokojona jego prośbą.

Na jej dłoniach wciąż były rany, które jednak tylko on widział. Wyglądały jednak na mniejsze. Krew przestawała płynąć.

–Dobrze robimy, że stąd odjeżdżamy – rzekł Joey, zdając sobie sprawę, że dziewczyna praktycznie nic z tego nie rozumie.

Włączył wycieraczki i ruszył ciemną szosą w kierunku Coal Valley. Mustang sunął gładko, tak jak to pamiętał, toteż jego podniecenie narastało.

Przez jakieś dwie minuty, niczym nastolatek, Joey cieszył się tylko tym, że jada. On i mustang. Chłopak i jego wóz. Połączeni miłością do włączęgi.

Potem przypomniał sobie okrzyk dziewczyny tuż przedtem, zanim zobaczył samochód. Nazwała go po imieniu. Był pewny, że wcale jej się nie przedstawiał.

–Włączymy radio? – zapytała lekko drżącym głosem, jakby panująca cisza denerwowała ją o wiele bardziej, niż wszystko to, co Joey przedtem zrobił lub powiedział.

Gdy pochyliła się, przelotnie rzucił na nią okiem. Zdjęła kaptur. Miała włosy gęste i błyszczące, ciemniejsze od mroku nocy.

Jeszcze mówiła coś dziwnego... O, już pamiętał. „Jesteś zupełnie inny, niż myślałam”. A przedtem: „Dziwnie się dzisiaj zachowujesz”.

Dziewczyna pokręciła galką radia, aż znalazła odpowiednią stację. Bruce Springsteen śpiewał *Thunder Road*.

–Jak się nazywasz?

–Celeste. Celeste Baker.

–Skąd wiesz, jak mam na imię?

Drgnęła i przelotnie zerknęła na niego, spłoszona tym pytaniem. Mimo półmroku,

rozjaśnianego tylko światelkami na desce rozdzielczej, zauważył, że poczerwieniała.

–Nigdy nie zwracałeś na mnie najmniejszej uwagi. Joey zmarszczył brwi.

–Nie zwracałem?

–W liceum byłeś o dwie klasy wyżej.

Na nieco dłużej niż powinien oderwał wzrok od niebezpiecznie śliskiej szosy i popatrzył na nią ze zdumieniem.

–O czym ty mówisz?

Celeste uparcie wpatrywała się w świecące radio.

–Ja byłam dopiero w drugiej klasie, a ty już w maturalnej. Bardzo mi się podobałeś. Wpadłam w rozpacz, kiedy skończyłeś szkołę i wyjechałeś do college’u.

Joey zmusił się, żeby z powrotem spojrzeć na drogę.

W tym miejscu był szeroki zakręt, omijający zamkniętą kopalnię. Zardzewiała wieża majaczyła w mroku niczym połamany szkielet przedpotopowej bestii. Górnicy od pokoleń kopali tutaj węgiel. Teraz jedni umarli, a drudzy odeszli. Joey zwolnił z osiemdziesięciu do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W obecnym stanie ducha – po tym, co usłyszał – wołał nie ryzykować szybszej jazdy na wirażu.

–Nigdy z tobą nie rozmawiałam – ciągnęła Celeste. – Nie miałam odwagi. Po prostu... wiesz... Obserwowałam cię z daleka. Boże... Jakie to głupie. – Popatrzyła na niego spod oka, żeby sprawdzić, czy się z niej nie śmieje.

–To nie ma najmniejszego sensu – powiedział Joey.

–Słucham?

–Ile masz lat? Szesnaście?

–Siedemnaście, prawie osiemnaście. A moim ojcem jest Carl Baker. No wiesz... Dyrektor szkoły. Przez to każdy od razu patrzy podejrzliwie i boję się zagadać do chłopaka, choćby nawet... choćby nawet był dużo brzydszy od ciebie.

Joey poczuł się jak zamknięty w sali krzywych luster, w której wszystko – łącznie z rozmową – zmieniało swoje kształty w rozmazaną plamę.

–Można się śmiać?

–Śmiać?

Przyhamował do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jechał coraz wolniej, aż w pewnym momencie przestał dotrzymywać tempa szerokiej strudze wody, kotłującej się w rowie po prawej stronie szosy. Wzburzona kipiela srebrzyście migotała w światłach reflektorów.

–Celeste... Jestem po czterdziestce. Jak mogłem być w liceum dwa lata starszy od ciebie?

Przez chwilę strach walczył w niej ze zdumieniem, aby w końcu dać upust złości.

–Po co to robisz? Chcesz mnie nastraszyć?

–Nie, posłuchaj...

–Tyle czasu siedzisz w college’u i wciąż jesteś tak dziecinny? Może to nawet lepiej, że nigdy przedtem z tobą nie rozmawiałam!

W jej oczach błyszczały łzy.

Skonsternowany Joey usiłował skupić się na prowadzeniu. W radiu dobiegła końca piosenka Springsteena. Spiker powiedział:

–Słuchaliście *Thunder Road* z najnowszego albumu Bruce’a Springsteena, zatytułowanego *Born to Run*.

–Najnowszego? – zapytał Joey. Spiker trajkotał dalej:

–Prawdziwy przebój. Mówię wam, ten facet ma przed sobą przyszłość.

–To wcale nie jest nowa płyta – powiedział Joey. Celeste ocierała oczy papierową chusteczką.

–W nagrodę jeszcze jeden utwór Bossa – oznajmił spiker. – *She’s the One*, z tej samej płyty.

Z głośników buchnął pełen pasji, dźwięczny i radosny rock w czystej postaci. *She’s the One* brzmiała równie świeżo jak wtedy, kiedy Joey słyszał ją po raz pierwszy – przed dwudziestu laty.

–O czym on gada? – spytał. – *Born to Run* nagrano dwadzieścia lat temu.

–Prześnij – powiedziała Celeste na poły rozgniewanym, na poły zbolalym głosem. – Po prostu prześnij, dobrze?

–Bez przerwy to nadawali. Boss dokopał dosłownie wszystkim. Prawdziwy czad. *Born to Run*.

–Uspokój się! – zawołała. – Wcale się nie boję! Nie zmusisz do płaczu nadętej córeczki dyrektora!

Z trudem powstrzymywała łzy. Mocno zaciskała zęby. Jej usta tworzyły prostą cienką linię.

- *Bom to Run* powstało dwadzieścia lat temu – upierał się Joey.

-Świrus.

-Dwadzieścia lat temu.

Celeste przesunęła się aż do samych drzwi, żeby być od niego możliwie najdalej. Springsteen śpiewał. Joey bił się z myślami.

Na wszystko znajdował dziesiątki odpowiedzi. Żadnej z nich nie traktował serio z powodu strachu przed rozczarowaniem, gdyby się pomylił.

Wjechali w wąską przełęcz wyłobioną w górach. Z obu stron otaczały ich zębate skały, wysokie na dwanaście metrów. Nic nie było widać z wyjątkiem skrawka szosy przed i za samochodem.

Strugi lodowatego deszczu niczym grad kul łomotały w boki i dach mustanga.

Wycieraczki stukwały jednostajnym rytmem – puk-puk, puk-puk – jakby samochód stał się wielkim sercem pompującym czas i ludzką dolę zamiast krwi.

W końcu Joey odważył się spojrzeć w lusterko.

Niewiele widział w słabym świetle lampek i wskaźników... ale to, co zobaczył, nappełniło go szczęściem, zdumieniem, niewiarą, dzikim zachwytem i śmiertelnym strachem – choć prawie się pogodził z innymi dziwactwami tej drogi i nocy. Przede wszystkim oczy: były czyste i białe, a nie jak przedtem zaspane i mocno przekrwione po dwudziestu latach pijaństwa. Czoło gładkie, bez zmarszczek, nietknięte zmartwieniem, goryczą lub pogardą dla własnej słabości...

Wdusił pedał hamulca. Rozległ się pisk opon i samochód zatańczył na mokrej szosie.

Celeste z krzykiem wyciągnęła ręce przed siebie, żeby nie polecieć na deskę rozdzielczą. Na pewno spadłaby z fotela, gdyby jechali nieco szybciej.

Mustang poślizgiem minął podwójną żółtą linię, wjechał na drugi pas i pędził wprost na skałę. Potem jednak wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni, wrócił na prawy pas i stanął tyłem do kierunku jazdy.

Joey chwycił lusterko i przekręcił je, żeby spojrzeć na swoje gęste włosy. Jeszcze raz oczy. W lewo... w prawo...

-Co ty wyprawiasz? – zawołała Celeste.

Dłoń drżała mu jak w febrze, ale jakoś zapalił światło.

–Joey, opanuj się! Zaraz ktoś na nas wpadnie! – krzyczała, chociaż w pobliżu nie było żadnego innego samochodu.

Joey przybliżył twarz do lusterka i kręcił głową na wszystkie strony, chcąc jak najwięcej zobaczyć w małym prostokącie.

–Joey! Na litość boską! Nie możemy tu siedzieć!

–Boże, Boże, Boże...

–Zwariowałeś?

–Zwariowałem? – spytało jego młode odbicie.

–Zabierz nas stąd!

–Który rok teraz mamy?

–Skończ już z tym, idioto.

–Który rok?

–To wcale nie jest śmieszne.

–Który rok?! – krzyknął. Celeste położyła rękę na klamce.

–Nie – zawołał szybko. – Zaczekaj. Masz rację. Już, już... Odjedźmy stąd kawalek.

Zawrócił mustanga w stronę Coal Valley i zjechał na pobocze. Potem błagalnym wzrokiem spojrzał na dziewczynę.

–Celeste... Tylko się na mnie nie gniewaj. Nie bój się... Trochę cierpliwości... Proszę cię, powiedz mi, który rok jest teraz. Proszę. Proszę... Chcę na własne uszy usłyszeć, że to prawda. Powiedz mi, a wtedy wszystko ci wyjaśnię... Przynajmniej tyle, ile zdołam.

Szkolna miłość była silniejsza od strachu i złości. Celeste popatrzyła na niego łagodniej.

–Który rok mamy? – powtórzył.

–Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty – odparła.

W radiu zabrzmiały ostatnie triumfalne takty *She 's the One*.

Nastąpiła przerwa na reklamy. Wydarzeniem był nowy film z Alem Pacino, *Pieskie popołudnie*.

Latem najwięcej widzów zebrały *Szczęki*. Steven Spielberg stanął u progu wielkiej kariery.

Wiosną Amerykanie przegrali w Wietnamie.

Rok wcześniej Nixon odszedł z urzędu.

W Białym Domu zasiadał sympatyczny Gerald Ford, dozorca skacowanego kraju. We wrześniu cudem wyszedł cało z dwóch zamachów na swoje życie. Lynnette Fromme strzeliła do niego w Sacramento. Sara Jane Moore to samo zrobiła w San Francisco.

Elizabeth Seton stała się pierwszą Amerykanką kanonizowaną przez Kościół rzymskokatolicki.

Cincinnati Reds w siedmiu meczach wygrali World Séries.

Jimmy Hoffa zniknął.

Muhammad Ali był mistrzem świata wagi ciężkiej. Doctorow napisał *Ragtime*. Judith Rossner – *Szukając pana Goodbara*.

Disco. Donna Summer. Bee Gees.

Joey wciąż miał na sobie mokre łachy, ale dopiero teraz zauważył, że już nie siedzi w garniturze, w którym się wybrał na pogrzeb ojca i w którym uciekł z biura Henry'ego Kadinska. Nosił dżinsy, wysokie buty, flanelową koszulę od Huntera i niebieską dżinsową kurtkę na baranku.

–Mam dwadzieścia lat – szepnął uroczyście, w ten sam sposób, w jaki kiedyś zwracał się do Boga w cichej nawie kościoła.

Celeste wyciągnęła rękę i dotknęła jego zimnego policzka. Miała ciepłą i drżącą dłoń, ale na pewno się go nie bała. Teraz, kiedy był młody, dużo lepiej wiedział, co działo się w jej sercu.

–Na pewno nie czterdzieści – powiedziała.

Z radia dochodził głos Lindy Ronstadt śpiewającej tytułową piosenkę z nowego albumu *Heart Like a Wheel*.

–Dwadzieścia lat – powtórzył Joey i z zamglonym wzrokiem podziękował w duchu tajemniczej mocy, która wciągnęła go w ów czas i miejsce i dokonała transformacji.

To już nie była „druga szansa”, ale zupełnie nowe życie.

–Teraz nie wolno mi popełnić błędu – powiedział na głos. – Lecz co mam zrobić?

A deszcz bębnił, bębnił, bębnił w dach samochodu, niczym werble na Sąd Ostateczny.

Joey siedział bez ruchu. Celeste musnęła palcami jego policzek i odgarnęła mu mokry kosmyk włosów z czoła.

–Twoja kolej – szepnęła.

–Słucham?

–Odpowiedziałam na twoje pytanie. Obiecałeś mi coś wyjaśnić.

–Jak mam zacząć? Co zrobić... żebyś uwierzyła?

–Już ci wierzę – odparła cicho.

–Jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości. Bez względu na to, po co tu przyszedłem i co się jeszcze zaraz może zmienić, ty jesteś osią tych wydarzeń. Wokół ciebie wszystko się kręci. Ty dajesz mi nadzieję na nową, lepszą przyszłość – pod warunkiem że będziemy razem...

Szybko cofnęła rękę, zanim skończył mówić, i przycisnęła ją do swojej piersi.

Przez chwilę wyglądała tak, jakby zabrakło jej oddechu. Potem westchnęła głośno i powiedziała:

–Z minuty na minutę robisz się dziwniejszy. Jest w tym coś... co mi się podoba.

–Pokaż mi rękę.

Odjęła prawą dłoń od serca i wyciągnęła ją w jego stronę. Mimo zapalonego światła w samochodzie było za ciemno, żeby dobrze przyjrzeć się stygmatom.

–Daj latarkę – powiedział Joey. Celeste spełniła jego prośbę.

Teraz widział o wiele lepiej. Obejrzał obie dłonie dziewczyny. Poprzednio rany z wolna zanikały, ale w tej chwili były znów głębokie i krwawiące.

Celeste musiała zauważyć jego zatroskaną minę, bo spytała:

–Zobaczyłeś coś?

–Rany po gwoździach.

–Nieprawda.

–Krwawią.

–Nic tam nie ma!

–Musisz mi uwierzyć.

Delikatnie dotknął jej dłoni, a potem uniósł rękę. Na jego palcu czerwieniły się kropelki krwi.

–Widzę ją. Czuję... – szepnął. – To straszne... Zupełnie jak prawdziwa.

Uniósł wzrok i zobaczył, że Celeste z przerażeniem patrzy na jego zakrwawiony palec. Ze zdziwienia aż otworzyła usta.

–Skaleczyłeś się...

–Widzisz krew?

–Na twoim palcu – przytaknęła lekko drżącym głosem.

–A na swojej dłoni? Pokręciła głową.

–Nic nie ma.

Drugim palcem dotknął plamy krwi na jej ręku.

–Widzę – nerwowo powiedziała Celeste. – Na dwóch palcach. Przeistoczenie. Jakimś cudem poprzez dotknięcie prorocza wizja krwi zmieniała się w prawdziwą krew.

Celeste potarła palcem lewej ręki środek prawej dłoni. Nic. Ani kropli.

W radiu Jim Croce – jeszcze nie zginął w katastrofie lotniczej – śpiewał *Time in a Bottle*.

–Sama nie widzisz własnej przyszłości... – z namysłem powiedział Joey. – Na dobrą sprawę nikt z nas tego nie potrafi. A z drugiej strony... dzięki mnie... mojemu dotykowi... Sam nie wiem... Dostałaś znak...

Ostrożnie przytknął trzeci palec do krwawiącej rany.

–Znak – powtórzyła Celeste, chociaż w dalszym ciągu nie całkiem rozumiała, co się w ogóle dzieje.

–Musisz mi uwierzyć – powiedział Joey. – Ten znak ma cię przekonać. Jeżeli nie uwierzysz, nie będę mógł ci pomóc. A od ciebie zależy, czy pomogę sobie.

–Dotyk... – szepnęła, biorąc jego lewą dłoń w obie ręce. – Dotyk. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Joey... Co się ze mną stanie?... Co się miało stać, gdybyś nie nadjechał?

–Gwałt – odparł z pełnym przekonaniem, choć nie wiedział, skąd mu to nagle przyszło do głowy. – Gwałt. Pobicie. Tortury. Śmierć.

–Ten facet w drugim samochodzie... – powiedziała, patrząc na ciemną szosę. Zimny dreszcz wstrząsnął jej całym ciałem.

–Chyba tak – zgodził się Joey. – Myślę... że zrobił to już przedtem. Blondynka zawinięta w folię.

–Boję się.

–Jeszcze żyjemy.

–Nie wyjaśniłeś mi wszystkiego. W zasadzie nic nie powiedziałeś. O co chodzi z tym chevroletem?... Z tym, że jesteś już po czterdziestce?

Cofnęła ręce, pozostawiając krwawe smugi na jego dłoni. Joey wytarł krew o dżinsy i poświecił latarką.

–Rany są coraz gorsze. Twój los albo przeznaczenie – wszystko jedno, jak to teraz nazwać – znów się zbliża...

–Wraca?

–Nie wiem. Być może... Ale gdy jedziemy, rany zaczynają znikać. Wtedy jesteś trochę bezpieczniejsza. Jeśli będziemy w ciągłym ruchu, mamy jakąś szansę.

Zgasił latarkę, oddał ją dziewczynie i zwolnił hamulec ręczny. Ruszyli w stronę Coal Valley.

–Musimy ciągle jechać za nim? – zapytała Celeste. – Nie lepiej wrócić na główną szosę i skręcić do Asherville? Albo gdzie indziej, byle dalej.

–Nie. To byłby nasz definitywny koniec. Nie możemy uciekać. Gdybym popełnił ten sam błąd co kiedyś i pojechał niewłaściwą drogą... spotkałaby nas kara niebios.

–To może wezwać kogoś na pomoc?

–Kto nam uwierzy?

–No... jak zobaczą moje ręce... krew na twoich palcach...

–Wątpię. Zostaliśmy sami. My kontra cała reszta.

–Cała reszta? – powtórzyła z nutą ciekawości w głosie.

–Tamten zbrodniarz... i to, co cię mogło spotkać, gdybym minął zakręt do Coal Valley. Tak było poprzednim razem. Teraz musimy walczyć z czasem i przyszłością. Wszystko się na nas wali jak lawina...

–Co zrobimy?

–Nre wiem. Znajdziemy go? Musimy dopasować się do sytuacji... i nie popełniać żadnych błędów. Minuta po minucie, godzina po godzinie...

–Ile to potrwa, zanim... zanim te wszystkie zmiany się utrwalą?

–Nie mam pojęcia. Może do rana? Tamten wypadek zdarzył się w nocy. Może wystarczy, że będziemy razem aż do świtu i reszta jakoś sama się ułoży. Ważne, żebyś żyła.

Na zakręcie wjechali w kolejną kałużę. Spod kół trysnęły w górę bryzgi białej wody na kształt skrzydeł anioła.

–Co to za „tamta” noc, o której wciąż wspominasz? – zapytała Celeste.

Oburącz trzymała zgaszoną latarkę, jakby w obawie, że z ciemności wyskoczy potwór, którego da się przestraszyć i odpędzić tylko błyskiem światła.

Jechali mroczną górską nocą w stronę niemal opustoszałego Coal Valley. Joey Shannon powoli zaczął mówić:

–Dziś rano obudziłem się jako czterdziestoletni pijak z chorą wątrobą i bez najmniejszych widoków na przyszłość. Po południu stanąłem nad grobem ojca. Wiedziałem, że go zawiodłem. Strasznie skrzywdziłem własną matkę...

Celeste słuchała go jak urzeczona, wierząc w każde słowo, bo chwilę temu przekonała się na własne oczy, że świat ma jeszcze jeden wymiar, którego nie da się zobaczyć ani dotknąć.

W radiu poszły kolejno: *One of These Nights* Eagles i *Pick Up the Pieces* w wykonaniu Average White Band. Linda Ronstadt zaśpiewała *When Will I Be Loved*, a Springsteen *Rosalitę*. Potem jeszcze Doobie Brothers i *Black Water* - same nowości z list przebojów, chociaż Joey od lat ich słuchał w najdziwniejszych miejscach.

Zanim w swoich wspomnieniach doszedł do momentu, gdy zobaczył na drodze zepsutego plymoutha, wjechali na szczyt góry, z której ciągnął się długi zjazd aż do Coal Valley. Joey wrzucił luz i powoli zjechał na pobocze, pod kępę bujnych kalmii, chociaż wiedział, że nie powinni kusić licha i pozostawać dłużej w jednym miejscu. Śmierć Celeste na dobre przekreślała jego szanse na powrót do normalnego życia.

Coal Valley bardziej przypominało wieś niż miasto. Nawet przed pożarem, który żarłocznie trawił labirynt korytarzy zamkniętej kopalni, mieszkało tu nie więcej niż pięćset osób. W dolinie stały liche baraki o dachach krytych papą. Latem na podwórkach rosły peonie i borówki, zimą zaś wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu. Wiosną budziły się derenie o różowych, białych i czerwonych kwiatach. A poza tym? Mała filia banku First National. Remiza ochotniczej straży pożarnej z jednym beczkowozem. Gospoda Polańskiego, w której rzadko podawano wyszukane drinki, a o wiele częściej piwo albo piwo z whisky. Na barze zawsze stały marynowane jajka i gorące kielbasy z rosolem na ostro. Supermarket, stacja benzynowa, niewielka szkoła.

Osada była wprawdzie za mała, żeby dorobić się latarni, lecz przed decyzją o rozbiórce i wypłatą pierwszych rekompensat w nocy świeciła ciepłym blaskiem na tle czarnych zębatych szczytów. Teraz wszystkie zakłady, sklepy i warsztaty uległy likwidacji. Zapanowała ciemność. Zgasła lampa boża na dzwonnicy. Widać było jedynie światła w trzech domach – ale i one miały odejść w pustkę niepamięci jeszcze przed najbliższym Świętem Dziękczynienia.

Po drugiej stronie miasta jaśniała pomarańczowa luna. To właśnie tam pożar wędrujący podziemnym tunelem niebezpiecznie zbliżył się ku powierzchni i spowodował nagle osiadanie gruntu. Tam można było spojrzeć na gorejące piekło, w innych miejscach ukryte pod fundamentami opustoszałych domów i popękaną od żaru nawierzchnią ulicy.

–On tam jest? – zapytała Celeste, jakby Joey potrafił w czarodziejski sposób na odległość wyczuć nieznanego wroga.

Ale Joey nie był jasnowidzem. Nie umiał kontrolować swoich wizji. Były przypadkowe i zbyt enigmatyczne, żeby skorzystać z nich jak z mapy i szybko dotrzeć do mordercy. Poza tym w duchu podejrzewał, że tylko po to dostał drugą szansę, aby na własną rękę wygrać bądź przegrać. Musiał polegać na swoim doświadczeniu, odwadze i ocenie sytuacji. Coal Valley było jego poligonem. Anioł Stróż nie zamierzał szeptać mu rad do ucha ani osłonić go przed ostrzem noża błyskającym w mroku.

–Mógł przejechać przez miasto bez zatrzymywania – zamruczał w odpowiedzi na pytanie dziewczyny. – Najpierw do Black Hollow, a potem do autostrady. Tędy zawsze jeździłem do college’u. Ale... myślę, że gdzieś tam czeka. Przyczaił się.

–Na nas?

–Najpierw zatrzymał się tuż za zakrętem do Coal Valley. Po prostu stanął, jakby był ciekaw, czy rzeczywiście za nim pojedę.

–Niby dlaczego?

Joey miał dziwne wrażenie, że zna odpowiedź. Wyczuwał, że stłumiona i drapieżna wiedza pływa jak rekin w czarnym morzu jego podświadomości. Nie mógł jednak wydobyć jej na zewnątrz. Pozostawała w mrocznej głębinie, gotowa skoczyć, kiedy najmniej tego będzie się spodziewał.

–Prędzej czy później się dowiemy.

Czuł w kościach, że ta konfrontacja jest nieunikniona. Wpadli w czarną dziurę, w której zabójcza grawitacja powoli, lecz bezwzględnie ciągnęła ich w stronę prawdy.

Łuna nad otwartym rowem po drugiej stronie Coal Valley jaśniała mocniej niż zazwyczaj. Spod ziemi, na kształt mrowia świetlików, buchały kłęby białych i czerwonych iskiei. Strzelały w niebo z taką siłą, że wzlatywały na trzydzieści metrów, zanim zgasła je ulewa.

Joey poczuł mrowienie w brzuchu. Bał się, że za chwilę ulegnie słabości, więc szybko zgasił światło w samochodzie i wyjechał z powrotem na drogę, kierując się w stronę bezludnego osiedla.

–Pojedziemy prosto do mojego domu – oznajmiła Celeste.

–Nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

–Dlaczego nie?

–Tak mi się zdaje.

–Z rodzicami będziemy bezpieczni.

–To nie tylko sprawa bezpieczeństwa.

–A czego?

–Musisz żyć.

–Na jedno wychodzi.

–Trzeba go dopaść.

–Kogo? Zabójcę?

–Tak. Posłuchaj, przecież to logiczne. Jak mam z siebie zrzucić brzemię dawnych win, jeśli z rozmysłem odwrócę się od zbrodni? Owszem, uratowałem cię. Przynajmniej na razie. Ale to dopiero połowa zadania. Muszę go powstrzymać!

–Znowu za dużo w tym mistycyzmu. A kiedy wezwiesz egzorcystę i zaczniesz chlapać święconą wodą?

–Wiem, że jest tak, jak mówię. Nic na to nie poradzę.

–To teraz ja ci coś powiem, Joey. Tata ma gabinet myśliwski pełen różnej broni. Strzelby i sztucery... Tego nam właśnie trzeba.

–A co będzie, jeśli on pójdzie za nami? Chcesz narażać rodziców? Nie lepiej, żeby sobie dalej najspokojniej żyli i nigdy go nie spotkali?

–Kurna... Czyste wariactwo. – Westchnęła. – Możesz mi nie wierzyć, lecz nie mówię „kurna” zbyt często lub z upodobaniem.

–Córeczka dyrektora – mruknął.

–Właśnie.

–A przy okazji... To, co przedtem o sobie powiedziałaś, to nieprawda.

–Kiedy?

–Wcale nie jesteś nadęta.

–Być może.

–Jesteś piękna.

–Prawdziwa Olivia Newton-John – odparła urągliwym tonem.

–I masz naprawdę dobre serce. Za dobre, żebyś chciała zmienić los i własną przyszłość kosztem życia rodziców.

Celeste milczała chwilę w szumie uświęcającego deszczu.

–Boże, nie... – powiedziała w końcu. – Wcale tego nie chcę. Ale przecież wystarczy kilka minut, żebyśmy wpadli do domu po broń i naboje...

–Wszystko to, co dziś postanowimy lub zrobimy, będzie miało poważne konsekwencje. Tak zresztą dzieje się za każdym razem, nie tylko tej okropnej nocy. Kiedyś zupełnie o tym zapomniałem... i zapłaciłem straszną cenę. Zawsze musimy brać pod uwagę moralne skutki naszych czynów. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek.

Dojechali do końca wzniesienia i znaleźli się na obrzeżach miasta.

–Więc co zrobimy? – spytała Celeste. – Aż do upadłego będziemy jeździć w kółko, czekając na lawinę, o której mówileś?

–Zagramy tak, jak zażądają.

–To znaczy jak? – burknęła z wyraźną frustracją.

–Zobaczmy. Pokaż mi ręce.

Zapaliła latarkę i w jej świetle uniosła jedną dłoń, potem drugą.

–Masz tylko małe, ciemne sińce – rzekł Joey. – Nie krwawią. Czyli postępujemy prawidłowo.

Samochód wpadł w dziurę na jezdni – niezbyt głęboką i bez płomieni, ale szeroką na półtora metra i tak paskudną, że zabujał się na resorach i zgrzytnął tłumikiem o asfalt. Odskoczyła klapka schowka na rękawiczki. Widocznie była źle zamknięta.

Celeste drgnęła przestraszona i odruchowo zaświeciła latarką do schowka. W ciasnej przestrzeni błysnęło szkło. Słoik. Wysoki na dziesięć, dwanaście centymetrów, o średnicy około siedmiu. Kiedyś zapewne były w nim ogórki lub masło orzechowe. Ktoś usunął nalepkę. W słoiku chlupotał jakiś płyn, mętny w świetle latarki, a w nim pływało coś dziwnego, nie do rozpoznania, ale zatrważająco ohydneho...

–Co to jest? – zdziwiła się Celeste. Bez namysłu, chociaż ze wstrętem, sięgnęła ręką do schowka, żeby lepiej obejrzeć słoik.

Wyjęła go.

Uniosła. Joey też zerknął w tamtą stronę.

W zabarwionej na różowo cieczy pływała para niebieskich oczu.

Żwir zachrobotał pod podwoziem, mustang podskoczył na krawężniku i Joey w porę oderwał wzrok od słoika, żeby zobaczyć skrzynkę na listy znikającą pod przednim zderzakiem. Samochód przeorał trawnik przed pierwszym domem w Coal Valley i zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od werandy.

Joey natychmiast przeniósł się myślami do poprzedniej nocy – tej, podczas której przez pomyłkę minął właściwy zakręt.

...gnał mustangiem jak wariat po śliskiej autostradzie. Uciekał w strugach deszczu tak, jakby gonilo go stado demonów. Był czymś bardzo wzburzony, bo raz modlił się żarliwie, a raz przeklinał Boga. Coś go ścisnęło w dołku. Potem przypomniał sobie, że w schowku są tabletki na ból żołądka. Trzymając jedną dłoń na kierownicy, pochylił się w prawo, nacisnął przycisk zamka i otworzył schowek. Usiłował wymacać tabletki, ale zamiast tego znalazł jakiś zimny słoik. Co to może być? – pomyślał. Nie woził żadnych słoików. Wyjął go i obejrzał w światłach wielkiej ciężarówki, jadącej z naprzeciwka za barierą biegnącą środkiem autostrady. W słoiku pływały oczy. Chyba odruchowo szarpnął kierownicą – albo wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni – bo chwilę później mustang zatańczył jak szalony i zakręcił się w kółko bez żadnej kontroli. Drogowskaz. Straszliwy huk. Walnął głową w szybę, „bezpieczne” szkło pokryło się miliardem drobnych pęknięć, ale i tak go pokaleczyło. Auto odbiło się od żelaznego słupa drogowskazu i rąbnęło w barierę. Na siłę wypchnął pogięte drzwi i wyczołgał się na zewnątrz. Poczul na twarzy krople deszczu. Za wszelką cenę musiał pozbyć się słoika. Dobry Jezu... wyrzucić go, zanim ktoś zjawi się na pomoc. W taką pogodę ruch był bardzo mały, ale i tak lada chwila mógł tu się zatrzymać jakiś samarytanin. Cholera, tylko tego mi potrzeba... Zgubił słoik. Nie. Nie mógł go zgubić! Rozpaczliwie wodził dłońmi po podłodze, pod przednim siedzeniem. Zimne szkło. Nietknięte. Pokrywka na swoim miejscu. Dzięki Bogu... Wybiegł przed samochód, pod samą barierę. Dalej ciągnęła się otwarta przestrzeń, dzicz, pełna wysokich i splątanych chwastów. Z całej siły cisnął słoik jak najdalej w ciemność. Potem chyba minęła dłuższa chwila, zanim się zorientował, że nie wiadomo po co stoi na skraju autostrady. Deszcz ze śniegiem siekł go po rękach i twarzy. Czuł potworny ból głowy. Dotknął czoła i odkrył otwartą ranę. Musiał pojechać do lekarza. Może to zszyją albo coś takiego... Zjazd z autostrady był niecałe dwa kilometry dalej. Znał to miasto. Wiedział, jak trafić do szpitala. Nikt przy nim się nie zatrzyma, by mu pomóc. Tak to już jest w dzisiejszym świecie. Wrócił do rozbitego mustanga i z ulgą stwierdził, że samochód ciągle nadaje się do użytku. Pogięty błotnik nawet nie ocierał o przednią oponę. Wszystko będzie dobrze... Wszystko będzie dobrze...

Joey z kamienną twarzą siedział przed domem w Coal Valley. Za nim, na zrytym kołami trawniku, wały się rozrzucone szczątki skrzynki na listy. Uświadomił sobie, że przed dwudziestu laty, kiedy poharatany wozem odjeżdżał z miejsca wypadku, zupełnie nie pamiętał o oczach w słoiku. Nie wiedział, czy to uraz głowy wywołał częściową amnezję – czy też on sam chciał o tym zapomnieć. Z przykrością podejrzewał, że raczej to drugie. Nie brak mu było zdrowia, lecz moralnej odwagi.

W tamtym alternatywnym świecie słoik leżał daleko, na zarośniętej łące. Tutaj wpadł w ręce Celeste. Dziewczyna w popłochu rzuciła latarkę i przytrzymała słoik oburącz, prawdopodobnie bojąc się, że pokrywka spadnie i zawartość wyleje jej się na kolana. Szybko wepchnęła słoik do schowka i zatrzasnęła klapkę.

Dyszała ciężko, prawie z płaczem i pochylona nisko w fotelu przyciskała ręce do piersi.

–Kurna, kurna, kurna, kurna... – zawodziła cicho, ale tak samo jak poprzednio, czyli bez większej satysfakcji.

Joey z całych sił ścisnął kierownicę. Nie zdziwiłby się, gdyby ją połamał. Zmagał się z dużo gorszą burzą niż ta, która z wyciem wichru przetaczała się w tej chwili nad mustangiem. Niewiele brakowało, żeby na dobre odkrył tajemnicę związaną ze słoikiem. Już prawie wiedział, kto go tam schował, czyje to oczy, co to wszystko znaczy i dlaczego na tyle lat wyrzucił to z pamięci... Ale nie mógł przekroczyć zaklętego kręgu i rzucić się głową w dół, w zimną otchłań prawdy. Chyba zabrakło mu odwagi. Bał się tego, co na dole znajdzie.

–To nie ja – jęknął zgnębiony.

Celeste kiwała się w fotelu, zgięta w pół, cała skulona, wydając niskie, rozpaczliwe jęki.

–To nie ja – powtórzył. Pomału uniosła głowę.

W jej wzruszającym spojrzeniu wciąż malowała się niezwykła głębia charakteru i mądrość, było dużo dojrzałe niż u innych dziewcząt w tym wieku, lecz jednocześnie pojawiło się w nim coś na kształt przygnębienia. Może dopiero teraz w pełni zrozumiała, że ludzie są naprawdę zdolni do najgorszego? Wyglądała tak samo jak młoda dziewczyna, którą Joey spotkał na poboczu szosy niecałe piętnaście kilometrów dalej – lecz w podstawowym sensie nie była tą dziewczyną. Już na zawsze straciła dziecięcą naiwność, towarzyszącą jej przez lata aż do dzisiejszej nocy. Już nie była spłoszoną, zalękną uczennicą, stojącą w pasach na wspomnienie szkolnej miłości. Smutne.

–Nie włożyłem tam tego słoika – powiedział Joey. – Nikomu nie wydłubałem oczu. To nie ja.

–Wiem – odparła z prostotą i takim przekonaniem, że za to jeszcze bardziej ją pokochał. Przelotnie zerknęła na zamknięty schowek, a potem znów popatrzyła na niego. – Ty na pewno byś tego nie zrobił. Jesteś zupełnie inny, Joey. Nie potrafiłbyś nikogo skrzywdzić.

Znowu balansował na skraju świadomości – i cofnął się, odepchnięty gwałtowną falą strachu.

–To jej oczy...

–Tamtej blondynki?

–Tak. Wydaje mi się... że ją znałem. Że wiem nawet, jak zginęła i kto w ten sposób okaleczył

zwłoki. Ale nie mogę sobie przypomnieć.

–Wcześniej mówiłeś, że to nie były zwykłe pijackie przywidzenia.

–Właśnie. Na pewno. Mam to w pamięci. Już ją gdzieś widziałem... – Przytknął dłoń do czoła i z całej siły ścisnął obie skronie, aż mu zadygotała ręka. Próbował wyrwać z siebie niechciane wspomnienia.

–Kto mógł zostawić tutaj ten słoik? – zapytała Celeste.

–Nie wiem.

–A gdzie byłeś dziś wieczorem, zanim postanowiłeś wracać do college’u?

–W domu. W Asherville. U rodziców. Przed spotkaniem z tobą nigdzie się nie zatrzymywałem.

–Samochód stał w garażu?

–Nie mamy garażu. Tak... dla odmiany.

–Był zamknięty?

–Nie.

–Czyli praktycznie każdy mógł do niego zajrzeć?

–Tak. Chyba tak.

Nikt dotąd nie wyszedł na werandę, przed którą stali, bo był to jeden z pierwszych opuszczonych domów w Coal Valley, niezamieszkały już od miesiący. Na białej aluminiowej ścianie ktoś napisał sprayem wielką czwórkę w kółku. Czerwona farba wyglądała w światłach reflektorów jak świeża krew. Nie było to jednak graffiti, ale wyrok – dom miał zostać zniszczony czwartym w kolejności po wyjeździe ostatnich mieszkańców osady. Już szykowano na niego buldożery.

W walce z pożarem kopalni władze stanowe i federalne wykazały leniwą opieszałość, dopuszczając do tego, żeby ogień rozciągnął gorejące macki na całą dolinę. Teraz już nic na świecie nie mogło go ugasić, z wyjątkiem czasu i przyrody. Ale zniszczenie miasta przebiegało sprawnie, z wojskową dokładnością.

–Siedzimy tu jak kaczki na strzelnicy – zauważył Joey. Nie musiał patrzeć na jej dłonie, aby wiedzieć, że stygmaty znów zaczęły krwawić. Wrzucił wsteczny bieg i przez trawnik wyjechał na ulicę. Przez chwilę bał się, że ulewa rozmiękczyła grunt i ugrzęzną w błocie. Na szczęście nic się nie stało.

–Dokąd teraz? – spytała Celeste.

–Rozejrzemy się po mieście.

–Po co?

–Poszukamy czegoś niezwykłego.

–Wszystko jest niezwykle.

–Dowiemy się, jak to znajdziemy.

Wolno jechali główną drogą, ciągnącą się przez całe Coal Valley. Na pierwszym skrzyżowaniu Celeste wskazała na wąską ulicę z lewej.

–Tam jest nasz dom.

Przecnicę dalej, za zasłoną deszczu i wysokich sosen, kusząco połyskiwały bursztynowe światła. Inne domy w tej okolicy wyglądały na zupełnie puste.

–Sąsiedzi już wyjechali – powiedziała Celeste. – Tata z mamą są sami.

–I tak będzie najbezpieczniej – mruknął Joey. Nie skręcając, minęli skrzyżowanie. Joey jechał powoli, bacznie obserwując obie strony ulicy.

Szosa, chociaż nosiła nazwę „do Coal Valley”, w rzeczywistości przecinała miasto i biegła dużo dalej. Mimo to nie było na niej praktycznie żadnego ruchu. Rządowi eksperci z powagą zapewniali, że jest w pełni bezpieczna i nie zapadnie się, ale zamierzali szybko ją zamknąć i zniszczyć zaraz po zburzeniu miasta. A mieszkańcy gór z dużym sceptycyzmem odnosili się do opinii władz w sprawie pożaru. Woleli jeździć inną drogą.

Po lewej stronie stał kościół Świętego Tomasza, w którym w każdą sobotę i niedzielę nabożeństwa odprawiali ksiądz proboszcz i wikary od Matki Boskiej Bolesnej w Asherville. Pod ich opieką były jeszcze dwie inne niewielkie świątynie w górniczych osiedlach. Kościół nie należał do zbyt okazałych. Był zbudowany z drewna i zamiast witraży miał zwykle szyby w oknach.

Joey uważniej spojrział w tamtą stronę, bo wydawało mu się, że w mrocznym wnętrzu widzi migoczące światło. Latarka. Przy każdym błysku cienie wierciły się i skakały niczym udręczone duchy.

Joey zjechał na drugą stronę ulicy i zatrzymał się przed kościołem. Zgasił światła i silnik.

Szerokie betonowe schody wiodły do uchylonych drzwi.

–To zaproszenie – powiedział.

–Myślisz, że on tam jest? – Prawie na pewno. Światło w kościele zgasło.

–Zostań tutaj – polecił Joey i otworzył drzwi.

–Ani mi się śni.

–Proszę.

–Nie – odparła twardo.

–Tam wszystko się może zdarzyć.

–Tutaj też.

Nie znalazł na to żadnego argumentu.

Wysiadł i poszedł na tył samochodu, Celeste tak samo. Po drodze naciągnęła kaptur na głowę.

Padał już deszcz ze śniegiem, zupełnie jak w dniu wypadku. Ciężkie lodowate krople chrobotwały o boki mustanga niczym pazury jakiegoś zwierza.

Joey z wahaniem otworzył bagażnik. Spodziewał się, że w środku znajdzie zabitą blondynkę.

Nie było jej tam.

Wyjął łyżkę do opon zakończoną dużym kluczem nasadowym. Była z litego żelaza i przyjemnie ciążyła mu w ręce.

W słabym świetle lampki Celeste zobaczyła skrzynkę z narzędziami. Otworzyła ją, zanim Joey zdążył mocniej ścisnąć łyżkę, i wyciągnęła długi śrubokręt.

–Nie nóż, ale tym też można zrobić krzywdę.

Joey wołał, żeby została w samochodzie i zamknęła się od wewnątrz. W razie czego mogła zatrzeć i zjawiłby się dosłownie w ciągu kilku sekund.

Niestety... Co prawda poznał ją zaledwie przed godziną, ale już wiedział, że w pewnych sprawach lepiej się z nią nie sprzeczać. Pomimo delikatnej i świeżej urody była zadziwiająco silna i zdecydowana. Wszelka niepewność, którą mogła odczuwać z racji wieku, zniknęła z chwilą, gdy się dowiedziała, że grozi jej gwałt i morderstwo. No i te oczy pływające w słoju... Świat nagle stał się dla niej o wiele gorszym i ciemniejszym miejscem niż dzisiaj rano. Pelen podziwu patrzył, z jakim spokojem i odwagą przyjęła tę zmianę.

Joey z trzaskiem zamknął bagażnik. Wcale nie starał się zachowywać cicho. Otwarte drzwi kościoła były wyraźnym dowodem na to, że tajemniczy nieznajomy z Coal Valley ciągle na niego czekał.

–Trzymaj się blisko mnie – powiedział do dziewczyny. Posępnie skinęła głową.

–Masz jak w banku.

Na dziedzińcu kościoła Świętego Tomasza wyrastała wysoka na dwa metry rura wentylacyjna o prawie półmetrowej średnicy. Wokół niej postawiono ogrodzenie z łańcuchów, żeby nikt przypadkiem nie podszedł za blisko. Rurą ulatywały gęste kłęby dymu z płonącej kopalni. Miało to zmniejszyć groźbę, że w kościele i okolicznych domach dojdzie do nadmiernego stężenia trujących gazów. Kiedy zawiodły wszelkie próby zdławienia – albo choćby opanowania – ognia, w całym mieście rozstawiono prawie dwa tysiące podobnych wyciągów.

Mimo nieustannego deszczu w powietrzu przed wejściem do kościoła unosił się zapach siarki, jakby jakaś gruboskórna bestia, przemykająca chyłkiem do Betlejem, zabawiła przelotnie w Coal Valley.

Na frontonie świątyni widniała wielka trzynastka w czerwonym kole.

Joey odruchowo pomyślał o Judaszu. Trzynasty apostoł. Zdrajca Jezusa.

Liczba na murze oznaczała, że kościół znalazł się na trzynastym miejscu w spisie budynków przeznaczonych do rychłej rozbiórki. Joey jednak nie umiał oprzeć się wrażeniu, że chodzi o coś więcej. Podejrzewał w duchu, że to ostrzeżenie przed haniebną zdradą. Ale kto był zdrajcą?

Od dwudziestu lat nie chodził na żadne nabożeństwa. Dopiero dziś przyszedł na mszę za duszę zmarłego ojca. Przez długi czas uważał się za agnostyka, czasami nawet za ateistę. Nagle dosłownie wszystko, co zobaczył, zaczęło mu się kojarzyć z wiarą. Oczywiście już nie był cynicznym i rozczarowanym facetem po czterdziestce, ale młodym człowiekiem, który jeszcze przed dwoma laty służył do mszy jako ministrant. Być może podróż w czasie na powrót go zbliżyła do dawnych przekonań.

Trzynastka.

Judasz.

Zdrada.

Nie uznawał tego za niemądry przesąd. Wręcz przeciwnie, potraktował to całkiem poważnie i postanowił bardziej uważać.

Deszcz jeszcze nie zdążył na dobre zamarznąć na chodniku, ale kawałki lodu chrzęściły pod stopami.

Weszli na schody. Tuż przed drzwiami Celeste zapaliła latarkę, którą zabrała z samochodu.

Wąty promyk światła trochę rozjaśnił ciemność.

Ręka w rękę przeszli przez próg. Celeste szybko omiotła światłem przedsionek, żeby sprawdzić, czy nikt nie czyha. Przy wejściu do głównej nawy stała biała marmurowa misa na święconą wodę. Joey zobaczył, że była pusta, lecz mimo to przesunął palcami po suchym dnie i uczynił znak krzyża.

Wszedł do kościoła, trzymając łom, gotów do uderzenia. Mimo wszystko nie ufał wyłącznie bożej łasce.

Celeste z dużą wprawą posługiwała się latarką, jakby od dawna brała udział w polowaniach na morderców i psychopatów.

Ostatnie nabożeństwo odbyło się w Coal Valley co najmniej pół roku temu, ale Joey był przekonany, że oświetlenie wciąż działa. Na pewno nikt nie wyłączył prądu, choćby ze względów bezpieczeństwa. Wiadomo przecież, że w opustoszałych domach do wypadków najczęściej dochodzi po ciemku. Teraz, kiedy wskutek niekompetencji i obojętności władz całe miasto oddano na pastwę podziemnego ognia, te same władze wielkim głosem nawoływały do ostrożności.

W kościele zachował się ledwie uchwytny zapach kadzidła, przytłumiony wonią mokrego drewna i stęchlizny. Czuć także było siarką – i to coraz mocniej, aż wreszcie ostry śwąd całkowicie zdusił ziołowe aromaty po dawnych ceremoniach.

Deszcz ze śniegiem łomotał w dach i okna, ale w nawie panowało znajome milczenie, wspólne wszystkim kościołom, połączone z nastrojem cichego wyczekiwania. Wierni zazwyczaj czekali na subtelny znak obecności Boga, ale dzisiaj bardziej chodziło o mordercę, który brutalnie wdarł się do niegdyś świętego przybytku.

Joey przelożył łom do jednej ręki, drugą zaś z wolna przesunął po ścianie na lewo od przedsionka. Szukał jakiegoś pstryczka, lecz nie znalazł.

Skinał na Celeste, żeby poszła za nim, i prześliznął się w prawo. Wreszcie natrafił na tablicę z czterema włącznikami. Jednym ruchem ręki włączył je wszystkie naraz.

Przyćmione światło stożkowatych lamp wiszących pod sklepieniem padło żółtym blaskiem na rzędy pustych ławek. Z boku na ścianach małe kinkiety oświetlały czternaście stacji Drogi Krzyżowej i kawałek zakurzonej podłogi.

Część kościoła za balustradą nadal tonęła w cieniu, ale Joey dostrzegł, że usunięto stamtąd wszystkie symbole wiary, łącznie z rzeźbami i ogromnym krzyżem, który kiedyś wisiał za ołtarzem.

Czasami, jeszcze jako mały chłopiec, bywał tu z księdzem z Asherville, służąc do mszy w zastępstwie któregoś z miejscowych ministrantów, chorego lub nieobecnego z innych powodów.

Pamiętał zatem wygląd kościoła sprzed dekonsekracji. Trzypółmetrowy krzyż, wystrugany przez jakiegoś wieśniaka w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, może i nie był dziełem sztuki, ale miał w sobie coś wielkiego... siłę, której wyraźnie brakowało profesjonalnie wyrzeźbionym i wygładzonym krucyfiksom.

Joey oderwał wzrok od pustej ściany i w tej samej chwili zobaczył błądy i niewyraźny kształt, leżący na podeście ołtarza. Nieznany przedmiot zdawał się emanować słabym blaskiem, ale on wiedział, że to tylko złudzenie wywołane grą światła... i jego wyobraźnią.

Wziął pod rękę Celeste i ostrożnie przeszli środkiem nawy, zaglądną pod ławki na lewo i prawo, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ktoś tam się nie ukrył. Mały kościół mieścił najwyżej dwustu wiernych, lecz tej nocy nikogo w nim nie było – ani człowieka, ani bestii.

Joey pchnął furtkę w balustradzie. Otworzyła się z głośnym skrzypieniem zawiasów.

Celeste zawahała się, a potem weszła za nim. Zauważyła biały tłumok na podeście, ale wołała tam nie patrzeć. Tak jak Joey chciała jak najdłużej odwlec nieprzyjemną chwilę.

Zamykana furtka ponownie skrzypnęła. Joey obejrzał się przez ramię. Nikt nie wszedł za nimi.

Z przodu był chór. Zabrano z niego wszystkie krzesła, pulpity i organy.

Skręcili w lewo, wąskim podcieniem, żeby przejść naokoło chóru. Stąpali cicho, ale ich kroki i tak stuknęły po dębowej posadzce, budząc słabe echo w pustym kościele.

Na ścianie przy drzwiach do zakrystii znów było kilka wyłączników. Joey zapalił światło w prezbiterium. Lampy dawały tyle blasku, co w głównej nawie.

Dał znak Celeste, żeby stanęła po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Potem wywalił je kopniakiem, tak jak to widział na niezliczonych policyjnych filmach, wbiegł do środka, na wszystkie strony wywijając łomem. W lewo, w prawo i znowu w lewo... Liczył na to, że zaskoczy przyczajonego przeciwnika i ogłuszy go jakimś przypadkowym ciosem. Ciężka sztaba ze świstem przecięła powietrze.

Na szczęście z prezbiterium wpadało tyle światła, aby mógł stwierdzić, że w zakrystii nikogo nie ma. Drzwi na zewnątrz były otwarte, zimny wiatr zamknął je dopiero teraz.

–Uciekł – powiedział Joey do Celeste. Stała zamarła z przerażenia tuż za progiem.

Wrócili do sanktuarium, a stamtąd podcieniem do prezbiterium i zatrzymali się u podnóża trzech stopni wiodących na podest.

Joey miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi.

Stojąca obok niego Celeste wydała cichy żaloszny okrzyk – nie był to jednak jęk przerażenia, ale raczej wyraz współczucia, smutku i boleści.

–Och, nie...

Ołtarz z ręcznie rzeźbionym antependium zabrano stąd już bardzo dawno.

Został jedynie podest.

Kształt, który wcześniej widzieli z nawy, nie wydawał im się już tak blady i niewyraźny jak przy zgaszonym świetle w prezbiterium. Przez zaslonę z grubego gnieczonego plastiku prześwitywało ciało skulone w pozycji płodu. Twarz była zasłonięta, ale spomiędzy fałd wystawał kosmyk długich jasnych włosów.

To nie przeczucie.

Nie halucynacja.

Nie wspomnienia.

Tym razem zwłoki były prawdziwe.

Ale z drugiej strony wydarzenia ostatniej doby sprawiły, że Joey miał niejaki wątpliwości, co jest prawdziwe, a co nie. Nie dowierając własnym zmysłom, zwrócił się do Celeste:

–Też to widzisz?

–Tak.

–Zwłoki?

–Tak.

Dotknął folii. Zaszleściła mu pod palcami.

Zobaczył szczupłą alabastrową rękę. Dłoń była skurczona, paznokcie połamane i umazane zakrzepłą krwią. Pośrodku widniała rana po gwoździu.

Joey doskonale wiedział, że blondynka nie żyje, a jednak w głębi duszy miał płonną nadzieję, że jej oczy pływały w słoiku, że jakaś wążła nić wciąż wiąże ją z tym światem i że jeszcze ją będzie można uratować. Rzucił się na kolana na schody przed ołtarzem i chwycił ją za przegub, szukając śladu pulsu.

Nie znalazł, ale nagły kontakt z zimnym ciałem podziałał na niego jak wstrząs elektryczny. Wzdrygnął się i naraz wrócił do długo spychanej w niepamięć przeszłości:

...przecież tylko próbował pomóc. Wziął dwie walizki i w strugach lodowatego deszczu poszedł do samochodu. Postawił je na podjeździe i otworzył bagażnik. Mała żarówka pod klapą świeciła słabym blaskiem, niczym na wpół wypalona świeczka w czerwonej szklance. Rzeczywiście, światło było czerwone, bo lampkę ktoś usmarował krwią. Z ciasnego bagażnika buchnął potworny i dławiący smród zwłok. Leżała tam. Leżała. Wciąż leżała... Był to tak niezwykły i zaskakujący widok, że w pierwszej chwili pomyślał, iż ma przywidzenia. Ale nie – wydawała się twardsza od granitu i prawdziwsza od ciosu pięścią. Naga, lecz owinięta w półprzezroczystą folię. Twarz zakryta długimi, jasnymi włosami i krwią rozmazaną po drugiej stronie folii. Jedna ręka na wierzchu. Na delikatnej dłoni zieje okrutna rana. Ręka wyglądała tak, jakby błagała go o litość... Jakby tylko mógł jej pomóc tej straszliwej nocy... Serce waliło mu o żebra z taką apokaliptyczną siłą, że nie mógł zaczerpnąć tchu. Gdzieś nad górami rozległo się dudnienie gromu. Miał nadzieję, że za chwilę zginie od pioruna i wraz z nią zanurzy się w mrok śmierci, bo dalsze życie z tym wspomnieniem byłoby zbyt bolesne, zbyt okropne, beznadziejne i pozbawione radości. A potem ktoś odezwał się tuż za nim, głosem ledwie słyszalnym w szeleszczącej pieśni ulewy i wiatru. „Joey”. Nie mógł zginąć na miejscu, w duchu więc błagał, żeby ogłuchł i oślepl. Żeby nie był świadkiem. „Joey, Joey”. Ileż smutku w tym głosie... Odwrócił się od z maltretowanego ciała. W widmowym, zabarwionym na czerwono świetle stanął twarzą w twarz z nieszczęściem. Ujrzał tragedię czworga ludzi: siebie, matki, ojca i brata. Wszyscy leżeli martwi wraz z blondynką. „Ja tylko chciałem pomóc – powiedział do PJ. – Ja tylko chciałem pomóc”.

Joey zrobił gwałtowny wydech, a potem zaczerpnął tchu. Drżał na całym ciele.

–To mój brat. To on ją zabił.

W kościele były szczury. Dwa tłuściochy przebiegły pod ścianą sanktuarium, zapiszczały, mignęły wydłużonym cieniem i przepadły w jakiejś ukrytej dziurze.

–Twój brat? P.J.? – z niedowierzaniem zapytała Celeste.

Od P.J. Shannona była młodsza o pięć lat, ale знаła go przynajmniej ze słyszenia. Wszyscy w Asherville i całej okolicy znali go dużo wcześniej, nim stał się sławnym pisarzem. Na drugim roku studiów wybrano go na najmłodszego rozgrywającego w historii uczelnianej drużyny futbolowej. Był znakomitym graczem. Trzykrotnie doprowadził swój zespół do finałów mistrzostw okręgowej ligi uniwersyteckiej. Prymus, przewodniczący rady studenckiej na roku dyplomowym, mimo talentu i osiągnięć skromny, życzliwy wobec innych ludzi, przystojny, uroczy, zabawny. I co gorsza – łagodny.

To nie pasowało do trupa w bagażniku. Wiele czasu poświęcał akcjom charytatywnym organizowanym w kościele Matki Boskiej Bolesnej. Chorych przyjaciół odwiedzał najczęściej pierwszy i zawsze miał dla nich jakiś mały prezent. Chętnie pomagał wszystkim w kłopotach. W odróżnieniu od innych niezłych sportowców nie stronił od kujonów. Dobrze bawił się zarówno w towarzystwie chudego okularnika, który był prezesem klubu szachowego, jak i w gronie uczelnianych mistrzów. Nie tolerował tylko drwin i przemocy, czyli dwóch rzeczy lubianych przez resztę przystojniaków.

Był najlepszym bratem na świecie.

A jednocześnie brutalnym mordercą.

Joey nie potrafił połączyć tych dwóch faktów. Bał się, że dostanie pomieszania zmysłów.

Wciąż klęczał na najwyższym stopniu ołtarza, chociaż już dawno puścił rękę zamordowanej. Dotykając jej, doznał niemal mistycznego, ale straszego w swym wyrazie gorzkiego olśnienia. Chyba nie byłby bardziej przejęty, gdyby na własne oczy zobaczył, jak w eucharystii chleb przemienia się w święte ciało.

–Tamtego dnia P.J. przyjechał do nas z krótką wizytą z Nowego Jorku – powiedział do Celeste. – Po studiach dostał pracę w dużym wydawnictwie jako asystent redaktora. Traktował to tylko jako przelotne zajęcie, bo wciąż ciągnęło go do filmu. W sobotę wszyscy świetnie się bawili. Cała nasza rodzina. W niedzielę, tuż po mszy, P.J. zniknął aż do wieczora. Odwiedzał starych kumpli ze szkoły i gadał z nimi o minionych latach. A potem jeździł po okolicy i podziwiał spadające liście. „To moja długa, nostalgiczna kąpiel” – mawiał. A my mu wszyscy wierzyliśmy.

Celeste stanęła tyłem do podestu i patrzyła w głąb nawy. Albo nie mogła dłużej znieść widoku zabitej dziewczyny, albo bała się, że P.J. ukradkiem wróci do kościoła.

–W niedzielę jadałiśmy kolację o piątej, lecz tym razem mama czekała na niego. Zjawił się po szóstej – ciągnął Joey – kiedy już było ciemno. Przepraszał, mówił, że po prostu zasiedział się z kolegami i stracił poczucie czasu. Do końca dnia był w swoim żywiole, śmiał się i nieustannie sypał dowcipami, pełen energii, jakby nagle odżył, wracając na stare śmieci.

Joey pociągnął za kawałek folii i zakrył rękę zamordowanej. W jej przebitej dłoni, leżącej na podeście, było coś bluźnierczego, chociaż kościół Świętego Tomasza został dekonsekrowany.

Celeste czekała w milczeniu, aż podejmie przerwana opowieść.

–Patrząc na to z perspektywy czasu – mruknął – mam wrażenie, że tamtego dnia rozpierała go jakaś... mroczna siła. Zaraz po kolacji szybko poszedł do siebie, żeby dokończyć pakowania. Potem postawił walizki koło tylnych drzwi. Chciał już uciekać, bo zaczęło padać, a on miał przed sobą jeszcze długą drogę do Nowego Jorku. I tak dojechałby nie wcześniej niż o drugiej w nocy. Ale tato nie zamierzał go zbyt szybko puścić. Boże, jak on go kochał... Wyciągnął wszystkie albumy z wycinkami z czasów, kiedy P.J. święcił triumfy w szkole i na boisku. P.J. w tym momencie mrugnął do mnie, jakby mówił: „A niech tam... Posiedzę jeszcze z pół godziny, żeby mu sprawić frajdę”. Poszli do salonu, usiedli na kanapie i zaczęli przeglądać albumy. Pomyślałem, że będzie trochę szybciej, jak zaniosę mu walizki do bagażnika. Kluczyki leżały w kuchni na kredensie.

–Tak mi przykro, Joey – powiedziała Celeste. – Tak mi przykro...

Poruszył go widok zwłok dziewczyny owiniętych w zakrwawiony plastik. Żołądek podchodził mu do samego gardła na myśl, co przed śmiercią przeszła. W dalszym ciągu nie wiedział, kim była, lecz w jego głosie pobrzmiwał nieklamany smutek. Nie mógł po prostu wstać, odwrócić się i odejść. Przez chwilę czuł, że jego miejsce jest tu, właśnie przy niej. Że zasłużyła sobie na te kilka łez, które nad nią ronił. Dzisiaj chciał wyznać całą prawdę dla niej – i naprawić błędy popełnione przed dwudziestu laty.

Dziwne, że nie pamiętał o niej aż przez dwie dekady. Teraz, kiedy przypomniał sobie najgorszy dzień w całym swoim życiu, ona nie żyła zaledwie od paru godzin.

Dwadzieścia lat, parę godzin... i tak nie zdołał jej uratować.

–Mniej padało, więc nawet nie włożyłem kurtki. Złapałem klucze, wziąłem walizki i poszedłem do samochodu. Stał z tyłu domu, na końcu podjazdu, zaraz obok mojego. Chyba mama coś powiedziała albo P.J. zobaczył, co się święci, bo zostawił tatę nad albumem i wyszedł za mną, żeby mnie powstrzymać. Ale nie zdążył.

...siąpi drobny, lecz zimny deszcz, a P.J. stoi w świetle lampki, jakby w ogóle nic się nie stało. Joey powtarza w kółko: „Chciałem tylko pomóc...”.

P.J. szeroko otwiera oczy i przez sekundę Joey ludzi się nadzieją, że jego brat też po raz pierwszy ujrzał trupa w bagażniku i że jest przerażony tym odkryciem. Ale P.J. mówi:

„Posłuchaj, Joey. To nieprawda. To wcale nie jest tak, jak myślisz. Wiem, że wygląda źle, ale to nieprawda”.

„Jezu... P.J... Boże!”.

P.J. spogląda w stronę domu odległego zaledwie o piętnaście metrów, żeby sprawdzić, czy nikt z rodziców przypadkiem nie wyszedł na werandę. „Wszystko ci wyjaśnię, Joey. Daj mi tylko coś powiedzieć. Nie wściekaj się, póki nie poznasz prawdy”.

„Ona nie żyje. Nie żyje!”.

„Wiem”.

„Jest cała zakrwawiona”.

„Uspokój się. Wszystko będzie dobrze”.

„Coś ty zrobił? Matko Boska, P.J.! Coś ty zrobił?”.

P.J. podchodzi bliżej, niemal przyciskając go do bagażnika. „Nic nie zrobiłem. Nic, za co miałbym potem zgnić w więzieniu”.

„Dlaczego, P.J.? Nie, nawet nie próbuj... Nie możesz na to nic odpowiedzieć. Przecież to nie ma najmniejszego sensu... Ona tu leży, zimna, martwa i cała umazana krwią”.

„Mów ciszej, mały. Pozbieraj się do kupy”. P.J. łapie brata za ramiona, a Joey w ogóle przed nim nie ucieka. „Ja tego nie zrobiłem. Nie dotknąłem jej. Słyszysz?”.

„Ona tu leży, P.J. Nie wmówisz mi, że jej tu nie ma”.

Joey płacze. Zimny deszcz siecze go po twarzy i maskuje łzy, ale na pewno płacze.

P.J. potrząsa nim łagodnie. „Za kogo ty mnie bierzesz, Joey? Na litość boską, za kogo ty mnie bierzesz? Przecież jestem twoim bratem, nie? Wciąż kochasz mnie choć trochę? Myślisz, że po wyjeździe do Nowego Jorku zmienilem się w potwora?”.

„Ona tu leży” – jęczy Joey. Nic więcej nie może powiedzieć.

„Tak, leży. Sam ją tam włożyłem. Ale jej nie zabiłem. Nawet jej nie tknąłem”.

Joey usiłuje uwolnić się z jego uścisku.

P.J. przyciska go jeszcze mocniej do zderzaka, niemal przechylając przez krawędź otwartego bagażnika, w którym leżało ciało. „Nie wyglupiaj się, mały. Nie rujnij tego wszystkiego, co było między nami. Jestem twoim bratem, pamiętasz? Już mnie nie znasz? Zawsze stałem po twojej stronie. Zawsze stałem po twojej stronie, a teraz ty musisz stanąć

przy mnie. Ten jeden raz. Zrób to dla mnie”.

Joey płaczliwie pociąga nosem. „Nie, P.J. Nie mogę. Zupelnie zwariowałeś?”.

P.J. mówi natarczywym tonem, pełnym pasji, żeby przykuć uwagę brata: „Zawsze cię kochałem, Joey. Zawsze miałeś ze mną dobrze, braciszku. We dwóch mogliśmy toczyć wojnę z całym światem. Słyszysz mnie? Kocham cię, Joey. Naprawdę nie wiesz, że cię kocham?”. Odrywa ręce od ramion brata i chwyta go za głowę. Dłonie ma jak imadło; ściska mu skronie. W jego oczach jest więcej bólu niż strachu. Całuje brata w czoło. Przemawia z taką siłą, wciąż powtarzając niektóre zdania, że Joey patrzy na niego jak zahipnotyzowany. Jest niczym w transie; nie próbuje uciec. Nie potrafi pozbierać myśli. „Posłuchaj, Joey. Jesteś moim bratem. Bratem! A to dla mnie oznacza niemal wszystko. Masz moją krew. Jesteś moją częścią. Zapomniałeś już, że cię kocham? Zapomniałeś? Zapomniałeś, że cię kocham? A ty mnie kochasz?”.

„Tak, tak”.

„Zatem kochamy się nawzajem. Jesteśmy braćmi”.

Joey znów płacze.

„To właśnie jest najgorsze”.

P.J. wciąż trzyma go za głowę i patrzy mu prosto w oczy. Stoi tak blisko, że ich nosy niemal się dotykają. „Skoro mnie kochasz, to posłuchaj. Posłuchaj starszego brata. Posłuchaj, a za chwilę zrozumiesz, co się stało. Joey... Słyszysz mnie? Zgoda? Zgoda? Zaraz ci opowiem. Słuchasz? Jechałem starą Pine Ridge... Wiesz, włóczyłem się bez celu, tak jak kiedyś z tobą. Pamiętasz drogę? Pełno na niej zakrętów, w lewo, w prawo, w lewo... I właśnie na zakręcie wybiegła mi pod koła. Wyskoczyła z lasu, zbiegła po trawie z góry i wypadła na szosę. Wcisnąłem hamulec, lecz było już za późno. Nawet gdyby nie padało, też bym się nie zdołał zatrzymać. A ona była tuż przed maską. Trafiłem ją, upadła i przejechałem po niej, zanim zdążyłem zahamować”.

„Ona jest naga, P.J. Widziałem. Widziałem w bagażniku... Jest cała naga”.

„To właśnie chcę ci powiedzieć, a ty mi ciągle przerywasz. Była naga, kiedy wybiegła z lasu. Naga jak ją Pan Bóg stworzył. Gonił ją jakiś facet”.

„Jaki facet?”.

„Nie wiem. Nigdy przedtem go nie widziałem, Joey. Ale to przez niego wpadła pod samochód. Biegła co sił w nogach i przez cały czas patrzyła za siebie. Wypadła na szosę, zobaczyła mnie, krzyknęła... i wtedy to się stało. Jezu... To potworne. Nigdy w życiu nie przeżyłem czegoś tak strasznego i mam szczerą nadzieję, że już nie przeżyję. Usłyszałem trzask i od razu wiedziałem, że ją zabiłem”.

„A gdzie ten, który ją gonił?”.

„Stał jak wryty i ze zdziwieniem patrzył w moją stronę. Kiedy wysiadłem, odwrócił się i uciekł z powrotem do lasu, między drzewa. Próbowałem go złapać, więc pobiegłem za nim, ale lepiej ode mnie znał okolicę. Zwał, zanim zdążyłem wdrapać się na górę. Biegłem dziesięć, może dwadzieścia metrów wąską ścieżką wydeptaną przez sarny, ale potem ścieżka rozeszła się w trzy strony i nie wiedziałem, gdzie skręcić. Lał deszcz, nie było odrobiny słońca, a w lesie o tej porze zawsze jest już ciemno. W dodatku wiatr zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Wróciłem na szosę. Dziewczyna nie żyła. Wiedziałem to od razu”. P.J. wzdryga się na to wspomnienie i zamyka oczy. Przyciska czoło do czoła brata. „Boże, to było straszne. Straszne, Joey... Nie powiem ci, jak wyglądała... Odszedłem na bok, żeby się porzygać. Myślałem, że flaki wypluję”.

„Po co wsadziłeś ją do bagażnika?”.

„Miałem płachtę. Nie mogłem jej tak zostawić”.

„Powinieneś pojechać po szeryfa”.

„Nie mogłem jej zostawić w lesie, pośrodku drogi. Bałem się, Joey. Byłem przerażony. Nawet twój duży brat zna uczucie strachu”. P.J. unosi głowę i cofa się, dając bratu nieco odetchnąć. Z niepokojem patrzy na dom i mówi: „Tata jest w oknie i na nas patrzy. Nie możemy tu długo zostać. Zaraz przyjdzie i spyta, co się stało”.

„Dobrze, nie mogłeś jej zostawić w lesie, ale dlaczego nie zawiozłeś jej zaraz do szeryfa?”.

„Wszystko ci wyjaśnię – obiecuje P.J. – Ale najpierw musimy wsiąść do samochodu. Przecież nie możemy ciągle stać na deszczu. To dziwnie wygląda. Wsiądziemy do środka, włączymy silnik, posłuchamy radia i tata pomyśli, że chcemy pogadać jak brat z bratem, na osobności”.

Wkłada walizkę do bagażnika, koło trupa. Potem drugą. Zamyka klapę.

Joey trzęsie się jak osika. Chce uciekać. Lecz nie do domu. W mrok. W ciemność nocy, z dala od Asherville, z dala od wszystkiego, co tu go otacza, do nieznanego miejsca i nieznanych ludzi. Jak najdalej w ciemność. Ale kocha brata, a P.J. zawsze stał po jego stronie. Musi więc słuchać. Może jeszcze wszystko się jakoś wyjaśni. Może nie jest tak źle, jak na to wygląda. Może jednak powinien posłuchać do końca. Przecież P.J. o nic więcej go nie prosi...

P.J. wyjmuje klucz z zamka bagażnika i chowa go do kieszeni. Obejmuje brata za szyję i ściska lekko, jakby z uczuciem, chociaż zarazem w ten sposób każe mu się ruszyć z miejsca. „Chodź, mały. Wszystko spokojnie ci opowiem i wspólnie się zastanowimy nad tym, co powinniśmy zrobić dalej. Wsiadaj do samochodu. Chyba się mnie nie boisz? Naprawdę jesteś mi potrzebny, Joey”.

Otwiera drzwi i wsiadają.

Joey zajmuje miejsce obok kierowcy.

W samochodzie jest mokro i zimno.

P.J. uruchamia silnik. Włącza ogrzewanie.

Deszcz zmienia się w ulewę. Leje jak z cebra. Cały świat znika za zachlapaną szybą. Wnętrze samochodu staje się ciasniejsze, wilgotne i parne. Siedzą niczym w żelaznym kokonie, czekając na metamorfozę. Wyjdą z niego jako zupełnie nowi ludzie, o nieznanym jeszcze przyszłości.

P.J. kręci galką trzeszczącego radia, żeby znaleźć jakąś lepszą stację.

Znalazł. Bruce Springsteen. Śpiewa o gorzkiej stracie i ciężkiej pokucie.

P.J. ścisza radio, lecz słowa i muzyka w dalszym ciągu brzmią smutną melancholią.

„Ten sukinsyn pewnie ją porwał – mówi P.J. – i zamknął gdzieś w lesie, w jakiejś chacie albo lepiance. Gwałcił ją i torturował... Przecież nieraz o tym czytałeś. Z roku na rok jest coraz więcej podobnych przypadków. Ale kto by do licha ciężkiego podejrzewał, że coś takiego zdarzy się w Asherville? W pewnym momencie przestał jej pilnować i wtedy mu uciekła”.

„Jak wyglądał?”

„Paskudnie”

„To znaczy?”

„Groźnie. Miał w sobie coś z szaleńca. Wielki gość, ponad metr osiemdziesiąt, dobre sto kilo żywej wagi. Może to lepiej, że uciekł? Spokojnie mógłby mnie rozwalić. Taki był duży, Joey... Gdybym go dopadł, to pewnie teraz leżałbym gdzieś tam w lesie. Ale musiałem za nim pobiec. Ogromny facet, z brodą i długimi brudnymi włosami. Miał na sobie stare dżinsy i niebieską flanelową koszulę wypuszczoną na spodnie”.

„Musisz zawieźć ciało do szeryfa, PJ. Zrób to natychmiast”

„Nie mogę, Joey. Nie rozumiesz? Teraz już za późno. Dziewczyna leży w moim bagażniku. Wygląda, jakbym ukrywał zwłoki, dopóki ich nie znalazłeś. Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Nie uwolnię się od podejrzeń. Nie mam żadnych dowodów na to, że widziałem tego faceta”.

„Będą dowody. Przecież zostawił chyba jakieś ślady. Przeczeszą las i znajdą chatę, w której ją trzymał”.

PJ. przecząco kręci głową. „Przy tej pogodzie na pewno zmyło ślady. Przypuszczalnie nic nie znajdą. A ja nie mogę ryzykować. Bez tych dowodów cały ciężar winy spada wyłącznie na

mnie”.

„Jeśli naprawdę nie chciałeś jej zabić, to nic ci nie zrobią”.

„Przestań, mały. Sam chyba w to nie wierzysz. Już nie pamiętasz, ilu poszło na krzesło za niewinność?”.

„Nie gadaj głupot! Wszyscy cię tu znają i cholernie lubią. Wiedzą, kim jesteś. Na pewno będą świadczyć na twoją korzyść”.

„Ludzie potrafią się odwrócić w najgorszym momencie. Nawet ci, których uważałeś kiedyś za przyjaciół. Pójdiesz na studia, to sam zobaczysz, Joey. Poczekaj, aż pomieszkasz chwilę na przykład w Nowym Jorku. Wtedy na własne oczy się przekonasz, ile w ludziach nienawiści. Jak ci potrafią dopiec bez powodu”.

„Tutaj wszyscy na pewno ci uwierzą” – upiera się Joey.

„Tak jak ty?”.

Te trzy słowa są jak seria celnie wymierzonych ciosów. Naga prawda sprawia, że Joey nie wie, co odpowiedzieć. Jest roztrzęsiony i zakłopotany. „Boże, P.J... Dlaczego jej nie zostawiłeś tam, na szosie?”.

P.J. odchyła się na oparcie fotela i zakrywa twarz rękami.

Placze. Joey jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Przez dłuższą chwilę żaden z nich nie może wydusić ani słowa. Wreszcie odzywa się P.J.: „Nie mogłem. To był okropny widok. Nie widziałeś jej, więc zupełnie nie wiesz, co to znaczy. A przecież to nie tylko ciało, Joey. Ta dziewczyna była czyjąś córką, siostrą... Pomyślałem sobie: co bym poczuł na miejscu jej brata? Co bym chciał, żeby inny facet zrobił w takiej chwili? Przede wszystkim, aby się nią zajął. Okrył ją czymś, zabrał... Nie zostawiał jak kawałek ścierwa. Teraz wiem, że popełniłem błąd, ale wtedy byłem zupełnie roztrzęsiony. Mogłem zrobić inaczej. Niestety, już za późno”.

„Jak jej nie weźmiesz do szeryfa i nie opowiesz, co się stało, to ten facet z brodą i długimi włosami... ucieknie. Być może porwie inną dziewczynę i też ją będzie dręczył...”.

P.J. odejmuje ręce od twarzy. Oczy ma pełne łez. „I tak go nie złapią, Joey. Nie rozumiesz? Zwiął. Wie, że go widziałem... że mogę go opisać. Nie został tutaj nawet dziesięć minut. Na pewno jest już gdzieś daleko i gna do granicy stanu. Musisz mi uwierzyć. Zgolił brodę, obciął włosy i wygląda zupełnie inaczej. Co to pomoże policji, jeżeli teraz go opiszę? Nie mamy dosłownie nic, co pozwoliłoby złapać drania”.

„Powinieneś iść do szeryfa. Tak będzie najlepiej”.

„Na pewno? Pomyśl o tacie i mamie. Pomyśl o nich, a wtedy szybko zmienisz zdanie”.

„Dlaczego?”.

„Mówię ci, mały, jak gliniarze nie znajdą winnego, to przyczepią się do mnie. Będzie afera. Wyobraź sobie artykuły w gazetach. Znany sportowiec, chluba swojego miasta, stypendysta wielkiej uczelni, złapany z ciałem nagiej dziewczyny w bagażniku. Pomyśl o tym, na miłość boską! Zrobią prawdziwy cyrk na rozprawie! Największy cyrk w naszym okręgu, a może nawet całym stanie!

Joey ma wrażenie, że bezskutecznie walczy z olbrzymim, zawzięcie wirującym wiatrakiem. Powoli słabnie, przytłoczony argumentami brata, siłą jego osobowości i niespodziewanym płaczem. Im dłużej stara się, by PJ. ujawnił prawdę, tym więcej nerwów go to kosztuje.

PJ. włącza radio, siada bokiem na swoim miejscu i pochyla się w jego stronę. Patrzy na niego bez zmrużenia oka. Są tylko oni i szum deszczu. Joey jak zahipnotyzowany słucha natarczywego głosu: „Pomyśl... Skup się i przez chwilę pomyśl, mały. Zrób to dla mamy i taty. Pomyśl dobrze i nie rujnuj im całego życia tylko dlatego, że w głębi ducha wciąż jesteś ministrantem i masz czarno-białe pojęcie o świecie. Zaręczam ci, że nie skrzywdziłem tej dziewczyny. Ale dlaczego miałbym dla niej ryzykować całą swoją przyszłość? Dobrze, powiedzmy, że sąd wykaże choć odrobinę rozsądku i mnie uniewinni. Jednak na pewno część ludzi będzie przekonana, że to ja ją zabiłem. Dla nich taki wyrok zupełnie nie ma znaczenia. Dopóki jestem młody i w miarę wykształcony, mogę stąd wyjechać i zacząć nowe życie gdzieś w odległym miejscu, gdzie nikt nie będzie wiedział, że byłem oskarżony w procesie o morderstwo. Ale mama i tata są biedni, w podeszłym wieku i już więcej w życiu nie dojdą do niczego. Nie stać ich, żeby stąd uciec. Za cały dach nad głową mają ten czteropokojowy barak, który nazywają domem. Brak im nocnika, żeby wieczorem się spokojnie odlać, ale bez przerwy podkreślają z dumą, że żyją wśród przyjaciół... Pośród dobrych sąsiadów. Gdybym stanął przed sądem, straciliby to wszystko”. Potok słów płynie nieprzerwanie, z niespożytą siłą. „Takie podejrzenia zabijają przyjaźń. Zaczną się plotki... szeptaki... Nasi starszacy się nie wyprowadzą, bo nikt od nich nie kupi tego splachetka ziemi. A nawet jakby kupił, to za taką cenę, że z tymi pieniędzmi nic nie robią. Zostaną tutaj, sami, zaszczuci, bez przyjaciół, kompletnie odizolowani. Chcesz tego, Joey? Pozwolisz na to? Chcesz ich zniszczyć, wiedząc, że jestem niewinny? Jezu... No dobrze, mały, popełniłem błąd, że ją wsadziłem do bagażnika. Powinna zostać na środku drogi, żeby znaleźli ją gliniarze. A teraz weź rewolwer i mnie zastrzel, lecz nie zabijaj mamy i taty. To właśnie zrobisz, jeśli mnie wydasz, Joey. Zabijesz ich. Bardzo powoli”. Joey nie może mówić.

„Łatwo mnie zniszczyć. Ich jeszcze łatwiej. Ale najłatwiej, Joey, wierzyć w to, co mówię. Tak będzie najrozsądniej”.

Presja. Miażdżąca presja. Joey mógłby być teraz zamknięty w batysferze, na dnie rowu, sześć tysięcy pięćset metrów w głąb oceanu. Tam gdzie ciśnienie sięga tysięcy kilogramów na centymetr kwadratowy. PJ. przeprowadza test wytrzymałości. Naciska dotąd, aż poczuje początek implozji.

Joey wreszcie odzyskuje głos, lecz mówi cienko jak mały chłopiec i nie daje jasnej odpowiedzi. „Nie wiem, PJ. Naprawdę nie wiem”.

„Moje życie jest w twoich rękach, Joey”.

„Wszystko mi się pomieszało”.

„Mama i tata. W twoich rękach”.

„Ale ona nie żyje, PJ. Nie żyje”.

„Prawda. Nie żyje. W przeciwieństwie do nas”.

„Ale... co zrobisz z ciałem?”.

Joey słyszy swoje pytanie i już wie, że przegrał. Czuje się nagle bardzo słaby, jakby na powrót stał się niemowłkiem... i wstydi się tej słabości. Dopadają go gorzkie wyrzuty sumienia, gryzące niczym kwas siarkowy. Nie umie sobie z nimi poradzić, chwytą się więc ostateczności: wpycha je w ciasny kąt umysłu i zaraz potem o nich zapomina. Gasi emocje. Jego dusza jest teraz szara, jakby opadał na nią gęsty popiół po wielkim pożarze.

PJ. mówi: „O to się nie martw. Schowam ją tak, że nikt nie znajdzie ciała”.

„Tego nie możesz zrobić. Pomyśl o jej rodzinie. Przez resztę życia będą się strasznie martwili, nie wiedząc, co się z nią stało. Nie zaznają ani dnia spokoju. Będą myśleli... Będą myśleli, że gdzieś strasznie cierpi”.

„Masz rację, mały. To bez sensu. Trzeba ją zostawić w jakimś bardziej uczęszczanym miejscu”.

Szary popiół wciąż pada... Działa znieczulająco. Z każdą mijającą chwilą Joey coraz mniej czuje i myśli. Z jednej strony trochę go to niepokoi, ale z drugiej przynosi wymarzoną ulgę. Wybiera więc to drugie.

Mówi pustym i bezbarwnym głosem: „Ale wtedy na płachcie znajdą odciski palców. Twoje odciski palców. Albo coś innego, na przykład trochę włosów. Coś, co będzie wyraźnie wskazywać na ciebie”.

„Nie ma żadnych odcisków palców. Byłem ostrożny. Praktycznie nic, co można by skojarzyć ze mną, z wyjątkiem...”.

Joey z tępą rezygnacją czeka na dalsze słowa brata – jedyne i ukochanego brata. Podświadomie wyczuwa, że to będzie najgorsze, z czym miał w życiu do czynienia... od chwili, gdy odkrył brutalnie zmasakrowane zwłoki.

„...z wyjątkiem tego, że ją znałem” – mówi PJ.

„Znales?”.

„Spotykałem się z nią”.

„Kiedy?” – beznamietnie pyta Joey, chociaż w gruncie rzeczy w ogóle go to nie obchodzi. Wkrótce narastająca szarość złagodzi wszystkie ostre krawędzie sumienia i ciekawości.”W ostatniej klasie ogólniaka”.

„Jak się nazywała?”.

„Była z Coal Valley. Nie znasz jej”.

Deszcz pada tak, jakby miał zawsze padać. Joey wie, że ta noc się nie skończy.

P.J. mówi: „Umówiłem się z nią dwa razy. Na tym koniec. Nie zaiskrzyło. Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, jak policja patrzy na takie rzeczy. Wezmę ją do szeryfa, dowiedzą się, że ją znałem... i będę ugotowany. Nie tak łatwo dadzą się przekonać, że jej nie zabiłem. A to o wiele gorzej dla nas, a także mamy i taty. Naprawdę jestem między młotem i kowadłem, Joey”.

„Tak”.

„Chyba rozumiesz, co mam na myśli”. „Tak”.

„Sam wiesz, jak to bywa w życiu”. „Tak”.

„Kocham cię, braciszku”. „Aha”.

„Wiedziałem, że na ciebie zawsze mogę liczyć”.

„No pewnie”.

Szaro.

Wszędzie szaro.

„Ty i ja, mały. We dwóch możemy stawić czoło całemu światu. Jesteśmy silni, bo mamy siebie. Nasza miłość jest twardsza od stali. Wiesz o tym? Twardsza od wszystkiego. Dla mnie to najważniejsze. Zawsze będziemy mieli coś własnego, zawsze będziemy braćmi”.

Przez chwilę siedzą w milczeniu.

Góry, ledwo widoczne za zapłakanym oknem, wydają się ciemniejsze niż zazwyczaj, jakby skłoniły się ku sobie, złączyły i przemieszały tylko po to, żeby zakryć ostatni skrawek nieba i przesłonić gwiazdy. Joey miał wrażenie, że P.J., tata i mama mieszkają teraz w czarnym lochu, bez drzwi i okien.

„Zaraz musisz wracać do college’u – ciągnie P.J. – Czekaj cię jeszcze dzisiaj kawał drogi”.

„Tak”.

„Ja też za chwilę jadę”.

Joey potakująco kiwa głową.

„Musisz wpaść do mnie do Nowego Jorku”.

Joey potakująco kiwa głową.

„Do Wielkiego Jabłka” – mówi P.J. „Tak”.

„Zabawimy się”. „Tak”.

„Masz, weź to”. P.J. chwyta brata za ramię i usiłuje mu coś wepchnąć do ręki. „Co to?”.

„Trochę kasy. Na drobne wydatki”. „Nie chcę”. Joey próbuje się odsunąć.

P.J. trzyma go bardzo mocno i wciska mu w garść zwitek banknotów. „Weź. Znam życie w college’u. Zawsze brakuje forsy”.

Joey gwałtownie cofa rękę, nie biorąc pieniędzy.

P.J. nie rezygnuje. Wpycha banknoty w górną kieszeń koszuli, którą ma na sobie Joey. „Daj spokój, mały. To tylko trzydzieści dolców. Żaden majątek, ale pozwól mi choć raz poczuć się bogaczem. Rzadko ode mnie coś dostajesz. To mi poprawi humor”.

Nie było sensu dłużej się opierać. Trzydzieści dolców to niewiele. Joey pozwala, żeby brat wsunął mu pieniądze do kieszeni. Jest zmęczony. Nie ma siły dalej się bronić.

P.J. z uczuciem klepie go w ramię. „No, zmykaj do domu. Pakuj się do szkoły”.

Wracają razem.

Rodzice patrzą na nich z ciekawością.

Tata mówi: „Mam dwóch synów, co nocami włóczą się po deszczu”.

P.J. obejmuje brata za ramiona. „Musieliśmy chwilę pogadać, tato – odpowiada. – Wiesz, jak to czasami bywa między braćmi. Ważne rozmowy o sensie życia i tak dalej”.

Mama uśmiecha się. „Mroczne tajemnice” – dodaje żartobliwym tonem.

Joey w tym momencie tak ją kocha, że gotów jest rzucić się przed nią na kolana.

Zropaczony, jeszcze bardziej cofa się w głąb szarości. Przygasa ostry, nieprzyjemny blask nieszczęść tego świata, wszystko staje się obłe i nijakie.

Joey pakuje się i odjeżdża kilka minut wcześniej niż P.J. Przy pożegnaniu brat ściska go najmocniej, z największym uczuciem.

Parę kilometrów za Asherville Joey widzi jadący za nim samochód. Razem zbliżają się do skrzyżowania z szosą do Coal Valley. Joey hamuje przed rozjazdem. Drugi samochód wyprzedza go w strugach brudnej wody i na pełnym gazie skręca do Coal Valley. Wycieraczki zgarniają błoto z przedniej szyby. Joey widzi, że tamten wóz zatrzymał się jakieś sto metrów za zakrętem.

Dobrze wie, że to P.J.

Czeka.

Jeszcze nie jest za późno. Ma mnóstwo czasu.

Coś podpowiada mu, żeby skręcił w lewo. Przecież i tak chciał tamtędy jechać.

Zgodnie z planem skręć w lewo i zrób, co masz do zrobienia. Czerwone światła stopu. Drogowskaz w ponurym deszczu. Czekają.

Joey przejeżdża przez skrzyżowanie, mija szosę do Coal Valley i jedzie dalej, główną drogą, aż do autostrady.

Na autostradzie, chociaż na pozór jest mu wszystko jedno, rozpamiętuje słowa brata. Pewne fragmenty brzmią mu w uszach dużo wyraźniej niż przed chwilą. Nabierają nowego znaczenia. „Łatwo mnie zniszczyć... ale najłatwiej, Joey, uwierzyć w to, co mówię”. Tak jakby prawda nie była obiektywna, lecz zależała wyłącznie od punktu widzenia. „Nie ma odcisków palców. Byłem ostrożny”. A ostrożność dowodzi działania z rozwagą. Wystraszony, zdezorientowany i niewinny człowiek nie myśli o ostrożności. Nie zaciera śladów łączących go ze zbrodnią.

Był tam w ogóle brodacz z brudnymi włosami? Czy to zwyczajne kłamstwo, zainspirowane postacią Charlesa Mansona? I dlaczego samochód nie miał żadnych wgnieceń? Skoro P.J. potrafił dziewczynę na Pine Ridge, to przecież powinny zostać jakieś ślady na masce albo na zderzaku.

Joey pędzi w głąb nocy. Wciąż się denerwuje. Mimo woli zaczyna pomału przyspieszać. Coraz szybciej i szybciej, jakby usiłował zwać przed niechcianą prawdą i jej konsekwencjami. Potem znajduje słoik, szarpie kierownicą, wiruje i uderza...

...i nagle stoi przed barierą, patrząc gdzieś w dal, na łąkę pełną trawy wysokiej po kolana i jeszcze wyższych chaszczki. Nie bardzo wie, skąd się tu znalazł. Wiatr wyje nad autostradą. Można by pomyśleć, że to długi konwój widmowych ciężarówek wiezie dziwny ładunek.

Deszcz ze śniegiem kłuje go w twarz i ręce.

Krew. Ma ranę nad prawym okiem.

Rozbił głowę. Dotyka rany i czuje potworny ból. Jasne kręgi wirują mu przed oczami.

Urazy głowy, nawet najmniejsze, mogą wywołać częściową amnezję. Pamięć niekiedy bywa przekleństwem i odbiera ludziom wszelką radość życia. A bywają rzeczy, o których lepiej całkiem zapomnieć. Zapomnieć znaczy także przebaczyć. To najpiękniejsza cecha człowieczeństwa.

Joey wraca do samochodu. Jedzie do najbliższego szpitala, żeby mu zszyli i opatrzyli ranę.

Wszystko będzie dobrze.

Wszystko będzie dobrze.

Po powrocie do college'u jeszcze przez dwa dni chodzi na zajęcia. To jednak nie ma najmniejszego sensu. Dusi się w ciasnym zaułku szkolnej edukacji. Jest samoukiem i nigdy nie znajdzie dobrego wykładowcy. Sam dużo więcej od siebie wymaga. Poza tym zamierza zostać pisarzem – musi więc zdobyć więcej doświadczenia, poznać świat i ludzi, którzy później staną się bohaterami jego książek. Zwiędnie i zmarnieje w pustej atmosferze klasy, ślęcząc nad tekstami starych podręczników. Musi się wyrwać z murów uczelni i ruszyć na wędrowkę, rzucić się głową w przód w spienione odmęty życia.

Pakuje rzeczy i na zawsze porzuca studia. Dwa dni później, gdzieś w Ohio, sprzedaje wrak mustanga i autostopem jedzie na zachód.

Dziesięć dni po ucieczce z college'u, z motelu na pustyni w Utah, wysyła kartkę do rodziców. Wyjaśnia im, że zaczął zbierać materiały do swojej pierwszej książki. Zapewnia ich, że wie, co robi, prosi, by się nie martwili, i obiecuje, że niedługo wpadnie.

Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

–Oczywiście nie było dobrze – powiedział, wciąż klęcząc w pustym kościele, u boku zabitej dziewczyny.

Deszcz wybijał żalobny lament niczym pieśń na cześć podwójnie zmarłej. Tak, podwójnie, odeszła bowiem w kwiecie wieku.

–Wędrowałem z miejsca na miejsce, łapiąc się dorywczych zajęć – ciągnął Joey. – Zerwałem wszelkie dawne kontakty... porzuciłem nawet marzenie o pisarstwie. Nie miałem czasu na marzenia. Zbyt pochłonęła mnie gra zwana amnezją. Ani razu nie byłem u rodziców... ze strachu, że w rozmowie przypadkiem coś chlapnę.

Celeste nie patrzyła już na pustą nawę. Zeszła z posterunku i stanęła przy nim.

–Może za bardzo tym się dręczysz, Joey. Przecież naprawdę miałeś wypadek i rozbiteś głowę.

–Chciałbym w to wierzyć – odparł. – Ale nie można nagiąć prawdy do własnych upodobań.

–Dwóch rzeczy nie rozumiem...

–Tylko dwóch? To jesteś lepsza ode mnie.

–Tamtej nocy P.J. prawie...

–Tej nocy. To było dwadzieścia lat temu... i dokładnie dzisiaj.

–...prawie przekonał cię, że jest niewinny. A przynajmniej zapewnił sobie twoje milczenie. Potem, kiedy na dobre cię już przekabacił, przyznał się, że znał ofiarę. Po co to powiedział, skoro wcześniej wygrał? Przecież tym mógł na nowo wzbudzić podejrzenia.

–Trzeba go dobrze znać, żeby to zrozumieć. Zawsze był taki... na swój sposób groźny. Ale nie chodzi tutaj o brawurę lub złośliwość. Ludzie się go nie bali. Wręcz przeciwnie, byli przekonani, że to mu tylko dodaje uroku. Widzieli w nim romantycznego bohatera z dawnych czasów. On z kolei lubił ryzykować. Najwyraźniej to było widać na boisku. Rzucił ostro, niekonwencjonalnie – i najczęściej wygrywał.

–Uwielbiał jazdę na krawędzi.

–Otóż to. W pełnym tego słowa znaczeniu. Jeździł naprawdę szybko, lecz bezpiecznie. Pod tym względem był może nawet lepszy od kierowców z Indianapolis. Nigdy nie miał wypadku i nie dostał mandatu. W pokera stawiał wszystko na jedno rozdanie. Co ciekawe, z reguły zgarniał całą pulę. Szedł na żywioł i ludziom się to podobało. Można żyć naprawdę niebezpiecznie i być podziwianym, jeśli się zwycięża. Jeżeli ludzie widzą, że to się oplaca.

Celeste położyła mu rękę na ramieniu.

–To chyba wyjaśnia także drugą sprawę...

–Słoik w schowku? – domyślił się Joey.

–Tak. Pewnie go podrzucił, gdy się pakowałeś.

–Oczy wydlubał wcześniej, może na pamiątkę? Dobry Boże... Na pewno myślał, że to bardzo śmieszne. Był ciekaw, co zrobię, kiedy je już znajdę. Chciał wystawić mnie na małą próbę.

–Najpierw przekonał cię, że jest niewinny, upierał się, że musi ukryć zwłoki, a potem zrobił taki makabryczny dowcip? Czyste wariactwo!

–Nie potrafił oprzeć się pokusie. Dreszcz emocji. Spacer po cienkiej linii nad przepaścią – i sama widzisz... znów mu się udało. Wywinął się. Dałem mu wygrać.

–Zachowuje się jak nawiedzony.

–Całkiem możliwe – mruknął Joey.

–Ulubieniec bogów?

–Bogów w to nie mieszaj.

Celeste wspięła się wyżej na podest, przeszła na drugą stronę nieruchomego ciała i schowała do kieszeni śrubokręt i latarkę. Potem uklękła. Joey popatrzył na nią nad trupem.

–Musimy ją obejrzeć – oznajmiła nagle. Skrzywił się.

–Po co?

–P.J. nie powiedział ci, jak się nazywała, ale wspomniał, że była z Coal Valley. Pewnie ją znałam.

–Tym gorzej dla ciebie.

–Nie mam wyboru, Joey. Muszę na nią spojrzeć – odparła z naciskiem. – Jeśli dowiemy się, kim była, łatwiej nam będzie podjąć jakąś akcję. Może znajdziemy kryjówkę P.J.?

Musieli przewrócić zwłoki na bok, żeby je odsłonić. Ściągnęli plastikową płachtę i położyli dziewczynę z powrotem na plecach.

Na szczęście jasne zakrwawione loki zakrywały poszarpaną twarz.

Celeste zachowywała się tak czule, że Joey poczuł coś na kształt wzruszenia. Jedną ręką odgarnęła włosy z twarzy zmarłej, a drugą przeżegnała się i powiedziała:

–W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Joey uniósł głowę i wbił wzrok w sufit – ale nie dlatego, że spodziewał się tam ujrzeć Świętą Trójcę. Po prostu nie mógł patrzeć na puste oczodoły.

–Ma w ustach knebel – powiedziała Celeste. – To szmatka do czyszczenia samochodów... ircha. Chyba... tak, nogi związane drutem. Na pewno nie uciekała przed jakimś troglodytą.

Joey wzdrygnął się.

–Nazywa się Beverly Korshak – poinformowała go Celeste. – Parę lat starsza ode mnie. Miła dziewczyna. Towarzyska. Ciągle mieszkała z rodzicami, ale niecały miesiąc temu sprzedali dom

i przeprowadzili się do Asherville. Beverly pracowała tam jako sekretarka w biurze firmy elektrycznej. Jej rodzice przyjaźnią się z moimi. Znają się bardzo, bardzo długo. Phil i Sylvie Korshak. To będzie dla nich straszne. Naprawdę straszne. Joey wciąż patrzył w sufit.

–Pewnie P.J. spotkał ją dzisiaj w Asherville. Zatrzymał się, pogawędzili chwilę... Potem zgodziła się na przejażdżkę. Nie bała się. Przecież go знаła. Przynajmniej tak jej się zdawało.

–Zakryjmy ją – zaproponowała Celeste.

–Zrób to sama.

Nie brzydził się widoku okaleczonej twarzy. Wręcz przeciwnie, bał się, że w pustych oczodolach jakimś cudem zobaczy jej niebieskie oczy, wytrzeszczone z bólu, jak wtedy, gdy w agonii krzyczała przez knebel „ratunku!”, choć wiedziała, że nic jej już nie ocali.

Zasześciła folia.

–Zadziwiasz mnie – rzekł Joey.

–Dlaczego?

–Jesteś silna.

–Po prostu chcę ci pomóc.

–To ciekawe. Do niedawna byłem przekonany, że to raczej ja mam ci pomagać.

–Może to działa w obie strony? Szelest ustał.

–Już – odezwała się Celeste.

Joey opuścił głowę i zobaczył coś, co w pierwszej chwili wziął za plamę zakrzepłej krwi. Ukazała się dopiero wtedy, kiedy przesunęli ciało.

Teraz jednak zauważył, że to nie krew, ale farba. Ktoś wypisał sprayem jedynekę i obwiodł ją dużym kółkiem.

–Widziałaś to? – spytał stojącej po drugiej stronie Celeste.

–Tak. To pewnie jakiś znak dla robotników.

–Chyba nie.

–Na pewno tak. Albo bawił się tu jakiś dzieciak. Patrz, tam są jeszcze inne liczby. – Wskazała ręką na nawę.

Joey odwrócił się i ze zmarszczonym czołem powiódł wzrokiem po mrocznym wnętrzu kościoła.

–Gdzie?

–Pierwszy rząd ławek – odparła.

Z daleka słabo było widać czerwoną farbę na ciemnym drewnie. Joey ponownie wziął łom, wyszedł z prezbiterium i zbliżył się do balustrady.

Za sobą słyszał kroki Celeste, idącej podcieniem.

Rzeczywiście, ktoś ponumerował ławki na lewo od głównego przejścia. Liczby były rozmieszczone w takich odległościach, jakby wyznaczały miejsca do siedzenia. Na samym skraju z lewej strony widniała dwójka. Ciąg kończył się tuż przy przejściu dużą czerwoną szóstką.

Joey odruchowo potrząsnął głową. Miał wrażenie, że jakiś pajak pełźnie mu po szyi. Przesunął ręką za kołnierzem, ale nic nie znalazł.

Po prawej stronie znajdowały się następne liczby – 7, 8, 9, 10, 11, 12 – wymalowane na kolejnych ławkach, aż do samej ściany.

–Dwanaście – mruknął ponuro.

Celeste stanęła obok niego, tuż przy balustradzie.

–Co się stało? – spytała cicho.

–Ta dziewczyna...

–Beverly.

Z napięciem patrzył na czerwone znaki. Teraz wydawały mu się tak błyszczące jak zwiastun apokalipsy.

–Joey? Co z nią? O co chodzi?

Joey wciąż zastanawiał się nad tą zagadką. Już widział cień odpowiedzi, nie potrafił jednak ogarnąć całości.

–Namalował jedynekę i na niej ją położył.

–P.J.?

–Tak.

–Po co?

Silniejszy podmuch wiatru wstrząsnął starym kościołem. Przez nawę powiał zimny podmuch. Przepędził słabą woń kadzidła i silniejszą pleśni, ale w zamian przyniósł gryzący swąd siarki.

–Masz rodzeństwo? – zapytał Joey.

–Nie. Jest nas tylko troje.

–Beverly była pierwszą z dwunastu.

–Jakich dwunastu?

Drżącą ręką wskazał na Celeste.

–Ty i twoi rodzice... dwa, trzy, cztery. Kto jeszcze mieszka w Coal Valley?

–Dolanowie.

–Ilu ich jest?

–Pięcioro.

–Dalej?

–John i Beth Bimmerowie. Mieszkają razem z matką Johna, Hannah.

–Troje. Troje Bimmerów, pięcioro Dolanów i wy. Jedenaście. Plus ta, co leży na ołtarzu. – Machnął ręką w kierunku ławek. – Dwanaście.

–O Boże...

–Wcale nie muszę być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co tu się dzieje. Wymyślił sobie tę dwunastkę. Dwunastu martwych apostołów leżących w pustym kościele. Cicha ofiara... nie dla Boga, lecz trzynastego apostoła. Wymyślił sobie takie alter ego... Że jest Judaszem. Zdrajcą.

Nie wypuszczając łomu z dłoni, otworzył furtkę w balustradzie i wyszedł na środek nawy.

Dotknął najbliższej liczby po lewej. W kilku miejscach farba wciąż się lepila.

–Judasz. Zdradził własną rodzinę – mruknął. – Zdradził wiarę, w której wychowywany był przez całe życie. Nikogo nie szanuje, nikogo nie kocha, nikogo się nie boi. Nawet Boga. Ciągłe za mało mu emocji, więc kroczy najniebezpieczniejszą ścieżką. Ryzykuje utratę duszy... by choć przez chwilę balansować tuż nad otchłanią potępienia.

Celeste podeszła jeszcze bliżej i przycisnęła się do niego. Potrzebowała jakiegoś wsparcia.

–Tworzy coś... na kształt symbolicznego panoptikum?

–Z martwych ciał – przytaknął Joey. – Postanowił, że dzisiejszej nocy zabije wszystkich, którzy wciąż mieszkają w Coal Valley, i przyniesie tutaj ich zwłoki.

Zbladła.

–Udało mu się? Nie rozumiał.

–Co to znaczy?

–W tej przyszłości, w której przedtem żyłeś... Co się stało z ludźmi z Coal Valley?

Joey dopiero teraz z przerażeniem uświadomił sobie, że zupełnie nie zna odpowiedzi na to pytanie.

–Nie wiem... Od tamtej pory nie czytałem gazet, nie oglądałem telewizji... W radiu słuchałem tylko muzyki i natychmiast zmieniałem stację, gdy nadawali wiadomości. Wmawiałem sobie, że mam serdecznie dość ciągłych katastrof i pożarów, powodzi i trzęsień ziemi. Lecz to nieprawda... Bałem się, że gdzieś przeczytam lub usłyszę o kolejnej zabitej dziewczynie. Że poznam szczegóły zbrodni – wydłubane oczy i tak dalej... że to pobudzi moją podświadomość i zniszczy fałszywą amnezję.

–Więc dopiął swego. W kościele znaleziono dwanaście ciał... jedenaście na ławkach i jedno na ołtarzu.

–Jeśli tak było... jeśli je znaleźli... to P.J. nie poniósł za to żadnej kary. W moim świecie wciąż jest na wolności.

–Jezu. Mama i tata! – Odskoczyła od niego i środkiem nawy rzuciła się do wyjścia.

Joey pobiegł za nią. Minął sieni, szeroko otwarte drzwi i wybiegł w zalaną deszczem ciemność.

Celeste pośliznęła się na oblodzonym chodniku, upadła na kolano, wstała i dobiegła do samochodu.

Joey był tuż za nią. Nie zdążyli wsiąść, kiedy rozległ się głuchy pomruk, przypominający echo odległego gromu. Chwilę trwało, zanim zrozumieli, że ów dźwięk nie dochodził z góry, ale spod ziemi.

Joey zamarł z ręką na klamce. Celeste z niepokojem spojrzała na niego nad dachem samochodu.

–Zawał.

Grzmot narastał, ulica dygotała, jakby pod nią przejeżdżał pociąg towarowy. A potem wszystko ucichło gdzieś w oddali. Zapadła się kolejna część płonącej kopalni. Joey rozejrzał się, lecz nie zobaczył żadnych zniszczeń.

–Gdzie?

–Pewnie w mieście. Pospiesz się. Szybko! – ponagliła go, wsiadając do samochodu.

Joey zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik. Był pełen obaw, że zaraz ziemia rozstąpi się pod nimi i spadną w gorejące piekło.

–Zawał?

–Najmocniejszy ze wszystkich, jakie odczuwałam. Mógł być tuż pod nami, lecz bardzo głęboko. Nie dotarł do powierzchni.

–Na razie.

Samochód miał zimowe opony, ale mimo to kilka razy wpadli w poślizg, zanim dotarli do domu Celeste. Na szczęście obyło się bez stłuczki.

Dom Bakerów był biały z zielonym obramowaniem i miał dwa okna na poddaszu. Joey i Celeste powoli szli trawnikiem. Z dwojga złego zamarznęta trawa była mniej zdradliwa niż śliski chodnik.

Blask padający z korytarza polyskiwał w filigranowych kryształkach lodu, które już zdążyły osiaść na części okien. Lampa na werandzie też się paliła.

Na dobrą sprawę powinni zachować ostrożność, bo nie wiedzieli, czy P.J. czasem nie przyszedł przed nimi. Mógł przecież wybrać każdą z trzech rodzin.

Ale Celeste bała się o rodziców, dlatego błyskawicznie otworzyła drzwi i jak burza wpadła do przedpokoju, krzycząc od progu:

–Mamo! Tato! Gdzie jesteście! Mamooo! Nikt nie odpowiedział.

Joey doskonale zdawał sobie sprawę, że w tym momencie nic jej nie powstrzyma. Biegł więc za nią i wymachiwał łomem w stronę każdego ruchomego cienia. Co chwila wydawało mu się, że widzi przyczajoną postać. Celeste tymczasem zaglądała dosłownie we wszystkie kąty, po kolei otwierała drzwi i krzyczała z coraz większym strachem. Cztery pokoje na parterze i cztery na pierwszym piętrze. Dwie łazienki. Zwyczajny dom, nie żadna rezydencja, ale o całe niebo lepszy od tych, w których bywał Joey. Do tego pełen książek.

Celeste na koniec wpadła do swojej sypialni. Pusto.

–Zabrał ich – wykrztusiła z trudem.

–Chyba nie. Rozejrzyj się... nie widać śladów włamania ani walki, a dobrowolnie nikt by z nim nie poszedł, zwłaszcza w taką pogodę.

–To gdzie są?!

–Może musieli wyjść? Sprawdź, czy nie zostawili jakiejś kartki.

Celeste bez słowa odwróciła się na pięcie, wybiegła z pokoju i przeskakując po dwa stopnie naraz, popędziła na dół.

Joey znalazł ją w kuchni, przed korkową tablicą wiszącą na ścianie tuż koło lodówki. Wiadomość brzmiała:

Celeste,

Bev nie wróciła dziś rano z kościoła. Nikt nie wie, gdzie się podziała. Szeryf jej szuka. Jedziemy do Asherville, do Phila i Sylvie, bo już odchodzą od zmysłów ze zmartwienia. Mam nadzieję, że to się dobrze skończy.

Bez względu na wszystko przed północą będziemy w domu. Dobrze bawiłaś się u Lindy? Pamiętaj, żeby zamknąć drzwi. Nie martw się. Bev na pewno wróci. Bóg nie pozwoli, żeby coś jej się stało. Kocham, mama.

Celeste odwróciła się od tablicy i spojrzała na zegar kuchenny – dwie po dziewiątej.

–Dzięki Bogu... Nie wpadną w jego ręce.

–Ręce – przypomniał sobie Joey. – Pokaż. Wyciągnęła dłonie przed siebie.

Krwawe stygmaty zbladły i zmalowały do wielkości dwóch małych siniaków.

–Do tej pory postępujemy w miarę prawidłowo. – Westchnął z ulgą. – Zmieniamy przyszłość... przynajmniej twoją. Musimy się tego trzymać.

Uniósł wzrok i zobaczył, że Celeste wpatruje się z napięciem w coś za jego plecami. Serce podeszło mu do gardła. Błyskawicznie odwrócił się na pięcie, gotowy do ciosu.

–Nie – zawołała. – Chodzi o telefon. – Podeszła do ściennego aparatu. – Wezwiemy pomoc. Zadzwońię do szeryfa, powiem mu, gdzie jest Bev, i każę im szukać P.J.

Telefon był stary, z tarczą zamiast klawiszy. Joey już zapomniał, że takie istniały. Ciekawe, że właśnie to o wiele bardziej niż pozostałe rzeczy przekonało go, iż naprawdę cofnął się w czasie.

Celeste wykręciła jakiś numer, a potem kilkakrotnie nacisnęła widelki.

–Nie ma sygnału.

–Wiatr, lód... musiało zerwać linię.

–Nie. To on. Poprzecinał druty. Joey wiedział, że miała rację.

Z trzaskiem odłożyła słuchawkę. Skinęła ręką, żeby poszedł za nią.

–Chodź. Weźmiemy coś lepszego niż łom.

Zaprowadziła go do gabinetu. Zdecydowanym krokiem podeszła do dużego dębowego biurka i ze środkowej szuflady wyjęła klucz do gabloty z bronią.

Tu też było mnóstwo książek. Joey z namysłem przesunął ręką po kolorowych grzbietach i powiedział:

–Dopiero teraz zrozumiałem... że P.J. ukradł moją przyszłość. Nie sądziłem, że tak się stanie.

Celeste otworzyła szklane drzwi gabloty.

–Co to znaczy?

–Chciałem zostać pisarzem. To było moje największe marzenie. Ale dobry pisarz... dobry pisarz zawsze poszukuje prawdy. Jak mogłem serio myśleć o pisarstwie, skoro pozwoliłem uciec memu bratu? Zostawił mnie praktycznie bez niczego. A potem... sam zaczął pisać.

Wyjęła strzelbę ze stojaka i położyła ją na biurku.

–Remington. Kaliber dwadzieścia, pump action. Niezła broń. Powiedz mi coś: skoro twoim zdaniem dobry pisarz musi poszukiwać prawdy, to jak P.J. w ogóle mógł zostać pisarzem? Przecież bez przerwy kłamie. Dobre są te jego książki?

–Ludzie tak mówią.

Wyciągnęła następną strzelbę i położyła ją obok pierwszej.

–Też remington. Tata lubi tę markę. Kaliber dwanaście. Kolba z orzechowego drewna. Ładna, prawda? Nie pytałam cię, co ludzie mówią, tylko co sam o nim sądzisz. To dobry pisarz... w twoim świecie?

–Znany i popularny.

–I co z tego? Wcale nie musi być dobry.

–Ma mnóstwo nagród, więc zawsze udawałem, że jego książki mi się podobają. Ale w środku... nie czułem tego.

Celeste kucnęła przed gablotą, wysunęła dolną szufladę i zaczęła czegoś szukać.

–No to dzisiaj odzyskasz swoją przyszłość... i będziesz naprawdę dobry.

W rogu pokoju stała szara metalowa skrzynka wielkości walizki. Coś w niej tykało.

–Co to jest? – zapytał Joey.

–Czujnik tlenku węgla i innych trujących gazów kopalnianych. Jeszcze jeden stoi w piwnicy. Teraz jesteśmy w przybudówce, więc gabinet musi być oddzielnie monitorowany.

–Włącza się alarm?

–Tak, gdy stężenie gazu przekroczy określoną normę. – Znalazła w szufladzie dwie paczki

nabojów. – We wszystkich domach w Coal Valley są podobnie czujniki. Zamontowano je już całe lata temu.

–Życie na bombie.

–Owszem, ale z bardzo długim lontem.

–Dlaczego jeszcze nie wyjechaliście?

–Biurokracja. Papiery. Ciągłe opóźnienia. Jeżeli ktoś się wyprowadza przed podpisaniem dokumentów, to władze uważają dom za opuszczony i nie chcą płacić pełnych rekompensat. Musisz tu nadal mieszkać i ryzykować życie, to wtedy może uda ci się wytargować uczciwą cenę.

Otworzyła pudełko z nabojami. Joey zrobił to samo.

–Umiesz strzelać? – zapytał.

–Od trzynastego roku życia chodziłam z tatą na strzelnicę i na polowania.

–Nie wyglądasz na myśliwego – zauważył, ładując strzelbę.

–Nigdy niczego nie zabiłam. Zawsze celuję obok.

–Tata tego nie zauważył?

–On też strzelał tak, żeby nie trafić. Bez różnicy, czy bierze sztucer, czy strzelbę... Pewnie myśli, że o tym nie wiem.

–To po co poluje?

Celeste skończyła ładować dwunastkę i uśmiechnęła się z czułością na wspomnienie taty.

–Lubi być w lesie. Uwielbia wędrówki wczesnym rankiem, zimne powietrze i świeży zapach sosen... Lubi być ze mną. Nigdy tego nie mówił, ale podejrzewam, że po cichu liczył na syna. Niestety, mój poród był skomplikowany i mama już nie może mieć więcej dzieci. Dlatego staram się we wszystkim dzielić pasję taty. Chyba nawet uważa mnie za niezłą chłopczycę.

–Jesteś niezwykła – mruknął Joey.

Celeste upychała dodatkowe naboje w kieszeniach czarnego płaszcza.

–Jestem jedynie taka, jaka być powinnam.

Jeszcze jedna dziwna uwaga, pomyślał Joey. Od początku nocy Celeste zachowywała się trochę zagadkowo. Spojrzał jej prosto w oczy i ponownie ujrzał w nich tajemniczą głębię – zbyt

wielką, żeby ją dokładnie zbadać – i dojrzałość, zgoła niepasującą do jej wieku. Nigdy przedtem nie poznał tak ciekawej dziewczyny. Miał nadzieję, że i w jego oczach jest coś chociaż w połowie tak atrakcyjnego.

Schowal naboje do dżinsowej kurtki.

–Myślisz, że Beverly była pierwsza? – spytała Celeste.

–Pierwsza?

–Pierwsza, którą zabił.

–Myślę, że tak... ale naprawdę nie wiem.

–Na pewno nie – odparła grobowym tonem.

–Później... to znaczy po Beverly... musiały być inne. Dlatego pędził tak cygańskie życie. „Poeta wielkich dróg”... Szlag by go trafił. Wciąż wędruje z miejsca na miejsce, żeby wywinąć się policji. Do diabła, że też nigdy dotąd o tym nie pomyślałem! Pewnie nie chciałem myśleć. Klasyczny przypadek socjopatologii. Samotnik, ciągle w drodze, outsider, zawsze obcy – po prostu niewidzialny. Łatwiej złapać mordercę, który szuka ofiar w tej samej okolicy. P.J. zrobił z wiecznej wędrówki niezłe płatny zawód, stał się sławny, bogaty i znalazł przykrywkę dla ohydnych zbrodni. Dzięki temu czuje się zupełnie bezpieczny. Seryjny morderca, powszechnie szanowany za wzniosłe opowieści o miłości, współczuciu i odwadze.

–Ale to dla mnie dopiero przyszłość – powiedziała Celeste. – Może wyłącznie moja, może nasza, a może tylko jedna z wielu wersji tego, co nas jeszcze czeka. Nie mam pojęcia, jak to działa. Nie wiem, czy w ogóle warto o tym myśleć.

Joey czuł w ustach dziwną gorycz – jakby prawda miała cierpki smak rozgryzionej na sucho tabletki aspiryny.

–Jedna przyszłość czy wiele... to nie ma znaczenia. I tak zawsze będę współodpowiedzialny za śmierć wszystkich ludzi, których P.J. zamordował później, po Beverly. Mogłem go powstrzymać.

–Pewnie dlatego tu teraz jesteś. Jeszcze masz szansę to odkręcić. Uratuj mnie i pozostałych... to na koniec ocalisz siebie, – Wzięła do ręki strzelbę i szcęknęła zamkiem. – Ja jednak jestem przekonana, że zabijał już przed Beverly. Załatwo sobie z tobą poradził, Joey. Za prędko zmyślił historyjkę o wypadku na Pine Ridge. Po pierwszej zbrodni na pewno byłby bardziej roztrzęsiony. Przestraszyłby się, widząc, że odkryłeś zabitą dziewczynę. A on tymczasem zręcznie cię oszukał. Niejeden raz woził zwłoki w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby je porzucić. Miał mnóstwo czasu, by się zastanowić nad tym, co powinien zrobić, kiedy go ktoś nakryje z trupem w bagażniku.

Joey wiedział, że miała rację – tak samo jak się nie myliła, twierdząc, że to nie zła pogoda jest przyczyną głuchej ciszy w telefonie.

Nic dziwnego, że wpadł w panikę w kancelarii adwokackiej, gdy Kadinska powiedział mu o testamencie ojca. Cała suma wymieniona w spadku pochodziła przecież od P.J. Przekłeta forsa, nie mniej zbrukana krwią niż trzydzieści srebrników Judasza. Nie mniej brudna niż wypłata z kasy samego diabła.

Joey zarepetował broń.

–Idziemy.

Deszcz ze śniegiem na powrót zmienił się w ulewę. Lód tajał szybko; ulice i chodniki pokryły się grząskim błotem.

Joey przez całą noc był zziębnięty i mokry. Prawdę mówiąc, to od dwudziestu lat żył w ustawicznym chłdzie. Zdążył się przyzwyczaić.

W połowie drogi zauważył, że ktoś podniósł maskę mustanga. Zanim dobiegł do samochodu, Celeste już z latarką w ręku zaglądała do silnika. Zniknęła kopułka rozrządu.

–P.J. się z nami bawi – mruknął Joey.

–Bawi.

–Dla niego to zabawne.

–Pewnie nas teraz obserwuje.

Joey spojrział na puste sąsiednie domy, na poruszane wiatrem drzewa i na ulicę, która na południu dobiegała do podnóża gęsto zalesionych gór, a na północy krzyżowała się z główną aleją przechodzącą przez całe miasto.

–Jest tu gdzieś – rzekła zaniepokojona Celeste.

Joey przytaknął, ale wiedział, że w tych warunkach, w deszczu i wietrze, P.J. był mniej uchwytny niż leniwy duch na seansie spirytystycznym.

–No dobrze. Od tej pory poruszamy się pieszo. Nic nie szkodzi. To małe miasto. Kto mieszka bliżej? Dolanowie czy Bimmerowie?

–John i Beth Bimmerowie.

–Z jego matką. Skinęła głową.

–Hannah. Cudowna starsza pani.

–Mam nadzieję, że nie przyjdziemy tam za późno – powiedział Joey.

–P.J. nie zdążyłby dotrzeć tutaj z kościoła przed nami, przeciąć linię telefoniczną, zaczekać, popsuć wóz i poszukać nowej ofiary.

Mimo to niemal biegiem puścili się do domu Bimmerów. W zdradliwym błocie nie mogli jednak iść tak szybko, jakby chcieli.

Dotarli mniej więcej do połowy ulicy, gdy pod ziemią rozległ się kolejny łomot, tym razem

dużo głośniejszy niż przedtem. Huk narastał, jakby zamiast lodzi płynącej po Styksie cały podziemny transport do krainy zmarłych odbywał się pociągami. Wszystko razem trwało niecałe pół minuty – bez katastrofalnej erupcji ogni piekielnych.

Bimmerowie mieszkali przy Alei Północnej, która nawiasem mówiąc, w ogóle nie zasługiwała na miano alei. Asfalt był spękany i mocno wybrzuszony z powodu ogromnego ciśnienia, które nieustannie działało na jezdnię od spodu. Niegdyś białe domy teraz nawet w nocy wyglądały bezbarwnie i szaro – jakby wymagały nie tylko malowania, ale przede wszystkim oskrobania z sadzy. Krzewy były pogięte, zdeformowane i karłowate. Niektóre całkiem obumarły. Dobrze chociaż, że drugi człon nazwy zachował aktualność – Aleja Północna naprawdę leżała na północy, po drugiej stronie Coal Valley, niecałe dwie przecznice od domu Bakerów.

Po jednej stronie ulicy ciągnął się rząd dwumetrowych rur, otoczony wysoką barierą z łańcucha. Z każdej z nich, z podziemnego księstwa, walił prosto w niebo słup szarego dymu. Z daleka wyglądało to niczym korowód potępionych duchów, rozrywanych wiatrem i splukiwanych deszczem tak długo, aż zostawała po nich tylko gryząca woń gotującej się smoły.

Jednopiętrowy domek Bimmerów był zadziwiająco wąski i przypominał raczej jeden ze ściśniętych szeregowców, które można zobaczyć w przemysłowych miastach, choćby takich jak Altoona albo Johnstown. Przez to wydawał się wyższy niż w istocie – i odpychający.

Na dole paliły się światła.

Joey i Celeste weszli na werandę. Ze środka dobiegała stłumiona muzyka i śmiech. Telewizja.

Joey otworzył zewnętrzne szklano-aluminiowe drzwi i zapukał w drugie, drewniane.

Niewidzialna publiczność znów gruchnęła śmiechem, tym razem o wiele głośniej. Wrzawie towarzyszyła skoczna melodyjka, grana na fortepianie. Był to wyraźny znak dla widzów, że powinni się dobrze bawić.

Joey odczekał chwilę i jeszcze raz zapukał, dłużej i dużo mocniej.

–Zaraz, zaraz... Nie pali się – zawołał ktoś z domu. Celeste głośno odetchnęła z ulgą.

–Nic im się nie stało.

Człowiek, który otworzył drzwi – John Bimmer – miał około pięćdziesięciu pięciu lat i był zupełnie łysy, jeżeli nie liczyć cienkiego wianuszka włosów, tworzącego coś na kształt tonsury Braciszka Tucka. Ogromny brzuch przelewał mu się nad paskiem. Obwisłe policzki, wory pod oczami i nalane rysy upodabniały go do towarzyskiego starego ogara.

Joey trzymał strzelbę przy nodze, dla bezpieczeństwa lufą w dół, więc Bimmer w pierwszej chwili nic nie zauważył.

–Strasznie jesteś nerwowy, młodzieńcze – mruknął uprzejmie. Potem zobaczył Celeste i uśmiechnął się od ucha do ucha. – Hej, panienko, ta cytrynowa beza, którą nam wczoraj przyniosłaś, była naprawdę pierwsza klasa.

–Panie Bimmer, my... – zaczęła.

–Pierwsza klasa – powtórzył, nie dając jej skończyć. Miał na sobie rozpiętą flanelową koszulę, biały podkoszulek i brązowe spodnie na szelkach. Znaczącym ruchem poklepał się po wydatnym brzuchu, aby podkreślić, że ciasto było istotnie dobre. – Pozwoliłem ją tylko powąchać obu moim paniom, a później całą zjadłem!

Głośny trzask odbił się echem w ciszy nocy, jakby wiatr złamał gałąź wiekowego drzewa. Lecz to nie była gałąź i trzask nie miał nic wspólnego z wiatrem, bo w tej samej chwili na białym podkoszulku na piersiach Bimmera wykwitła krwawa plama. Życzliwy uśmiech zamienił się w dziwny grymas. Bimmer poleciał w tył, porwany impetem strzału, i rąbnął na plecy. Joey natychmiast wepchnął Celeste do mieszkania i pociągnął ją na podłogę. Sam rzucił się za nią, upadł, przetoczył na wznak i kopnięciem zatrzęsł drzwi. Huknęły z taką siłą, że aż zatrzęsły się dwie fotografie – Johna Kennedy’ego i papieża Jana XXIII – i krucyfiks wiszący nad kanapą.

Bimmer leżał daleko od progu. Wszystko wskazywało na to, że pocisk, który go trafił, musiał być bardzo dużego kalibru. P.J. strzelał co najmniej ze sztucera na jelenie. A może nawet z czegoś większego. Prawdopodobnie używał pocisków HP – półplaszczowych z otwartym otworem.

Kiedy trzasnęły zamykane drzwi, żona Bimmera, w niebieskim szlafroku i koronie z różowych papilotów, zerwała się z fotela przed telewizorem. Przez krótki moment z osłupieniem patrzyła na to, co się działo. Ale gdy zobaczyła plamę krwi na piersiach męża i dwoje ludzi ze strzelbami w rękach, konkluzja wydawała jej się całkiem oczywista. Z krzykiem rzuciła się do ucieczki.

–Na ziemię! – wrzasnął Joey.

–Połóż się, Beth! – zawtórowała mu Celeste. Zaślepiąca paniką Beth Bimmer w ogóle ich nie słuchała. Żeby przedostać się na tył domu, musiała przebiec koło okna. Szyba rozprysła się z karygodnie wesołym brzękiem tłuczonego szkła, przypominającym trel dzwoneczków. Beth dostała postrzał prosto w skroń. Głowa odskoczyła jej na bok pod takim kątem, że bez wątpienia przy okazji pękły kręgi szyjne. A tymczasem widmowa publiczność w telewizji zanosila się od śmiechu. Beth upadła na podłogę u stóp zasuszonej i drobnej staruszki w żółtym dresie, siedzącej na kanapie.

To na pewno była matka Bimmera, Hannah. Nie miała czasu, żeby oplakiwać śmierć syna i synowej, bo dwa z następnych trzech pocisków lecących przez okno łaskawie uwolniły ją od wszelkich ziemskich zmartwień. Kolejnym strzałem nie towarzyszyła już muzyka szklanych

dzwonek. Hannah zginęła tam, gdzie siedziała, z ręką wyciągniętą w stronę hikorowej laski. Joey i Celeste nawet nie zdążyli krzyknąć.

Był późny październik 1975 roku. Wojna w Wietnamie dobiegła końca w kwietniu, lecz Joey miał wrażenie, że w tajemniczy sposób przeniósł się do Azji, na jakieś pole bitwy – jedno z tych, które w dzieciństwie oglądał w telewizji. Ktoś inny na jego miejscu zdrętwiałby ze strachu na widok naglej i niepotrzebnej śmierci. On jednak był czterdziestolatkiem zamkniętym w dwudziestoletnim ciele – więc miał za sobą dodatkowe dwadzieścia lat doświadczeń wyniesionych ze świata, w którym gwałt stał się czymś całkiem normalnym. Jako prawdziwy produkt końca drugiego tysiąclecia umiał zachować zimną krew nawet podczas najgorszej strzelaniny i bezsensownej rzezi.

Niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że on i Celeste są łatwym celem w jasno oświetlonym pokoju. Przetoczył się na bok i strzelił z remingtona do mosiężnej lampy z wielkim abażurem. Huk wystrzału ogłuszająco zabrzmiał w ciasnym pomieszczeniu, ale Joey tylko przeladował broń i wypalił do mniejszej lampki koło kanapy. W ten sam sposób zgasił lampkę z drugiej strony.

Celeste w lot pojęła jego intencje i strzeliła do telewizora, uciszając wybuchy śmiechu. Wierzący w nosie śwąd rozgrzanych tranzystorów natychmiast zdusił woń spalonego prochu.

–Trzymaj się nisko, pod oknami – powiedział Joey. Prawie ogłuchł od huków, więc wydawało mu się, że mówi przez gruby, zimowy wełniany szalik. Mimo to słyszał, że głos mu drży ze strachu. Był dzieckiem milenijnych szaleństw, obeznanym z widokiem ludzkiego okrucieństwa, a jednak czuł, że zaraz narobi w portki.

–Idź przy ścianie do drzwi... Wszystko jedno jakich. Trzeba jak najszybciej wynieść się z tego pokoju.

Czołgał się po ciemku, ciągnąc za sobą strzelbę. Ciekawiło go, jaką rolę wyznaczył mu P.J. w tym makabrycznym panoptikum. Przecież gdyby przypadkiem dopadł rodziców Celeste, miałby pełną obsadę z mieszkańców Coal Valley. Tymczasem Joey był święcie przekonany, że on też musi do czegoś być potrzebny. P.J. najpierw ścigał go samochodem, a potem kpiąco stanął na rozstajach, jakby czekał, aż brat pojedzie za nim. Z jednej strony dopuszczał się aktów brutalności, które normalny człowiek nazwałby szaleństwem, z drugiej zaś działał niezwykle rozważnie. Nawet w swoich morderczych fantazjach zdawał się postępować w myśl wyższego celu, choćby ten cel był najbardziej zwyrodniały.

W kuchni Bimmerów połyskiwało zielone światelko zegara nad piekarnikiem. Chociaż słabe, dawało wystarczająco wiele blasku, żeby rozróżnić większość szczegółów pomieszczenia. Joey wolał nie wstawać z podłogi.

Dwa okna. Jedno nad zlewem, drugie koło stołu. Oba z zasłonkami, ale na szczęście także z plastikową roletą, opuszczoną teraz zaledwie do połowy.

Joey podpełził do stołu i podniósł się ostrożnie, przyciskając plecy do ściany. Wsunął rękę i zaciągnął roletę do końca.

Dyszał ciężko ze strachu i wysiłku. Ubzdurało mu się, że P.J. także obszedł dom dookoła i stał teraz tuż za nim, za cieniutką ścianą. Co będzie, jeżeli poprzez szum deszczu i wiatru P.J. usłyszy jego chrapliwy i nierówny oddech? Mógł strzelić mu w plecy przez ścianę. Minęło kilka sekund, lecz nic się nie stało. Joey jakby trochę ochłonął z przerażenia.

Wolał, żeby Celeste leżała na podłodze poza zasięgiem strzałów, ale ona – ryzykując, że dostanie w rękę – zaciągnęła roletę na oknie nad zlewem.

–Nic ci się nie stało? – spytał Joey, kiedy już z powrotem znaleźli się na ziemi i spotkali na środku kuchni. Mimo zasłoniętych okien chodzili na czworakach.

–Wszyscy nie żyją, prawda? – szepnęła smutnym głosem.

–Tak.

–Cała trójka?

–Tak.

–A może...

–Nie. Na pewno nie żyją.

–Znałam ich od urodzenia.

–Przykro mi.

–Beth czasami się mną opiekowała, gdy byłam jeszcze mała. Zielony blask zegara nad piekarnikiem sprawiał wrażenie, jakby kuchnia Bimmerów zapadła się pod wodę lub przeniknęła przez jakąś dziwną „barierę czasu” do miejsca, w którym nie istniał normalny bieg wypadków. Lecz same światło nie miało w sobie uzdrowicielskiej mocy. Joey wciąż czuł ciężar w żołądku; z trudem przelatywał ślinę przez ściśnięte gardło.

Wyjął z kieszeni garść naboje, ale nie zdołał ich utrzymać w roztrzęsionych rękach.

–To moja wina – powiedział cicho.

–Nieprawda. P.J. wiedział, gdzie mieszkają. Wiedział, kto jeszcze został w mieście. To nie ty go tutaj sprowadziłeś. I tak by przyszedł.

Bezskutecznie próbował pozbierać rozsypane naboje. Palce miał jak zdrętwiałe. Ręce tak mu drżały, że postanowił poczekać z załadowaniem strzelby do czasu, aż trochę się uspokoi.

Dziwił się, że serce mu jeszcze nie stanęło. Wydawało mu się, że w piersiach ma sztabkę zimnego żelaza.

Przez chwilę nasłuchiwali odgłosów złowrogiej nocy. Czekali, aż dobiegnie ich ciche skrzypnięcie drzwi lub zgrzyt stłuczonego szkła pod stopą mordercy.

–Powiniennem od razu zawiadomić szeryfa, kiedy tylko znalazłem zwłoki w bagażniku – odezwał się w końcu Joey. – Gdybym to zrobił, nie byłoby dalszych ofiar.

–Nie możesz się za to obwiniać.

–To niby kto jest winny, do cholery?! – Zaraz pożałował tak ostrej odzywki. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie ciągle pobrzmiwała gorycz, ale był zły na siebie, a nie na dziewczynę. – Dobrze wiedziałem, co należy zrobić... i tego nie zrobiłem.

–Posłuchaj – powiedziała. W zielonym świetle znalazła jego rękę, ujęła ją i ścisnęła mocno. – Tu przecież chodzi o coś zupełnie innego. Sam pomyśl, Joey. Owszem, to prawda, że nie poszedłeś wtedy do szeryfa. Ale ten błąd popełniłeś przed dwudziestu laty! Dziś nie miałeś najmniejszej szansy. Przypomnij sobie, jak to się zaczęło. Nie znalazłeś zwłok w bagażniku. Niczego nie podejrzewałeś, dopóki nie skręciłeś na drogę do Coal Valley. Prawda?

–No tak...

–Jak w tym wypadku miałeś zwrócić się do szeryfa?

–Dwadzieścia lat temu...

–To już przeszłość. Okropna przeszłość, z którą częściowo musisz się pogodzić. Ale teraz są dużo ważniejsze sprawy. Liczy się tylko to, co postanowisz i zrobisz dzisiejszej nocy. Jak się zachowasz, wiedząc, że tym razem pojechałeś prawidłowo.

–Na razie nic mi się nie układa. Troje ludzi już nie żyje.

–I tak pewnie by zginęli – obstawała przy swoim Celeste. – Podejrzewam, że za pierwszym razem też nie dożyli rana. To bez wątplenia straszne i bolesne, ale nic już nie da się zmienić.

Joey wpadł w czarną rozpacz.

–To po cholere mam tę drugą szansę, skoro nie mogłem ich uratować?

–Być może uratujesz innych.

–A dlaczego nie wszystkich? Na pewno znów nawalę.

–Do licha, przestań się mazgać! To nie ty ustalasz, kto i jak przeżyje! Nie wiesz, ile zdołasz zmienić. Wszyscy tu mogą zginąć!

–Z wyjątkiem ciebie.

–Nie wiadomo. Może dla mnie nie ma już ratunku.

Po tych słowach Joey dosłownie zaniemówił. Celeste na pozór całkiem beznamiętnie mówiła o swojej śmierci, jakby już dawno pogodziła się z wyrokiem losu. On nie potrafił nawet o tym myśleć. Serce krajało mu się z rozpacz.

–Chyba wiem, co naprawdę powinieneś zrobić – ciągnęła. – P.J. nie może stąd wyjechać. Musisz powstrzymać falę zbrodni ciągnącą się przez dwie dekady. Tak wygląda twoje zadanie. Tu wcale nie chodzi o mnie. Nikogo nie musisz ratować. Zrób tylko coś, żeby P.J. już więcej nie mordował. Bóg nie żąda od ciebie niczego więcej.

–Tu nie ma Boga. Nie ma Boga w Coal Valley!

Mocno ścisnęła go za rękę, aż jej paznokcie wbiły mu się w skórę.

–Jak w ogóle możesz tak mówić?

–Popatrz na trupy w tamtym pokoju.

–Wyglupiasz się.

–A który bóg pozwoliłby ludziom tak ginąć?

–Mądrzejsi od nas pytali o to samo.

–I nie znaleźli odpowiedzi.

–Ale to nie znaczy, że jej nie ma! – zawołała z rosnącym zdenerwowaniem i niecierpliwością.

–Joey... Jeśli nie Bóg, to kto cię tutaj dziś sprowadził?

–Nie wiem – przyznał zbolalym głosem.

–Może Rod Serling? Trafiłeś do *Strefy mroku*? – spytała kpiąco.

–Jasne, że nie.

–Więc kto?

–Może to tylko... jakaś anomalia. Zupełnie przypadkowy uskok czasu. Fala energii. Coś niewytłumaczalnego i całkiem bez znaczenia. Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

–Ach, rozumiem... – rzekła z jawną drwiną i cofnęła rękę. – Awaria przeogromnej kosmicznej maszynerii.

–To chyba bardziej prawdopodobne niż ingerencja Boga.

–Znakomicie. Już nie jesteśmy w strefie mroku. Trafiliśmy na prom kosmiczny „Enterprise” pod dowództwem kapitana Kirka. Fale energii tworzą coś na kształt kapsuły czasu.

Nie odpowiedział.

–Pamiętasz *Star Trek*? Ktoś w ogóle pamięta takie rzeczy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym?

–Wszyscy – burknął. – To teraz większy biznes niż General Motors.

–No to spróbujmy w naszą rozmowę włączyć trochę chłodnej logiki Vulcanów. Jeżeli mamy do czynienia ze zwykłym uskokiem czasu, to dlaczego nie stałeś się znudzonym ośmiolatkiem, chorym na ospę i leżącym w łóżku? Albo dlaczego nie cofnąłeś się tylko o miesiąc i nie siedzisz pijany w przyczepie w Las Vegas, gapiąc się w telewizor, na którym migają stare kreskówki ze Strusiem Pędziwiatrem? Naprawdę myślisz, że to na skutek jakiejś tam twojej „anomalii” czystym przypadkiem po raz drugi przeżywasz najstraszniejszą noc w swoim życiu? Noc, która kiedyś odebrała ci całą nadzieję na przyszłość?

Joey uspokoił się, słuchając tej przemowy, choć w dalszym ciągu miał wisielczy nastrój. Zdolał jednak pozbiierać z podłogi naboje i naładować strzelbę.

–A może nie masz tu nic do roboty? – zainteresowała się Celeste. – Może nikogo nie uratujesz, nie dopadniesz mordercy i nie staniesz się bohaterem? Może wróciłeś tylko po to, żeby nareszcie w coś uwierzyć?

–Na przykład w co?

–Że na świecie naprawdę istnieją ważne rzeczy. Że można żyć dla wyższych celów.

Czasem zdawało mu się, że Celeste czyta w jego myślach. Rzeczywiście chciał w coś uwierzyć – tak jak wtedy, gdy był ministrantem. Na razie szamotał się pomiędzy nadzieją i rozpaczą. W pierwszej chwili, kiedy w lusterku ujrzał twarz dwudziestolatka, dziękował „komuś” – albo „czemuś” – za kolejną szansę. A teraz łatwiej wierzył w *Strefę mroku* lub błąd mechaniki kwantowej niż w Boga.

–Uwierzyć... – powtórzył na głos. – Tego właśnie zażądał ode mnie P.J. Miałem uwierzyć w jego niewinność i w to, że jest ze mną całkiem szczery. Zrobiłem to. Uwierzyłem. I co się ze mną stało?

–A jeśli to nie wiara w P.J. zniszczyła twoje życie?

–Na pewno go nie naprawiła – rzekł cierpko.

–Może kłopot polegał na tym, że nie wierzyłeś w nic innego?

–Przed laty byłem ministrantem. Ale potem z tego wyrosłem. Dojrzałem.

–Skoro przez krótką chwilę uczyłeś się w college’u, to na pewno słyszałeś słowo „przemądrzały” – odparła Celeste. – Wciąż taki jesteś. Wcale nie dojrzałeś.

–Za to ty wszystko wiesz najlepiej.

–Nic podobnego. Ale mój tato zawsze powtarza, że najwięcej wygrywa ten, kto umie przyznać się do swej niewiedzy. To pierwszy krok na drodze do prawdziwej mądrości.

–Twój tato? A od kiedy to dyrektor prowincjonalnego ogólniaka stał się słynnym filozofem?

–Teraz jesteś niemiły – powiedziała. Zapadła chwila ciszy.

–Przepraszam – szepnął Joey.

–Pamiętasz o tym, że też otrzymałam znak? Widziałam swoją krew na twoich palcach. Dlaczego miałabym nie wierzyć? Co ważniejsze, dlaczego sam nie wierzysz? Przecież ty to nazwałeś znakiem.

–Zrobiłem to bez zastanowienia, pod wpływem... emocji. Jak pomyśleć nad tym nieco głębiej, z chłodną logiką Vulcanów, o której wspominałaś...

–Jeśli człowiek zbyt dużo myśli, znika wszelka wiara – sentencjonalnie zauważyła Celeste. – Widzisz ptaka na niebie? Za moment gdzieś znika i nie ma dowodu na to, że w ogóle istniał. Skąd wiesz, że istnieje Paryż? Byleś tam kiedyś?

–Są tacy, którzy go widzieli. Wierzę im.

–Są tacy, co widzieli Boga.

–Ale nie tak jak Paryż.

–Można patrzeć i widzieć na różne sposoby – odparła. – Nie tylko oczami i przez wizjer kodaka.

–To zapytam raz jeszcze: jaki bóg może być aż tak okrutny, by pozwolić na śmierć trojga niewinnych ludzi?

–Śmierć nie musi być ostatecznością – odpowiedziała bez namysłu. – Jeśli to tylko brama do innego świata, to nie widzę w tym nic z okrucieństwa.

–Łatwo ci mówić. – Westchnął z wyraźną zazdrością. – Łatwo wierzyć.

–Ty też uwierzysz.

–Nie.

–Spróbuj.

–Nie potrafię – upierał się.

–To dlaczego w ogóle wierzysz, że tu jesteś? Powiedz sobie, że to głupi sen, przewróć się na drugi bok i śpij aż do rana.

Joey milczał. Nie potrafił znaleźć żadnej odpowiedzi.

Wiedział, że to bez sensu, ale mimo wszystko doczołgał się do wiszącego na ścianie telefonu, uniósł się, wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę. Cisza. Brak sygnału.

–Nie działa, bo nie może działać – powiedziała Celeste z nutą sarkazmu w głosie.

–Hej?

–Nie może działać. Chyba sam rozumiesz? Długo się nad tym namyślałeś. Przecież nie masz żadnych dowodów na to, że jest ktoś, do kogo mógłbyś zadzwonić. A skoro tu i teraz nie możesz udowodnić, że poza nami istnieją jacyś inni ludzie, to oni nie istnieją. To się nazywa solipsyzmem. Słyszałeś takie słowo na uczelni? Teoria, że istniejesz tylko ty, a wszystko inne jest twoim złudzeniem. Że nic nie można udowodnić poza twoją świadomością.

Joey zostawił słuchawkę wiszącą na drucie i oparł się plecami o najbliższą szafkę. Słuchał deszczu i wiatru, i charakterystycznej ciszy, otaczającej zmarłych.

–P.J. po nas nie przyjdzie – oświadczyła Celeste.

Joey już wcześniej doszedł do tego samego wniosku. P.J. wcale nie zamierzał ich zabić. Nie teraz. Później. Gdyby chciał to zrobić, zastrzelilby ich, kiedy stali do niego plecami, w pełnym świetle, przed domem Bimmerów. On jednak starannie wymierzył w wąską przestrzeń między nimi i przeszył kulą serce Johna Bimmera.

Z sobie tylko wiadomych pokrętnych powodów chciał, żeby widzieli śmierć ostatnich mieszkańców Coäl Valley. Zapewne wybrał Celeste na dwunastą ofiarę. Na dwunastego apostoła w upiornym teatrze duchów w dawnym kościele.

A co ze mną? – rozmyślał Joey. Co chowasz w zanadrzu dla mnie, starszy bracie?

Kuchnia Bimmerów była czyścicem o podłodze z linoleum i blatach z płyty paździerzowej. Joey czekał, że lada chwila coś go zabierze z tego miejsca mocą wydarzeń albo inspiracji. Liczył na cud, który mu podpowie, jak ma powstrzymać brata.

Wizyta u Dolanów, której towarzyszyła płonna nadzieja, że to może uchroni ich od śmierci, wydawała mu się czystą głupotą. Nie chciał bezradnie patrzeć na pięć trupów.

A gdyby wśliznąć się tam po cichu i nie dopuścić, żeby ktoś z nich wyszedł na werandę albo stanął za blisko okna? Na dobrą sprawę wszyscy mogliby się zabarykadować w domu. Ale co będzie, jeśli P.J. podłoży ogień, chcąc ich usmażyć w tej kryjówce? Lub z karabinem w rękę spokojnie poczeka, żeby ich powystrzelać w momencie ucieczki?

Powiedzmy, że mają garaż w przybudówce. Że wsiądą do samochodu. Przecież P.J. najpierw unieruchomi wóz, strzelając w opony, a potem zasypie ich gradem ołowiu. Bez trudu wszystkich zabije.

Joey nigdy w życiu nie spotkał Dolanów. W tej chwili wmawiał sobie, że istnieją. Okazało się to dużo trudniejsze, niż przypuszczał. O wiele łatwiej było siedzieć w kuchni i nic nie robić. Niech Dolanowie – jeśli w ogóle są – sami zatroszczą się o siebie. Tu są przyjemne zielone cienie, słabutki zapach cynamonu, mocna woń świeżej kawy w dzbanku, dotyk twardego drewna pod plecami, chłodna podłoga i szum lodówki.

Dwadzieścia lat temu też nie wierzył, że nastąpią kolejne morderstwa. Stanął tyłem do zwłok leżących w bagażniku. Nie widział zakrwawionych twarzy i stosu z maltretowanych trupów. Były dla niego równie nierealne niczym paryżanie dla wyznawcy solipsyzmu. Ilu ludzi zginęło z rąk P.J., począwszy od tamtej nocy? Dwa zabójstwa rocznie to razem czterdzieści. Nie. Za mało. Brakuje w tym wyzwania, brakuje ekscytacji. Ponad jedno miesięcznie? Dwieście pięćdziesiąt ofiar, zhańbionych i torturowanych, porzuconych później gdzieś na odludziu w jednym czy drugim końcu kraju lub zakopanych w płytkiej mogile. P.J. był zdolny do wszystkiego. A Joey dał mu wolną rękę, nie wierząc w straszną prawdę.

Pierwszy raz w pełni zrozumiał, jak wielkie jest to brzemię, które kiedyś, przed laty, wziął na swoje barki. Okazało się większe, niżby chciał uwierzyć. Krótka chwila słabości wywołała triumf tak ogromnego zła, że teraz poczuł, jak miążdży go straszliwy ciężar, który przygwoździł jego duszę.

Brak działania może okazać się dużo gorszy w skutkach niż działanie.

–P.J. liczy na to, że pójdziemy teraz do Dolanów – powiedział Joey grubym głosem. – Chce, żebym był świadkiem ich śmierci. Jeżeli tego nie zrobimy... to przynajmniej damy im nieco czasu.

–Nie możemy tu bez przerwy siedzieć – odparła Celeste.

–Nie. Prędzej czy później i tak ich zabije.

–Prędzej – zawyrokowała.

–Musimy zrobić coś dziwnego, dopóki nas obserwuje. Coś, czego nigdy by się po nas nie spodziewał. Coś, co zacieka go do tego stopnia, że pójdzie za nami, porzucając na razie myśl o Dolanach. Coś, co go zdziwi i zaniepokoi.

–Ale co?

Szum lodówki. Deszcz. Kawa, cynamon... Zegar w piekarniku. Tik... tak...

–Joey? – zniecierpliwiała się Celeste.

–Trudno mi wymyślić coś w miarę mądrego – przyznał z niechęcią. – Wszystko zawsze robi z dużą pewnością siebie.

–To tylko kwestia wiary.

–Wiary? A w co on może wierzyć?

–Na przykład w siebie. W swój urok, spryt, inteligencję... W przeznaczenie. Wiem, że to chore i zupełnie nieprzystające do religii, ale on wierzy w siebie z taką pasją, że staje się niepokonany. To go napawa olbrzymią siłą.

Joey poderwał głowę na te słowa, chociaż w pierwszej chwili nie wiedział, co go tknęło.

Potem rzekł z nagłym podnieceniem:

–Masz rację. Chodzi o wiarę. Ale nie tylko wiarę w siebie. Musi wierzyć w coś więcej, prawda? Przecież to chyba oczywiste. Dowody mamy jak na dłoni, tylko nie chciałem ich zobaczyć. Wierzy, wierzy, naprawdę wierzy... i to nam daje pewną przewagę. Już wiem, jak można go nastraszyć.

–Jeszcze nie wszystko załapałam – z niepokojem odparła Celeste.

–Później ci to wyjaśnię. Teraz mamy za mało czasu. Poszukaj świeczek i zapalek. Weź jakiś pusty słoik lub butelkę i nalej wody.

–Po co?

Joey zdążył już podnieść się z podłogi, ale wciąż kucał.

–Zrób, co ci mówię. Biorę latarkę, więc może otwórz drzwi od lodówki, żeby mieć trochę

więcej światła. Przypadkiem nie pal jarzeniówek. Świecą za jasno i twój cień będzie widoczny na rolcie. Nie chcę, żeby P.J. cię zastrzelił, bo już się znudził ciągłym czekaniem.

Podpełził do drzwi. Celeste została sama w zielonej poświacie.

–Dokąd idziesz? – zawołała za nim cicho.

–Do salonu. A potem na górę. Muszę stamtąd zabrać parę rzeczy.

–Jakich?

–Zobaczysz.

W dużym pokoju tylko dwa razy błysnął latarką, żeby ominąć trzy nieruchome ciała. Przy drugim błysku ujrzał szeroko otwarte oczy Beth Bimmer, wpatrzone gdzieś daleko, ponad sufit, ponad dach domu, poza deszczowe chmury i Gwiazdę Polarną.

Żeby zdjąć ze ściany krucyfiks, musiał wejść na kanapę i stanąć przy zwłokach babci. Gwóźdź był wbity nie tylko w gips, ale wchodził w belkę i miał główkę większą od mosiężnego uszka, na którym wisiał krzyżyk. Joey musiał się po ciemku sporo napracować, żeby go wyrwać ze ściany. Przez cały czas bał się, że Hannah upadnie mu na nogi. W końcu jednak jakoś dopiął swego i zszedł na podłogę, nie dotykając ciała.

Trzeci błysk światła, czwarty... i już był na schodach.

Na piętrze znalazł trzy małe pokoje i łazienkę. Po kolei zaglądał do wszystkich pomieszczeń, szybko świecąc po kątach latarką.

Jeśli P.J. wciąż go obserwował, to na pewno zachodził w głowę, co się dzieje.

Okazało się, że babcia Bimmer, mimo swoich lat i hikorowej laski, mieszkała właśnie na piętrze. W jej pokoju Joey znalazł wszystko, co potrzebne. W rogu, na niewielkim trójnożnym stoliku w kształcie kawałka ciasta stała kapliczka z Matką Boską. Ceramiczny posążek był wysoki na jakieś dwadzieścia pięć centymetrów i podświetlany małą, trzywattową żarówką. Obok na blacie ktoś postawił trzy świece w rubinowoczerwonych szkiełkach – wszystkie zgaszone.

Joey znów na moment zapalił latarkę, żeby sprawdzić, czy pościel jest na pewno biała. Potem ściągnął poszwę, prześcieradło i starannie zawinął swoje znalezisko.

Zszedł na dół do salonu.

Wiatr dmuchał przez wybitą szybę, szarpiąc zasłonami. Joey przez dłuższą chwilę stał na schodach, póki się nie upewnił, że przy oknie nic się nie porusza poza trzepoczącym kawałkiem tkaniny.

Zmarli są zmarłymi, więc mimo dopływu świeżego powietrza w pokoju już śmierdziało tak jak w bagażniku, w którym spoczywała zabita blondynka.

Joey poszedł do kuchni. Drzwi lodówki były uchylone na kilka centymetrów, a Celeste wciąż buszowała po szafkach.

–Znalazłam litrowy plastikowy kanister – zameldowała. – Wlałam do niego wody. Są zapalki... ale nie ma świeczek.

–Szukaj dalej – powiedział Joey. Położył na podłodze poszwę, w której przyniósł rzeczy zabrane z pokoju babci Hannah.

W kuchni było troje drzwi – jedne do pokoju, a drugie na tylną werandę. Joey otworzył trzecie. Poczul zimny powiew i zapach benzyny zmieszanej z olejem. Znalazł garaż.

–Zaraz wracam – zawołał.

W świetle latarki zobaczył, że jedyne okienko na przeciwległej ścianie było zasłonięte grubą naoliwioną szmatą. Zapalił górną lampę.

Przed nim stał stary, lecz dobrze utrzymany pontiac, szczerzący chromowane zęby.

Półki z narzędziami wisiały nad prostym steranym warsztatem. Joey wybrał najcięższy z trzech młotków i przez chwilę grzebał w pudełkach z gwoździami, aż wreszcie wyszukał takie, jakie były mu potrzebne.

Wrócił do kuchni. W tym samym czasie Celeste wreszcie znalazła sześć świeczek. Beth Bimmer kupiła je zapewne po to, by przyozdobić nimi dom lub stół na święta. Były wysokie na piętnaście centymetrów, grube na prawie dziesięć i bardzo kolorowe. Trzy czerwone, trzy zielone. Wszystkie pachniały wawrzynem.

Joey wolałby zwykle długie, białe świece.

–Trudno – mruknął. – Musimy brać, co jest. Rozsupłał toból zrobiony ze zwiniętej pościeli i włożył do niego świece, zapalki, młotek i gwoździe.

–Po co ci to wszystko? – spytała Celeste.

–Cicho. Wślizniemy się do świata jego fantazji.

–Jakich fantazji?

–Nie ma czasu na wyjaśnienia. Zobaczysz. Chodź. Wzięła strzelbę i kanister z wodą. Joey chwycił tobolek w jedną rękę, a broń w drugą. Tak objuczeni nie mieliby nawet szans strzelić, gdyby nagle się musieli bronić.

Joey po cichu liczył na to, że P.J. nie zechce szybko zakończyć zabawy. Przecież na razie z przyjemnością napawał się ich strachem. Bez wątpienia był zadowolony.

Wyszli frontowymi drzwiami – nie kryjąc się i bez wahania. Nie zamierzali się wymykać. Wręcz przeciwnie, chcieli pobudzić ciekawość mordercy i nakłonić go, by ich dalej śledził. Mimo to Joey poczuł ucisk w brzuchu. Z napięciem oczekiwał strzałów. Nawet nie tyle bał się, że sam zginie, ile że kula wymierzona w głowę na zawsze zniszczy delikatną urodę Celeste.

Smagani deszczem zeszli z werandy, minęli trawnik i skręcili w lewo. Ruszyli w stronę głównej drogi, przecinającej Coal Valley.

Kominy rozmieszczone wzdłuż całej alei zaszumiały nagle, jakby ktoś przełączył gigantyczny palnik kuchenki gazowej. Ze wszystkich rur strzeliły w górę złowrogie języki żółtego ognia, przetykane niebieskim płomieniem.

Celeste krzyknęła ze zdumienia.

Joey rzucił toból na ziemię, pochwycił strzelbę w dłonie i okręcił się na pięcie, celując w lewo i w prawo. Był przekonany, że to P.J. wyciął im jakiś paskudny kawał i doprowadził do erupcji.

Morderca jednak się nie pokazał, chociaż zapewne był w pobliżu.

Ogień nie płonął całkiem zwyczajnie i nie odchyłał się od wiatru niczym bandera na szczycie masztu. Wciąż jak z miotacza walił pionowo co najmniej na półtora metra, wskutek podziemnego ciśnienia.

Nie słyhać było groźnych pomruków, ale ryk gazów uchodzących metalowym szybem robił taki hałas, że Joey czuł, jak mu wibrują kości. Najdziwniejsze, że ów dźwięk miał w sobie coś groźnego, jakby w ogóle nie należał do świata natury, lecz był krzykiem demona, zamkniętego w piekle i wyjącego bardziej ze złości niż bólu.

–Co się dzieje? – głośno zawołał Joey, chociaż Celeste stała tuż obok niego.

–Nie mam pojęcia!

–Nigdy czegoś takiego nie widziałaś?

–Nie! – odpowiedziała, rozglądając się ze strachem i zdziwieniem.

Rury zmieniły się w puszczalki olbrzymiej parowej katarynki, wypełniającej noc przedziwną kakofonią jęków, ryków, westchnień, gwizdów i szaleńczych wrzasków. Dudniące echo odbijało się od poczerniałych ścian opuszczonych domów i od okien czarnych niczym oczy ślepeca.

W widmowym blasku rzucanym przez języki ognia, w potokach deszczu wlatywały jakieś czarne plamy na kształt pterodaktyli. Mamucie sylwetki chwiejnie wędrowały Aleją Północną

niczym cień gigantycznej armii o dwa kroki dalej przechodzącej na drugą stronę ulicy.

Joey podniósł tobolek z ziemi. Czas uciekał w coraz szybszym tempie.

–Chodź. Szybko. Biegniemy.

Ruszyli przez głębokie do kostek kałuże. Tymczasem koncert podziemnych gazów urwał się jak nożem uciął. Upiorne światło zamigotało raz i drugi, a potem zgasło. Wędrujące cienie przepadły w nieruchomym mroku.

Przy zetknięciu z gorącym metalem deszcz zmieniał się w obłoki pary. Głośny syk narastał ponad szum ulewy, jakby w Coal Valley zagnieździły się tysiące węży.

Drzwi do kościoła wciąż były otwarte. Nikt też nie zgasił światła, które przedtem zapalił Joey.

Celeste weszła pierwsza. Joey szybko wsunął się za nią do sieni i zamknął podwoje. Wielkie zawiasy zaskrzypiały głośno – tak jak się spodziewał. Gdyby P.J. przypadkiem wybrał tę samą drogę, to nie zdołałby cicho zakraść się za nimi.

Przystanęli pod łukiem pomiędzy przedsionkiem a nawą. Joey wskazał dziewczynie marmurową chrzcielnicę, tak białą i wyschniętą jak prehistoryczna czaszka.

–Nalej do niej wody.

–Po co?

–Zrób, co mówię – rzucił niecierpliwie.

Celeste postawiła strzelbę pod ścianą i zdjęła pokrywkę z kanistra. Woda z bulgotem i pluskiem spłynęła do chrzcielnicy.

–Zabierz kanister – polecił Joey. – P.J. nie może go zobaczyć. Poszli środkiem kościoła, przez furtkę w balustradzie i dalej podcieniem, aż do prezbiterium.

Ciało Beverly Korshak, owinięte w folię, w dalszym ciągu leżało na podium ołtarza. Błady pagórek.

–Co dalej? – spytała Beverly, podchodząc do schodów. Joey położył biały toból przy zwłokach.

–Pomóż mi ją przenieść.

Celeste skrzywiła się z niechęcią na tę propozycję.

–Dokąd?

–Na przykład do zakrystii. Nie może tutaj leżeć. Profanuje kościół.

–Tu już nie ma kościoła – przypomniała mu.

–Ale zaraz będzie.

–O czym ty mówisz?

–Poczekaj, aż skończymy.

–Nie zrobimy na nowo kościoła! Do tego jest potrzebny biskup czy ktoś w tym rodzaju...

–Dobrze, nie mamy odpowiedniej władzy. Ale to nic nie szkodzi. Odegramy komedię na użytek P.J. Może wystarczy tylko właściwa sceneria... Pomóż mi, Celeste. Proszę.

Podeszła do niego z wyraźnym ociąganiem. Razem wynieśli ciało z sanktuarium i złożyli je w zakrystii – niewielkiej izdebce, w której kiedyś księża przygotowywali się do nabożeństwa.

Podczas pierwszej wizyty w kościele Świętego Tomasza Joey spostrzegł, że drugie drzwi – wiodące z zakrystii na zewnątrz – pozostały otwarte. Zamknął je na zasuwkę. Teraz z ulgą stwierdził, że nadal są zamknięte.

Inne drzwi prowadziły na schody do podziemia. Joey wbił wzrok w ciemność.

–Przychodziłaś tutaj od dziecka, prawda? – spytał. – Jest stamtąd jakieś inne wyjście?

–Nie. Nie ma nawet okna. Wszystko głęboko pod ziemią. To tędy też się nie dostanie, pomyślał Joey. Pozostawały tylko drzwi od frontu.

Wrócili do sanktuarium. Joey żałował trochę, że nie mają stolika, który mógłby zastąpić ołtarz. Musiał mu wystarczyć goły podest.

Rozplatał węzeł, rozwinął pościel i odłożył na bok młotek, pudełko gwoździ, czerwone i zielone świece, małe wypalone świeczki z pokoju babci, zapalki, krucyfiks i posążek Matki Boskiej.

Celeste pomogła mu nakryć poszwą i prześcieradłem cały podest.

–Być może przybił ją do podłogi, gdy... gdy zaspokajał swoje żądze – mruknął Joey tonem zastanowienia. – Lecz nie chodziło tylko o torturę. Dostrzegaliśmy w tym coś ważniejszego. Akt świętokradztwa. Rodzaj bluźnierstwa. Gwałt i morderstwo stało się dla niego częścią ceremonii...

–Ceremonii? – Celeste się wzdrygnęła.

–Sama mówiłaś, że jest tak silny i stanowczy, bo w coś wierzy. Na przykład w siebie. Myślę, że chodzi o dużo więcej. Że przeszedł na ciemną stronę.

–Satanista? – Z powątpiewaniem pokręciła głową. – P.J. Shannon, gwiazdor futbolu, Pan Sympatyczny?

–Przecież oboje dobrze wiemy, że taka postać nie istnieje. Zapewne nigdy jej nie było. Tyle przynajmniej nam zdradziły zwłoki Beverly Korshak.

–Dostał stypendium w Notre Dame, Joey. Myślisz, że w South Bend pozwalają studentom na czarną mszę?

–Może to wszystko zaczęło się już tutaj, zanim wyjechał na uniwersytet, a potem do Nowego Jorku.

–Trudno uwierzyć. – Westchnęła.

–Trudno, ale w siedemdziesiątym piątym – zgodził się, wygładzając fałdy prześcieradła. – Lecz w moich czasach takie rzeczy są na porządku dziennym. Byle uczeń, kiedy mu coś dolega, staje się satanistą. Uwierz mi. To samo było w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych... może tylko na mniejszą skalę.

–Nie podobają mi się twoje czasy.

–Nie tylko tobie.

–P.J. miał kłopoty w szkole?

–Nie. Ale czasami ci najspokojniejsi są najbardziej sfrustrowani.

Mocniej naciągnął pościel na podest. Zniknęły ostatnie fałdy. Bawełna wydawała się bielsza niż przedtem, wręcz błyszcząca w przyćmionym świetle.

–Na początku wspomniałaś – mówił dalej Joey – że on zachowuje się jak nawiedzony. Jakby uważał się za wybrańca. A jeśli tak jest istotnie? Jeżeli myśli, że na mocy paktu może do woli grzeszyć i czuć się bezpieczny?

–Chcesz powiedzieć, że zaprzedał duszę?

–Nie. Wcale nie twierdzę, że ktoś z nas ma duszę i można ją sprzedać. Ale P.J. żyje w świecie własnych mrocznych fantazji. Wierzy w nie i z nich czerpie nadzwyczajną siłę.

–Ludzie na pewno mają dusze – cicho, ale dobitnie szepnęła Celeste.

Joey wziął do ręki młotek i gwoździe.

–Przynieś krzyż – powiedział.

Poszedł na tył sanktuarium, tam gdzie kiedyś wisiał trzyipółmetrowy symbol Męki Pańskiej. Na ścianie nie było lamp; światło biło z dołu, z dwóch wmontowanych w podłogę reflektorów. Dzięki temu wzrok wiernych w swoistej kontemplacji zwracał się ku górze. Joey wbil gwoździe w mur nieco nad poziomem oczu.

Celeste zawiesiła krucyfiks i kościół Świętego Tomasza znów miał krzyż nad ołtarzem.

Joey przelotnie zerknął na zapłakane okna i monotonną ciemność nocy. Ciekawe, czy P.J. teraz nas obserwuje? – przemknęło mu przez głowę. A jeśli tak, to co sobie myśli o naszych działaniach? Śmieje się czy przeciwnie – szaleje z niepokoju?

–Zamierzał tu urządzić coś na wzór teatru – powiedział Joey. – Urażliwą grupę dwunastu apostołów, z dwunastu nieboszczyków w zniszczonym kościele. To nie tylko szaleństwo. To prawie... ofiara.

–Mówiłeś przedtem, że uważał się jakby za Judasza.

–Zdrajcę. Zdradził swoich najbliższych, rodzinę, wiarę, Boga... Wszędzie sieje zepsucie, jeśli tylko zdoła. Dał mi trzydzieści dolców i odesłał do szkoły.

–Trzydzieści dolarów... trzydzieści srebrników.

Joey z powrotem podszedł do podestu i na rogu ustawił w szeregu sześć świeczek.

–Trzydzieści dolarów. Taki drobny symbol... który bez wątpienia sprawił mu uciechę. Zapłacił mi za to, że go nie zdradziłem. W ten sposób zrobił ze mnie małego Judasza.

Celeste ze zmarszczonymi brwiami sięgnęła po zapalki i zaczęła zapalać świece.

–Zatem wybrał... Judasza na patrona? Świętego ciemnych mocy?

–Chyba coś w tym rodzaju.

–A Judasz poszedł do piekła za zdradę Chrystusa? – zapytała.

–Jeżeli wierzysz w piekło, to na pewno zajmuje tam jeden z najciemniejszych lochów – odparł.

–Ty oczywiście nie wierzysz w nic takiego.

–Moje poglądy tu nie mają żadnego znaczenia. Ważne, w co wierzy P.J.

–Grubo się mylisz.

Joey puścił jej słowa mimo uszu.

–Wcale nie twierdzę, że znam wszystkie wzloty i upadki jego pokrętej psychiki. Postrzegam to jedynie z grubsza. Podejrzewam, że nawet pierwszorzędnego psychiatrę miałby kłopot, gdyby chciał nakreślić dokładny obraz tego, co się dzieje w głowie mojego brata.

Celeste zapaliła ostatnią świeczkę.

–Zatem przyjechał z Nowego Jorku, poszwendował się po okolicy i ujrzał różne dziwne rzeczy, które zdarzyły się w Coal Valley. Puste domy. Dziury w ziemi. Więcej rur sterczących na ulicach. Otwarte morze ognia na przedmieściach. Kościół odarty z wszelkiej świętości. Tak jakby całe miasto staczało się do piekła. Zapadało na jego oczach. Myślisz, że to go podniecało?

–Tak. Wielu szaleńców przywiązuje niemałą wagę do symboli. Żyją w zupełnie innym świecie. W świecie, gdzie dosłownie wszystko ma mniej lub bardziej ukryte znaczenie. Tam brakuje miejsca na przypadki.

–Miałeś to kiedyś na klasówce? Nieźle wykuleś cały temat.

–Przez lata czytywałem książki o chorobach umysłowych. Początkowo wmawiałem sobie, że szukam punktu zaczepienia, żeby rozpocząć pracę nad powieścią. Później, kiedy już nabrałem pewności, że nie będzie ze mnie pisarza, traktowałem to jako rodzaj hobby.

–A w rzeczywistości próbowałeś zrozumieć brata.

–P.J. jest psychopatą o skrzywieniu religijnym. Może widywać diabły i anioły przebrane za zwykłych ludzi. Wierzy, że za każdą sprawą kryją się kosmiczne siły. W jego świecie trwa nieustanna wojna i wszyscy wciąż spiskują.

Celeste pokiwała głową. W końcu była córką dyrektora szkoły i wychowywała się w domu pełnym książek.

–Żyje w krainie zwanej Paranoją. Pewnie zabijał już od dawna, być może zanim trafił do college’u... Dziewczyna tu, dziewczyna tam, mała ofiara dla demonów. Ale oniemiał, kiedy zobaczył, co się naprawdę dzieje w Coal Valley. Uznał, że pora zrobić coś wielkiego.

Joey postawił figurkę Matki Boskiej na prześcieradle, po przeciwnej stronie niż zapalone świece, i wetknął wtyczkę w gniazdko przy podeście.

–Teraz zburzymy jego plany i otworzymy drzwi do Boga. Zaprosimy go do kościoła. Przenikniemy do jego świata. Symbol za symbol, przesąd za przesąd...

–To go powstrzyma? – zapytała. Przeszła na jego stronę ołtarza i zapaliła świece w rubinowych szkiełkach, które przed chwilą starannie ustawił przed figurką.

–Zaniepokoi. To przede wszystkim musimy zrobić. Potrząsnąć nim, zepchnąć do obrony i wyciągnąć z mroku. Wtedy będziemy mieli trochę większe szanse.

–Jest jak wilk – przytaknęła Celeste. – Węszy wokół obozu, tuż poza kręgiem ognia.

–Wymyślił sobie tę ofiarę. Dwanaście ciał, dwanaście niewinnych osób. Teraz chce wypełnić wcześniejszą obietnicę. Lecz ceremoniał miał się odbyć w kościele pozbawionym Boga.

–Mówisz tak... jakbyś dokładnie znał jego myśli i uczucia.

–Jest moim bratem.

–To trochę straszne – powiedziała.

–Dla mnie też. Lecz dobrze wiem, dlaczego mu potrzebny kościół Świętego Tomasza. Do rana już nie znajdzie innego przybytku. A przecież musi skończyć to, co zaczął. Dzisiaj. Jeśli nas widzi, to na pewno już dawno zrozumiał, że chcemy pokrzyżować jego plany. Przyjdzie więc, żeby nas powstrzymać.

–Nie może nas po prostu zastrzelić przez okno i samemu przywrócić kościół do dawnego stanu?

–Mógłby, gdyby o wiele wcześniej przejrzał nasze zamiary. Ale od chwili, gdy powiesiliśmy krzyż, jest na to już za późno. Nawet jeżeli nie nadażam za jego fantazjami... albo odwrotnie, jeśli zachował choć trochę rozsądku... to i tak nie zbliży się do krucyfiksu. Pod tym względem ma w sobie coś z wampira.

Celeste skończyła zapalać świece.

„Ołtarz” na pozór był absurdalny – niczym namiastka zbudowana przez dzieci bawiące się w kościół. Ale z drugiej strony rzeczywiście stwarzał zaskakująco wierną iluzję świętego miejsca. Może sprawiało to światło lub ostry kontrast z nagim, ubogim i zakurzone wnętrzem, lecz biała pościel leżąca na podeście emanowała jakimś dziwnym blaskiem, jakby ktoś pokrył ją fosforyzującą farbą. Joey jeszcze nigdy nie widział takiej bieli. Krucyfix, oświetlony z dołu pod bardzo ostrym kątem, rzucał ogromny cień na ścianę sanktuarium. W tej chwili zdawał się równie wielki jak rzeźba, która tam przedtem wisiała. Grube świąteczne świece dawały jasny, równy płomień, nieczuły na podmuchy wiatru hulającego po świątyni. Żadna z nich nie kopcila i nie zamierzała zgasnąć. Co ciekawsze, zapach wawrzynu w tajemniczy sposób przypominał woń kadzidła. Przypadek sprawił, że środkowa świeca w rubinowym szkiełku rzucała migoczącą czerwoną poświatę na pierś mosiężnej figurki Chrystusa wiszącego na krzyżu.

–Wszystko gotowe – oznajmił Joey.

Położył strzelby na podłodze, w ukrytym miejscu, lecz w zasięgu ręki.

–Widział je już przedtem – przypomniała Celeste. – Wie, że jesteśmy uzbrojeni. Nie podejdzie na tyle blisko, żeby któreś z nas mogło strzelić.

–Może tak, może nie... – odparł Joey. – To zależy od tego, jak mocna jest jego wiara w te mrzonki. Jeśli uważa, że jest nieśmiertelny...

Odwrócił się tyłem do ołtarza i przyklęknął tuż za balustradą oddzielającą prezbiterium od reszty kościoła. Gruba poręcz i masywne tralki zapewniały mu pewną osłonę przed kulami, ale nie ludził się nadzieją, że jest całkiem bezpieczny. Między tralkami były odstępy na prawie osiem centymetrów. Pocisk dużego kalibru ze sztucera bez trudu mógł rozłupać stare i wyschnięte drewno, w dodatku sypiąc naokoło ostrymi jak nóż drzazgami. Celeste klęknęła obok.

–Obejdzie się bez strzelaniny – powiedziała, jakby czytała w jego myślach.

–Skąd wiesz?

–Bo to nie kwestia siły, tylko wiary.

Znów zobaczył w jej ciemnych oczach błysk wielkiej tajemnicy. Miała przedziwnie spokojną minę – zbyt pogodną, biorąc pod uwagę sytuację, w której się znaleźli.

–Wiesz coś, czego ja nie wiem? – spytał.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała mu się prosto w oczy. Potem spojrzała w głąb nawy i odrzekła:

–Nawet sporo.

–Czasem wyglądasz jak...

–Jak kto?

–Jakoś inaczej.

–Inaczej?

–Inaczej niż normalni ludzie.

Cień uśmiechu na moment zagościł na jej ustach.

–Nie jestem tylko córką dyrektora.

–Tak? Kim jeszcze?

–Kobietą.

–Tu jednak chodzi o coś więcej – odparł.

–Więcej?

–Czasem wydajesz mi się... starsza niż w rzeczywistości.

–Wiem o czymś.

–O czym?

–O czymś ważnym.

–Chyba też powinienem o tym wiedzieć.

–Na razie to niemożliwe – odpowiedziała tajemniczo i jej blady uśmiech zniknął.

–To dotyczy nas obojga? – szybko spytał Joey natarczywym tonem.

Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

–O tak.

–Jeśli wiesz coś, co może pomóc...

–Bardziej, niż sądzisz – szepnęła.

–Słucham?

–To nas dotyczy dużo bardziej, niż sądzisz.

Joey nie wiedział, co o tym myśleć. Może to tylko gra wyobraźni?

Celeste z powrotem odwróciła wzrok w stronę nawy. Czekali w milczeniu.

Szum ulewy przypominał trzepotanie ptaków rozpaczliwie usiłujących wydostać się z pułapki.

–Ciepło mi – odezwał się po pewnym czasie Joey.

–Tak, temperatura wzrasta już od dłuższej chwili. – Celeste skinęła głową.

–Jak to możliwe? Przecież nie włączyliśmy żadnego grzejnika.

–Dotknij podłogi. Czujesz? Ciepło przenika przez każdy otwór, przez każdą szparę w deskach.

Joey położył rękę na podłodze i stwierdził, że naprawdę jest mocno nagrzana.

–To od ognia płonącego gdzieś tam głęboko pod kościołem – powiedziała Celeste.

–Może nie tak głęboko... – Przypomnił sobie czujnik tykający w kącie gabinetu u Bakerów.

– Nie musimy bać się trujących gazów?

–Nie.

–Dlaczego?

–Mamy gorsze zmartwienia.

Dwie minuty później grube krople potu załśniły na jego czole.

Joey sięgnął do kieszeni na piersiach po chusteczkę, lecz zamiast niej znalazł zwitek

pieniędzy. Dwie dziesięciodolarówki. Dwie piątki. Razem trzydzieści baksów.

Zapomniał, że to wszystko, co przeżył przed dwudziestu laty, w pewnym sensie zdarzyło się zaledwie kilka godzin temu.

Z tęym przerażeniem patrzył na banknoty. Przypomniał sobie, z jaką natarczywością P.J. wetknął mu je w kieszeń, kiedy siedzieli w ciasnym samochodzie. Zwłoki ukryte w bagażniku. Mokry zapach ulewnego deszczu. Woń krwi, w pamięci cięższa niż w rzeczywistości.

Wzdrygnął się i rzucił pieniądze na ziemię.

Lecąc, zmieniły się w monety i upadły ze srebrnym brzękiem dzwonek w czasie podniesienia. Toczyły się po deskach, wirowały, skakały, tańczyły i dźwięczały, aż wreszcie spoczęły w ciszy i bezruchu.

–Co to? – zapytała Celeste.

Spojrzał na nią. Nic nie widziała. Nie mogła widzieć, bo klęczał pomiędzy nią i pieniędzmi.

–Srebro – odparł.

Ale kiedy ponownie zerknął na podłogę, monet już nie było. Zobaczył tylko pomięte banknoty.

W kościele zrobiło się strasznie gorąco. Zalane deszczem okna wyglądały tak, jakby zaczęły topić się pod wpływem żaru.

Joey poczuł, że serce wali mu jak młot. Jakby ktoś od środka dobijał się do jego piersi.

–Idzie – powiedział.

–Skąd wiesz?

Joey uniósł się trochę i wyciągnął rękę ponad balustradą. Wskazał za główną nawę, w stronę łukowatego przejścia, w ciemną sień, za którą ledwo majaczyły wielkie podwójne drzwi.

–Nadchodzi.

Drzwi kościoła rozwarły się z donośnym zgrzytem dawno nieoliwionych zawiasów. Z ciemności w cień, z zimnej nocy w przedziwny żar, z dudniącej burzy w martwą ciszę do sieni wszedł jakiś człowiek. Po prostu wszedł. W jego ruchach nie było odrobiny ostrożności. Wkroczył do środka, a za nim wtargnęły zgnile opary dobywające się z rury na dziedzińcu.

To był P.J. Miał na sobie te same czarne buty, beżowe sztruksy i czerwony sweter, które nosił wcześniej, w domu, przy kolacji – oraz w samochodzie, gdy prawil kazanie o cnocie wybaczenia i braterskiej więzi. Dodatkowo włożył czarną narciarską kurtkę.

To nie był P.J. Shannon, którego powieści zajmowały czołowe miejsca na listach bestsellerów. To nie był Kerouac pokolenia New Age, wędrujący po kraju na wszelkie sposoby: samochodem, przyczepą lub półciężarówką. Ten nie miał jeszcze dwudziestu czterech lat. Właśnie ukończył Notre Dame i rozpoczął pracę w domu wydawniczym w Nowym Jorku.

Nie przyniósł broni, z której strzelał do Bimmerów. W ogóle jej nie potrzebował. Stał w przejściu, uśmiechnięty, trzymając się pod boki, na szeroko rozstawionych nogach.

Joey zapomniał już, jak w tamtych latach P.J. był strasznie pewny siebie. Emanowała z niego jakaś niespożyta siła, jakby przytłaczał wszystkich swoją obecnością. Słowa „charyzma” nadużywano już w tamtej dekadzie; do 1995 roku „charyzmatyczny” stawał się na łamach prasy każdy polityk, którego jeszcze nie złapano na kradzieży, każdy raper, który potrafił zrymować „złość” z „kością”, i młody aktor o maślanym wzroku, za to bez krzty oleju w głowie. Ale zarówno dzisiaj, jak i wtedy było to słowo jakby wprost stworzone na określenie P.J. Shannona. Bez brody i długiej szaty miał w sobie charyzmę proroka Starego Testamentu. Samą swą obecnością przyciągał powszechną uwagę. Wydawało się, że wywiera magnetyczny wpływ nawet na przedmioty. Teraz też czekał, aż wszystkie fragmenty kościoła w nabożnym skupieniu zwrócą się ku niemu.

Spokojnie spojrzal bratu prosto w oczy.

–Zaskoczyłeś mnie, Joey – powiedział. Joey otarł rękawem pot z twarzy, ale milczał.

–Wydawało mi się, że zawarłeś ze mną braterską umowę – dodał P.J.

Joey położył rękę na strzelbie, spoczywającej obok niego na podłodze, ale nie miał zamiaru strzelać. Zanimby uniósł broń i wycelował, P.J. bez trudu skoczyłby do sieni i zniknął w mroku. Zresztą z tej odległości nawet gdyby trafił, nie byłby to strzał śmiertelny.

–Miałeś jak dobry chłopiec wrócić do college’u, podjąć pracę w supermarkecie i żyć na co dzień nudnym szarym życiem, do którego jesteś stworzony. Nie... Musiałeś wetknąć nos w nie swoje sprawy.

–Chciałeś, żebym za tobą tu przyjechał – powiedział Joey.

–Prawda, braciszku. Ale nie myślałem, że naprawdę stać cię na tak wielki wyczyn. Przecież wciąż jesteś tylko małym ministrantem, całującym różaniec i wielbiącym księżę. Skąd u ciebie tyle energii? Sądziłem, że kupiłeś moją historyjkę o włóczędzie w lasach wokół Pine Ridge.

–Kupiłem.

–Co takiego?

–Kiedyś – odparł Joey. – Teraz jest inaczej.

P.J. miał szczerze zdumioną minę. Dla niego był to pierwszy i jedyny raz, kiedy brał udział w wydarzeniach tej przedziwnej nocy. Joey przeżywał to już przedtem, lecz tylko on otrzymał drugą szansę.

Podniósł z podłogi trzydzieści dolarów i ciągle kryjąc się za balustradą, rzucił je w stronę brata. Były zwinięte w kulkę, ale doleciały zaledwie na koniec chóru i upadły na ziemię.

–Zabierz swoje srebrniki.

P.J. przez chwilę przypatrywał mu się z osłupieniem.

–Dziwne rzeczy mówisz, braciszku – zauważył.

–Kiedy zawarłeś ten pakt? – spytał Joey w nadziei, że nie myli się w swoich przypuszczeniach i uda mu się zdobyć choć niewielką przewagę nad bratem. Że potrząśnie nim wystarczająco mocno, aby zburzyć jego niewzruszony spokój.

–Pakt? – powtórzył P.J.

–Kiedy zaprzedałeś duszę?

P.J. przeniósł spojrzenie na Celeste.

–Chyba musiałaś mu w tym trochę pomóc. W jego umyśle nie ma ciemnej strony, która pozwala w pełni ujrzeć prawdę. Nie było jej tam aż do chwili, kiedy zajrzał do bagażnika. Zaciekawiałaś mnie, młoda damo. Kim jesteś?

Celeste nie odpowiedziała.

–Stiałaś na drodze – mruknął P.J. – Tyle to sam wiem. Byłabyś moja, gdyby nie nadjechał Joey. Ale poza tym?

Tajemnica. Podwójna osobowość. Alter ego. Spisek. P.J. naprawdę żył w skomplikowanym i melodramatycznym świecie paranoi o wyraźne religijnych konotacjach. Teraz na przykład wierzył, że Celeste jest ucieleśnieniem ducha.

Ona z kolei wciąż milczała. Kulila się za balustradą, z ręką na strzelbie, która leżała na podłodze prezbiterium.

Joey miał nadzieję, że nie zacznie strzelać. Chciał, żeby P.J. najpierw podszedł bliżej. Chciał go przekonać, że nie potrzebują broni, ufni w moc krzyża i uświęconej ziemi.

–A wiesz, skąd miałem te trzydzieści dolców? – zapytał P.J. – Z torebki Beverly Korshak. Wystarczy zatem, że je pozbięram i później wetknę ci do kieszeni. To przecież dowód.

Już wszystko jasne, pomyślał Joey. P.J. chciał zwalić winę na niego za wszystko, co się stanie tej nocy. On miał odegrać rolę samobójcy. Młody ministrant stał się satanistą, w morderczym szale zabił dwanaście osób i targnął się na własne życie, film zaraz po wiadomościach.

Dwadzieścia lat temu uniknął śmierci, bo nie skręcił do Coal Valley. Wybrał zupełnie inną przyszłość – ale niewiele lepszą od tamtej. Tym razem szukał trzeciej możliwości.

–Pytałeś, kiedy zaprzedałem duszę – powiedział P.J., ciągle stojąc blisko sieni. – Miałem wtedy trzynaście lat. Ty – dziesięć. Wciąż czytałem o satanizmie, czarnej mszy... coś wspaniałego. Byłem gotowy. Na swój użytek odprawiałem w lesie zabawne małe ceremonie. Na ogół składałem ofiary z drobnych zwierząt... ale był czas, że zamierzałem ci poderżnąć gardło i wyciąć serce, bo myślałem, że wszystko inne już zawiodło. Wiesz, dlaczego tego nie zrobiłem? Bo okazało się to niepotrzebne. Rzecz jest łatwiejsza, niż sądziłem, i nie wymaga żadnych ceremonii. Wystarczy chcieć. Wystarczy pragnąć tego tak, jak ja pragnąłem: całym sercem, każdą komórką mego ciała. Pragnąć do bólu... i po prostu otworzyć drzwi, żeby go wpuścić.

–Kogo? – zapytał Joey.

–Szatana, biesa, diabła lub starego Belzebuba – oznajmił P.J. kpiącym, niemal teatralnym tonem. – Uwierz mi, że wcale nie jest straszny, Joey. To przymilna, ciepła i kudłata bestia... zwłaszcza dla tych, którzy ją kochają.

Joey wstał. Celeste wciąż kryła się za balustradą.

–Tak, tak, mały – pochwalil go P.J. – Nie bój się. Twój brat nie strzeli z nosa szmaragdowym ogniem i nie wyrosną mu błoniaste skrzydła.

Żar pustyni wciąż sączył się przez podłogę. Skroplona para na niektórych szybach układała się w dziwaczne wzory, jakby zza okien spoglądały widmowe twarze z ektoplazmy.

–Po co to robisz, P.J.? – spytał Joey, udając, że naprawdę wierzy w duszę i układy z diabłem.

–Cóż, maleńki... Od początku bałem się, że będę biedny. Że wyrosnę na frajera, choćby takiego jak nasz stary. Chciałem mieć kasę, dobrą brykę i kupę niezłych dziewczyn. Ale jak mogłem to osiągnąć, skoro byłem tylko „chłopcem od Shannonów” i mieszkałem w piwnicy za kotłownią? Potem jednak zawarłem układ... i patrz, co się stało. Gwiazdor futbolu. Najlepszy

uczeń. Najbardziej znany chłopak w całej szkole. Dziewczyny aż się prześcigały, żeby rozłożyć przede mną nogi, i żadna z nich nie powiedziała na mnie złego słowa, chociaż zmieniałem je jak rękawiczki. Na koniec dostałem stypendium? Na katolickim uniwersytecie! No sam powiedz, czy to nie ironia?

Joey przecząco pokręcił głową.

–Już jako dziecko byłeś dobrym sportowcem. Uczyleś się. Ludzie cię lubili. To wszystko miałeś przedtem, P.J.

–Nieprawda! – burknął P.J., po raz pierwszy głośniejsz niż dotychczas. – Bóg nie dał mi od urodzenia nic, oprócz krzyża, który musiałem dźwigać. Bóg! Piewca cierpienia. Sadysta i nic więcej! Byłem nędzarzem, dopóki nie poznałem diabła!

U P.J. rozsądek i logika już dawno poszły w odstawkę. Nabawił się psychozy w bardzo młodym wieku i z biegiem lat coraz bardziej zanurzał się w szaleństwo. Żeby z nim wygrać, trzeba było wejść w świat jego fantazji i majaków.

–A może sam spróbujesz, Joey?! – zawołał P.J. – Nie musisz uczyć się tysięcy zaklęć ani odprawiać w lesie żadnych guseł. Nic z tych rzeczy. Otwórz serce, a w mig dostaniesz wiernego kompana.

–Kompana?

–Ja mam Judasza. Jeźdźca duszy. Przyszedł na moje zaproszenie. Pozwoliłem mu na pewien czas uwolnić się od piekła, a on w zamian przejął nade mną opiekę. Ma wobec mnie wspaniałe plany, Joey. Bogactwo, sława... Daje mi wszystko, czego zechcę, bo sam w ten sposób też korzysta. Odczuwa to, co ja odczuwam: słodycz dziewcząt, smak szampana i poczucie bezgranicznej siły. Siły, która jeszcze wzrasta, gdy przychodzi pora zabijania! On jest dla mnie bardzo dobry, Joey. Chcesz takiego? Chcesz? To dostaniesz. Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych.

Joey w niemym zdumieniu słuchał tej szalonej opowieści o współczesnym Fauście, paktach z diabłem, zbrodni i opętaniu. Gdyby nie dwadzieścia lat, które spędził z książką w ręku, czytając o najgorszych przypadkach chorób umysłowych, to zapewne nawet w połowie by nie wiedział, z jakim potworem w ludzkiej skórze ma teraz do czynienia. Poprzedniej nocy nic by z tego na pewno nie zrozumiał. Zabrakłoby mu odpowiedniej wiedzy.

–Obudź w sobie pragnienie, Joey – ciągnął P.J. – Potem we dwóch wykończymy dziwkę, która tu z tobą przyszła. Jeden z chłopaków od Dolana ma szesnaście lat. Duży bysio. Zrobimy tak, jakby to on wszystkich pozabijał i na koniec popełnił samobójstwo. Ty i ja... Pójdziemy razem, na zawsze nierozłączni, bliźsi sobie niż rodzeni bracia, bliźsi niż kiedykolwiek przedtem...

–Do czego naprawdę jestem ci potrzebny, P.J.?

–Hej, Joey... Do niczego; Wcale nie chcę cię wykorzystać. Kocham cię. Myślisz, że to nieprawda? Kocham. Jesteś moim małym braciszkiem. Jedynym. Najukochańszym. Dlaczego miałbyś stać z boku i nie dzielić moich radości?

Joey poczuł, że mu zaschło w ustach – nie tylko od upału. Pierwszy raz od chwili, gdy skręcił do Coal Valley, zatęsknił za porządnym łykiem dobrej whisky.

–Może chcesz, żebym zdjął krucyfiks? Albo zawiesił go odwrotnie?

P.J. nie odpowiedział.

–Myślę, że chcesz urządzić tutaj małe przedstawienie. Naharowałeś się, a my ci popsuliśmy szyki. Boisz się wejść głębiej do kościoła, który na nowo jest kościołem.

–Nikt niczego mi nie popsuł – burknął pogardliwie P.J.

–Wiesz, co będzie, gdy zdejmę krzyż, zdmuchnę świeczki i ściągnę obrus z ołtarza? Zabijesz nas, tak jak planowałeś.

–Nie, mały... Chyba zapomniałeś, z kim rozmawiasz. To ja, twój brat. Co się z tobą dzieje? Ten sam brat, który w twojej obronie tłukł się z chłopakami i zawsze był dla ciebie dobry. Ja miałbym teraz pragnąć twojej krzywdy? No sam powiedz... Gdzie tu logika?

Celeste wstała z klęczek, jakby wyczuwała, co powinna zrobić, aby go przekonać, że wśród świętych symboli są całkiem bezpieczni. Chciała, żeby przez to poczuł się mniej pewnie.

–Skoro nie boisz się kościoła, to może wejdiesz dalej? – spytał Joey.

–Dlaczego tu jest tak gorąco? – P.J. usiłował mówić różnym tonem, ale w jego głosie zabrzmiał cień wątplenia. – Czego miałbym się bać? Niczego.

–Więc chodź do nas.

–Tu nie ma nic świętego.

–Udowodnij to. Włóż rękę do święconej wody.

P.J. spojrział na marmurową chrzcielnicę po prawej stronie.

–Przedtem była pusta. Sami nalaliście wody.

–Aby na pewno?

–Nikt jej nie poświęcił – odparł P.J. – Nie jesteś cholernym księdzem. To zwykła woda.

–Zanurz rękę.

Joey czytał o paranoikach, którzy – przekonani, że są w zмовie z diabłem – dostawali bąbli, kiedy przypadkowo dotknęli krucyfiksа lub święconej wody. Cierpieli naprawdę, chociaż ich cierpienia były wywołane siłą wyobraźni i urojeń zrodzonych w ciężko chorym umyśle.

P.J. podejrzliwie patrzył na płytką kałużę w chrzcielnicy.

–No, dalej! Dotknij! – zachęcał go Joey. – A może się boisz, że to kwas, który ci spali rękę?

P.J. niechętnie wyciągnął dłoń w stronę marmurowej misy. Jego rozcapierzone palce zawisły nad wodą jak płochliwa ważka. Nagle cofnął rękę.

–Jezu... – szepnęła Celeste.

Wiedzieli już, jak powinni bronić się przed mordercą.

Za pierwszym razem, tej samej nocy, Joey był nieledwie nastolatkiem, u progu dorosłego życia. Nawet mu przez moment nie przyszło do głowy, że toczy bój na słowa nie ze starszym bratem, ale niebezpiecznym i sprytnym szaleńcem. Teraz miał nad nim niemalą przewagę psychologiczną, popartą dwudziestoletnim doświadczeniem.

–Nie dotkniesz nas – powiedział. – Nie w tym świętym miejscu. Nie dokończysz swoich niecznych planów, P.J. Nie teraz, kiedy Bóg znów znalazł się w tych czterech ścianach. Pozostaje ci jedynie uciec. Wkrótce nadejdzie ranek i ktoś nas tutaj wreszcie znajdzie lub odkryje morderstwo u Bimmerów.

P.J. jeszcze raz próbował zanurzyć dłoń w wodzie, lecz nie zdołał. Zawył dziko z gniewu i ze strachu, a potem kopnął chrzcielnicę.

Marmurowa misa spadła ze żłobionego cokołu i poturlała się po podłodze. P.J., ośmielony tym aktem zniszczenia, pobiegł za nią, zanim przestała się toczyć.

Joey natychmiast schylił się po strzelbę.

W chwili gdy woda chlusnęła na podłogę, P.J. niechcący wszedł nogą w kałużę i w górę buchnął obłok żółtej pary. Ktoś mógłby pomyśleć, że woda istotnie była poświęcona i że kipiała przy zetknięciu z butem grzesznika opętanego przez demony.

Joey domyślił się, że w tym miejscu podłoga nagrzała się o wiele bardziej niż w prezbiterium. Musiała być wyjątkowo gorąca.

P.J. sam przed chwilą zauważył, że w kościele panuje upał. Jednak teraz jego przesądny umysł wpadł w panikę. Para buchająca z „wody święconej” utwierdziła go w tych urojeniach. P.J. krzyknął, jakby rzeczywiście się poparzył. Musiał krzyczeć, ponieważ psychosomatyczny ból jest dla cierpiącego równie dotkliwy jak realny. Jęknął, wrzasnął, pośliznął się i upadł prosto w syczący obłok, podpierając się na rękach i kolanach. Zawył rozdzierająco. Uniósł do twarzy

poparzone dłonie, ale natychmiast je oderwał, jakby na palcach mu zostały nie krople szybko parującej wody, ale prawdziwe lzy Chrystusa, palące w usta, oczy i policzki. Zerwał się na równe nogi, chwiejnie wybiegł do sieni, otworzył drzwi i uciekł w ciemność nocy, na zmianę rycząc ze wściekłości, to znowu becząc z przerażenia. Stał się torturowaną bestią zamiast człowieka lub choćby nawet opętańca.

Joey zdołał zaledwie unieść remingtona. P.J. ani na chwilę nie znalazł się w zasięgu dobrego strzału.

–Boże... – powiedziała drżącym głosem Celeste.

–Mieliśmy niewiarygodne szczęście – doszedł do wniosku Joey.

Zaraz jednak okazało się, że mówią o dwóch zupełnie różnych rzeczach.

–Jakie szczęście? – spytała.

–Ta gorąca podłoga...

–Wcale nie jest gorąca – odparła. Joey zmarszczył brwi.

–Tam musi być o wiele bardziej rozgrzana niż tutaj. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, czy jesteśmy tu w miarę bezpieczni.

–To nie podłoga.

–Widziałaś przecież...

–To on.

–On?

Była śmiertelnie blada, niczym jedna z tych upiornie zniekształconych twarzy, które gorący podmuch malował na zimnych szybach. Popatrzyła na ciągle lekko parującą plamę wody na podłodze.

–Nie mógł jej dotknąć. To bluźnierstwo.

–Nie. Opowiadasz bzdury. Zimna woda w zetknięciu z rozgrzaną podłogą...

Gwałtownie pokręciła głową.

–Potwór. Nie wolno mu kalać świętości.

–Celeste...

–Potwór, demon, potępieniec. Złakł się, że zaraz wpadnie w histerię.

–Zapomniałaś?! – zawołał.

Popatrzyła mu w oczy z taką siłą, że natychmiast odrzucił wszelką myśl o panice lub napadzie hysterii. Wręcz przeciwnie, w jej ostrym spojrzeniu było coś na kształt niemej nagany. Niczego nie zapomniała. Niczego. Podświadomie czuł, że w gruncie rzeczy zachowywała się trzeźwiej od niego.

–Sami nalaliśmy wody do chrzcielnicy – powiedział mimo wszystko.

–I co z tego?

–Nie ksiądz.

–I co z tego?

–To była zwykła woda.

–Sam widziałeś, co z nim zrobiła.

–Obłok pary...

–Nie, Joey. Nie, nie. – Zaczęła mówić szybciej, gorączkowo łączyła zdania, żeby go przekonać. – Przez krótką chwilę widziałam jego twarz i ręce. Były czerwone, pełne bąbli i schodziły z nich płaty skóry. Para nie mogła być aż tak gorąca! Podłoga jest tylko z drewna!

–Obrażenia psychosomatyczne – zapewnił ją.

–Nie.

–Siła sugestii. Autohipnoza.

–Zostało nam mało czasu – rzekła tonem ponaglenia i popatrzyła na krucyfiks, a potem na świecę, jakby chciała upewnić się, że są na swoim miejscu.

–Moim zdaniem już tu nie wróci – odparł Joey.

–Wróci.

–Wkroczyliśmy do jego świata. Wystraszył się niczym...

–Nie. On niczego się nie boi. Nie można go przestraszyć. Mówiła szybko, ale wyglądała na lekko zagubioną. Tymczasem Joey podświadomie wiedział, że wbrew pozorom nie była w stanie szoku. Osiągnęła wyższy stopień percepcji, wewnętrznej i zmysłowej. Nigdy dotąd nie oglądał czegoś podobnego. Przeżegnała się.

–...in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti... Wystraszyła go bardziej niż spotkanie z bratem.

–Psychopata morderca... – zaczął zdenerwowanym tonem – z łatwością wpada w furję, ale na co dzień zna uczucie strachu. Pod tym względem niczym się nie różni od innych ludzi. Niektórzy z nich...

–Nie. To ojciec wszelkiego kłamstwa...

–...niektórzy z nich ciągle się boją...

–...ojciec wszelkiego kłamstwa, ogarnięty szaleństwem...

–...choćby szaleństwo im dawało siłę...

–...szaleństwem, który go wiedzie stąd do wieczności. – Jej oczy miały szklany, nieobecny wyraz. – Nigdy nie ustępuje, nigdy nie ulega, nic nie ma do stracenia... Po upadku zna tylko wściekłość i jad wszelkiej nienawiści...

Joey mimowolnie rzucił okiem na kałużę wody, w której pośliznął się P. J. Nie parowała już, chociaż w kościele panował upał niemal nie do wytrzymania. Zresztą Celeste wcale nie mówiła o tym upadku.

–Co masz na myśli? – spytał po chwili wahania.

Stała w milczeniu, jakby nasłuchiwała głosów słyszalnych tylko dla niej.

–Nadchodzi – oznajmiła drżącym szeptem.

–To nie P.J., prawda?

–Nadchodzi.

–Kto? Co?

–Towarzysz. Kompan.

–Judasz? Nie ma Judasza. To tylko wytwór jego wyobraźni.

–Poza Judaszem.

–Daj spokój, Celeste... Wierzysz, że w nim siedzi diabeł? Swoim uporem przestraszył ją tak samo jak ona jego nagłym mistycyzmem. Złapała go za klapy kurtki.

–Nie mamy czasu, Joey. Musisz uwierzyć.

–Wierzę w...

–W nic ważnego.

Puściła go i przeskoczyła przez balustradę odgradzającą prezbiterium od reszty kościoła. Wylądowała twardo na obu nogach.

–Celeste!

Pobiegła dalej, krzycząc przez ramię:

–Chodź, dotknij tu podłogi, Joey! Dotknij wody! Zaraz przekonasz się, że wcale nie jest gorąca! Szybciej!

W strachu o nią, zdumiony jej dziwnym zachowaniem, jednym susem przesadził barierkę.

–Zaczekaj!

Dobiegła już do nawy głównej.

Nowy dźwięk wdarł się w szum ulewy bijącej w dach kościoła. Narastający ryk. Ale nie spod ziemi. Z zewnątrz. Celeste biegła środkiem, pomiędzy ławkami. Joey spojrział w okna po lewej. Potem po prawej. Ciemno.

–Celeste! – krzyknął, rzucając się do biegu. – Pokaż mi swoje dłonie!

Była w połowie nawy. Zatrzymała się i odwróciła. Twarz miała błyszczącą od potu. Wyglądała teraz jak porcelanowa lalka. Połyskiwała w blasku świec. Twarz świętej. Męczenniczki.

Hałas rósł. Silnik. Na pełnym gazie. – Pokaż! – z rozpaczą wrzasnął Joey. Powoli uniosła ręce.

Jej delikatne dłonie przedstawiały okropny widok. W każdej z nich ziała czarna dziura, lepka od spływającej krwi.

Przez zachodnią ścianę, tłukąc okna, miażdżąc cienką ścianę i framugi, niszcząc drewnianą boazerię i stacje Drogi Krzyżowej, do kościoła wjechał rozpedzony mustang. Gnał bez świateł, ale z wyciem silnika i nagłym jękiem klaksonu. Koła podskakiwały niczym nadmuchane piłki, łamiąc wiekową podłogę. Wciąż parł naprzód z niepowstrzymaną siłą i wgryzł się w rząd ławek. Deski, poręcze i klęczniki wyskakiwały z trzaskiem, zderzały się ze sobą, wlatywały pod sufit i spadały na ziemię, aż wreszcie utworzyły gigantyczną falę połamanego drewna – a mustang ciągle sunął, mełł je kołami, wył silnikiem i trąbił.

Joey rzucił się na podłogę i zakrył rękami głowę, przekonany, że zaraz zginie w drewnianym tsunami. Jeszcze bardziej był pewny, że Celeste też umrze, zgnieciona pod ławkami, albo nieco później, przybita do ściany. Zawiodłem ją, pomyślał. Zawiodłem ją i siebie. Najpierw sztorm

tluczonego szkła, grad tynku, lawina drewna, a na koniec deszcz krwi. Nagle, ponad rykiem mustanga, ponad jękiem klaksonu, trzaskiem pękających ławek, brzękiem miazdżonego szkła i złowieszczym skrzypieniem nadwerężonych belek stropu, usłyszał jeden szczególny dźwięk, dziwnie odmienny od pozostałych. Z początku szczęknięło coś metalicznie, a potem nastąpił głuchy stuk. Od razu wiedział, co to znaczy. Krucyfiks spadł ze ściany.

Zimny wiatr hulał po kościele. Pojękiwał i dyszał niczym sfora psów węszących wśród ruin.

Joey leżał twarzą do ziemi pod stertą połamanych ławek i belek wydartych ze ściany. Wprawdzie nie czuł żadnego bólu, ale podejrzewał, że ma zgruchotane nogi. Spróbował się poruszyć i nagle z ulgą odkrył, że nie doznał żadnych obrażeń i nic go nie przygniotło.

Sterta okazała się trójwymiarowym, kilkupiętrowym labiryntem. Joey wiercił się, pełzał, obracał i przeciskał niczym fretka buszująca wśród zwalonych drzew w pogoni za szczurami.

Ze zniszczonych ścian i sufitu ciągle opadał tynk, drzazgi i rozmaite inne śmieci. Suchy grad grzechotał wśród pokruszonych szczątków. Wiatr świstał w wąskich tunelach labiryntu, jakby znalazł w nich ogromną fletnię. Joey miał już serdecznie dość tej upiornej, kociej muzyki. Nie słyszał jednak ryku silnika.

Wreszcie przecisnął się przez szczególnie ciasne miejsce, między dwoma grubymi deskami z polerowanego dębu – i tuż przed sobą zobaczył przednie koło mustanga. Dętka była przebita, a błotnik zgnieciony jak papier.

Z podwozia, niczym krew zabitego smoka, kapał zielony płyn z pękniętej chłodnicy.

Joey przesunął się wzdłuż boku samochodu. Minał drzwi i wreszcie znalazł tyle wolnej przestrzeni, że mógł w miarę swobodnie stanąć.

Miał nadzieję, że P.J. zginął. Że nadział się brzuchem na kierownicę lub wyleciał przez przednią szybę w momencie zderzenia. Ale w samochodzie nie było nikogo. P.J. zdołał uchylić drzwi po stronie kierowcy. Szczelina okazała się wystarczająco duża, by umożliwić mu ucieczkę.

–Celeste! – zawołał Joey. Cisza.

P.J. na pewno też jej szukał.

–Celeste!

Poczuł zapach benzyny. Dziura w baku.

Ławki, belki, kawałki strzaskanej boazerii i płyty paździerzowej piętrzyły się ponad samochodem. Joey nie widział reszty kościoła.

Wgramolił się na dach mustanga. Wstał i odwrócił się tyłem do zburzonej ściany i deszczowej nocy.

Dziwne światło i ruchome cienie wypełniały kościół Świętego Tomasza. Palily się tylko

niektóre lampy. Inne zgasły. Po drugiej stronie z zerwanego kabla strzelały kaskady białozłoto-niebieskich iskieł.

Uderzenie wstrząsnęło całym sanktuarium i przewracało świece na podeście. Białe prześcieradło zajęło się ogniem.

Chwiejne i rozchybotane cienie plotły gęstą sieć chaosu, ale jeden z nich poruszał się po linii prostej, jakby w określonym celu. Joey wytrzymał wzrok. Podcieniem w stronę prezbiterium szedł P.J. Niósł Celeste. Nieprzytomna dziewczyna zwisiała mu w ramionach, z głową odchyloną w tył i odsłoniętym gardłem. Jej czarne włosy niemal dotykały ziemi.

Chryste, nie!

Przez chwilę Joey nie mógł złapać oddechu.

Potem ze świstem wciągnął powietrze w płuca.

Szybko zeskoczył z dachu mustanga na pogniecioną maskę i dalej, na spiętrzone deski, płyty i belki. Drewno trzeszczało pod nim, grożąc w każdej chwili, że pociągnie go w głąb wielkiej paszczy, pełnej zdradliwie ostrych drzazg i poskręcanych gwoździ. Joey rozpostarł szeroko ramiona i balansował niczym flisak na krawędzi tratwy. Już prawie dotarł do końca rumowiska.

P.J. po trzech schodach wszedł na podwyższenie.

Na tylnej ścianie kościoła, już bez krucyfiksów, pełniał blask ognia.

Joey zeskoczył z ostatniej deski na otwartą przestrzeń i pobiegł w stronę balustrady.

P.J. rzucił dziewczynę na płonący ołtarz. Potraktował ją tak, jakby była zaledwie garścią śmieci – a nie żywym, czującym i potrzebnym człowiekiem.

–Nie! – krzyknął Joey. Przeskoczył przez barierę i wbiegł w półokrągły podcień wiodący wokół chóru do ołtarza.

Ogień ogarnął płaszcz Celeste. Żarłoczny płomień strzelił w górę, zadowolony z nowej karmy. Włosy. Jej włosy!

Pod wpływem bólu Celeste odzyskała przytomność i krzyknęła.

Joey był już prawie w prezbiterium. Widział, jak P.J. stanął nad dziewczyną na płonącej pościeli, obojętny na ogień liżący mu stopy. Zgarbiony, jeszcze bardziej wyglądał jak monstrum. Ścisnął młotek w dłoni i uniósł go nad głowę, gotów do zadania straszliwego ciosu.

Joey podbiegł do stóp ołtarza. Serce waliło mu jak ręka śmierci, dobijającej się do bramy.

Młotek opadł kolistym ruchem.

Krzyk strachu. Rozdzierająco głośny. Zakończony trzaskiem pękającej czaszki.

Stojący poniżej Joey wydał z siebie piskliwy jęk bólu i zgrozy. P.J. odwrócił się.

–Hej, braciszku... – Wyszczrzył zęby. Blask ognia tańczył w jego oczach. Na twarzy czerwieniły się bąble od parzącej wody. Triumfalnie uniósł zakrwawiony młotek. – Teraz ją przybijemy.

–Nieeeeeee!

Joey mrugnął powiekami. Coś na moment przesłoniło mu pole widzenia. Nie... To nie było nic wewnątrz kościoła. Nic prawdziwego. Coś jak cień skrzydeł na pomarszczonej, błyszczącej w słońcu wodzie.

W tej samej chwili wszystko się zmieniło.

Ogień zniknął.

P.J. także.

Krucyfiks wciąż wisiał na ścianie. Świecek stały jak przedtem na czystym prześcieradle.

Celeste złapała go za ramię, odwróciła twarzą do siebie i przytrzymała za kołnierzyk dżinsowej kurtki.

Aż jęknął ze zdumienia.

–Nie mamy czasu, Joey. Musisz uwierzyć. Słyszał swój głos:

–Wierzę w...

–W nic ważnego.

Puściła go i przeskoczyła przez balustradę odgradzającą prezbiterium od reszty kościoła. Wylądowała twardo na obu nogach.

Zachodnia ściana ciągle stała. Szalony mustang jeszcze nie nadjechał.

Powtórka.

Joey znów cofnął się w czasie. Nie o dwadzieścia lat, tak jak przedtem, lecz o minutę. Najwyżej dwie. Wciąż mógł ją uratować. Nadchodzi.

–Celeste!

Pobiegła dalej, krzycząc przez ramię:

–Chodź, dotknij tu podłogi, Joey! Dotknij wody! Zaraz przekonasz się, że wcale nie jest gorąca! Szybciej!

Joey położył rękę na barierce i przygotował się do skoku. Nie. Zrób to teraz lepiej. Masz ostatnią szansę. Spróbuj jej nie zmarnować.

Dobiegła już do głównej nawy.

Nowy dźwięk wdarł się w szum ulewy bijącej w dach kościoła. Narastający ryk. Mustang. Nadciąga.

Joey instynktownie czuł, że traci bezcenne sekundy. Że w powtórce wszystko dzieje się o wiele szybciej niż poprzednio. Błyskawicznie podniósł z podłogi remingtona.

Celeste biegła środkiem, pomiędzy ławkami.

–Uciekaj stamtąd! – krzyknął ile sił w płucach. – Uważaj! Samochód!

Ze strzelbą w dłoni przeskoczył balustradę.

Znowu była w połowie nawy. Znów zatrzymała się i odwróciła. Twarz miała błyszczącą od potu. Wyglądała niczym z porcelany. Polyskiwała w blasku świec. Twarz świętej. Męczenniczki.

Silnik grzmiał coraz bliżej.

Celeste ze zdumieniem spojrzała w stronę okna i uniosła ręce.

Jej delikatne dłonie przedstawiały okropny widok. W każdej z nich ziała czarna dziura, lepka od spływającej krwi.

–Uciekaj! – krzyczał Joey, ale ona stała jak słup soli.

Tym razem nawet nie dobiegł do połowy drogi, kiedy samochód z hukiem wpadł przez zachodnią ścianę. Gigantyczna fala szkła, drewna, cementu i połamanych ławek spiętrzyła się przed wizerunkiem pędzącego konia zdobiącego maskę i przepłynęła wokół błotników. Mustang znikł wśród szczątków.

W powietrzu zafurkotał spory kawał deski. Wirując niczym broń rzucona przez ninja, uderzył Celeste i zwałił ją na podłogę, mniej więcej pośrodku nawy. Za pierwszym razem Joey tego nie widział, bo dobiegł dalej, w inne miejsce.

Rozległ się głośny, podwójny huk pękających opon i samochód stanął pośród skotłowanych ruin. Zanim umilkło klekotanie ostatnich przewróconych ławek, Joey usłyszał cichy, lecz dziwnie wyraźny stuk spadającego ze ściany krucyfiks.

Teraz jednak nie leżał na wpół uwięziony pod resztkami zniszczonej nawy, ale wciąż stał w sanktuarium, obsypany jedynie chmurą białego pyłu, którą wiatr rozwiewał po kościele. I tym razem był uzbrojony.

Zarepetował remingtona i kopniakiem utorował sobie drogę.

Z dachu, który w jednym miejscu zapadł się pozbawiony drewnianej podpory, sypał się grad odłamków. Hałas był dużo głośniejszy niż wtedy, gdy Joey leżał pod ławkami, oszłomiony i zdezorientowany.

Z tego, co do tej pory zdołał zauważyć, góra szczątków wyrosła tak samo jak przedtem. Nie mógł od razu dotrzeć do mustanga. Widział jedynie jego fragmenty, prześwitujące w szparach pomiędzy ruinami.

Musiał działać szybko i sprawnie. Bezbłędnie. Wykończyć drania.

Ze strzelbą w dłoni wspiął się na niebezpiecznie spiętrzone ławki. Zaczęły trzeszczeć, jęczeć, chwiać się i chybotać pod jego stopami. Musiał uważać na sterzące gwoździe i ostre jak sztylety krawędzie potłuczonego szkła. Mimo wszystko dość szybko przebrnął przez stertę desek, zmiażdżonych blatów, połamanych ram i kawałków tynku. Dotarł do samochodu prędzej niż poprzednio, kiedy musiał czołgać się jak wąż z dna rumowiska.

Z rozmachem skoczył na maskę mustanga i strzelił w ciemność zalegającą wewnątrz samochodu. Odrzut niemal zwałił go z nóg, lecz natychmiast odzyskał równowagę, szczęknął zamkiem i strzelił po raz drugi... trzeci... Odczuwał dziwną satysfakcję, pewny, że P.J. nie przeżyje tego bombardowania.

Trzy strzały zabrzmiały jak huk gromu. Zanim umilkło echo ostatniego, Joey usłyszał za sobą jakiś ruch, całkiem odmienny od zgrzytów i trzeszczenia osiadających ławek. To niemożliwe, żeby P.J. zdążył wyskoczyć z samochodu i zająć go z drugiej strony. A jednak... Joey odwrócił się, spojrzał nieco w górę i kątem oka zauważył, że nie ma rzeczy niemożliwych. P.J. faktycznie tam był i z kocią zręcznością przeskakiwał przez zdradliwe miejsca, dzierżąc w ręku ciężki kawałek ułamanej deski.

Joey dostał cios w prawą skroń. Upadł na maskę, wypuścił strzelbę i odruchowo przetoczył się w bok, kuląc nogi pod siebie i chowając głowę w ramiona. Drugie uderzenie trafiło go w żebra pod lewą pachą. Na moment stracił oddech. Uciekał dalej, bezskutecznie próbując zaczerpnąć powietrza. Trzeci cios spadł mu na plecy i spowodował dotkliwy ból całego kręgosłupa. Joey rzucił się przez wybitą szybę, ześliznął po desce rozdzielczej i spadł na przedni fotel mustanga. Ogarnęła go nieprzenikniona ciemność.

Kiedy doszedł do siebie i wychynął z ciasnoty wewnętrznego mroku, pełnego rozbieganych czarnych jak noc pajaków, był pewny, że to trwało zaledwie kilka sekund, nie dłużej niż minutę. Nadal z trudem oddychał. Czuł ból połamanych żeber. Smak własnej krwi.

Celeste.

Pod sobą miał kawałki hartowanego szkła i drobiny grubego śrutu. Podciągnął się na kierownicy, pchnął drzwi na tyle, na ile dały się otworzyć pośrodku rumowiska, i wysiadł. Poczul powiew jesiennego wiatru i zobaczył migoczące światło.

Snop iskier tryskał z zerwanego kabla w sieni, zwisającego nad przewróconą chrzcielnicą.

Z drugiej strony, na ścianie zakrystii, jaśniała pomarańczowa luna i tańczył blask płomieni. Samego ognia jednak nie widział zza góry odłamków.

Po pierwszym ciosie, wymierzonym w głowę, niemal przestał widzieć na prawe oko. Dostrzegał tylko rozmazane cienie, które kłębiły się i pulsowały wśród ruchomych widmowych światel.

Poczul zapach benzyny.

Spazmatycznym ruchem wciągnął się na dach mustanga. Był jeszcze zbyt oszołomiony, żeby stanąć na nogach. Klęknął więc i powoli rozejrzał się po kościele.

Lewym okiem zobaczył, że P.J. wchodzi po stopniach ołtarza. Na rękach niósł nieprzytomną Celeste.

Prześcieradło zajęło się ogniem od przewróconych świeczek.

Ktoś klął na całe gardło. Chwilę trwało, zanim Joey zrozumiał, że słucha własnego głosu. Przeklinał siebie.

P.J. rzucił dziewczynę na płonący ołtarz i podniósł z podłogi młotek.

Joey przestał kląć. Teraz słyszał płaczliwe jęki. Straszliwy ból eksplodował mu w lewym boku, w okolicach złamanych żeber. Młotek w wysoko wyciągniętej ręce. Celeste odzyskała przytomność i krzyknęła.

Z wysokości podestu P.J. spojrzal na drugą stronę kościoła, na samochód, na brata. Oczy świeciły mu się niczym oczy dyni wystawionej w oknie na Halloween.

Młotek opadł kolistym ruchem. Joey mrugnął. Coś mignęło. Coś jak cień skrzydeł na pomarszczonej, błyszczącej w słońcu wodzie. Coś jak anioł lecący na krawędzi pola widzenia.

W tej samej chwili wszystko się zmieniło.

Nie miał złamanych żeber.

Odzyskał wzrok.

Nie był pobity przez brata.

Powtórka.

Jezu...

Kolejna powtórka. Jeszcze jedna szansa. Na pewno ostatnia.

Tym razem nie zawędrował w czasie nawet tak daleko jak poprzednio. Miał o wiele mniej możliwości; mniej czasu do myślenia. Jeżeli rzeczywiście chciał zmienić swoją przyszłość, to nie mógł sobie już pozwolić nawet na najdrobniejsze błędy. Mustang stał wbity w rumowisko, ołtarz płonął, a on właśnie wbiegł na pochyłą ławką, skoczył na maskę i wycelował w szybę samochodu.

Opamiętał się w ostatniej chwili. Błyskawicznie odwrócił się na pięcie i strzelił za siebie, tam skąd miał nastąpić atak. Ale śrut świsnął w powietrzu. Napastnika nie było.

Joey w popłochu wypalił w przednią szybę. Nic. Żadnego krzyku. Znowu zakręcił się jak fryga, żeby chronić tyły. Nie zobaczył groźnej postaci P.J. wymachującego deską.

Jezu! Znow same błędy! Znowu spieprzyłem sprawę! Myśl, człowieku... Myśl!

Celeste. Ona najbardziej liczy się w tym wszystkim.

Zapomnij o P.J. Znajdź dziewczynę, zanim ją dopadnie.

Nie rzucił strzelby, chociaż mu utrudniała ruchy i bez niej dużo łatwiej przebrnąłby przez rumowisko. Przeskakiwał strzaskane ławy i kłęczniki, aż przedostał się na tył nawy i wybiegł na środek kościoła. Tu poprzednio widział leżącą Celeste, ogłuszoną kawałkiem wirującego drewna. Teraz jednak nie znalazł nikogo.

–Celeste!

W podcieniu koło sanktuarium majaczyła jakaś zgarbiona postać, słabo widoczna w roztańczonym blasku płonącego ołtarza. To był P.J. Niósł dziewczynę.

Na środkowym przejściu piętrzyły się zwały gruzu, więc Joey pobiegł w poprzek drugiego rzędu ławek, pod wschodnią ścianę – i dalej, wzdłuż zalewanych deszczem, nadal nietkniętych okien.

Tym razem P.J. nie wstąpił na ołtarz, lecz zniknął w drzwiach prowadzących do zakrystii.

Joey przeskoczył przez balustradę, jakby nie czekał na sakrament, i szybko, lecz ostrożnie przesunął się pod ścianą. Przy drzwiach przystanął, niepewny, czy za moment nie dostanie w twarz grubą deską lub ołowianą kulą. Wiedział jednak, że teraz już nie ma odwrotu. Szarpnął za klamkę.

Drzwi do zakrystii były zamknięte.

Joey dał krok do tyłu i uniósł broń. Jednym strzałem zgruchotał zamek. Pchnął drzwi na oścież.

W zakrystii było zupełnie pusto – jeśli nie liczyć ułożonego w rogu ciała Beverly Korshak. Mały pagórek zawinięty w plastikowy całun.

Joey podszedł do zewnętrznych drzwi. Były zamknięte od środka, na zasuwkę, tak jak je zostawił. Piwnica.

W żółtym, niemal księżycowym świetle na dnie lochu zobaczył jakiś długi cień, który zwinął się węzowym ruchem i zniknął za zakrętem.

Schody zrobiono z niemalowanego drewna. Joey starał się iść jak najciszej, lecz mimo to każdy jego krok kończył się głuchym stukiem. Brzmiało to niczym powolne odliczanie czasu, który pozostał do zagłady.

Spiekota narastała strumieniami ciepła, falami gorąca i oceanem żaru. Zanim doszedł do końca schodów, miał wrażenie, że zstąpił do pierwotnego pieca. W powietrzu unosiła się woń na pół spalonych belek podtrzymujących strop, rozżarzonych kamiennych ścian i rozgrzanej cementowej podłogi. Czuć było także siarką z płonącej kopalni.

Joey stanął na ostatnim stopniu. Chyba nie zdziwiłby się, gdyby gumowe podeszwy jego butów stopiły się przy zetknięciu z podłogą piwnicy. Pot spływał mu po twarzy i plecach. Strąki mokrych włosów przyłgnęły do czoła.

Loch dzielił się na kilka mniejszych pomieszczeń, do których prowadziły łukowate przejścia. Z jednej celi nie widać było drugiej. W pierwszej z nich paliła się zwykła zakurzona, niczym nieosłonięta żarówka, wciśnięta między dwie grube belki u sufitu. Choćby z tego powodu dawała mniej światła.

Thusty, czarny pająk oszalał od zapachu siarki i z gorąca. Kręcił się teraz w kółko po błyszczących jak kryształ nitkach wielkiej pajęczyny, którą kiedyś rozpostarł niemal tuż pod lampą. W ślad za nim wirował po podłodze ogromny cień. Joey poczuł zawroty głowy, patrząc na tę spiralę. Zemdliło go i chwiejnym krokiem potruchtął w stronę następnego przejścia.

Górny kościół był skromną górniczą świątynią, ale pod ziemią ciągnęły się prawdziwe lochy, na pozór starsze niż cała wspólnota Pensylwanii. Emanowały jakąś dziwnie tajemniczą grozą. Joey miał wrażenie, że nie jest już w piwnicy kościoła Świętego Tomasza, ale w przeklętych rzymskich katakumbach – jeden ocean, jeden kontynent i tysiąc lat wstecz od Coal Valley.

Zatrzymał się na krótką chwilę, by sięgnąć po naboje do kieszeni kurtki i naładować remingtona.

Wszedł do drugiego pomieszczenia. Wężowy cień, jak strumień czarnej rtęci, znów umknął przed nim po podłodze. Na moment mignął w bladożółtym świetle i znikł za węglem, gdzieś w następnej krypcie.

To musiał być cień P.J. i – co ważniejsze – bezcenny cień Celeste. Joey głośno przełknął ślinę i pognął za uciekinierem. Przeszedł przez trzecią kryptę. Czwartą... Wszystkie były nisko sklezione, ciasne i ponure, lecz cały loch wydawał mu się dużo większy od małego kościółka na górze. Ale przecież każda piwnica ma swój koniec. Nawet ta największa. Musiał więc kiedyś dotrzeć do ostatniej krypty, stanąć twarzą w twarz ze swoim bratem i odplacić mu za wszelkie krzywdy.

Lochy nie miały okien.

Ani drugiego wyjścia.

Konfrontacja była nieunikniona.

Wędrówka dobiegła końca szybciej, niż się spodziewał. Ze strzelbą w rękę ostrożnie zajrzał w głąb łukowatego przejścia zwieńczonego rzeźbionym zwornikiem. Mroczna cela ciągnęła się na boki na jakieś dwanaście metrów. Od przeciwległej ściany dzieliło go pięć i pół metra. Podejrzewał, że znalazł się dokładnie pod sienią kościoła. Tu podłoga była już nie z betonu, lecz z tego samego kamienia co ściany, poczerniałego ze starości albo od wilgoci.

Celeste spoczywała pośrodku, w kręgu żółtego światła rzucanego przez samotną żarówkę. Z góry zwisały strzępy podartej pajęczyny, kładąc się koronkowym cieniem na białych policzkach Celeste. Rozpostarty płaszcz przypominał teraz czarną pelerynę. Jedwabiste włosy leżały w nieładzie na podłodze. Dziewczyna była nieprzytomna, lecz chyba nic jej się nie stało.

P.J. zniknął.

Światło żarówki, zawieszanej pomiędzy grubymi belkami, nie docierało do każdego kąta, ale na tyle rozpraszało ciemność, że Joey mógł stwierdzić, iż nie było tam drugich drzwi. Loch otaczały gładkie kamienne mury.

Upał wzmógł się do tego stopnia, że Joey tylko czekał na to, że jego ubranie – a może nawet ciało – za chwilę stanie w ogniu. Bał się, że rozgorączkowany umysł podsuwa mu jakieś zwydy. Przecież nikt, nawet wynajęty Judasz, nie potrafiłby przejść przez tę ścianę.

A może mury nie są tak grube, na jakie wyglądają? – przemknęło mu przez głowę. Może przy dokładniejszych oględzinach znalazłby tajne przejście, prowadzące do dalszych korytarzy? Nie. Nawet we wnętrzu pieca, zmęczony i skonfundowany, nie potrafił uwierzyć, że pod zrujnowanym kościołem Świętego Tomasza są ukryte tunele, strażnice i kazamaty. Kto miałby je zbudować? Zastęp szalonych mnichów, zbratanych w tajemniczej i groźnej współnocie? Bzdura.

Muszę obudzić Celeste i zabrać ją jak najszybciej... – myślał. Albo po prostu wynieść, tak jak ją przyniósł P.J. Wtedy jednak musiałby porzucić strzelbę, a to wcale mu się nie uśmiechało.

Spojrzał na filigranowe cienie pajęczyny, drżące jak woalka na jej twarzy... i przypomniał sobie wielkiego pająka, krążącego w kółko pod sklepieniem pierwszej krypty, tuż przy schodach.

Na chwilę zamarł z przerażenia, zdjęty przeokropną myślą. Wciągnął gorące powietrze przez zaciśnięte zęby i wypuścił je z cichym, alarmującym świstem.

Szybko odsunął się spod lampy, zmrużył oczy i wbił wzrok w nieoświetloną, szeroką na ponad metr szczelinę między następną parą belek.

Był tam P.J. – chytry cień pośród innych cieni. Nie czekał, żeby w odpowiedniej chwili rzucić się na swą ofiarę, ale już zbiegał po ścianie, ze wstrętną pajęczą gracją, diabolicznie zwinny i milczący, głową w dół, nie wiadomo jak uczepiony muru, miękko skaczący z belki na belkę, na przekór grawitacji, na przekór zdrowym zmysłom. Szcherzył zęby i oczy błyszczały mu jak dwa węgle – nikt nie mógł już mieć najmniejszej wątpliwości, że był czymś więcej niż człowiekiem.

Joey pomału uniósł strzelbę, która w jego rękach ważyła teraz chyba tonę. Za wolno... za wolno... – myślał z tępą rozpaczą. Za późno na obronę... Nie spał, a mimo to znalazł się w zimnych i paraliżujących kleszczach sennego koszmaru.

Niczym nietoperz wylatujący z dziupli P.J. prześliznął się przez szczelinę pomiędzy grubo ciosanymi belkami, skoczył w dół i przewrócił brata na ziemię. Joey upuścił broń. Potoczyła się z dala od jego ręki.

W dzieciństwie, jak wszyscy chłopcy, czasem się mocowali, lecz nigdy między nimi nie doszło do prawdziwej bójki. Na to byli za bardzo zżyci – bracia Shannon przeciw całemu światu. Ale teraz Joey poczuł, że z atomową siłą eksploduje w nim całe dwadzieścia lat z trudem tłumionej złości. W jednej chwili zapomniał o dawnej afektacji i współczuciu, które żywił dla brata. Pozostały jedynie wstyd, smutek i niechęć. Nie chciał już być ofiarą. Miał pełne prawo do sprawiedliwości. Bił, kopał, drapał – walczył za siebie i dziewczynę – ze straszliwą mocą i nieokiełznaną furią, która czyniła z niego mściciela niemal na biblijną miarę.

Niestety, nawet w gniewie i rozpaczach nie był godnym przeciwnikiem bestii, która gnieździła się w ciele jego brata. P.J. zasypał go lawiną ciosów. Żaden unik, żadne uniesienie ręki nie osłabiały uderzenia jego twardych pięści. To była nieludzka złość i nadludzka siła. Joey zaczął słabnąć. P.J. chwycił go, uniósł trochę i cisnął o podłogę. Jeszcze raz... i jeszcze... Aż głowa stuknęła o kamień.

P.J. wstał i lekko pochylony, z pogardliwym zadowoleniem patrzył na leżącą postać.

–Pierdolony ministrant! – powiedział, niby swoim głosem, ale jakoś zmienionym, dużo głębszym niż przedtem, drżącym zimną zawiścią, groźnym i wibrującym, niczym głos dochodzący z jakiejś bezdennej studni, zza żelaznych murów ciężkiego więzienia. W dodatku każde słowo pobrzmiwało echem, jak rzucony kamień, który wbrew logice znalazł drogę do samego dna wieczności.

–Pierdolony ministrant! – Razem z tym okrzykiem nastąpił pierwszy kopniak, tak silny, jakby P.J. nosił buty ze stalowym noskiem. Joey zwinął się, czując ból w prawym boku. Na pewno mu pękły żebra.

–No? Gdzie teraz masz swój różaniec?

P.J. kopał go nieustannie. Joey usiłował przybrać postać żuka i wystawić do świata chitynowy pancerz. Ale każdy kopniak trafiał go w czule miejsce – w żebra, nerki, koniec kręgosłupa – z taką regularnością i precyzją, jakby miał do czynienia nie z człowiekiem, ale z kafarem, bezmyślną machiną do zadawania tortur.

Nagle wszystko ustalo.

Jedną ręką P.J. chwycił brata za gardło, a drugą za pasek od spodni. Szybkim ruchem dźwignął go z ziemi nad głowę, z taką łatwością, jak mistrz świata ciężarowców podnosi lekką sztangę treningową. Odwrócił się i rzucił nim o ścianę.

Joey zatoczył łuk w powietrzu, uderzył w mur i jak zepsuta marionetka osunął się na ziemię. Usta miał pełne wybitych zębów. Krztusił się krwią. Czuł ucisk w piersiach. Nie mógł oddychać, bo któreś żebro zapewne mu przebiło płuca. Ze świstem wciągnął haust powietrza i wypuścił je z rżeniem. Serce biło mu nierytmicznie. Ostrożnie balansując pomiędzy świadomością i bezdenną czernią, zamrugał powiekami, żeby odpędzić lzy, i zauważył, że P.J. odwrócił się i odszedł w kierunku Celeste.

Przy okazji zobaczył strzelbę. W zasięgu ręki.

Stracił władzę w rękach i nogach. Desperacko usiłował dosięgnąć remingtona, ale mięśnie go nie słuchały. Ramię mu jedynie drgnęło, a prawa dłoń bezwładnie klapnęła na podłogę.

Spod ziemi dał się słyszeć groźny pomruk. Gorące kamienie drżały.

P.J. przykucnął koło Celeste, tyłem do leżącego brata. Na pewno myślał, że go zabił. Remington.

Tak blisko. Nieznośnie blisko...

Joey skupił całą uwagę na strzelbie i zebrał resztki siły, żeby wyciągnąć rękę. Uwierzył w potęgę broni. Zignorował nieziemski ból, który go przeszywał – i paraliżujący szok po brutalnym pobiciu. Rusz się, ty pierdolony ministrancie... Rusz się! Chociaż raz w swoim

zasranym życiu masz okazję zrobić coś dobrego!

Lekko poruszył dygoczącą ręką. Zacisnął pięść, rozprostował palce, a potem sięgnął odrobinę dalej. Opuszką drżącego palca dotknął błyszczącej orzechowej kolby.

P.J. ciągle pochylał się nad Celeste. Po chwili wyjął nóż z kieszeni kurtki. Zwolnił sprężynę i z trzonka wyskoczyło piętnastocentymetrowe ostrze. Żółte światło z lubością zamigotało w ostrej jak brzytwa stali.

Gładkie orzechowe drewno. Gładki rozgrzany metal. Joey zgiął palce. Były słabe i odrętwiałe. Niedobrze... Starał się wzmocnić uchwyt. Mocniej. Mocniej... A teraz spróbuj podnieść. Tylko po cichu...

P.J. coś mówił – nie do niego i nie do Celeste. Albo do siebie, albo do kogoś, kto żył wyłącznie w jego wyobraźni. Przemawiał niskim i gardłowym głosem, jak przedtem dziwnym i niepokojącym. Na dodatek wymawiał jakieś obce słowa. Może belkotal? Brzmiało to jak prymitywny wiersz, pełen przerw, znaków przestankowych i zgola zwierzęcych pomruków.

Rumor narastał.

Świetnie. Bardzo dobrze. Błogosławiony rumor... Straszny, lecz potrzebny. W połączeniu z monotonnym zawodzeniem P.J. tłumil wszelkie przypadkowe dźwięki.

Joey miał tylko jedną szansę. Musiał działać... piękne określenie... musiał działać szybko, sprawnie i zdecydowanie, zanim P.J. zrozumie, co się święci.

Zawahał się. Nie chciał czegoś zepsuć przez zbyteczny pośpiech. Leżał zatem cierpliwie i gromadził siły. Czekaj... Czekaj... Spokojnie... Jak długo jeszcze miał tak czekać? Przez całą wieczność? Czasami bierność bywa gorsza w skutkach od spontanicznych działań. Teraz lub nigdy. Wóz albo przewóz. Być może nawet wóz i przewóz, ale na miłość boską, weź się do roboty!

Zacisnął szczęki, wiedząc, że czeka go eksplozja bólu – i jednym płynnym ruchem przetoczył się, chwycił strzelbę, usiadł i oparł się plecami o ścianę.

P.J. usłyszał go, mimo uporczywego grzmotu pod kościołem i jękliwej melorecytacji. Natychmiast wstał i spojrział w jego stronę.

Joey oburącz trzymał remingtona i przyciskał kolbę do ramienia.

Złowrogie światło migoczące w ostrzu noża połyskiwało też w oczach mordercy.

Strzał z bliska. Joey nacisnął spust.

Kamienne mury zadrżały od głośnego huk, a echo przez dłuższą chwilę błędziło po

wszystkich kątach, odbijało się od ścian i sufitu, i raczej puchło, niż powoli gasło.

Joey aż przymknął oczy, gdy poczuł uderzenie kolby ciężkiego remingtona. Całe jego ciało przeszył paroksyzm bólu. Strzelba wysunęła mu się ze zdrtwiałych rąk i z metalicznym stukiem upadła na podłogę.

P.J. otrzymał postrzał w brzuch i piersi. Wyleciał w górę, obrócił się wokół własnej osi, zachwiał i padł na kolana, wciąż obrócony twarzą w stronę brata. Przycisnął ręce do tułowia i pochylił się w przód, jakby chciał przytrzymać poszarpane płuca i wnętrzności. Jakby bał się, że mu wypadną.

Gdyby Joey mógł ruszać rękami, podniósłby remingtona i strzelił raz jeszcze. Może nawet wystrzelałby cały magazynek. Ale mięśnie w ogóle przestały go słuchać. Nie wykonały najmniejszego skurczu. Ręce leżały luźno, bez podrygów. Podejrzewał, że od szyi w dół jest zupełnie sparaliżowany.

Dudnienie pod kościołem przybrało na sile.

Cienkie pasemka śmierdzących siarką oparów sączyły się przez szpary w zaprawie między kamieniami.

P.J. powoli uniósł głowę. Twarz miał ohydnie skurczoną w przedśmiertnej agonii, oczy szeroko rozwarte ze zdziwienia i usta rozchylone w niemym krzyku. Krztusił się, kasłał i chrząkał gwałtownie. W gardle bulgotała mu gęsta flegma. Nagle drgnął spazmatycznie, raz, drugi, trzeci... Z ust zamiast krwi buchnął mu strumień srebrnych monet. Z brzękiem sypały się na ziemię, niczym z automatu.

Oniemiały, zdumiony i do cna przerażony Joey z osłupieniem patrzył na ten potop srebra. Tymczasem P.J. wypłuł ostatnią monetę i wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. Wyglądał teraz, jakby chciał konkurować o palmę pierwszeństwa z samą śmiercią. Oderwał blade ręce od tułowia i rozłożył je niby magik krzyczący głośno: „Czary-mary!”. Ubranie na nim wisiało w strzępach, poszarpane ładunkiem śrutu, ale na ciele nie miał żadnej rany.

Joey domyślił się, że umiera – i to, co widzi, nie jest prawdą. Głowa mu pękała z bólu i jedną nogą był już po tamtej stronie. Delirium śmierci okazało się o wiele gorsze od pelzających ścian z koszmarów pijaka.

Krzyknął, żeby obudzić Celeste, lecz z ust popłynął tylko cichy szept, ledwie słyszalny nawet dla niego.

W rozedrganej, dymiącej posadzce pojawiła się szeroka rysa. Z dołu, ponad zębatą krawędź, strzeliły w górę spiczaste smugi pomarańczowego blasku. Cement pokruszył się i spadł do ognia. W ślad za nim poleciały pierwsze kamienie. Zadygotały mury lochu i zatrzeszczały belki pod sufitem. Szczelina poszerzała się. Miała już pięć, dziesięć centymetrów, dwadzieścia pięć, pół metra... Piwnicę wypełniło oślepiające światło. Widać w nim było fragment rozpalonych aż

do białości ścian kopalni. Joey znalazł się po drugiej stronie rowu, oddzielony od brata i Celeste.

P.J. odezwał się. Słysząc go było pomimo jęków i skarg kościoła, ryku rozgniewanego ognia i huku kamieni.

–Pożegnaj się z nią, ministrancie.

Zepchnął dziewczynę w głąb piekła gorejącego pod Coal Valley, w studnię wulkanicznego żaru i roztopionego antracytu. W otchłań śmierci.

Och, nie! Nie! Boże, błagam... Nie, nie! Tylko nie ona... Niech to będę ja, a nie ona. Jestem mazgajem, nieukiem i oferumą, ślepym na prawdę i zbyt tępym, aby pojąć, co zrobić z tak niezwykłą szansą. Zasłużyłem na wszystko, co mogłoby mnie spotkać, ale nie ona... Jest tak piękna i wspaniała w swojej dobroci! Błagam, nie ona...

Coś mignęło mu przed oczami.

Coś jak pierzasty cień wielu skrzydeł przelatujących przez tajemniczą, wielką kulę światła. Wszystko się zmieniło.

Był cały. Nic go nie bolało. Stał na własnych nogach.

Z powrotem w kościele.

Powtórka.

Mustang już przebił ścianę. P.J. zabrał dziewczynę.

Czas cofnął się, ale nie na tyle, żeby mu dać dłuższą chwilę do namysłu. Za kilka minut miał nastąpić zawał w płonącej kopalni. Nie było nawet sekundy do stracenia.

Joey ponad wszelką wątpliwość zdawał sobie sprawę, że to jego ostatnia szansa. Że już więcej nie wróci w razie pomyłki. Nie przeżyje następnej kłęski. Nie mógł zatem popełnić błędu, nie mógł kluczyć i zawieść.

Biegł pomiędzy ławkami w stronę nawy bocznej, po zachodniej stronie kościoła.

W podcieniu koło sanktuarium majaczyła jakaś zgarbiona postać, słabo widoczna w roztańczonym blasku płonącego ołtarza. To był P.J. Niósł dziewczynę.

Joey dotarł pod wschodnią ścianę i popędził dalej, wzdłuż zalewanych deszczem, nadal nietkniętych okien. Odrzucił strzelbę. Już w nią nie wierzył.

P.J. wszedł z dziewczyną do zakrystii i trzasnął za sobą drzwiami.

Joey przeskoczył przez balustradę. Podbiegł do drzwi, ale się nie zatrzymał. Minał

prezbiterium, wbiegł na schody, na podwyższenie, ominął przewrócone świece i płonące prześcieradło, aż wreszcie stanął pod ścianą.

Krucyfiks spadł z gwoźdźcia w chwili, gdy rozpędzony mustang wdarł się do kościoła. Teraz leżał twarzą Jezusa do podłogi.

Joey podniósł mosiężną figurkę na krzyżu i wrócił pod drzwi zakrystii. Zamknięte.

Poprzednim razem rozwalil zamek strzałem z remingtona. Namyślał się, czy jednak nie wrócić po strzelbę.

Nie. Podniósł nogę i z całej siły kopnął poniżej klamki. Kopał, kopał i kopał... Zapadka zazgrzytała głośno i drzwi drgnęły. Z zapalem kopał dalej. Wreszcie rozległ się szczęk metalu i trzask pękającego drewna. Zamek puścił, zapadka pękła i drzwi stanęły otworem. Joey wpadł do zakrystii.

Piwnica.

Drewniane schody.

Zbyt dużo czasu spędził pod zamkniętymi drzwiami, więc był już mocno spóźniony. Dobięgl do schodów o wiele później niż poprzednim razem. Wężowy cień już dawno zniknął z kręgu żółtego światła. Joey nie zdążył go zobaczyć. P.J. odszedł w głąb krętej piwnicy. Razem z Celeste.

Joey zbiegł na dół, przeskakując po dwa schodki naraz. Nagle zrozumiał, że nie powinien całkiem wyzbyć się ostrożności. Kiedy odrzucił strzelbę i wziął krucyfiks, zmienił tę część wydarzeń. Przedtem bezpiecznie dotarł do ostatniej krypty i nie spotkał brata. Teraz mógł się na niego natknąć w każdej chwili. Przystanął, jedną rękę wsparł na poręczu i dużo wolniej zszedł ze schodów.

Upał jak w piecu.

Swąd gorącego wapna. Żar bijący z kamiennej ściany. W pierwszej piwnicy szalony cień pająka niestrudzenie krążący po podłodze.

Joey na moment stawał w każdym przejściu i uważnie patrzył między belki, szukając czegoś więcej niż pajaków.

Kiedy opuścił drugą kryptę, pod kościołem rozległ się przeciągły rumor.

W trzeciej piwnicy poczuł, że podłoga drży pod jego nogami. Nie było czasu na ostrożność. Ani na błędy.

Ścisnął krucyfiks w prawej dłoni i wyciągnął rękę przed siebie. Profesor Van Helsing w

zamku księcia.

Spojrzenie w górę. Cienie. Tylko cienie.

Krypta po krypcie, aż do ostatniej.

Celeste leżała nieprzytomna w jasnym kręgu światła.

W kopalni nastąpił zawał. Kościół zabujał się w posadach i Joey wskutek nagłego wstrząsu wpadł do lochu w tej samej chwili, gdy w podłodze pojawiła się zębata rysa. Z podziemnego tunelu strzeliły noże pomarańczowego światła. Szpara rosła, łykając cement i kamienie. Tworzyła coraz większą przepaść pomiędzy nim i Celeste.

P.J. gdzieś zniknął.

Joey stanął na prawo od ziejącej przepaści, uniósł głowę i wyczekująco spojrział między grubo ciosane belki. P.J. oczywiście był tam jak za pierwszym razem i już szybko pędził w jego stronę, szybki i zwinny niby wielki pająk, urągający prawom grawitacji, w świetle ognia straszniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Zaskrzeczał, drgnął pajęczym spazmem i skoczył na swoją ofiarę.

Joey nie szukał już wyjaśnień w *Strefie mroku* i nie myślał o fizyce kwantowej ani o falach energii czy uskokach czasu, ani o względnie łagodnych stworach z *Archiwum X*, które uprzejmie pozwalały zabijać się ze strzelby. Nie myślał nawet o skomplikowanej analizie Freuda. Miał do czynienia z czymś realnym – z odwiecznym złem w czystej postaci, z obmierzłą, prastarą bestią, ze strachem, który towarzyszył ludziom przez milenia. Teraz zobaczył to na własne oczy. Przed nim stał mroczny pożeracz dusz, zjadacz nadziei, potwór syczący gniewem, śmierdzący siarką – i tak stary, że trudno było weń uwierzyć nawet wówczas, kiedy się objawił. Ale Joey odrzucił wszelkie wątpliwości, pozbył się cynizmu, strząsnął z siebie okruchy dwudziestego wieku, ujął krucyfiks w obie dłonie i wycełował go przed siebie.

Krzyż był tępy, lecz mimo to wbił się w ciało potwora. P.J. jednak nie dał tak łatwo się zatrzymać. Z całym impetem spadł na brata i pchnął go do tyłu. Zwarli się, zachwiali... wciąż na nogach, ale tuż nad krawędzią ognistej przepaści.

P.J. zacisnął dłoń na gardle przeciwnika. Palce miał silne jak imadło, twarde i błyszczące niczym pancierz żuka. Joey spojrział prosto w jego żółte ślepie i przypomniał sobie bezpańskiego psa, którego dzisiaj rano widział na frontowej werandzie domu Shannonów.

P.J. odezwał się, chociaż czarna krew zabulgotała mu na ustach. – Ministrant.

Pod nimi, w gorejącym piekle, nagle nastąpił wybuch gazu, uwięzionego w jakimś zakamarku. Najpierw błysnęło, a potem biała kula ognia wzbila się nad podłogę, ogarniając szczipione ze sobą postacie. P.J. natychmiast stanął w płomieniach. Ogień spalił mu całą skórę, pożarł ubranie

i pochłonał włosy. P.J. rozłożył ręce, zachwiał się i z krzyżem wbitym w piersi runął w powoli rosnącą szczelinę, na dno kopalni. Ognisty płaszcz, którym się owinął, poleciał za nim.

Joey też był w zasięgu płomieni, ale nie spłonął. Nawet ubrania nie osmałił.

Nie musiał pytać Roda Serlinga, kapitana Kirka lub zawsze logicznego pana Spocka, czemu zawdzięczał cudowne ocalenie.

Jaskrawe podziemne światło jaśniało takim bezlitosnym blaskiem, że patrząc w dół, niewiele widział, nawet kiedy mrużył oczy. Był jednak święcie przekonany, że P.J. spadł o wiele głębiej niż do tunelu. Głębiej, niż sięgał jakikolwiek szyb wydrążony w skorupie Ziemi. Lecące ciało wyglądało teraz jak kolczasta plama, wirująca niczym cień pająka. Kręcąc się, malało z wolna – coraz mniejsze, mniejsze, mniejsze... aż zniknęło.

Joey przeskoczył przez szczelinę i uklęknął obok Celeste.

Podniósł jej prawą rękę i obejrzał dłoń. Potem lewą. Żadnych ran. Nawet najmniejszych sińców.

Usiłował ją obudzić. Poruszyła się i zamruczała coś pod nosem, ale wciąż była nieprzytomna.

Szalejący latami pożar pochłonał część pokładów węgla pod Coal Valley, pozostawiając po nich wielkie puste dziury. Po pewnym czasie ciężar naziemnego świata, obciążonego dodatkowym brzemieniem ludzkich smutków, stał się zbyt wielki dla osłabionych fundamentów, które służyły mu niegdyś za podstawę. Ta część doliny doświadczyła największej katastrofy, gdy jeden tunel po zawale kruszył strop drugiego. Piwnicą wstrząsnął gigantyczny dreszcz, podłoga zatańczyła, a wlot otchłani w ciągu jednej chwili powiększył się o pół metra. Górny kościół stracił swój pierwotny kształt i oglądany z boku przypominał teraz nie prostokąt, ale równoległociąg. Drewniane ściany zaczęły się odrywać od kamiennych kotwic.

Wydęty strop w każdej chwili groził zawaleniem. Z góry spadały kawały tynku. Belki trzeszczały niebezpiecznie. Joey podniósł dziewczynę z ziemi.

Z trudem wdychał gorące powietrze. Zamrugnął, żeby spędzić z oczu krople gryzącego potu, i odwrócił się w stronę szczeliny. Była szeroka prawie na dwa metry – za szeroka, aby ją przeskoczyć z Celeste w ramionach.

A zresztą nawet gdyby ją pokonał, to nie zdążyłby wyjść z piwnicy, wspiąć się po schodach i przebiec przez zakrytą, zanim kościół zapadłby się pod ziemię.

Serce waliło mu jak oszalałe. Kolana drżały, nie od ciężaru, który dźwigał, lecz na wspomnienie ludzkiej śmiertelności.

Nie mogli umrzeć w ten sposób.

Za daleko już doszli, zbyt wiele przeżyli.

Zrobił wszystko, co powinien zrobić. To było najważniejsze. Postąpił słusznie, a więc teraz, bez względu na okoliczności, nie musiał się już obawiać – nawet w dolinie śmierci.

Nie ulęknię się zła wszelkiego.

Nagle potrzaskany sufit przestał się zapadać i odskoczył w górę, szarpnięty padającą ścianą. Nadbudowa z hukiem wyrwała się z ziemi i pochylila na bok.

Zimny wiatr zawył mu za plecami.

Joey odwrócił głowę w stronę muru i ze zdumieniem patrzył, jak drewniany strop zrywa się z uwięzi łączącej go z kamieniami. Pękały kolejne sworznie, całość się wygięła i uniosła z wolna, idąc w ślad za kościołem, który najwyraźniej zaczął się przewracać. Pomiedzy fundamentem i przekrzywioną ścianą powstała trójkątna, całkiem spora dziura. Nocny wiatr zaświstał w odsłoniętym lochu. Kościół chylił się nadal i poszerzał otwór.

Droga ucieczki.

Ale piwniczny mur wznosił się co najmniej na wysokość dwóch metrów. Nikt nie wdrapałby się na górę z dziewczyną w ramionach.

Z tyłu, z łomotem lecących kamieni, zapadła się kolejna część podłogi. Ogień podchodził mu pod same stopy. Wpadające z zewnątrz krople deszczu parowały z sykiem.

Serce waliło mu jak przedtem, lecz już nie ze strachu, ale z ciekawości, co też będzie dalej.

Przed nim kamienna ściana zaczęła się rozpadać. Z początku pojawiła się zygzakowata siatka pęknięć. Potem, wskutek gwałtownych drgań, wypadł pojedynczy kamień, stuknął w podłogę, odbił się i boleśnie uderzył go w łydkę. Za pierwszym poleciał drugi. Trzeci. Nieco wyżej czwarty i piąty... Mur stał, ale już nie był tak gładki jak przedtem. Joey miał się czego chwycić podczas wspinaczki.

Chwytem strażackim przerzucił sobie dziewczynę przez lewe ramię i ruszył w górę. Wydostał się z duszącego żaru w deszczową noc. Kościół odsuwał się od niego coraz bardziej, jak gigantyczny kliper gnany silnym wiatrem.

Joey przeniósł dziewczynę przez rozmokłą trawę i grząskie błoto. Minał sterczącą z ziemi rurę, która tryskała ogniem niczym przecięta arteria krwią. Wyszedł na chodnik. Na środek jezdnii.

Usiadł na twardym i mokrym asfalcie. Celeste, wciśnięta w jego ramiona, powoli odzyskiwała świadomość. Joey tymczasem patrzył na kościół Świętego Tomasza. Widział rozpadający się budynek. Widział płomień ogarniające ściany. Po chwili wszystko poleciało w przepaść, w

podziemną grootę, w nieznane królestwo ognia.

Osiadanie.

Było już grubo po północy, gdy Joey i Celeste skończyli składać zeznania policjantom z miejscowego biura szeryfa i detektywom z głównej komendy policji stanu Pensylwania. Potem odwieziono ich do Asherville.

Policja wydała nakaz natychmiastowej ewakuacji pozostałych mieszkańców Coal Valley. Dolanowie opuścili dom, nawet nie wiedząc, że uniknęli śmierci z rąk P.J.

Ciała Johna, Beth i Hannah Bimmerów zamierzano przewieźć do Domu Pogrzebowego „Devokowski”.

Rodzice Celeste wciąż byli w Asherville, u Korshaków, czekając na jakąś wiadomość od Beverly. Nie tylko dowiedzieli się o morderstwie, ale przy okazji poinformowano ich, że tej nocy nie mogą już powrócić do Coal Valley i że córka przyjedzie do nich. Oprócz kościoła zapadło się pod ziemię kilka domów w zupełnie innej części miasta, więc dalszy pobyt kogokolwiek na tym obszarze stawał się zbyt ryzykowny.

Joey i Celeste siedzieli z tyłu radiowozu, trzymając się za ręce. Młody policjant kilka razy próbował do nich coś zagadać, lecz po kolejnej nieudanej próbie dał sobie wreszcie spokój i umilkł.

Zanim wyjechali na główną szosę, deszcz przestał padać.

Celeste poprosiła kierowcę, żeby wysadził ich w centrum Asherville. Stamtąd chciała piechotą dojść do Korshaków.

Joey nie wiedział, dlaczego postanowiła wysiąść, ale wyczuwał w tym jakiś bardzo ważny powód.

Sam wcale się nie spieszył z powrotem do domu. Rodzice już na pewno zostali obudzeni przez policję, która teraz przeszukiwała dawny pokój P.J. Opowiedziano im o wszystkich potwornościach, popełnionych przez ich starszego syna. O morderstwie Beverly Korshak, o śmierci Bimmerów – i Bóg wie ilu jeszcze całkiem niewinnych osób. Joey skorzystał ze swojej szansy na powrót do normalności, ale ich świat na zawsze odmienił się na gorsze. Nie chciał patrzeć na smutek w oczach matki i rozpacz malującą się na twarzy ojca.

Zastanawiał się, czy zmieniając przyszłość, uwolnił matkę od raka, który poprzednim razem zabił ją po czterech latach. Miał taką nadzieję. Wiele wokół się zmieniło. W duchu jednak był przekonany, że świat stał się trochę lepszy tylko na małą skalę. Nie nastąpił jeszcze raj na ziemi.

Celeste wzięła go za rękę i popatrzyła za odjeżdżającym radiowozem.

–Muszę ci coś powiedzieć.

–Powiedz.

–A raczej pokazać.

–W takim razie pokaż.

Przeszli przez ulicę po dywanie z rozmokłych liści. Po drugiej stronie stał duży budynek, w którym mieściły się wszystkie publiczne instytucje z wyjątkiem biura szeryfa.

Biblioteka była nieco z tyłu, w przybudówce. Przez bramę weszli na ciemny dziedziniec, pod kapiące po deszczu modrzewie, aż do głównego wejścia.

Po burzy w mieście panowała cisza niczym na cmentarzu.

–Tylko się nie zdziw – powiedziała Celeste.

–Ja?

Drzwi biblioteki były drewniane, z czterema małymi szybkami. Celeste wybiła łokciem tę, przez którą mogła dosięgnąć do zamka z drugiej strony.

Joey drgnął i rozejrzał się szybko po dziedzińcu. Zerknął też w stronę ulicy. Kruchy brzęk tłuczonego szkła zabrzmiał zadziwiająco cicho i zaraz umilkł. Na pewno nikt go nie usłyszał o tak wczesnej porze. Poza tym w małej górniczej osadzie w 1975 roku nie używano alarmów przeciwwłamaniowych.

Celeste wsunęła rękę przez drzwi i otworzyła zamek.

–Obiecaj mi, że uwierzysz.

Z kieszeni płaszcza wyjęła małą latarkę, minęła stół bibliotekarki i weszła między regały.

Okrąg nie należał do bogatych, toteż biblioteka była mała. Każdy bez trudu mógł tutaj znaleźć wybraną przez siebie książkę. Zresztą Celeste w ogóle nie traciła czasu na szukanie. Wiedziała, po co przyszła.

Zatrzymali się przy powieściach, w ciasnej przestrzeni pomiędzy dwoma wysokimi na dwa metry regałami. Celeste poświeciła latarką na podłogę i kolorowe grzbiety książek magicznie zaślniły odbitym blaskiem.

–Obiecaj, że uwierzysz – powtórzyła. Jej piękne oczy były teraz ogromne i poważne.

–W co?

–Obiecaj.

–Dobrze.

–Obiecuj, że uwierzysz.

–Obiecuję.

Zawahała się, nabrała tchu i zaczęła mówić:

–Wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku kończyłam drugą klasę, a ty w tym samym czasie robileś maturę. Nigdy nie miałam dość odwagi, żeby do ciebie podejść i zagadać. Nie znałeś mnie. Wiedziałam, że za chwilę wyjedziesz do college’u znajdziesz tam sobie jakąś dziewczynę i już nigdy cię nie zobaczę.

Joey poczuł mrowienie w karku, chociaż jeszcze nie znalazł przyczyny.

–Wpadłam w rozpacz – powiedziała Celeste. – Było mi źle, więc zaczęłam czytać mnóstwo książek. Zawsze to robiłam w momentach rozterki. Przyszłam do biblioteki, stanęłam w tym kącie... i nagle znalazłam twoją powieść.

–Moją powieść?

–Przeczytałam nazwisko autora na grzbiecie. Joseph Shannon.

–Jaką powieść? – zapytał oniemiały.

–W pierwszej chwili myślałam, że chodzi o kogoś innego, kto przypadkiem nosi to samo nazwisko. Ale potem wzięłam ją z półki, spojrzałam na obwolutę i zobaczyłam twoje zdjęcie.

Joey popatrzył jej prosto w oczy i znów ujrzał w nich tajemniczą głębię.

–To nie było zdjęcie zrobione teraz... ale za piętnaście lat. A jednak byłeś do siebie podobny.

–Nic nie rozumiem – odparł, choć w rzeczywistości już zaczynał się domyślać, co zaszło.

–Szybko zajrzałam do stopki. Książkę wydano w dziewięćdziesiątym pierwszym.

Zamrugął ze zdziwienia.

–Za szesnaście lat?

–To było wiosną w siedemdziesiątym trzecim – przypomniała mu Celeste. – Więc trzymałam w ręku coś, co miało się ukazać dopiero osiemnaście lat później. W notce o autorze przeczytałam, że wydałeś już osiem powieści, z których sześć trafiło na listy bestsellerów.

Przyjemne mrowienie przybrało na sile.

–Postanowiłam ją pożyczyć. Bibliotekarka wzięła ją ode mnie, żeby spisać numer i... i to już nie była twoja książka. Zwykła powieść, którą już czytałam, wydana w sześćdziesiątym dziewiątym.

Skierowała światło latarki na półkę za jego plecami.

–Może żądam zbyt wiele... – powiedziała – ale pomyślałam, że właśnie dzisiaj, w tę przedziwną noc, znowu ją tu zobaczę.

Oszołomiony ze zdumienia Joey odwrócił się w stronę półki i popatrzył na pełną smugę światła.

Z ust Celeste wyrwał się cichy okrzyk radości. Błysnął czerwony grzbiet jakiejś książki i latarka znieruchomiała.

Joey zobaczył swoje nazwisko, wypisane srebrnymi literami. Tytuł powyżej brzmiał: *Dziwne drogi*.

Celeste drżącą ręką sięgnęła po książkę. Pokazała mu okładkę, z dużym nazwiskiem autora i tytułem. Potem ją odwróciła.

Joey jak urzeczony wpatrywał się w swoje zdjęcie na obwolucie. Był starszy, bez wątplenia miał już po trzydziestce.

Wprawdzie znał siebie z tamtych czasów, bo pięć lat dłużej chodził po tym świecie, ale na fotografii wyglądał znacznie lepiej. Nie postarzał się przedwcześnie i nie miał zapijaczonych oczu, nacechowanych piętnem śmierci. Wyglądał świeżo i kwitnąco – krótko mówiąc, był zadowolony z życia.

Ale to nawet nie w połowie okazało się tak ważne jak reszta zdjęcia. Była na nim cała rodzina. Celeste – także starsza o piętnaście lat – i dwójka dzieci: śliczna dziewczynka, może sześciolatka, i ładny chłopak, ośmiolatek.

Joey wziął książkę do ręki. Nie potrafił powstrzymać łez. Serce jak oszalałe waliło mu ze szczęścia. Nigdy w życiu nie zaznał tak wielkiej radości.

Celeste pokazała mu podpis pod zdjęciem. Musiał zamrużyć kilka razy, zanim odzyskał wzrok na tyle, żeby to przeczytać.

Joseph Shannon jest autorem ośmiu znanych powieści, opisujących blaski i radości rodzinnego życia. Sześć z nich stało się bestsellerami. Żona autora, Celeste, jest cenioną poetką. Oboje mieszkają w południowej Kalifornii wraz z dwójką dzieci, Joshem i Laurą.

Czytał, wodząc drżącym palcem po kartce, tak samo jak to robił jako mały chłopiec, ślęczący w kościele nad mszalem.

–Sam widzisz... – powiedziała Celeste. – Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku wiedziałam, że wrócisz.

Część tajemnic została wyjaśniona, lecz inne wciąż pozostały. Joey domyślał się, że bez względu na to, jak długo będą razem, nigdy nie dowie się wszystkiego o Celeste.

–Chcę to zabrać. – Miał na myśli książkę. Dziewczyna pokręciła głową.

–Wiesz, że nie możesz. Zresztajest ci niepotrzebna. Napiszesz swoją. Musisz tylko uwierzyć, że potrafisz.

Nie zaprotestował, kiedy wyjęła mu książkę z rąk i odstawiła na półkę.

Podejrzewał, że wrócił tu nie tylko dlatego, żeby walczyć z bratem, ale przede wszystkim po to, by poznać Celeste Baker. Owszem, zło należało zwalczać wszędzie i na każdym kroku, ale świat nie mógłby istnieć bez miłości.

–Obiecuj mi, że uwierzysz – szepnęła i delikatnie pogładziła go dłonią po policzku.

–Obiecuję.

–W takim razie wszystko jest możliwe.

Wokół nich biblioteka była pełna życia, które już ktoś przeżył, wzniosłych nadziei, od dawna spełnionych ambicji – i marzeń czekających, by po nie sięgnąć.

Czarna dynia

Dynie były okropne, ale facet, który je rzeźbił, wydawał się jeszcze dziwniejszy. Wyglądał, jakby przez całe lata prażył się w kalifornijskim słońcu. Upał wyssał z niego wszystkie soki. Był żylasty, chudy jak szczapa, o skórze niby pergamin. Głowę miał podobną bardziej do kabaczka – nie tak przyjemnie kulistą jak dynia, lecz też nie taką jak normalni ludzie. Była węższa u góry i szersza na dole. Bursztynowe oczy płonęły ponurym, zadymionym, słabym, ale niebezpiecznym światłem.

Na jego widok Tommy Sutzmann od razu poczuł się nieswojo. Na próżno wmawiał sobie, że to głupie przewrażliwienie. Zawsze wpadał w panikę, kiedy ktoś w pobliżu zdradzał oznaki złości. Choćby cień groźby budził w nim od razu przerażenie. W innych rodzinach dwunastoletnim chłopcom na ogół wpajano szczerłość, dobre maniery i wiarę w Boga. Tommy nauczył się, jak być ostrożnym i podejrzliwym do granic paranoi. Ojciec i matka w najlepszym razie traktowali go jak wyrzutka. W przypiływie złości karali go za niepopelnione winy, dając tym upust swojej frustracji i niechęci do całego świata. Brat Frank widział w nim wyłącznie bezbronną ofiarę. W rezultacie Tommy ustawicznie żył w stanie głębokiego niepokoju.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia na pustym skwerze, wciśniętym między bank i supermarket, stawali sprzedawcy choinek. Latem w tym samym miejscu wędrowni kramarze wykładali malunki na aksamicie i pluszowe zwierzaki spryskane farbą fluorescencyjną. A w przeddzień Halloween cały plac na przedmieściach Santa Ana mienił się na pomarańczowo. Były tu tyłkodynie, wszystkich rozmiarów i kształtów, ułożone w szeregu, w małe piramidki lub po prostu zwalone na ogromną stertę. Dwa, może trzy tysiące okrągłych półproduktów, przeznaczonych na placek albo szczerbatego Jacka Latarnika.

Rzeźbiarz siedział na metalowym krześle, w samym kącie na tyłach placu. Krzesło miało siedzenie i oparcie pokryte brudną dermą. Całe było usiane czarnymi plamami i drobną siecią zmarszczek – zupełnie takich samych jak na twarzy rzeźbiarza. Stary trzymał następną dynię na kolanach i kroił ją ostrym nożem. Inne narzędzia leżały obok niego na zapylonej ziemi.

Tommy nie pamiętał, żeby przechodził na drugą stronę skweru. Wysiadł, kiedy tylko ojciec zjechał z szosy na bok i zatrzymał się przy krawężniku. Chwilę później stał już na końcu bazaru, zaledwie kilka metrów od dziwnej postaci.

Z boku leżały już gotowe, wydrażone dynie. Artysta nie poprzestał na tym, aby wyciąć im wyłącznie oczy i usta. Precyzyjnie zdejmował też wierzchnią łupinę i rzeźbił oblicza o zaskakująco subtelnych, indywidualnych rysach. Potem dodatkowo wszystkie malował, nadając im demoniczny wygląd. Koło krzesła stały cztery puszki z farbą – każda z oddzielnym pędzlem. Farba była czerwona, biała, zielona i czarna.

Dynie śmiały się, marszczyły, lypały spod oka i stroiły ponure miny. Wszystkie zdawały się patrzeć na Tommy'ego. Wszystkie bez wyjątku.

Miały szeroko otwarte usta i szczerzyły spiczaste zęby. U żadnej z nich nie widział głupawego grymasu ani szerokich jak łopaty i tępych siekaczy. Za to niektóre pyszniły się długimi klami.

Gapily się i gapily... Aż Tommy nabrał przekonania, że naprawdę go widzą.

Po dłuższej chwili zauważył, że stary też mu się przygląda. Dziwne bursztynowe oczy, pełne przyćmionego światła, ożywiły się na widok chłopca.

–Chcesz którąś z nich? – zapytał rzeźbiarz. Miał zimny i oschły głos, a każde jego słowo szeleściło niczym paździenikowy liść miotany wiatrem po chodniku.

Tommy zająknął się. Chciał powiedzieć: „Nie, dziękuję panu”, ale słowa uwięzły mu w gardle niczym duży kawałek dyni. Nie mógł ich połknąć ani wykrztusić.

–Wybierz tę, która ci się najbardziej podoba – mruknął rzeźbiarz i machnął sękatą ręką w stronę swojej upiornej galerii. Ani na chwilę nie oderwał wzroku od Tommy’ego.

–Nie... hmm... Nie, dziękuję. – Chłopiec skrzywił się mimo woli, bo odpowiedź zabrzmiała piskliwie i drżąco.

Co się ze mną dzieje? – pomyślał. – Dlaczego tak się denerwuję? Przecież to tylko stary wieśniak, który uwielbia kroić dynie.

–Boisz się, że jest za droga? – spytał rzeźbiarz.

–Nie.

–Popatrz, tam stoi właściciel tego bałaganu. Zapłacisz mu za dynię ustaloną cenę. Mnie zaś dasz tylko tyle, ile zechcesz. Tyle, ile twoim zdaniem warta jest moja praca.

Gdy się uśmiechnął, jego dziwaczna twarz zupełnie się zmieniła. Niestety, nie na lepsze.

Dzień był pogodny. Promienie słońca prześwitywały przez szpary w chmurach. Część dyń leżących na placyku jarzyła się pomarańczowym blaskiem, a część pozostawała w cieniu. Tommy poczuł, że mimo wszystko jest mu okropnie zimno. Co gorsza, chłód nie ustępował.

Stary na dobre przerwał robotę i pochylił się w stronę Tommy’ego.

–Daj mi, co chcesz... ale pamiętaj, że w zamian dostaniesz to samo.

Znów się uśmiechnął. Gorzej niż przedtem.

–Och... – Tommy westchnął.

–Weźmiesz, co dałeś.

–Bez kitu? – zapytał Frank, podchodząc nieco bliżej. Najwyraźniej usłyszał całą rozmowę. Był o dwa lata starszy od Tommy’ego, lepiej zbudowany i pewny siebie do takiego stopnia, że Tommy nie mógł o tym nawet marzyć. Wziął do ręki najokropniejsze z dzieł rzeźbiarza.

–To ile za tę?

Stary nie chciał odwrócić spojrzenia od Tommy’ego, a Tommy bał się pierwszy umknąć wzrokiem. W oczach nieznanego było coś, czego nie umiał nazwać i zrozumieć. Coś, co mu podsuwało widok zniekształconych dzieci, obcych koślawych istot i poskręcanych trupów.

–Pytam się, dziadku, ile za tę? – powtórzył Frank.

Stary w końcu popatrzył na niego... i poweselał. Nie podniósł się, ale odłożył na bok napoczęty lampion, który dotychczas trzymał na kolanach.

–Zapłacisz tyle, ile zechcesz – powiedział. – W zamian dostaniesz to samo.

Frank wybrał najohydniejszą dynię. Wielką, ale oklapłą i zdeformowaną, węższą na czubku, ze wstrętnymi zgrubieniami, przypominającymi stwardniałą narośl na chorym dębie. Rzeźbiarz dodatkowo podkreślił jej szpetotę, wycinając olbrzymie usta z dwoma kłami u góry i trzema na dole. Nos był nieregularną dziurą, przywodzącą na myśl opowiadane na biwakach historie o trędowatych. Skośne oczy wielkości cytryny miały wąską złowrogą źrenicę i nie przechodziły na wylot przez całą grubość łupiny. Sterczący z czubka ciemny fragment łodygi w oczach Tommy’ego wyglądał tak, jakby już od dawna był toczony przez raka. Stary pomalował tę dynię na czarno. Pozostawił jedynie pomarańczowe linie wokół ust, oczu i guzów, chyba tylko po to, żeby podkreślić jej szpetotę.

Nic dziwnego, że spodobała się właśnie Frankowi. Do jego ulubionych filmów należały: *Teksaska masakra piłą mechaniczną* i cały cykl *Piątek 13-tego* o szalonym mordercy Jasonie. Kiedy oglądał z bratem horrory na wideo, pohukiwał z zachwyty na widok zbrodniarza. Tommy stał zawsze po stronie ofiary. Frank krzywił się, że w *Duchu* wszyscy ocaleli. Miał nadzieję, że monstrum przyczajone w szafie pożre przynajmniej chłopca i wypluje kości niczym pestki arbuza.

„W dupę... – mrucał. – Nawet głupiemu psu nie wypruli flaków”.

Teraz trzymał w rękach czarną dynię i przyglądał się jej z uśmiechem. W pewnej chwili zmrużył powieki i popatrzył jej prosto w oczy, jakby miał do czynienia z żywą, myślącą istotą i chciał przejrzeć ją na wylot. Wyglądał jak zahipnotyzowany widokiem upiornej twarzy.

Odlóż to, błagał go w duchu Tommy. Na miłość boską, Frank... Odlóż to i uciekajmy.

Rzeźbiarz z napięciem obserwował Franka. Czaił się jak drapieżnik skulony do skoku.

Chmury na moment przesłoniły słońce.

Tommy zadrzał.

Frank w końcu przerwał wzrokowy pojedynek z dynią i zerknął na rzeźbiarza.

–Placę co laska? – spytał.

–W zamian dostaniesz to samo.

–Ale za kasę dasz mi dynię?

–Weźmiesz to, co sobie kupisz – tajemniczo odpowiedział stary.

Frank odłożył czarną dynię i wyjął z kieszeni garść drobniaków. Ze złośliwym uśmiechem podszedł do starego i wręczył mu pięć centów.

Rzeźbiarz wyciągnął rękę.

–Nie! – gwałtownie zaprotestował Tommy. Obaj z zaskoczeniem spojrzeli na niego.

–Nie, Frank... – powiedział Tommy. – Nie rób tego. Nie kupuj jej. Nie bierz do domu.

Brat przez chwilę patrzył na niego z osłupieniem, a potem wybuchnął śmiechem.

–Wiem, że jesteś mazgajem, ale nie uwierzę, że się tego zląkłeś!

–W niej siedzi coś złego – nie ustępował Tommy.

–Boisz się ciemnej piwnicy, masz lęk wysokości, boisz się, że w nocy coś wyskoczy z szafy, boisz się co najmniej połowy kolegów, a teraz przestraszyłeś się idiotycznej dyni! – zawołał Frank. Znów się roześmiał – złośliwie, z pogardą i szczerym rozbawieniem.

Rzeźbiarz wziął od niego pięć centów, ale w jego śmiechu nie było krzty weselości.

Tommy poczuł zimne ukłucie strachu. Nie wiedział, skąd to się wzięło. A może naprawdę był zwyczajnym tchórzem, który drzał ze strachu na widok własnego cienia? Może był nienormalny? Szkolna pani psycholog określała to słowem „nadwrażliwość”. Matka mówiła, że jej młodszy syn „ma bujną wyobraźnię”. Ojciec nazywał go „oderwanym od życia marzycielem bez odrobiny realizmu”. Być może wszyscy mieli rację... – myślał Tommy. Pewnie któregoś dnia znajdzie się w szpitalu, w pokoju bez klamek, będą zjadał muchy i mówił do siebie. Ale był święcie przekonany, że w paskudnej dyni zaległo się coś złego.

–Masz, dziadku – mruknął Frank. – Oto twoja dola. Naprawdę sprzedajesz?

–Pięć centów za robotę. Straganiarz weźmie swoje za dynię.

–Nie ma sprawy – wycedził Frank. Tommy zadygotał.

Frank odwrócił się od starego i podniósł dynię z ziemi. W tej samej chwili słońce przebiło się przez chmury. Promień światła padł na tę część placu.

Tylko Tommy zobaczył, co się wtedy stało. Dynie pojaśniały na pomarańczowo, złoty pył zatańczył nad zakurzoną ziemią, błysnęły chromowane nogi zniszczonego krzesła – tylko rzeźbiarz pozostał w cieniu. Smuga na kształt kurtyny rozsunała się nad nim na dwoje. Niewiarygodny widok. Słoneczny blask unikał starca, jakby ten ulepiony był z nieziemskiej gliny, odstraszaającej światło.

Tommy zachłysnął się powietrzem.

Rzeźbiarz rzucił mu dzikie, nieludzkie spojrzenie. Ktoś mógłby pomyśleć, że to duch burzy zaklęty w starcze ciało, ale gotowy w każdej chwili wybuchnąć ze złośliwą furją, lunąć deszczem, zawyc huraganem i zadudnić złowieszczym gromem. W bursztynowych oczach jarzyła się zapowiedź bólu i cierpienia.

Nagle słońce zgasło. Powróciły chmury.

Starzec szelmowsko zmrużył oko.

Już po nas, z rozpaczą pomyślał Tommy.

Frank wziął dynię w obie ręce i wyczekująco popatrzył na rzeźbiarza, jakby spodziewał się, że domniemana sprzedaż była tylko żartem.

–Mogę ją zabrać?

–Przecież ci mówiłem – odparł stary.

–Ile czasu przy niej dlubałeś? – spytał Frank.

–Pewnie z godzinę.

–I za godzinę pracy zarabiasz pięć centów?

–Robię jedynie to, co lubię. A lubię rzeźbić – mruknął stary i znów puścił oko do Tommy’ego.

–Za mądry to ty nie jesteś – z wrodzonym taktem zauważył Frank.

–Być może. Być może.

Frank przyglądał mu się przez chwilę, jakby w niewielkim stopniu podzielał obawy Tommy’ego, ale w końcu wzruszył ramionami, odwrócił się i poszedł na drugą stronę placu, w stronę ojca, który kupował większą liczbę dyń na jutrzejsze przyjęcie.

Tommy chciał pobiec za nim i ubłagać, żeby natychmiast zwrócił czarną dynię i odebrał swoje

pięć centów.

–Posłuchaj, mały... – powiedział rzeźbiarz, znów pochylając się do niego.

Był taki chudy i kanciasty, chłopiec słyszał zgrzyt starych kości, ocierających się o siebie pod wysuszoną skórą.

–Posłuchaj...

Nie, pomyślał Tommy. Nie chcę tego słuchać. Muszę uciekać. Uciekać...

Lecz moc starca była jak lut przytwierdzający go do ziemi. Nie mógł się ruszyć z miejsca.

–Tej nocy... – zaczął stary z pociemniałym wzrokiem. – Tej nocy dynia zmieni się w coś innego. Kłapnie szczęką. Wyszczrzy ostre zęby. A kiedy wszyscy zasną, ruszy na obchód domu... Każdy dostanie to, na co zasłużył. Do ciebie przyjdzie na samym końcu. Jak myślisz, na co zasłużyłeś, Tommy? Widzisz, wiem nawet, jak masz na imię, chociaż nie usłyszałem tego od twojego brata... Co zatem zrobi z tobą czarna dynia? Hmmm? Na co zasłużyłeś?

–Kim pan jest? – wykrztusił Tommy. Rzeźbiarz uśmiechnął się.

–Groźbą.

Nagle stopy chłopca oderwały się od ziemi. Uciekał ile sił w nogach.

Dogonił Franka i próbował go namówić, żeby jednak oddał czarną dynię. Niestety, zamiast słów wydawał z siebie tylko histeryczne jęki. Frank zachichotał. Tommy rzucił się na niego, chcąc mu odebrać zakup. Brat pchnął go jednak tak gwałtownie, że chłopiec potknął się i przewrócił na plecy między dynie. Frank roześmiał się na całe gardło i zanim odszedł, specjalnie z całej siły nadepnął mu na nogę.

Tommy niezgrabnie podniósł się z ziemi. Noga bolała go jak diabli. Przez łzy popatrzył na drugą stronę placu i zobaczył, że starzec wciąż mu się przygląda.

Mało tego, nawet pomachał ręką.

Tommy z bijącym sercem pokuśtykał do wyjścia. Miał nadzieję, że jeszcze zdoła przekonać brata. Niestety, Frank już kładł czarną dynię na tylny fotel cadillaca. Ojciec zapłacił za wszystkie zakupy. Było za późno na ratunek.

Po powrocie do domu Frank zaniósł czarną dynię do swojego pokoju i położył ją na biurku, pod plakatem ze zdjęciem Michaela Berrymana w roli szalonego mordercy z filmu *Wzgórza mają oczy*.

Tommy obserwował to przez otwarte drzwi.

Frank znalazł w kuchni grubą, pachnącą, ozdobną świeczkę. Była tak wielka, że mogła palić się ze dwa dni albo dłużej. Tommy podejrzliwie zerkał w głąb pokoju, bojąc się rozżarzonych oczu dyni. Tymczasem Frank zapalił świeczkę i nakrył dynię odciętym czubkiem, z którego sterczał kikut lodygi.

Wąskie źrenice upiornej maski błyszcząły-migotały-lśniły przekonującą imitacją demonicznego życia i złośliwej inteligencji. Zębaty uśmiech jaśniał żywym ogniem, a płomień świecy przybrał kształt języka wciąż liżącego lupinowe wargi. Najwstrętniejszy był dziurawy nos – nie dość, że niekształtny, to jeszcze wypełniony jakimś żółtym śluzem.

–O w mordę! – zawołał Frank. – Ten stary pierdziel to prawdziwy geniusz w swoim fachu.

Płonąca świeca wydzielala silny zapach róży.

Tommy przypomniał sobie, że nagła i niewytłumaczalna woń róży wiąże się z obecnością upiorów lub duchów. Nie pamiętał już, gdzie to przeczytał. Zresztą nieważne... – szepnął w duchu. W tym wypadku źródło zapachu było przecież znane.

–Co do diabła? – Frank silnie pociągnął nosem. Uniósł pokrywkę dyni i zajrzał do środka. Chwiejny pomarańczowy blask zatańczył na jego twarzy, przedziwnie deformując rysy. – To miała być cytrynowa świeczka. A tu śmierdzi różami, jak u jakiejś dziewczyny.

*

W przestronnej kuchni rodzice Tommy'ego, państwo Lois i Kyle Sutzmannowie stali przy stole pogrążeni w rozmowie z dostawcą żywności, panem Howserem. Uzgadniali menu na wystawne przyjęcie, zaplanowane na Halloween. Głośno przypominali panu Howserowi, że dania mają być pierwszorzędne.

Tommy po cichu przemknął za ich plecami. Miał nadzieję, że go nie zauważą. Wyjął z lodówki puszkę coca-coli.

Sutzmannowie po raz kolejny podkreślali, że wszystko musi być „imponujące”. Przekąski, kwiaty, bufet, stroje kelnerów... Wykwintna elegancja, szyk i doskonałość. Niech goście wiedzą, że mają do czynienia z arystokracją stanu Kalifornia.

To nie była zabawa dla dzieci. Tommy i Frank cały jutrzejszy wieczór mieli przesiedzieć w

swoich pokojach. I to po cichu – bez telewizji, bez muzyki, bez zwracania głowy rodzicom.

Kyle Sutzmann zaprosił głównie same grube ryby z kręgów polityki. Dotychczas piastował urząd senatora, ale za tydzień chciał być wybrany do Kongresu. Bankiet wydawał na cześć tych swoich stronników, którzy najwięcej wyłożyli na kampanię, i tych, którzy pociągnęli za odpowiednie sznurki, żeby ubiegłej wiosny dostał nominację. *Kinder verboten*.

Tommy potrzebny był rodzicom jedynie w czasie wieców, sesji fotograficznych i przez kilka minut na początku koktajli wydawanych przez komitet wyborczy. To zresztą mu nie przeszkadzało. Lubił pozostawać niewidzialny. Wcale nie tęsknił do tych rzadkich chwil, w których rodzice go zauważali. Wtedy zawsze dostawał burę za to, co zrobił lub powiedział, za każdy gest i niewinną minę.

–Panie Howser – westchnęła Lois – chyba oboje dobrze wiemy, czym się różnią duże krewetki od małych homarów. Jedno drugiego nie zastąpi.

Mocno zdenerwowany restaurator zapewniał ją, że wszystko pójdzie jak najlepiej. Tommy cichutko odszedł od lodówki i wziął ze słoja dwa cukierki Milanos.

–To są naprawdę ważni ludzie – dziesiąty raz powtarzał Kyle. – Którzy mają coś do powiedzenia. Przyzwyczajeni do najlepszych rzeczy.

W szkole mówiono Tommy’emu, że politycy są inteligentni i troszczą się o swoich bliźnich, ale on wiedział, że to bzdura. Ojciec całymi wieczorami dyskutował z matką tylko o karierze. Nigdy się nie poczuwał do „służebnej roli” ani do „działań na rzecz społeczeństwa”. Oczywiście publicznie, zwłaszcza podczas kampanii, było dużo gadania choćby o „korzyściach dla głodnych i bezdomnych”. W domu nie. Z dala od ludzkich uszu nawoływano raczej do „zwarcia szeregów” i „walki ze wspólnym wrogiem”. Tommy na przykład zapamiętał zdanie: „Wepchniemy im do gardła te nowe przepisy!”. Dla państwa Sutzmannów i dla ich znajomych polityka była kluczem do sukcesu, pieniędzy i – co najważniejsze – władzy.

Tommy rozumiał, co to znaczy, kiedy ktoś pragnie, żeby go trochę szanowano. Sam o tym marzył niemal co dzień. Mógł też zrozumieć pogoń za pieniędzmi. Ale władza? Dlaczego ludzie marnowali aż tyle czasu i energii, żeby rządzić innymi ludźmi? Co w tym fajnego, że ktoś może komuś wydawać rozkazy? A jeśli każe zrobić mu coś złego? Jeśli w ten sposób zacznie kogoś krzywdzić albo jeszcze gorzej? Ludzie nie lubią tych, co mają większą władzę. Na przykład Tommy – nie cierpiał Franka, który próbował nim bez przerwy rządzić wedle własnego widzimisię.

Tommy czasami myślał, że w tej rodzinie tylko on jeden jest normalny. Innym znów razem wydawało mu się, że sam ma nie po kolei w głowie. W obu wypadkach miał wrażenie, że nic nie łączy go z domownikami.

Ukradkiem wyszedł z kuchni, ściskając puszkę coli i dwa cukierki zawinięte w papierową serwetkę. Rodzice rozmawiali z panem Howserem o szampanie.

Drzwi od pokoju Franka były otwarte, więc Tommy zatrzymał się na chwilę, żeby spojrzeć na dynię. Ciągle leżała na dawnym miejscu, gorejąc ogniem ze wszystkich otworów.

–Co tam masz? – spytał Frank, wychodząc na korytarz. Złapał Tommy’ego za koszulę, wciągnął do siebie i zatrzasnął drzwi. Zabrał mu colę i słodycze.

–Dzięki, glucie. Właśnie zgłodniałem. – Podszedł do biurka i położył lupy obok dyni.

Tommy zaczerpnął tchu i napiął wszystkie mięśnie. Postanowił w duchu, że jednak nie odpuści.

–To moje.

Frank udawał zdziwionego.

–Coś ty? Ale chytrus! Nie podzielisz się braciszkiem?

–Oddaj mi to.

Uśmiechnięta twarz Franka przypominała pysk rekina.

–Cha, cha, maleńki... Chcesz nauczki? Zaraz ci pokażę drogę oświecenia.

Tommy miał ochotę przyznać się do klęski. Mógł odwrócić się i pójść do kuchni po drugą colę i cukierki. Ale zdawał sobie sprawę, że nie powinien ulec. Że nie powinien biernie poddawać się tyranii potwora zwanego bratem. Nic by na tym nie zyskał. Frank gardził uległością i wobec słabszych stawał się okrutny, bez żadnych zahamowań.

–Oddaj mi to – powtórzył Tommy, zastanawiając się, czy warto tracić życie dla cukierków, nawet tak dobrych jak Milanos.

Frank rzucił się na niego.

Upadli na podłogę. Bili się, szarpali, tłukli i kopali – ale nie czynili przy tym hałasu. Nie chcieli, żeby rumor przyciągnął rodziców. Dla Tommy’ego skończyłoby się to srogą burą. W mig zostałby uznany za głównego winowajcę. Silny i opalony Frank był oczkiem w głowie państwa Sutzmannów. Tacy synowie nigdy nie popełniają błędów. A Frank wolał zmagać się z bratem w ciszy, żeby nikt mu przypadkiem nie przerwał bijatyki i nie popsuł zabawy.

W trakcie bójki Tommy kilka razy przełomie ujrzał dynię. Przysięgłby, że zjadliwie patrzyła w ich stronę, a jej uśmiech stawał się coraz okropniej szy.

Wreszcie Frank wepchnął brata do kąta. Tommy ze zmęczenia dyszał jak miech. Frank usiadł na nim, grzmotnął go jeszcze raz, aż Tommy’emu zadzwoniło w uszach, a potem ściągnął z niego ubranie.

–Nie! – szepnął Tommy, gdy zrozumiał, że prócz siniaków czeka go jeszcze poniżenie. – Nie... Nie...

Walczył jak lew, ale nie dał rady. Frank zabrał mu koszulkę, rozpiął dżinsy i spuścił majtki aż do kostek. Potem postawił go na nogi i pociągnął w stronę korytarza.

Otworzył drzwi, wypchnął brata z pokoju i zawołał na całe gardło:

–Mario! Możesz tu przyjść na chwilę?

Maria była pokojówką, która dwa razy w tygodniu sprzątała w domu państwa Sutzmannów. Dziś właśnie wypadła jej dyżur.

–Mario!

Nagi i przerażony Tommy, bojąc się spotkania z Marią, próbował w biegu podciągnąć spodnie. Zaplątał się, przewrócił, wstał i pobiegł dalej.

–Mario! Proszę... – przymilnym głosem wołał Frank, ale ze śmiechu musiał przerwać.

Zdyszany i zapłakany Tommy jakimś cudem zdążył dotrzeć do siebie przed nadejściem Marii. Przez chwilę stał oparty o zamknięte drzwi, drżąc i oburącz ściskając spodnie.

Kolację zjedli tylko we dwóch, bo państwo Sutzmannowie byli na kolejnym spotkaniu wyborczym. Maria zostawiła w lodówce zapiekankę. Kolacja z Frankiem na ogół stanowiła niemiłe przeżycie, ale dziś okazała się w miarę spokojna. Frank przy jedzeniu kartkował jakiś magazyn o horrorach. Przeważały tam krwawe filmy o zbrodniach, mordercach i psychopatach. Na kolorowych zdjęciach piętrzyły się poćwiartowane i zakrwawione ciała. Frank gapił się w nie jak urzeczony i nie zaczął brata.

Na koniec poszedł się wykąpać. Tommy skorzystał z tej okazji, żeby po cichu wśliznąć się do jego pokoju. Stał przy biurku i spojrzał na dynię. Złowieszczą wykrzywioną usta wciąż świeciły. Wąskie oczy płonęły żywym ogniem.

W powietrzu wciąż unosił się zapach róży. Tommy poczuł coś jeszcze, ale ta druga woń była delikatniejsza i stłumiona. Nie umiał jej zidentyfikować.

Podświadomie wiedział, że tu czai się coś okropnego. Coś o wiele gorszego niż zazwyczaj – chociaż pokój Franka zawsze był przesiąknięty złem. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Nagle chłopiec nabrał przekonania, że to płomień świeczki potęguje mordercze zapędy czarnej dyni. Ogień był w jakiś sposób groźny... Muszę go zgasić, bo inaczej nie doczekam rana, pomyślał Tommy. Sam nie wiedział, skąd mu to przyszło do głowy.

Złapał za kostropaty kawałek lodygi i uniósł wieczko.

Blask jakby odruchowo skoczył w jego stronę. Parzył w policzki i kłuł w oczy.

Tommy zdmuchnął świeczkę. Dynia pociemniała. Tommy zaraz poczuł się lepiej. Zakrył wierzch dyni.

Puścił lodygę i w tej samej chwili świeczka sama się zapaliła. Chłopiec odskoczył z przerażeniem.

Światło wydobywało się przez oczy, nos i usta czarnej maski.

–Nie... – szepnął Tommy.

Zdjął nakrywkę i jeszcze raz zdmuchnął świeczkę.

We wnętrzu dyni na krótką chwilę zapanowała ciemność. Potem, na oczach wystraszonego chłopca, błysnął jasny płomień.

Tommy jęknął bezwiednie, wsunął rękę w głąb dyni, żeby zdusić knot upartej świeczki. Był przekonany, że już nie ujdzie z tej pułapki. Tylko czekał, aż dynia pożre mu dłoń w nadgarstku i pozostawi krwawy kikut. Albo przynajmniej go przytrzyma i do kości obgryzie palce. Będzie

miął szkielet zamiast ręki... Bliski hysterii, błyskawicznie ścisnął knot dwoma palcami. Z okrzykiem ulgi cofnął rękę, szczęśliwy, że tym razem zdołał uniknąć najgorszego.

Zakrył dynię i usłyszał, że Frank spuszcza wodę w toalecie. Uciekł, zanim brat zdążył go zobaczyć. Kiedy już znalazł się na korytarzu, szybko obejrzał się za siebie. Dynia, rzecz jasna, tak jak dawniej płonęła pomarańczowym światłem.

Tommy poszedł prosto do kuchni, wziął duży nóż, zaniósł go do swojego pokoju i schował pod poduszkę. Wiedział, że nim nastanie świt, będzie się musiał przed czymś bronić.

Państwo Sutzmannowie wrócili tuż przed północą.

Tommy siedział na łóżku. W jego pokoju panował półmrok, słabo rozświetlany niewielką nocną lampką. Chłopiec zaciskał dłoń na trzonku noża ukrytego pod koldrą.

Przez dwadzieścia minut słyszał szum prysznic, wody w spluczce, stuk zamykanych drzwi i głosy rodziców. Ich pokoje i łazienka znajdowały się po drugiej stronie domu, więc wszystkie dźwięki były stłumione i słabe. Ale działały też uspokajająco. Świadczyły o tym, że życie Sutzmannów wciąż biegnie ustalonym trybem. Czarny drapieźnik o oczach jak latarnie nie wyruszył na nocne łowy.

Potem jednak zapanowała cisza.

Tommy z napięciem czekał na pierwszy krzyk przerażenia.

Postanowił, że nie zaśnie. Ale miał zaledwie dwanaście lat i był zmęczony po ciężkim dniu, pełnym napięcia i strachu, który mu towarzyszył od chwili, kiedy na bazarze ujrzał złowrogiego starca. Z głową wspartą na poduszkach zasnął tuż przed pierwszą...

...i obudził się, gdy coś lupnęło.

Oprzytomniał natychmiast. Usiadł prosto i mocniej ścisnął nóż w dłoni.

W pierwszej chwili był przekonany, że hałas rozległ się gdzieś w pobliżu łóżka. Potem jednak usłyszał ponowne lupnięcie i wiedział już, że to z pokoju Franka, po drugiej stronie korytarza.

Odrzucił koldrę i z napięciem usiadł na skraju łóżka. Czekal. Nasluchiwał.

Raz wydawało mu się, że słyszy głos Franka.

–Toooooommy... – ktoś z rozpaczą jęczał wystraszonym głosem, ale tak cicho, jakby był daleko, za wielkim kanionem. Pewnie się przesłyszałem, pomyślał chłopiec.

Cisza.

Dłonie miał mokre od potu. Odłożył nóż i wytarł je w piżamę.

Cisza.

Z powrotem wziął nóż do ręki. Pod łóżkiem zawsze trzymał latarkę. Wyjął ją teraz, ale nie zapalił. Na palcach podszedł do drzwi i nadstawił ucha, żeby sprawdzić, co dzieje się na korytarzu.

Nic nie usłyszał.

Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, aby natychmiast wracał do łóżka i nakrył się kołdrą na głowę. Albo nie – lepiej, jak schowa się pod łóżkiem i przeczeka. Ale to był głos tchórza... a tchórz nie miał najmniejszej szansy na przetrwanie. Potwór zrodzony z czarnej dyni na pewno nie mniej od Franka żywił pogardę dla słabości.

Boże... – gorączkowo rozmyślał Tommy. Tu na dole jest mały chłopiec, który w Ciebie wierzy... i który będzie strasznie zawiedziony, jeśli odwrócisz się od niego w chwili, kiedy Cię naprawdę, naprawdę, naprawdę potrzebuje.

Po cichutku przekręcił klamkę i uchylił drzwi. Ciemny korytarz, oświetlony jedynie wpadającym przez okno księżycowym blaskiem, był zupełnie pusty.

Tommy przez chwilę patrzył na otwarte drzwi wiodące do pokoju Franka.

Nie zapalił latarki w nadziei, że w ciemnościach nikt go nie zauważy. Przeszedł na drugą stronę korytarza i zaczął nasłuchiwać. Frank zwykle chrapał, ale dzisiaj w pokoju panowała cisza. Świeczka – jeśli wciąż tam była – chyba wreszcie zgasła, bo ze ścian zniknęła migocząca poświata.

Tommy przestąpił próg.

Srebrzysty połysk kładł się na parapecie, a za szybą, targane wiatrem, poruszały się liście palmy. Żaden przedmiot nie miał wyraźnych konturów. W szarocarnym cieniu majaczyły tajemnicze kształty.

Tommy dał krok przed siebie. Drugi. Trzeci.

Serce waliło mu tak mocno, że już nie chciał kryć się w nieprzyjaznym mroku. Zapalił latarkę i drgnął przestraszony, gdy snop światła błysnął w ostrzu rzeźnickiego noża w jego prawej ręce.

Rozejrzał się po pokoju i odetchnął z ulgą, bo nie znalazł przyczajonej bestii. Potem jednak zobaczył skotłowaną pościel i zbliżył się do łóżka. Franka nie było.

Na podłodze koło nocnej szafki leżała odcięta ręka. Tommy zauważył ją tuż za kręgiem światła, więc skierował latarkę w tamtą stronę. Szeroko rozwarł oczy z przerażenia. Ręka Franka. Nie mógł się pomylić, bo na białym palcu ujrzał srebrny sygnet z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Dłoń była zaciśnięta w pięść.

Prawdopodobnie skutek pośmiertnego skurczu, a może za podszeptem jakichś ciemnych mocy palce rozgięły się gwałtownie na kształt i podobieństwo kwiatu. Na dłoni spoczywała mała błyszcząca moneta. Pięć centów.

Tommy cudem powstrzymał się, żeby nie wrzasnąć. Dygotał na całym ciele.

Rozpaczliwie zastanawiał się, którądy uciec. Która droga byłaby najbezpieczniejsza? W tej samej chwili na drugim końcu domu rozległ się przeraźliwy krzyk matki. Jej głos umilkł jak ucięty nożem. Coś zgrzytnęło.

Tommy odwrócił się w stronę drzwi. Wiedział, że powinien uciec, zanim będzie za późno. A jednak stał niczym wrośnięty w ziemię – tak jak na bazarze, gdy upiorny starzec mówił mu, co dynia robi w nocy.

Usłyszał głos ojca.

Strzał.

Krzyk ojca.

Po chwili wszystko się urwało. Znowu cisza.

Tommy próbował choćby odrobinę unieść jedną nogę, ale nie zdołał tego zrobić. Wiedział, że to nie tylko strach przykuł go do podłogi. Tutaj działało złe zaklęcie, które nie pozwalało umknąć mu przed czarną dynią.

Gdzieś daleko trzasnęły drzwi.

Z korytarza dochodziło echo ciężkich, szurających kroków.

Dwie łzy spłynęły po policzkach chłopca.

Deski jęczały i skrzypiały pod jakimś wielkim ciężarem.

Tommy gapił się na otwarte drzwi z nie mniejszym przerażeniem, niż patrzyłby na wrota piekła. Dostrzegł pomarańczowy blask. Łuna stawała się silniejsza, w miarę jak coś – zapewne świeca – zbliżało się do pokoju. Ktoś nadchodził z lewej strony, od sypialni rodziców.

Po chodniku pelzły amorficzne cienie i niesamowite węże światła.

Ciężkie kroki rozbrzmiewały coraz wolniej. Wreszcie stanęły. Sądząc po blasku, „coś” zatrzymało się niecały metr przed drzwiami.

Tommy głośno przelknął ślinę i chciał zapytać: „Kto tam?”, ale zdziwił się, gdy usłyszał własne słowa:

–No, dobra... Niech cię diabli. Kończmy tę komedię.

Być może lata, które spędził w rodzinie Sutzmannów, zahartowały go o wiele bardziej, niż się spodziewał.

Stwór dał krok naprzód i stanął w drzwiach.

Głowę miał z dyni, lecz zdeformowaną niemal nie do rozpoznania. Jedyne barwy, czarna i pomarańczowa, wciąż pozostały niezmienione. Wąski czerep, szeroka szczęka i chorobliwie kostropate gruzły ciągle sprawiały nieprzyjemny widok, ale całość – przedtem ogromna – teraz skurczyła się i zmalała do wielkości piłki do koszykówki. Oczy przywiedły, chociaż w dalszym ciągu były wąskie i upiorne. Z nosa wyciekał ohydny śluz. Szerokie usta zachowały swą pierwotną wielkość, więc w zapadłej, pomarszczonej twarzy wydawały się większe niż poprzednio. Podświetlone od wewnątrz haczykowate zęby stały się ostre i piekielnie twarde, niczym z najprawdziwszej kości.

Reszta postaci z grubsza przypominała człowieka, choć wyglądała niby płatanina krętych korzeni, liści i pnączy. Potwór musiał być strasznie silny. Gdyby zechciał, mógłby zmienić się w olbrzyma lub mołocha. Mimo obawy Tommy spoglądał nań z podziwem. Zastanawiał się, czy poplątane cielsko czerpało życiodajne soki z głowy, czy też urosło, chlepcząc krew Franka, Lois i Kyle’a Sutzmannów.

Najgorszy był pomarańczowy blask w środku dyni. Świeczka paliła się bez końca. Płomień migotał w pustym wnętrzu – chociaż zdawało się to niemożliwe – i budził jakąś dziwną czujność w szparkach oczu. Jak ten stwór chodzi albo myśli, skoro nie ma mózgu? – pytał sam siebie Tommy.

Koszmar na zjawę uniosła grubą, pokręconą i mocarną rękę. Wyciągnęła gruzłowaty palec w stronę chłopca.

–Ty... – powiedziała niskim, szeleszczącym głosem, przypominającym szmer topiącego się śniegu, który splywa do studzienki.

Tommy już nie był zdziwiony tym, że nie może zrobić ani kroku. Bardziej ciekawiło go, jak to się dzieje, że w ogóle stoi. Nogi miał jak z waty. Wydawało mu się, że zemdleje na widok upiora, ale wciąż stał, z latarką w jednej ręce i nożem w drugiej.

Nóż. Bez sensu. Nawet najostrzejszym mieczem nie pokonałby takiego wroga. Rozprostował spocone palce. Nóż wysliznął mu się z dłoni i z brzękiem upadł na podłogę.

–Ty – powtórzyła czarna dynia. Jej głos zaszemrał echem po pokoju. – Twój brat otrzymał to, co przedtem ofiarował. Ojciec i matka także. Pożarłem ich, wyssałem mózgi, zjadłem ciało i pogryzłem kości. A ty, mój drogi, na co zasłużyłeś?

Tommy nie mógł wykrztusić ani słowa. Trząśnięty i płakał cicho. Każdy oddech kosztował go mnóstwo wysiłku.

Czarna dynia wsunęła się przez drzwi i zawisała nad jego głową. Oczy gorzały jej złym blaskiem.

Miała dobrze ponad dwa metry wzrostu. Musiała nieco się pochylić, żeby popatrzeć na Tommy’ego. Spomiędzy klów i z trędownatego nosa unosiły się smużki czarnego dymu.

Odezwała się chrapliwym szeptem, ale z taką siłą, że aż zadźwięczały szyby w oknach:

–Niestety... Jesteś dobrym chłopcem i nie możesz być moim żerem. Dziś więc dostaniesz to, na co zasłużyłeś. Wolność.

Tommy patrzył zjawie prosto w twarz i starał się zrozumieć każde słowo.

–Wolność – powtórzył demon. – Jesteś wolny od Franka, Lois i Kyle’a. Możesz żyć własnym życiem i wyrosnąć na dzielnego człeka... a to znaczy, że zapewne nigdy cię nie pożrę.

Chłopiec i potwór długo stali naprzeciwko siebie. Wreszcie Tommy dokładnie pojął to, co usłyszał. Rano nie będzie Franka i rodziców. Nikt ich nie znajdzie. Zagadkowa sprawa. Dziadkowie wezmą go na wychowanie. Otrzyma to, co sam zazwyczaj dawał.

–Być może jednak... – powiedziała czarna dynia, kładąc mu zimną dłoń na ramieniu. – Być może zblądzisz... Może masz w sobie szczyptę zgnilizny, która w przyszłości przejmie całą władzę. Wtedy powrócę. Będziesz na deser. – Szeroki uśmiech stał się jeszcze szerszy. – A teraz zmykaj już do łóżka i śpij. Śpij.

Tommy poczuł, że mimo przerażenia jest mu jakby o wiele lżej na duchu. Niczym we śnie wyszedł z pokoju Franka. Odwrócił się i zobaczył, że czarna dynia ciągle przygląda mu się z ciekawością.

–Zostawiłeś gryzą – mruknął i wskazał na podłogę koło łóżka.

Potwór popatrzył na dłoń Franka.

–Achhh... – westchnął, podniósł ją i szybkim ruchem wepchnął sobie do pyska.

Świeca w pustym czerepie błysnęła silniejszym światłem. Jej blask stał się sto razy jaśniejszy niż przedtem... i zgasła.

Pani Attyla Hun

W śniegu i błocie, w deszczu i suszy, przez setki lat stwór czekał na powrót do życia ukryty w leśnej ściółce. Ale to wcale nie znaczyło, że był martwy. Wciąż żył i wyraźnie wyczuwał obecność ciepłokrwistych istot, przemykających obok przez gęstwinę. Małą częścią swego umysłu szukał potencjalnego żywiciela. Resztę czasu i myśli poświęcał przeszłości. Wspominał życie, które dawno temu pędził na innych światach.

Sarny, niedźwiedzie, borsuki, wiewiórki, króliki, oposy, wilki, myszy, lisy, szopy, pumy, jakaś przepiórka, która zabląkała się z łąki, psy, żaby, kameleony, węże, dżdżownice, żuki, pająki i stonogi przechodziły dostatecznie blisko, by mógł je schwytać, gdyby to uznał za stosowne. Te, które były zimnokrwiste, w ogóle nie budziły jego ciekawości. Pozostałe – ptaki i ssaki – co prawda miały ciepłą krew, lecz brakowało im drugiej ważnej cechy: wyższej inteligencji.

Stwór czekał cierpliwie. Wiedział, że w końcu znajdzie jakiegoś żywiciela. Tak było przecież przez miliony lat. Wierzył zatem, że i tym razem znów dostanie swoją szansę, aby obudzić się z letargu i pójść w nieznanne. Chciał zbadać ów obcy świat i podbić go, jak inne światy.

Jamie Watley kochał panią Caswell. A że Bóg obdarzył go talentem, to rysował obiekt swoich uczuć w podręcznym szkicowniku. Pani Caswell na dzikim koniu. Pani Caswell poskramiająca lwa. Pani Caswell ze strzelbą w ręku naprzeciwko szarżującego nosorożca, tak wielkiego jak ciężarówka Mack. Pani Caswell jako Statua Wolności, trzymająca nad głową ognistą pochodnię. Co prawda, Jamie nigdy nie widział jej na koniu, w klatce z lwami lub na polowaniu, nie słyszał także, aby kiedykolwiek w życiu dokonała któregoś z tych wyczynów, i na pewno nie wyglądała jak Statua (była dużo ładniejsza), ale w jego oczach te zmyślone sceny przedstawiały prawdziwą panią Caswell.

Bardzo chciał, żeby została jego żoną, chociaż obawiał się, że to niemożliwe. Po pierwsze, była wykształcona, a on jej nie dorównywał wiedzą. Po drugie, była piękna, a on całkiem przeciętny. Wesoła i rozszczebiotana, a on raczej nieśmiały. Pewna siebie, spokojna w trudnych sytuacjach – pamiętacie, jak we wrześnie, podczas pożaru szkoły, sama jedna uratowała budynek przed splanieniem? Tymczasem Jamie gubił się w najprostszych sprawach. Była zamężna – więc z poczuciem winy życzył jej mężowi śmierci. Ale największym przyczynieniem napawała go różnica wieku. Otóż pani Caswell była od niego starsza o siedemnaście lat, a on miał dopiero jedenaście.

Tej niedzieli, pod koniec października. Jamie siedział w swoim niewielkim pokoiku, przy małym biurku zbitym z paru desek i znów rysował panią Caswell, wychowawczynię szóstej klasy. Tym razem była w szkole, za swoim pulpitem, odziana w białą powłóczystą szatę, zupełnie jak anioł. Promieniała cudownym światłem, a wszystkie dzieci – koledzy i koleżanki Jamiego – wpatrywały się w nią z uśmiechem. Jamie też znalazł się na obrazku – w drugim rzędzie od drzwi, w pierwszej ławce. Po namyśle dorysował wokół siebie obłok małych

serduszek. Ulatywały z niego niczym para z bloku suchego lodu.

Matka Jamiego była niechlujną pijaczką, a ojciec też nie stronił od butelki i chociaż miał smykałkę do techniki, to nie mógł znaleźć stałej pracy. Jamie do niedawna chodził na wagary, aż tu nagle – w tym roku – zadurzył się w pani Caswell. Teraz nie cierpiał niedziel. Wprost nie mógł się doczekać, żeby pójść do szkoły.

Na parterze pijany ojciec klócił się z pijaną matką. Tym razem poszło o pieniądze, lecz powód mógł być całkiem inny: on się domagał ciepłej kolacji, ona krzyczała, że jest kobieciarzem, on jej wytykał bałagan w domu, ona, że ciągle rżnie w pokera, on, że ma dość jej ciągłych jęków, ona, że znów brakuje żarcia. A gdyby jeszcze było im mało, zawsze się mogli pokłócić o to, co będą dziś oglądać w telewizji. Przez cienkie ściany wszystko było słychać. Jamie jednak potrafił się wyłączyć.

Znowu pochylił się nad kartką. Narysował panią Caswell w czymś na kształt kombinezonu, stojącą na zębatej skale i walczącą laserowym mieczem z kosmicznym potworem.

Tuż przed świtem Teel Pleever wsiadł do swojego steranego, brudnego ośmioletniego jeepa i pojechał w góry. Zatrzymał się na pustej leśnej drodze, używanej kiedyś przez drwali. Z pierwszym braskiem wziął karabin i piechotą ruszył między drzewa. Miał winchestera model 70, kalibru.270, z piękną kolbą z orzechowego drewna i potężną lunetą w oprawie Stith Streamline, z poprawką na wiatr.

Teel uwielbiał las w porze świtu – aksamitne cienie, czyste światło, sączące się między gałęziami, i zawieszistą woń nocnej wilgoci. Kochał dotyk ulubionej broni i dreszcz emocji zawsze towarzyszący polowaniu. A przede wszystkim lubił kłusowanie.

Co prawda sprytem i bezwzględnością dorobił się okrągłej sumki na handlu nieruchomościami, ale nie kupiłby niczego za dolara, gdyby to samo w innym miejscu kosztowało dziewięćdziesiąt osiem centów. I nie wydałby nawet miedziaka, jeśli coś mógł mieć za darmo. Mieszkał na farmie, na północno-wschodnim krańcu Pineridge, tam gdzie planowano pociągnięcie nowej autostrady. Sprzedał ziemię pod motel i bar szybkiej obsługi – i zarobił na czysto ponad sześćset tysięcy baksów. To był jeden z jego lepszych interesów. Jeden, ale nie jedyny. Nawet bez tego miał dość pieniędzy. Mimo to tylko raz na dziesięć lat kupował nowego jeepa, klientów witał zawsze w tym samym garniturze i potrafił przez trzy godziny buszować po stoiskach w supermarkecie Acme w Pineridge, żeby zaoszczędzić osiemdziesiąt centów.

Nigdy nie kupował mięsa. Po co miał kupować, skoro w lasach chodziło do licha i trochę darmowej zwierzyny? Teel miał pięćdziesiąt trzy lata. Już jako siedemnastolatek polował na sarny i jelenie w okresie ochronnym i nie dał się złapać. Ale nie bardzo przepadał za dziczyzną i zdarzało mu się, że ostatnio – po trzydziestu pięciu latach jądania kotletów z sarniny – wręcz z niechęcią myślał o kolacji. Wystarczyło jednak, że przypomniał sobie, ile zaoszczędził wydatków u rzeźnika, żeby od razu wrócił mu apetyt. Trwał w postanowieniu, że nic nie da zarobić hodowcom bydła, prywatnym masarzom i związkowi zawodowemu przemysłu mięsnego.

Po czterdziestu minutach wspinaczki po łagodnym zalesionym zboczu zatrzymał się i usiadł na płaskim kamieniu, między dwoma sosnami. Jak dotąd jeszcze nie wytropił sarny. Odłożył karabin na bok i w tej samej chwili tuż koło swojej nogi zobaczył coś dziwnego.

To „coś” leżało do połowy zagrzebane w miękkiej, wilgotnej i czarnej ziemi. Prócz tego było przysypane zbrazowiałymi ze starości sosnowymi szpilkami. Teel jedną ręką odgarnął igły na bok. Nieznany przedmiot kształtem przypominał piłkę futbolową, ale był prawie dwa razy większy. Gładka powierzchnia połyskiwała niczym szklivo. Niewątpliwie został zrobiony przez człowieka, bo żadne deszcze ani wiatry nie wygładziłyby go tak dokładnie. Cały w zielone, granatowe i czarne plamy, miał w sobie jakieś dziwne piękno.

Teel właśnie chciał wstać z kamienia, klęknąć i wykopać ów przedmiot z ziemi, kiedy w skorupie pojawiły się niewielkie dziury, z których strzeliły w jego stronę czarne błyszczące pędy. Jedne owinęły mu się wokół głowy i szyi, jeszcze inne na rękach, inne wokół kostek. W

trzy sekundy cały był oplatany.

Pnące, pomyślał dezorientowany. Jakieś cholernie głupie, nikomu nieznanne pnące.

Szarpnął się gwałtownie, ale czarne wici nie puszczały. Nie mógł ich zerwać. Ba, nawet nie mógł podnieść się z kamienia ani przesunąć o centymetr w żadną stronę.

Chciał krzyknąć, lecz stwór natychmiast mu zamknął usta.

Teel wciąż patrzył w dół, pomiędzy swoje nogi, na nieziemską zjawę. Nagle zobaczył nowy otwór, rozwierający się w skorupie. Wysunęło się stamtąd grubsze pnące – istna lodyga – i szybkim ruchem, niczym kobra z kosza zaklinacza węży, pomknęło wprost ku jego głowie. Było czarne w nieregularne granatowe plamy, zaostrome na końcu i wyrastało z niego dziewięć ruchliwych czulków. Wspomniane czulki lekko jak pająki przebiegły mu po twarzy. Teel wzdrygnął się z obrzydzeniem. Pęd cofnął się, wygiął w pałąk i zawisł na wysokości piersi swej ofiary. Teel z przerażeniem poczuł, że coś przebija mu się przez ubranie, skórę, kości, aż do wnętrza ciała. Poczul w sobie ruch dziewięciu czulków – i zemdlal, zanim oszalal.

Na tym świecie nosił nazwę Pnącze. To wyczytał z myśli pierwszego żywiciela. Prawdę mówiąc, nie był rośliną – ani też zwierzęciem, jeśli o to chodzi – ale przyjął imię nadane mu przez Pleveera.

Cały wysunął się ze strąka, w którym tkwił przez wieki – i wszedł do ludzkiego ciała. Potem zasklepił bezkrwawe rany w tułowiu Pleevera.

W dziesięć minut lepiej od człowieka poznał tajniki ludzkiej fizjologii. Ludzie na przykład zupełnie nie wiedzieli, że mogą się sami leczyć i powstrzymać proces starzenia. Żyli krótko, dziwnie nieświadomi tego, że mają zadatki na nieśmiertelność. Coś najwyraźniej zaszło podczas ewolucji... Coś, co stworzyło barierę w ich umysłach i odebrało władzę nad ciałem.

Ciekawe.

Pnącze w postaci Teela Pleevera wciąż siedział na kamieniu pomiędzy sosnami. Poświęcił jeszcze osiemnaście minut, aby w pełni zrozumieć wielkość, zasięg i działanie ludzkiego rozumu. To był najbardziej interesujący umysł, na jaki natknął się we wszechświecie: skomplikowany, silny... i wyraźnie psychotyczny.

Nowe życie zapowiadało się wesoło.

Pnącze powoli wstał z kamienia, zabrał karabin swojego żywiciela, odwrócił się i zaczął iść w dół zbocza, w stronę miejsca, gdzie Teel Pleever zostawił swojego jeepa. Nie zamierzał polować na sarny.

Jack Caswell siedział przy kuchennym stole, patrząc na żonę. Był poniedziałek rano, więc Laura spieszyła się do szkoły. Tymczasem Jack w głębi ducha miał niezachwianą pewność, że jest najszczęśliwszym mężczyzną na świecie. Laura była urocza, szczupła, długonoga i zbudowana jak marzenie. Czasami myślał, że po prostu śni, bo wydawało mu się niemożliwe, aby spotkali się na jawie. Niczym sobie na to nie zasłużył.

Laura wzięła z wieszaka brązowy szalik, owinęła go sobie wokół szyi i skrzyżowała końce na piersiach. Potem podeszła do zaparowanej szyby w drzwiach wiodących na werandę, przetarła ją i spojrzała na wielki termometr, przykręcony do balustrady.

–Plus trzy stopnie, a dopiero mamy koniec października. Była wręcz doskonale piękna, o regularnych rysach i gęstych, miękkich, połyskliwych i orzechowych włosach. Trochę przypominała dawną aktorkę Veronicę Lake. Miała ogromne, wyraziste oczy, niby brązowe, ale tak ciemne, że wydawały się zupełnie czarne. Jack nigdy w życiu nie widział takich oczu. Biła z nich ujmująca szczerość – każdy, kto w nie spojrzał, nie potrafił skłamać... i musiał bez pamięci pokochać właścicielkę.

Laura włożyła stary brązowy płaszcz i zapięła się pod szyję.

–Załóżę się, że śnieg spadnie pewnie jeszcze przed Świętem Dziękczynienia. Potem będzie najbielsze Boże Narodzenie i zasy py aż do stycznia.

–Nie zmartwilbym się, gdyby na pół roku odcięło nas od świata – mruknął Jack. – Wyobraź sobie... Śnieg do samego dachu, a my tylko we dwoje, zagrzebani w łóżku i wtuleni w siebie, żeby nam było ciepiej...

Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

–Jacksonie – nazwała go czułym zdrobnieniem. – Przecież dobrze wiesz, że przy tobie jest mi tak gorąco, że śnieg mógłby zasypać nas co najmniej na kilometr. Na zewnątrz mróz, a w domu tropikalny upał, mokre powietrze i temperatura dochodząca do czterdziestu stopni. Dżungla rosnąca w każdym pokoju, liany na ścianach i wilgotna pleśń we wszystkich kątach...

Poszła na chwilę do salonu, by zabrać teczkę, która leżała na jej biurku.

Jack wstał od stołu. Tego ranka czuł się troszeczkę gorzej niż zazwyczaj, ale na tyle dobrze, żeby bez laski doczłapać się do zlewu. Zebrał naczynia po śniadaniu. Wciąż nie mógł wyjść z podziwu, jakim jest szczęściarzem.

Laura mogła zdobyć każdego faceta, a mimo to wybrała zwykłego przeciętniaka na krzywych nogach, który codziennie wbijał się w żelazne klamry, żeby móc chodzić. Inna na jej miejscu, z taką urodą, dowcipem i inteligencją, na pewno wyszłaby bogato za męża albo wyjechała do wielkiego miasta, aby tam zrobić prawdziwą karierę. Ona zaś wybrała zwykłą pracę w szkole i towarzystwo męża, marnego pisarza. Zamiast w willi z ogrodem mieszkała w małym domu pod lasem i jeździła trzyletnią toyotą.

Z teczką pod pachą wbiegła do kuchni. Jack właśnie zaczął zmywać naczynia.

–Nie żal ci limuzyny? Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

–O czym ty mówisz? Westchnął ciężko i oparł się o szafkę.

–Czasami myślę... Laura podeszła bliżej.

–O czym?

–No cóż... Niewiele masz pociechy z życia, Lauro. Zaslugujesz na dużo więcej. Powinnaś jeździć limuzyną, mieszkać w pałacu i co roku bywać na nartach gdzieś w Szwajcarii. Po to się urodziłaś.

Uśmiechnęła się.

–Mój ty głuptasku. Limuzyny są nudne. Lubię sama siedzieć za kierownicą. Bawi mnie to. A po pałacu tłukłabym się jak ziarnko grochu w pustej beczce. Znam dużo przytulniejsze miejsca. I nie umiem jeździć na nartach. Owszem, przepadam za szwajcarską czekoladą i podobają mi się ich zegary, ale nie znoszę jodłowania.

Jack położył jej ręce na ramionach.

–Naprawdę jesteś szczęśliwa? Popatrzyła mu prosto w oczy.

–Pytasz poważnie?

–Boję się, że dostajesz ode mnie za mało.

–Jacksonie... Wiem, że mnie kochasz całym sercem. Czuję to. Bardzo mało kobiet na świecie zaznało takiej miłości. Nigdy w życiu nie przypuszczałam, że będę tak szczęśliwa. Poza tym lubię swoją pracę. Wtłaczanie wiedzy w głowy tych urwisów sprawia mi dużą satysfakcję. A ty na pewno kiedyś będziesz najslawniejszym autorem kryminałów od czasów Raymonda Chandlera. Jestem o tym przekonana. Przestań więc robić z siebie ciamajdę, bo spóźnię się do pracy.

Pocałowała go, podeszła do drzwi, z daleka przesłała mu kolejny pocałunek i szybko zbiegła po schodach do toyoty.

Jack chwycił laskę wiszącą na krześle, wsparł się na niej i o wiele szybciej niż o własnych siłach pokuśtykał do progu. Przetarł zaparowaną szybę i spojrzął na samochód. Chwilę trwało, nim silnik rozgrzał się na tyle, że przestał strzelać. Z rury wydechowej buchnęły kłęby dymu. Laura powoli wyjechała na ulicę i skręciła w stronę odległej o pięć kilometrów szkoły. Jack patrzył za nią, aż samochód stał się małą kropką, niknącą w oddali.

Laura była silną i mądrą dziewczyną, ale Jack ciągle się o nią niepokoił. Nawet tutaj, w spokojnym zakątku Pine County, świat bywał okrutny i pełen paskudnych niespodzianek. Najtwardsi ludzie ginęli w mgnieniu oka, zmiażdżeni przez koło losu. Jeden zgrzyt – i tak jakby ich nigdy nie było.

–Uważaj na siebie – szepnął. – Uważaj... i wróć do mnie.

Pnącze dojechał starym jeepem Pleevera do końca leśnej drogi i skręcił w prawo na asfaltową szosę. Półtora kilometra dalej góry przeszły w szeroki płaskowyż, a las zmienił się w pola.

Pnącze zatrzymał się i wysiadł już przy pierwszym domu. Sięgnął w głąb pamięci swojego żywiciela i dowiedział się, że tu mieszkała „pani Halliwell”. Energicznie zapukał do drzwi.

Pani Halliwell okazała się miłą kobietą po trzydziestce.

–Pan Pleever? – zapytała z uprzejmym zdziwieniem, wycierając ręce w fartuch w białoniebieską kratkę.

Z palców nieproszonego gościa wystrzeliły giętkie czarne czułki. Błyskawicznie omotały panią Halliwell. Chciała krzyknąć, ale z otwartych ust Pleevera wysunął się grubszy pęd i przebił ją na wysokości piersi. Nie popłynęła nawet kropla krwi. Pęd szybko usadowił się we wnętrzu ofiary.

Pani Halliwell nie dokończyła pierwszego krzyku.

Pnącze dosłownie w kilka sekund przejął nad nią władzę. Pędy i czułki pękły w połowie i błyszczący, granatowo nakrapiany stwór zniknął w ciałach Teela Pleevera i Jane Halliwell.

Rósł.

Z umysłu Jane Halliwell wysączył informację, że jej dzieci poszły do szkoły, a mąż wybrał się do Pineridge na zakupy w sklepie żelaznym. Poza nią w domu nie było nikogo.

Żeby powiększyć swoje królestwo, Pnącze potrzebował nowych żywicieli. Zabrał więc Jane i Teela do swego samochodu i pojechali razem w stronę głównej drogi, prowadzącej do Pineridge.

Pani Caswell zawsze zaczynała dzień lekcją historii. W młodszych klasach Jamie Watley był święcie przekonany, że nie lubi tego przedmiotu. Historia wydawała mu się przeokropnie nudna. Ale w ujęciu pani Caswell stała się ciekawa – ba, nawet zabawna.

Czasami wszyscy w klasie grali jakieś role w słynnych wydarzeniach z zamierzchlej przeszłości. Każdy nosił czapkę charakterystyczną dla danej postaci. Pani Caswell miała ogromną kolekcję dziwnych nakryć głowy. Kiedyś, na lekcję o wikingach, przyszła w rogatym helmie. Na jej widok wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jamie był początkowo zły, że jego pani Caswell – kobieta, którą kochał – wystawia się na pośmiewisko. Potem jednak, kiedy im pokazała na planszach długie łodzie, dźwigające na dziobach rzeźbione lby smoków i

opowiedziała o tym, jak wikingowie w dawnych czasach bez mapy pływali po morzach, zamieszkałych – wedle ówczesnych wierzeń – przez straszliwe smoki, wszyscy wpatrywali się w nią z zachwytem. Ona zaś mówiła wciąż ciszej i ciszej, aż wydawało im się, że już nie są w klasie, tylko na pokładzie małego okrętu, walczącego ze sztormem. Fale biły o burty, a gdzieś na horyzoncie, za zasłoną deszczu, majaczyła dziwna, nieznana kraina... Teraz Jamie miał w swojej prywatnej galerii aż dziesięć rysunków z panią Caswell w stroju wikinga. Należały do jego ulubionych.

Tydzień temu do szkoły przyszedł wizytator, niejaki pan Enright. Był to mały, schludny człowieczek w ciemnym garniturze, białej koszuli i z czerwoną muszką. Po lekcji historii na temat średniowiecza zaczął zadawać uczniom przeróżne pytania, chcąc sprawdzić, co zapamiętali. Jamie aż palił się do odpowiedzi, ale reszta wcale nie była gorsza. Pan Enright z uznaniem pokiwał głową.

–Ale to nie jest program szóstej klasy... – bąknął wreszcie, patrząc na panią Caswell. – Raczej ósmej.

Zwykle taka uwaga wbiłaby ich w pychę na równi z pochwałą. Każdy siedziałby prosto, z dumnie wypiętą pierśią i zdawkowym uśmiechem. Lecz pani Caswell zawniosła uczniom, jak mają się zachować w takiej sytuacji. Zawisli więc bezwładnie w ławkach i wyglądali na zmęczonych.

–Moi mili – powiedziała pani Caswell. – Pan Enright myśli, że wymagam od was zbyt wiele. Że za szybko idziemy do przodu z materiałem. Czy to prawda?

–Tak! – zgodnym chórem odpowiedziała cała klasa. Pani Caswell wyglądała na szczerze zaskoczoną.

–Chyba was nie zamęczam?

Melissa Fedder, która umiała płakać na zawołanie, rozryczała się, jakby już nie mogła wytrzymać napięcia.

Jamie wstał, przekonująco trzęsąc się ze zgrozy, i wyjął z uczuciem:

–Panie En-Enright... Już nie dajemy rady. N-n-nigdy nie mamy odpoczynku. M-mówimy na nią „Attyla Hun”.

Reszta klasy natychmiast przyłączyła się do narzekań...ciągle nie daje nam spokoju...cztery godziny odrabiam lekcje...za dużo...

...to przecież tylko szósta klasa...

Pan Enright słuchał tego z rosnącym przerażeniem.

Pani Caswell z ponurą miną dała krok w stronę ławek i wykonała krótki ruch dłonią.

W klasie zapadła cisza jak nożem uciał. Tylko Melissa Fedder wciąż płakała, a Jamie bardzo starał się zachować zrozpaczoną minę. Wargi mu drżały.

–Proszę pani... – niepewnym tonem zaczął pan Enright. – A może jednak... troszeczkę bardziej trzymać się programu? Stres wywołany...

–Och! – z udawanym strachem przerwała mu pani Caswell. – Obawiam się, że niestety na to już za późno. Niech pan popatrzy na te biedne dzieci! Zapracowały się na śmierć.

W tym momencie wszyscy pokładli się na ławkach, jakby rzeczywiście zaczęli umierać.

Pan Enright przez chwilę stał niczym słup soli, a potem wybuchnął śmiechem. Dzieci zaczęły też chichotać.

–Dalem się nabrać, pani Caswell! – zawołał pan Enright. – Odegraliście małe przedstawienie.

–Tak, przyznaję – powiedziała Laura. Klasa roześmiała się jeszcze głośniej.

–Ale skąd pani wiedziała, że naprawdę spytam, czy nie są przemęczone?

–To normalne – odparła. – Nikt nie docenia dzieci. Przyjęty program nauczania nie stawia im żadnych wyzwań. Wszyscy się boją stresu psychicznego. Kładziemy nacisk na przemęczenie, tymczasem dzieci są „niedomęczone”. Ale ja znam je dużo lepiej, panie Enright, i mówię panu, że są mądrzejsze, twardsze i sprytniejsze, niż się na ogół przypuszcza. Mam rację?

Chóralne „tak!” potwierdziło jej ostatnie słowa.

Pan Enright powiódł wzrokiem po klasie, przyglądając się wesółym twarzom. Pierwszy raz tego dnia naprawdę popatrzył na uczniów. W końcu uśmiechnął się.

–Świetna robota, pani Caswell.

–Dziękuję panu – odpowiedziała Laura.

Pan Enright pokręcił głową, uśmiechnął się jeszcze szerzej i lobuzersko mrugnął.

–Pani Attyla Hun... – zamruczał. – Niech mnie licho... W tym momencie Jamie był tak dumny ze swojej ukochanej, że musiał dzielnie walczyć ze wzruszeniem. W oczach mu stanęły łzy o wiele szersze niż pochlipywanie Melissy Fedder.

Dzisiaj, czyli w ostatni poniedziałek października, pani Attyla Hun opowiadała klasie o tym, jak leczono ludzi w średniowieczu (marnie) i co robili alchemicy (chcieli zamienić ołów w złoto i mieli różne ekstrapomysły). Jamie w ogóle nie czuł suchej woni kredy ani innych szkolnych zapachów. Wydawało mu się, że wdycha ostry smród brudnych, zakopconych i zachlapanych

pomyj ami ulic i zaułków średniowiecznej Europy.

Jack Caswell siedział przy starym sosnowym biurku w swoim małym gabinecie, we frontowej części domu. Popijał kawę i przeglądał wczoraj napisany rozdział. Zrobił ołówkiem sporo poprawek i z westchnieniem włączył komputer, żeby wprowadzić zmiany.

Trzy lata temu, po wypadku, musiał pożegnać się z pracą leśniczego. Przez całe życie chciał być pisarzem, więc poświęcił się swym marzeniom. (Czasami w snach znów widział wielką ciężarówkę tańczącą na oblodzonej szosie. Jego samochód także wpadł w poślizg i zakręcił się wokół własnej osi. Oślepiające światła reflektorów były coraz bliżej. Jack zawzięcie szarpał kierownicą i wciskał hamulec, ale nie zdążył. Zawsze było tak samo – nawet we śnie). Od tamtej pory napisał cztery powieści kryminalne, dwie z nich sprzedał wydawcom z Nowego Jorku, i opublikował osiem krótszych opowiadań w różnych czasopismach.

Zanim poznał Laurę, kochał tylko książki i samotne wędrówki po górach. Przed wypadkiem często chadzał gdzieś w głąb lasu, w ustronne i odległe miejsca. Plecak miał do połowy wypchany książkami, do połowy prowiantem. Jadłospis uzupełniał najczęściej jagodami, orzechami i jadalnymi korzeniami. Potrafił kilka dni spędzić w leśnej głuszy, dzieląc czas na obserwacje zwierząt i lekturę. Był zarazem człowiekiem dziczy i cywilizacji. Pierwszej pasji nie mógł przemyścić do miasta, toteż zabierał miasto – pod postacią książek – w głąb lasu i tam w pełni zaspokajał potrzeby swej rozdartej duszy.

Teraz przeklęte nogi nie chciały go już nosić po lasach i górach. Musiał więc korzystać z dobrodziejstw cywilizacji i radzić sobie lepiej, niż radził dotychczas. Przez trzy lata, za osiem opowiadań i dwie całkiem dobrze przyjęte powieści, nie dostał nawet jednej trzeciej tego, co zarabiała Laura. Oczywiście jego prace nie trafiły na listy bestsellerów, a życie niedocenianego pisarza było dalekie od doskonałości. Gdyby nie skromna renta inwalidzka, którą dostawał z nadleśnictwa, miałby spory kłopot z zapewnieniem sobie i rodzinie jako takiego utrzymania.

Przypomniawszy sobie Laurę w starym brązowym płaszczu, wychodzącą rano do szkoły – i zrobiło mu się przeraźliwie smutno. Wiedział, że choćby dla niej musi w końcu napisać dobrą powieść. Napisać, sprzedać, zbić majątek... i zapewnić żonie te luksusy, na które w pełni zasłużyła.

Dziwne, myślał. Gdyby nie wypadek, to nigdy byśmy się nie poznali. Nie byłaby moją żoną... Pierwszy raz spotkali się w szpitalu, kiedy Laura przyszła do chorego ucznia. Jack – wtedy jeszcze w fotelu inwalidzkim – kręcił się po korytarzu. Laura nie umiała minąć go bez słowa. Widząc jego przygnębioną minę, zaczęła go pocieszać. Jack w pierwszej chwili zareagował gniewem, ale to jej wcale nie odstraszyło. Wręcz przeciwnie, uczepliła się go jeszcze mocniej. Skąd mógł wiedzieć, że ma do czynienia z prawdziwym buldogiem? Dwa dni później znów była u swojego ucznia, lecz „przy okazji” odwiedziła Jacka. A potem przychodziła już prawie codziennie. Nie dała mu się pogodzić z myślą, że resztę życia spędzi na wózku. Skłoniła go do pracy z terapeutą i namówiła, żeby przynajmniej spróbował chodzić w obręczach i o lasce. Terapia jednak pomagała mało. Laura postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. Nie zważając

na protesty Jacka, dzień w dzień wozila go na ćwiczenia. Po pewnym czasie zaraził się jej optymizmem. Poprzysiął sobie, że będzie chodził – i rzeczywiście wstał z fotela. Gdzieś tam po drodze przyszła miłość i bardzo szybko się pobrali. Najgorsze, co go mogło spotkać – wypadek i okaleczenie – dało mu dziewczynę z marzeń, Laurę. Nie wierzył własnemu szczęściu. Życie potrafi być pokrętne.

Coś z tego usiłował zawrzeć w nowej powieści, którą właśnie pisał. Bywa, że zło przynosi radość, a uśmiech losu wiedzie do tragedii. Gdyby tę prawdę umiał przekazać i wlać w nią nieco głębsze treści, to miałby książkę, z której byłby dumny, nie wspominając o pieniądzach.

W zasięgu ręki postawił następny kubek kawy i zabrał się do pisania nowego rozdziału. Przypadkiem zerknął w okno po lewej i zobaczył pokiereszowanego jeepa, hamującego na podjeździe.

Ciekawe, kto to? – pomyślał Jack, podniósł się z krzesła i wziął laskę. Dobrze wiedział, że trochę potrwa, zanim dowlecze się do drzwi frontowych. Nie lubił, kiedy ktoś na niego czekał.

Samochód stanął i wysiadło z niego dwoje ludzi. Mężczyzna i kobieta.

Jack od razu rozpoznał mężczyznę. To był Teel Pleever. Wszyscy go znali w całym Pine County, lecz Jack dopiero teraz uświadomił sobie, że praktycznie nic o nim nie wiedział.

Kobieta też wydawała mu się dziwnie znajoma. Koło trzydziestki, dosyć ładna... Zapewne miała dzieci w klasie Laury. Może się spotkaliśmy w szkole przy jakiejś okazji? – pomyślał Jack. Ubrana była w lekką bluzkę i kuchenny fartuch. Dziwny strój jak na chłodny październikowy ranek.

Goście zaczęli się dobijać, zanim Jack doszedł do połowy drogi.

Na widok następnego domu Pnącze natychmiast zjechał z głównej drogi. Po setkach lat życia w uśpieniu żarłocznie szukał nowych „gospodarzy”. Od Pleevera dowiedział się, że w Pineridge mieszkało pięć tysięcy osób. Zamierzał dotrzeć tam w południe. Potrzebował dwóch, najwyżej trzech dni, żeby zająć całym miastem. Potem wybierał się na podbój reszty okręgu Pine. W tej – wydawałoby się – pustej okolicy czekało nań do zagarnięcia aż dwadzieścia tysięcy ciał i umysłów.

Niezależnie od liczby żywicieli stwór pozostawał tą samą istotą o pojedynczej świadomości. Mógł żyć jednocześnie w setkach milionów, a nawet miliardach rozmaitych istot, patrzeć na świat miliardami oczu i odbierać pozostałe bodźce miliardami uszu, nosów, ust i dłoni. Nie groziło mu przeladowanie nadmiarem informacji. W czasie swoich podróży przez otchłań galaktyki na ponad stu planetach, które niegdyś zniszczył, nie napotkał stworzenia, które w równym stopniu umiałoby ulegać schizofrenii.

Teraz wysiadł we dwójkę i przez trawnik podszedł prosto do drzwi małego białego domku.

Jego wysłańcy mieli wkrótce opuścić okręg Pine i ruszyć w głąb kraju. Później czekała ich wędrówka na inne kontynenty. Pnącze chciał podporządkować sobie wszystkich mieszkańców Ziemi. Póki nie znalazł ostatniego, nie niszczył ich osobowości i umysłów, ale trzymał je w żelaznych kleszczach, sącząc wiedzę, która była mu niezbędna do opanowania świata. Teel Pleever i Jane Halliwell byli świadomi tego, co się z nimi działo. Podobnie inni – przez długie miesiące niewoli będą zmuszeni do bezradnego patrzenia na zagładę Ziemi. Będą znali swoje potworne czyny i wiedzieli o obecności Pnącza.

Para żywicieli stanęła na progu domu i Pleever wbrew sobie głośno zapukał w drzwi.

Po zniewoleniu wszystkich mieszkańców planety następowała druga faza, tak zwany Dzień Wyzwolenia. Pnącze pozwalał nagle swoim gospodarzom odzyskać władzę nad ciałem, lecz pozostawał w nich, patrzył ich oczami i monitorował myśli. Kłopot w tym, że już na długo przedtem połowa z nich wpadała w obłąd. Inni, którym udało się zachować rozum dzięki nadziei, że po pewnym czasie odzyskają wolność, teraz dowiadywali się ze zgrozą, że wróg jednak ich nie opuści. Że na zawsze będą w sobie nosić pasożyta. Wielu nie wytrzymało i przyplacało to pomieszanym umysłom. Takie rzeczy zawsze się zdarzają. Małe grupki uciekały w wiarę, by tam znaleźć pocieszenie. Tworzył się więc nowy społeczny ruch czcicieli Pnącza. Ci najtwardsi, którym mimo wszystko udawało się zachować trzeźwość myśli, popadali w bierną rezygnację lub usiłowali walczyć. Ale z Pnączem jeszcze nikt nie wygrał.

Pleever zastukał znowu. Może w domu nikogo nie było?

–Idę, idę! – odezwał się męski głos. Znakomicie.

Stwór doskonale wiedział, co nastąpi po Dniu Wyzwolenia. To, co zwykle: masowe

samobójstwa, miliony zbrodni popełnianych przez hordy psychopatów, całkowity i krwawy upadek społeczeństwa, a wraz z nim nieuchronny triumf barbarzyństwa i anarchii.

Chaos.

Pnącze tworzył, rozwijał, hodował i smakował chaos. To był jedyny cel jego egzystencji. Sam zrodził się w wielkim wybuchu u zarania czasu. Przedtem, czyli w czasach, w których jeszcze nie istniało pojęcie czasu, był częścią ogromnego chaosu superskondensowanej materii. Kiedy kula materii pękła, powstało uniwersum. W próżni narastał niezwykły ład, ale Pnącze do niego nie należał. Pozostawał wspomnieniem zamierzchłej przeszłości, sprzed aktu stworzenia. W służbie entropii, chroniony niewidzialną skorupą, dryfował przez pączkujące galaktyki.

Jakiś człowiek otworzył drzwi. Podpierał się laską.

–Pan Pleever? – spytał.

Pnącze wysunął czarne macki z Jane Halliwell.

Człowiek z laską krzyknął, lecz nie zdążył uciec.

Czarny pęd w granatowe łaty wysunął się z ust Jane i przebił pierś kaleki. Kilka sekund później Pnącze miał już trzeciego żywiciela: Jacka Caswella.

Jack z trudem się poruszał na poharatanych nogach. Nosił na nich żelazne klamry. Pnącze nie zamierzał tracić czasu przez jego nieudolność. W mig wyleczył popsute ciało i strząsnął obręcz.

W myślach Jacka wyczytał, że poza nim tu nikogo nie ma. Żona pracowała w szkole podstawowej, do której chodziło co najmniej sto sześćdziesięcioro dzieci, plus nauczyciele. Szkoła była odległa zaledwie o pięć kilometrów. Pnącze nie musiał zatem stawać przy każdym domu po drodze do Pineridge. Postanowił, że najpierw wybierze się do szkoły, tam przejmie kontrolę nad wszystkimi, a potem powędruje na cztery strony świata.

Jack Caswell, chociaż już w niewoli, znał myśli swojego pana, bo obaj korzystali z tych samych szarych komórek i łączy neuronowych. Kiedy dowiedział się o planowanym ataku na szkołę, jego umysł podjął rozpaczliwą walkę.

Pnącze był zdumiony tak silnym oporem. Już w przypadku Pleevera i pani Halliwell uświadomił sobie, że ludzkie istoty – bo tak siebie zwały – są silniejsze od innych stworzeń, z którymi miał do czynienia. A Caswell był nawet mocniejszy od dwójki pozostałych. Wniosek stąd, że mieszkańcy Ziemi dążyli do powszechnego ładu. Chcieli zrozumieć sens istnienia i próbowali samą siłą woli zlikwidować naturalny chaos. Pnącze z lubością myślał o tym, że to właśnie za jego sprawą wpadną w marazm, zakończony całkowitą degeneracją.

Wepchnął umysł Jacka do najciemniejszego i najciaśniejszego kąta, wzmocnił więzy i

spokojnie – w trzech postaciach – ruszył w drogę do szkoły.

Jamie Watley wstydził się zapytać, czy może wyjść do ubikacji. Nie chciał, żeby pani Caswell traktowała go jak inne dzieci. Wolał w jej oczach być kimś niezwykłym, zasługującym na prawdziwą miłość... Przecież nie mogła szczerze go pokochać, skoro siusiał tak jak inni chłopcy! Głupi jesteś, mruknął do siebie w duchu. W tym nie ma nic wstydliviego. Wszyscy sikają. Nawet pani Caswell...

Nie! Nie wolno nawet tak myśleć. To niemożliwe.

Ale przez całą lekcję historii myślał wyłącznie o sikaniu. Wreszcie, w połowie matematyki, uznał, że dłużej już nie wytrzyma.

–Słucham cię, Jamie.

–Proszę pani, czy mogę wziąć przepustkę do ubikacji?

–Oczywiście.

Przepustki leżały na samym rogu biurka. Żeby wziąć jedną, Jamie musiał przejść tuż koło pani Caswell. Szedł nisko pochylony, ze spuszczoną głową, żeby nie było widać, że się zaczerwienił. Chwycił przepustkę i uciekł z klasy.

Nie mitrężył długo jak jego koledzy. Spieszył się, bo chciał dalej słuchać melodyjnego głosu pani Caswell i patrzeć, jak przechadza się po klasie.

Kiedy ponownie wyszedł na korytarz, zobaczył, że bocznymi drzwiami, od parkingu, do szkoły weszły trzy osoby – jakiś facet w myśliwskim stroju, pani w fartuchu i młody mężczyzna w spodniach khaki i brązowym swetrze. Wyglądali co najmniej dziwnie.

Jamie czekał, aż przejdą, bo wyglądało na to, że gdzieś im strasznie pilno. Jeszcze by mogli go przewrócić... Poza tym lubił pomagać obcym. Wiedział, gdzie znaleźć dyrektora albo pielęgniarkę lub kogoś równie ważnego. Goście podeszli bliżej i trzy pary oczu jak na komendę spojrzały w jego stronę.

Wpadł w pułapkę.

Pnącza było już czworo.

Do wieczora będzie go tysiące.

W czterech osobach poszedł do klasy, do której wracał Jamie.

Obliczał, że podbój Ziemi zajmie mu nie więcej niż dwa lata. Później, po Dniu Wyzwolenia, nastąpi krwawa jatka. Ale on najwyżej przez miesiąc popatrzy na pierwsze objawy katastrofy. Później wytworzy nową skorupę, zamknie w niej część siebie i wyrwie się spod wpływu ziemskiej grawitacji. Powróci w przestrzeń, żeby znów dryfować przez dziesiątki, setki, a może miliony lat w poszukiwaniu następnej odpowiedniej planety. Kiedy ją znajdzie, wyląduje i cierpliwie poczeka na spotkanie z dominującym gatunkiem.

W czasie wędrówki w głąb kosmosu nie tracił kontaktu z miliardami odnóg, które pozostawił na „starej” planecie. Więź urywała się dopiero wraz ze śmiercią danego żywiciela. W taki sposób na dobrą sprawę pozostałby na Ziemi i był świadkiem totalnej zagłady ludzkości. Ostatnia cząstka ziemskiego Pnącza zmarłaby razem z ostatnim człowiekiem.

Doszedł do drzwi klasy pani Caswell.

Umysły Jacka i Jamiego niemal wrzały ze strachu i bezsilnej złości. Próbowaly przesączyć się przez szpary w nieszczęlnych okowach. Pnącze musiał nawet przystanąć na chwilę i wzmocnić zabezpieczenia. Ciała niesfornych jeńców drżały niczym w febrze, a z gardel wydobywał się zduszony gulgot, jakby chcieli wykrzyknąć słowa ostrzeżenia. Intruz był zaskoczony ich oporem. Wprawdzie bunt nie miał najmniejszych szans powodzenia, ale stanowił coś nowego. Nikt dotąd tak stanowczo mu się nie sprzeciwiał.

Uważnie spojrzal w ich umysły i ze zdziwieniem stwierdził, że bali się nie o siebie, tylko o Laurę Caswell. Dla jednego z nich była żoną, dla drugiego nauczycielką. Owszem, złościło ich, że są w niewoli, ale bardziej martwili się o Laurę. Obaj ją kochali i ta czysta miłość dodawała im siły do walki z poczwarą. Ciekawe.

Mniej więcej połowa istot z innych planet zniszczonych przez Pnącze w jakiejś formie kultywowała pojęcie miłości. Nigdzie jednak nie było ono aż tak silne jak u ludzi. Stwór pojął nagle, że samymi chęciami i wiedzą nie można zaprowadzić ładu we wszechświecie. Równie ważna jest miłość. Taki gatunek, który w równym stopniu łączył siłę woli z głębokim uczuciem, stawał się najgroźniejszym wrogiem chaosu.

Ale „najgroźniejszym” wcale nie znaczyło, że niepokonanym. Pnącze nie dał się zatrzymać. Dobrze wiedział, że w ciągu dwudziestu czterech godzin zawładnie całym Pineridge.

Otworzył drzwi i we czworo wszedł do klasy.

Laura Caswell zdziwiona spojrzała na męża. Obok niego stała mama Richiego Halliwella, ten stary łobuz Teel Pleever i Jamie. Skąd się tu wzięli? Spodziewała się tylko Jamiego. Nagle uświadomiła sobie, że Jack chodzi. Nie kuleje na sztywnych nogach, ale chodzi jak każdy zdrowy człowiek.

Zanim zdążyła spytać, co się stało, zanim uczniowie odwrócili głowy, żeby popatrzeć na wchodzących, zaczęły dziać się przeokropne rzeczy. Jamie Watley wyciągnął ręce w stronę Tommy'ego Albertsona i z jego palców wysunęły się wstrętne, czarne i glistowate macki. Pochwycił nimi przerażoną ofiarę. Tommy krzyknął, lecz w tej samej chwili z ciała Jamiego wystrzelił gruby pęd i wbił mu się prosto w piersi.

Dzieci z przerażeniem zerwały się z ławek do ucieczki. Potwór w zastraszającym tempie dopadał jednego po drugim i uciszał. Ohydne glisty i grubsze pędy sterczały z pani Halliwell, Pleevera i Jacka. Następna trójka z dziewiętnaściorga uczniów dostała się do niewoli. Nagle Tommy Albertson przyłączył się do ataku. W ślad za nim poszli inni jeńcy. Glisty i węże szukały nowych ofiar już kilka sekund po infekcji.

Z sąsiedniej klasy przybiegła pani Garner, chcąc sprawdzić, co to za krzyki. Stwór schwytał ją, zanim otworzyła usta.

Minutę później z grupki wystraszonych dzieci pozostało zaledwie czworo. Reszta znalazła się we władzy potwora. Ocalała czwórka – w której był także Richie, syn Jane Halliwell – skupiła się wokół Laury. Dwoje z nich głośno płakało, dwoje milczało jak zakłęte. Laura wepchnęła je za siebie w kąt koło tablicy i zasłoniła własnym ciałem.

Przed nią stanęło piętnaścioro opętanych uczniów, Pleever, pani Halliwell, pani Garner i Jack. Patrzyli na nią krwiożerczym wzrokiem. Przez chwilę panowała cisza pełna napięcia. Ból i cierpienie w oczach ofiar mieszały się z nieludzkim wzrokiem wygłodniałego napastnika.

Laura ze zgrozą myślała o czarnym błyszczącym... czymś, co gnieździło się w ciele Jacka. Nie uważała tego jednak za halucynację, bo już widziała w życiu kilka filmów, które przygotowały świat na inwazję. *Najeźdźcy z Marsa, Inwazja porywaczy ciał, Wojna światów* i tak dalej... W jednej chwili zdała sobie sprawę, że coś tam, po drugiej stronie gwiazd, nareszcie odnalazło Ziemię.

Pytanie brzmiało: czy to „coś” uda się powstrzymać? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Uświadomiła sobie nagle, że w wyciągniętej ręce trzyma linijkę, wycelowaną niczym miecz w kierunku kosmicznego smoka o dziewiętnastu głowach. Myślała, że go tym przestraszy? Zwykła naiwność i głupota. Mimo to nie odrzuciła lichej broni, lecz wyzywającym ruchem machnęła nią w stronę potwora.

Ręka drżała jej jak w febrze. Mam nadzieję, pomyślała Laura, że tych czworo, którzy za mną stoją, nie wie, że się strasznie boję.

Trzy osoby powolutku wyszły z grupy opętanych: Jane Halliwell, Jamie Watley i Jack.

–Stać! – ostrzegawczo zawołała Laura. Podeszli krok bliżej.

Kropla potu spłynęła jej po prawej skroni. Nagle stali się jakby mniej posłuszni rozkazom swojego pana. Ich ciała wpadły w dziwne drgawki, wywołane skurczami mięśni.

–Nieeee... – powiedział Jack niskim, rozpaczliwym i strasznym głosem.

–Błagam, błagam... – dodała Jane Halliwell i potrząsnęła głową, próbując czemuś się sprzeciwić. Jamie dygotał jak osika i ścisnął głowę oburącz, jakby chciał w ten sposób dopaść monstrum i wyrzucić je na zewnątrz.

Dlaczego właśnie ich wybrano dla dokończenia tego potwornego dzieła? Czemu nie innych?

Laura gorączkowo szukała jakiegoś rozwiązania. Intuicyjnie wyczuwała w tym minimalną szansę, lecz nie wiedziała, czy we właściwej chwili zdoła ją rozpoznać. Być może potwór w ciele Jane Halliwell z premedytacją chciał, żeby matka zaraziła syna? Tymczasem Richie wciąż kurczowo trzymał się spódnicy Laury. Jack miał wprowadzić własną żonę do grona potępionych. A biedny Jamie?... Cóż, Laura dawno już zauważyła, co się z nim naprawdę działo. Może więc to była pewna forma próby? Może stwór kazał im zaatakować tych, których kochali, bo chciał się przekonać, jak daleko sięga jego władza nad ludźmi?

Skoro jednak zdecydował się na taką próbę, to znaczyło, że nie był zupełnie pewny swojej dominacji. Tam gdzie wkrada się zwątpienie, pojawia się nadzieja dla ofiary...

Pnącze był zdumiony gwałtownym oporem trojga żywicieli, którzy nie chcieli atakować bliskich sobie osób.

Matka ze złością odrzuciła myśl, że jej syn wraz z innymi ma trafić do owczarni. Z furją szarpała więzy, usiłując odzyskać władzę nad ciałem. Sprawiała kłopot, zatem Pnącze wepchnął jej świadomość w jeszcze mniejszy i ciemniejszy kąt niż poprzednio. Przy dusił umysł, jakby wtlaczał go w kałużę wody, i docisnął z wierzchu ciężkim głazem.

Jamie Whatley też był nieposłuszny. Kierowała nim czysta szczenięca miłość. Stwór uspokoił go, powstrzymał drgawki i z powrotem skierował w stronę nauczycielki, osłaniającej w kącie klasy czwórkę ocalałych dzieci.

Najdłużej walczył z mężem. Jack Caswell miał nie tylko najsilniejszą wolę, ale też najbardziej kochał. Wciąż nie dawał się uwięzić, wygiął kraty psychicznej klatki i wolałby raczej umrzeć, niż uczynić krzywdę żonie. Przez minutę przeciwstawiał się rozkazom pana i niewiele brakowało, żeby wyrwał się na wolność. Wreszcie Pnącze zmusił go do niechętniej uległości.

Mniej kłopotów miał z czternaściorgiem uczniów pani Caswell, chociaż też zdradzały chęć do buntu. Widok nauczycielki osaczonej w kącie i trzech postaci groźnie sunących w jej stronę budził w dzieciach gwałtowną złość, bo wszystkie ją kochały i nie chciały, żeby doznała krzywdy. Pnącze zamykał jedno po drugim, gasząc ich nikły opór niczym iskierki wystawione na podmuch arktycznego wiatru.

Z jego rozkazu Jack Caswell zatrzymał się przed żoną. Szybkim ruchem wyrwał jej linijkę z ręki i wyrzucił.

Pnącze natychmiast wysunął macki z jego palców i pochwycił Laurę. Szarpała się na próżno. Intruz otworzył usta Jacka, śmignął lodygą, przebił pierś Laury i triumfalnie wniknął w głąb jej ciała.

Nie!

Laura czuła, jak obcy stwór sunie wzdłuż jej nerwów i na zimno przetrząsa zawartość umysłu. Zabroniła mu tego. Walczyła z nim z tą samą nieugiętą wolą i determinacją, którą zmusiła Jacka do chodzenia, z cierpliwością, którą okazywała uczniom, i towarzyszącym jej na co dzień poczuciem własnej wartości. Kiedy założył jej psychiczne więzy, strząsnęła je i pozrywała. Kiedy próbował wepchnąć ją do czarnej jamy i przydusić mentalnym głazem, zrzuciła ciężar i bez szwanku wydostała się na zewnątrz. Wyczuła zaskoczenie Pnącza, wykorzystana to – i nieoczekiwanie sama wśliznęła się w jego umysł. Niemal natychmiast

zrozumiała, że ma jednoczesny dostęp do wszystkich pojmanych żywicieli. Sięgnęła głębiej, odnalazła Jacka...

...Kocham cię, Jack. Kocham ponad życie...

...i szarpnęła jego okowy z takim samym zapalem, z jakim przedtem namawiała go do ćwiczeń z terapeutą. Uczepiona niewidzialnej nici łączącej ofiary Pnacza, przedostała się do Jamiego Watleya...

...Jesteś kochanym chłopcem, Jamie. Najlepszym, jakiego znalazłam. Od dawna chciałam ci powiedzieć, że to bez znaczenia, kim są twoi rodzice. Mogą być pijakami. Liczy się tylko to, że ty jesteś od nich dużo lepszy. Umiesz kochać, nie stronisz od nauki i potrafisz cieszyć się życiem...

...a Pnacza pogonił za nią, chcąc zaciągnąć ją z powrotem do jej ciała. Niestety, chociaż miał za sobą miliardy lat doświadczenia i rozległą wiedzę zaczerpniętą z głów setek gatunków skazanych na zagładę, to nie zdołał pokonać Laury. Był od niej słabszy, bo nie znał pojęcia miłości. Uważał to za niepotrzebne. A tymczasem dla ludzi miłość była motorem działania i stanowiła powód, dla którego woleli ład od chaosu. Z miłości umilali życie swoim bliskim. Ona dawała im niezłomną wolę i niemal niespożytą siłę. Może ktoś inny z ochotą uznałby władzę Pnacza, zwabiony złudnym bezpieczeństwem, prostotą celu i nieskomplikowanym prawem. Ale nie człowiek. Dla ludzkości Pnacza był anatemą...

...Tommy uwolnisz się, kiedy pomyślisz o swojej siostrzyczce, Ednie. Wiem, że ją strasznie kochasz. A ty, Melisso, musisz pomyśleć o rodzicach. Jesteś dla nich największym skarbem, bo niemal cię stracili, kiedy byłaś mała (wiedziałaś o tym?), i o mały włos nie doszło do tragedii. Z ciebie, Helen, wyrosła wspaniała dziewczyna. Kocham cię tak mocno, jak własną córkę. Wiem, że bez przerwy troszczysz się o innych i jesteś chodzącą dobrocią, więc na pewno znajdziesz w sobie tyle siły, aby uwolnić się od tego stwora. Jane Halliwell... Pani także kocha męża i syna. Dzięki temu Richie jest mądry i dobrze wychowany. A to kto? Przecież to Jimmy Corman! Na pozór twardy i opryskliwy, lecz w głębi serca pełen miłości do brata. Masz żal do świata, że Harry urodził się ze zniekształconą ręką... Ale ten żal to dowód prawdziwych uczuć. Tak, wiem, że pobili byś każdego, kto śmiałyby się z jego kalectwa. Pomyśl więc, że to właśnie dla Harry'ego musisz się pozbyć tego świństwa... Pnacza... Jeśli go teraz nie pokonasz, to wkrótce dotrze do Harry'ego...

...i Laura szła przez całą klasę, klucząc wśród opętanych. Tu przytuliła jakieś dziecko, tamtemu uściśniła rękę, tu położyła dłoń na ramieniu... Spoglądała im w oczy i potęgą miłości wyrywała ich z mroku, prowadząc w stronę światła.

Jamie Watley strząsnął z siebie więzy i odepchnął Pnącze. Nagle mu pociemniało w oczach i poczuł zawroty głowy. Trwało to jednak tak krótko, że nie zdążył upaść na podłogę. Zachwiał się tylko na miękkich nogach i ciemność zniknęła. Na wszelki wypadek przytrzymał się krawędzi biurka.

Powoli powiódł wzrokiem po klasie. Wszyscy – dorośli i dzieci – byli podobnie roztrzęsieni. Niektórzy z obrzydzeniem patrzyli na ziemię. Jamie zrobił to samo i zobaczył tłuste, mokre plamy czarnej mazi, która przed chwilą opuściła ciała żywicieli. Wstrętne grudki śluzu wiły się po parkiecie.

Większość obcych tkanek wyraźnie obumierała. Kilka z nich już gnilo z przeokropnym smrodem. Nagle, większa pecyna przybrała kształt mniej więcej piłki futbolowej i chwilę później wytworzyła wokół siebie cętkowaną, czarno-zielono-granatową skorupę. Jak wystrzelona z procy pomknęła pod sufit. Posypały się drzazgi i odłamki tynku. Piłka przebiła dach niskiego budynku i poszybowała w błękit jesienno-nieba.

Wszyscy z całej szkoły przybiegli do klasy Laury, pytając, co się stało. Przyjechała policja. Dzień później przez dom Caswellów przewinęła się procesja gości, wśród których nie zabrakło oficerów lotnictwa i cywilnych agentów rządowych. Jack niemal ani na krok nie odstępował Laury. Najchętniej trzymał ją za rękę, a gdy musieli się na chwilę rozstać, wciąż myślał o niej, jakby tym sposobem chciał stworzyć psychiczny totem, gwarantujący jej szczęśliwy powrót.

W końcu gwar przycichł, wyjechali ostatni dziennikarze i życie potoczyło się normalnym trybem. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Do Bożego Narodzenia Jack w dużej mierze pozbył się koszmarów, chociaż dobrze wiedział, że upłyną lata, zanim zdrapie z siebie ostatnie resztki strachu pozostałe po Pnączu.

W wigilijny wieczór usiadł koło Laury na podłodze tuż pod choinką. Zajadali orzechy, popijali wino i wręczali sobie nawzajem prezenty. Zawsze robili to w Wigilię, bo pierwszy dzień świąt był zarezerwowany na obiad u rodziny. Kiedy już otworzyli ostatnie pudełko, przenieśli się na fotele stojące przed kominkiem.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, spoglądając w płomień i dopijając wino.

–Jeszcze jeden podarek czeka na otwarcie – odezwała się Laura.

–Jeszcze jeden? – powtórzył strapiiony Jack. – Ale ja nic więcej już dla ciebie nie mam...

–To dar dla wszystkich – powiedziała z tajemniczym uśmiechem.

Jack popatrzył na nią ze zdumieniem. Przechylił się przez poręcz fotela i delikatnie ujął ją za

rękę.

–Coś ukrywasz? – zapytał.

–Nie pamiętasz? – odparła. – To on cię wyleczył.

Jack trzymał nogi na pufie. Były silne i zdrowe, tak jak przed wypadkiem.

–Chociaż to dobre – mruknął.

–Lepsze, niż przypuszczasz – rzekła Laura. – Przez te kilka okropnych sekund, kiedy próbowałam wyrzucić go z siebie i z główek dzieciaków, widziałam jego umysł. Kurczę, po prostu byłam w tym umyśle! Zauważyłam, że normalnie chodzisz, i podejrzewałam, że to jego sprawka. Rozejrzałam się więc wokół siebie, żeby zobaczyć, jak się robi cuda...

–Nie mówisz chyba...

–Zaczekaj – przerwała mu i uwolniła rękę z jego dłoni. Wstała z fotela, klękła przed kominkiem, pochyliła się w stronę paleniska i włożyła prawą dłoń prosto w ogień.

Jack krzyknął, złapał ją i czym prędzej odciągnął od kominka.

Laura z uśmiechem pokazała mu poparzone palce. Były spalone do żywego mięsa. Jack jęknął ze zgrozą, lecz w tej samej chwili rany zaczęły się zablizniać. W mgnieniu oka bąble zniknęły, wyrosła nowa skóra i dłoń stała się gładka jak przedtem.

–Wszyscy mamy tę samą siłę – powiedziała Laura. – Nikt z nas nie wiedział jednak, jak jej prawidłowo użyć. Uczylam się przez dwa miesiące, lecz teraz mogę uczyć innych. Najpierw ciebie, potem moją klasę, aż w końcu całą resztę świata.

Jack przyglądał jej się z osłupieniem.

Laura ze śmiechem wtuliła się w jego ramiona.

–Uwierz mi, że ta nauka wcale nie jest łatwa, Jackson. O nie... To trudna sprawa. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile nocy przesiedziałam sama, kiedy smacznie spałeś, i próbowałam w jakiś sposób wykorzystać wiedzę Pnącza. Czasem myślałam, że mi głowa pęknie. Nigdy w życiu nie byłam tak strasznie wyczerpana, jak po każdej próbie samowyleczenia. Rwało mnie we wszystkich kościach. Zdarzało się, że już chciałam z wszystkiego zrezygnować. W końcu jednak się nauczyłam. Inni też się uczą. Wiem, że dokonam tego bez względu na trudności. Wiem, że potrafię, Jack.

W jego spojrzeniu, oprócz miłości, krył się zupełnie nowy podziw.

–Na pewno – odparł. – Zwłaszcza że potrafisz uczyć. Jesteś najlepszą nauczycielką, jaka kiedykolwiek istniała na tym świecie.

–Pani Attyla Hun – roześmiała się i go pocałowała.

W głąb ciemności

Ciemność jest w każdym z nas. Nawet w tych najlepszych. Najgorsi pozwalają, by nimi rządziła.

Czasami powierzałem jej niewielkie lenno, ale nigdy nie dałem całego królestwa. Tak mi się przynajmniej zdaje. Lubię myśleć o sobie, że jestem po prostu dobry: wierny i kochający mąż, czuły i wymagający ojciec.

Gdybym jednak ponownie skorzystał z piwnicy, to pewnie dłużej nie mógłbym udawać, że zło nie ma do mnie żadnego dostępu. Gdybym tam zszedł, to znalazłbym się w moralnym zaćmieniu i już nigdy nie ujrzał światła.

Ale pokusa jest zbyt silna.

*

Drzwi do piwnicy znalazłem jakieś dwie godziny po tym, gdy podpisaliśmy wszystkie dokumenty, wręczyliśmy czek w biurze pośrednictwa i odebraliśmy klucze. Zobaczyłem je w kuchni, w kącie za lodówką, pokryte patyną wieku – jak wszystko w tym domu – i z mosiężną staroświecką klamką zamiast zwykłej galki. Popatrzyłem na nie ze zdumieniem, bo przedtem ich tam nie było.

W pierwszej chwili myślałem, że to zwykła spiżarnia. Zajrzałem do środka i odkryłem schody, które wiodły gdzieś w dół, w nieprzeniknioną ciemność. Do piwnicy bez okien?

Niemal wszystkie domy w południowej Kalifornii, od najtańszego blaszaka po willę za parę milionów, budowane są na betonie. Nie mają żadnych piwnic. Przez lata uważano to za oczywiste. Ziemia w Kalifornii jest bardzo piaszczysta, pozbawiona skalnego podłoża. W miejscu narażonym na trzęsienia ziemi i lawiny błotne byłoby głupotą stawiać kamienie na pustych fundamentach. Gdyby któryś olbrzym żyjący pod ziemią nagle się obudził i zechciał przeciągnąć, zwałiłby wszystkie piętra powyżej piwnicy.

Nasz dom nie był z blachy i dużo nie kosztował – ale miał piwnicę. W biurze pośrednictwa nikt o tym nie wspomniał. Nikt z nas do tej pory jej nie zauważył.

Z ciekawością spojrziałem na zakurzone schody... i nie wiedzieć czemu, poczułem się nieswojo. Obok drzwi znajdował się wyłącznik. Pstryknąłem nim dwa razy. Nic. Ani odrobiny światła.

Zostawiłem drzwi otwarte i poszedłem poszukać Carmen. Znalazłem ją w łazience. Z uśmiechem podziwiała ręcznie wypalane szmaragdowe kafelki i złocone krany prosto z Sherle Wagner.

–Czyż to nie piękne, Jess? Nie wspaniałe? Jako mała dziewczynka nigdy nie marzyłam, że

zamieszkać kiedyś w tak cudownym domu. Najbardziej podobały mi się małe bungalowy, jeszcze z lat czterdziestych. A tu taki pałac... Chyba nie potrafię wejść w rolę królowej.

–To nie pałac – odparłem, biorąc ją w ramiona. – W okręgu Orange pałace są dla Rockefellerów. Zresztą to bez znaczenia. Zawsze byłaś królową i tak już pozostanie.

Przytuliła się do mnie.

–Pokonaliśmy długą drogę, prawda?

–Pójdziemy jeszcze dalej, mała.

–Trochę mnie to przeraża.

–Głuptas z ciebie.

–Jess, kochanie... Jestem tylko kucharką i pomywaczką. Moi rodzice mieszkali w nędznej szopie na przedmieściach Meksyku. Wiem, że wszystko, co dzisiaj mamy, kosztowało nas lata ciężkiej pracy, ale... ale to dzieje się tak szybko...

–Możesz mi wierzyć, mała, nikt by cię nie wyśmiał nawet na spotkaniu dam z Newport Beach. Masz klasę.

W tej samej chwili pomyślałem: Boże, strasznie ją kocham. Jesteśmy siedemnaście lat po ślubie, a wciąż w niej widzę młodą dziewczynę, słodką i zaskakująco świeżą.

–Hej – powiedziałem. – Byłbym zapomniał. Wiesz, że mamy piwnicę?

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

–To prawda – zapewniłem ją. Uśmiechnęła się, czekając na puentę.

–Tak? – zapytała w końcu. – I co w niej znalazłeś? Klejnoty koronne? Czy może stare lochy?

–Chodź i zobacz. Poszła za mną do kuchni. Drzwi zniknęły.

Przez chwilę stałem jak słup soli, gapiąc się na pustą ścianę.

–No? – spytała Carmen. – Co to za dowcip? Opanowałem się na tyle, żeby odpowiedzieć:

–Żaden dowcip. Tu były... drzwi.

Carmen wskazała na jaśniejszą plamę obramowaną cieniem kuchennego okna, widoczną na pustej ścianie.

–Na pewno ci się przywidziało. Światło padało pod innym kątem i zamiast okna zobaczyłeś

drzwi. Trochę podobne.

–Nie. Nie... tam... – Pokręciłem głową. Przytknąłem rękę do rozgrzanej słońcem ściany i ostrożnie nakreśliłem zarysy futryny, jakbym chciał dotykiem znaleźć to, czego nie widziałem.

Carmen zmarszczyła brwi.

–Co się dzieje, Jess?

Spojrzałem na nią i od razu przejrzałem jej myśli. Wciąż nie wierzyła, że tu zamieszkamy. To wydawało jej się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Na pewno podświadomie była przekonana, że chwilę szczęścia okupimy rodzinną tragedią. Tak w życiu bywa – wszystko ma swoją cenę. Pod wpływem stresu – albo zątków raka mózgu – przepracowany mąż zaczyna widzieć rzeczy, które nie istnieją. Z ożywieniem rozprawia o drzwiach do piwnicy... Życie już wiele razy pisało podobny scenariusz.

–Masz rację – powiedziałem, zmuszając się do śmiechu. Dzięki Bogu, zabrzmiał zupełnie normalnie. – Zobaczyłem światło na ścianie i pomyślałem, że to drzwi. Na dobrą sprawę w ogóle im się nie przyjrzałem, tylko od razu pobiegłem do ciebie. Tak się cieszę z nowego domu, że dostałem małego rozumu.

Popatrzyła na mnie z powagą, ale zaraz się uśmiechnęła.

–Zawsze miałeś w sobie coś z małpy – mruknęła.

–Tak?

–Mojej małpki – dodała.

–Uk! Uk! – zawołałem i podrapałem się pod pachą. Na szczęście Carmen nie wiedziała, że otworzyłem drzwi. Nie powiedziałem jej też nic o schodach.

Dom w Laguna Beach miał pięć wielkich sypialni, cztery łazienki i wspaniały salon z kamiennym kominkiem. Było tam także coś, co wszyscy nazywali „kuchnią artystyczną”. To jednak wcale nie znaczyło, że wpadali tutaj Siegfried i Roy lub Barbra Streisand pomiędzy występami w Vegas. Chodziło raczej o wyposażenie, rodem niemalże z promu kosmicznego: dwie kuchnie elektryczne, dwie mikrofalówki i piec do podgrzewania muffinek i bułeczek, robot Jenn Air, dwie zmywarki i dwie lodówki marki Sub Zero, tak duże, że obsłużyłyby niejedną restaurację. Kalifornijskie słońce wpadało przez ogromne okna, za którymi wyrastał gąszcz żółto-różowych bugenwilli, czerwonych azalii, palm i niecierpków. Nad tym wszystkim górowały dwa wielkie figowce. Dalej były zielone wzgórza, a za nimi kusząco połyskiwała nakrapiana blaskiem toń Pacyfiku. Z tej odległości wyglądała jak kufer pełen srebrnych monet.

Nie był to zatem może pałac, ale faktycznie dom, który mówił: „Rodzina Gonzalezów nieźle się spisała. Mają teraz gdzie mieszkać”. Starzy byliby ze mnie dumni.

Moi rodzice, Maria i Ramon, pochodzili z Meksyku. Jako imigranci zaczęli nowe życie w amerykańskiej ziemi obiecanej, tak zwanej El Norte. Dali mnie, braciom i siostrze wszystko, co mogli osiągnąć pracą i poświęceniem. Cała nasza czwórka ukończyła studia. Jeden z moich braci był teraz prawnikiem, drugi lekarzem, a siostra pracowała w dziekanacie anglistyki na UCLA.

Mnie trochę powiodło się w interesach. Razem z Carmen prowadziliśmy znaną restaurację, cenioną za to, że podawała w stu procentach prawdziwe meksykańskie dania. Pracowaliśmy dwanaście godzin dziennie przez okrągły tydzień. Trójka naszych dzieci, gdy tylko dorosła, też wzięła się do roboty. Były nieźle jako kelnerzy. Mieliśmy typowo rodzinną firmę i z roku na rok powoli obrastaliśmy w piórka. Ale harowaliśmy bez wytchnienia. Ameryka nikomu nie daje łatwej forsy, jedynie stwarza możliwości. Uchwyciliśmy się tej szansy i w pocie czoła przez minione lata zgromadziliśmy tyle pieniędzy, by za gotówkę kupić dom w Laguna Beach. Otrzymał nawet żartobliwą nazwę „Casa Sudor”, Dom Potu. Był wielki i wspaniały.

Z wszelkimi wygodami. Nawet ze znikającymi drzwiami do piwnicy.

Dawny właściciel nazywał się Nguyen Quang Phu.

Pośredniczka – energiczna i gadatliwa kobieta w średnim wieku, Nancy Keefer – powiedziała nam, że pan Phu był zbiegiem z Wietnamu, jednym z tych dzielnych ludzi, którzy uciekli na łodziach przez morze po upadku Sajgonu. Miał szczęście, że uniknął szturmów, kanonierek i piratów.

–Przybył do Stanów, mając przy sobie zaledwie trzy tysiące dolarów w złocie i chęć zrobienia czegoś wielkiego – poinformowała nas pani Keefer podczas pierwszych oględzin domu. – To czarujący człowiek i odniósł wspaniały sukces. Powtarzam państwu: wspaniały. Nie chce się wierzyć, jak przez czternaście lat pomnożył swoją fortunę! Wspaniała historia. Teraz postawił

sobie nowy dom, tysiąc dwieście metrów kwadratowych, na działce o powierzchni jednego hektara, w North Tustin. Wspaniały. Muszą go państwo kiedyś zobaczyć. Muszą.

Jednak my chcieliśmy kupić stary dom pana Phu. Co prawda był o połowę mniejszy od nowego, ale nam wydawał się ucieleśnieniem marzeń. Warunki nam odpowiadały, więc targowaliśmy się przez chwilę, w zasadzie dla przyzwoitości. W dziesięć dni było po wszystkim, bo płaciłem żywą gotówką, bez zastawu hipotecznego.

Przez ten czas ani razu nie spotkałem się z panem Nguyenem Quangiem Phu. Nie ma w tym nic dziwnego. W przeciwieństwie do niektórych stanów w Kalifornii nikt nie wymaga formalnej sprzedaży z udziałem obu zainteresowanych stron i adwokatów.

Lecz Nancy Keefer na własną rękę organizowała podobne spotkania dzień lub dwa po zamknięciu depozytu. Taką już miała politykę. Dom był co prawda piękny i świeżo odnowiony, ale przecież zawsze są jakieś usterki. Dawny właściciel miał więc niezwykłą okazję, żeby pokazać nowym lokatorom, które drzwi w szafie spadają z prowadnicy i które okno czasami przecieka. Pan Phu zapowiedział swój przyjazd na środe, czternastego maja.

W poniedziałek, dwunastego maja, podpisałem ostatecznie dokumenty. Tego samego dnia, wczesnym popołudniem, włączając się po pustym domu, zobaczyłem drzwi do piwnicy.

We wtorek rano wróciłem tam zupełnie sam. Nie powiedziałem Carmen, dokąd się wybieram. Myślała, że pojechałem do biura Horace'a Dalcoe, poprosić go, aby łaskawie zmniejszył swe żądania.

Dalcoe był właścicielem niewielkiego centrum handlowego, w którym prowadziliśmy naszą restaurację – i jak ułał, pasowało do niego określenie „lajza”. Kontrakt, który podpisaliśmy z nim, kiedy byliśmy bardziej naiwni i biedniejsi, stanowił, że bez jego zezwolenia nie wolno nam dokonać żadnych zmian w lokalu. Sześć lat później postanowiliśmy zrobić gruntowny remont. Kosztorys opiewał na dwieście tysięcy dolarów. Tymczasem Dalcoe – nie bacząc na to, że działamy w jego interesie – zażądał dodatkowych dziesięciu tysięcy, gotówką i bez podatku. Kiedy kupiłem sklep papierniczy obok restauracji, z zamiarem powiększenia głównej sali, Dalcoe znów wyciągnął łapę po jakąś wyśrubowaną sumę. Nie poprzestawał tylko na dużej głowie cukru, zbierał nawet małe kryształki. Kiedy wstawiłem nowe i ładniejsze drzwi, oznajmił, że za jego zgodę muszę mu dać dwie stowy.

Teraz nosiłem się z zamiarem wymiany starego szyldu, więc czekały mnie kolejne negocjacje. Dalcoe jednak nie wiedział o pewnej drobnej sprawie. Otóż niedawno doszły do mnie w pełni wiarygodne słuchy, że nie wykupił na własność ziemi, na której stało centrum. Czuli się jednak w pełni bezpieczni, bo przed dwudziestoma laty podpisał umowę dzierżawną na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. W tajemnicy przed nim podjąłem rozmowy o zakup tego terenu. W ten sposób, gdyby kiedyś próbował mnie przydusić, wpadłby we własne sidła. Kłopot w tym, że wciąż widział we mnie głupiego meksykańca, może już w drugim pokoleniu, ale na pewno meksykańca. Ot, miałem trochę szczęścia, że mi tak wyszło z restauracją. Poza tym byłem

głupi i leniwy. Ja z kolei wcale nie myślałem o tym, że mała ryba musi połknąć dużą. Wystarczyło mi, żeby Dalcoe zdał sobie sprawę z własnej bezsilności.

Ten dość skomplikowany układ ciągnął się od dłuższego czasu. Miałem więc doskonały pretekst, żeby we wtorek rano zostawić Carmen samą.

–Idę do tego starego sknery – powiedziałem.

Oczywiście pojechałem prosto do nowego domu. Trochę mi było wstyd, że ją okłamałem.

Wszedłem do kuchni. Drzwi były dokładnie tam, gdzie je widziałem wczoraj. Nie plama światła. Nie złudzenie. Prawdziwe drzwi.

Nacisnąłem klamkę.

Zakurzone schody znikają w gęstniejącym mroku.

–Ki diabeł? – powiedziałem na głos. Moje słowa zadźwięczały echem, jakby odbiły się od odległej o tysiące kilometrów ściany.

Wyłącznik światła wciąż nie działał. Przyniosłem latarkę, zapaliłem. Przesząpiłem próg.

Drewniany podest zatrzeszczał głośnie. Deski były stare, zdarte i niemalowane. Ściany, upstrzone szarymi i żółtymi plamami, pokryte pajęczą siatką drobnych pęknięć, wydawały się starsze od reszty domu. Ta piwnica po prostu tu nie pasowała.

Stałem na pierwszym schodku.

Nagle straszna myśl przyszła mi do głowy. Co będzie, jeśli zejść na dół, a przeciąg zatrześnie drzwi? Jeśli w dodatku znikną, tak jak wczoraj? Na zawsze zostanę pod ziemią?

Zawróciłem, żeby znaleźć coś, czym mógłbym je zablokować. W domu nie było żadnych mebli, lecz w garażu leżał kawałek deski, w sam raz się nada.

Znowu stanąłem na szczycie schodów i zaświeciłem w głąb piwnicy. Blask latarki był jakby słabszy niż zazwyczaj. Nie sięgał tam, gdzie powinien. Nie widziałem podłogi. Smolista otchłań zdawała się ciągnąć bez końca – i nie chodziło tutaj tylko o brak światła. Ta ciemność miała w sobie jakąś zawiesinę, ciężar, konsystencję... jakby piwnicę ktoś zamienił w basen pełen oleju. Mrok dosłownie pochłaniał światło. Widziałem tylko dwanaście stopni i nic więcej. Reszta ginęła w czerni.

Zszedłem dwa stopnie niżej i zobaczyłem dwa następne. Zszedłem cztery i zobaczyłem cztery.

Sześć stopni za mną, na jednym stoję, dwanaście z przodu. Razem dziewiętnaście.

Ile było w zwykłej piwnicy? Dziesięć? Dwanaście?

Na pewno nie więcej.

Po cichu, szybko, zbiegłem sześć stopni. Przystanąłem. W blasku latarki widziałem przed sobą dwanaście. Suche, wiekowe deski. Tu i ówdzie błyszczące łebki gwoździ. Te same poplamione ściany.

Nerwowo obejrzałem się na drzwi odległe teraz o trzynaście stopni i jeden podest. Słoneczna kuchnia wydawała mi się oazą spokojnego ciepła. Była o wiele dalej, niż się spodziewałem.

Zacząłem się trochę pocić. Przełożyłem latarkę z ręki do ręki i wytarłem dłonie o spodnie.

W powietrzu unosiła się słaba woń wapna, zmieszana z jeszcze słabszym odorem pleśni i zgnilizny.

Prędko, z hałasem zszedłem o sześć dalszych stopni, potem osiem, znów osiem i jeszcze sześć. Za mną było ich już czterdzieści jeden, a przede mną ciągle dwanaście.

Każdy stopień był wysoki na jakieś dwadzieścia pięć centymetrów, a to znaczyło, że jestem trzy piętra pod ziemią. Żadna zwykła piwnica nie jest tak głęboka.

Wmawiałem sobie, że to schron przeciwlotniczy, ale wiedziałem, że to nieprawda.

Mimo to nie zamierzałem wracać. Do diabła, przecież byłem we własnym domu, za który zapłaciłem całkiem sporo! Nie mówiąc już o hektolitrach potu, wylanych przy robocie. Nie będę mieszkał z tajemnicą ukrytą pod podłogą. Mniej się bałem niż normalni ludzie, bo już w życiu nieraz najadłem się strachu. Jako dwudziestoparolatek spędziłem dwa lata w rękach wroga, z daleka od kraju. Tam dopiero poznałem, co to przerażenie.

Sto stopni niżej znów się zatrzymałem, gdyż uświadomiłem sobie, że jestem już co najmniej dziesięć pięter pod ziemię, a to wymagało głębszego namysłu. Odwróciłem się i popatrzyłem w górę. Zobaczyłem światło w otwartych drzwiach kuchni, nie większych niż ćwierć znaczka pocztowego.

Spojrzałem w dół na osiem pustych drewnianych stopni. Osiem, a nie dwanaście. Im dalej w dół, tym latarka świeciła coraz słabiej. Lecz to nie była wina baterii. Żarówka wciąż rzucała snop jasnego blasku. To raczej mrok stawał się głębszy i... jakby wygłodniały. W każdym razie łapczywie rzucał się na światło.

W powietrzu wciąż unosił się mialki zapach tynku, ale smród zgnilizny był dużo silniejszy.

Podziemny świat okazał się nienaturalnie cichy. Nie słyszałem nic oprócz echa swoich własnych kroków i ciężkiego sapania. Kiedy jednak stanąłem na dziesiątym piętrze, wydawało mi się, że z dołu dobiegają jakieś słabe dźwięki. Wstrzymałem oddech i przez kilka sekund

nadstawiałem ucha. Wciąż miałem wrażenie, że słycać coś dziwnego – jakby szepty albo mlaskanie... ale nie byłem pewny. Dochodziły z daleka i po chwili gasły. Równie dobrze mogłem się przesłyszeć.

Zszedłem jeszcze dziesięć stopni i nareszcie dotarłem do większego podestu. Po obu stronach zobaczyłem dwa ciemne tunele o łukowym sklepieniu. Nie miały drzwi ani żadnych ozdób. W świetle latarki ukazały się kamienne mury. Skręciłem w lewo i po czterech, może pięciu metrach znalazłem następne schody w dół, odchodzące pod kątem prostym od poprzednich.

Tutaj śmierdziało już jak diabli. Poczulem w nosie ostrą woń gnijących warzyw.

Smród podziałał niczym łopata i odkopał stare wspomnienia. Przez dwa lata niewoli poznałem go aż nadto dobrze. Czasem dawano nam do żarcia wyłącznie zgniłą rzepę albo pataty, albo podobne bulwy. To, czego nie zjedliśmy, trafiało do wielkiego dołu, przykrytego blachą, w którym za karę trzymano najbardziej opornych jeńców. Sam też nieraz siedziałem w głębokiej na pół metra mazi, tak cuchnącej w upale, iż wydawało mi się, że już dawno zdechłem i czuję trupi odór bijący ode mnie.

–Co się tu dzieje? – zapytałem, nie oczekując odpowiedzi. Oczywiście jej nie dostałem.

Wróciłem do głównego przejścia i poszedłem tunelem w prawo. Znowu znalazłem schody. Z czarnej otchłani unosiła się inna zjelczala woń, także mi dobrze znana. To były rybie łby w zaawansowanym stadium rozkładu.

Nie ryby, ale rybie łby – te same, które strażnicy wrzucali nam czasem do talerza. Potem patrzyli, szczerząc zęby, jak zachłannie chleptaliśmy zupę. Każdy z nas krztusił się jak diabli, ale byliśmy zbyt głodni, żeby na znak protestu wylać ją na ziemię. Nieraz też, zamykając oczy z obrzydzenia, przelykaliśmy te wstrętne łby, żeby trochę napelnić brzuchy. Na to zawsze najbardziej czekali. Mieli ubaw z naszej niedoli.

Pędem rzuciłem się do głównych schodów. Przez chwilę stałem na podeście, dziesięć pięter pod ziemią, drżąc jak w febrze i próbując odpędzić niechciane wspomnienia.

Teraz już byłem na wpół przekonany, że to wszystko jest tylko złudzeniem. Guz na mózgu uciskał część szarych komórek i stąd brały się halucynacje...

Poszedłem dalej i zauważyłem, że z każdym krokiem robi się coraz ciemniej. W świetle latarki widziałem siedem stopni... sześć... pięć... cztery...

Nagle, niecały metr przede mną wyrosła nieprzenikniona ściana mroku. Smolista ciemność zdawała się pulsować, jakby oczekiwała, że w nią wreszcie wkroczę. Wyglądała jak żywa.

Mimo to nie dotarłem jeszcze do końca schodów, bo gdzieś w dole znów coś zaczęło szeptać i bulgotać. Dostałem gęsiej skórki.

Wyciągnąłem przed siebie roztrzęsioną rękę. Zniknęła w lodowatej czerni.

Serce zabiło mi jak młot. Nie mogłem przełknąć śliny. Krzyknąłem niczym przestraszone dziecko, odwróciłem się i uciekłem do kuchni i światła.

Tego wieczoru tak jak zwykle witałem gości w restauracji. Od lat lubilem stawać w progu, kłaniać się i grać rolę sympatycznego gospodarza. Sprawiało mi to satysfakcję. Wiele osób przychodziło do nas już od dekady; to byli starzy przyjaciele, honorowi członkowie rodziny. Ale w tym dniu błądziłem myślami gdzieś indziej. Niektórzy goście nawet mnie pytali, czy przypadkiem nic mi nie dolega.

Nasz księgowy, Tom Gatlin, wpadł z żoną na kolację.

–Jess – powiedział. – Na miłość boską, jesteś blady jak kreda! Stary, od trzech lat nie byłeś na urlopie. Po co ci ta cała forsa, skoro jej nie możesz wydać?

Na szczęście reszta obsługi spisywała się bez zarzutu. Poza mną, Carmen i naszymi dziećmi – Stacy, Heather i młodym Joem – pracowały u nas dwadzieścia dwie osoby, z których każda doskonale znała się na swoim fachu. Mogłem sobie więc pozwolić na małą niewydolność.

Stacy, Heather i Joe. Typowo po amerykańsku. Śmieszne... Mama i tato, imigranci, bez przerwy żyli przeszłością. Wszystkim swoim dzieciom nadali tradycyjne imiona. Moi dwaj bracia to Juan i José, a siostra – Evalina. Ja naprawdę nazywam się Jesus Gonzalez. Jesus to bardzo popularne meksykańskie imię, ale już dawno zmieniłem je na Jess, chociaż wiedziałem, że w ten sposób sprawiam rodzicom przykrość. (Po hiszpańsku brzmi to Hezus, ale Amerykanie wymawiają 'Dżizas jak imię Zbawiciela. Nikt nie traktuje cię poważnie, jeśli każesz do siebie mówić Jezu). To ciekawe, że dzieci imigrantów, Amerykanie drugiej generacji – tacy jak ja i Carmen – swoim dzieciom nadają najpopularniejsze anglosaskie imiona, jakby chcieli ukryć własne pochodzenie. Jakby im było wstyd, że przyszli zza Rio Grande. Stacy, Heather i Joe.

Nie od dzisiaj wiadomo, że nowi chrześcijanie na ogół bywają bardziej papiescy od papieża. To samo dotyczy tych Amerykanów, których obecność w Stanach Zjednoczonych sięga wstecz najwyżej jedno pokolenie. Szaleńczo chcemy stać się częścią tego wielkiego, wspaniałego i zwariowanego kraju. W przeciwieństwie do niektórych „starych” obywateli dobrze wiemy, jakim dobrodziejstwem jest życie pod gwiazdzistym sztandarem. Znamy też jednak cenę, którą trzeba zapłacić za ten przywilej. A nieraz bywa ona wysoka. Po pierwsze, zostawiamy za sobą całą przeszłość. Po drugie, musimy sprostać nowym, czasem bolesnym wymaganiom. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

Byłem w Wietnamie.

Walczyłem. Zabijałem wrogów.

Wpadłem do niewoli.

To właśnie tam jadłem zupę z gnijącymi rybimi łbami. Taka była moja cena.

Myśl o tajemniczej piwnicy pod domem i smrodzie obozu bijącym z ciemności sprawiała, że

zaczęłam sobie zadawać pytanie, czy rzeczywiście wszystko już spłaciłem. Wróciłem z wojny przed szesnastu laty, wycieńczony, z połową popsutych zębów. Mimo tortur i głodu nie zdołali mnie złamać. Wiele lat miałem potem straszliwe koszmary, lecz obyło się bez psychiatry. Przeżyłem to, co przeżyło wielu naszych chłopców w Wietnamie Północnym. Byłem stłamszony, rozbity i chory, ale do diabła – wciąż niepokonany. Jedyne gdzieś po drodze zapomniałem, że jestem katolikiem. Wtedy wydawało mi się, że to mała strata. Z roku na rok powoli zapomniałem o przeszłości. Zapłaciłem część długu. Mogłem o tym nie myśleć. Koniec. *Over*. Zrobione. Do dzisiaj tak mi się zdawało. Ale piwnica była nieprawdziwa, więc dopadły mnie halucynacje. Czy to możliwe, że przez lata ukrywana trauma nagle powróciła ze zdwojoną siłą? Ze spowodowała we mnie jakieś zmiany? Że ignorowałem coś, co wymagało stałego leczenia?

Jeśli to prawda, gdzie szukać przyczyn nagłego załamania? Może w tym, że kupiliśmy dom od Wietnamczyka? Ale to wytłumaczenie zdawało mi się trochę naciągane. Trzeba o wiele silniejszych impulsów, żeby uruchomić uspijoną podświadomość, wywołać spięcie i spalić bezpieczniki. Choć przecież moj pozorny spokój mógł się opierać na kruchych podstawach – a wtedy wystarczyło najłżejsze dmuchnięcie, aby całość runęła niczym domek z kart.

Szlag by trafił... Sęk w tym, że wcale nie czułem się jak wariat. Mimo strachu myślałem zupełnie rozsądnie. Zatem halucynacje? Ale podziemne schody wydawały mi się całkiem realne. Zerwanie więzi z rzeczywistością było poza mną, a nie gdzieś we mnie.

O ósmej przyszedł na kolację Horace Dalcoe. Przyprowadził ze sobą siedem osób. To wystarczyło, żebym prawie zapomniał o piwnicy. Jako „mój pan” od dawna był święcie przekonany, że za nic nie musi płacić. Odegrałby się, gdybyśmy tylko chcieli wystawić mu rachunek. Nigdy nie podziękował, za to zawsze miał sto powodów do narzekań.

We wtorek też – nie spodobała mu się margarita, bo uznał, że nałalem za mało tequili. Kręcił nosem przy *nachos*; za mało chrupiące. I powinno być więcej pulpecików w *sopa de albondigas*.

Chciałem udusić drania. Zamiast tego podałem mu margarite tak zakrapianą tequila, że w minutę mogła wypalić połowę szarych komórek. Zmieniłem *nachos* i dołożyłem półmisek pulpecików do i tak sutej zupy.

Myślałem o tym późnym wieczorem, jak już leżałem w łóżku. A gdybym tak zaprosił łobuza do nowego domu, wepchnął go do piwnicy i zamknął drzwi? Co by się stało, gdyby trochę posiedział w ciemnościach? Miałem dziwne, lecz całkiem wyraźne wrażenie, że tam coś żyło... Coś, co stało ode mnie zaledwie o parę metrów, przyczajone w nieprzeniknionym mroku. Coś, co mogło wspiąć się na schody i pożreć Horace'a Dalcoe. Wtedy byłoby po kłopotcie.

Źle spałem tej nocy.

W środę rano, czternastego maja, pojechałem do nowego domu na spotkanie z byłym właścicielem, panem Nguyenem Quangiem Phu. Zjawiłem się godzinę wcześniej, żeby sprawdzić, czy drzwi do piwnicy są na swoim miejscu.

Były.

Nagle poczułem, że powinienem po prostu odwrócić się i odejść. Zapomnieć o nich. Gdybym to zrobił, to na pewno znikłyby na zawsze. Wiedziałem także – aczkolwiek nie miałem pojęcia skąd – że narażę na szwank ciało i duszę, jeśli ponownie zajrzę do podziemia.

Zabezpieczyłem otwarte drzwi kawałkiem deski.

Z latarką w ręku wszedłem w ciemność.

Stałem na podeście dziesięć pięter niżej i popatrzyłem na tunele. W lewym potwornie śmierdziało zgniłymi warzywami, w prawym rybimi łbami.

Poszedłem dalej i przekonałem się, że zawieszista czerń była mniej zachłanna niż wczoraj. Pozwoliła mi zejść o wiele głębiej, jakby mnie znała i zapraszała do prywatnej części swego królestwa.

Po pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu stopniach znalazłem następny podest z odchodzącymi w bok dwoma tunelami. Znow miałem wybór, w razie gdybym chciał zmienić kierunek marszu.

Z lewej były kolejne schody prowadzące w pulsującą, zmienną i złowieszczą ciemność, niedostępną dla światła niczym olej. Blask latarki nie wnikał w nią, ale rysował jasne koło jak na ścianie. Skotłowana czerń połyskiwała lekko, przypominając roztopioną smołę. To było coś obdarzonego wstrętą, przeogromną siłą. Nie olej, nie inna ciecz, ale kwintesencja całej ciemności świata: gęsty destylat milionów nocy i miliardów cieni. Mrok jest zjawiskiem, a nie substancją, nie można go więc poddać destylacji. A jednak tutaj był ów niemożliwy ekstrakt w swojej najczystszej i pradawnej formie. Koncentrat nocy i czarnej przestrzeni międzygwiazdnej, gotowany tak długo, aż pozostał z niego mulisty osad. Samo zło.

Cofnąłem się do głównych schodów. Nie sprawdzałem tunelu po prawej stronie, bo wiedziałem, że znajdę tam ten sam pulsujący z wolna obrzydliwy klajster.

Ale to samo czekało mnie na środkowych schodach. Już po kilku krokach zobaczyłem przed sobą czarną ścianę, wznoszącą się niby zamrznięta fala. Stałem jakieś dwa metry od niej, dygocząc z przerażenia.

Wyciągnąłem rękę.

Dotknąłem ruchliwej masy.

Była zimna.

Sięgnąłem głębiej. Dłoń zniknęła mi aż do nadgarstka. Czerń była tak gęsta, że moja ręka wyglądała teraz jak kikut.

Cofnąłem ją ze strachem. Okazało się, że jest cała. Nikt mi nie obciął dłoni. Poruszyłem palcami.

Uniosłem wzrok, spojrzałem na mroczną ścianę i nagle zdałem sobie sprawę, że ona wie o mojej obecności. Nie była to świadoma wiedza, lecz raczej instynkt, podszyty złem. Kilka sekund później poczułem coś więcej. Mrok wabił mnie... Zapraszał do nieznannej piwnicy, do tajemniczych lochów leżących jeszcze niżej. Chciał, żebym cały zanurzył się w tę ciemność, w której przed chwilą zniknęła moja ręka. O mały włos byłbym to zrobił i na zawsze wyrzekł się dziennego światła.

Potem pomyślałem o Carmen. O naszych córkach, Heather i Stacy. O synu Joem. O tych wszystkich, których kochałem i którzy mnie kochali. Czar prysł. Ciemność straciła hipnotyczną władzę; odwróciłem się i uciekłem do jasno oświetlonej kuchni. Moje kroki glucho dudniły na schodach.

Słońce świeciło przez ogromne okna.

Wyciągnąłem deskę i z hukiem zatrzasnąłem drzwi do piwnicy. Bezskutecznie czekałem, że znikną.

–Oszalałem – powiedziałem na głos. – Zupełnie mi się pomieszało we łbie.

Ale wiedziałem, że to nieprawda. To świat oszalał. Ja byłem normalny.

Dwadzieścia minut później, zgodnie z umową, przyjechał Nguyen Quang Phu. Miał oprowadzić mnie po domu. Spotkaliśmy się przy głównym wejściu. W momencie gdy go zobaczyłem, zrozumiałem, jakie jest prawdziwe przeznaczenie niezwyklej piwnicy.

–Pan Gonzalez? – spytał.

–Tak.

–Jestem Nguyen Quang Phu.

Ale był nie tylko Nguyenem Quangiem Phu, lecz także moim katem.

W Wietnamie kazał mnie przywiązać do ławki i przez godzinę tłukł w pięty drewnianą pałką. Po pewnym czasie każde uderzenie przenikało przez kości nóg i bioder, klatkę piersiową i kręgosłup, aż do ciemienia. Myślałem, że mi głowa eksploduje. Kazał mnie związanego zanurzać w basenie z wodą zanieczyszczoną moczem innych więźniów, których przedtem

poddano tej samej torturze. Po kilkunastu sekundach nie mogłem już wstrzymać oddechu, bolały mnie płuca, łomotało w uszach, byłem na skraju palpitacji serca i z wolna zapadałem się w objęcia śmierci. Wtedy mnie wyciągano, łapałem haust powietrza i z powrotem trafiałem pod wodę. Kazał podłączyć druty do moich genitaliów i poddawał mnie elektrowstrząsom. Bezradnie patrzyłem, jak zatłukł na śmierć mojego przyjaciela. Innemu wyklął oko wyłącznie dlatego, że tamten zaczął psioczyć na ryż z robakami.

Absolutnie się nie myliłem. Twarz oprawcy na zawsze wryła mi się w pamięć i utrwałała w umyśle, wypalona najgorszym ogniem – nienawiścią. Los obszedł się z nim łaskawiej niż ze mną. Od czasu kiedy go widziałem, postarzał się z wyglądu tylko o dwa, trzy lata.

–Bardzo mi miło – powiedziałem.

–Mnie również – odparł. Szerokim gestem zaprosił go do domu.

Znałem ten głos: miękki, niski, a jednocześnie jakiś zimny. Głos węża, gdyby węże potrafiły mówić. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Mógł mieć metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, był więc wysoki jak na Wietnamczyka. Miał szczupłą twarz o wystających kościach policzkowych, spiczasty nos, cienkie usta i delikatnie zarysowaną szczękę. Głęboko osadzone oczy patrzyły na mnie równie dziwnie jak w Wietnamie.

Jako jeniec nie wiedziałem, jak się nazywał. Być może Nguyen Quang Phu. A może całkiem zmienił tożsamość, prosząc o azyl w Stanach Zjednoczonych.

–Kupił pan piękny dom – pochwalił.

–Bardzo mi się podoba – odrzekłem.

–Spędziłem tutaj szczęśliwe lata – mruknął, zaglądając do pustego salonu. – Bardzo szczęśliwe.

Dlaczego uciekł z Wietnamu? Przecież był po zwycięskiej stronie. Może pokłócił się z towarzyszami? Albo rząd kazał mu pracować na wsi lub w kopalni? Dobrze wiedział, że w tych warunkach szybko straci zdrowie i przedwcześnie umrze. Może uciekł w maleńkiej łodzi, bo utracił jedyną funkcję, która mu dawała nieograniczoną władzę?

W gruncie rzeczy nie obchodziło mnie, dlaczego podjął tę decyzję. Najważniejsze, że tu się zjawiał. Tu i teraz.

Od chwili gdy go rozpoznałem, byłem przekonany, że nie wyjdzie stąd żywy. Nie mógł uciec.

–Niewiele mam panu do powiedzenia. – Westchnął. – W głównej łazience jedna z szuflad w szafce spada z prowadnicy. Kłapa na strych czasami się zacina, ale jest sposób, żeby ją

otworzyć. Pokażę panu.

–Będę wdzięczny.

Nie poznał mnie.

Zbyt wielu jeńców trafiło w jego łapy, żeby jakiegoś zapamiętał. Prawdopodobnie twarze wszystkich tych, na których zaspokajał swoje sadystyczne żądze, były w jego pamięci jedną zamazaną plamą. Kat nie dba o to, kogo dręczy i komu daje przedsmak piekła. Nguyen Quang Phu nie dobierał ludzi według ich indywidualnych cech i umiejętności, ale dlatego że jęczeli, krwawili i zwijali się u nóg oprawcy.

Oprowadził mnie po całym domu. Podał nazwiska zaufanego hydraulika, elektryka i montera od klimatyzacji, którzy mieszkali w okolicy. Znał też warsztat, w którym wykonano witraże do dwóch pokoi.

–W razie czego najlepiej będzie, jak je naprawi ten, kto je zrobił. Nie wiem, co mnie powstrzymywało, żeby go nie udusić gołymi rękami. Nigdy też nie podejrzewałem, że umiem być tak spokojny. Ani miną, ani zachowaniem nie zdradzałem swoich emocji. Nguyen Quang Phu wciąż nie miał pojęcia, w co wdepnął.

W kuchni pokazał mi, gdzie włączyć młynek do śmieci pod zlewem. Zapytałem, czy w czasie deszczu woda nie ścieka do piwnicy.

Popatrzył na mnie zaskoczonym wzrokiem. Jego opanowany, chłodny głos zabrzmiał odrobinę wyżej.

–Do piwnicy? Tu nie ma piwnicy.

–Ależ jest! – zawołałem z udawanym zdziwieniem. – Tam są drzwi.

Też je zobaczył.

Wybałuszył oczy ze zdumienia.

Uznałem to za zrządzenie losu i pozbyłem się resztek wątpliwości. Skoro Phu widział drzwi, to mnie pozostawało tylko być biernym wykonawcą wyroków przeznaczenia.

Wziąłem latarkę z kredensu i otworzyłem wejście do piwnicy.

Mój oprawca pokręcił głową, powiedział, że za jego czasów nic takiego tutaj nie było, i z ciekawością zajrzał do wnętrza. Po chwili przestąpił próg i zatrzymał się przed schodami.

–Światło nie działa – mruknąłem. Stałem mu za plecami i poświeciłem latarką. – To wystarczy.

–Ale... gdzie... jak?...

–Chce pan powiedzieć, że nie zna pan własnego domu? – Zmusilem się do śmiechu. – Wolne żarty.

Nguyen Quang Phu niczym bezcielesna zjawą przesunął się na niższy stopień.

Szedłem tuż za nim.

Kiedy po kilku krokach nie dotarł do końca schodów, zorientował się, że coś jest nie tak. Przystanął, zerknął w tył i powiedział:

–To dziwne. Co tu się dzieje? Dlaczego pan...

–Idź dalej – warknąłem glucho. – Na dół, draniu. Próbował przepchnąć się koło mnie i wrócić do kuchni. Przyłożyłem mu tak, że padł na plecy i stoczył się ze schodów.

Słyszałem, jak poleciał w dół, aż do podestu z tunelami. Zszedłem tam za nim. Był oszołomiony i pojękiwał z bólu. Po drodze rozciął sobie dolną wargę. Krew spływała mu po brodzie. Miał zdartą skórę z prawej dłoni. Chyba złamał rękę.

Popatrzył na mnie ze łzami w oczach, przyciskając bezwładne ramię. Był przestraszony i zdeorientowany.

Brzydziłem się tym, co robię.

Ale on budził we mnie większe obrzydzenie.

–W obozie nazywaliśmy cię po prostu Żmiją – powiedziałem. – Znam cię. Tak, tak... Znęcałeś się nad nami.

–O Boże... – jęknął.

Nawet nie spytał, o czym mówię. Niczego się nie wypierał. Wiedział, kim był, czym był – i co się stanie.

–Te same oczy – ciągnąłem dalej, dygocząc z niepohamowanej złości. – Ten sam głos. Żmija. Wstrętna, pelzająca żmija. Godna pogardy, lecz jednocześnie cholernie niebezpieczna.

Przez chwilę panowała cisza. Umilkłem, bo nie potrafiłem otrząsnąć się ze zdumienia nad skomplikowaną maszyną losu, która powoli pracowała na to, aby nas zetknąć właśnie tu i teraz.

Z ciemności dobiegł jakiś hałas: syczące szepty i wstrętne mlaskanie. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Odwieczna ciemność pelzła w górę. Ucieleśnienie bezkresnej nocy – zimne, głębokie i głodne.

Dawny oprawca, sprowadzony do roli ofiary, rozglądał się ze strachem i zdumieniem. Spojrzał na jeden tunel, potem drugi i w dół schodów, na których leżał. Z przerażenia zapomniał o bólu. Nie płakał już i nie jęczał.

–Co... co to za miejsce?

–Twój dom – powiedziałem.

Odwróciłem się i poszedłem z powrotem do kuchni. Nie oglądałem się za siebie. Pozostawiłem mu latarkę, żeby widział, co po niego przyjdzie.

(Ciemność jest w każdym z nas).

–Zaczekaj! – krzyknął za mną. Nie zatrzymałem się.

–Co to za dźwięki? – spytał. Szedłem dalej.

–Co ze mną będzie?

–Nie wiem – odpowiedziałem. – Ale... na pewno na to zasłużyłeś.

Wreszcie złość w nim przeważyła. –

–Nie masz prawa mnie sądzić!

–Mam.

Wszedłem do kuchni i zamknąłem za sobą drzwi. Nie miały zamka, więc drżąc na całym ciele, oparłem się o nie plecami.

Phu chyba coś zobaczył, bo zawył ze strachu i zaczął wspinać się po schodach.

Usłyszałem, że był już blisko, toteż zaparłem się jeszcze mocniej.

Zabębnił głośno z drugiej strony.

–Błagam! Błagam, nie! Na litość boską, nie! Na litość boską, błagam!

Tak samo krzyczeli moi kumple z wojska, kiedy bezduszny kat wbijał im zardzewiałe igły pod paznokcie. Powróciłem myślami do tych strasznych wydarzeń, o których starałem się zapomnieć przez minione lata. Dały mi siłę, by nie ulec rozpaczcy Wietnamczyka.

Oprócz krzyków słyszałem bulgotanie czerni, pełzającej w górę po schodach. Chlupot zimnej lawy, cmokanie i złowrogie szepty.

Oprawca przestał bębnić pięściami w drzwi i wrzasnął. Domyśliłem się, że mrok go dopadł.

Poczułem, że napiera na mnie jakiś ogromny ciężar. Po chwili nacisk zelżał.

Krzyki przycichły, ale zaraz buchnęły z nową siłą. Narastało w nich zwierzęce przerażenie. Tupot nóg na schodach i kopanie w ściany przekonały mnie, że coś go ciągnęło na dół.

Oblałem się zimnym potem.

Nie mogłem złapać oddechu.

Nagłym ruchem otworzyłem drzwi i skoczyłem do środka. Wydaje mi się, że naprawdę chciałem go uratować. Ale tego nie jestem pewny. To jednak, co zobaczyłem kilka metrów przed sobą, było tak straszne, że zamarłem jak kamień. Nie uczyniłem nawet najmniejszego ruchu.

Phu nie został schwytany przez ciemność, ale przez dwie widmowe i chude jak szkielet postacie, które wyłoniły się z pulsującego mroku. Przez dwóch umarłaków. Poznałem ich. To byli nasi żołnierze, którzy zginęli w obozie z rąk kata. Nie łączyła nas przyjaźń. Po prawdzie sami mieli niejedno na sumieniu. Można nawet powiedzieć, że lubili wojnę, zanim wpadli w ręce Wietkongu i dostali się do niewoli. Ludzi tego pokroju podnieca zabijanie, a w spokojniejszych chwilach rządzą czarnym rynkiem. Mieli zimne, nieruchome spojrzenia. Otworzyli usta, żeby coś do mnie powiedzieć, lecz zamiast słów usłyszałem jedynie cichy syk i odległe jęki. Domyśliłem się, że te odgłosy pochodzą nie z ciała, ale duszy – przykutej gdzieś tam w dole do kamiennego muru. Obaj wypełzli z czarnej mazi zaledwie do połowy, wciąż pozostając z nią złączeni. Wychylili się tylko na tyle, żeby złapać Nguyena Quanga Phu za ręce i nogi.

Na moich oczach wciągnęli go w tę kwintesencję nocy, która po wieczność stała się ich domem. Kiedy zniknęli w ruchliwej czerni, smolista maź zaczęła się oddalać. Znowu widziałem schody, wynurzające się z ciemności niczym brzeg plaży obmywanej uchodzącą falą.

Chwiejnym krokiem wróciłem do kuchni i podszedłem do zlewu. Pochyliłem się i zwymiotowałem. Odkręciłem wodę. Umyłem twarz. Wyplukałem usta. Ciężko dysząc, oparłem się o kredens.

Po pewnym czasie spojrzałem za siebie. Drzwi nie było. Ciemność upomniała się tylko o ofiarę. Złowieszcze przejście do... do innego świata wzięło się stąd, że ktoś tam na dole nie mógł się doczekać, aż Nguyen Quang Phu dożyje szczęśliwej starości i umrze jak zwykły człowiek. Bieg wypadków uległ przyspieszeniu. A teraz było już po wszystkim – moje spotkanie z tajemniczą siłą nareszcie dobiegło końca.

Tak mi się wtedy wydawało.

Boże, jaki ja byłem głupi!

Niczego nie rozumiałem.

Samochód Nguyena Quanga Phu – nowy biały mercedes – stał na podjeździe, z dala od ludzkich oczu. Wsiadłem do niego i pojechałem na parking koło ogólnodostępnej plaży. Potem wróciłem na piechotę te parę kilometrów dzielących mnie od domu. Jakiś czas później, wypytywany przez policję, odpowiedziałem, że pan Phu nie stawiał się na spotkanie. Uwierzono mi bez zastrzeżeń. Nikt o nic mnie nie podejrzewał, bo przecież byłem dobrym obywatelem, w miarę bogatym i o powszechnie znanej reputacji.

Przez trzy tygodnie drzwi się nie pojawiały. Dobrze wiedziałem, że już zawsze będę czuł się nieswojo w naszym wymarzonym domu, ale po pewnym czasie moje obawy zmalowały i przestałem omijać kuchnię.

Owszem, walnąłem łbem w coś niezwykłego, lecz na tym koniec. Nic nie wskazywało na to, by taka sytuacja miała się powtórzyć. Mnóstwo ludzi raz w życiu zobaczyło ducha lub zaznało kontaktu z czymś nadprzyrodzonym, co zachwiało ich wiarę w pojęcie realności, ale później nie mieli podobnych doświadczeń. Byłem pewny, że więcej nie ujrzę drzwi do piwnicy.

A potem nasz amfitrion, Horace Dalcoe – człowiek, który wiecznie wybrzydzał na *sopa de albóndigas* - dowiedział się o moich cichych negocjacjach o zakup gruntu, na którym przecież stało jego centrum handlowe, i uderzył. Mocno. Miał niezłe znajomości. Podejrzewam, że bez większego trudu znalazł inspektora, który zarzucił nas oskarżeniami o brud i niechlujstwo w kuchni. Nie było w tym ani słowa prawdy. Nasze zasady czystości, obowiązujące w całym lokalu, znacznie przewyższały standardy określone przez Departament Zdrowia. Po naradzie z Carmen doszedłem do wniosku, że nie zapłacę wyznaczonej grzywny, tylko oddam sprawę do sądu. Kiedy zdradziłem się z tym zamiarem, ktoś w czwartek o trzeciej w nocy włamał się do restauracji i narobił szkód na ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Wtedy zrozumiałem, że mogę wygrać bitwę – nawet wszystkie – lecz przegrać całą wojnę. Gdybym przyjął oszczerczą taktykę przeciwnika, płacił łapówki miejscowym urzędnikom, wynajął zbirów i podjął walkę według jego reguł, to może doszłoby do zawieszenia broni. Kłopot w tym, że chociaż nie jestem święty, nie potrafiłem upaść aż tak nisko.

Może zresztą ta niechęć do brudnej rozgrywki była podyktowana poczuciem własnej dumy, a nie jakimś honorem albo uczciwością. Wolę jednak myśleć, że mam ideały.

Wczoraj rano (tak zapisałem to w „dzienniku potępienia”, który właśnie zacząłem prowadzić) wybrałem się do biura Horace’a Dalcoe. Przeprosilem go i przy okazji solennie obiecałem, że zrezygnuję z kupna działki, którą wydzierzawił pod centrum handlowe. Zgodziłem się zapłacić mu po cichu trzy tysiące baksów za zgodę na zmianę szyldu restauracji na większy i ładniejszy.

Dalcoe był zadowolony z siebie, laskawy i irytujący. Przytrzymał mnie ponad godzinę, sycąc wzrok moim poniżeniem, chociaż wszystko można było załatwić w dziesięć minut.

Zeszłej nocy nie mogłem zasnąć. Łóżko było wygodne, w domu panował chłód i kojąca cisza – idealne warunki, żeby spać jak anioł. Ja jednak wciąż myślałem o Horacie Dalcoe. Drażniła mnie świadomość, że jestem w jego rękach. Przewracałem się z boku na bok, szukając rozwiązania. Najlepiej byłoby go dopaść tak, żeby nie wiedział, co się dzieje... Czas mijał, a ja nie wymyśliłem nic rozsądnego.

Wreszcie, ostrożnie, aby nie obudzić Carmen, wysunąłem się z łóżka i poszedłem do kuchni. Chciałem napić się mleka, bo wapń uspokaja. Głowę wciąż miałem zaprzątniętą myślami o wrogu – i wtedy zobaczyłem drzwi. Znowu były.

Popatrzyłem na nie ze strachem, wiedząc, co oznaczają. Oto najlepsze rozwiązanie, co zrobić z Horacem. Wystarczyło przecież zaprosić go tutaj pod byle pretekstem, pokazać piwnicę i oddać ciemności.

Otworzyłem drzwi.

Popatrzyłem na schody i ścianę wiecznego mroku. Na Nguyena Quanga Phu czekali zmarli jeńcy i ofiary tortur. A kogo spotkałby Horace Dalcoe? Zadrzałem. Ale nie przez niego. Bałem się o siebie.

Nagle zrozumiałem, że to ja mam być główną ofiarą ciemności. Nie Phu i nie Dalcoe. Oni się nie liczyli. I tak nadawali się tylko do piekła. Wcale nie musiałem wpychać Phu do piwnicy, gdyż czerń prędzej czy później upomniałaby się o niego w chwili śmierci. Z kolei Dalcoe jeszcze nie znał swojego losu. Gdybym mu nagle pomógł w spotkaniu z przeznaczeniem, sam uległbym podszeptom mroku i wystawił na szwank własną duszę.

Spoglądałem na schody i słyszałem, jak ciemność woła mnie po imieniu. Przyzywa, kusi wieczystą wspólnotą... Wabi uwodzicielskim szeptem. Daje mi słodkie obietnice. Nie zapadła decyzja, co się ze mną stanie, mrok szukał więc choćby małego triumfu.

Czułem, że jeszcze nie jestem tak zepsuty, aby w pełni należeć do ciemności. To, co zrobiłem Wietnamczykowi, można było spokojnie uznać za długo odkładaną karę, bo na nagrodę nie zasłużył ani na tym, ani na tamtym świecie. Gdybym przyspieszył klęskę Horace'a, też nie doczekałbym się potępienia.

Ale co potem? Kogo jeszcze zwabiłbym do piwnicy? Ilu bym zgładził i w jakim odstępie? Krok po kroku szłoby mi coraz łatwiej. Po pewnym czasie likwidowałbym zwykle plotki. Także tych, którzy wprawdzie już kroczyli ścieżką prowadzącą wprost do piekła, lecz zachowali szansę na zbawienie. Ja pozbawiłbym ich prawa do pokuty i przyczynił się do zatracenia. Sam bym przegrał... Mrok powoli wpełznąłby po schodach, wszedł do domu i zagarnął mnie w dowolnej chwili.

Gdzieś pode mną cicho szeptała tłusta jak szlam esencja miliardów bezkسیężycowych nocy.

Wycofałem się i zamknąłem drzwi.

Nie zniknęły.

Dalcoe, pomyślałem z rozpaczą, dlaczego jesteś takim łotrem? Dlaczego zmuszasz mnie, żebym cię nienawidził?

Ciemność jest w każdym z nas. Nawet w tych najlepszych. Najgorsi pozwalają, by nimi rządziła.

Jestem dobry. Ciężko pracuję. Jestem wiernym i kochającym mężem. Czułym i wymagającym ojcem. Dobrym człowiekiem.

A jednak mam ludzkie słabości. Jedną z nich jest na pewno chęć zemsty. To część ceny, którą kiedyś zapłaciłem. W Wietnamie straciłem dziecięcą naiwność. Dowiedziałem się, że na świecie istnieje zło. To zło nie było czymś abstrakcyjnym, ale miało cielesną postać. Zaraziłem się nim podczas tortur i zrozumiałem, co to mściwość.

Wmawiałem sobie, że nie ulegnę podszeptom dziwnej piwnicy. Do czego mogło mnie to doprowadzić? Po pewnym czasie, gdybym tam zamknął już odpowiednią liczbę ludzi, stałbym się zdolny do najgorszych czynów, o których uprzednio nawet bym nie pomyślał. Na przykład Carmen. Po której kłótni wziąłbym ją z sobą do piwnicy, żeby zobaczyć, co jest na dole? A dzieci? Bóg jeden wie, jak często denerwują rodziców. Gdzie postawiłbym napis „stop”? Jak często bym go przesuwiał?

Jestem dobry.

Czasami powierzam ciemności małe lenno, ale nigdy nie dałem jej królestwa.

Jestem dobry.

Ale pokusa bywa silna.

Zrobiłem spis osób, które kiedyś zalazły mi za skórę. Oczywiście to nic nie znaczy. To tylko taka zabawa. Skończę pisać, a potem podrę kartkę na kawałki, wrzucę je do sedesu i spuszcze wodę.

Jestem dobry.

Ten spis nie ma żadnego znaczenia. Nigdy już nie otworzę drzwi do piwnicy. Pozostaną na zawsze zamknięte. Przysięgam na wszystkie świętości. Jestem dobry.

Spis okazał się dłuższy, niż myślałem.

Dłonie

Była upalna lipcowa noc. Ollie czuł na dłoniach ogrom ludzkiego cierpienia. Miliony spoconych istot tęskniło za zimą.

Ale nawet w najgorszą pogodę, w mroźne styczniowe wieczory, smagane suchym wiatrem, dłonie Olliego pozostawały miękkie, wilgotne, ciepłe – i wrażliwe. Jego szczupłe palce zwęzły się w niezwykle sposób. Kiedy na przykład chwycił jakiś przedmiot, to jakby wtapiał dłoń w jego powierzchnię. Gdy cofał rękę, brzmiało to niczym westchnienie.

Codziennie, nocą, bez względu na pogodę, Ollie pojawiał się w ciemnym zaułku za restauracją Staznika i przetrząsał ogromne pojemniki na śmieci w poszukiwaniu przypadkowo wyrzuconych srebrnych sztuczków. Staznik dbał o swą renomę i nie prowadził taniego baru, więc Ollie zwykle wracał z jakimś łupem. Mniej więcej co dwa tygodnie udawało mu się uskladać pełny komplet noży, łyżek, łyżeczek i widelców, który sprzedawał potem w jednym z okolicznych sklepów ze starzyzną. Zarabiał przynajmniej tyle, żeby mieć na wino.

Zbieranie sztuczków było jego jedynym źródłem utrzymania. Ollie na swój sposób potrafił być zdumiewająco sprytny.

W tamten wtorek, na początku lipca, jego spryt został wystawiony na najcięższą próbę. Kiedy pojawił się w zaułku na poszukiwania, zamiast sreber znalazł nieprzytomną dziewczynę.

Leżała oparta o ostatni śmietnik, twarzą do ceglanej ściany, przyciskając ręce do drobnych piersi, niczym dziecko pogrążone we śnie. Ale tania, obcisła i krótka sukienka zdradzała, że nie była dzieckiem. Białe ciało połyskiwało jak słaby płomień oglądany przez ciemne okulary. Poza tym Ollie niewiele widział.

–Proszę pani? – zagadnął i pochylił się nad nią. Nie odpowiedziała. Nie poruszyła się.

Ukląkł obok i nią potrząsnął, lecz nie mógł jej dobudzić. Coś zadźwięczało, kiedy przewrócił dziewczynę na plecy, żeby spojrzeć na twarz. Potarł zapalną i w migotliwym świetle zobaczył praktyczny zestaw dla ćpuna: strzykawkę, osmaloną łyżkę, blaszany kubek, na wpół spaloną świeczkę i kilka porcji białego proszku, opakowanego w folię.

Mógłby ją tak zostawić i pójść w swoją stronę. Jako zatwardziały pijak nie lubił i nie rozumiał narkomanów. Ale coś jeszcze dostrzegł w blasku płonącej zapalniczki. Coś, co go zaniepokoiło. Dziewczyna miała szerokie czoło, regularne rysy, zadarty piegowaty nosek i pełne usta, które w przedziwny sposób zachowały niewinną świeżość, chociaż zarazem tchnęły zmysłową rozkoszą. Ollie nie umiał odejść. Nigdy w życiu nie widział tak pięknej istoty.

–Proszę pani? – powtórzył i znów potrząsnął ją za ramię. Wciąż nie odpowiadała.

Rozejrzał się, ale na szczęście w zaułku nie było nikogo, kto mógłby mylnie odczytać jego intencje. Szybko pochylił się nad dziewczyną, chcąc zbadać, czy jej serce bije. Biło, choć słabo. Podsunął jej pod nos wilgotną rękę i poczuł delikatny powiew ciepłego oddechu. Żyła.

Podniósł się i wytarł dłonie o brudne, wygniecione spodnie. Rzucił przeciągle żalostne spojrzenie na niezbadaną toń śmietników i podniósł dziewczynę z ziemi. Była lekka jak piórko. Niósł ją jak młodożeniec wkraczający w progi pokoju, lecz nie myślał o nocy poślubnej. Serce

waliło mu młotem, bo nie przywykł do takiego wysiłku. Doszedł do końca uliczki, przebiegł przez pustą aleję i zniknął w następnym ponurym zaułku.

Dziesięć minut później wszedł do sutereny i wciągnął dziewczynę do środka. Położył ją na łóżku, zamknął drzwi na klucz i zapalił słabiuchną lampkę w kloszu zrobionym z gazety. Dziewczyna wciąż oddychała.

Ollie siedział i patrzył na nią, zastanawiając się, co dalej. Teraz, kiedy ją tu przyniósł, zupełnie się pogubił.

Zły na siebie, że nie potrafi zebrać myśli, wyszedł z domu, starannie zamknął drzwi i po własnych śladach poszedł na tyły restauracji. Znalazł torebkę dziewczyny, wrzucił do niej herę i pozostałe rzeczy, a potem, gnany jakimś niepokojem, czym prędzej wrócił do siebie.

Zupełnie zapomniał o sztuccach w śmietniku Staznika.

Usiadł na krześle koło łóżka i przetrząsnął zawartość torebki. Wyjął strzykawkę i świeczkę, połamał je i wyrzucił do kubła. W łazience podarł paczki z heroiną i wszystko wsypał do sedesu. Błazany kubek służył jako lichtarzyk do świeczki, nad którą dziewczyna gotowała na łyżce kolejne dawki proszku. Ollie położył go na podłodze i rozdeptał na płasko. Umył ręce, wytarł je w podarty hotelowy ręcznik i poczuł się dużo lepiej.

Oddech dziewczyny stał się płytki i nieregularny. Twarz miała szarą, po czole spływały jej błyszczące krople potu. Ollie stanął nad nią, zrozumiał, że umiera, i był przerażony.

Przycisnął ramiona do piersi i wsunął dłonie pod pachy. Poczul, że czubki palców ma okropnie mokre. Niejasno zdawał sobie sprawę, że jego ręce potrafią dużo więcej, niż tylko znaleźć srebro ukryte pod śmieciami. Nie chciał jednak do końca badać ich możliwości. To było zbyt niebezpieczne...

Z rozchwianej szafki wyciągnął butelkę wina i upił łyk prosto z gwinta. Smakowało jak woda.

Wiedział, że to mu nic nie pomoże. Nie potrafił się uspokoić na widok dziewczyny leżącej w jego łóżku. Ręce dygotały mu jak w febrze.

Odstawił butelkę na bok.

Nie chciał używać dłoni do czegoś innego niż zbieranie sztucców. Teraz jednak nie miał wyboru. Inne, głębsze potrzeby zmuszały go do działania. Dziewczyna była bardzo piękna. Nawet skurcz nie potrafił zniszczyć jej regularnych, miękkich rysów. Ollie zupełnie nieświadomie wpadł w pułapkę jej urody jak w delikatną pajęczynę. Dłonie poprowadziły go do łóżka. Kroczył za nimi niczym ślepiec macający drogę w nieznanym otoczeniu.

Aby jednak zabieg się udał, musiał ją rozebrać. Dziewczyna nie nosiła pod spodem bielizny. Miała małe, jędrne i sterczące piersi. W talii była trochę za szczupłą; pod skórą rysowały się

ostre kości bioder. Na pewno nie dojadła już od dłuższego czasu, lecz mimo to jej długie nogi zachowały nieskazitelne kształty. Ollie podziwiał ją jak dzieło sztuki, a nie jak obiekt pożądania. Prawdę mówiąc, nie znalazł się na kobietach. Aż do dzisiaj żył w bezpiecznym świecie, z dala od reszty społeczeństwa, z powodu dłoni, które dla kochanka stałyby się prawdziwym darem losu.

Położył ręce na skroniach dziewczyny, pogłaskał ją po włosach i przesunął koniuszkami palców po jej czole, policzkach i szczęce. Wyczuł puls na szyi, lekko nacisnął piersi, brzuch i nogi, szukając źródła nagłej choroby. Po chwili już wszystko wiedział: przedawkowała. Poznał też dużo gorszą prawdę, w którą nie chciał z początku uwierzyć. Zrobiła to świadomie. Rozbolały go dłonie.

Dotknął jej znowu. Rozwartymi rękami kreślił obszerne koła, aż po pewnym czasie stracił rozeznanie, gdzie kończą się jego palce, a zaczyna jej gładka skóra. Dwa ciała stopiły się nawzajem. Były niczym dwie chmury dymu zmieszane podmuchem wiatru.

Po półgodzinie dziewczyna wyszła ze śpiączki. Teraz po prostu spała.

Ollie ostrożnie położył ją na brzuchu i zaczął masować jej ramiona, plecy, pośladki i nogi. Potem niespiesznie wrócił do punktu wyjścia. Przesunął dłonią wzdłuż kręgosłupa, potarł głowę i starał się nie myśleć z podziwem o jej urodzie. Przekazywał jej swoją siłę.

Kwadrans później nie tylko wyrwał ją z obecnego stanu, lecz przy okazji na zawsze uleczył z narkomanii. Pochorowałaby się, gdyby znów sięgnęła po strzykawkę. Zadbał o to – oczywiście dłońmi.

Potem wygodniej rozparł się na krześle i zasnął.

Zerwał się godzinę później, trapiiony koszmarami, których nie umiał dobrze zidentyfikować. Szybko podszedł do drzwi, sprawdził, że wciąż są zamknięte i zajrzał za firankę. Zamiast przyczajonego podglądacza zobaczył tylko nocne niebo. Nikt go nie widział podczas kuracji.

Dziewczyna nadal spała.

Nakrył ją koldrą i uświadomił sobie, że nawet nie wie, jak się nazywała. W torebce znalazł prawo jazdy. Annie Grice, lat dwadzieścia sześć, niezamężna. Nic więcej. Żadnego adresu ani danych najbliższej rodziny.

Wziął do ręki szklany naszyjnik, ale paciorki nic mu nie mówiły. Doszedł do wniosku, że dziewczyna miała go od niedawna, więc jeszcze nie przesiąkł jej aurą. Położył naszyjnik na łóżku.

Za to zniszczony portfel okazał się prawdziwą skarbnicą obrazów. Ollie w gwałtownie skompresowanej formie zobaczył kilka ostatnich lat życia Annie: moment zakupu pierwszej działki kokainy, pierwszą szprycę, późniejsze uzależnienie, przejście na herę, znów

uzależnienie, nałóg. Kradzieże na narkotykowym głodzie. Pracę w podrzędnych knajpach, prostytutkę, którą nazywała zupełnie inaczej, żeby nie mieć wyrzutów sumienia. prostytutkę, którą nazywała zwyczajnie prostytutką – i w końcu nieuchronną samotność i alienację. Pustkę, którą chciała zastąpić śmiercią.

Odłożył portfel.

Był spocony jak mysz.

Miał ochotę napić się wina, ale wiedział, że to nic nie da. Nie tym razem.

A poza tym nie zaspokoił swojej ciekawości. Jak to się stało, że przez siedem lat – bo tyle miał portfel – Annie Grice upadła aż tak nisko?

Znalazł stary pierścionek. Pamiątka rodzinna? Znów zapatrzył się w ciąg obrazów. Początkowo nie dotyczyły Annie. Ollie domyślił się, że ogląda historię pierścionka od najdawniejszych czasów. Pchnął więc umysł troszeczkę naprzód w czasie, do miejsca, w którym ujrzał znajomą twarz dziewczyny. Annie miała siedem lat. Opiekun z sierocińca właśnie jej oddawał maleńką garść przedmiotów pozostałych z pożaru, w którym pół roku wcześniej zginęli jej rodzice. Od tamtej pory życie dziewczynki było nie do pozazdroszczenia. Zawsze wstydliva, musiała znosić ostre docinki koleżanek. Nieśmiałość szła w parze z ogromnym osamotnieniem. W okresie dojrzewania nie miała żadnych prawdziwych przyjaciół. Pierwsza miłość skończyła się istną katastrofą. Po tak bolesnym doświadczeniu Annie jeszcze bardziej stroniła od ludzi. Nie starczyło jej pieniędzy na studia. Imiała się więc różnych zajęć, zawsze samotna, zamknięta w sobie i nieszczęśliwa. Jakiś czas później próbowała ukryć swój żal do świata za fasadą ostentacyjnej wulgarności. Efektem tego była jedynie wątpliwa znajomość z młodym degeneratem o imieniu Benny. Przeżyli razem okrągły rok i to on właśnie nauczył ją brać kokainę. Potem popadła w nałóg... i resztę Ollie wyczytał już wcześniej ze zniszczonego portfela.

Schowal pierścionek do torebki i jednak sięgnął po flaszkę z winem. Pił tak długo, aż szczęśliwie pozbył się przygnębienia, które częściowo było jego, a częściowo Annie. Zasnął.

Obudziła go dziewczyna. Usiadła na łóżku, ujrzała, że ktoś leży pod ścianą, i zaczęła krzyczeć.

Ollie wstał, chwiejnie podszedł do niej i wlepił w nią niemądre pijackie spojrzenie. Zamrugał.

–Skąd się tu wzięłam? – zapytała z wyraźnym przerażeniem. – Co mi zrobiłeś?

Nie odpowiedział. Cisza była jego jedynym zbawieniem. Nie potrafił mówić do ludzi. Może był niemy albo po prostu bał się każdego słowa? Wilgotne różowe dłonie trzęsły mu się jak galareta. Pokręcił głową i uśmiechnął się nerwowo. W ten sposób próbował dać dziewczynie do zrozumienia, że chciał jej jedynie pomóc.

Chyba choć trochę mu się udało, bo wyglądała na mniej przestraszona. Zmarszczyła brwi i przykryła się pod samą szyję.

–Przedawkowałam... ale nie umarłam.

Ollie znów się uśmiechnął i wytarł ręce o koszulę.

Annie ze zgrozą popatrzyła na swoje poklute ramię. Bała się życia – bała się dalszej smutnej egzystencji. Zrozpaczona, że nie umarła, zaczęła histerycznie płakać. Bezwiednie odrzuciła głowę w tył, aż rozpuszczone włosy utworzyły złotą ramę wokół jej twarzy.

Ollie szybko wyciągnął rękę i dotknął jej – zasnęła. Nieco trzeźwiejszy podszedł do drzwi i wyjrzał na zmurszałe betonowe schody, na których kładły się promienie porannego słońca. Potem starannie zaciągnął firankę, zadowolony, że krzyki Annie nie zwabiły przygodnych gapiów.

W łazience przemył twarz zimną wodą. Zastanawiał się, co ma zrobić. W pewnej chwili nawet przyszło mu do głowy, żeby odnieść dziewczynę tam, gdzie ją znalazł. Niech dalej sobie sama radzi. Ale nie umiał tego zrobić. Nie dopytywał się dlaczego; gdzieś w głębi duszy obawiał się odpowiedzi.

Kiedy wycierał twarz w brudny ręcznik, uświadomił sobie, że wygląda jak ostami nędzarz. Szybko wykapał się, ogolił i przebrał w czyste ciuchy. W dalszym ciągu przypominał zwykłego włóczęgę, ale raczej włóczęgę z wyboru niż potrzeby. Zawiedzionego artystę? Albo może, jak w starych filmach, bogacza, który umknął przed śmiertelną nudą związaną z pozycją i majątkiem.

Zdziwił się tymi myślami. Do tej pory był przekonany, że jest człowiekiem systematycznym, o dosyć wąskich horyzontach.

Zdenerwowany odwrócił się od lustra i poszedł do pokoju, aby zobaczyć, co z dziewczyną. Pograżona we śnie, wydawała mu się czysta i pogodna. Pozwolił jej spać jeszcze chwilę.

Trzy godziny sprzątał dwa małe pokoje i zmienił pościel, nie budząc dziewczyny. Mógłby ją trzymać tu latami, pod czułą opieką, niczym pacjentkę w śpiączce. Byłby szczęśliwy – może szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem? Lecz jednak doskonale wiedział, że to niemożliwe.

Teraz był głodny. Annie też zgłodnieje, zanim się obudzi. Wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Dwa domy dalej, w małym sklepie spożywczym, kupił więcej jedzenia, niż to miał w zwyczaju.

–Trzydzieści osiem dolarów i dwanaście centów – powiedział kasjer ze źle ukrywaną wzgardą. Był przekonany, że Ollie nie ma czym zapłacić.

Ollie uniósł rękę, dotknął palcami czola i wbił wzrok w kasjera. Tamten zamrugał, uśmiechnął się niezobowiązująco i chwycił w dłoń garść powietrza.

–Reszta z czterdziestu dolarów – mruknął. Pieczolowicie włożył powietrze do kasy, wydał reszty brzęczącą monetą i spakował zakupy do papierowej torby.

Ollie czuł się nieswojo, wracając do domu. Nigdy dotąd nie użył drzemiącej w nim siły, żeby kogoś oszukać. Gdyby nie dziewczyna, spokojnie by dokończył nocnego grzebania w śmietnikach, złożył komplet sztucców, a potem wyruszył na inną eskapadę, na przykład do stacji metra, w poszukiwaniu zgubionych drobniaków. Dolar tu, dolar tam... Nie czuł się więc w pełni winny za to, co zaszło w sklepie, chociaż uległ podszeptom ciemnych mocy...

W domu przyrządził obiad: duszoną wołowinę, sałatkę, świeże owoce – i obudził Annie. Kiedy wskazał jej zastawiony stół, spojrzała na niego dziwnie. Strach narastał w niej na kształt czerwonego kwiatu. Ollie szerokim gestem chciał zwrócić jej uwagę na schludnie posprzątany pokój. Uśmiechnął się zachęcająco.

Dziewczyna usiadła i przypomniała sobie, że wciąż żyje. To był dla niej największy koszmar. Jęknęła płaczliwie.

Ollie błagalnie uniósł ręce. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

Annie z poczerwieniałą twarzą głęboko zaczerpnęła tchu i próbowała uciec z łóżka.

Znowu uspił ją swoim dotykiem.

Okrył ją koldrą. Naiwnie myślał, że wystarczy wziąć kąpiel, przebrać się, ogolić i posprzątać, aby dziewczyna zapomniała o dawnych troskach i nabrała większej pewności siebie. Na to potrzeba było więcej czasu, czulej opieki, wytężonej pracy... i poświęceń.

Wyrzucił obiad. Nie był już głodny.

Przez całą noc siedział przy łóżku, kryjąc twarz w dłoniach i opierając łokcie na kolanach. Końce palców zdawały się wtapiać w jego skronie. Wciąż badał dziewczynę – dzielił z nią ból, nadzieję, rozpacz, marzenia, ambicje, niedoskonałości, ciężko zdobytą wiedzę, drobne radości, ciągle nieporozumienia i chwile pewności. Zakradł się do jej duszy, pięknej w swym rozkwicie i zwiędłej zarazem.

Rano poszedł do ubikacji, potem wypił dwie szklanki wody i napoił dziewczynę. Ciągle trzymał ją w stanie półuśpienia. Na pewien czas usadowił się wśród światłocieni jej umysłu i pozostawał tam przez dzień i noc, robiąc jedynie krótkie przerwy. Szukał, badał, poznawał i dokonywał delikatnych zmian w psychice dziewczyny.

Nigdy nie pytał, co sprawiło, że poświęcił tej sprawie tak wiele czasu, uczuć i energii. Wolał nie myśleć, że kierowała nim samotność. Wniknął w głąb Annie, zmieniał ją, dotykał jej, niepomny dalszych konsekwencji. Przed świtem następnego dnia było już po wszystkim.

Jeszcze raz ją na wpół obudził i dał pić, żeby nie nabawiła się odwodnienia. Później kazał

spać i sam położył się obok. Wziął ją za rękę. Zasnął ze zmęczenia i śniło mu się, że dryfuje po wielkim oceanie. Był jedynie maleńką plamką, która lada chwila miała zginąć w paszczy prehistorycznego stwora sunącego gdzieś w głębinie. Może to dziwne, ale niczego się nie bał. Od dawna wiedział, że coś go w końcu pożre.

Wstał dwanaście godzin później. Wykąpał się, ogolił, ubrał i ugotował następny obiad. Kiedy obudził Annie, usiadła ze zdumioną miną. Ale tym razem nie wrzeszczała.

–Gdzie ja jestem? – spytała.

Ollie bezgłośnie poruszył suchymi ustami. Znow stracił pewność siebie. Wreszcie zatoczył ręką koło, wskazując na pokój. Zadbął o to, żeby mieszkanie było znajome dla dziewczyny.

Annie rozejrzała się z lekkim zakłopotaniem, ale już bez dławiącego strachu. Nie bała się życia. Ollie ją wyleczył.

–Przytulna chatka – powiedziała. – Ale... jak się tu dostałam?

Oblizal usta, poszukał słów, lecz nic nie znalazł, więc po prostu wskazał na siebie palcem i wykrzywił usta w uśmiechu.

–Nie możesz mówić? – zapytała. – Jesteś niemową?

Po chwilowym namyśle uchwycił się tej szansy i pokiwał głową.

–Wybacz – powiedziała Annie. Popatrzyła na pokłutą rękę. Setki drobnych śladów po igle przypominały jej, że wstrzyknęła sobie śmiertelną dawkę heroiny.

Ollie chrząknął i wskazał na stół.

Annie kazała mu się odwrócić. Wstała z łóżka i owinęła się kołdrą jak togą. Usiadła przy stole i uśmiechnęła się.

–Jestem głodna jak wilk.

Biedne zabłąkane dziecko. Rozbroiła go swoim zachowaniem.

Ollie odpowiedział jej uśmiechem. Najgorsza chwila minęła w zasadzie bezboleśnie. Rozstawił nakrycia i zrobił lekceważący ruch ręką, jakby przeproszał za to, że nie jest zbyt dobrym kucharzem.

–Wszystko wygląda smakowicie – zapewniła go Annie. Sięgnęła do półmiska i nałożyła sobie kopiastrą porcję na talerz. Jadła w milczeniu.

Chciała posprzątać po obiedzie, lecz bardzo szybko się zmęczyła i musiała wrócić do łóżka. Ollie sam dokończył zmywania, a potem usiadł na krześle.

–Co robisz? Wzruszył ramionami.

–Chodzi mi o to, jak zarabiasz na utrzymanie. Pomyślał o swoich dłoniach. Nawet gdyby mógł mówić, to zapewne nie wyznałby całej prawdy. Jeszcze raz wzruszył ramionami, co miało znaczyć: „Nic takiego”.

Annie rozejrzała się po zaniedbanym pokoiku.

–Żebrzesz?

Nie odpowiedział, więc doszła do wniosku, że naprawdę był żebrakiem.

–Jak długo mogę tu zostać?

Gestem, miną i potakiwaniem Ollie dał jej do zrozumienia, że tyle, ile zechce.

Kiedy tę kwestię mieli już za sobą, Annie przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

–Można przygasić światło?

Ollie wstał i zgasił dwie z trzech lampek. Gdy się odwrócił, dziewczyna leżała naga na koldrze. Lekko rozchyliła nogi.

–Nie wiem, dlaczego mnie uratowałeś, ale na pewno nie za darmo – powiedziała. – Chyba rozumiesz, o czym mówię? Chcesz... nagrody? Masz do tego pełne prawo.

Zły i zde gustowany Ollie wziął ze stosu w kącie czystą pościel i zaczął na nowo słać łóżko. Bardzo uważał, żeby przez przypadek nie dotknąć dziewczyny. Annie popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Gdy skończył, oznajmiła, że wcale nie jest śpiąca. Ale Ollie był nieustępliwy. Dotknął jej i zasnęła na całą noc.

Następnego dnia dosłownie pochłonęła śniadanie. Tym razem nic się nie zmarnowało. Potem spytała, czy może się wykapać. Ollie powoli zmywał naczynia i słuchał jej melodyjnego głosu, który dobiegał zza drzwi łazienki. Nigdy nie słyszał takiej piosenki.

Annie wyszła, potrząsnęła czystymi włosami barwy dojrzałego miodu i zupełnie naga stanęła przy łóżku. Ruchem głowy wezwała do siebie Olliego. Wyglądała o wiele zdrowiej niż poprzednio, chociaż wciąż była ciut za chuda.

–Wyglądałam się wczoraj – powiedziała. – Miałam brudne włosy i na pewno śmierdziałam na odległość. Ale teraz pachnę świeżym mydłem...

Ollie odwrócił się i popatrzył na kilka wciąż mokrych talerzy.

–Co się stało? – spytała Annie. Nie umiał odpowiedzieć.

–Nie chcesz mnie? Pokręcił głową. „Nie”. Gwałtownie zaczerpnęła tchu.

Nagle coś go boleśnie uderzyło w biodro. Odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna wymachuje ciężką, szklaną, popielniczką. Wyszczrzyła zęby i prychnęła na niego jak rozzłoszczona kotka. Biła go popielniczką po plecach, tłukła zaciśniętą piąstką, kopała i piszczala. Potem zmęczyła się, zachwiała, rzuciła popielniczkę i wybuchnęła płaczem.

Ollie chciał ją serdecznie objąć i przytulić, ale znalazła w sobie dość energii, żeby go odepchnąć. Odwróciła się, dała krok w stronę łóżka i padła zemdlna.

Podniósł ją i zaniósł na łóżko.

Naciągnął na nią koldrę, opatulil Annie i usiadł na krześle, czekając, aż odzyska przytomność.

Po półgodzinie otworzyła oczy. Miała zawroty głowy i trzęsła się jak w febrze. Pocięszał ją, głaskał po włosach, ocierał zalzawione oczy i przykładal zimny kompres na czoło.

Wreszcie odzyskala mowe.

–Jesteś impotentem albo coś takiego? – spytała. Pokręcił głową.

–No to dlaczego? Chciałam ci zapłacić. Zawsze tak płacę. Nie mam nic innego.

Dotknął jej. Przytrzymał. Grymasem twarzy i nieporadną pantomimą usilował dać jej do zrozumienia, że już dostał swoją nagrodę. Najważniejsze, że tutaj była.

Po południu kupił jej flanelową piżamę z długimi rękawami, džinsy, koszulkę i gazetę. Rozbawił ją tą piżamą. Przebrała się, a później zaczęła mu czytać gazetę – głównie komiksy i porady. Pewnie myślała, że tego nie potrafił. Ollie postanowił nie wyprowadzać jej z błędu. Domniemany analfabetyzm był dla niego doskonałą przykrywką – pijacy nie czytują książek.

A poza tym lubił słuchać jej głosu. Pobrmiewała w nim sama słodycz.

Następnego dnia Annie, w džinsach i koszulce, wybrała się z nim na róg po zakupy. Ollie próbował jej to wyperswadować, ale się uparła. Wręczył sprzedawcy niewidzialne dwadzieścia dolarów i odebrał resztę. Zdawało mu się, że w tym czasie dziewczyna patrzyła gdzie indziej.

–Jak to zrobiłeś? – zapytała, kiedy tylko wyszli. Spojrzał na nią z fałszywym zdziwieniem. „Co?”.

–Nie udawaj. Annie nie jest głupia – odparła. – Prawie krzyknęłam, gdy ten gość wziął od ciebie garść powietrza i jeszcze wydał reszty.

Ollie nie odpowiedział.

–Zahipnotyzowałeś go? – nalegała. Z ulgą pokiwał głową. „Tak”.

–Musisz nauczyć mnie tej sztuczki. Milczał.

Ale niełatwo było ją zniechęcić.

–Chcę wiedzieć, jak go wykiwałeś! Jak tylko poznam takie sztuczki, to już nie będę dawać dupy! Chryste, ten facet cieszył się jak głupi, chociaż przecież nic nie dostał! Jak? Jak? Naucz mnie! Musisz!

Ollie jakoś wytrzymał te błagania przez całą drogę do domu. Ale na tym koniec. Bał się powiedzieć o swoich dłoniach. Wreszcie odepchnął ją od siebie tak, że zawadziła nogami o łóżko i usiadła, patrząc na niego z zaskoczeniem. Tego po nim się nie spodziewała.

Umilkła. Po pewnym czasie atmosfera stała się nieco lżejsza. Jednak od tamtej pory wszystko się zmieniło.

Ponieważ z nim nie rozmawiała – zwłaszcza o oszustwach – miała o wiele więcej czasu na myślenie.

–Ostatnią działkę wzięłam sześć dni temu – odezwała się wieczorem. – Aż dziwne, że mnie nie ssie... Od pięciu lat nie miałam takiej długiej przerwy.

Winowajca rozłożył ręce w geście zdziwienia.

–Co zrobiłeś z tym wszystkim? Wywaliłeś? Towar też? Skinął głową.

Na chwilę zapadła cisza.

–Nie muszę ćpać... – powiedziała Annie. – To twoja sprawka, prawda? Zahipnotyzowałeś mnie?

Ollie przytaknął niemo, więc dodała:

–Tak jak tamtego w sklepie, który myślał, że dostał od ciebie dwie dychy?

Znów kiwnął głową, uniósł ręce i wybaluszył oczy jak hipnotyzer z cyrku, wyglupiający się przed publicznością.

–To nie hipnoza – zdecydowała Annie, świdrując go wzrokiem. Od lat nikt nie przebił się przez jego tarczę. – ESP?

„A co to jest?” – spytał na migi.

–Przecież wiesz – odpowiedziała. – Wcale ci nie muszę mówić.

Była o wiele bystrzejsza i inteligentniejsza, niż mu się zdawało. Od początku zaczęła zawracać mu głowę, ale tym razem nie chodziło jej o oszustwo.

–Ty! Powiedz, jak to jest naprawdę? Od jak dawna masz te zdolności? Tę moc? Nie wstydz się! To cudowne! Powinieneś być z siebie dumny! Wszystkich potrafisz wodzić za nos!

I tak dalej.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. W pewnym momencie – Ollie nie pamiętał dokładnie, kiedy ani co sprawiło, że w końcu dał się przekonać – urządził mały pokaz. Był zdenerwowany i bez przerwy wycierał magiczne dłonie o koszulę. Z jednej strony chciał się popisać przed dziewczyną niczym uczeń na pierwszej randce, z drugiej – bał się tego, co nastąpi potem.

Najpierw dał jej banknot dwudziestodolarowy. Oczywiście banknotu nie było, lecz Annie go widziała. Później kazał mu zniknąć. Energicznym machnięciem ręki zmusił kubek (pusty) do lewitacji. Potem w ten sam sposób uniósł drugi kubek (z kawą), krzesło, lampę, łóżko (puste), łóżko (z dziewczyną) i na koniec siebie. Sunął nad ziemią jak hinduski fakir. Annie piszczała z uciechy. Namówiła go, żeby dał jej polatać na miotle. Tulila go, całowała i prosiła o dalsze sztuczki. Ollie zdalnie odkręcił kran i rozdzielił wodę na dwa strumyki, spływające po przeciwległych ściankach zlewu. Annie chlusnęła na niego z pełnej szklanki. Ollie zatrzymał krople w powietrzu i obracał nimi setki razy, lecz sam pozostał zupełnie suchy.

–Hej... – powiedziała zaczerwieniona Annie. Pierwszy raz widział ją tak podnieconą. – Nikt już nam nigdy więcej nie podskoczy! Nikt! – Wspięła się na palce i uściskała go z całej siły. Ollie uśmiechał się tak mocno, że go rozboleły szczęki.

–Jesteś cudowny! – zawołała Annie.

Wiedział, że wkrótce przyjdzie taki dzień, w którym oboje trafią do łóżka. Wkrótce... Myślał o tym z błogą nadzieją i jednocześnie strasznym przerażeniem. To oznaczało ogromną zmianę. Dziewczyna wciąż nie rozumiała, czym w istocie był dar Olliego. Ani przez chwilę nie podejrzewała, że jego dłonie staną się przeszkodą nie do pokonania.

–Nie wiem, dlaczego ukrywasz... swój talent – powiedziała. Ollie musiał jej to wyjaśnić. Sięgnął pamięcią do niechcianych wspomnień z dzieciństwa, skrzętnie skrywanych przez minione lata. Usiłował coś opowiedzieć – najpierw słowami, a gdy nie przyszły, wrócił do mowy gestów.

Annie w jakiś dziwny sposób pojęła jego zachowanie.

–Skrzywdzili cię.

Skinął głową. „Tak. Nawet bardzo”.

Jako dwunastolatek odkrył nagle, że jest zupełnie inny. To było tak, jakby w okresie

dojrzewania ujawniły się u niego pewne drugorzędne cechy płciowe. Początkowo zmiana przebiegała łagodnie. Kłopoty przyszyły dopiero potem. O takich rzeczach dzieci nie rozmawiają z dorosłymi. Ollie nie zwierzał się nawet swoim rówieśnikom, chociaż wśród nich miał kilku zaufanych przyjaciół. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co począć z rękami obdarzonymi tak niezwykłą siłą. Później stopniowo prawda wyszła na jaw. Ollie popisywał się przed kolegami. Uważali to za wspólną tajemnicę, niedostępną dla świata dorosłych. Ale po pewnym czasie zaczęli mu dokuczać. Najpierw robili to ukradkiem, potem bez żadnych ograniczeń. Bili go i kopali, wpychali w błoto i kazali pić brudną wodę. Wszystko dlatego, że był odmieńcem. Z jednym zapewne by sobie poradził – może z dwoma – lecz nie z całą bandą... Przez kilka lat udawał „normalnego” chłopca. Wkrótce jednak przekonał się, że na dłuższą metę tłumienie tych zdolności wiąże się z ryzykiem poważnych dolegliwości psychicznych i fizycznych. Chęć wykorzystania drzemiącej w nim mocy była silniejsza od potrzeby snu i popędu płciowego. Silniejsza od życia. Wstrzeźliwość sprawiła, że schudł, stał się nerwowy i ciągle chorował. Powrócił zatem do dawnych praktyk, ale od tej pory robił to po kryjomu. Z wolna zrozumiał, że z konieczności musi żyć samotnie. Tak jak świetny sportowiec lub elokwentny mówca mimo woli zawsze wyróżniał się z tłumu. Wystarczył moment nieuwagi, by znajomi zaczynali patrzeć na niego ze zdumieniem. Co chwila tracił przyjaciół i wołał nawet nie myśleć, co będzie dalej. Wreszcie odsunął się od wszystkich i wybrał żywot pustelnika. W wielkim mieście stał się kloszardem, jednym z duchów betonowej dżungli – niewidzialnym, samotnym i bezpiecznym.

–Ludzie po prostu ci zazdrościli – powiedziała Annie. – Niektórzy pewnie się bali. Nie wszyscy... Moim zdaniem jesteś wspaniały.

Wy tłumaczył jej na migi tyle, ile potrafił. Dwa razy chrząknął, żeby coś powiedzieć, ale nic z tego mu nie wyszło.

–Znałeś ich myśli – domyśliła się Annie i westchnęła. – I co z tego? Każdy ma jakieś tajemnice. Nie wolno cię za to potępiać... – Pokręciła głową. – Teraz nie musisz już uciekać. We dwójkę damy sobie radę. Sami przeciwko światu...

Ollie przytaknął niemo. Przykro mu było, że ją okłamywał, bo właśnie pojaśniała sieć. Tak po prostu: pstryk! – i gotowe. Resztę mógł sobie łatwo dopowiedzieć. Annie ochłonie, pomyśli trochę... i zacznie panikować.

Przedtem zdarzało się to tylko wtedy, kiedy przekraczał próg intymności. Lecz Annie była wyjątkowa. Nie musiało dojść do zbliżenia, żeby znalazła się w jego sieci.

Następnego dnia wciąż snuła dalsze wspólne plany. Ollie słuchał jej z przyjemnością. Cieszył się każdą mijającą chwilą, bo dobrze wiedział, że to już nie potrwa długo. Wracala pustka. Sieć odbierała wszelką radość.

Po kolacji leżeli w łóżku, trzymając się za ręce. Wszystko szło tak, jak przewidywał. Dziewczyna była cicha i zamyślona.

–Czytałeś dzisiaj w moich myślach? – spytała nagle. Kłamstwa nie miały najmniejszego sensu. Ollie skinął głową.

–Dużo? „Tak”.

–Za każdym razem z góry wiesz, co chcę powiedzieć. Zamarł ze strachu. Czekal.

–Robiłeś to przez cały dzień?

Przytaknął.

Zmarszczyła brwi i odezwała się ostrzejszym tonem:

–W tej chwili przestań. Przestałeś? „Tak”.

Usiadła i zabrała rękę z jego dłoni. Przypatrzyła mu się uważnie.

–Nie kłam. Niemal czuję w środku, że wciąż mnie obserwujesz.

Bał się cokolwiek odpowiedzieć. Z powrotem wzięła go za rękę.

–Nic nie rozumiesz? Głupio mi, że nie muszę ci niczego mówić. Że wszystko widzisz w mojej głowie. Czuję się jak idiotka żyjąca z geniuszem.

Ollie próbował ją uspokoić i zmienić temat rozmowy. Zaskrzeczał niczym zaczarowana żaba z pretensjami do tytułu księcia, ale zaraz wrócił do mowy znaków.

–Gdybym miała twoje zdolności... – ciągnęła Annie. – Ale tak... Czuję się niepotrzebna. Gorzej. To mi się wcale nie podoba.

Przez chwilę milczała wyczekująco.

–Przestałeś? „Tak”.

–Kłamiesz. Czuję... Tak... wciąż czuję... – Nagle coś przyszło jej do głowy i odsunęła się ze strachem. – Potrafisz przestać?

Nie mógł jej wytłumaczyć działania sieci. Z chwilą, kiedy ktoś stawał mu się bardzo bliski, następowało tajemnicze złączenie umysłów. Ollie sam dobrze tego nie rozumiał – chociaż w przeszłości miewał już podobne doświadczenia. Jak miał wyjaśnić, że od kilku godzin Annie stała się jego częścią... jakby „przedłużeniem”? Słabym skinieniem głowy potwierdził najgorszą prawdę. „Nie umiem wyjść z twoich myśli, Annie. To dla mnie jest jak oddychanie”.

–Żadnych tajemnic, niespodzianek... – powiedziała z namysłem. – Nic się przed tobą nie ukryje.

Mijały minuty.

–W końcu zaczniesz rządzić moim życiem. – Westchnęła. – Po cichu będziesz podejmował za mnie przeróżne decyzje. Zmuszał mnie do działania. A może już to się zaczęło?

Akurat tego Ollie nie potrafił, ale i tak nigdy by jej do siebie nie przekonał. Już zaczynała dyszeć z przerażenia. Oglądał to dziesiątki razy.

–Muszę stąd zaraz odejść... – rzekła. – Jeśli mi pozwolisz.

Ze smutkiem położył drżącą dłoń na głowie Annie i zesłał na nią przelotną, lecz głęboką ciemność.

Tej nocy, kiedy spała, Ollie wszedł w jej umysł i usunął pewne wspomnienia. W trakcie roboty przez cały czas pociągał ze stojącej przy łóżku flaszki wina. Skończył przed świtem.

Ulice były posępne i puste. Ollie zaniósł dziewczynę tam, gdzie ją kiedyś znalazł, posadził, oparł o ścianę i położył obok torebkę. Annie nie była już narkomanką. W dodatku dał jej pewność siebie i poczucie własnej wartości. Taki niewielki prezent, z którym mogła zacząć zupełnie nowe życie.

Wrócił do domu, ani razu nie oglądając się za siebie. Więcej nie widział jej jasnej i pięknej twarzy.

Odkorkował nową butelkę. Kilka godzin później, kompletnie pijany, tysięczny raz powtarzał w myślach słowa słyszane w dzieciństwie od jednego z „przyjaciół”, któremu powierzył swój sekret.

„Na dobrą sprawę możesz rządzić światem, Ollie! Jesteś nadczłowiekiem!”

Roześmiał się na całe gardło, parszkając wokół siebie winem. Pan świata! Nie miał władzy nawet nad swoim umysłem. Nadczłowiek! Wśród normalnych ludzi nadczłowiek nie był ani królem, ani romantycznym zbiegiem. Był najzwyczajniej sam – a samotnie nie można było niczego zdziałać.

Myślał o Annie. O niespełnionym marzeniu o miłości i pogrzebanych planach na przyszłość. Znów pił.

Po północy wybrał się na tył restauracji Staznika, żeby poszperać w śmieciach. Przynajmniej taki miał zamiar. W rezultacie przez całą noc przemyskał ciemnymi, krętymi uliczkami, wyciągając ręce przed siebie niczym ślepiec, który zgubił drogę. Bo dla Annie nigdy nie istniał.

Nigdy.

Złodziej

Billy Neeks miał bardzo elastyczne poglądy na temat prywatnej własności. Głęboko wierzył w proletariacką ideę własności kolektywnej... pod warunkiem że owa własność należała do kogoś innego. Jeśli należała do niego, był jej gotów bronić do ostatniej kropli krwi. Była to dość prosta i efektywna filozofia, zwłaszcza dla złodzieja takiego jak Billy.

Profesja Billy'ego Neeksa znajdowała odzwierciedlenie w jego „oślizłym” wyglądzie. Włosy nosił zaczesane gładko do tyłu i przylizane taką ilością pachnącego oleju, że starczyłoby go, żeby napelnić skrzynię korbową. Skóra mu błyszczała od tłuszczu, jakby cierpiał na chroniczną malarię. Poruszał się z kocią zwinnością dzięki dobrze naoliwionym stawom, zwłaszcza jego dłonie ślizgały się w powietrzu z maślanym wdziękiem, niczym dłonie magika. Oczy Billy'ego przypominały dwa stawy teksaskiej ropy naftowej – były czarne, głębokie i wilgotne. I nietknięte ludzkim uczuciem ani ciepłem. Gdyby droga do piekła była równią pochyłą wymagającą ciągłego smarowania, aby mogli po niej zstępować potępieńcy, to właśnie Billy Neeks z wyboru szatana spędzałby wieczność na rozprawdzaniu po jej powierzchni wszelkich ohydnych oleistych substancji.

Potrafił wpaść na niczego niepodjęzawającą kobietę, pozbawić ją torebki i uciec dziesięć metrów, zanim ograbiona ofiara zdążyła się zorientować, co się stało. Torebki z jedną rączką, z dwiema rączkami, torebki koperty, torebki na ramię – wszystkie one oznaczały dla niego łatwe pieniądze. Nieważne, czy upatrzony cel był czujny, czy beztroski – żadne środki ostrożności nie mogły powstrzymać Billy'ego Neeksa.

Owej kwietniowej środy Billy, udając pijanego, potracił elegancką starszą kobietę na Broad Street, tuż za domem towarowym Bartrama. Kiedy kobieta odsunęła się z odrazą po tym śliskim zderzeniu, Billy zsunął jej torebkę z ramienia i błyskawicznie upuścił do plastikowej torby na zakupy, którą trzymał przygotowaną w ręku. Zatoczył się ostentacyjnie w bok i chwiejnym krokiem odszedł sześć lub osiem kroków, zanim kobieta zorientowała się, że zderzenie nie było wcale przypadkowe. Kiedy okradziona ofiara po raz pierwszy zaskrzeczała „Policja!”, Billy puścił się biegiem, a gdy po raz drugi krzyknęła „Na pomoc! Policja! Na pomoc!”, był już prawie poza zasięgiem głosu.

Przebiegł kilka bocznych uliczek, omijając kosze na śmieci i kontenery, przeskakując przez wyciągnięte nogi śpiących pijaczków. Przeciął parking i skręcił w kolejny zaułek.

Kiedy znalazł się o całą przecznicę od Bartrama, zwolnił i dalej poszedł normalnym krokiem. Oddychał tylko odrobinę szybciej niż zwykle. I uśmiechał się od ucha do ucha.

Wychodząc z ciemnej uliczki na Czterdziestą Szóstą Ulicę, zauważył matkę niosącą na rękę dziecko, torbę z zakupami i... przewieszoną przez ramię torebkę. Kobieta wyglądała tak bezradnie, że Billy po prostu nie mógł się oprzeć. Otworzył nóż sprężynowy i w mgnieniu oka odciał cieniutkie paski stylowej torebki z jasnoniebieskiej skóry. I znowu zaczął uciekać. Przebiegł na drugą stronę ulicy. Kierowcy hamowali z piskiem opon i trąbili, a on chwilę potem zniknął w sieci znajomych zaułków.

Chichotał sam do siebie. Jego chichot nie był ani przenikliwy, ani zaraźliwy – raczej jakby ktoś wyciskał maść z tubki. Kiedy biegnąc, ślizgał się na rozrzuconych śmieciach – skórkach pomarańczy, gnijącej sałacie, kupkach rozmoczonego i spleśniałego chleba – nie tracił równowagi ani nawet nie zwalniał, zupełnie jakby ta obrzydliwa maź go wspomagała, bo kiedy wychodził z poślizgu, pędził jeszcze szybciej niż przedtem.

Zwolnił dopiero przy Prospect Boulevard. Nóż sprężynowy spoczywał na powrót w jego kieszeni, a obydwie skradzione łupy w plastikowej torbie. Przybrał nonszalancką pozę, a przynajmniej tak mu się zdawało, bo wystudiowana niewinna mina była w istocie ponurą namiastką nonszalancji, ale w każdym razie robił, co mógł.

Podszedł do swojego samochodu, który stał zaparkowany przy parkometrze na Prospect Boulevard. Niemyty od dwóch lat pontiac w każdym miejscu, gdzie się zatrzymał, pozostawiał po sobie tłuste plamy z oleju niczym wilk znaczący w dziczy swój rewir kropelkami moczu. Billy wrzucił skradzione torebki do bagażnika i pogwizdując beztrosko, odjechał na inny, nietknięty teren łowiecki.

To prawdopodobnie właśnie dzięki takiej ruchliwości działał jak dotąd z powodzeniem. Wielu złodziei torebek to były po prostu dzieciaki szukające kilku szybkich docłów. Billy Neeks nie był młokosem – miał dwadzieścia pięć lat i niezawodny środek transportu. Zwykle w jednej okolicy obrabiał dwie, trzy kobiety, po czym szybko przenosił się na inne terytorium, gdzie nikt go nie szukał i gdzie można było zacząć od nowa.

Dla Billy’ego to nie było jakieś tam drobne złodziejstwo popełniane przygodnie albo w akcie krańcowej desperacji. Dla niego to był biznes, a on był biznesmenem i jak każdy biznesmen bardzo starannie planował swoje przedsięwzięcia – rozważał ryzyko i korzyści i przystępował do działania tylko po rzetelnej i skrupulatnej analizie sytuacji.

Wszyscy inni złodzieje torebek – amatorzy, męty społeczne – zatrzymywali się na ulicy albo w jakimś zaułku, żeby pospiesznie przetrząsnąć skradziony łup, szukając pieniędzy i wartościowych przedmiotów. Taką nieprzemyślaną zwłoką narażali się na aresztowanie, a w najlepszym wypadku włączali w oczy całym hordom świadków swojego przestępstwa. Billy natomiast wrzucał wszystko do bagażnika samochodu i dopiero potem w zaciszu własnego mieszkania niespiesznie przeglądał zawartość skradzionych torebek.

Był niezwykle dumny ze swej przezorności i metodyczności.

Owej pochmurnej i wilgotnej środy pod koniec kwietnia Billy kilkakrotnie przejeżdżał przez całe miasto, aby odwiedzić trzy oddalone od siebie dzielnice i ukraść sześć torebek, poza dwiema, które zabrał starszej kobiecie przed Bartramem i młodej matce na Czterdziestej Szóstej Ulicy. Ostatni z ośmiu łupów również należał do pewnej staruszki. W pierwszej chwili Billy pomyślał, że to będzie łatwy skok; potem, że narobiło się trochę zamieszania, a w końcu wyszła z tego niesamowita historia.

Kiedy zobaczył swoją ofiarę, wychodziła ze sklepu mięsnego na Westend Avenue, przyciskając do piersi paczuszkę z mięsem. Była stara. Wiosenny wiatr rozwiewał jej cienkie, siwe włosy i Billy odniósł dziwne wrażenie, że słyszy, jak te suche kosmyki ocierają się o siebie nawzajem. Miała pomarszczoną, pergaminową twarz, obwisłe ramiona, blade wysuszone dłonie i szła, szurając nogami. Robiła wrażenie nie tylko bardzo starej, ale słabej i bezbronnej, a to przyciągało Billy'ego Neeksa, zupełnie jakby była magnesem, a on żelaznym opilkiem. Miała dużą torbę na ramię, która razem z paczką mięsa musiała jej bardzo ciążyć, bo kobieta co chwila podciągała pasek na ramieniu i krzywiła się z bólu jak przy ostrym ataku artretyzmu.

Mimo pełni wiosny ubrana była na czarno: w czarne buty, czarne pończochy, czarną spódnicę, ciemnoszarą bluzkę i nawet w czarny rozpinany sweter, który zupełnie nie pasował do ciepłego dnia.

Billy rozejrzał się po ulicy, a ponieważ nikogo nie zobaczył, przystąpił do akcji. Wykonał swój numer z pijakiem: zaczął się zataczać i potracił staruszkę, ale kiedy pociągnął za pasek, żeby jej ściągnąć torebkę, kobieta nieoczekiwanie upuściła mięso i chwyciła torbę oburącz. Przez jakiś czas siłowali się zaciekle, przy czym starowinka wykazała niespodziewaną siłę. Billy ciągnął za pasek, wykręcał go, szarpał i rozpaczliwie próbował popchnąć kobiecinę i przewrócić, gdy tymczasem ona stała twardo i nieustępliwie na nogach niczym drzewo zakorzenione głęboko w ziemi, opierające się porywom wichury.

–Puszczaj to, stara suko, bo ci przyłożę w gębę.

I wtedy stało się coś dziwnego.

Na oczach Billy'ego kobieta zaczęła się przeobrażać. Nie wyglądała już krucho, lecz jakby zbudowana była ze stali, nie słabowicie, lecz naładowana jakąś ciemną energią. Kościste artretyczne ręce zamieniły się w niebezpieczne szpony groźnego drapieżnika. Osobliwa twarz – blada i pożółkła, niemal zupełnie pozbawiona ciała, poorana zmarszczkami i ostrymi bruzdami – pozostała tak samo stara, ale za to straciła swój ludzki wyraz. I oczy. Boże, te jej oczy. W pierwszej chwili Billy widział po prostu krótkowzroczne spojrzenie roztrzęsionej staruchy, lecz nagle jej oczy nabrały przerażającej siły, jednocześnie zapłonął w nich ogień i ściał je lód, a Billy'emu krew w żyłach zmroziło, a zarazem w piersi rozgorzał płomień. Te oczy przeszły go na wskroś i nie było to bynajmniej spojrzenie bezbronnej babuni, tylko morderczej bestii dyszącej żądzą, aby pożreć go żywcem.

Dech mu zaparło z przerażenia, mało brakowało, aby wypuścił z rąk torebkę i wziął nogi za pas, ale sekundę później potwór zamienił się z powrotem w bezbronną staruszkę. I wtedy kobieta niespodziewanie się poddała. Jej sękaty dłonie rozwarły się, stawy rąk zwiotczały. Puściła torebkę z cichym okrzykiem rozpacz.

Billy warknął groźnie nie tylko po to, żeby ją przestraszyć, ale żeby rozwiać własny irracjonalny strach, popchnął kobietę na koszt na śmieci stojący przy ulicy i puścił się biegiem przed siebie, ściskając pod pachą zdobyczną torbę. Ubiegłszy kilkanaście kroków, obejrzał się

w tył, jakby się podświadomie spodziewał, że starucha zamieniła się ostatecznie w czarne drapieżne ptaszysko i leci na niego z wyszczerzonymi zębami, rozplomienionym wzrokiem i rozczapierzonymi szponami, żeby go rozerwać na strzępy. Ona jednak cały czas trzymała się kosza na śmieci, żeby się nie przewrócić, i wyglądała tak samo krucho i bezradnie jak wtedy, gdy ujrzal ją po raz pierwszy.

Z jedną różnicą: patrzyła za nim i uśmiechała się krzywo. Odsłaniała szerniałe zęby w obłąkańczym uśmiechu.

Zniedołężniała głupia starucha, pomyślał Billy. Widać baba cierpi na starczą sklerozę, skoro się cieszy, że ktoś jej ukradł torebkę.

Jak mógł się jej przestraszyć?

Biegł zaulkami, przez zalany słońcem parking, potem ciemną uliczką między kamienicami, aż wreszcie wypadł na szeroką ulicę daleko od miejsca przestępstwa. Zwolnił i spacerowym krokiem podszedł do samochodu. Wrzucił torbę do bagażnika razem z pozostałymi łupami skradzionymi tego dnia w innych rejonach miasta. Wreszcie po ciężkim dniu pracy pojechał do domu, ciesząc się na myśl, że usiądzie przed telewizorem z zimnym piwem w ręku i zacznie przeliczać dzisiejszy dochód.

Kiedy czekał na czerwonym świetle, zdawało mu się, że w bagażniku coś się poruszyło. Usłyszał jakby kilka głuchych uderzeń, potem dziwne drapanie, które jednak szybko ucichło. Poderwał głowę i zaczął nasłuchiwać, ale nie doszły go już żadne odgłosy. Uznał więc, że widocznie skradzione torby przesunęły się w kufrze pod własnym ciężarem.

Billy Neeks mieszkał w rozpadającym się czteropokojowym parterowym domu dwie przecznice od rzeki, między warsztatem mechanicznym a pustym, niezagospodarowanym terenem. Dom należał kiedyś do jego matki i dopóki ona tu mieszkała, był czysty i dobrze utrzymany. Dwa lata temu Billy namówił ją, żeby przepisała całą nieruchomość na niego, „ze względu na podatki”, po czym wysłał matkę do domu starców, gdzie opiekowano się nią na koszt państwa. Przypuszczał, że nadal tam jest, chociaż nie był pewien, bo nigdy jej nie odwiedził.

Owego kwietniowego wieczoru ustawił osiem zdobycznych torebek w dwóch rzędach na stole w kuchni i patrząc na nie, przez chwilę rozkoszował się oczekiwaniem na poszukiwanie skarbów. Otworzył sobie piwo i paczkę chipsów Doritos. Przyciągnął krzesło, usiadł i aż westchnął z zadowoleniem.

Wreszcie otworzył torebkę skradzioną kobiecie przed sklepem Bartrama i zaczął przeliczać „zarobek”. Starsza pani wyglądała na dobrze sytuowaną i zawartość jej portfela nie rozczarowała Billy’ego – czterysta dziewięć dolarów w banknotach plus trzy dolary, dziesięć centów w bilonie. Znalazł również kilka kart kredytowych, które będzie mógł opylić w lombardzie u Jake’a Barcellego. Jake da mu też kilka dolców za każdy inny, cokolwiek warty „towar” ze skradzionych torebek. Do tych „cokolwiek wartych” towarów w pierwszej torebce należało pozłacane pióro od Tiffany’ego w komplecie z pozłacaną puderniczką i etui na szminkę, również Tiffany’ego, oraz wyszukany, chociaż niezbyt kosztowny pierścionek z opalem.

Torebka młodej matki zawierała tylko jedenaście dolarów i czterdzieści centów i nic więcej wartościowego, ale Billy w zasadzie niczego więcej się nie spodziewał. To jednak wcale nie umniejszyło dreszczyku emocji, z jakim przeglądał jej zawartość. Wprawdzie uważał swój zawód za biznes, a w związku z tym siebie za dobrego biznesmena, ale sprawiało mu też dużą przyjemność samo oglądanie i dotykanie rzeczy należących do jego ofiar. Naruszenie własności osobistej młodej kobiety było prawie jak zadanie gwałtu jej samej i kiedy jego ruchliwe dłonie penetrowały wewnątrz torebki, czuł, jakby penetrował jej ciało. Niekiedy wyjmował jakiś przedmiot, taki, jakiego nie dawało się sprzedać – tanią puderniczkę, pomadkę albo okulary, kładł go na ziemi i deptał, bo kiedy zgniatał pod piętą coś, co należało do okradzionej kobiety, z jakiegoś powodu czuł się, jakby zgniatał ją samą. Kradzież torebek była warta zachodu, bo dawała łatwy zarobek, ale Billy robił to co najmniej w tym samym stopniu dla wszechogarniającego poczucia władzy, które go stymulowało i sprawiało mu ogromną satysfakcję.

Kiedy powoli, nie spiesząc się i delektując tą rozkoszną i przyjemną chwilą, zlustrował zawartość siedmiu z ośmiu torebek, minęła siódma i Billy był w prawdziwej euforii. Oddychał szybko, a od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz ekstazy. Tłuste włosy wyglądały, jakby się przetłuściły jeszcze bardziej niż zwykle, ponieważ były mokre od potu i zwisały w bezładnych strąkach. Twarz mu błyszczała od potu. Przetrzęsając coraz bardziej gorączkowo ostatnie

torebki, potrafił i zrzucił ze stołu otwartą paczkę doritos, ale nawet tego nie zauważył. Otworzył drugie piwo, ale ani razu go nie lknął; stało teraz z boku ciepłe i zapomniane. Cały świat skurczył się dla Billy'ego do jednej damskiej torebki.

Torbę skradzioną zwariowanej starusze zostawił sobie na koniec, bo miał przecucie, że przyniesie ona największy skarb wieczoru. Była to duża torba z czarnej miękkiej skóry z dwoma długimi paskami i jedną główną przegródką zamykaną na suwak. Billy przyciągnął ją bliżej, postawił przed sobą na stole i przez dłuższą chwilę tylko patrzył, pozwalając, żeby narastało w nim radosne podniecenie.

Przypomniawszy sobie, jak starucha się opierała, jak z całej siły ciągnęła za torbę, aż przemknęło mu przez myśl, że będzie musiał wyciągnąć nóż i starą wiedźmę trochę pociąć. Zdarzało mu się już przedtem ciąć kobiety nożem, niezbyt często, ale Billy'emu to wystarczyło, aby się zorientować, że bardzo mu się to podoba.

W tym tkwił kłopot. Billy był na tyle bystry, aby zdawać sobie sprawę, że chociaż bardzo lubił się bawić nożem, musi sobie odmawiać tej przyjemności i ograniczać przemoc do sytuacji, kiedy jest ona absolutnie konieczna. Gdyby zaczął używać noża zbyt często, po jakimś czasie nie mógłby się powstrzymać, uległby wewnętrznemu przymusowi, żeby ciąć ludzi, a wtedy byłby zgubiony. O ile bowiem policja nie wkładała zbyt wiele energii w ściganie zwykłych złodziejasków, o tyle wykazałaby znacznie więcej energii i uporu w poszukiwaniu nożownika.

Przecież jednak nie dźgnął nikogo od wielu miesięcy, a skoro tak długo wykazywał podziwu godną samokontrolę, należy mu się chyba odrobina przyjemności. Miałby taką uciechę, gdyby mógł odkroić zwiędłe mięso tej staruchy od kości. Zastanawiał się teraz, czemu właściwie jej nie ciachnął od razu, kiedy tylko zaczęła mu stawiać opór.

Chwilowo jakby zapomniał, że przez krótką chwilę wiedźma śmiertelnie go przeraziła, że nie wyglądała jak człowiek, tylko jakieś ptaszysko, że mu się zdawało, jakby jej kościste ręce zamieniły się w okropne szponiska i że oczy jej pały dziko. Billy w wyobraźni skrzętnie pielęgnował wizerunek siebie jako wielkiego macho i nie przyjmował do wiadomości niczego, co mogłoby go poniżyć we własnych oczach.

Coraz bardziej utwierdzając się w przekonaniu, że znajdzie prawdziwy skarb, położył dłonie na torbie i lekko nacisnął. Była wypchana do granic możliwości. Torba cudo. Billy powiedział sobie, że miękkie kształty, które czuje w środku, to pliki pieniędzy, pęki studolarowych banknotów.

Serce waliło mu z podniecenia coraz mocniej.

Otworzył zamek błyskawiczny, zajrzał do torby i zmarszczył brwi.

W środku było... ciemno. Billy przyjrzał się bliżej. Bardzo ciemno. Niemożliwie ciemno.

Chociaż wytężył oczy, niczego w środku nie widział – ani portfela, ani puderniczki, ani

grzebienia, ani nawet paczki chusteczek. Nie mógł dojrzeć nawet podszewki torebki – nic, tylko nieskazitelna głęboka ciemność, jakby zaglądał do studni. „Głęboka” było zresztą najlepszym określeniem, bo miał wrażenie, jakby patrzył w tajemniczą otchłań, jak gdyby dno torebki nie znajdowało się dwadzieścia czy trzydzieści centymetrów niżej, tylko kilka tysięcy metrów, a nawet jeszcze więcej – niezliczone kilometry pod nim. Uprzytomnił sobie niespodziewanie, że światło żarówki wiszącej nad jego głową wpada do środka otwartej torebki, ale niczego nie oświetla, jakby torba polykała i trawiła każdy jasny promień.

Pseudoerotyczne podniecenie Billy’ego błyskawicznie ostygło, a ciepły pot wyparował, zamiast niego Billy poczuł lodowatą gęsią skórkę. Wiedział, że powinien jak najszybciej zamknąć torbę, wynieść ją jak najdalej od domu i wyrzucić do cudzego pojemnika na śmieci. Zamiast tego jednak zobaczył, jak jego własna dłoń wślizguje się w ziejącą paszczę torebki. Próbował cofnąć rękę, ale nie mógł, zupełnie jakby to była obca dłoń, którą nie potrafi władać. Palce znikły w ciemności, a za nimi poszła reszta. Potrząsnął głową na znak protestu, ale nadal nie mógł się powstrzymać. Wewnętrzny przymus kazał mu sięgać w głąb torby. Ręka weszła mu aż po nadgarstek, ale nie czuł w środku nic poza okropnym zimnem, od którego zaczęły mu szczerkać zęby. Mimo to wsuwał dłoń coraz głębiej, aż w końcu ręka zanurzyła się w torbie aż po łokieć. Już dawno powinien poczuć dno, ale tam była tylko bezkresna pustka, sięgał więc dalej, dopóki nie zagłębił się w torbie prawie po samo ramię. Rozczapierzonymi palcami próbował w tej niepojętej próżni coś wymacać, coś tam znaleźć. Wtedy coś znalazło jego.

W głębi torby coś się otarło o jego rękę. Drgnął przestraszony, a wtedy to coś go ugryzło.

Wrzasnął na całe gardło i wreszcie wykrzesał z siebie dość siły, żeby oprzeć się syreniemu głosowi ciemności. Wyszarpnął rękę i poderwał się na równe nogi, aż przewrócił krzesło. Oslupiały patrzył na czerwone dziurki na dłoni. Ślady po zębach. Pięć małych otworów, gładkich i równych, podchodziło krwią.

W pierwszej chwili po prostu zdrętwiał wstrząśnięty, dopiero po sekundzie zajęczał przeciągle i chwycił za suwak torebki, żeby ją zamknąć, ale gdy tylko dotknął uchwyty suwaka, z bezświatłej czeluści wypełził stwór i Billy przerażony błyskawicznie cofnął dłoń.

Ciemne, poskręcane stworzenie było nieduże – miało trzydzieści centymetrów wysokości, tak że bez trudu przecisnęło się przez otwór torby. Ogólnie sylwetką przypominało człowieka – z tułowia odchodziły dwie ręce i dwie nogi. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Jeśli jego tkanki nie powstały kiedyś z zastygłych cuchnących ścieków, to w każdym razie na pewno z substancji tajemniczej, ale równie odrażającej. Mięśnie i ścięgna wyglądały jakby zlepione z ludzkich odpadów – splątanych włosów, gnijących trzawi i wysuszonych żył. Stopy stwora były dwa razy większe, niż powinny, zakończone ostrymi jak brzytwa, czarnymi szponami, które przejęły Billy’ego takim samym strachem, jakim nóż sprężynowy napawał jego ofiary. Z tyłu pięt wyrastały spiczaste zakrzywione ostrogi. Ręce miało to stworzenie długie jak małpa, z sześcioma czy siedmioma palcami – Billy nie mógł ich dokładnie policzyć, bo przebierało nimi nieustannie, wychodząc z torby na stół, a potem wstając. W każdym razie wszystkie palce zakończone były czarnymi jak heban pazurami.

Kiedy stwór się wyprostował i zasyczał wściekle, Billy zatoczył się w tył, aż oparł się plecami o lodówkę. Okno nad zlewozmywakiem było zamknięte i zasłonięte zatłuszczonymi zasłonkami. Drzwi do jadalni znajdowały się po przeciwnej stronie kuchni. Żeby dopaść do drugich drzwi, wychodzących na werandę, też musiałby przebiec koło stołu. Krótko mówiąc, znalazł się w pułapce.

Głowę miał ów stwór niesymetryczną, guzowatą i dziobatą, jakby z grubsza ulepioną – tak samo jak reszta ciała – ze skrawków zgnilej tkanki przez rzeźbiarza o bardzo niedoskonałym wyczuciu ludzkich kształtów. Dwoje oczu tkwiło wysoko, tam gdzie powinno być czoło, pod spodem zaś mrugała druga para ślepiów. Trzecia para – dająca w sumie sześcioro oczu – usytuowana była zamiast uszu po bokach czaszki. Wszystkie te narządy wzroku były zupełnie białe, pozbawione źrenic i tęczówek, tak że stwór robił wrażenie ślepego wskutek katarakty.

A jednak z całą pewnością widział – Billy nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości – ponieważ patrzył prosto na niego.

Trzęsąc się gwałtownie i wydając zduszone odgłosy przerażenia, Billy sięgnął ugryzioną ręką w bok do kredensu stojącego koło lodówki i wysunął szufladę, gdzie trzymał noże. Nie odrywając oczu od stworzenia, które wyszło ze skradzionej torebki, zaczął gmerać w szufladzie, aż poczuł pod palcami wielki nóż rzeźnicki. Złapał go szybko.

Sześciooki demon na stole rozdziawił bezkształtną gębę i wyszczerzył dwa rzędy ostrych żółtych zębów. I znowu zasyczał.

–O B-B-Boże – wyjąkał Billy, wymawiając to słowo, jak gdyby było w obcym języku i nie miał pojęcia, co znaczy.

Stwór wykrzywił niekształtną gębę, możliwe, że w uśmiechu, po czym kopnięciem przewrócił otwartą puszkę z piwem i zrzucił ją na ziemię, wydając przy tym odrażający suchy dźwięk, który był ni to warkotem, ni to chichotem.

Billy skoczył raptownie do przodu, wymachując rzeźnickim nożem niczym potężnym samurajskim mieczem, i zamachnął się na demona z zamiarem odcięcia mu głowy i przecięcia całego stwora na pół. Ostrze uderzyło w oślizłe ciało powyżej grudowatych bioder, ale zagłębiło się w ciemną błyszcząca pierś ledwie na centymetr lub dwa i nie chciało wejść ani trochę dalej, a już na pewno nie było mowy o przejściu na wylot. Billy poczuł, jakby walnął w żelazną sztabę – impet uderzenia obrócił się gwałtownie przeciwko niemu i przebiegł przez trzonek noża do dłoni i ramienia bolesnymi drganiami, jak gdyby Billy z całej siły walnął łomem w stalowy kolek.

W tym samym momencie z prędkością błyskawicy stwór śmignął w powietrzu łapą, chlasnął Billy'ego po rękę i odsłonił dwa białe kłykcie jego prawej dłoni.

Billy krzyknął przestraszony i wypuścił z ręki nóż. Złapał się za okaleczoną dłoń i zatoczył się z powrotem na lodówkę.

Demon stał na stole zupełnie niezbity z tropu. Nóż tkwił w jego boku, ale z rany nie kapnęła ani kropla krwi, a on sam nie okazywał najmniejszego bólu. Sękatymi rączkami chwycił trzonek noża i wyciągnął go z ciała. Obrócił sześć mlecznych, błyszczących oczu na Billy'ego, podniósł narzędzie, które było tak samo wielkie jak on, i złamał je na pół. Trzonek rzucił w jedną stronę, a ostrze w drugą.

Billy rzucił się do ucieczki. Musiał przebiec koło stołu i obok stwora – zdecydowanie za blisko, ale nie zważał na to, nie wahał się, bo alternatywą było stanie bez ruchu pod lodówką i czekanie, aż ten diabeł rozsieka go na kawałki. Dopadł do drzwi i kiedy wybiegał z kuchni do jadalni, usłyszał za plecami łomot świadczący, że stwór zeskoczył ze stołu na podłogę. Gorzej – potem usłyszał szybkie kłapanie chitynowych stóp i zrogowaciałych pazurów, gdy stwór ruszył za nim po linoleum.

Jako złodziej torebek Billy musiał utrzymywać formę i być w każdej chwili gotowy biec szybko jak jeleń. Kondycja była teraz jedynym jego atutem.

Czy można prześcignąć diabła?

Wypadł z jadalni, przeskoczył nad pufem w salonie i pognął do drzwi wejściowych. Jego dom stał samotnie pomiędzy pustą działką a warsztatem, który był o tej porze nieczynny, ale za to po drugiej stronie ulicy znajdowało się kilka domów, a na rogu był sklep 7-Eleven, w którym prawie zawsze panował spory ruch. Billy doszedł do wniosku, że między ludźmi będzie bezpieczny, nawet wśród obcych. Miał przecucie, że demon nie chce się pokazywać na oczy nikomu innemu.

Z duszą na ramieniu, że lada chwila bestia rzuci mu się na plecy i zatopi zęby w szyi, szarpnął za klamkę i nieomal wyskoczył głową do przodu, ale w ostatniej chwili stanął jak wryty. Przed nim nie było chodnika ani trawnika, ani drzew. Nie było ulicy ani domów po drugiej stronie, ani sklepu na rogu. Kompletnie nic. Nie było również światła. Na dworze panowała nieprzenikniona, nienaturalnie ciemna noc, tak zupełnie bezświatlna jak dno kopalnianego szybu. Albo jak wnętrze torebki, z której wypelził demon. Był ciepły kwietniowy wieczór, a tymczasem lodowate zimno czarnej jak aksamit ciemności przed domem przenikało Billy'ego do szpiku kości, tak samo jak wnętrze skórzanej torebki starej wiedźmy.

Billy stał w progu, chwiał się na nogach bez tchu, a serce waliło mu jak młot udarowy. Przez głowę przeleciała mu zwariowana myśl, że razem z całym domem znalazł się w torebce tej okropnej wariatki. Ale to nie miało sensu, bo torebka stała na stole w kuchni. Przecież niemożliwe, żeby torba była w domu, a jednocześnie dom w torbie. Prawda?

Kręciło mu się w głowie, było mu niedobrze i już sam nie wiedział, co myśleć.

Zawsze wiedział wszystko, co warto było wiedzieć. Tak mu się przynajmniej zdawało. Ale gdyby wcześniej wiedział to, co wiedział teraz...

Nie ośmielił się wyjść w tę nieprzeniknioną czeluść. Czuł, że w tym węgielnym mroku nie

istnieje niebo. Instynkt podpowiadał mu, że jeśli zrobi chociaż jeden krok w tę lodowatą ciemność, nie będzie mógł zawrócić. Jeden krok i wpadnie w tę samą przerażającą pustkę, którą zostawił w torbie wiedźmy: w dół, w nieskończoność w dół.

Usłyszał syk. Stwór stał za jego plecami.

Jęknął, odwrócił się tyłem do okropnej czarnej nicości za domem i zajrzał do salonu, gdzie czekał na niego demon. Aż krzyknął, bo stwór wyraźnie urósł od chwili, kiedy go zostawił w kuchni. Miał teraz metr zamiast trzydziestu centymetrów, szersze bary, potężne mięśnie, grubsze nogi, większe dłonie i dłuższe pazury. Nie stał jednak tuż za jego plecami, jak się Billy obawiał, tylko na środku małego salonu. Obserwował go z drapieżną ciekawością i uśmiechał się, jak gdyby postanowił się z nim podrażnić, zanim zakończy tę konfrontację.

Różnica temperatur między ciepłym wnętrzem domu a lodowatym powietrzem na zewnątrz spowodowała przeciąg, od którego drzwi zatrzęsnęły się za Billym z hukiem.

Demon zasyczał i zrobił krok naprzód. Kiedy się poruszył, Billy usłyszał, jak jego szkielet i miękkie, ociekające części ciała trą o siebie niczym trybiki maszyny zaklejone tłuszczem i brudem.

Zaczął się wycofywać w stronę korytarza, który po drugiej stronie salonu prowadził do sypialni. Odrażająca zjawa ruszyła za nim. Rzuciła niesamowity, piekielny cień, który wyglądał dużo bardziej groteskowo, niż powinien wyglądać, jak gdyby nie był to cień wyłącznie jego zdeformowanego ciała, ale również jeszcze bardziej zdeformowanej duszy. Może demon rozumiał, że z jego cieniem jest coś nie tak, może nie chciał się zastanawiać, skąd się biorą te poskręcane kształty, bo stąpając krok w krok za Billym, celowo przewrócił lampę podłogową i kiedy pokój pogrążył się w ciemności, poszedł dalej pewniejszym i żwawszym krokiem, jakby mrok naoliwił mu drogę.

W wyjściu do korytarza Billy stanął, odwrócił się, po czym rzucił przed siebie na oślep. Wpadł do sypialni i zatrzęsnał za sobą drzwi. Zamknął zasuwę, ale nie ludził się, że znalazł bezpieczne schronienie. Drzwi to cienka bariera, stwór wyważy je bez trudu. Billy miał tylko nadzieję, że uda mu się dopaść do stolika nocnego, gdzie trzymał swoje magnum.357 smitha wessona. I udało mu się. Nawet zostało mu całkiem sporo czasu.

Pistolet wydawał się mniejszy, niż go Billy pamiętał, prawie jak zabawka, ale to pewnie dlatego – powiedział sobie Billy – że przeciwnik wydaje się taki groźny. Kiedy naciśnie spust, broń nabierze odpowiednich rozmiarów.

Trzymał nabite magnum w obu rękach wycelowane w drzwi i zastanawiał się, czy strzelić przez drzwi, czy poczekać, aż stwór wpadnie do środka.

Jego dylemat rozstrzygnął sam demon, dosłownie wysadzając w powietrze zamknięte drzwi i rozpryskując fontannę drzazg i pogruchotanych zawiasów.

Był jeszcze większy, większy od Billy'ego. Miał bez mała dwa metry – wstrętne, gigantyczna maskara jeszcze bardziej niż poprzednio wydawała się zbudowana z brudu, zlepionego śluzu, skołtunionych włosów, grzybów i gnijących kawałków zwłok. Sześć ślepiów żarzyło się jak żarówki. Roztaczając wokół siebie smród zgniłych jaj, szedł nieubłaganie w stronę Billy'ego, nie zawahał się nawet wówczas, kiedy Billy nacisnął spust i wpakował w niego sześć kul.

Kim, na litość boską, czy może raczej czym była ta stara wiedźma? Bo na pewno nie zwyczajną leciwą obywatelką żyjącą z renty, chodzącą do rzeźnika i wieczorami oglądającą losowanie totolotka. Nie, do diabła. Co za stara wariatka nosi ze sobą taką torebkę, a w niej takie stwory? Co za jędza?

Wiedźma? Jasne, że wiedźma.

W końcu przyparty do muru z pustym pistoletem w ręce, która piekła go od ugryzień i drapnięć, stojąc przed potworem lypiącym na niego groźnie z góry, Billy po raz pierwszy w życiu zrozumiał, jakie to uczucie być bezbronną ofiarą. Kiedy wielki nienazwany stwór położył na nim ciężkie łapy uzbrojone w szablaste szpony – jedną na ramieniu, a drugą na piersi – Billy zmoczył spodnie i skulił się niczym żalosne, słabe i bezradne dziecko.

Był pewny, że potwór rozerwie go na strzępy, złamie mu kark, odetnie głowę, wysie szpik z kości. Tymczasem demon opuścił wielki niekształtny łeb i zbliżył lepkie usta do szyi Billy'ego. Przez jeden obłąkany ułamek sekundy Billy'emu się zdawało, że potwór chce go pocałować, ale zaraz potem poczuł, jak lodowaty jęzor przesuwają się po jego ciele od obojczyka aż po podbródek, a uczucie było takie, jakby wbijały mu się w skórę setki igieł. Potem go zupełnie sparaliżowało.

Stwór podniósł głowę i patrzył mu w twarz. Jego cuchnący oddech był jeszcze gorszy niż cmentarny smród, który wydzielano odrażające ciało. Billy stał sparaliżowany i nie mógł nawet mrugnąć powieką ani zamknąć oczu, patrzył w głąb paszczy demona, na błądy kolczasty język.

Stwór odstepił w tył, a Billy osunął się bezwładnie na podłogę. Chociaż wyęczał wszystkie siły, nie mógł ruszyć nawet najmniejszym palcem. Bestia złapała go za włosy i zaczęła wywlekać z sypialni. Nie mógł się opierać ani nawet zaprotestować, bo głos mu zamarł w gardle, tak samo sparaliżowanym jak reszta ciała.

Widział tylko to, co przesuwano się przed jego nieruchomymi oczami. Migaly mu przed kącikami oczu meble, obok których ciągnął go demon, widział sufit i ściany, i hasające po nich cienie. Kiedy przewrócił się na brzuch, nie bolało go nawet, stwór szarpał go brutalnie za włosy. Potem widział tylko podłogę i czarne stopy demona drepczące w stronę kuchni, skąd rozpoczął się pościg.

Oczy Billy'emu zaszły mgłą, później to minęło, a potem znowu wszystko się rozmazało. Z początku myślał, że to na skutek paraliżu, dopiero po chwili zrozumiał, że z oczu leją mu się łzy i płyną po policzkach, tylko ich nie czuje. W całym swym nędznym, przepelnionym nienawiścią

żywocie nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem płakał.

Wiedział, co się z nim stanie, w głębi łomoczącego, przepelnionego strachem serca wiedział.

Cuchnący, oleisty stwór włókł go bezceremonialnie przez salon, obijał o nogi stołu i krzesel. Zawłókł go do kuchni, przeciągnął przez rozlane piwo i rozsypane doritos na dywan. Potem wziął ze stołu czarną torbę wiedźmy i postawił na podłodze przed oczami Billy'ego. Otwarta czeluść ziała czarną pustką.

Tymczasem demon wyraźnie na powrót się zmniejszył, a przynajmniej skurczyły się jego nogi, pierś i głowa, bo ręka, którą trzymał mocno Billy'ego, pozostała wielka i silna. Z przerażeniem, chociaż bez zdziwienia Billy patrzył, jak stwór gramoląc się do torby, coraz bardziej się kurczy. Potem pociągnął go za sobą.

Billy nic nie czuł, ale musiał się zmniejszyć, żeby precyzyjnie się przez otwór torby. W dalszym ciągu sparaliżowany i ciągnięty za włosy obejrzał się w górę, zobaczył oświetloną kuchnię i własne biodra chwiejące się na brzegu torebki. Próbował się opierać, ale na próżno, widział, jak wsuwają się do środka jego uda, potem kolana... Boże, nie mógł nic zrobić, torba go polykała – już tylko stopy wystawały mu na zewnątrz. Próbował wczepić się w coś palcami stóp, próbował stawiać opór, ale nie mógł.

Billy Neeks nigdy nie wierzył w istnienie duszy. Teraz zrozumiał, że ją ma... i że właśnie się o nią upomniano.

W końcu stopy wpadły do środka. Teraz już cały znalazł się w torebce.

Patrzył z rozpaczą na owal światła nad swoimi nogami malejący nie dlatego, że ktoś zasuwał zamek, ale ponieważ obrzydliwy demon ciągnął go za włosy coraz głębiej. Tak samo maleje w lusterku wjazd do tunelu, w miarę jak samochód zbliża się do drugiego końca.

Drugi koniec.

Billy wzdragał się nawet myśleć o tym, co go czeka na drugim końcu – na samym dnie torebki tonącym w niezbadanych głębiach.

Żałował, że nie może oszaleć. Mógłby uciec od grozy, która go przepelniała, w błogosławiony obłęd. To by przyniosło taką słodką ulgę. Najwyraźniej jednak taki miał być jego los – musi pozostać przy zdrowych zmysłach i bardzo, bardzo świadomy tego, co się z nim dzieje.

Świetlny otwór w górze skurczył się do rozmiarów małego, spłaszczonego księżyca świecącego blade na nocnym niebie.

Zupełnie jakbym się na nowo urodził, pomyślał Billy. Tylko tym razem narodziny oznaczały przejście ze światła w mrok.

Rzednący księżycowy kształt zmalął w górze do wielkości dalekiej gwiazdy. Po chwili gwiazda zamrugła i zgasła.

W nieprzeniknionej ciemności powitały Billy'ego Neeksa obce syczące głosy.

Owej nocy pod koniec kwietnia parterowy dom sąsiadujący z warsztatem mechanicznym wypełniły głuche krzyki przepelnione grozą i przerażeniem. Dochodziły z tak daleka, że choć rozbrzmiewały w każdym pokoju niewielkiego domu, nie przedostały się poza mury budynku na cichą uliczkę i nie przyciągnęły uwagi okolicznych mieszkańców. Krzyki te słyhać było przez kilka godzin, potem zaczęły stopniowo słabnąć, aż w końcu zastąpiły je odgłosy ssania, mlaskania i gryzienia.

A potem nastala cisza.

Przez wiele godzin wladala domostwem cisza, aż do popołudnia następnego dnia, kiedy ciszę zakłócił odgłos otwieranych drzwi i kroków.

–Ach – powiedziała uradowana staruszka, kiedy wszedłszy do kuchni, zobaczyła na podłodze swoją otwartą torebkę.

Powoli niczym ktoś złamany artretyzmem schyliła się, podniosła torbę i zajrzała do środka.

Z uśmiechem zasunęła zamek błyskawiczny.

W potrzasku

1

Owej nocy nad całą północno-wschodnią częścią Stanów Zjednoczonych szalała śnieżycą. Zwierzęta, które zwykle wyruszają na świat dopiero po zachodzie słońca, otulała podwójna zasłona ciemności i zamieci.

Zacząło prószyć o zmierzchu. Meg Lassiter wracała właśnie z Tommym od lekarza, kiedy ze stalowoszarego nieba posypały się pierwsze puchowe płatki i z początku w mroźnym nieruchomym powietrzu opadały prosto w dół. Nie ujechała jednak nawet piętnastu kilometrów, kiedy z południowego zachodu nadciągnęła wichura i zaczęła gnać śnieżne drobiny na ukos przed światłami jeepa.

Tommy, który siedział z nogą w gipsie na tylnym siedzeniu, westchnął.

–Nie będę mógł jeździć na sankach ani na nartach, ani nawet na łyżwach.

–Zima się dopiero zaczęła – powiedziała Meg. – Noga ci się zrośnie na długo przedtem, nim nadejdzie wiosna. Zdażysz jeszcze użyć sobie zimy.

–No, może.

Złamał nogę dwa tygodnie temu, właśnie przed chwilą na wizycie kontrolnej doktor Jacklin

powiedziała, że będzie musiał nosić gips jeszcze przez sześć tygodni. Kość skruszyła się w miejscu złamania – „rozszczepienie jest niewielkie, ale skomplikowane, z wklinowanym odłamem” – więc noga będzie się zrastać wolniej niż po zwykłym złamaniu.

–Ale, mamusiu, w życiu nie ma wcale tak dużo zim, nie chcę jednej w całości zmarnować.

Meg spojrzała z uśmiechem w lusterko wsteczne, w którym widziała twarz Tommy’ego.

–Skarbie, masz dopiero dziesięć lat, przed tobą jeszcze nieskończenie dużo zim, a w każdym razie piekielnie blisko nieskończoności.

–Nieprawda, mamusiu, bo zaraz będą studia i dużo więcej nauki; nie starczy wtedy czasu na zabawę.

–Ależ to dopiero za osiem lat!

–Przecież ty zawsze mówisz, że czas biegnie coraz szybciej, im człowiek jest starszy. A po studiach będę miał pracę i rodzinę na utrzymaniu.

–Możesz mi wierzyć, kowboju, że życie nie biegnie szybciej, dopóki się nie skończy trzydziestu lat.

Chociaż jak każdy dziesięciolatek Tommy uwielbiał się bawić, potrafił być chwilami dziwnie poważny. To się zdarzało już dawniej, nawet kiedy raczkował, ale od śmierci ojca dwa lata temu spoważniał jeszcze bardziej.

Meg zahamowała na ostatnich światłach przed wylotem z miasta. Na farmę mieli jeszcze dziesięć kilometrów na północ. Włączyła wycieraczki, które zmiotły z przedniej szyby delikatny, suchy pył.

–Mamusiu, ile ty masz lat?

–Trzydzieści pięć.

–O rany, naprawdę?

–Mówisz, jakbym była staruszką.

–Czy jak miałaś dziesięć lat, to były już samochody? Miał taki melodyjny śmiech. Meg uwielbiała słuchać jego śmiechu, może dlatego, że przez ostatnie dwa lata rzadko miała okazję go słyszeć.

Na rogu po prawej stronie tankowały na stacji benzynowej Shella dwa samochody i jedna półciągarówka z dwumetrową sosną na platformie. Za osiem dni Boże Narodzenie.

Po lewej stronie na tle trzymetrowych świerków stała gospoda Haddenbecka. W szarym,

wypalonym zmierzchu padający śnieg wyglądał jak popiół syjący się na ziemię z niewidocznego niebiańskiego ognia, ale w bursztynowym świetle, które sączyło się z okien zajazdu, bardziej przypominał opilki złota.

–Po namyśle dochodzę do wniosku, że to niemożliwe – powiedział Tommy z tylnego siedzenia. – Jak mogły być samochody, kiedy miałaś dziesięć lat? Przecież... jejku, koło wymyślili chyba dopiero wtedy, gdy miałaś jedenaście.

–Dzisiaj na kolację ciastka z dżdżownic i zupa z żuków.

–Jesteś najbardziej skąpą matką na świecie.

Meg spojrzała w lusterko i zobaczyła, że pomimo żartobliwego tonu na twarzy chłopca nie było już śladu uśmiechu. Z ponurą miną patrzył na gospodę.

Nieco ponad dwa lata temu pewien pijak, Dekę Slater, wyszedł z gospody Haddenbecka w tym samym czasie, kiedy Jim Lassiter jechał do miasta, do kościoła Świętego Pawła na zebranie komitetu kwestorskiego, którego był przewodniczącym. Pędząc z ogromną prędkością Black Oak Road, buick Slatera wpadł prosto na samochód Jima. W zderzeniu czołowym Jim zginął na miejscu, a Slater został sparaliżowany od szyi w dół.

Prawie za każdym razem, kiedy mijali gospodę Haddenbecka i jechali zakrętem, gdzie zginął Jim, Tommy starał się zamaskować swój ból, wciągając Meg w żartobliwą rozmowę. Dzisiaj jednak wyczerpały mu się dowcipy.

–Zielone, mamusiu.

Meg przejechała przez skrzyżowanie i minęła linię wyznaczającą granicę okręgu. Główna ulica zmieniła się w jednopasmową podmiejską drogę – Black Oak Road.

W myślach – a po większej części i w sercu – Tommy oswoił się już ze stratą ojca. W ciągu pierwszego roku po tragedii Meg często znajdowała go przy oknie, jak siedział bez słowa pogrążony w rozmyślaniach, a po policzkach płynęły mu łzy. Od dziesięciu miesięcy nie widziała, żeby płakał. W końcu niechętnie pogodził się ze śmiercią ojca.

Nie znaczyło to jednak, że całkowicie doszedł do siebie. W dalszym ciągu czuło się w nim pustkę. Jim był wspaniałym mężem i jeszcze lepszym ojcem, tak oddanym synowi, że jeden był dosłownie częścią drugiego. Jego śmierć pozostawiła w chłopcu otwartą ranę, tak samo prawdziwą i bolesną jak rana od kuli z pistolem, ale gojącą się dużo wolniej.

Meg wiedziała, że Tommy potrzebuje czasu, by się pozbierać po tej stracie.

Śnieg padał coraz mocniej. Zmierzch ustąpił miejsca nocy i widoczność pogorszyła się tak gwałtownie, że Meg musiała bardzo zwolnić i nawet pochylona nisko nad kierownicą widziała ledwie dwadzieścia metrów drogi przed samochodem.

–Niedobrze – powiedział Tommy nerwowo.

–Widziałam gorsze śnieżyce.

–Gdzie? W Jukonie?

–Jasne, w samym środku gorączki złota w tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym.

Zapomniałeś, jaka jestem stara? Jeździłam tam jukońskimi psimi zaprzęgami, zanim jeszcze wynaleziono psy!

Tommy się roześmiał, ale z przymusem.

Meg nie widziała za oknami ani rozległych łąk ciągnących się po obu stronach drogi, ani na prawo srebrzystej wstążki zamarzniętego strumienia Seeger. Rozróżniała jednak wysokie sylwetki poskręcanych pni i sęcate, śnieżno paskowane konary dębów, którymi była obsadzona na tym odcinku droga. Mogła dzięki nim wyliczyć, że tylko pół kilometra dzieli ich od niebezpiecznego zakrętu, gdzie zginął Jim.

Tommy milczał długo, aż nagle, kiedy za kilka sekund dosłownie mieli wjechać w nieszczęsny zakręt, wypalił:

–Właściwie to wcale mi się tak bardzo nie chce jeździć na sankach ani na łyżwach, tylko że w tym gipsie czuję się taki bezsilny, taki... uwięziony, jak... w potrzasku.

Meg się serce ścisnęło, kiedy to usłyszała, znaczyło to bowiem, że cały niepokój, który Tommy wykazywał od momentu unieruchomienia nogi w gipsie, miał ścisły związek ze wspomnieniem śmierci ojca. Chevrolet Jima został tak zgruchotany w czasie zderzenia, że policjantom i ludziom koronera ponad trzy godziny zajęło wydobycie ciała z wywróconego samochodu. Powyginany metal, który go więził, trzeba było ciąć palnikami acetylenowymi. Meg starała się oszczędzić chłopcu szczegółów wypadku, lecz kiedy Tommy poszedł po pogrzebie do szkoły, koledzy, najwyraźniej kierowani chorobliwą ciekawością, jaką wzbudza w ludziach śmierć, a także niewinnym okrucieństwem właściwym niektórym dzieciom, nie omieszkali mu opowiedzieć nawet najbardziej makabrycznych szczegółów wypadku.

–Kochanie, nie jesteś uwięziony w gipsie – powiedziała Meg, wprowadzając jeepa w długi, ośnieżony zakręt. – Trochę ci to utrudnia chodzenie, owszem, ale nie więzi. Jestem przy tobie, żeby ci pomóc.

Tamtego pierwszego dnia w szkole Tommy wrócił do domu wcześniej i wołał od progu:

–Tatusz był uwięziony w samochodzie, nie mógł się ruszyć, był zaplątany w powyginanym metalu, musieli wszystko ciąć, żeby go wyciągnąć. Był w potrzasku!

Meg długo go uspokajała, tłumacząc, że Jim zginął od zderzenia, od razu, i że w ogóle nie cierpiał.

–Kochanie, to było tylko jego ciało, tylko jego biedna pusta powłoka została uwięziona w samochodzie. Twój prawdziwy tatuś – jego dusza i umysł – był już wtedy w niebie.

Przyhamowała, dojeżdżając do połowy zakrętu, tego zakrętu. To zawsze będzie dla nich przerażające miejsce, bez względu na to, jak często będą tędy jeździć.

Tommy uwierzył, że jego tata nie cierpiał, niemniej obraz zwłok ojca, uwięzionych wśród poskręcane go metalu, prześladował go po dziś dzień.

Nagle Meg oślepiły światła nadjeżdżającego samochodu. Jechał stanowczo za szybko jak na warunki pogodowe, kierowca nie stracił co prawda panowania nad pojazdem, ale też wóz nie trzymał się pewnie nawierzchni. Autem zarzuciło, dwa koła przekroczyły podwójną ciągłą linię na środku drogi. Meg zjechała aż na pobocze, pulsująco naciskając hamulec. Przestraszyła się, że lada chwila koła jeepa ześlizną się do rowu i samochód zacznie dachować, na szczęście jednak udało jej się wyprowadzić go z zakrętu, chociaż koła ryły żwir na poboczu, a ten bębnił o podwozie. Samochód z przeciwka minął ich o kilka centymetrów, po czym zniknął w ciemnościach i śnieżycy.

–Kretyn – burknęła Meg ze złością.

Wyjechała z zakrętu na prostą drogę i zatrzymała się na poboczu.

–Tommy, wszystko w porządku? – zapytała.

Tommy siedział w kącie tylnego siedzenia, z głową niczym żółw wtuloną w kołnierz zimowej kurtki. Był blady i roztrzęsiony, ale pokiwał głową.

–Tak, w porządku.

Noc wydawała się dziwnie cicha, mimo że silnik buczał lekko na wolnych obrotach, stuknęły wycieraczki i dął wiatr.

–Uch, chciałabym dostać tego nieodpowiedzialnego palanta w swoje ręce.

Grzmotnęła otwartą dłonią w deskę rozdzielczą.

–To był samochód Biolomechu – rzekł Tommy, mając na myśli wielki instytut badawczy zajmujący teren czterdziestu hektarów niespełna kilometr na południe od ich farmy. – Widziałem z boku napis.

Meg odetchnęła głęboko kilka razy.

–Nic ci nie jest?

–Nie, nic. Tylko... chciałbym już być w domu.

Zamieć przybrała na sile. Padał na nich teraz istny śnieżny wodospad, płatki śniegu sypały się skłębionymi strumieniami.

Kiedy wyjechali z powrotem na Black Oak Road, wlekli się czterdzieści kilometrów na godzinę, bo warunki na drodze i widoczność nie pozwalały na więcej.

Trzy kilometry dalej, przed laboratoriami Biolomechu panowała pełna iluminacja. Za dwumetrowym ogrodzeniem z siatki sześciometrowe latarnie rozsiewały dość niesamowity blask, który dodatkowo rozpraszała gęsta zamieć. Chociaż na całym rozległym terenie otaczającym jednopiętrowe biura i laboratoria Biolomechu lampy porozstawiano równo co trzysta metrów, rzadko kiedy je zapalano. W ciągu ostatnich czterech lat Meg widziała je świecące tylko raz.

Zabudowania instytutu stały z dala od drogi, za gęstą ścianą drzew, tak że nawet w dzień przy dobrej widoczności trudno było dojrzeć to odosobnione i tajemnicze miejsce. Także i teraz, pomimo żółtych potoków światła zalewających całą okolicę, budynki stały zasłonięte przed niepożądanymi spojrzeciami.

Po terenie kręcili się mężczyźni w ciężkich zimowych płaszczach i po dwóch, z latarkami w dłoniach, badali uważnie siatkę, jakby szukali dziury. Szczególnie starannie oglądali ziemię pod ogrodzeniem.

–Pewnie ktoś się próbował włamać – zauważył Tommy. Przed główną bramą tłoczyły się samochody i ciężarówki Biolomechu. Czerwone koguty migaly na obu poboczach oraz w poprzek drogi. Przed blokadą stało trzech mężczyzn z mocnymi latarkami i trzech innych z karabinami.

–O rany! Karabiny szturmowe! – zawołał Tommy. – Naprawdę musiało się coś stać.

Meg zatrzymała samochód i opuściła szybę. Do środka wdarło się lodowate powietrze. Czekala, aż podejdzie do nich któryś z mężczyzn stojących przy blokadzie, a tymczasem w ich stronę ruszył strażnik w ciężkich butach, szarych spodniach wojskowych i czarnej kurtce z logo Biolomechu. W rękach trzymał długi drąg z przymocowanymi pod kątem dwoma lusterkami i latarką. Towarzyszył mu drugi, wyższy mężczyzna, podobnie ubrany, ale z karabinem w rękach. Niższy strażnik wetknął drąg z jednym lusterkiem pod samochód i w drugim oglądał podwozie jeepa.

–Szukają bomb! – odezwał się z tylnego siedzenia Tommy.

–Bomb? – powiedziała z niedowierzaniem Meg. – Wątpię. Mężczyzna z lusterkiem powoli obchodził samochód dookoła, podczas gdy jego towarzysz z bronią nie odstępował go na krok. Nawet przez zasłonę śnieżycy Meg widziała na ich twarzach niepokój.

Kiedy skończyli badanie podwozia, strażnik z bronią dał ręką znak pozostałym, że wszystko jest w porządku, i dopiero wtedy jeden z mężczyzn stojących przy blokadzie podszedł do

otwartego okna jeepa. Miał dzinsy i grubą brązową kurtkę pilotkę na podbiciu z owczej skóry, bez naszywki Biolomechu, a na głowie niebieską wełnianą czapkę narciarską, naciągniętą do połowy uszu i przysypaną śniegiem.

Schylił się do otwartego okna.

–Przepraszam panią za kłopot.

Był przystojny, miał miły uśmiech, chociaż w tej chwili trochę wymuszony. Bezpośrednie, badawcze spojrzenie jego szarzielonych oczu działało onieśmielająco.

–Co się dzieje? – zapytała Meg.

–To tylko rutynowe środki bezpieczeństwa – odparł. W lodowatym powietrzu z jego ust ulatywała para. – Czy mógłbym zobaczyć pani prawo jazdy?

Był bez wątpienia pracownikiem Biolomechu, nie policjantem, ale Meg nie widziała powodu, żeby odmówić.

Gdy mężczyzna trzymał w ręku jej portfel i oglądał prawo jazdy, odezwał się Tommy:

–Czy to szpiedzy próbowali się wkraść do środka? Odpowiedzi mężczyzny towarzyszył ten sam wymuszony uśmiech.

–Najprawdopodobniej po prostu krótkie spięcie w systemie alarmowym, synku. Nie ma tu nic, co mogłoby interesować szpiegów.

Biolomech zajmował się badaniami nad DNA oraz komercyjnym zastosowaniem odkryć genetycznych. Meg wiedziała, że inżynieria genetyczna zaowocowała w ostatnich latach stworzeniem wirusa, który wydalał czystą insulinę jako produkt przemiany materii, licznych cudownych leków i innych dobrodziejstw. Wiedziała też, że ta sama nauka zdolna była wyprodukować broń biologiczną – nowe choroby, równie śmiertelne jak broń jądrowa. Starła się jednak nie dopuszczać do siebie przerażającej myśli, że pobliski Biolomech mógł być zaangażowany w te niebezpieczne badania. Kilka lat temu co prawda rozeszła się po okolicy pogłoska, że firma podpisała duży kontrakt na zlecenie Departamentu Obrony, przedstawiciele laboratoriów zapewnili jednak mieszkańców okręgu, że ich firma nie będzie prowadzić żadnych militarnych badań bakteriologicznych. A jednak systemy zabezpieczeń oraz ogrodzenia robiły dużo groźniejsze wrażenie, niżby można się spodziewać po obiektach nastawionych na nieszkodliwą działalność komercyjną.

Mrugając powiekami, żeby strząsnąć płatki śniegu osiadające na rzęsach, mężczyzna w futrzanej kurtce zapytał:

–Mieszka pani w pobliżu, pani Lassiter?

–Na farmie Cascade – odparła Meg. – Półtora kilometra dalej.

Mężczyzna oddał jej portfel przez okno.

–Proszę pana – odezwał się znowu z tylnego siedzenia Tommy – myśli pan, że terroryści z bombami chcą tu wjechać i wysadzić wszystko w powietrze?

–Bomby? Skąd ci to przyszło do głowy, synku?

–Przez te lusterka na kiju – odparł Tommy.

–Ach, to nasze rutynowe postępowanie w czasie próbnych alarmów. Tak jak mówiłem, najprawdopodobniej jest to fałszywy alarm. Krótkie śpięcie lub coś w tym rodzaju. Przepraszam panią za kłopot, pani Lassiter.

Kiedy mężczyzna odsunął się od samochodu, Meg spojrzała na ludzi z karabinami stojących za nim i na innych, którzy przeczesywali teren pod ogrodzeniem, tonący w niesamowitym świetle. Niepokój i napięcie były widoczne nie tylko na twarzach, ale także w ruchach wszystkich postaci krzątających się w nocnej zamieci.

Zaniknęła okno i wrzuciła bieg. Kiedy ruszała, Tommy zapytał:

–Myślisz, że on kłamał?

–Kochanie, to nie twoja sprawa.

–Terroryści albo szpiegzy – orzekł Tommy z zapalem, jaki tylko młody chłopiec mógłby okazać w obliczu tak poważnego zagrożenia.

Minęli północny kraniec terenu Biolomechu, światło sodowych latarni wtopiło się w ciemność za ich plecami i znów ze wszystkich stron spowiły ich noc i śnieżyca.

Nad drogą bezlistne dęby wyciągały sękate ramiona. W światłach jeepa ożywały ulotne podrygujące cienie.

Dwie minuty później Meg skręciła z drogi w lewo na kilometrowy podjazd, który prowadził na farmę. Z ulgą poczuła, że są nareszcie w domu.

Farma Cascade przejęła nazwę od nazwiska trzypokoleniowej rodziny, która tu kiedyś mieszkała. Posiadłość miała pięć hektarów i leżała w rolniczym rejonie Connecticut, ale od dawna nie była już gospodarstwem rolnym. Meg i Jim kupili ją cztery lata temu, po tym, jak Jim sprzedał swoje udziały w nowojorskiej agencji reklamowej, którą założył kiedyś razem z dwoma współnikami. Posiadłość ta miała być początkiem nowego życia – Jim miał nareszcie zrealizować swoje marzenia o pisaniu nie tylko tekstów reklamowych, Meg zaś mogła tu stworzyć pracownię artystyczną większą niż w mieście, a jednocześnie zapewniającą jej

spokój.

W Cascade Jim zdażył napisać przed śmiercią dwie powieści z suspensem, które cieszyły się umiarkowanym powodzeniem. Meg z kolei wprowadziła do swojej sztuki nowe elementy, zaczęła stosować jaśniejsze tony, potem jednak, po śmierci Jima, jej styl stał się tak ponury i mroczny, że w galerii, do której wstawiała prace, zasugerowano, by wróciła do poprzedniej pogodniejszej kolorystyki, jeśli chce w dalszym ciągu sprzedawać obrazy.

Jednopiętrowy dom z kamienia miał osiem pokoi, wielką, nowocześnie urządzoną kuchnię, dwie łazienki, dwa kominki i dwie werandy – od frontu i z tyłu – gdzie można było usiąść i bujać się w letnie wieczory. Sto metrów za domem stała ogromna stodoła.

Dom oświetlony reflektorami samochodu wyglądał przytulnie i przyjaźnie nawet w tych zimowych ciemnościach, z falistym okapem obrębionym sopłami lodu, targany wiatrem i smagany śnieżnymi biczami, bez jednego choćby okna od frontu ogrzanego światłem lampy.

–Nareszcie w domu – powiedziała Meg z ulgą. – Na kolację spaghetti?

–Zrób dużo, żeby zostały zimne resztki na śniadanie.

–A fuj.

–Zimne spaghetti na śniadanie jest najlepsze.

–Jesteś obląkanym dzieckiem.

Objechała dom dookoła, podjechała pod werandę od tyłu i pomogła Tommy’emu wysiąść z samochodu.

–Zostaw kule i oprzyj się o mnie – powiedziała, przekrzykując wycie i świst wiatru. Na śniegu kule i tak na nic by się nie zdały. – Zabiorę kule, jak wprowadzę samochód do garażu.

Pewnie dałaby radę wziąć go na ręce, gdyby nie gips, który sięgał od palców aż za kolano i był okropnie ciężki. Tommy mógł się więc tylko na niej wesprzeć i skakać do domu na jednej, zdrowej nodze.

Przed wyjazdem Meg zostawiła w kuchni światło dla Gamonia – ich czteroletniego czarnego labradora – i teraz oszronione szyby połyskiwały bursztynowym blaskiem, oświetlając również ganek.

Przy drzwiach Tommy oparł się o ścianę, podczas gdy Meg otwierała drzwi. Kiedy weszła do kuchni, pies nie wyleciał do niej jak zwykle, merdając z radości ogonem, lecz podszedł chyłkiem ze spuszczoną głową i podkulonym ogonem. Widać było, że się cieszy na jej widok, ale jednocześnie strzela oczami na boki, jakby się spodziewał, że z któregoś kąta wyskoczy nań rozwścieczony kot.

Łokciem zamknęła za sobą drzwi i zaprowadziła Tommy'ego do krzesła przy kuchennym stole. Potem zdjęła buty i postawiła na chodniku przy drzwiach.

Gamoń trzął się jak z zimna, a przecież piec olejowy był włączony i w domu panowało przyjemne ciepło. Potem wydał dziwny miauczący odgłos.

–Gamoniu, o co chodzi? – zapytała Meg. – Coś przeszkrobał? Wywróciłeś lampę, co? Czy pogryzłeś poduszkę?

–Och, to dobre psisko – powiedział Tommy. – Jeśli przewrócił lampę, to na pewno za nią zapłaci, prawda, Gamoniu?

Gamoń leciutko pomerdał ogonem. Zerknął nerwowo na Meg, a potem w stronę jadalni, jakby czaił się tam ktoś, kogo pies się bał. Meg przejął nagle lęk.

Ben Parnell minął blokadę przy głównej bramie i skierował swojego chevroleta blazera do budynku laboratorium numer trzy, które mieściło się w samym środku kompleksu. Na wełnianej czapce narciarskiej topniał śnieg i kapał mu za kołnierz kurtki z futrzanym podbiciem.

Na całym terenie w nienaturalnym żółtym świetle krążyli nerwowo członkowie ekipy poszukiwawczej. Chroniąc się przed lodowatym wiatrem, powtulali głowy w ramiona, wskutek czego nie wyglądali jak ludzie, lecz jak żalosne demony.

W pewnym sensie Ben cieszył się z tego alarmu. Gdyby nie to, siedziałby teraz w domu i udawał, że czyta albo ogląda telewizję, podczas gdy w rzeczywistości rozmyślałby o Melissie, swojej ukochanej córeczce, którą stracił przez raka. A gdyby nawet udało mu się nie myśleć o Melissie, to prawdopodobnie wspominałby swoją żonę, Leah, którą stracił przez...

Przez co?

W dalszym ciągu nie mógł zrozumieć, dlaczego ich małżeństwo się rozpadło po tym, jak skończyła się udręka Melissy. Benowi przychodziła do głowy tylko jedna rzecz, która stała się między nimi – rozpacz Leah, rozpacz tak czarna, głęboka i wszechogarniająca, że Leah nie była zdolna wzbudzić w sobie żadnych innych uczuć, nawet miłości do Bena. Może zresztą ziarno rozstania tkwiło w nich od dawna, tylko wykiełkowało dopiero po śmierci Melissy, niemniej Ben kochał swoją żonę wtedy i kochał ją nadal, już nie tak namiętnie, raczej z sentymentem, z jakim mężczyzna może kochać marzenie o szczęściu, chociaż wie, że się nie ziści. Tym właśnie była dla niego Leah przez ostatni rok: nie wspomnieniem i nawet nie marzeniem o tym, co by mogło być, ale marzeniem o tym, co się nigdy nie zdarzy.

Zaparkował samochód przed jednopiętrowym, przypominającym bunkier budynkiem bez okien, w którym się mieściło laboratorium numer trzy. Podszedł do stalowych drzwi, wsunął kartę identyfikacyjną w szczelinę czytnika, po czym, kiedy czerwone światło nad wejściem zmieniło się na zielone, a drzwi otworzyły się z sykiem, wszedł do środka.

Stał w przedsionku podobnym do śluz powietrznych na statkach kosmicznych. Drzwi wejściowe zamknęły się za nim z takim samym sykiem. Zdjął rękawiczki i czekał przed wewnętrznymi drzwiami, aż kamera zarejestruje jego twarz. Wtedy w ścianie przesunęła się niewielka płytka, odsłaniając podświetlony kwadrat z zarysem prawej dłoni. Ben przyłożył rękę do płytki i komputer zeskanował jego odciski palców. Kilka sekund później, kiedy system bezpieczeństwa potwierdził jego tożsamość, rozsunęły się wewnętrzne drzwi i Ben wszedł do głównego holu, z którego prowadziły wejścia do laboratoriów, gabinetów i innych korytarzy.

Kilka minut wcześniej na wieść o krytycznej sytuacji do Biolomechu przyjechał doktor John Acuff, przewodniczący projektu Blackberry. Ben znalazł Acuffa na korytarzu we wschodnim skrzydle, gdzie dyskutował z ożywieniem z trojgiem naukowców – dwoma mężczyznami i kobietą, którzy również pracowali przy projekcie Blackberry.

Kiedy Ben podszedł bliżej, stwierdził, że Acuff jest prawie nieprzytomny ze strachu. Krępy, lysiejący mężczyzna o szpakowatej brodzie nie był ani typem roztargnionego profesora, ani chłodnego analityka. Miał wyśmienite poczucie humoru i w ogóle niczym nie przypominał stereotypowego naukowca. Zwykle w oczach migotały mu wesołe iskierki. Ale nie tym razem. Tym razem na jego twarzy nie było ani cienia uśmiechu.

–Ben! Znalazłeś nasze szczury?

–Ani śladu. Chcę z tobą porozmawiać. Musisz mi dać jakieś wskazówki, gdzie ich szukać.

Acuff przyłożył dłoń do czoła, jakby sobie mierzył gorączkę.

–Musimy je złapać, Ben, i to szybko. Jeśli ich dzisiaj nie znajdziemy... Jezu... jak pomyślę o wszystkich możliwych konsekwencjach... to będzie koniec.

Pies próbował zawarczeć na coś, co się kryło w ciemnej jadalni, ale warkot znów przeszedł w żalosne skamlenie.

Meg niechętnie, ale śmiało ruszyła w stronę jadalni i po omacku sięgnęła ręką do kontaktu. Zapaliła światło. Wokół stołu w stylu królowej Anny stało równo rozstawionych osiem krzeseł, w fazowanych szybkach dużej serwantki połyskiwały talerze. Spodziewała się tu znaleźć intruza, a tymczasem wszystko było na swoim miejscu.

Gamoń nie ruszył się z kuchni i nie przestawał się trząść. Nie należał do strachliwych psów, a jednak coś go przeraziło. I to porządnie.

–Mamusiu?

–Zostań tu – powiedziała.

–Co się dzieje?

Zapalając po drodze światła, Meg przeszukała salon i gabinet z rzędami książek. Zajrzała do szaf i za wszystkie większe meble. Na górze trzymała strzelbę, ale nie chciała zostawiać Tommy’ego na dole, dopóki się nie upewni, że nikogo tu nie ma.

Po śmierci Jima wpadła w prawdziwą obsesję na punkcie bezpieczeństwa i zdrowia chłopca. Wiedziała o tym, przyznawała się do tego otwarcie, ale nie potrafiła tego zmienić. Za każdym razem, kiedy Tommy się przeziębia!, była pewna, że dostanie zapalenia płuc; kiedy się skaleczył, choćby niegroźnie, panikowała, jakby utrata łyżeczki krwi miała go zabić. Kiedy w czasie zabawy spadł z drzewa i złamał nogę, o mało nie zemdlala na widok jego wykręconej kończyny. Gdyby straciła Tommy’ego, którego kochała z całego serca, straciłaby nie tylko syna, ale też ostatnią żyjącą częśćkę Jima. Meg Lassiter nauczyła się bać śmierci kochanych osób bardziej niż własnej.

Lękała się, że Tommy mógłby się ciężko rozchorować albo mieć jakiś wypadek, ale chociaż kupiła broń do obrony, nigdy nie myślała poważnie, że jej syn mógłby paść ofiarą czyichś złych uczynków. „Złe uczynki” – to brzmiało tak melodramatycznie, aż śmiesznie. Mieszkali przecież na wsi, wolnej od przestępczości, która była czymś normalnym w Nowym Jorku.

Coś jednak przeraziło buńczuczego labradora, a rasę tę nie bez powodu chwalono powszechnie za odwagę i waleczność. Jeśli nie intruz, to co?

Weszła do holu i zajrzała na ciemne schody. Zapaliła na górze światło i zawahała się. Kiedy przelatowała jak burza przez pomieszczenia na parterze, odwagi dodawała jej troska o Tommy’ego. Nie zważała wtedy na własne bezpieczeństwo. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, co właściwie robi, jeśli rzeczywiście trafi na intruza.

Z góry nie dochodził żaden odgłos. Słyszeć było tylko zawodzenie i szemranie wiatru. Mimo to coś jej mówiło, że nie powinna wchodzić na górę.

Może najrozsądniej byłoby wrócić z Tommym do samochodu i pojechać do najbliższych sąsiadów, którzy mieszkali pół kilometra dalej od zjazdu z Black Oak Road. Mogłaby stamtąd zadzwonić do biura szeryfa i poprosić, żeby sprawdzili jej dom od piwnic aż po strych.

Śnieżycą jednak cały czas przybierała na sile i jazda w takich warunkach była ryzykowna, nawet jeepem z napędem na cztery koła.

Gdyby na górze krył się intruz, pies szczekałby jak oszalały. Gamoń był nieco ciapowaty, ale nie należał do tchórzy. Może wcale nie kulił się ze strachu, może źle odczytała jego zachowanie. Podwinięty ogon, zwieszona głowa, drżące boki równie dobrze mogły być oznaką choroby.

–Przestań się tak pietrać – powiedziała do siebie ze złością i czym prędzej weszła na górę.

Na korytarzu na piętrze było pusto. Weszła do swojego pokoju i wyjęła spod łóżka strzelbę Mossberga kalibru.12 z krótką lufą i chwytem pistoletowym. Była to idealna broń do obrony w domu: mała, ale wystarczająca, żeby powstrzymać napastnika. Nie trzeba było świetnie strzelać, aby jej używać, rozrzut śrutu był bowiem tak duży, że wystarczyło wycelować mniej więcej w odpowiednim kierunku, żeby trafić w cel. Poza tym dzięki lekkim pociskom można było skutecznie udaremnić napastnikowi zamiary, niekoniecznie go zabijając. Meg nie chciała nikogo zabijać. Prawdopodobnie w ogóle by nie kupiła nawet tego mossberga, gdyby nie Tommy, któremu musiała zapewnić bezpieczeństwo.

Sprawdziła pokój syna. Pusto.

Dwie sypialnie w tylnej części domu, połączone szerokim łukowatym przejściem tworzyły pracownię Meg. Sztalugi, deska kreślarska, białe szafki z materiałami – wszystko wyglądało dokładnie tak, jak je Meg zostawiła. Nikt się również nie czaił w żadnej z dwóch łazienek. Podobnie gabinet Jima – ostatnie miejsce, które przeszukała – był pusty. Widać naprawdę źle zinterpretowała zachowanie psa, trochę się zawstydzila, że zareagowała tak nerwowo.

Opuściła broń i stała chwilę w gabinecie Jima, żeby wziąć się w garść. Po jego śmierci zostawiła ten pokój tak, jak był, niczego w nim nie ruszając. Czasami używała komputera do pisania listów i prowadzenia księgowości, ale miała również inny, bardziej sentymentalny powód, żeby niczego tu nie zmieniać. Ten pokój przypominał jej, jaki Jim był szczęśliwy, gdy pisał powieść. Miał uroczy, bardzo chłopięcy sposób bycia, a najbardziej właśnie wtedy, gdy z entuzjazmem opowiadał o swojej książce, kiedy obmyślał rozwój akcji. Meg przychodziła tu czasami i siadała, żeby go powspominać.

Czasami odnosiła wrażenie, jakby od śmierci Jima tkwiła w potrzasku, jakby zatrzasnęły się za nim jakieś drzwi, kiedy odszedł z jej życia, a ona została w maleńkim pokoiku za tymi drzwiami, bez klucza, który mógłby ją uwolnić, ani okna, przez które mogłaby uciec.

Jak ma zbudować nowe życie, znaleźć szczęście po stracie człowieka, którego tak bardzo kochała? Łączyło ich idealne uczucie. Czy jakikolwiek inny związek może mu dorównać?

Westchnęła, zgasiła światło i wychodząc, zamknęła za sobą drzwi. Zniosła strzelbę z powrotem do swojej sypialni.

Na korytarzu, kiedy szła do schodów, odniosła wrażenie, jakby ktoś ją obserwował. To osobliwe uczucie było tak przemożne, że aż się odwróciła i jeszcze raz spojrzała w głąb korytarza.

Pusto.

Przecież szukała już wszędzie. Nie miała wątpliwości, że poza nią i Tommym nie ma w domu nikogo.

Jesteś zdenerwowana przez tego idiotę na drodze, który jechał, jakby miał gwarancję na wieczny żywot, pomyślała.

Kiedy wróciła do kuchni, Tommy siedział na krześle tak, jak go zostawiła.

–Co się stało? – zapytał niespokojnie.

–Nic, skarbie. Wiesz, Gamoń się tak dziwnie zachowywał... Myślałam, że może mieliśmy włamywacza, ale nikogo nie było.

–Stary Gamoń coś nabroił?

–Nie, też nie – odparła. – Niczego nie zauważyłam. Pies przestał się już kulić i trząść. Kiedy Meg weszła do kuchni, siedział na podłodze przy krześle Tommy’ego. Na widok pani wstał i podszedł do niej, a kiedy wyciągnęła rękę, rozdziawił pysk i zaczął ją trącać nosem. Potem podszedł do drzwi i podrapał w nie lekko łapą, jak zawsze kiedy chciał dać do zrozumienia, że potrzebuje wyjść na dwór.

–Pójdę wprowadzić samochód. Zdejmij kurtkę i rękawiczki – powiedziała do Tommy’ego. – Tylko nie ruszaj się z tego krzesła, dopóki nie wrócę z kulami.

Włożyła z powrotem buty i wyszła na dwór, zabierając ze sobą psa. Zamięć jeszcze się wzmogła, płatki śniegu padały teraz mniejsze i twardsze jak ziarnka piasku. Uderzając o dach ganku, wydawały miliony delikatnych stuknięć.

Gamoń wypadł na podwórze, zupełnie nie przejmując się zamięcią.

Meg wprowadziła samochód do stodoły, która służyła im za garaż. Kiedy wysiadła, spojrzała w górę na ledwo widoczne krokwie, trzeszczące pod naporem wichru. W dawnej oborze pachniało smarem i olejem, ale delikatna słodkawa woń siana i zwierząt hodowlanych również

utrzymała się przez te wszystkie lata.

Wyjęła z samochodu kule Tommy'ego i znów poczuła mrowienie w karku, zupełnie jakby ktoś ją obserwował. Rozejrzała się po stodole, ale w środku panował półmrok, paliła się tylko jedna słaba żarówka zawieszona na dźwigni automatycznego otwierania drzwi. Ktoś się mógł czaić za drewnianą przegrodą oddzielającą stodołę od stajni na wschodniej ścianie; ktoś mógł siedzieć w górze na zasieku. Meg nie zauważyła jednak nic, co by usprawiedliwiło jej podejrzenia.

–Meg, za dużo horrorów ostatnio czytałaś – powiedziała, szukając pocieszenia we własnym głosie.

Z kulami Tommy'ego w rękach wyszła ze stodoły, nacisnęła guzik automatycznych drzwi i obserwowała, jak opuszczają się metalowe kasetony, aż z głośnym lupnięciem opadły na beton. Stała jak wryta na środku podwórza, tak ją nagle uderzyło piękno zimowego nocnego krajobrazu. Ciemność rozświetlał delikatny blask bijący od śniegu, podobny do blasku księżyca, lecz bardziej niematerialny i mimo gwałtownej zawiei pełen cichego uroku. Na północnym krańcu podwórza stało pięć bezlistnych klonów; czarne konary przeszywały noc, a szorstka kora powlekała się z wolna warstwą smagającego śniegu.

Do rana mogą zostać z Tommym odcięci od świata. Każdej zimy przynajmniej kilka razy Black Oak Road na parę dni blokowały głębokie zasy. Odcięcie od świata na takie krótkie okresy nie było specjalnie uciążliwe, przeciwnie, miało szczególny urok.

Mimo to pogoda była nieprzyjemna, drobniutkie kulki śniegu klęły dotkliwie w twarz. Meg zawołała Gamonia, który wybiegł z za węgla domu ledwo widoczny w ciemności i bardziej przypominający zjawę niż psa. Wyglądało, jakby sunął po śniegu, jakby nie był żywym stworzeniem, tylko czarnym widmem. Dyszał, merdał ogonem i tryskał energią, zupełnie niezrażony okropną pogodą.

Meg otworzyła drzwi do kuchni. Tommy cały czas siedział przy stole. Za jej plecami Gamoń zatrzymał się na ostatnim stopniu werandy.

–No, chodź, bo tu zimno – powiedziała do psa. Labrador zapiszczał, jakby bał się wracać do domu.

–Chodź, chodź, czas na kolację.

Z wahaniem Gamoń wszedł na werandę, wetknął głowę do środka i podejrzliwie zajrzał do kuchni. Przez chwilę węszył w ciepłym powietrzu, po czym zadrzał.

Meg trąciła go żartobliwie butem w bok. Pies spojrzał na nią z wyrzutem i ani drgnął.

–Gamoniu, no chodźże tu. Chcesz nas zostawić bez opieki? – zapytał Tommy od stołu.

Pies jakby zrozumiał, że stawką w tej grze jest jego dobre imię, i z ociąganiem przekroczył próg. Meg weszła za nim, zamknęła drzwi, po czym zdjęła z wieszaka psi ręcznik.

–Ani mi się waż otrzepać, kundlu, zanim cię wytrę. Kiedy się schylała z ręcznikiem, Gamoń otrzepał się energicznie, rozpryskując topniejący śnieg na nią i najbliższe szafki.

Tommy wybuchnął śmiechem. Pies popatrzył na chłopca ze zdziwieniem, co go rozweseliło jeszcze bardziej, aż Meg też nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Ogólne rozbawienie podniosło Gamonia na duchu. Przestał się kulić, zamerdzał ogonem i podbiegł do Tommy’ego.

Kiedy Meg i Tommy weszli do domu, oboje byli przestraszeni i podenerwowani wypadkiem, którego uniknęli o włos na niebezpiecznym zakręcie Black Oak Road. Może Gamoń wyczuł ich napięcie, tak jak teraz podniósł go na duchu ich śmiech. Psy są bardzo czule na ludzkie emocje – Meg nie potrafiła inaczej wytłumaczyć dziwnego zachowania labradora.

Szyby zamarzyły, a wiatr zawodził na dworze, jakby chciał zetrzeć całą planetę do rozmiaru księżycy, potem asteroidy, aż wreszcie pyłka kurzu. Tym przytulniej wydawało się w domu.

Meg i Tommy jedli spaghetti przy stole kuchennym.

Gamoń nie zachowywał się już tak dziwnie jak na początku, ale w dalszym ciągu był nieswój. Bardziej niż zwykle szukał ich towarzystwa, do tego stopnia, że nie chciał nawet sam jeść. Meg patrzyła osłupiała i rozbawiona, jak pies przesuwając nosem miskę zjedzeniem aż do krzesła Tommy'ego.

–Następnym razem będzie chciał usiąść na krześle i jeść przy stole – powiedział Tommy.

–Najpierw musiałby się nauczyć trzymać przyzwoicie widelec – rzekła Meg. – Nie znoszę, kiedy go trzyma odwrotnie.

–Wyślemy go do szkoły dobrych manier – odparł Tommy, nawijając na widelec długie nitki spaghetti. – Może nauczy się stać na tylnych łapach i chodzić jak człowiek.

–Jak się nauczy stać na dwóch nogach, od razu będzie chciał tańczyć.

–Och, będzie się świetnie prezentował na parkiecie w sali balowej.

Uśmiechnęli się do siebie. Meg rozkoszowała się szczególnym poczuciem bliskości, które było możliwe tylko w chwilach takich wspólnych wyglupów jak teraz. Przez ostatnie dwa lata Tommy zdecydowanie za rzadko bywał w takim beztroskim nastroju.

Gamoń leżał przy misce i jadł swój pokarm Alpo, ale nie tak łapczywie jak zwykle. Dziubał go jakby od niechcienia i raz po raz podnosił głowę, strzygąc oklapłymi uszami i nasłuchując, jak na dworze zawodzi wiatr.

Nieco później, kiedy Meg zmywała po kolacji naczynia, a Tommy czytał przy stole w kuchni książkę przygodową, Gamoń niespodziewanie szczechnął głucho i poderwał się na równe nogi. Potem stał sztywno i wpatrywał się w szafki po drugiej stronie kuchni, między lodówką a drzwiami do piwnicy.

Meg miała już go uspokoić, kiedy nagle i ona usłyszała to, co go przestraszyło: szmer dochodzący ze środka szafek.

–Myszy? – zapytał z nadzieją Tommy, bo nie znosił szczurów.

–Za duże na myszy.

Mieli już kiedyś szczury. W końcu mieszkali na farmie, kiedyś było to wyjątkowo atrakcyjne

miejsce dla wszelkich gryzoni, ponieważ w stodole stale przechowywano ziarno i paszę dla zwierząt. Mimo że teraz trzymano tam jedynie jeepa, a szczury wyniosły się szukać lepszego żeru gdzie indziej, każdej zimy wracały, jak gdyby dawny status Cascade jako szczurzego rajju przechował się w pamięci gatunku i budził w każdym kolejnym pokoleniu.

Z szafki doszło szaleńcze skrobanie pazurami o drewno, potem rumor przewróconej puszkii i charakterystyczny odgłos szczurzego ciała przemykającego po półce i potrącającego pojemniki z jedzeniem.

–Ale wielki – powiedział Tommy z oczami wytrzeszczonymi ze strachu.

Gamoń zamiast szczełnąć, pisnął i uciekł w drugi koniec kuchni, byle jak najdalej od zaszczurzonego mebla. Dawniej uwielbiał ganiać szczury, chociaż nie odnosił podczas tych polowań wielkich sukcesów.

Meg wytarła ręce w ręcznik, dziwiąc się znów temu psiemu napadowi tchórzostwa. Podeszła do trzydrzwiowej szafki i przyłożyła do niej ucho. Niczego nie usłyszała.

–Uciekł – powiedziała, kiedy po dłuższej chwili nadal panowała cisza.

–Chyba nie chcesz jej otworzyć? – powiedział Tommy, kiedy Meg złapała za uchwyt drzwiczek.

–Oczywiście, że chcę. Muszę sprawdzić, jak on się tam dostał, czy przypadkiem nie przegryzł tylnej ścianki.

–A jeśli on tam cały czas siedzi? – zapytał chłopiec.

–Na pewno już go nie ma. Poza tym szczury są wstrętne i odrażające, ale nie niebezpieczne. Nie ma większego tchórze niż szczur.

Walnęła pięścią w szafkę, żeby się upewnić, że przestraszyła zwierzę, na wypadek gdyby rzeczywiście nadal tam było. Potem otworzyła środkowe drzwiczki, stwierdziła, że wszystko w porządku, uklękła i zajrzała do dolnej szafki. Kilka puszek leżało poprzewracanych, a w jednej zamkniętej paczce krakersów widać było wygryzioną dziurę i splądrowaną zawartość.

Gamoń zaskomlał. Meg włożyła rękę do szafki, odsunęła puszki na bok, wyjęła kilka paczek makaronu i położyła je na podłodze obok siebie, potem zajrzała na półkę. W głąb dolnej części szafki dochodziło niewiele światła, ale nawet to wystarczyło, żeby zobaczyć poszarpaną dziurę w sklejce tylnej ścianki, tamtędy szczur dostał się do środka. Czuć było delikatny powiew chłodniejszego powietrza, wpadającego do szafki przez otwór.

Meg wstała i otrzepała ręce.

–Tak jest, z całą pewnością to nie Myszka Miki wpadła do nas z wizytą, tylko

najprawdziwszy szczur, i to przez wielkie „S”. Lepiej przyniosę pułapki.

–Chyba nie zostawisz mnie tu samego? – odezwał się Tommy, kiedy podeszła do drzwi do piwnicy.

–Skarbie, idę tylko po pułapki.

–A jeśli ten szczur wyskoczy, kiedy ciebie nie będzie?

–Nie wyskoczy. Szczury wolą się kryć w ciemnych miejscach.

Chłopiec się zarumienił. Wstyd mu było, że się boi.

–No bo... to wszystko przez tę nogę. Nie mógłbym uciec, jakby mnie zaczął gonić.

Meg współczuła mu z całego serca, ale zdawała sobie sprawę, że nie może się nad nim rozczulać, aby nie podsycać jego irracjonalnego lęku.

–Hej, kapitanie, nie obawiaj się, nie zaczniesz cię gonić. On się nas boi dużo bardziej niż my jego.

Zapaliła światło w piwnicy i zeszła na dół, zostawiając Tommy’ego z Gamonem. Półmrok na dole rozpraszały dwie zakurzone żarówki. Znalazła sześć pułapek – prawdziwych solidnych potrzasków na szczury, nie jakichś delikatnych łapek na myszy – i trutkę w granulach, po czym wróciła z nimi na górę. Nie zauważyła ani nie słyszała żadnego nieproszonego gościa.

Tommy odetchnął z ulgą na jej widok.

–Te szczury są jakieś dziwne.

–Myślę, że to tylko jeden – powiedziała, kładąc pułapki na blacie obok zlewu. – Dlaczego dziwne?

–No bo Gamoń się ich boi, tak jak wtedy, kiedy weszliśmy do domu, widocznie wówczas to też one go przestraszyły. Gamoń nie jest strachliwy, to znaczy, że w tych szczurach jest coś dziwnego, co go tak denerwuje.

–Nie szczurach w liczbie mnogiej – sprostowała Meg. – To jest prawdopodobnie tylko jeden szczur. A co do tego kundla, to nie mam pojęcia, co go ugryzło. Czasami jest głuputki. Pamiętasz, jak się przeraźliwie bał odkurzacza?

–Ale wtedy był szczeniakiem.

–Nieprawda, miał prawie trzy lata i jeszcze się go bał – powiedziała Meg, wyjmując z lodówki suszoną wołowinę, której zamierzała użyć jako przynęty do pułapek.

Siedząc na podłodze przy krześle swojego młodego pana, pies popatrzył na Meg i zaskomlał cicho.

Szczerze mówiąc, Meg była tak samo zaniepokojona dziwnym zachowaniem labradora jak Tommy, ale nie chciała syna jeszcze bardziej denerwować.

Napełniła dwie miseczki trutką i wstawiła jedną do szafki pod zlewem, a drugą do szafki z krakersami. Nie ruszała pogryzionej paczki, licząc na to, że szczur wróci po niedokończone przysmaki i zamiast ciastek zje zatrute granulki.

Włożyła wołowinę do czterech pułapek, po czym jedną wstawiła pod zlew, drugą do szafki z krakersami, tylko na wyższą półkę, trzecią zaniósła do spiżarni, a czwartą do piwnicy. Kiedy wróciła do kuchni, powiedziała:

–Dokończę zmywać i przeniesiemy się do pokoju. Może złapie się jeszcze dzisiaj, a jak nie, to na pewno w nocy.

Dziesięć minut później, wychodząc z kuchni, zgasiła za sobą światło. Miała nadzieję, że ciemność wywabi szczura z kryjówki i zwierzę wpadnie w pułapkę, zanim ona i Tommy położą się do łóżek. Oboje będą spać spokojniej, wiedząc, że paskudny szkodnik nie żyje.

Kiedy rozpalała w kominku, Gamoń ułożył się przed paleniskiem. Tommy usiadł w fotelu, położył obok siebie kule, oparł nogę w gipsie na stolku i otworzył książkę. Meg włączyła jakąś lekką muzykę i usadowiła się w swoim fotelu z najnowszą powieścią Mary Higgins Clark.

Z dworu dochodziły odgłosy gwałtownej i lodowatej wichury, ale w salonie było przytulnie. Pół godziny później, kiedy Meg zatopiła się bez reszty w lekturze, w przerwie między piosenkami z kuchni dobiegło głośnie trzaśnięcie.

Gamoń podniósł głowę. Tommy i Meg popatrzyli na siebie.

Rozległo się drugie trzaśnięcie.

–Dwa – powiedział chłopiec. – Złapaliśmy dwa naraz! Meg odłożyła książkę i uzbroiła się w pogrzebacz, na wypadek gdyby którąś z ofiar trzeba było dobić. Tego wyjątkowo nie znosiła.

Weszła do kuchni, zapaliła światło i zajrzała najpierw do szafki pod zlewem. Miseczka po trutce była prawie pusta. Wołowina z wielkiej pułapki też znikła – mechanizm był zwolniony, ale żaden szczur się nie złapał.

Jednak pułapka nie była pusta – tkwił w niej przytrzaśnięty piętnastocentymetrowy kawałek drewna, który zwolnił mechanizm, aby można było bezpiecznie wziąć przynętę.

Nie. Przecież to absurd.

Meg wyjęła pułapkę, żeby jej się bliżej przyjrzeć. Długa drzazga miała jedną stronę jasną, a drugą ciemną – bez wątpienia był to pasek sklejk, takiej, z jakiej wykonano ściankę szafki, którą szczur przegryzł, żeby się dostać do krakersów.

Meg odsunęła od siebie przerażającą myśl, od której przeszły ją ciarki. W szafce przy lodówce z miseczki również znikło zatrute jedzenie; druga pułapka także była zwolniona przytrzaśniętym kawałkiem sklejk i z niej również ściągnięto przynętę.

Co za szczur mógł być tak inteligentny...?

Wstała z kolan i otworzyła środkowe drzwiczki. Puszki, galaretki w proszku, pudełka z rodzynekami i płatkami na pierwszy rzut oka wyglądały na nienaruszone. Po chwili jednak przed otwartym pudełkiem z płatkami zobaczyła brązową kulkę wielkości groszku – granulę trutki. Tylko że Meg nie kładła trutki tam, gdzie stały płatki; miseczki z trucizną wyłożyła jedynie na dole i w szafce pod zlewem, więc to szczur musiał przenieść kulkę na wyższą półkę.

Gdyby nie to, że zaniepokoiła ją ta granulka trucizny, pewnie by nie zauważyła zadrapań i dziurek w pudełku z płatkami. Przez długą chwilę wpatrywała się bezmyślnie w opakowanie, zanim w końcu wzięła je do ręki i zaniósła do zlewu.

Odłożyła pogrzebacz na blat i drżącymi rękami rozchyliła pudełko, po czym wysypała trochę płatków do zlewu. Razem z płatkami z pudełka wyleciały zmieszane granulki trucizny. Wysypała wszystko do zlewu. Całe zatrute jedzenie, które znikło z miseczek, zostało wsypane do płatków.

Serce zaczęło jej walić jak oszalałe, aż w skroniach poczuła lomotanie tętna.

Co tu się dzieje, do diabła?

Coś zaskrzeczało za jej plecami. To był dziwny, gniewny głos. Odwróciła się i zobaczyła obrzydliwego białego szczura. Stał na tylnych łapach na półce z płatkami. Półka miała prawie czterdzieści centymetrów wysokości, a zwierzę nie było całkowicie wyprostowane, musiało zatem mieć czterdzieści pięć centymetrów długości – piętnaście centymetrów więcej niż zwykły szczur, nie licząc ogona. Ale to nie jego wielkość zmroziła krew w żyłach Meg. Najbardziej przeraziła ją głowa tego stworzenia. Wielkością dorównywała piłce baseballowej, czyli była dwa razy większa niż normalnie, nieproporcjonalnie olbrzymia w porównaniu z resztą ciała, w dodatku dziwacznie ukształtowana – wybrzuszona u góry czaszki, podczas gdy oczy, nos i pysk były stłoczone w dolnej części.

Zwierzę gapiło się na Meg i wymachiwało w powietrzu uniesionymi przednimi łapami. Wyszczrzyło zęby i prychnęło jak kot, potem znów zaskrzeczało tak gniewnie i groźnie, że Meg szybko chwyciła z powrotem pogrzebacz.

Chociaż oczy miało to dziwne stworzenie tak samo paciorkowate i czerwone jak każdy szczur, było w nich coś dziwnego, czego Meg z początku nie mogła określić. Szczur patrzył na

nią tak wyzywająco, że aż się przeraziła. Spojrzała na rozrośniętą czaszkę – im większa czaszka, tym większy mózg... i wtedy zrozumiała, że te szkarłatne oczy zdradzały niewiarygodnie wysoką, absolutnie nieszczerzą inteligencję.

Zwierzę znów zaskrzeczało wyzywająco.

Dzikie szczury nie są białe.

Białe są szczury laboratoryjne.

Zrozumiała już, czego szukali ludzie Biolomechu przy blokadzie. Nie miała pojęcia, po co tamtejsi naukowcy mieliby wyhodować takie stworzenie jak to; nie wiedziała również – chociaż jako kobieta wykształcona miała pewną powierzchowną wiedzę na temat inżynierii genetycznej – jak tego dokonali; była jednak ponad wszelką wątpliwość przekonana, że im się udało, ponieważ w całym okręgu tylko stamtąd mogło to stworzenie uciec.

Na pewno nie przyjechało tu na podwoziu jej samochodu, a to znaczy, że w tej samej chwili, kiedy ochrona Biolomechu przeszukiwała jeepa, szczur siedział sobie w cieple i rozgaszczał się u niej w domu.

We wszystkich szafkach przepychały się między puszkami, butelkami i pudełkami inne szczury. Były odrażająco wielkie i jasne, tak jak ten mutant, który prychał i wymachiwał na nią groźnie z półki z płatkami.

Za plecami Meg usłyszała stukanie pazurów na podłodze. Kolejne szczury.

Nawet nie popatrzyła za siebie, nie lękała się, że mogłaby sobie z nimi poradzić za pomocą pogrzebacza. Cisnęła tę bezużyteczną broń i popędziła na górę po strzelbę.

Ben Parnell i doktor Acuff kucali przed dwumetrową klatką, która stała w kącie niewielkiej sali bez okien. Klatka miała metalową podłogę, wyłożoną grubą warstwą miękkiej, żółtobrazowej trawy. Karmniki i poidelka z dozownikami były tak skonstruowane, że napelniało się je z zewnątrz, ale można je było obsługiwać również od środka, więc mieszkańcy klatki otrzymywali pokarm na każde żądanie. Jedną trzecią klatki wypełniały miniaturowe drewniane drabinki i konary, które służyły do zabawy i ćwiczeń.

Drzwiczki klatki były otwarte.

–Proszę, widzisz? – powiedział Acuff. – Zamek zatrzaskuje się automatycznie za każdym razem po zamknięciu drzwiczek. Nie da się go zostawić otwartego przez pomyłkę. A po zamknięciu można je otworzyć tylko kluczem. Drzwi wydawały się odpowiednio zabezpieczone. Nie podejrzewaliśmy, że są aż tak inteligentne, żeby otworzyć zamek!

–No i na pewno nie otworzyły. Przecież nie mogły tego zrobić, skoro nie mają rąk.

–Przyglądałeś się kiedyś ich łapom? Łapy szczurów nie przypominają ludzkich rąk, ale są lepiej rozwinięte niż u innych zwierząt. Ich palce mają połączenia stawowe, dzięki którym mogą chwytać przedmioty. Tak jest u większości gryzoni, na przykład u wiewiórek. Na pewno widziałeś, jak siedzą pionowo i w przednich łapach trzymają kawałek owocu.

–No tak, ale bez przeciwstawnego kciuka...

–Naturalnie, nie są zbyt zręczne, nie da się ich porównać z nami, ale pamiętaj, że to nie były zwykłe szczury, tylko produkt inżynierii genetycznej. Fizycznie poza wielkością i kształtem czaszki niewiele się różnią od swoich krewniaków, ale są mądrzejsze. Dużo mądrzejsze.

Acuff prowadził badania nad sztucznym zwiększaniem inteligencji, które miały wykazać, czy gatunki stojące niżej na drabinie ewolucji daje się genetycznie zmodyfikować i wyhodować w przyszłości pokolenia o znacznie większych możliwościach mózgu. Sukces eksperymentów na zwierzętach laboratoryjnych posłużyłby do wypracowania metod zwiększania inteligencji u człowieka. Badania Acuffa nazwano projektem Blackberry na cześć odważnego i inteligentnego królika z książki *Wodnikowe wzgórza* Richarda Adamsa.

Ben przeczytał książkę Adamsa, którą polecił mu Acuff, i bardzo mu się podobała, ale jak dotąd nie wyrobił sobie ostatecznie zdania, czy pochwała projekt Blackberry.

–W każdym razie – mówił Acuff – to sprawa dyskusyjna, czy potrafiłyby otworzyć zamek. Nie musiały tego robić. – To powiedziawszy, wskazał palcem otwór w ramie klatki, gdzie wpadał rygiel po zamknięciu drzwiczek. Otwór zapchany był brązową ziarnistą substancją. – Granulki pokarmu. Szczury przeżuły częściowo granulaty i wepchnęły tę maź w otwór, żeby zamek nie mógł się automatycznie zatrzasnąć.

–Ale najpierw ktoś musiał otworzyć drzwiczki.

–To się mogło stać po biegu w labiryncie.

–Po czym?

–Mamy taki składany labirynt, duży jak połowa tego pokoju. Zrobiony jest z przezroczystych plastikowych rur i ma sporo trudnych przeszkód. Przystawiamy go do drzwi klatki i szczury wbiegają prosto do środka. Robiliśmy to wczoraj, więc drzwiczki były otwarte dość długo. Mogliśmy nie zauważyć, jeśli któryś z nich zatrzymał się przy drzwiach i coś tam wahał, bardziej nas interesuje, co robią po wejściu do labiryntu.

Ben podniósł się z kucek.

–Widziałem natomiast, w jaki sposób wydostały się z pokoju, a ty?

–Tak, ja też.

Poszli na drugi koniec sali. Tuż przy podłodze widać było, że ktoś majstrował przy wlocie do kanału wentylacyjnego. Otwór miał dziesięć centymetrów na dziesięć i zasłonięty był kratą – przymocowywaną tylko lekkimi zaciskami – która została wyrwana ze ściany.

–Sprawdzałeś w komorze wymiany gazów? – zapytał Acuff.

Ze względu na rodzaj eksperymentów, które prowadzono w laboratorium numer trzy, całe powietrze przed wypuszczeniem na zewnątrz poddawano chemicznemu odkażaniu. Przepuszczano je pod ciśnieniem przez szereg chemicznych kąpiel, rozmieszczonych w pięciosegmentowej komorze wymiany gazów wielkości tira.

–Nie mogły przejść żywe przez komorę – dodał Acuff z nadzieją w głosie. – Może gdzieś tam w którymś segmencie leży osiem martwych szczurów.

Ben pokręcił głową.

–Nie ma, sprawdzaliśmy. Nie znaleźliśmy też żadnej innej naruszonej kraty, przez którą mogły opuścić system wentylacyjny...

–Uważasz, że są gdzieś w kanałach?

–Nie. W którymś miejscu musiały wejść między ściany.

–Ale jak? Kanały wentylacyjne są z PCW, zgrzewane pod ciśnieniem w wysokiej temperaturze specjalnym spoiwem.

Ben pokiwał głową.

–Sądzimy, że przegryzły spoiwo na którymś złączu i obluzowały segmenty kanału na tyle, że udało im się precyzyjnie. Znaleźliśmy szczurze odchody w korytarzu prowadzącym do systemu wentylacyjnego i... miejsce, gdzie się przegryzły przez podsufitkę i pokrycie dachu. Kiedy się już wydostały na dach, mogły zejść po rynnie.

Twarz Johna Acuffa pobieliała bardziej niż najbielsze włosy na jego szpakowatej brodzie.

–Ben, musimy je znaleźć jeszcze dzisiaj, słyszysz? Dzisiaj. Za wszelką cenę.

–Postaramy się.

–Staranie się nie wystarczy. Musimy to zrobić. Ben, w tym stadzie są trzy samce i pięć samic. Płodnych. Jeśli ich nie znajdziemy i one zaczną się rozmnażać na wolności... przez nie wyginą zwykle szczury, a my staniemy wobec zagrożenia, z jakim jeszcze nie mieliśmy do czynienia. Pomyśl tylko: inteligentne szczury, które umieją rozpoznawać niebezpieczeństwo, unikać pułapek, błyskawicznie wyczuwać zatrute przynęty, a w związku z tym są właściwie nie do wytępienia. Już teraz świat traci dużą część swoich zapasów żywności właśnie przez szczury: dziesięć do piętnastu procent w państwach rozwiniętych i pięćdziesiąt w wielu krajach Trzeciego Świata. Tyle żywności tracimy przez głupie szczury. To ile możemy stracić przez mądre? Ben, to by się mogło skończyć głodem nawet w Stanach Zjednoczonych, co dopiero mówić o mniej rozwiniętych krajach.

–Myślę, że wyolbrzymiasz problem, John – powiedział Ben, marszcząc brwi.

–Właśnie, że nie! Szczury są pasożytami, przywykły do rywalizacji. A te będą rywalizować bardziej zażarcie i agresywnie niż wszystkie szczury, jakie dotąd znaleźliśmy.

W laboratorium jakby powiało mrozem z dworu.

–Tylko dlatego, że są ciut sprytniejsze od zwykłych szczurów...

–Nie „ciut”. One są dziesiątki razy sprytniejsze.

–No ale przecież nie są tak mądre jak ludzie, na litość boską.

–Może w polowie tak mądre jak przeciętny człowiek – powiedział Acuff.

Ben aż zamrugał z zaskoczenia.

–A może nawet więcej niż polowie – ciągnął Acuff. Na jego porwanej zmarszczkami twarzy malował się lęk. – A jeśli do tego poziomu inteligencji dodasz przewagę, jaką daje wielkość...

–Wielkość? Przecież my jesteśmy więksi... Acuff pokręcił głową.

–Czasami lepsze jest to, co mniejsze. Są od nas szybsze, mogą zniknąć w szparze, w ścianie, zjechać rynną. Są większe od przeciętnych szczurów, czterdzieści pięć centymetrów zamiast

trzydziestu, ale to i tak stosunkowo mało. I tak mogą przemykać w ciemności niezauważone. A to nie jest jedyna przewaga. Potrafią też widzieć w nocy równie dobrze jak w dzień.

–Zaczynasz mnie przerażać.

–I powinieneś być przerażony, Ben, do nieprzytomności. Bo te szczury, które wyhodowaliśmy, ten nowy gatunek stworzony przez inżynierię genetyczną, są wobec nas wyjątkowo wrogie.

Nareszcie Ben zaczął sobie wyrabiać opinię na temat projektu Blackberry. Nie była pochlebna. Nieprzekonany, czy na pewno chce usłyszeć odpowiedź, zapytał:

–Co dokładnie chciałeś przez to powiedzieć, John?

Acuff odwrócił się od ściany, podszedł na środek pokoju, oparł dłonie na marmurowym stole laboratoryjnym i zwiesił głowę, odezwał się z zamkniętymi oczami:

–Nie wiemy, dlaczego są takie agresywne. Po prostu są. Może to wybryk genomu, a może konsekwencja ich inteligencji. Może rozumieją, że jesteśmy ich panami, i nienawidzą nas za to. Tak czy inaczej są agresywne i zaciekle. Dotkliwie pogryzły kilku naszych naukowców. Prędzej czy później ktoś by prawdopodobnie zginął, gdybyśmy nie przedsięwzięli szczególnych środków ostrożności. Nakładaliśmy grube rękawice, przez które nie mogły się przegryźć, pleksiglasowe maski ochronne na twarz i specjalne fartuchy z wysokimi kołnierzami robione na zamówienie z kevlaru. Z kevlaru! Chryste, z tego robią kamizelki kuloodporne, a my potrzebowaliśmy czegoś takiego do ochrony przed tymi małymi draniami, które uparły się, żeby nas pogryźć.

–To dlaczego ich nie zabiliście? – zapytał osłupiały Ben.

–Przecież nie mogliśmy zabić sukcesu – odrzekł Acuff. Ben był zdezorientowany.

–Jak to sukcesu?

–Z naukowego punktu widzenia ich agresywność nie miała znaczenia, ponieważ były również inteligentne. Próbowaliśmy stworzyć inteligentne szczury i udało się. Po jakimś czasie odkryliśmy, dlaczego są takie agresywne, a przynajmniej tak nam się zdawało. Włożyliśmy je do jednej klatki, bo uznaliśmy, że to z powodu izolacji są takie wrogie, że przy swojej inteligencji potrzebują życia w społeczności, że trzymane w grupie złagodnieją.

–A tymczasem ułatwiło im to ucieczkę. Acuff kiwnął głową.

–I teraz biegają na wolności.

Pędząc korytarzem, Meg minęła szerokie wejście do salonu i zobaczyła Tommy'ego, który sięgał po kule i usiłował wstać z fotela. Gamoń skomlał zdenerwowany. Tommy coś do niej zawołał, ale Meg się nie zatrzymała. Liczyła się każda sekunda. Skręcając na schody i wbiegając na pierwsze stopnie, zerknęła za siebie. Nie zauważyła żadnego szczura, ale światło w holu było zgaszone i coś mogło przemykać w ciemności po podłodze.

Wbiegła na górę, biorąc po dwa stopnie naraz, tak że wpadła do swojej sypialni zdyszana. Wyciągnęła spod łóżka śrutówkę i załadowała pierwszy z pięciu nabołów w magazynku.

Przed oczami stanął jej obraz szczurów rojących się w szafce kuchennej i doszła do wniosku, że może potrzebować dodatkowej amunicji. W bieliźniarce trzymała pudełko z pięćdziesięcioma zapasowymi pociskami, otworzyła więc drzwiczki i... aż krzyknęła, kiedy po podłodze szafki przemknęły dwa białe szczury. Przebiegły jej po butach i uciekły przez dziurę w ścianie, za szybko, żeby zdążyła strzelić, nawet gdyby o tym pomyślała.

Pudełko z nabojami leżało właśnie na samym dole szafki i szczury je znalazły. Przegryzły kartonowe opakowanie i jeden po drugim powynosiły pociski z szafki, a potem z pokoju przez dziurę w ścianie. Zostały tylko cztery ładunki. Złapała je i włożyła do kieszeni dżinsów.

Czy gdyby wyniosły już wszystkie naboje, próbowałyby w następnej kolejności wyjąć ostatnie pięć pocisków z magazynka strzelby, żeby rozbroić ich zupełnie? Czy mogły być aż tak inteligentne?

Z dołu zawołał ją Tommy, a Gamoń czekał gniewnie. Meg wybiegła z sypialni i puściła się w dół po schodach tak szybko, że o mało nie skręciła kostki.

Pies stał w holu na szeroko rozstawionych łapach, z głową prawie przy samej podłodze i przykulonymi uszami. Nie szczekał już, tylko patrząc w napięciu w stronę kuchni, warczał groźnie, chociaż trząsł się jednocześnie ze strachu. Meg wydała nieartykułowany okrzyk ulgi, kiedy wpadła do salonu i zobaczyła, że Tommy stoi o kulach i nie roją się wokół niego żadne szczury.

–Mamusiu, o co chodzi? Co się stało?

–Szczury... Zdaje się... Nie, one na pewno są z Biolomechu. To dlatego była ta blokada na drodze i to ich szukali ci mężczyźni z latarkami i lusterkami, które wtykali pod samochód.

Obrzuciła wzrokiem pokój, wypatrując ukradkowego ruchu pod ścianami lub wokół mebli.

–Skąd wiesz? – spytał Tommy.

–Widziałam je. Też będziesz wiedział, jak je zobaczysz.

Gamoń został w holu, ale Meg niewiele pocieszało jego ostrzegawcze warczenie w stronę kuchni. Zdążyła już zrozumieć, że pies nie jest żadnym przeciwnikiem dla tych stworów. Pokonałyby go albo wywiodły w pole bez najmniejszego trudu. Gdyby tylko były gotowe do ataku.

Bo z całą pewnością szykowały się do ataku. Nie tylko wyglądały inaczej niż zwykle szczury, ale i zachowywały się odmiennie. Szczury są z natury wszystkożerne, prawie nigdy nie polują. Żyją potajemnie w ścianach i ściekach i kryją się w ciemnościach. Nie ośmielają się rzucać na człowieka, chyba że jest zupełnie bezbronny – nieprzytomny pijak albo niemowlę w kołysce. Tymczasem te mutanty z Biolomechu były odważne i agresywne, zarówno drapieżne, jak i wszystkożerne. Ich fortel, żeby wykraść pociski i tym sposobem rozbroić przeciwnika, był bez wątpienia przygotowaniem do ataku.

–Ale jakie są, jeśli nie takie jak zwykle szczury? – zapytał Tommy drżącym głosem.

Meg przypomniała sobie przerośniętą czaszkę, czerwone oczy, z których przebijała złowroga inteligencja, jasne, pulchne i jakieś wyjątkowo odrażające ciało.

–Później ci powiem. Chodź, kochanie, musimy się stąd wydostać.

Mogliby wyjść frontowymi drzwiami, okrążyć dom, a potem przez podwórze dojść do stodoły, gdzie stał jeep, ale to była za daleka droga w głębokim śniegu dla chłopca poruszającego się o kulach. Meg postanowiła więc, że muszą iść przez kuchnię i wyjść tylnymi drzwiami, zresztą i tak ich ubrania schły na wieszaku właśnie przy tylnych drzwiach, a kluczyki miała w kieszeni kurtki.

Gamoń odważnie szedł na przedzie, chociaż nie był z tego powodu szczęśliwy. Meg trzymała się blisko Tommy'ego, ściskając oburącz mossberga. Pięć nabojów w magazynku i cztery w kieszeni – czy to wystarczy? Ile szczurów mogło uciec z Biolomechu? Sześć? Dziesięć? Dwadzieścia? Musi unikać strzelania do pojedynczych sztuk, oszczędzać amunicję, czekać, aż będzie mogła zabić dwa, trzy naraz. No dobrze, ale jeśli nie zaatakują całym stadem? Co zrobi, jeśli będą się rzucać pojedynczo, z różnych stron, zmuszając ją do obracania się raz w lewo, raz w prawo i strzelania po kolei do każdego, aż skończą jej się naboje? Musi je powstrzymać, zanim dopadną jej albo Tommy'ego, nawet jeśli będą się rzucać pojedynczo, bo kiedy się na jedno z nich wdrapią, broń stanie się bezużyteczna. Wtedy pozostaną im gołe ręce przeciwko ostrym zębom i pazurom. Jeśli szczury rzucą się im do gardel, nie dadzą rady wielkim, inteligentnym zwierzętom, które w dodatku nie czują strachu.

Poza wyciem wiatru i stukaniem grubego, ziarnistego śniegu o szyby w kuchni panowała cisza. Szafka była otwarta, tak jak ją Meg zostawiła.

To jakiś obłęd! Przez dwa lata się zamartwiała, jak sobie poradzi sama z wychowaniem Tommy'ego; analizowała wszystkie wartości i zasady, które mu powinna wpoić; drżała ze strachu, kiedy zachorował albo się skaleczył; z niepokojem myślała, jak przebrnie przez

wszystkie trudne okresy, kiedy się pojawiają, ale nigdy w życiu nie przyszło jej do głowy coś takiego jak to! Pocieszała się czasami, że przecież mieszkają z Tommym na wsi, gdzie problem przestępczości nie istnieje, bo gdyby zostali w mieście, denerwowałyby się jeszcze bardziej. Tymczasem sielankowa farma Cascade położona na samym końcu Black Oak Road okazała się tak samo niebezpieczna jak każda wielka metropolia trawiona przestępczością.

–Włóż kurtkę – powiedziała do Tommy’ego.

Gamoń zastrzygł uszami i zaczął węszyć w powietrzu. Rozglądając się na boki, lustrował szafki przy podłodze, lodówkę i ciemną przestrzeń za otwartymi drzwiczkami pod zlewem.

Meg przytrzymała mossberga w prawej ręce, lewą sięgnęła po własną kurtkę i gimnastykując się, wsunęła rękę w rękaw. Potem przełożyła broń do drugiej ręki i z kolei naciągnęła prawy rękaw. Również jedną ręką, żeby nie odkładać broni, włożyła buty.

Tommy wpatrywał się w pułapkę, którą Meg wyjęła spod zlewu i zostawiła na blacie – cały czas tkwiła w niej drewniana drzazga użyta przez szczury do zwolnienia sprężyny. Zmarszczył czoło, ale zanim zdążył coś powiedzieć czy choćby zastanowić się nad tym głębiej, odezwała się Meg:

–Nie musisz wkładać buta na zdrową nogę. I zostaw kule, na dworze one się na nic nie przydadzą, wesprzesz się na mnie.

Gamoń drgnął i znieruchomiał. Meg uniosła broń i uważnie obejrzała kuchnię. Pies warczał głucho, ale nigdzie nie było widać szczurów.

Otworzyła drzwi, wpuszczając do środka lodowate powietrze.

–Chodźmy, szybko, no już.

Tommy wykuśtykał na ganek, przytrzymując się futryny, a potem zewnętrznej ściany domu. Za nim wyniknął się Gamoń, a na końcu wyszła Meg. Zamknęła za sobą drzwi, po czym wzięła strzelbę w prawą rękę i pomogła Tommy’emu zejść po zaśnieżonych schodkach na podwórze. Temperatura musiała spaść poniżej zera, do tego wiatr był przejmująco zimny. Oczy zaczęły Meg łzawić, twarz jej zdrętwiała od mrozu. Nie włożyła rękawiczek i ręce jej bardzo marzły. Mimo to na dworze poczuła się lepiej, bezpieczniej. Nie wierzyła, żeby szczury wybiegły za nimi na dwór. Dla małych zwierząt taka śnieżycy była dużo większą przeszkodą niż dla ludzi.

Nie mogli rozmawiać, bo wicher wył na otwartej przestrzeni, gwizdał pod okapami dachu, tłukł o siebie konarami klonów, szli więc przed siebie w milczeniu. Gamoń towarzyszył im krok w krok.

Mimo że kilka razy się pośliznęli i omal nie upadli, dotarli do stodoły szybciej, niż Meg sądziła. Nacisnęła guzik, żeby otworzyć elektryczne drzwi. Schylili się i weszli do środka, zanim jeszcze się całkowicie podniosły. Ruszyli prosto do samochodu.

Wyjęła kluczyki, otworzyła drzwiczki pasażera i odsunęła fotel jak najdalej do tyłu. Tym razem chciała mieć Tommy'ego obok siebie, nie na tylnym siedzeniu, chociaż byłoby mu tam wygodniej. Pomogła mu wsiąść, po czym rozejrzała się za Gamonem. Labrador stał na dworze w drzwiach do stodoły i wcale nie miał ochoty wchodzić za nimi do środka.

–Gamoń, chodź szybko – powiedziała.

Pies zaskomlał, a kiedy zajrzał do środka, w ciemne zakamarki szopy, pisk zamienił się w gardłowy warkot. Meg przypomniała sobie tamto uczucie, kiedy parkowała samochód – jakby ją ktoś obserwował – i też zlustrowała uważnie kąty stodoły tonące w głębokim cieniu i mroczne zasieki w górze. Nigdzie jednak nie zauważyła białych przemykających sylwetek ani charakterystycznych czerwonych punkcików, zdradzających szczurze oczy. Pewnie pies jest przeczulony. Meg go rozumiała, niemniej musieli się stąd jak najszybciej wynosić.

–Gamoń, chodź tu szybko, no już – zawołała rozkazująco. Gamoń niepewnie wszedł do stodoły, wietrząc w górze i przy ziemi, potem szybko podbiegł i wskoczył na tylne siedzenie jeepa.

Meg zamknęła drzwi, obeszła samochód z drugiej strony i usiadła za kierownicą.

–Pojedziemy z powrotem do Biolomechu i powiemy im, że znaleźliśmy to, czego szukają.

–Co się stało Gamonowi?

Na tylnym siedzeniu labrador biegał od jednego okna do drugiego, wydając ciche piskliwe odgłosy.

–Po prostu jest Gamonem.

Przykurczony na przednim fotelu, skręcony nienaturalnie, żeby zmieścić przed sobą gruby gips, Tommy wyglądał na młodszego niż dziesięć lat. Był taki przestraszony i bezbronny.

–Już w porządku. Wynosimy się stąd.

Włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła. Nic. Spróbowała jeszcze raz, ale i tym razem silnik nawet nie warknął.

Pod wysokim północnym ogrodzeniem Biolomechu Ben Parnell przykucnął, żeby obejrzeć z bliska wąski tunel wykopany w zmarzniętej ziemi. Dookoła zebrało się kilkunastu ludzi z jego ekipy poszukiwawczej, a jeden skierował silny snop światła latarki na wylot tunelu. Wiatr nie tworzył tu zasp, tylko rozwiewał śnieg na boki, a mimo to nikt nie zauważył wykopu za pierwszym razem, znaleźli tunel dopiero wtedy, kiedy obchodzili teren po raz drugi.

Steve Harding podniósł głos, żeby przekrzyczeć wiatr.

–Myślicie, że zwinęły się tam w środku?

–Nie – odparł Ben, wydmuchując w mroźnym powietrzu kłęb pary.

Gdyby sądził, że szczury siedzą gdzieś w głębi tej nory, nie kucalby tak przed otworem, gdyż któryś mógłby skoczyć mu prosto na twarz.

„Wrogie – powiedział John Acuff. – Wyjątkowo agresywne”.

–Nie kopały nory po to, żeby się w niej schronić. Wyszły gdzieś po drugiej stronie ogrodzenia i już dawno uciekły.

Do grupy podszedł patykowaty młody mężczyzna w kurtce służb szeryfa okręgowego.

–Czy któryś z panów nazywa się Parnell?

–Tak, to ja – odparł Ben.

–Jestem Joe Hockner – mężczyzna prawie krzyczał, żeby go mogli słyszeć przez wycie wiatru. – Z biura szeryfa okręgowego. Przywiozłem bloodhonda, o którego prosiliście.

–Świetnie.

–Co tu się dzieje?

–Za chwileczkę – rzekł Ben, odwracając się w stronę tunelu, który biegł pod ogrodzeniem.

–Skąd mamy pewność, że to właśnie one tu kopały? – zapytał inny z ludzi Bena, George Yancy. – To mogło być jakieś inne zwierzę.

–Poświeć bliżej – rzekł Ben.

Steve Harding skierował strumień światła prosto w otwór o średnicy ponad dziesięciu centymetrów.

Mrużąc oczy, Ben pochylił się niżej i w głębi nory, gdzie nie dochodził wiatr, zobaczył coś, co

wyglądało jak białe nitki. Zdjął prawą rękawiczkę i wziął je do ręki. Między palcami trzymał kosmyki zwierzęcej sierści.

8

Tommy i pies zostali w samochodzie, podczas gdy Meg wyszła ze strzelbą i latarką, którą wyjęła ze schowka, żeby zajrzeć pod maskę. W świetle latarki zobaczyła jedno wielkie kłębowisko porozrywanych i splątanych kabli. Przewody biegnące od świec zapłonowych, rozdzielacza, a także inne zostały pocięte. W wężykach szczury powygryzały dziury, którymi olej i płyn chłodzący wyciekł na ziemię.

Teraz już trudno było nawet powiedzieć, że Meg się bała, po prostu zeszywniała z przerażenia. Musiała jednak opanować strach, żeby Tommy nie wpadł w panikę. Zamknęła maskę, podeszła do samochodu od strony pasażera i otworzyła drzwiczki.

–Nie wiem, co się stało, ale nie chce zapalić.

–Przecież wszystko było w porządku, jak przyjechaliśmy do domu.

–Tak, wiem, ale teraz coś się zepsuło. Chodź, idziemy stąd. Pomogła mu wysiąść.

–To szczury się do niego dobrały, prawda? – powiedział, kiedy przed nią stanął.

–Szczury? Szczury są w domu, owszem, i to paskudne, już ci mówiłam, ale...

Tommy przerwał jej, zanim zdążyła skłamać.

–Mamusiu, ty nie chcesz tego po sobie pokazać, ale się ich boisz, bardzo się boisz, a to znaczy, że one nie są tylko trochę inne od zwykłych szczurów, ale bardzo, bardzo inne, bo ty się mało czego boisz. Bałaś się, jak umarł tatuś, wiem, że się wtedy bałaś, ale niedługo, bo potem naprawdę szybko zaczęłaś się wszystkim zajmować i czułem się przy tobie bezpiecznie, a skoro nie załamałaś się, jak umarł tatuś, to uważam, że prawie nic cię nie może załamać. Ale tych szczurów z Biolomechu boisz się najbardziej ze wszystkiego.

Meg przytuliła go z całej siły. Kochała go tak bardzo, że to prawie bolało. Ani na moment jednak nie wypuściła z ręki śrutówki.

–Mamusiu, ja widziałem pułapki z patykami w środku i płatki w zlewie zmieszane z trutką i cały czas myślałem. I chyba wiem, co w tych szczurach jest takie dziwne; one są bardzo mądre. Może w tym laboratorium coś im zrobili, że są mądrzejsze, niż powinny być, i to one jakoś popsuly nam samochód.

–One nie są aż tak mądre. Nie aż tak, żeby nas przechytrzyć, kapitanie.

–To co teraz zrobimy? – szepnął Tommy.

Meg również odpowiedziała szeptem, chociaż nie widziała w stodole żadnych szczurów i nie była pewna, czy zostały tu po tym, jak unieruchomiły jeepa. Zresztą nawet gdyby się czaiły gdzieś w pobliżu i ich obserwowały, na pewno nie potrafiłyby zrozumieć ludzkiej mowy. Przecież są granice tego, co mogli z tymi zwierzętami zrobić w Biolomechu.

–Wrócimy do domu...

–Ale może one tego właśnie chcą.

–Może, ale musimy spróbować zadzwonić.

–Na pewno pomyślały o telefonie – zauważył Tommy.

–Wątpię. W końcu, jak mądre mogą być szczury?

–Wystarczająco, żeby pomyśleć o samochodzie.

Za ogrodzeniem na odcinku jakichś stu metrów ciągnęły się łąki, a za łąkami las. Szansa na znalezienie szczurów w tych warunkach była nikła. Ludzie rozproszyli się po terenie dwójkami i trójkami, chociaż nikt nie miał pojęcia, jakie ślady po ich tropionej zwierzynie mogły przetrwać w tej śnieżycy. Nawet przy najlepszej pogodzie, w słoneczny dzień wytopienie szczurów na otwartej przestrzeni byłoby praktycznie niemożliwe.

Ben Parnell wziął czterech ludzi i poszedł prosto na drugi koniec łąki, gdzie z bloodhoundem zaczęli przeszukiwać brzeg lasu. Pies nazywał się Max. Był średniej wielkości, masywny, z ogromnymi uszami i komicznym pyskiem, ale w tym, jak się zabrał do dzieła, nie było nic komicznego, wręcz przeciwnie, przystąpił do pracy poważnie i gorliwie. Jego opiekun – zastępca szeryfa, Joe Hockner, podsunął mu do powąchania słoik z trawą i odchodami z klatki szczurów, których zapach wyraźnie się psu nie spodobał. Musiał być jednak bardzo intensywny i łatwy do zwietrzenia, a Max był tropicielem i chciał dać z siebie wszystko. W ciągu dwóch minut złapał trop w огоłoconych zaroślach i pognął do lasu, ciągnąc za sobą na smyczy Hocknera, za którym pobiegł Ben ze swoimi ludźmi.

10

Meg wypuściła Gamonia z samochodu i we troje ruszyli w stronę wielkich otwartych drzwi stodoły, za którymi zawierucha gnała wirujące kolumny śniegu niczym duchy spóźnione na straszenie. Wiatr wiał jeszcze silniej niż poprzednio, grzechotał o dach, aż oderwał kilka dachówek i porwał je w noc. Krokwie zatrzeszczały, zaklekotały drzwiczki z siatką, obluzowane w zawiasach.

–Tommy, poczekasz na werandzie, a ja wejdę do kuchni, żeby sprawdzić telefon. Jeśli nie działa... pójdziemy na drogę i zatrzymamy jakiś samochód.

–Nikt nie będzie jechał w taką śnieżycę.

–Ktoś na pewno będzie. Choćby pług śnieżny albo samochód z żuźlem.

Tommy zatrzymał się w drzwiach stodoły.

–Mamusiu, ale do drogi jest aż kilometr, nie wiem, czy dam radę dojść tak daleko z gipsem w tę śnieżycę, nawet jak mnie będziesz podtrzymywać. Jestem już zmęczony i zdrowa noga mi się trzęsie i ugina. A nawet jeśli dam radę, to zajmie to strasznie dużo czasu.

–Poradzimy sobie – odparła Meg. – Nieważne, ile to potrwa, na dworze nie będą nas goniły. W zamieci jesteśmy bezpieczni, no w każdym razie nie zagrożą nam tam szczury. – Wtedy nagle przypomniała sobie sanki. – Przecież mogę cię pociągnąć aż do drogi!

–Co? Jak to pociągnąć?

Zostawiła Tommy'ego z Gamonem, a sama pobięła z powrotem do stodoły, gdzie na północnej ścianie obok łopaty, motyki i grabi wisiały sanki Tommy'ego z wielkim napisem „Midnight flyer” na siedzeniu. Nie wypuszczając z ręki mossberga, zdjęła sanki z haka i zaniósła je do drzwi, gdzie czekał Tommy.

–Ale mamusiu, jestem za ciężki, żebyś mnie ciągnęła.

–Kochanie, przecież ciągnęłam cię setki razy tam i z powrotem po całej farmie.

–No tak, ale to było kilka lat temu, jak byłem mały.

–Nie jesteś wcale taki wielki, kowboju. No chodź. Bardzo się ucieszyła, że przypomniała sobie o sankach. Miała jedną ogromną przewagę nad tą zmodernizowaną plagą Hamelinu – była matką i zamierzała za wszelką cenę bronić swego dziecka, a to dawało jej siłę, której nie doceniają nawet te potwory z Biolomechu.

Wyniosła sanki na dwór i pomogła Tommy'emu usiąść. Lewą stopą zaparł się o przednią poprzeczkę. W prawej nodze tylko palce wystawały mu z gipsu i osłaniała je, razem z dolną częścią gipsu, gruba wełniana skarpetka, która zamokła i prawie zamarzła. Niemniej udało mu się włożyć również prawą nogę do środka sanek; kiedy więc złapał się z obu stron krawędzi, nie było obawy, żeby wypadł.

Gamoń krążył wokół nich niespokojnie, kiedy sadzała Tommy'ego na sankach. Kilka razy szczeknął na stodołę za ich plecami, ale Meg, obejrzawszy się, niczego tam nie dostrzegła.

Biorąc do ręki gruby nylonowy sznurek, modliła się, żeby telefon w domu działał i mogła zadzwonić po pomoc. Pociągnęła Tommy'ego przez długie podwórze. W kilku miejscach płozy sanek zagrzebywały się w cienkiej warstwie śniegu i wbijały w zamarzniętą ziemię, wtedy trzeba było je ciągnąć z całej siły.

Tam jednak, gdzie leżała grubsza warstwa śniegu lub wystawała oblodzona powierzchnia, sanki sunęły gładko, dając Meg nadzieję, że jeśli przyjdzie jej ciągnąć Tommy'ego do samej drogi, zdoła tam dotrzeć, zanim w szalejącej wichurze padnie z wyczerpania.

Podszyście w lesie nie było zbyt gęste, a szczury skorzystały najwyraźniej ze ścieżek jeleni, aby uciekać jak najszybciej, bo bloodhound pędził niezmordowanie przed siebie, bez wahania ciągnąc za sobą ludzi po śladach zbiegów. Na szczęście korony drzew zatrzymywały większą część śniegu, więc zadanie było łatwiejsze. Ben przypuszczał, że pies będzie ujadął, jak to widywał na starych filmach o ucieczkach z więzienia, kiedy Cagneya czy Bogarta ścigały ujadające psy, tymczasem Max wydawał różne odgłosy, głównie węszył i dyszał, ale szczeknął tylko raz i na tym koniec.

Ubiegli tak pół kilometra od ogrodzenia Biolomechu, potykając się na nierównym terenie i oglądając niespokojnie, kiedy podrygujące światła latarek wyławiały z lasu dziwaczne cienie. Ben uprzytomnił sobie, że szczury wcale nie zamierzały zakopywać się pod ziemią. Gdyby chciały to zrobić, wykopałyby tunel zaraz po wejściu do lasu. One pędziły dalej, szukając czegoś lepszego niż nora w leśnej głuszy, co było logiczne, ponieważ to naprawdę nie były dzikie zwierzęta. Wychodowano je jako kolejne pokolenie oswojonych szczurów doświadczalnych, całe życie spędziły w klatkach, mając pod dostatkiem jedzenia i picia. W lesie czułyby się zagubione, pomimo swojej wyjątkowej inteligencji, będą więc biec co sił w nogach, szukając siedziby ludzkiej, gdzie by się mogły schronić, zanim padną z wyczerpania i zimna.

Farma Cascade.

Ben przypomniał sobie atrakcyjną kobietę w jeepie: kasztanowe włosy, orzechowe oczy i drobniutkie cętki piegów, które dodawały jej wdzięku. Chłopiec na tylnym siedzeniu z nogą w gipsie miał dziewięć albo dziesięć lat i Benowi natychmiast stanęła przed oczami Melissa, która miała właśnie dziewięć lat, kiedy przegrała swoją ciężką batalię z rakiem. Chłopiec wyglądał tak samo niewinnie i bezbrinnie jak kiedyś Melissa, przez co ojcu było jeszcze trudniej patrzeć na wyniszczającą ją chorobę i śmierć. Zaglądając do samochodu przez uchylone okno, Ben wyobrażał sobie normalne życie, jakie wiedzie tych dwoje, i zazdrościł im miłości i rodziny, której los nie doświadczył tak ciężko.

Kiedy tak pędzili przez las za Hocknerem i jego psem, na Bena spłynęła nagle niczym olśnienie przerażająca myśl, że szczury uciekły z Biolomechu kilka godzin przed śnieżycą i skierowały się prosto na farmę Cascade – do najbliższej siedziby ludzkiej – i że rodzina, której tak zazdrościł, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Lassiter – tak się nazywali. Nagle nabrał pewności, że szczury postanowiły zamieszkać z Lassiterami.

„Wrogie – mówił Acuff. – Wyjątkowo agresywne”.

–Stać! Czekać! Zatrzymać się! – zawołał.

Zastępca szeryfa wstrzymał psa i reszta ekipy poszukiwawczej stanęła na niewielkiej polance otoczonej szumiącymi sosnami. Z ust i nozdrzy mężczyzn, którzy obejrzeni się pytająco na Bena, wydobywały się kłęby oddechów.

–Steve, wracaj do głównej bramy. Załaduj ludzi na ciężarówkę i jedźcie na farmę Cascade. Wiesz, gdzie to jest?

–Tak, następne zabudowania przy Black Oak Road.

–Niech Bóg ma w opiece tych ludzi, bo jestem pewny, że szczury tam właśnie pobiegły. To jedyne ciepłe miejsce w pobliżu. Gdyby się tam nie schroniły, w tej zamieci czekałaby je pewna śmierć, a wątpię, abyśmy mieli tyle szczęścia, żeby je wykończyła pogoda.

–Już lecę – powiedział Steve, zawracając.

–No dobrze, chodźmy – powiedział Ben do Hocknera. – I módlmy się, żebym się mylił.

Hockner zluzował smycz Maxa, który tym razem zawył nisko i przeciągle i na nowo podjął trop szczurów.

Kiedy Meg dociągnęła wreszcie sanki do schodków na werandę, serce jej waliło prawie do bólu, a gardło miała zdarte od lodowatego powietrza. Nie była już taka pewna jak przedtem, że da radę pociągnąć Tommy'ego na sankach aż do drogi. Gdyby zamieć ucichła, zadanie byłoby względnie łatwe, ale w tych warunkach musiała się zмагаć nie tylko z ciężarem Tommy'ego, ale również z wścieklą wichurą. W dodatku sanki były nieprzygotowane do zimy – niewyczyszczone i nienasmarowane płozy tarły ciężko o podłoże.

Gamoń trzymał się blisko sanek, ale i on zaczynał odczuwać skutki śnieżycy. Trząśł się z zimna, sierść miał przemoczoną, a w bladym bursztynowym świetle padającym na schodki z okien kuchni widać było, że z futra pod pyskiem zwisają mu drobniutkie sopolki.

W lepszym stanie był Tommy, który naciągnął na głowę kaptur i schylił się, chroniąc twarz przed chłoszczącym wiatrem. Ani on jednak, ani Meg nie mieli pod kurtkami ciepłej bielizny, oboje też byli w zwykłych dżinsach. W czasie długiego marszu z domu do drogi zamieć porządnie ich wychłodzi.

Znów się zaczęła modlić, żeby w domu działał telefon.

Tommy popatrzył na nią ponuro spod kaptura. Przekrzykując kakofonię wichury Meg kazała mu tu poczekać (jakby mógł zrobić coś innego) i powiedziała, że za chwilę wróci (choć oboje wiedzieli, że w domu może jej się przytrafić coś złego).

Z mossbergiem w ręku weszła na werandę i ostrożnie otworzyła tylne drzwi. W kuchni panował nieopisany bałagan. Wszystkie możliwe pudełka z jedzeniem zostały powyciągane z szafek, porozrywane, a ich zawartość rozsypana po podłodze. Kilka rodzajów płatków, cukier, mąka, mąka kukurydziana, krakersy, ciastka i spaghetti – wszystko to zostało zmieszane z potłuczonym szkłem i zawartością słoików sosu do spaghetti, musu jabłkowego, wiśni, oliwek i ogórków konserwowych.

Widok był tym bardziej wstrząsający, że całe to pobojuwisko stanowiło ewidentnie wyraz ślepej nienawiści. Szczury porozrywały paczki z jedzeniem nie po to, żeby zdobyć jedzenie. Były tak wrogo nastawione do ludzi, że niszczyły wszystko, co należało do człowieka, dla samej przyjemności niszczenia, podobnie jak w dawnych mitach gobliny cieszyły się z kłopotów, jakich udało im się przysporzyć ludziom.

Te potwory, rzecz jasna, zostały stworzone przez człowieka. Co się porobiło ze światem, w którym człowiek stwarza sam sobie gobliny? A może zawsze tak było?

Nie zauważyła ani śladu stworzeń, które zrujnowały kuchnię – nic nie przemykało między szafkami, pod żadną ścianą ani na pobojuwisku nie mignęło białe futro. Ostrożnie przeszła przez próg.

Razem z nią do domu wpadł lodowaty wiatr z takim impetem jak woda sprężona pod ciśnieniem. W powietrze wzbily się chmury mąki i roziskrzona maleńkie tornada cukru, wleciały nawet dużo większe kółka cheeriosów i nitki polamanego makaronu.

Telefon wisiał na ścianie po drugiej stronie, obok lodówki. Pod stopami Meg chrzęściło potłuczone szkło i kawałki jedzenia, kiedy szła ostrożnie przez kuchnię.

Trzykrotnie kątem oka dojrzała jakiś ruch i błyskawicznie skierowała w tamtą stronę wylot lufy. Była pewna, że to szczury, chociaż za każdym razem widziała tylko puste pudełko po rodzynekach albo podarte opakowanie po ciastkach poruszone przez wiatr.

Sięgnęła po telefon i podniosła słuchawkę. Cisza. Czy to przez zamieć, czy przez szczury, w każdym razie telefon milczał.

W chwili gdy z żalem odkładała słuchawkę, wiatr przycichł, a w znieruchomiałym powietrzu Meg poczuła nagle opary gazu. Nie... to nie był gaz, to coś innego, bardziej przypominało... benzynę.

Olej opałowy!

Teraz już zadzwoniły jej w głowie wszystkie dzwonki alarmowe. Kiedy wiatr przestał hulać po kuchni, wyraźnie poczuła, że w domu śmierdzi oparami oleju opałowego, który musiał się unosić z piwnicy, najwyraźniej z pękniętych rur doprowadzających paliwo ze zbiornika do pieca. Weszła prosto w zastawioną pułapkę. Te szczurokształtne gobliny były tak wrogo nastawione do ludzi, tak szatańsko nienawistne, że chciały zniszczyć cały dom, który wszak zapewnił im schronienie, byleby zabić jednego człowieka.

Zrobiła krok w stronę drzwi, kiedy w przewodach wentylacyjnych usłyszała znany delikatny dźwięk – stuk, pstryknięcie, a potem świst elektronicznego włącznika w piwnicy: iskrę elektryczną zapalającą olej w węzownicy grzejnej.

Ułamek sekundy później, nim zdążyła zrobić drugi krok, dom eksplodował.

Biegąc za bloodhoundem i Joem Hocknerem i mając za plecami własnych ludzi, Ben Parnell dotarł do północnego skraju lasu i jakieś dwieście metrów dalej, za łagodną skarpią zobaczył blade światła domu na farmie Cascade, ledwo przebijające przez gęsto padający śnieg.

–Wiedziałem, że tam poleciały – powiedział.

Pomyślał o kobiecie i o chłopcu z jeepa i poczuł się jakoś odpowiedzialny za tych dwoje, chociaż wykraczało to poza zakres jego obowiązków w Biolomechu. Dwa lata żył z poczuciem, że w jakiś sposób zawiódł własne dziecko, gdyż nie uratował go przed chorobą, co oczywiście było irracjonalne, bo przecież nie był lekarzem i nie miał odpowiedniej wiedzy, która by mu pozwoliła wyleczyć Melissę. Nic jednak nie mogło ukoić dotkliwego poczucia porażki. Zawsze był przekonany, że w jakiś sposób odpowiada za innych, co samo w sobie stanowiło szlachetny przymiot, który jednak niekiedy zmieniał się w prawdziwe przekleństwo. Kiedy teraz patrzył na zabudowania Cascade, poczuł nieprzewartą potrzebę zapewnienia bezpieczeństwa tamtej kobiecie i jej synkowi, i wszystkim innym członkom rodziny zamieszkującej farmę.

–Chodźmy – powiedział do swoich ludzi.

Zastępca szeryfa, Hockner, rozkładał właśnie koc zrobiony z jednego z owych wynalazków ery kosmicznej – tkaniny leciutkiej, a mimo to zapewniającej doskonałą izolację cieplną.

–Idźcie pierwsi – powiedział, klękając i owijając Maxa kocem. – Ja muszę rozgrzać psa. To nie jest rasa przystosowana do długiego biegania po takim zimnie. Jak trochę odtaje, to was dogonimy.

Ben kiwnął głową, odwrócił się i zdażył zrobić tylko dwa kroki, kiedy dom u podnóża skarpy wyleciał w powietrze. Zaraz po żółtopomarańczowym błysku poszła fala uderzeniowa – niski, złowieszczy grzmot nie tylko dało się usłyszeć, ale i poczuć. Z roztrzaskanych okiennic wyskoczyły płomienie i popelzły po ścianie budynku.

Podłoga wybrzuszyła się gwałtownie, po czym opadła na miejsce, a razem z nią Meg, która leżała twarzą w porozrywanych paczkach z jedzeniem i potłuczonym szkłem. Zaparło jej dech w piersiach, huk eksplozji kompletnie ją ogłuszył, ale nie była zamroczona aż tak, żeby nie zauważyć płomieni, które lizały ściany i rozbiegały się po podłodze w takim tempie, jakby żyły i spieszyły się, żeby jej odciąć drogę do drzwi.

Kiedy podniosła się na kolana, zobaczyła na lewym ręku krew. Musiała się skaleczyć o kawałki szkła na podłodze. Rana nie była groźna, ale wystarczająco głęboka, żeby bolało, a jednak z powodu szoku nic nie czuła.

W prawej ręce cały czas ścisnęła broń. Wstała i na trzęsących się nogach ruszyła do wyjścia.

Ogień zajmował już wszystkie cztery ściany i sufit. Właśnie w chwili, kiedy doszła do drzwi, deski podłogi zaczęły pękać. Eksplozja poważnie uszkodziła werandę, dach się uginał pośrodku i kiedy Meg zeszła z ostatniego schodka, jeden ze słupów nie wytrzymał obciążenia, spowodowanego przesunięciem ciężaru, i pękł. Zaraz potem zawałiła się cała weranda, jak gdyby drobny ciężar Meg naruszył chwiejną równowagę całej konstrukcji. Kiedy rozległ się przeraźliwy trzask, minęła chwilowa głuchota Meg.

Fala uderzeniowa zrzuciła Tommy'ego z sanek, chłopiec odczołgał się kilka metrów od płonącego domu i leżał rozciągnięty na śniegu, a obok niego kręcił się Gamoń. Meg pognąła w jego stronę, pewna, że coś mu się stało, chociaż był poza zasięgiem eksplozji i ognia.

Nic mu się nie stało, płakał ze strachu, ale był zdrow i cały.

–W porządku, kochanie, wszystko będzie dobrze – powiedziała, chociaż nie wiedziała, czy ją słyszy poprzez wycie wiatru i płomieni.

Przyciskając go do piersi, z ulgą i wdzięcznością wczuwała się w tętniące w nim życie. I złością. Narastała w niej coraz większa wściekłość na szczury i na ludzi, którzy te gobliny stworzyli.

Kiedyś uważała, że najważniejsza w jej życiu jest kariera artystyczna. Potem, kiedy razem z Jimem jako młodzi małżonkowie zakładali agencję reklamową, równie ważny wydawał się sukces finansowy. Ale już dawno temu zrozumiała, że tak naprawdę najważniejsza w życiu jest rodzina, pełna czułości więź między mężem i żoną, między rodzicami i dziećmi. A wyglądało na to, jakby na tym świecie między piekłem a niebem wszystkie siły sprzysięgły się przeciwko rodzinie: choroby i śmierć rozdzielały kochających się ludzi, wojny, nietolerancja i ubóstwo trawiły życie rodzinne w żrących kwasach przemocy, nienawiści i nędzy; nierzadko też same rodziny doprowadzały się do upadku, folgując niskim uczuciom zazdrości, zawiści i żądzy. Meg straciła Jima, połowę swojej rodziny, ale miała Tommy'ego i dom, który przechowywał jej wspomnienia o Jimie. A teraz straciła również dom przez te szczurze potwory, te ręczne roboty gobliny. Nie pozwoli im odebrać sobie Tommy'ego i słono zapłacą za to, co już jej wykradły.

Odciągnęła Tommy'ego jeszcze dalej od płonącego domu, na otwartą przestrzeń, gdzie mróz i wiatr powinny go ochronić przed szczurami. Potem sama ruszyła w stronę stodoły.

Tam siedzą. Była pewna, że nie złożyły siebie w ofierze eksplozji. Zastawiły na Meg pułapkę, uszkodziły piec, po czym uciekły z domu. Na pewno nie marzną na dworze, więc pozostała tylko stodoła. Meg doszła do wniosku, że pod podwórzem musiały wykopać tunel łączący oba budynki. Zjawily się na farmie prawdopodobnie po południu, zrobiły rozpoznanie terenu i wykopały długi podziemny korytarz między domem i stodołą. Były duże i silne, więc wykonanie tunelu nie przedstawiało dla nich większej trudności. Podczas gdy ona i Tommy przedzierali się przez zamieć do stodoły, a potem z powrotem do domu, szczury przełykały swobodnie pod ziemię.

Nie wracała do stodoły tylko po to, żeby z czystej zemsty wystrzelać szczury. To było teraz jedyne miejsce, gdzie ona i Tommy mieli szansę przetrwać noc. Miała skaleczoną dłoń, mogłaby więc ciągnąć sanki tylko jedną ręką. Poza tym była w lekkim szoku, który również osłabiał organizm. Już przedtem zdawała sobie sprawę, że dociągnięcie sanek do Black Oak Road przy wietrze wiejącym z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę w temperaturze poniżej zera, a potem czekanie kilka godzin na służby drogowe było wyczynem leżącym gdzieś na granicy jej możliwości, ale w obecnym stanie nie udałoby się to ani jej, ani Tommy'emu. Po zniszczeniu domu tylko stodoła mogła im zapewnić jakieś schronienie, a więc musi ją odebrać szczurom – wybić wszystkie do nogi i odzyskać swoją własność, inaczej wraz z synem nie przeżyje tej nocy.

Nie liczyła na to, że ktoś zobaczy blask pożaru i przyjedzie sprawdzić, co się stało. Cascade leżała daleko od wszelkich innych zabudowań, a z daleka nikt nie mógł zauważyć płomieni za zasłoną śnieżycy.

Zatrzymała się niepewnie przed otwartymi drzwiami stodoły. W środku nadal paliła się jedna żarówka, ale mroczne zakamarki wydawały się jeszcze ciemniejsze niż przedtem. Potem, zostawiając za sobą śnieżycę i pomarańczowy blask płonącego domu, weszła w siedlisko szczurów.

Ben Parnell odkrył, że zbocze łąk przecinają liczne rowy, które bardzo utrudniają marsz. W oślepiającej zamieci poruszanie się po tym terenie było niebezpieczne, wielu zdradliwych dołów nie było widać, dopóki się w nie nie wpadło. Szybki bieg musiał się skończyć skręceniem albo złamaniem nogi, należało więc zwolnić i zachować ostrożność, mimo że widok płonącego domu budził grozę.

Ben nie miał wątpliwości, że to szczury spowodowały pożar. Nie wiedział, jak ani dlaczego to zrobiły, ale to nie mógł być zbieg okoliczności, że dom wyleciał w powietrze właśnie teraz. Przez myśl przelatywały mu niepokojące obrazy kobiety i chłopca, pogryzionych przez szczury i stojących w płomieniach w środku domu.

Bała się. Był to jednak dziwny strach, nie obezwładniał, lecz przeciwnie, umocnił ją w postanowieniu i dodał sił. Szczura przypartego do muru paraliżuje przerażenie, ale kobieta przyparta do muru nie zawsze jest łatwą ofiarą. To zależy od kobiety.

Podeszła na środek stodoły i stanęła przed jeepem. Rozejrzała się po ciemnych boksach na południowej ścianie, pustym zasieku nad wejściem i wielkim, od dawna nieużywanym korycie w północnym kącie.

Czuła, że szczury gdzieś się tam kryją i obserwują ją. Nie miały zamiaru się ujawniać, dopóki była uzbrojona. Musi je wywabić na otwartą przestrzeń, inaczej ich nie powystrzela. Są za mądre, żeby się dały skusić jedzeniem. No to... skoro nie może ich zwabić, to może zmusi je do wyjścia śrutem z mossberga.

Powoli ruszyła środkiem na drugi koniec stodoły. Mijając zagrody dla zwierząt, próbowała przebić wzrokiem ciemności, by dojrzeć świecące czerwone oczy. Gdzieś w tych głębokich cieniach muszą się kryć przynajmniej ze dwa szczury.

Chociaż nie zauważyła ani jednego z przeciwników, zawróciła i idąc z powrotem w stronę środka stodoły, zaczęła po kolei strzelać w zagrody – trzy pociski na trzy wąskie boksy, śrut dudnił echem o ściany budynku. Po trzecim strzale z czwartej zagrody wyskoczyły dwa piszczące gryzonie i pognały na oświetlony środek stodoły w stronę unieruchomionego jeepa. Meg wypaliła do nich dwa razy, obydwa szczury dostały i padły na miejscu, odrzucone niczym szmaty przez szalejący tajfun.

Mossberg był pusty. Krzywiąc się, sięgnęła skaleczoną ręką do kieszeni, wyciągnęła cztery naboje i szybko załadowała. Kiedy wsuwała do magazynka ostatni pocisk, usłyszała za plecami kilka przenikliwych pisków. Odwróciła się. W jej stronę pędziło sześć wielkich szczurów z niekształtymi czaszkami.

Cztery się zorientowały, że nie zdążą jej dopaść w porę; skręciły w bok i znikły pod samochodem. Dwa pozostałe zbliżyły się tak szybko, że Meg wpadła w panikę i wystrzeliła dwa razy. Zabiła oba. Pobiegnęła z drugiej strony samochodu w samą porę, żeby zobaczyć, że te cztery, które skryły się pod nim, wyskoczyły i pędzą w kierunku koryta. Strzeliła raz, potem drugi, ale szczury znikły w ciemnościach pod żłobem.

Skończyła jej się amunicja. Mimo to nacisnęła spust mossberga, jakby to miało w cudowny sposób sprawić pojawienie się następnego pocisku. Niestety szczęśliwie pustej komory brzmiało zupełnie inaczej niż wystrzał.

Czy szczury знаły ten odgłos, czy też wiedziały, że miała tylko dziewięć nabojów – pięć w strzelbie i cztery, których nie udało im się ukraść z pudełka w bielizniarce – trudno powiedzieć, w każdym razie cztery zwierzęta, które znikły pod korytem, pojawiły się znowu. Cztery białe sylwetki wypełzły z cienia na środek oświetlony pojedynczą zakurzoną żarówką.

Meg odwróciła strzelbę, chwyciła ją za lufę jak maczugę i podniosła nad głowę. Próbowwała nie zważać na ból w lewej dłoni. Szczury szły w jej kierunku, najpierw powoli, ale stopniowo coraz śmielej. Zerknęła za siebie, jakby się podświadomie spodziewała, że z drugiej strony otoczy ją sześciu następnych napastników, ale najwyraźniej więcej nie było. Tylko te cztery. Równie dobrze mogło być ich jednak tysiąc, bo i tak wiedziała, że nie zdoła zabić tą prowizoryczną maczugą więcej niż jednego, później reszta dopadnie jej nóg. Kiedy rzucą się do gardła i twarzy i zaczną gryźć i drapać, nie pokona ich gołymi rękami.

Spojrzała na otwarte drzwi. Jeśli upuści broń i pobiegnie w stronę wyjścia w bezpieczną mroźną noc, nie zdąży nawet dotrzeć do drzwi.

Jakby wyczuwając jej bezradność, szczury wydały dziwny triumfalny skrzek. Podniosły groteskowe zdeformowane łby i zaczęły węszyć w powietrzu. Długie grube ogony chlastały po podłodze i wszystkie cztery stworzenia wydały jednocześnie krótki przeszywający pisk, jakiego Meg nigdy dotąd nie słyszała.

A potem puściły się pędem w jej stronę.

Wiedziała, że nie zdoła dobiec do drzwi, ale musiała spróbować. Jeśli ją zabiją, Tommy zostanie zupełnie bezradny na mrozie ze złamaną nogą. Do rana zamarznie na śmierć... chyba że szczury zaryzykują i wyjdą na mróz.

Odwróciła się tyłem do pędzącego stada, rzuciła w stronę wyjścia i... przestraszyła się na widok sylwetki mężczyzny stojącego w drzwiach na tle płonącego domu. W ręku trzymał rewolwer.

–Niech mi pani zejdzie z drogi! – zawołał.

Meg odskoczyła w bok, a w tej samej chwili nieznajomy szybko wypalił cztery razy. Trafił tylko jednego, bo szczury są za małym celem dla rewolweru. Trzy pozostałe znikły znów pod

korytem.

Nieznajomy podszedł do Meg, a wtedy zobaczyła, że jest to mężczyzna, który rozmawiał z nią na drodze przy blokadzie. W dalszym ciągu miał na sobie kurtkę z podbiciem z owczej skóry i czapkę narciarską przysypaną śniegiem.

–Nic pani nie jest?

–Ile ich tam jest? Zabiłam cztery, pan jednego, to ile ich zostało?

–Uciekło osiem.

–Więc zostały tylko te trzy?

–Tak. Zaraz, ma pani zakrwawioną rękę, jest pani pewna, że...

–Myślę, że mogły wykopać tunel między stodołą a domem – powiedziała szybko. – I mam przecucie, że wejście jest pod tym korytem. – Mówiła przez zaciśnięte zęby i z taką furją, że zaskoczyła nawet samą siebie. – Odrażające, wstrętne stwory. Chcę je wykończyć, muszę im odplacić za to, że zniszczyły mi dom, za to, że życie Tommy’ego było w niebezpieczeństwie. Ale jak je możemy dostać, jeśli wlażyły pod ziemię?

Mężczyzna wskazał dużą ciężarówkę, która właśnie podjeżdżała pod dom.

–Domyślaliśmy się, że trzeba je będzie ściągać w norach, więc mamy ze sobą dużo różnego sprzętu, między innymi gaz, który wpuścimy do tunelu.

–Chcę je widzieć martwe – powiedziała Meg i aż się przestraszyła gniewu, który zadźwięczał jej w głosie.

Z platformy ciężarówki zeskakiwali mężczyźni i biegli w stronę stodoły. W światłach latarek sypał z ukosa śnieg i popiół z zapadającego się domu.

–Będziemy potrzebować gazu – zawołał mężczyzna w czapce narciarskiej.

Jeden z ludzi na dworze krzyknął coś w odpowiedzi. Trzęsąc się z gniewu i strachu, któremu do tej pory nie dawała do siebie przystępu, Meg wyszła na dwór odszukać syna.

Meg, Tommy i Gamoń siedzieli w ciepłej kabinie ciężarówki, podczas gdy ludzie z Biolomechu usiłowali zabić ostatnie pozostałe przy życiu szkodniki. Chłopiec drżał, przytulając się do niej, mimo że ciepłe powietrze z dmuchawy samochodu na pewno wyгнаło już resztki zimna z jego przemarzniętego ciała.

Gamoń korzystał z dobrodziejstwa odporności psychicznej, którą zawdzięczał przynależności do wesołego i mniej inteligentnego gatunku, nieobdarzonego mroczną wyobraźnią i... spał.

Chociaż nikt nie wierzył, aby szczury wróciły tunelem do zrujnowanego domu, część ludzi z Biolomechu utworzyła kordon wokół dopalających się szczątków i przygotowała się do zabicia każdego stworzenia, które by wyskoczyło z pożogi. Podobną blokadę utworzono wokół stodoły, na wypadek gdyby szczury próbowały uciekać górą.

Kilkakrotnie Ben Parnell przychodził do ciężarówki i stojąc na stopniu, relacjonował Meg przez okno postępy polowania. Uzbrojeni w maski przeciwigazowe wpompowali trujący gaz do otworu tunelu, który rzeczywiście zaczynał się w stodole przy korycie.

–Potraktowaliśmy je solidną dawką – powiedział Parnell w czasie jednej z wizyt w samochodzie. – Starczyłoby, żeby wypełnić dziesięć razy większy tunel niż ten, który mogli wykopać w takim czasie. Teraz musimy odkryć korytarz, żeby znaleźć ciała. To nie powinno być trudne. Nie kopaly zbyt głęboko, bo to by była niepotrzebna strata sił. Zdejmujemy wierzchnią warstwę ziemi, wystarczy kilkanaście centymetrów. Zaczniemy od ściany stodoły i będziemy się posuwać do środka podwórza, dopóki ich nie znajdziemy.

–A jeśli ich nie znajdziecie? – zapytała Meg.

–Znajdziemy. Na pewno znajdziemy.

Meg z całego serca pragnęła nienawidzić tych wszystkich ludzi, a szczególnie Bena Parnella, dowodzącego poszukiwaniami, który jako jedyna osoba mająca władzę najlepiej się nadawał, żeby wylądować na nim gniew. Trudno było jednak traktować szorstko kogoś, kto okazywał jej i Tommy'emu tyle troski, tym bardziej że przecież nikt z tych ludzi nie ponosił odpowiedzialności za wyhodowanie zmutowanych szczurów ani za ich ucieczkę. To była tylko ekipa naprawcza, zwyczajni obywatele, tacy jak wszyscy inni zwyczajni obywatele od wieków wzywani do naprawiania szkód, gdy grube ryby coś spaprały. Zwyczajni obywatele starali się o bezpieczny świat i pokój, walcząc w kolejnych wojnach aż do smutnego końca; zwyczajni obywatele płacili podatki, harowali i ponosili ofiary, które torowały drogę rozwojowi, a laury zbierali politycy.

Poruszyło ją współczucie i zrozumienie, jakie Parnell okazał im, słysząc, że mąż Meg zginął i że żyją we dwójkę z Tommym. Mówił o utracie bliskich, o samotności i tęsknocie w taki sposób,

jakby żadne z tych uczuć nie było mu obce.

–Słyszałem o kobiecie – powiedział enigmatycznie, opierając się o otwarte okno – której jedyna córka zmarła na raka. Była tak zdruzgotana i zrozpaczona, że musiała zmienić całe swoje życie, rozpocząć wszystko od nowa w nowym otoczeniu. Nie mogła nawet patrzeć na swojego męża, chociaż go kochała, bo za każdym razem, kiedy na niego spoglądała, widziała córkę i przypominała sobie jej cierpienie. Rozumie pani, to ich wspólne wspomnienie, wspólne nieszczęście było jak pułapka, z której ich związek nie mógł się uwolnić. No więc rozwód, nowe miasto, nowy stan... to jej mogło pomóc, chociaż stanowiło drastyczne rozwiązanie. Ale pani, jak widzę, lepiej sobie poradziła z rozpaczą. Wyobrażam sobie, jak musiało być pani ciężko przez te dwa lata. Może pocieszy panią myśl, że dla ludzi, którzy nie mają tyle siły co pani, życie bywa jeszcze trudniejsze.

Kiedy dziesięć po jedenastej, po przekopaniu dwóch trzecich podwórza, nie znaleziono martwych szczurów, zaczęto zdejmować kolejną metrową warstwę ziemi i dopiero wówczas wykopano trzy ciała gryzoni. Ułożono je obok siebie w stodole razem z pozostałymi pięcioma.

Ben Parnell przyszedł do ciężarówki.

–Pomyślałem, że może chce je pani obejrzeć... to znaczy, żeby mieć pewność, że znaleźli wszystkie osiem.

–Chcę, tak, będę się czuła bezpieczniej, jeśli je zobaczę. Razem z Tommym wysiadła z samochodu.

–Ja też chcę je zobaczyć – odezwał się chłopiec. – Myślały, że złapały nas w potrzask, ale wyszło na odwrót. – Popatrzył na Meg. – Dopóki jesteśmy razem, potrafimy się wygrzebać z każdych tarapatów, no nie?

–No jasne – odrzekła Meg.

Parnell wziął chłopca na ręce i poszedł z nim do stodoły.

Meg schowała ręce do kieszeni, bo szczypał ją w dłonie mróz. Poczwała ulgę – przynajmniej przez chwilę nie cały ciężar spoczywał na jej barkach.

Tommy obejrzał się przez ramię.

–Jesteśmy razem, mamusiu.

–No jasne – powtórzyła.

I uśmiechnęła się. Nagle poczuła, jakby otworzyły się drzwi klatki, w której tkwiła, nawet o tym nie wiedząc. Otworzyła się przed nią droga ku nowej wolności.

Bruno

Odsypiałem pół butelki przedniej szkockiej oraz blondynkę imieniem Sylvia, która też była niezła, ale nikomu jeszcze nie udało się mnie zaskoczyć we śnie, choćbym był nie wiem jak skonany. Żeby przetrwać w tym interesie, trzeba mieć naprawdę lekki sen. Usłyszałem łomot gdzieś w nogach łóżka i w następnym ułamku sekundy sięgałem już po swojego colta kalibru.38.

Gdyby nie to, że poprzedniego wieczoru świętowałem poza domem zwycięskie zamknięcie pewnej sprawy, nie opuszczałbym rolet i nie zaciągał zasłon. Ale było jak było, kiedy więc otworzyłem oczy, niczego nie widziałem.

Zdawało mi się, że słyszę kroki w salonie, ale pewności nie miałem. Wstałem z łóżka i wyęzając wzrok, rozejrzałem się po pokoju. Nic – ciemno i pusto, ani śladu intruza. Wyszedłem na korytarz i popatrzyłem w obie strony. Też nic.

Wtedy w przedpokoju usłyszałem cichy odgłos wyciągania mojego policyjnego rygla wpuszczonego w otwór w podłodze. Drzwi się otworzyły, zamknęły i na korytarzu zadudniły kroki, które chwilę potem słychać było na schodach.

Pobiegłem do salonu i o mały włos nie wypadłem na korytarz, ale sobie przypomniałem, że jestem tylko w slipkach. Mieszkańcy budynku nie należeli wprawdzie do tych, co by się przejęli facetem ganiającym w majtkach po korytarzu, możliwe, że nawet by tego nie zauważyli, ale ja lubię wierzyć, że jestem człowiekiem na poziomie, w przeciwieństwie do niektórych pokręconych dziwolągów, których nazywam sąsiadami.

Zapaliłem światło i stwierdziłem, że policyjny zamek jest otwarty. Zamknąłem go z powrotem, po czym dokładnie przeszukałem mieszkanie, począwszy od ubikacji, a skończywszy na bielizniarce. Nie znalazłem bomby ani śladów żadnego innego podejrzanego działania. Dwa razy sprawdziłem sypialnię, bo przecież tam usłyszałem hałas po raz pierwszy, ale też była czysta.

Zaparzyłem kawę. Pierwszy łyk był taki obrzydliwy, że wylałem pół kubka do zlewu, zastanawiając się, czy stara hydraulika to wytrzyma. Resztę zaprawiłem tym, co zostało z wczorajszej brandy. Tak już lepiej. Takie śniadanie lubię.

Stałem tak bosy i w samych slipach na zimnej podłodze pośrodku kuchni i zastanawiałem się, kto się mógł do mnie włamać i po co.

Wtedy zaświtała mi w głowie paskudna myśl. Kiedy włamywacz uciekał, wyciągnął z otworu w podłodze pręt zamka, co znaczyło, że albo wszedł do mieszkania przez okno, albo po wejściu zamknął za sobą drzwi na zamek. Druga możliwość była idiotyczna, żaden pacan nie utrudniałby sobie ucieczki, bo przecież mogło się zrobić gorąco.

Obszedłem mieszkanie i sprawdziłem wszystkie okna. Były pozamykane jak zawsze.

Obejrzałem nawet okno w łazience, chociaż się nie otwiera, jest zakratowane i wychodzi na gładką ścianę siedem pięter nad ziemią. Nikt nie mógł się dostać do środka przez żadne z okien w mieszkaniu.

Poklepałem się w czoło, jakbym mógł w ten sposób wbić sobie do głowy trochę rozumu i wydedukować, co tu właściwie zaszło. Rozumu mi nie przybyło, toteż poszedłem wziąć prysznic i rozpocząć normalny dzień.

Musiało mi się przywidzieć. Nigdy dotąd nie miewałem „post-seksualnej depresji”, jak to nazywają psychiatrzy. Może tak to właśnie wygląda? W końcu jak często ludzie wchodzą do cudzego mieszkania, forsując policyjne zabezpieczenia, i to w dodatku bezszelestnie, a następnie wkradają się do sypialni tylko po to, żeby popatrzeć na człowieka i wyjść? A żaden z moich wrogów nie przysłałby do mnie zabójcy, który by zaszedł tak daleko i stchórzył.

Skończyłem brać prysznic o wpół do piątej i do piątej ćwiczyłem. Potem znów wziąłem prysznic – tym razem zimny – wytarłem się tak mocno, że prawie mi powyskakiwały bąble, doprowadziłem czuprynę do względnego ładunku i ubrałem się.

O wpół do szóstej siadałem przy stoliku w Ace-Spot, a kelnerka Dorothy nalewała mi do szklanki szkockiej z wodą, zanim jeszcze zdążyłem porządnie wciągnąć do nosa zapachy lokalu.

–Co będzie, Jake? – zapytała.

Miała głos jak szklanka wrzucona do porcelanowej miski. Poprosiłem o stek z jajkami i podwójnymi frytkami.

–Dory, nikt o mnie nie wypytywał?

Zapisała połowę mojego pytania na kartce, zanim się zorientowała, że nie jest to już część zamówienia. Swego czasu Dory była atrakcyjną panienką z ulicy, ale nikt nie powiedział, że musiała być inteligentna.

–Mnie nie. Zapytam Benny’ego.

Barman Benny był inteligentniejszy od Dory. Kiedyś mógłby nawet wygrać pojedynek słowny z marchewką. Nie mam pojęcia, skąd się bierze u mnie ta skłonność do przesiadywania w towarzystwie durniów, jęłopów i tępaków. Może stąd, że czuję przy nich swoją wyższość. Facet, który jest na tyle głupi, żeby pod koniec dwudziestego wieku próbować zarabiać na życie jako prywatny detektyw – w erze komputerów, sprzętu podsłuchowego na miarę technologii kosmicznej i zbirów narkomanów, którzy bez mrugnięcia okiem ukatrupiliby własną babkę dla pięciu centów – tak, do diabła, taki facet potrzebuje naprawdę mocnych argumentów, żeby się dowartościować.

Dory wróciła zjedzeniem i przeczącą odpowiedzią Benny’ego. Jadłem w pośpiechu,

rozmyślając o intruzie, który przeniknął przez ścianę do mojej sypialni.

Po dwóch następnych dużych szkockich wróciłem do domu, żeby jeszcze raz przeszukać mieszkanie.

W tej samej chwili, kiedy stanąłem przed drzwiami i zamierzałem włożyć klucz do zamka, drzwi się otworzyły i stanął w nich wychodzący właśnie intruz.

–Ani kroku dalej, gnido – powiedziałem, celując z trzydziestkiósemki prosto w wielki bebecch nieznanego.

Wepchnąłem go do środka, zamknąłem drzwi i zapaliłem światło.

–Czego chcesz? – zapytał.

–Czego ja chcę? Słuchaj, łajzo, to moje graty, rozumiesz? Mieszkam tu, a ty nie.

Wyglądał, jakby go żywcem wyciągnęli z filmów Bogarta i może nawet bym się roześmiał, ale byłem taki wściekły, że mógłbym schrupać na surowo słodkiego króliczka, potem go wypluć i życzyć mu powodzenia. Facet miał na głowie wielki kapelusz tak głęboko nasunięty, że zasłaniał mu połowę twarzy. Płaszcz sięgał do kostek i z powodzeniem pasowałby na bliźniaki syjamskie. Spod niego wystawały szerokie, luźne spodnie oraz wielkie, ale naprawdę wielgachne zdarte tenisówki. Tenisówki ni cholery nie pasowały do Bogarta, ale aura tajemniczości była jak trzeba.

Przypominał mi tego aktora ze starych filmów, Sidneya Greenstreeta, tylko z niedoczynnością gruczołów wydzielania wewnętrznego.

–Nie chcę cię skrzywdzić – powiedział.

Głos miał tysiąc razy niższy od Dory, ale brzmiał w nim ten sam zgrzytliwy odgłos czegoś tłuczonego.

–Ty tu byłeś poprzednio? Nieznajomy wtulił głowę w ramiona.

–Nigdy tu przedtem nie byłem.

–No to zobaczmy, jak wyglądasz.

Wyciągnąłem rękę do kapelusza. Facet próbował się cofnąć, ale zorientował się, że jestem szybszy, więc rąbnął mnie w pierś. Tylko że ja już trzymałem kapelusz w ręku i zdołałem uskoczyć, tak że dostałem cios w ramię, a nie w serce, jak mierzył napastnik. Z uśmiechem spojrzałem mu w twarz i... uśmiech zamarł mi na wargach.

–Wielki Boże!

–To załatwia sprawę!

Twarz mu się skurczyła w grymasie, wielkie szerokie zęby wystawały” na czarne wargi.

Odrzuciło mnie aż na drzwi, ale chociaż po raz pierwszy od wielu lat byłem naprawdę ciężko przerażony, nie miałem najmniejszego zamiaru go wypuścić. Jeśli nie powstrzymają go moje groźby, to zrobi to gorący pocałunek trzydziestkiósemki... W każdym razie taką miałem nadzieję.

–Kim ty... czym ty jesteś, do diabła? – zagadnąłem.

–Pierwsze pytanie było prawidłowe: kim.

–No to odpowiadaj.

–Nie mogliśmy usiąść? Jestem okropnie zmęczony. Pozwoliłem mu usiąść, ale sam stałem i w czasie, kiedy szedł w stronę sofy, a potem zwałił się na nią ciężko jak ktoś naprawdę wykończony, przyjrzałem mu się uważniej. Był niedźwiedziem. Brunatnym. I to nie jakimś tam pluszowym misiem, tylko wielką, prawie dwumetrową bestią. Miał szerokie bary, a pod tym workowatym płaszczem prawdopodobnie potężną, muskularną pierś i nogi jak pnie drzew. Twarz jakby wyrzeźbioną w granicie, tyle że nożem do smarowania masła, gwoździem i tępym śrubokrętem. Kanciaste rysy, oczy osadzone głęboko pod okapem łuku brwiowego i szczęka, przy której wysiada Schwarzenegger. I wszystko pokryte futrem.

Gdyby nie to, że w okresach, kiedy interes szedł kiepsko, naoglądałem się w telewizji tych popołudniowych talk-show o mężach zdradzających żony z teściowymi i dentystach transwestytach porwanych przez kosmitów, więc gdyby nie to, widok gadającego niedźwiedzia zgniótłby mnie jak papierowy kubek. Ale kanapowy telemaniak z końca lat dziewięćdziesiątych, śmiało patrzący w oczy dziwolągom zapełniającym ulice naszych metropolii, jest twardszy niż Sam Spade i Philip Marlowe razem wzięci.

–No to wal – powiedziałem.

–Nazywam się Bruno – odrzekł.

–No i?

–Pytałeś tylko, kim jestem.

–Nie bądź taki cwany.

–Więc nie mówileś dosłownie?

–Co dosłownie?

–Pytając mnie, kim jestem, chciałeś znać ogólne informacje, dane o szerokim zakresie...

–Mógłbym ci za to leć odstrzelić – prychnąłem.

Był zaskoczony. Poruszył się niespokojnie na sofie, aż stęknęły sprężyny.

–Za co?

–Za gadanie jak jakiś cholerny księgowy. Myślał przez chwilę.

–Dobra. Czemu nie? Co mam do stracenia? Szukam Grahama Stone'a, faceta, którego słyszałeś tu kilka godzin temu. Jest poszukiwany za kilka przestępstw.

–Jakich?

–Nie zrozumiałbyś.

–Czy wyglądam na kogoś, kto się wychowywał w klasztorze i nie wie, co to grzech? Nie zdziwi mnie nic, co mogłaby popełnić najgorsza kanalia. No więc jak ten typ się tu dostał? I jak zrobiłeś to ty?

Zawahał się, więc pomachałem mu trzydziestkąósemką.

–Zdaje się, że nie ma sensu tego ukrywać – rzekł Bruno. – On i ja przybyliśmy z innego wymiaru prawdopodobieństwa.

–Eee co? – wykrztusiłem jak jakiś nawalony fan na koncercie Grateful Dead, bo nawet te kilka głosek z trudem mi przyszło z siebie wykrztusić.

–Innego wymiaru prawdopodobieństwa. Innej ciągłości czasowej. Graham Stone jest z anty-Ziemi, jednego z nieskończonej liczby możliwych światów równoległych. Ja przybyłem jeszcze z innego. Wokół twojej osoby przecinają się linie międzyczasowych energii. Jeśli przydarzyło ci się to po raz pierwszy, to znaczy, że twoje zdolności są nowe. Poza tym nie ma cię na żadnych mapach, w przewodniku też brak o tobie wzmianki. Gdybyś od dawna miał te zdolności...

Wydałem ciąg nieartykułowanych pomruków, zanim Bruno wpadł w końcu na pomysł, żeby zamknąć pysk. Ruchem ręki kazałem mu nalać pół szklanki szkockiej i wypilem prawie wszystko, zanim wreszcie się odezwałem.

–Wyjaśnij mi te moje... nowe umiejętności, bo nie wszystko przetwarzam.

–Między poszczególnymi wymiarami prawdopodobieństwa można podróżować, przenosić się z jednej rzeczywistości do drugiej, ale portale, które to umożliwiają, powstają tylko wokół niektórych istot żywych. Istoty te w jakiś sposób pochłaniają energię międzyczasową i rozpraszają ją, nie powodując niemiłych eksplozji.

–Niemiłych.

–Tak, potrafią narobić bałaganu.

–Dużego bałaganu? Dużego.

–No, w każdym razie jesteś jednym z tych uzdolnionych ludzi, którzy nie wybuchają.

–Ja to mam fart.

–Roztaczasz wokół siebie portal, coś jakby... duchową aurę, w promieniu sześciu metrów.

–Naprawdę? – powiedziałem drętwo.

–Nie wszystkie możliwe światy mają takie uzdolnione istoty i dlatego nie mamy dostępu do całej nieskończoności prawdopodobieństw.

Wypiłem resztkę szkockiej i miałem ochotę wylizać szkło.

–i... jest taka anty-Ziemia, na której życie zdominowały inteligentne niedźwiedzie?

W żaden sposób nie mogłem już dłużej tego zwać na gorącą noc z Sylvia. Nawet najbardziej przekonujący psychiatra nie wmówiłby mi, że „postseksualna depresja” może przybierać taką postać.

–Niezupełnie zdominowały – odparł Bruno. – W mojej ciągłości czasowej wkrótce po drugiej wojnie światowej doszło do wojny jądrowej o zastraszającym zasięgu. Nauka przetrwała, ale niewielu ludzi przeżyło. Żeby ocaleć jako gatunek, musieli się nauczyć stymulować rozwój inteligencji u niższych gatunków, posłużyć się inżynierią genetyczną, aby wyhodować zwierzęta o ludzkiej inteligencji i zręczności.

To powiedziawszy, wyciągnął przed siebie ręce z pięcioma grubymi palcami zamiast łap. Poruszał nimi, szczerząc zęby w szerokim, głupawym uśmiechu.

–Gdyby udało mi się spotkać ze Stevenem Spielbergiem, obaj bylibyśmy obrzydliwie bogaci.

–Steven Spielberg? Ojciec podróży kosmicznych?

–Co? Reżyser filmowy.

–Nie w moim świecie.

–W twoim świecie Spielberg jest ojcem podróży kosmicznych?

–Wynalazł też mrożony jogurt.

–Naprawdę?

–I buty antygravitacyjne i popcorn do mikrofalówek. Jest najbogatszym człowiekiem w historii.

–Jasne.

–I głównym architektem światowego pokoju – dodał Bruno z szacunkiem.

Usiadłem, kiedy wszystkie implikacje tego, co usłyszałem, zaczęły powoli przesiąkać do mojego opornego mózgu.

–Chcesz powiedzieć, że wokół mnie będą co chwila wyskakiwać jakieś cudaczne stwory z tysięcy innych światów?

–Niezupełnie – odrzekł. – Po pierwsze, wcale nie ma znowu tak dużo powodów, żeby odwiedzać wasz świat, podobnie zresztą jak każdy inny. Jest zbyt dużo innych rzeczywistości, żeby w którejś z nich mogło dojść do zwiększonego ruchu międzyczasowego. Chyba że trafi się taka osobliwa Ziemia, która staje się centrum turystycznym. Ale sądząc z wyglądu tego mieszkania, wasza Ziemia jest nudna i nijaka.

Zignorowałem tę uwagę.

–Ale założmy, że szedłbym ulicą, kiedy ty tu wyskoczyłeś. To by wywołało niemałe zamieszanie.

–Widzisz, to ciekawa sprawa. Kiedy po raz pierwszy przechodzimy przez portal, nawet wy nas nie zauważacie. Pokazujemy się wam bardzo powoli, jak ktoś, kogo się widzi kątem oka. To wcale nie wygląda magicznie.

Kazałem mu nalać jeszcze szkockiej. Po trzeciej kolejce zrobiło mi się znacznie weselej.

–Mówiłeś, że jesteś gliną.

–Tak mówiłem?

–Mniej więcej. Powiedziałeś, że ten Stone jest poszukiwany za przestępstwo. Jeśli nie jesteś przeciętnym obywatelem o nieprzeciętnym poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności, jesteś gliną.

Bruno wyjął z kieszeni płaszcz dziwne srebrne kółko i wyciągnął je w moją stronę. POLICJA PROBABILISTYCZNA. Kiedy przejechał po nim palcem, napis zniknął, a jego miejsce zajął portret Bruna.

–No dobra, naprawdę muszę już iść. Graham Stone jest zbyt niebezpieczny, żeby tu biegał na wolności.

Tuż obok mnie stał odtwarzacz kompaktowy. Wybrałem płytę i zrobiłem głośniej, podczas

gdy Bruno wstał i naciągnął swój absurdalny kapelusz. Kiedy Butterfield Blues Band ryczał na cały regulator, strzeliłem w kanapę obok niego, przy okazji rozdzierając mu płaszcz.

Usiadł z powrotem, a ja ściszyłem muzykę.

–Czego chcesz? – spytał.

Musiałem przyznać, że niezły był z niego twardziel. Nawet nie spojrzał na dziurę, żeby sprawdzić, jak blisko przeszła kula. Miałem już wyrobiony pogląd na tę sprawę.

–Będziesz potrzebował pomocy. Ja znam ten miejski śmietnik, a ty nie.

–Mam swoje sposoby.

–Sposoby? Słuchaj, koleś, to nie jest wiktoriańska Anglia, a ty nie jesteś Sherlockiem Holmesem. To jest Ameryka, lata dziewięćdziesiąte, wielkie miasto. Tutaj takie niedźwiedzie je się na śniadanie.

Trochę się zmartwił.

–Nie znam zbyt dobrze tej rzeczywistości.

–No, to mnie potrzebujesz – powiedziałem, mierząc w niego z colta.

–No dobra, mów dalej – burknął.

Jestem pewny, że gdyby mógł mnie wtedy dopaść, zademonstrowałby, jakie szybkie są te jego kłocowate pięści.

–Tak się składa, że jestem prywatnym detektywem. Nigdy nie przepadałem za policją ze znaczkami, ale nie mam nic przeciwko współpracy, jeśli można na tym zarobić.

W pierwszej chwili Bruno zrobił taki ruch, jakby chciał odrzucić moją propozycję, ale się powstrzymał i namyślił.

–Ile?

–Powiedzmy dwa tysiące za całą imprezę.

–Dwa tysiące dolarów.

–Albo dwie pary butów anty grawitacyjnych Spielberga, jeśli je masz.

Pokręcił głową.

–Nie wolno nam przewozić nowoczesnej technologii przez granice światów. To się źle

kończy.

–Na przykład jak?

–Na przykład małe dziewczynki wybuchają samoczynnie w New Jersey.

–Nie rób ze mnie idioty.

–Mówię poważnie. – I wyglądał poważnie: posępnie i groźnie. Jak niedźwiedź. – Nie da się przewidzieć efektów, bywają bardzo dziwaczne. Wiesz, wszechświat jest bardzo tajemniczy.

–Nie zauważyłem. No to jak, umowa stoi na dwa tysiące dolarów?

–Umiesz się obchodzić z bronią – zauważył. – Dobrze, zgoda.

Jakoś zbyt łatwo przelknął tę sumę.

–To niech lepiej będą trzy tysiące – zmieniłem zdanie. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Zgoda.

Zrozumiałem, że forsa nie gra dla niego roli, a w każdym razie forsa z naszego wymiaru prawdopodobieństwa. Mogłem zażądać każdej sumy, jaka by mi przyszła do głowy, ale już było za późno, żeby wycisnąć więcej – kwestia zasad.

–Z góry – dodałem.

–Masz przy sobie jakieś pieniądze? – zapytał. – Muszę zobaczyć, jakie macie banknoty.

Wyjąłem z portfela dwieście dolarów i rzuciłem na stolik przed nim.

Bruno rozłożył przed sobą pięćdziesiątki i dwudziestki i wyjął z płaszcza coś, co wyglądało jak cieniutki aparat fotograficzny. Zrobił zdjęcia banknotów, a po chwili ze szczeliny w aparacie wyleciały kopie pieniędzy. Podał mi je i czekał, co powiem.

Były bez zarzutu.

–Ale to fałszywy szmal – narzekalem.

–Prawda, ale nikt tego nie zauważy. Fałszywe banknoty można rozpoznać, bo fałszerze robią kilka tysięcy sztuk z tym samym numerem seryjnym, a ty masz tylko po dwa banknoty z jednym numerem. Jeśli masz gdzieś jeszcze jakieś pieniądze, mogę je od razu skopiować.

Wygrzebałem swoje rezerwy gotówki ukryte w skrytce w podwójnym dnie szafki kuchennej. W ciągu kilku minut dostałem swoje trzy tysiące. Schowałem wszystko do skrytki, do kieszeni włożyłem oryginalne dwieście i powiedziałem:

-No to chodźmy poszukać Stone'a.

Zanim się rozwidniło na dobre i zaczął padać śnieg, byliśmy już trzy kilometry od mojego mieszkania, a nasz trop robił się gorący.

Bruno wyjął swoją srebrną odznakę, która była identyfikatorem, ale najwyraźniej służyła również innym celom, i mruknął z zadowoleniem, widząc połyskujący pomarańczowy kolor. Wyjaśnił, że krążek mierzy szczątkową energię czasową, którą emituje Stone. Kolor nabiera intensywności, kiedy zbliżamy się do uciekiniera.

–Ładny gadżet – oceniłem.

–Spielberg go wymyślił.

Kiedy wychodziliśmy z mieszkania, krążek był żółty, teraz nabierał coraz intensywniejszego pomarańczowego odcienia.

–Zbliżamy się – rzekł Bruno. Przyjrzał się odznace, która zaczynała się zabarwiać na brzegach, i parsknął z zadowoleniem. – Spróbujmy w tej uliczce.

–To nie jest najmiłszy rejon miasta.

–Niebezpieczny.

–Ale nie dla dwumetrowego niedźwiedzia z futurystyczną spluwą.

–To dobrze.

Zgarbił się pod obszernym płaszczem i szerokim rondem kapelusza, żeby jak najbardziej upodobnić się do wielkiego brodatego mężczyzny, schylił głowę i ruszył przed siebie. Poszedłem za nim, kuląc się przed ostrym wiatrem i śniegiem.

Alejka wychodziła na większą ulicę, przy której mieściły się głównie magazyny, ogromne place parkingowe, fabryki sprzętu i kilka innych instytucji, które bynajmniej nie wyglądały na mafijne przykrywki. Jeden z magazynów był po prostu opuszczonym składem pustaków i blachy aluminiowej. Szyby w dwóch oknach wysoko nad ziemią miał wybite.

Bruno sprawdził krążek, po czym spojrzał na magazyn.

–Tam – powiedział.

Odznaka połyskiwała bladoczerwono.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, zostawiając czarne ślady na nieskazitelnej bieli śniegu. Na parterze do magazynu prowadziły dwa wejścia – normalne drzwi dla ludzi i wielka podnoszona

brama dla ciężarówek. Obydwa były zamknięte.

–Mogę odstrzelić tę zabawkę – powiedziałem, wskazując zamek mniejszych drzwi.

–On i tak jest na górze – odrzekł Bruno, zerkając znów na krążek. – Spróbujmy wejść przez drzwi na piętrze.

Ruszyliśmy na górę po schodach pożarowych, trzymając się mocno poręczy, bo stopnie były zdradliwe. Drzwi na górze ledwo wisiały na delikatnych zawiasach, ktoś je przed chwilą wyważył. Weszliśmy do środka, po czym zatrzymaliśmy się w ciemności, nasłuchując w martwej ciszy.

W końcu zapaliłem światło, bo uprzytomniłem sobie, że Bruno prawdopodobnie świetnie widzi w ciemności, a ja nie. Staliśmy na szerokiej galerii biegnącej dookoła głębokiej studni magazynu. Jakieś trzydzieści metrów na lewo rozległ się grzechot, jakby ktoś potrząsał workiem kości. Poszliśmy to sprawdzić i znaleźliśmy drewnianą drabinkę, kołyszącą się po czymś zejściu.

Wyjrzałem na dół, ale Stone zdążył już zniknąć. Nie słyszeliśmy, żeby otworzył na dole jakieś drzwi, więc zeszliśmy za nim po drabince.

Dziesięć minut zajęło nam sprawdzenie pustych skrzyń, uszkodzonych urządzeń, wszystkich zakamarków między rzędem opustoszałych biur na drugim końcu, ale nigdzie nie znaleźliśmy ani śladu żartownisia Stone'a. Drzwi frontowe nadal były zamknięte od środka. Żaden z nas nie opuścił broni. Uzupełniłem pociski w swoim smisie wessonie i miałem teraz pełny magazynek.

Broń Bruna natomiast nie przypominała niczego, co w życiu widziałem na oczy, ale zapewnił mnie, że jest śmiernością.

–To disney, kalibru siedemset osiemdziesiąt. Miotacz śmierci.

–Disney?

–Walt Disney. Najlepsze zakłady zbrojeniowe na świecie.

–Naprawdę?

–Tu ich nie macie?

–Mój to smith and wesson – powiedziałem.

–Ci od hamburgerów?

–Co? – Zmarszczyłem czoło.

–No wiesz, „złote kopułki smitha and wessona”. Porzuciłem ten temat. Naprawdę cudaczna

ta ich alternatywna rzeczywistości.

Usłyszałem słabe dźwięki muzyki heavymetalowej. Jakby dochodziła z powietrza wokół nas. Kiedy się jednak uważnie rozejrzałem, zauważyłem stare drzwi, które wcześniej przeoczyliśmy, pomalowane na ten sam kolor co ściany. Otworzyłem je ostrożnie i zajrzałem w czarną czeluść, z której dudniły gitary, syntetyzatory i perkusje. Zszedłem po schodach, a Bruno za mną.

–Skąd dochodzi ta muzyka? – zapytał mój niedźwiedzio-kształtny towarzysz.

Czułem na karku jego gorący oddech. Niespecjalnie mi się to podobało, ale nie narzekałem. Dopóki on był za moimi plecami, nikt mnie nie mógł podejść niezauważenie od tyłu.

–Może grają w jakiejś piwnicy, albo tutaj, albo w sąsiednim budynku.

–Kto gra?

–Zespół.

–Jaki zespół?

–A skąd mam wiedzieć?

–Lubię zespoły – odparł Bruno.

–To dobrze.

–Lubię tańczyć – rzekł niedźwiedź.

–W cyrku? – zapytałem.

I natychmiast zdałem sobie sprawę, że o mały włos go nie obraziłem. W końcu był inteligentnym mutantem, funkcjonariuszem policji probabilistycznej, a nie jakimś tam niedźwiedziem z naszych lasów. Z równym prawdopodobieństwem jak tańców w cyrku, można by oczekiwać, że będzie nosił spódniczkę tutu i jeździł na monocyklu.

–Zbliżamy się – poinformował mnie Bruno, kiedy schodziliśmy po schodach. – Ale Stone’a tu nie ma.

Policyjny krążek w dalszym ciągu nie nabierał intensywnego czerwonego koloru.

–Tędy – powiedziałem, kiedy schody się skończyły i znaleźliśmy się w wilgotnej, zaśmieconej piwnicy porzuconego magazynu.

Cuchnęło tu moczem i padliną. Musiała to być wylęgarnia wirusów, które w niedalekiej przyszłości unicestwią gatunek ludzki. Podążałem za syrenim głosem metalowców z jednego

zimnego kamiennego pomieszczenia do drugiego, lękając się szczurów, pajaków i Bóg wie czego jeszcze. Mógł tu spoczywać nawet Jimmy Hoffa. Albo Elvis, ale taki dziwny – chodzący trup z ostrymi zębami, czerwonymi oczami i niewłaściwym stosunkiem do świata.

W najbardziej smrodliwym i zatęchłym pomieszczeniu trafiłem na wzmocnione drewniane drzwi na żelaznych zawiasach. Były zamknięte.

–Cofnij się – polecilem.

–Co chcesz zrobić?

–Renowację – odrzekłem i odstrzeliłem zamek.

–Mam dyskretniejsze przyrządy, którymi można osiągnąć ten sam cel – powiedział Bruno, kiedy przeraźliwy loskot ucichł.

–Do diabła z nimi – odparłem.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem za nimi następne – stalowe, stosunkowo nowe. Od naszej strony nie było w nich klamki ani zamka. Podwójne drzwi oddzielały dwa budynki tak, aby nie dało się między nimi przejść bez współdziałania dwóch osób z obu stron.

Bruno wszedł w snop światła mojej latarki, mówiąc:

–Pozwól, że ja to zrobię.

Z kieszeni swojego przestronnego płaszcza wydobyl dziesięciocentymetrową paleczkę z zielonego kryształu i potrzęsnał nią jak termometrem. Narzędzie zaczęło dzwonić tak wysokim dźwiękiem, że jeszcze trochę, a przestałby być słyszalny dla człowieka, za to doprowadziłby do szału wszystkie psy. Rzecz dziwna, z jakiegoś powodu czulem drgania tego przeklętego urządzenia na języku.

–Język mi się trzęsie – powiedziałem.

–To normalne.

Pod wpływem dotyku kryształowego pręta jeden po drugim zamki otworzyły się z głośnym zgrzytem.

Język przestał mi wibrować, Bruno schował kryształową paleczkę do kieszeni, a ja pchnąłem drzwi.

Znaleźliśmy się w łazience. Poza nami nie było tu nikogo. Dwie otwarte kabiny; dwa pisuary, które najwyraźniej okazały się zbyt nieruchome, żeby mogli do nich trafić niektórzy co bardziej pijani goście; umywalka – tak brudna, jakby się w niej regularnie kąpał Bobo Chłopiec-Pies, i poplamione lustro, które odbijało nasze twarze, skrzywione niczym u dziewczyc w

burdelu.

–Co to za muzyka? – krzyknął Bruno.

Trzeba było teraz krzyczeć, bo heavymetalowy zespół grał gdzieś bardzo blisko.

–Metallica!

–Nie bardzo się nadaje do tańczenia – narzekał.

–To zależy, ile masz lat.

–Nie jestem stary.

–Tak, ale jesteś niedźwiedziem.

W zasadzie lubię heavy metal. Oczyszcza mi zatoki, poza tym kiedy go słucham, czuję się nieśmiertelny. Gdybym robił to za często, zacząłbym zjadać żywcem koty i strzelać do ludzi, których nazwiska mnie drażnią. Potrzebuję jazzu i bluesa, ale trochę metalu od czasu do czasu też nie zaszkodzi, a zespół, który grał w tym klubie, nie był zły.

–Co teraz? – krzyknął Bruno.

–To wygląda na jakiś bar albo klub – odparłem. – Wyjdziemy stąd i poszukamy Stone’a.

–Ja nie. Co innego na ulicy, zwłaszcza w nocy. Ludzie mijają mnie z daleka, nie mogą mi się przyjrzeć, ale tutaj będzie za ciasno. Stone też się nie powinien mieszać z tłumem. Ogólnie rzecz biorąc, wygląda jak człowiek, ale ktoś by mógł nabrać podejrzeń. W ogóle nie powinien się wyprawiać do niesprawdzonej linii czasowej, ale wpadł w panikę, bo go prawie dopadłem.

–No to co robimy? – spytałem.

–Ja tu zostanę w którejś kabinie, a ty się rozejrzyj. Jeśli go tam nie ma, wrócimy do magazynu i tam na nowo podejmiemy trop.

–Muszę zarobić na swoją forszę, co? – powiedziałem.

Poprawiłem w lustrze krawat, a Bruno tymczasem wszedł do kabiny i zamknął za sobą drzwi.

–Boże Wszechmogący... – jęknął ze środka.

–Co się stało?

–Czy ludzie na tym świecie w ogóle nie przejmują się czystością?

–Niektórzy z nas są na poziomie.

–To obrzydliwe.

–Spróbuj w drugiej kabinie.

–Ciekawe, co tam znajdę.

–Niedługo wrócę – obiecałem i wyszedłem z cuchnącej łazienki na poszukiwanie Grahama Stone'a.

Musiałem się przepychać, żeby wydostać się z łazienki, bo przed drzwiami kłębił się taki tłum, że ludzie stali poupychani od ściany do ściany jak drzewo w sagach. Widziałem zdjęcie Grahama Stone'a na tej zmiennokolorowej odznace Bruna, więc orientowałem się, kogo mam szukać: metr osiemdziesiąt wzrostu, blada twarz, kruczoczarne włosy, oczy błękitne, przejrzyste jak kryształ i puste jak serce poborcy podatkowego, wąskie usta – nieomylna oznaka okrucieństwa. Sprawdziłem ludzi stojących w pobliżu, a stwierdziwszy, że żaden z nich nie jest tym, kogo szukam, zagłębiłem się dalej w tłum metalowców żłopiących piwo, palących zioła lecznicze, obmacujących swoje dziewczyny, obmacujących swoich chłopaków, podskakujących w rytm muzyki i patrzących na mnie, jakby czekali, aż zacznę rozdawać egzemplarze „Strażnicy” i przekonywać, że Jezus był ich zbawicielem.

Nielatwo było znaleźć w tym tłumie jedną twarz. Ciągłe coś mi przeszkadzało. Co kilka minut włączały się światła stroboskopowe, a kiedy się włączały, musiałem się zatrzymać i czekać. Kiedy światła gasły, na ścianach, suficie, a nawet na ludziach wyświetlano migawki filmów, głównie horrorów.

Mniej więcej dziesięć minut później, minąwszy bar i scenę, zauważyłem wreszcie Grahama Stone'a przepychającego się w stronę podświetlonych drzwi na drugim końcu sali.

Napis nad drzwiami głosił: BIURA, a drugi, na samych drzwiach ostrzegał: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Drzwi były uchylone. Wszedłem tam swobodnie, jak ktoś w najwyższym stopniu upoważniony, trzymając rękę w kieszeni marynarki na kolbie pistoletu.

Znalazłem się w krótkim korytarzu, z którego prowadziły wejścia do kilku pokoi. Wszystkie były zamknięte. Zapukałem do pierwszych drzwi, a kiedy kobiecy głos powiedział: „Proszę”, otworzyłem je i zajrzałem do środka.

Przed wielkim lustrem ponętna rudowłosa dziewczyna w trykocie ćwiczyła kroki baletowe do dźwięków muzyki – w obecnej chwili Megadeth. Dookoła pod ścianami stało dziesięć krzeseł, a na każdym siedziała inna kukła w rodzaju tych używanych przez bruchomówców. Niektóre trzymały banany w drewnianych rękach.

Nie chciałem wiedzieć na ten temat nic więcej.

–Przepraszam. Pomyliłem pokój.

Zamknąłem drzwi i podszedłem do innych, po drugiej stronie korytarza.

Tu był Graham Stone. Stał przy biurku i patrzył na mnie tymi zimnymi oczami. Wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi i wyjąłem z kieszeni smitha wessona, aby nie mieć wątpliwości, że Stone mnie właściwie zrozumie.

–Nie ruszaj się – powiedziałem.

Nie ruszył się ani nie odpowiedział. Kiedy jednak zrobiłem kilka kroków w jego stronę, odsunął się w bok. Uniosłem wyżej trzydziestkęósemkę, ale to też nie zrobiło na nim wrażenia. Patrzył na mnie i na pistolet bez większego zainteresowania.

Znowu podszedłem bliżej, a on znów się odsunął. Bruno powiedział mi wcześniej, że sprowadzenie go żywego nie jest niezbędnym warunkiem mojego kontraktu. Ściśle biorąc, zasugerował wręcz, że jeśli będę chciał okazać litość, spotkam się z brutalnością godną żebraka Hare Kriszny, który przedawkował anielski pył. No cóż, może nie ujął tego dosłownie w ten sposób, ale w każdym razie pojąłem, o co chodzi. Tak więc wypaliłem z bliska prosto w pierś Grahama Stone’a, ponieważ nie wiedziałem, co mi może zrobić.

Kula przeszła przez niego na wylot. Stone się zapadł i sflaczał, osunął się na biurko, a potem na podłogę. W ciągu sześciu sekund nie zostało z niego nic poza stertą pomalowanej bibuły. Trójwymiarowa węzowa skóra, nawet kiedy z niej uszło powietrze, wyglądem ludzaco przypominała człowieka.

Popatrzyłem na smitha wessona. To był mój zwykły, pocziwy pistolet. Nie żaden disney kalibru.780, miotacz śmierci, co znaczyło, że tamto to nie był prawdziwy Graham Stone, tylko... tylko coś innego, jakiś dziwaczny twór, równie cienki, jak przekonujący. Nie zastanawiając się nad tym dłużej, wycofałem się na korytarz. Nikt nie usłyszał strzału. Kapela na scenie całkiem nieźle udawała Megadeth – grając odjazdowy kawałek z „Youthanasia” – a jednocześnie znakomicie zagłuszyła huk broni.

I co teraz?

Ostrożnie sprawdziłem dwa pozostałe pokoje i w obydwu znalazłem Grahama Stone’a. W pierwszym pokoju zgniotłem w palcach powłokę z pozoru solidną jak popiersia z Mount Rushmore, w rzeczywistości tak nietrwałą jak wizerunki współczesnych polityków. W drugim rozniosłem ją na strzępy starannie wymierzonym kopniakiem między nogi.

Wróciłem na salę koncertową. Byłem wściekły. Kiedy strzelasz do faceta, spodziewasz się, że runie na ziemię jak kupa cegieł i już tam zostanie. Takie są zasady gry. Nie podobały mi się te tanie sztuczki.

Wróciłem do łazienki i zastukałem w drzwi kabiny Bruna. Wyszedł jak zwykle w kapeluszu naciągniętym głęboko na twarz i z postawionym kołnierzem.

–Skoro wy, ludzie, nie zadajecie sobie trudu spuszczenia wody w toalecie, to po co w ogóle montujecie spluczki? – powiedział, krzywiąc się z obrzydzeniem.

–Mamy kłopot – oznajmiłem.

Opowiedziałem mu o trzech nadprogramowych Grahamach Stone’ach, po czym zażądałem

wyjaśnić.

–Nie chciałem ci tego mówić. – Był wyraźnie stropiony. – Bałem się, że się przestraszysz i nie będziesz już taki skuteczny.

–Czego nie chciałeś mi powiedzieć? – spytałem. Wzruszył masywnymi barami.

–No więc Graham Stone nie jest człowiekiem. O mało nie wybuchnąłem śmiechem.

–Ty też nie.

Uraziłem go i poczułem się jak dureń.

–W pewnym stopniu jestem człowiekiem – odparł. – Część materiału genetycznego... a zresztą mniejsza o to. Graham Stone tak naprawdę nie pochodzi z żadnego z alternatywnych ziemskich światów. To kosmita. Z innego układu planetarnego.

Podszedłem do umywalki i mocno spryskałem twarz zimną wodą. Niewiele pomogło.

–No to teraz mów wszystko – powiedziałem.

–Nie wszystko – zaczął. – Wszystko zajęłoby za dużo czasu. Stone jest istotą pozaziemską. Wygląda jak człowiek, chyba że podejdzie się wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, że w jego skórze nie ma porów, a jak się przyjrzyz dłoniom, to zobaczysz blizny po amputowanych szóstych palcach, które usunięto, żeby mógł uchodzić za człowieka.

–Jasna sprawa – potwierdziłem zjadliwie. – Blizna po amputacji szóstego palca zawsze niezawodnie zdradzi obcego.

–No właśnie. Siedem miesięcy temu cały statek z tymi istotami rozbił się w jednej z naszych linii probabilistycznych. Nie udało się nam nawiązać z nimi kontaktu. Są wyjątkowo nieprzyjaźni i bardzo dziwni. Ogólnie uważamy, że trafiliśmy na gatunek megalomanów. Zlikwidowaliśmy wszystkich z wyjątkiem Grahama Stone'a, który dotąd się nam wymyka.

–Skąd to angielsko brzmiące nazwisko u kosmity?

–To było pierwsze nazwisko, pod które próbował się podszyć jako człowiek. Od tamtej pory przyjmował wiele innych. Najwyraźniej nawet kosmici uznali, że wszystko co brytyjskie oznacza styl i klasę. To się sprawdza w osiemdziesięciu procentach linii czasowych, chociaż są i takie, w których symbolem najwyższej klasy jest przynależność do wyspiarskiej narodowości Tonga.

–A cóż takiego, do diabła, zrobił ten kosmita, że zasłużył sobie na śmierć? – zapytałem. – Może gdybyśmy wykazali więcej dobrych chęci, żeby go zrozumieć...

–Wykazywaliśmy. Pewnego ranka lekarze przyjechali do laboratorium kontynuować badania

i znaleźli zwłoki wszystkich ludzi z nocnej zmiany. Z ust, nozdrzy, oczodołów wyrastały im pajęczynowate grzyby. Wyobrażasz sobie tę scenę? Od tamtej pory więcej tego nie zrobił, ale to nie znaczy, że nie może.

Podszedłem z powrotem do umywalki i spojrzałem w lustro. Ktoś wszedł, żeby skorzystać z pisuaru, na co Bruno rzucił się jak oparzony do kabiny i zatrzasnął za sobą drzwi.

–A fuj! – burknął, ale nowo przybyły nie zauważył nic dziwnego w niedźwiedzim głosie.

Przez trzy minuty mogłem się poprzyglądać swojej drogocennej facjacie, dopóki nie wyszedł metalowiec.

Bruno wychynął z ubikacji, krzywiąc się jeszcze bardziej niż poprzednio.

–Słuchaj – powiedziałem. – A jeżeli Stone był gdzieś tam w biurach nie dalej niż sześć metrów ode mnie, kiedy ja sobie używałem na tych papierowych wabikach czy co to było? Mógł przez ten czas spokojnie czmychnąć z tego świata.

–Nie – odparł Bruno. – Jesteś odbiorcą, a nie przekaźnikiem. Żeby się wydostać z tej linii czasowej, będzie musiał znaleźć kogoś o odwrotnych zdolnościach niż ty.

–Więc są inni?

–W tym mieście wykryłem dwoje – rzekł Bruno.

–Moglibyśmy obstawić tę dwójkę i zacząć się na niego!

–Nie bardzo – odparł niedźwiedź. – W tym czasie zdążyłby się tu zadomowić i przejąć tę linię czasową dla siebie. To by mu dało lepszą pozycję, z której mógłby uderzać na inne kontinua.

–Ma aż takie możliwości?

–Mówilem, że jest niebezpieczny.

–No to ruszajmy – zdecydowałem, odwracając się w stronę stalowych drzwi prowadzących do piwnicy sąsiedniego magazynu.

–Jesteś cudowny – rzucił Bruno.

Odwróciłem się i spojrzałem na ten jego zwariowany pysk, szukając śladów ironii. Nie potrafiłem odgadnąć, o czym myśli.

–Cudowny? Słuchaj, facet facetowi nie mówi takich rzeczy. Zwłaszcza w łazience.

–Dlaczego?

–Mniejsza o to dlaczego – odparłem, bo zacząłem się już irytować.

–W każdym razie nie jestem facetem, tylko niedźwiedziem.

–Jesteś facetem niedźwiedziem, no nie?

–No tak.

–No więc skończ z tymi cudownymi pierdołami.

–Chciałem tylko powiedzieć, że w ciągu kilku krótkich godzin zaakceptowałeś istnienie światów równoległych, inteligentnego niedźwiedzia i kosmity z innej planety. I wcale nie wyglądasz na wstrząśniętego.

Postanowiłem go oświecić.

–Wczoraj wieczorem trochę sobie użylem. Byłem pijany i spędziłem nader aktywnie sześć godzin w łóżku z pewną wspaniałą blondynką o imieniu Sylvia. Zjadłem dwa steaki, sześć jajek i stertę smażonych ziemniaków. Wypociłem całe napięcie, które zostało mi po ostatniej robocie. Jestem dzisiaj oczyszczonym człowiekiem, zniosę wszystko. Nikt mi jeszcze nie zaserwował czegoś, czego bym nie potrafił znieść, i tym razem nie będzie inaczej. Poza tym w grę wchodzi trzy tysiące dolców, że już nie wspomnę o drobiazgu, którym jest duma. No a teraz zabierajmy się stąd, do diabła.

Przez stalowe drzwi, a potem drewniane wróciliśmy do piwnicy opuszczonego magazynu.

Kiedy wyszliśmy z powrotem na ulicę, okazało się, że przez ten czas napadało dwa centymetry śniegu i na dobre rozszalała się zamieć. Ostry śnieg chłostał i kłuł nas w twarze, oblepiał ubrania. Zakląłem głośno, natomiast Bruno bez słowa przyjął ten fakt do wiadomości.

Jakieś tysiąc lat później i milion kilometrów od wyjścia z heavymetalowego baru, gdzie mało brakowało, żebym przyparł Stones do muru, idąc za zmieniającym kolory krążkiem, trafiliśmy na odrażającą robotę kosmity. W bocznej uliczce leżało pięciu nastoletnich chłopców, z ich ust, nosów, a domyślałem się, że nawet z odbytów, wyrastały białe pajęczynowate grzyby.

–Tego się obawiałem – odezwał się Bruno z udręką w głosie.

–Nie pękaj – odparłem, schylając się, żeby obejrzeć ciała z bliska. Nie wyglądały pięknie. – To zbiry. Młodociane opryski z jakiegoś ulicznego gangu. Zastrzeliliby ci siostrę z taką samą łatwością, jak zjedli pączka. To jakiś nowy gang. Widzisz te tatuowane kobry na dłoniach? Pewnie próbowali przycisnąć Grahama do muru, a on odplacił im pięknym za nadobne. Tym razem zrobił coś pożytecznego. Przynajmniej nie będą ograbiać staruszek z emerytur i napadać dziadków, żeby ukraść zegarek kieszonkowy.

–Tak czy inaczej musimy się pozbyć ciał – powiedział Bruno. – Nie mogą ich znaleźć ludzie, bo zaczniesz dochodzenie i wypytywanie, co ich zabiło, a ta linia czasowa nie jest jeszcze gotowa, żeby rozpocząć podróże między światami.

–A to czemu?

–Przez problemy kredytowe.

–No to co proponujesz? – spytałem.

Bruno wyjął z kieszeni ten swój dziwny pistolet, przestawił coś regulatorem na kolbie, po czym zamienił pięciu młodocianych gangsterów w kupkę popiołu. Miał rację co do disneya kalibru.780, miotacza śmierci – to był ojciec wszystkich miotaczy promieni.

Kiedy rozsypywaliśmy nogami spopielone szczątki, pozwalając, żeby reszty dokonał wiatr, czułem się nieszczególnie. Wciąż sobie przypominałem o trzech tysiącach dolarów. I o Sylvii. I o przedniej szkockiej. I o tym, że stracę to wszystko, jeśli puszczą mi nerwy. Bo widzicie, kiedy prywatnemu detektywowi raz puszczą nerwy, koniec z jego karierą. Albo życiem.

Kiedy przejechały plugi śnieżne, szliśmy środkiem ulicy, gdzie przynajmniej nie musieliśmy się zмагаć z zaspami. Z początku krążek namierzający był ledwie żółtawy, wkrótce jednak zaczął ciemnieć na jaskrawopomarańczowo, a kiedy krawędzie się zaczerwieniły, odzyskaliśmy animusz.

Musieliśmy w końcu zejść z ulicy i brnąć brzegiem rzeki, gdzie w nietkniętym śniegu

dokumentnie przemoczyłem skarpetki i nogawki spodni.

Kiedy odznaka Bruna po raz pierwszy tego dnia zajaśniała jaskrawą czerwienią, weszliśmy na niewielki pagórek i zobaczyliśmy Grahama Stone'a. Stał na końcu pirsu w basenie dla żaglówek. Wszedł na pokład jednego ze smukłych jachtów, pobiegł do sterówki, wszedł po schodkach i zniknął w środku. Zabłysły światła pozycyjne na całej długości łodzi i zawarczał silnik.

Zbiegłem z pagórka, w prawej ręce ściskając pistolet, a lewą wyciągając przed siebie na wypadek, gdybym się pośliznął na śniegu. Bruno coś krzyknął, ale go nie słuchałem. Krzyknął drugi raz i ruszył za mną. Nawet nie oglądając się, wiedziałem, że za mną biegnie, bo słyszałem ciężki tupot jego wielkich stóp.

Kiedy dopadłem końca pomostu, Stone zdążył już zawrócić łódkę i wypływał właśnie na rzekę. Przemierzając ostatnie metry, oceniłem odległość do odpływającego jachtu – jakieś trzy i pół metra. Skoczyłem. Wylądowałem na relingu niczym jedna wielka płatanina rąk i nóg, grzmotnąłem barkiem o pokład i przez chwilę zobaczyłem przed oczami wszystkie gwiazdy.

Usłyszałem za plecami zrozpaczony ryk, a potem głośny plusk.

Bninowi się nie udało.

Z miejsca, gdzie leżałem, widziałem okna sterówki. Graham Stone, czy też może któraś z jego zrzucanych skór, stał i patrzył na mnie z góry. Poderwałem się na nogi, wytrząsnąłem z głowy gwiazdy i rozejrzałem się za swoim pistoletem.

Broń jednak zniknęła.

Obejrzałem się na pirs. Nigdzie nie było widać Bruna. A gdzieś w czarnej toni między mną i pirssem spoczywała w mule moja trzydziestkaósemka.

Czułem się parszywie. Żałowałem, że w ogóle wychodziłem tego ranka z Ace-Spot i że spotkałem Bruna. Szybko jednak otrząsnąłem się z ponurych myśli i rozejrzałem za czymś, co mogło mi posłużyć za broń.

Kiedy zaczynasz żałować, że zdarzyło się to, co się zdarzyło, następnym etapem jest depresja, potem bierność i wreszcie wegetacja. Bez względu na sytuację na świecie musisz coś zrobić. Cokolwiek.

W skrzyni z narzędziami przymocowanej do pokładu przy relingu znalazłem kawałek rury. Gdyby się dobrze zamachnąć, można by nią było zrobić w czasie całkiem niezłe wgniecenie. Od razu poczułem się lepiej.

Stone w dalszym ciągu stał w sterówce i patrzył na mnie. W błękitnych oczach odbijały się światła jachtu. Był zbyt pewny siebie. Wszedłem po schodkach i wpadłem do środka, na

przygiętych nogach. Trzymałem przed sobą rurę, ale on nawet się nie raczył odwrócić, żeby na mnie spojrzeć.

Podchodziłem ostrożnie drobnymi kroczkami, obawiałem się zbliżyć więcej niż po kilka centymetrów. Nie mogłem zapomnieć pięciu młodych opryszków z pajęczyną wyrastających grzybów.

Kiedy byłem blisko, wziąłem jak największy zamach i grzmotnąłem Stone'a w głowę. Rura zagłębiła się w czaszkę... a potem w szyję i klatkę piersiową, brzuch i biodra.

Kolejna zrzucona skóra. Przekłęta podobizna zapadła się i rozsypała u moich stóp w bezużyteczną stertę bibuły. Niech go diabli! Czy też raczej „niech to diabli”.

Spojrzałem przez okno sterówki. Byliśmy w połowie drogi na zachodni brzeg rzeki. Łodzią sterował pilot automatyczny. Nie znalazłem się na tych kontrolkach, przycisnąłem na chybił trafił kilka guzików, ale musiały zadziałać zabezpieczenia autopilota, które nie dopuściły do zmiany ustawień. Dużo ostrożniej niż poprzednio wyszedłem ze sterówki na poszukiwanie Stone'a.

Znalazłem go przy skrzynce z narzędziami, tej samej, z której wyjąłem rurę. Trzymał się rękami relingu i wpatrywał tęsknie w drugi brzeg, gdzie niebawem nieuchronnie musieliśmy osiąść na mieliźnie.

Podkradłem się do niego od tyłu i przywalilem. Mocno.

Kolejna papierowa forma. Żałowałem, że nie wiem, jak ten drań je robi. To była całkiem użyteczna zdolność.

Została jeszcze jedna trzecia drogi do lądu, miałem coraz mniej czasu, po przybiciu do brzegu znów mógł nam się wymknąć. Bruno mówił, że po kilku dniach w jednym świecie resztki energii po podróży międzyczasowej ulegają rozproszeniu i namierzająca odznaka staje się bezużyteczna.

Stone musiał zejść pod pokład, bo ten miałem w zasięgu wzroku, a w sterówce też go nie było. Znalazłem więc luk i schody prowadzące do niższych kajut. Schodziłem tak, jak uczy się to robić każdy prywatny detektyw – ostrożnie.

W kambuzie stała kolejna papierowa podobizna, którą zgmiotłem bohatersko swoją wierną rurą. Czulem się jak idiota, ale nie miałem ochoty zlekceważyć którejś kukły, a potem odkryć, że to był akurat śmiertelnie niebezpieczny oryginał.

Następnego papierowego diabła znalazłem w pierwszej kajucie. Załatwiłem go szybko. Druga kajuta była pusta, ani śladu fałszywego czy prawdziwego Stone'a. Została łazienka. Drzwi były zamknięte, ale nie na zamek. Nacisnąłem klamkę, szarpnąłem i znalazłem go.

Przez chwilę byłem kompletnie zbity z tropu. Przede mną stał prawdziwy Graham Stone

razem ze swoją podrabianą skorupą, która właśnie się od niego oddzielała. Miałem wrażenie, jakbym widział podwójnie i w dodatku oba obrazy lekko na siebie nachodziły. Stone warknął i odrzucił powłokę w tył. Na dłoniach wyrosły mu brzydkie brązowe bąble, oderwały się i poleciały w moją stronę niczym biologiczne pociski.

Cofnąłem się, machnąłem rurą i rozkwasilem jedno z wirujących... nasion, spor czy co to, do diabła, było. W mgnieniu oka koniec rury powłókł się wijącymi białymi włóknami, które pelzły nieubłaganie w dół, aż w końcu musiałem wypuścić rurę z ręki. Drugi bąbel uderzył w futrynę drzwi. Pajęczynowata kolonia grzybów zaczęła się rozprzestrzeniać na wszystkie strony, wczepiać w drewno i aluminium.

–Stój! Nie ruszaj się! – krzyknąłem, udając twardziela.

Znów podniósł ręce. Widziałem, jak tworzą się na nich następne spory. Skóra zbrązowiała, wyrzuciła się i odstrzelila. Jeden bąbel uderzył w ścianę tuż obok mnie i natychmiast białe wasy popelzły w stronę sufitu i podłogi. Przez powierzchnię płyty pilśniowej przebiegły zygzakowate pęknięcia, kiedy to świństwo zaczęło się przeżerać przez ściany w głąb poszycia statku.

Druga spora wylądowała na rękawie mojej kurtki i zaczęła bulgotać pianą białych odrostów. Nigdy w życiu nie rozbierałem się w takim tempie, nawet kiedy czekała na mnie urocza blondynka, zachęcając mnie pieszczotliwie. O mało się nie udusiłem przeklętym ubraniem, ale udało mi się go pozbyć. Zanim kurtka upadła na podłogę, pierzaste twory drżały tak jak włosy, które jeżyły mi się na karku.

Stone przeszedł z łazienki do zejściówki i znów wyciągnął ręce w moją stronę. Wtedy odwróciłem się i pognałem pędem przed siebie.

Jakiś czas temu powiedziałem, że kiedy prywatnemu detektywowi po raz pierwszy puszczają nerwy, jest skończony, jego kariera dobiega kresu w momencie pierwszej rejterady. No cóż, podtrzymuję to, co mówiłem. Wcale wtedy nie stchórzyłem, po prostu posлуchałem rozsądku. Ci, co walczą i uciekają, przeżywają, żeby stanąć do boju następnego dnia. Dlatego zwiewałem. Są w życiu takie chwile, kiedy wiesz, że nieroztropnie byłoby dotrzymać pola czolgowi, mając za jedyne broń karabin snajperski, bo będziesz tam stał z tym swoim karabinem i patrzył na trzydziestocentymetrową dziurę, którą ci wyrwali w bebeczach.

Poza tym Stone nie prowadził tej samej gry co ja. Nie znał zasad. Nawet najnędziejszy lajdak da ci jakiś cień szansy. Użyje pręta albo noża, albo nawet słoika z kwasem siarkowym, ale nie czegoś tak podstępного. Ten cudak z innej planety nie miał ani krztyny szacunku dla tradycji.

Na pokładzie pobiegłem na dziób łodzi i sprawdziłem, jak daleko jeszcze do brzegu. Wyglądało na jakieś sześćdziesiąt metrów. To był najbardziej upragniony widok w moim życiu. Obok mnie na relingu rozpadł się strąk włóknistej śmierci, oplótł żelazną poręcz pająkowatymi

mackami i zaczął ją żarłocznie pochłaniać. Zauważyłem, że te spory były jeszcze agresywniejsze niż tamte, które zabiły młodych gangsterów w ciemnej uliczce.

Zanurkowałem za komin. Po chwili wyjrzałem ostrożnie i zobaczyłem, że Stone stoi przy schodkach sterówki z rękami wyciągniętymi w moją stronę.

Łódź szybko zbliżała się do brzegu.

Ale nie dość szybko jak dla mnie.

Nad głową świsnęły mi dwa bąble, wylądowały na pokładzie za moimi plecami i zaczęły się wżerać w deski. Jeszcze trochę i jacht niczym plaster miodu będzie podziurawiony białymi mackami, cienkimi jak nić, ale mocnymi jak stalowy drut.

Rozległ się jęk torturowanego metalu. Pokład łodzi zadrżał i zdawało się, że stajemy, kiedy nagle jachtem szarpnęło i znów pomknęliśmy naprzód. Widocznie kadłub zawadził o kamienie na dnie rzeki, ale nie utknął.

Po chwili jednak łódź wpadła na następną podwodną skałę, która rozpruła poszycie i unieruchomiła żagłówkę na półtorametrowej mieliźnie. Większa część jachtu wystawała nad wodą.

Przeturlałem się po pokładzie, złapałem reling i wyskoczyłem do wody. Od razu zanurkowałem i uderzyłem szczęką o gładką powierzchnię jakiegoś dryfującego konara. Usta mi się same otworzyły, zacząłem łykać wodę. A więc tak to jest, jak się tonie, pomyślałem. Potem zamknąłem głupią gębę i wynurzyłem głowę, wymachując rękami. Dźwignąłem się na nogi i ruszyłem w stronę plaży, prychając, kaszląc i usiłując nie zemdleć.

Może brakuje mi wielu cech, które współczesne społeczeństwo zwykło podziwiać – jak na przykład wyrafinowany gust i finezja. Ale jedno mam na pewno. Charakter, psiakrew.

Byłem jakieś pięć kroków od brzegu, kiedy wybuchły przede mną strąki grzybów. Dwa. Potem dwa następne. Po chwili dzika płatanina białych węży zablokowała mi drogę ucieczki. Obejrzałem się. Graham Stone – kosmita anglofil o wyglądzie złego Cary'ego Granta też wyskoczył z łódki i szedł przez wodę w moją stronę.

Odwróciłem się w prawo i natychmiast wpadły w to miejsce dwie spory. Z wody wynurzyły się kręte albinotyczne węże i wystrzeliły w moją stronę.

Dwa następne wylądowały na lewo.

Za grosz szacunku dla tradycji.

Woda sięgała mi tylko do połowy łydek, nie mogłem nawet zanurkować i próbować ucieczki pod powierzchnią. Poza tym, jeśli te grzyby miały mnie dopaść, to wołałem, żeby to się stało tu

na górze, gdzie przynajmniej widziałem, co robią.

Graham Stone szedł nieustępliwie dalej, chwilowo wstrzymując go. Wiedział, że już mu nie ucieknę. Przed nami rozciągał się pusty, ciemny brzeg rzeki. Nie było kogo wołać na pomoc.

Wtem z lewej strony rozległo się wściekle wycie silnika motorówki pracującego na najwyższych obrotach. Zajęczała syrena – jednym z tych przeraźliwych dźwięków, jakich używano w starych samochodach, po czym z ciemności i śnieżyca wypadła mała, dwuosobowa motorówka z niedźwiedziem ściskającym kurczowo koło sterowe. Łódka pręła osiemdziesiątką, dziób stawał dęba. Ponieważ ślizgała się po powierzchni, bez trudu przemknęła nad podwodnymi skałami i zbliżała się błyskawicznie do brzegu.

–Bruno! – krzyknąłem.

Bruno wyglądał jak podręcznikowy przypadek człowieka czy raczej niedźwiedzia w skrajnym stanie napadu lękowego. Dziko toczył ślepiami i najwyraźniej był przygotowany na najgorsze.

Motorówka wpadła na plażę, śruby zaryły w piasek i zaczęły go wściekle mleć. Przejechała po brzegu jeszcze kilka metrów, uderzyła w kamień, zatrzymała się gwałtownie i niedźwiedź poszybował nad przednią szybą, następnie zjechał po dziobie i wylądował na plecach na piasku.

Podniósł się. Był oszołomiony i oblepiony piaskiem, ale przeżył.

Zacząłem skakać w wodzie i wrzeszczeć:

–Bierz go, Bruno! Teraz go bierz!

Chociaż Graham Stone przestał iść w moją stronę, białe macki zbliżały się nadal bardzo szybko.

Niedźwiedź podniósł głowę, obmacał ją, szukając kapelusza, aż w końcu, nie znalazłszy go, wzruszył ramionami.

–Bierz go, Bruno! Bierz go!

Wyjął tego swojego śmiesznego disneya miotacza śmierci i podczas gdy Stone próbował go trafić sporą grzybów, usmażył skurczybyka na miejscu. Po kosmicie została garść popiołu, który rozwił się na wszystkie strony.

Pomyślałem, że muszę taki mieć. Może Myszka Miki sprzedaje je w tajnym sklepie w Krainie Jutra.

–Zabiłeś go! – zawołałem, kiedy Bruno spalił biały las grzybów dookoła mnie.

Wtedy coś mi się stało – może spadł mi cukier we krwi albo co, bo straciłem przytomność. Ale

na pewno nie zemdlalem.

Musieliśmy się pozbyć jachtu. W ciągu piętnastu sekund zamienił się w kupkę popiołu, unoszoną powoli przez wodę. Nawet ognia nie było, tylko „puf!” i został z niego pył. Motorówkę też Bruno zniszczył, musiał usunąć wszelkie ślady po tym, co się tu dzisiaj zdarzyło.

Szliśmy brzegiem jakieś dwa kilometry, aż dotarliśmy do nadrzecznego klubu, gdzie mogliśmy wezwać taksówkę i wrócić do mojego mieszkania. Kierowca koniecznie chciał wiedzieć, czy Bruno zdobył nagrodę na balu kostiumowym, ale nie wdawaliśmy się z nim w dyskusję.

W domu się umyliśmy, zjedliśmy wszystkie steki, wszystkie jajka, wszystkie plasterki sera, wszystkie... no po prostu wszystko, po czym we dwóch wykończyliśmy trzy butelki szkockiej, chociaż muszę przyznać, że większość wypił Bruno.

Nie rozmawialiśmy o Grahamie Stonie. Dużo gawędziliśmy, jak to jest być gliną, zarówno prywatnym, jak i takim z odznaką. Rozmawialiśmy o różnych typach przestępczych zbirów i odkryliśmy, że wcale nie różnią się wiele, choć pochodzą z innych światów. Bruno wyjaśnił mi, dlaczego Ziemia nie jest wystarczająco cywilizowana, żeby ją przyjęto do stowarzyszenia linii probabilistycznych, pomijając rzecz jasna kwestię kredytową. Dziwne, ale powiedział, że to będzie niemożliwe, dopóki tacy jak ja nie znikną z powierzchni ziemi. Mimo to mnie lubił. Jestem tego pewien. Naprawdę dziwne.

Tuż przed świtem zrobił sobie zastrzyk, po którym wytrzeźwiał w mgnieniu oka. Uścisnęliśmy sobie dłonie (to znaczy on się schylił, żeby mi ucisnąć rękę) i rozstaliśmy się. Wyszedł poszukać punktu transmisyjnego, żeby wrócić do swojej rzeczywistości. A ja zasnąłem.

Nigdy więcej nie widziałem Bruna.

Były jednak inne dziwaczne indywidua, jeszcze dziwaczniejsze niż najbardziej pokręcone wyrzutki tego miasta; dziwniejsze niż Benny „Struś” Deekelbaker i Sam „Przepychacz” Sullivan; dziwniejsze niż „Garbus” Hagerty, zdeformowany płatny zabójca, a nawet dziwniejsze niż Graham Stone i Bruno. Kiedyś wam o tym opowiem, bo na razie mam randkę z najśladszym rudzielcem, jakiego w życiu widzieliście. Ma na imię Lorella, tańczy jak bóstwo i poza dość niezwykłym zainteresowaniem lalkami brzuchomówców jest naprawdę zupełnie normalna.

My troje

W trójkę z Jonathanem i Jessicą przeturlaliśmy ojca przez jadalnię, a potem przez wykwintną kuchnię w stylu staroangielskim. Mieliśmy pewien kłopot, żeby go przepchnąć przez tylne drzwi, bo był trochę sztywny. I nie jest to bynajmniej aluzja do jego zachowania czy usposobienia, chociaż kiedy chciał, potrafił być zimnym draniem. Tym razem był sztywny wskutek *rigor mortis*, od którego stężały mu mięśnie i stwardniało ciało. To nas jednak nie mogło powstrzymać. Kopaliśmy w niego dotąd, aż zgiął się wpół i przeszedł przez futrynę. Przeciągnęliśmy go przez ganek, a potem ze schodków na trawnik.

–Waży chyba tonę! – powiedział Jonathan, sapiąc, dysząc i ocierając spocone czoło.

–Nie tonę, tylko niecałe sto kilo – odparła Jessica.

Mimo że jesteśmy trojaczkami, pod wieloma względami zadziwiająco do siebie podobnymi, różnimy się tysiącem drobiazgów. Na przykład Jessica ma z nas wszystkich najbardziej pragmatyczne podejście do świata, podczas gdy Jonathan uwielbia wyolbrzymiać, fantazjować i marzyć. Ja jestem gdzieś pośrodku między tymi dwiema skrajnościami. Pragmatyczny marzyciel?

–I co teraz? – spytał Jonathan, marszcząc nos i patrząc z odrazą na zwłoki leżące na trawie.

–Spalmy go – zaproponowała Jessica. Jej usta były wyrysowane jakby cieniutkim ołówkiem, długie żółte włosy migotały w porannym słońcu. W tym pięknym dniu ona była najpiękniejsza. – Spalmy go całego.

–To może powinniśmy wyciągnąć też mamę i spalić ich razem – zauważył Jonathan. – To by nam oszczędziło pracy.

–Jeśli urządzimy jeden stos pogrzebowy, to płomienie mogą być za wysokie – doszła do wniosku Jessica. – Chyba nie chcemy, żeby nam się zajął dom, no nie?

–Możemy wybierać ze wszystkich domów na świecie! – Jonathan rozpostarł ramiona, obejmując tym symbolicznym gestem cały nadmorski kurort, dalej cały stan Massachusetts, kraj za jego granicami i wreszcie cały świat.

–Masz rację – przyznałem.

–Ale ja lubię ten dom – oznajmiła Jessica.

Ponieważ Jessica lubiła ten dom, odsunęliśmy się o pięć metrów od zwłok, popatrzyliśmy na nie i pomyśleliśmy o płomieniach. Ogień buchnął znikąd, spowił ciało czerwonopomarańczowym całunem. Ojciec dobrze się palił – trząskał, skwierczał, szerniał i rozpadł się w proch.

–Czuję, że powinno być mi smutno – rzekł Jonathan. Jessica się skrzywiła.

–No, przecież w końcu był naszym ojcem – powiedział Jonathan.

–Jesteśmy ponad tani sentymentalizm. – Jessica popatrzyła surowo na każde z nas, żeby się upewnić, że zrozumieliśmy. – Jesteśmy nową rasą, po nowemu myślimy i po nowemu patrzymy na świat.

–Chyba tak. – Jonathan jednak nie był do końca przekonany.

–No to teraz chodźmy po mamę – rzuciła Jessica. Jessica ma dopiero dziesięć lat – sześć minut mniej niż Jonathan i trzy minuty mniej niż ja – ale jest najsilniejsza z całej naszej trójki. Prawie zawsze potrafi postawić na swoim. Weszliśmy do domu, żeby wynieść mamę.

Rząd wysłał do naszego domu grupę dwunastu marines i ośmiu tajnych agentów. Oficjalnie mieli nas strzec, aby nie stała nam się krzywda, w rzeczywistości przyjechali dopilnować, żebyśmy pozostali więźniami.

Kiedy skończyliśmy z mamą, wyciągnęliśmy na trawnik wszystkie pozostałe zwłoki i spaliliśmy je po kolei.

Jonathan był wykończony. Usiadł między dwoma tłącymi się szkieletami i otarł twarz z potu i popiołu.

–Może popełniliśmy błąd.

–Błąd? – Jessica momentalnie się nasrożyła.

–Może nie powinniśmy byli zabijać wszystkich – wyjaśnił Jonathan.

Jessica tupnęła nogą, a jej złote loki zatańczyły czarująco.

–Głupi drań z ciebie, Jonathanie! Przecież wiesz, co chcieli nam zrobić. Kiedy odkryli, jakie potężne są nasze zdolności i jak szybko zdobywamy nowe, zrozumieli, że jesteśmy niebezpieczni. Oni chcieli nas załatwić.

–Mogliśmy zabić tylko kilku, żeby dać im do zrozumienia, czego chcemy – powiedział Jonathan. – Naprawdę musieliśmy wykańczać wszystkich?

Jessica westchnęła.

–Posłuchaj, w porównaniu z nami to byli neandertalczyki. Jesteśmy nową rasą, po nowemu czujemy, po nowemu patrzymy na świat. Jesteśmy najcenniejszymi dziećmi wszech czasów, ale oni dysponowali jednak pewną barbarzyńską siłą, pamiętasz? Naszą jedyną szansą było działanie bez uprzedzenia. No i to właśnie zrobiliśmy.

Jonathan rozejrzał się po szerniałych plackach na trawie.

–Tyle będzie z tym roboty! Cały ranek zajęło nam pozbycie się raptem tych kilku. Nigdy nie oczyścimy całego świata.

–Niedługo nauczymy się przenosić ciała w powietrzu. Ja już czuję ździebko tej siły. Może nawet nauczymy się teleportować je z jednego miejsca w drugie. Wtedy będzie łatwiej. Poza tym nie musimy oczyszczać całego świata, tylko te części, których zechcemy używać w najbliższej przyszłości. Potem pogoda i szczury zrobią resztę.

–Pewnie masz rację – przyznał Jonathan.

Czułem jednak, że nie wyzbył się wątpliwości i ja je podzielałem, przynajmniej część. Naturalnie, że staliśmy wyżej na drabinie ewolucji niż ktokolwiek przed nami. Jesteśmy początkującymi telepatami, jasnowidzami i możemy opuszczać nasze ciała, kiedy tylko zechcemy. Znamy tę sztuczkę z ogniem, która pozwala zamienić energię myśli w prawdziwe całopalenie. Jonathan potrafi władać przepływem niewielkich strumieni wody i ma z tego największą zabawę, kiedy próbuje sikać. Chociaż jest przedstawicielem nowej rasy, nadal ubóstwia dziecinne figle. Jessica umie przepowiadać pogodę, a ja mam dziwną zdolność rozumienia zwierząt – lgną do mnie psy, koty, ptaki i najróżniejszy drób. No i oczywiście potrafimy odebrać życie każdej roślinie lub zwierzęciu, myśląc o jej śmierci. Tak jak właśnie odebraliśmy życie całej ludzkości, myśląc jej śmierć. Może w świetle teorii Darwina naszym przeznaczeniem było unicestwić tych współczesnych neandertalczyków, kiedy tylko wykształciliśmy taką zdolność. Mimo to nie mogę się wyzbyć dręczących wątpliwości. Coś mi mówi, że będziemy jeszcze cierpieć za zniszczenie starej rasy.

–To wsteczne myślenie – powiedziała Jessica, przeczytawszy oczywiście w moich myślach. Ma dużo większe zdolności telepatyczne niż ja czy Jonathan. – Ich śmierć nie ma znaczenia. Nie możemy czuć skruchy. Jesteśmy nowymi ludźmi, reprezentujemy nowe emocje, nowe nadzieje, nowe marzenia i nowe zasady.

–Jasne – odparłem. – Masz rację.

W środę poszliśmy nad morze i spaliliśmy ciała martwych plażowiczów. Wszyscy lubimy morze i nie chcemy się pozbawiać dużych połaci czystego piasku. Plaża z rozkładającymi się ludzkimi szczątkami wygląda niechlujnie.

Kiedy skończyliśmy, ja i Jonathan byliśmy zmęczeni. Ale Jessica chciała świntuszyć.

–Dzieci w naszym wieku zwykle nie mogą jeszcze tego robić – rzekł Jonathan.

–Ale my możemy – powiedziała Jessica. – Mielśmy to robić. I ja chcę właśnie teraz.

No to świntuszyliśmy. Najpierw Jonathan z Jessica, potem ja z Jessica. Jessica chciała jeszcze, ale obaj odmówiliśmy.

Jessica wyciągnęła bezkształtne białe ciało na białym piasku.

–Poczekamy – powiedziała.

–Na co? – zapytał Jonathan.

–Aż znowu będziecie obydwaj gotowi.

Cztery tygodnie po końcu świata Jonathan i ja leżeliśmy sami na plaży i chłoniliśmy promienie słoneczne. Przez jakiś czas Jonathan dziwnie milczał, jakby się bał odzywać.

W końcu powiedział:

–Myślisz, że to normalne, żeby dziewczynka w jej wieku tak ciągle chciała...? Nawet jeśli należy do nowej rasy?

–Nie.

–Robi wrażenie... jakby ją coś opętało.

–Tak.

–Jest w tym jakiś cel, którego my nie rozumiemy. Miał rację. Ja też to wyczulem.

–Kłopoty.

–Może i tak.

–Czekają nas kłopoty.

–Może i tak. Tylko jakie kłopoty mogą nas czekać po końcu świata?

5

Dwa miesiące po końcu świata i spaleniu naszych rodziców, kiedy Jonathan i ja zaczęliśmy się nudzić w starym domu i coraz bardziej ciągnęło nas do nowych, bardziej egzotycznych miejsc, Jessica ogłosiła nam nowiny.

–Nie możemy na razie stąd odejść – oświadczyła ze szczególną siłą. – Musimy tu zostać jeszcze kilka miesięcy. Jestem w ciąży.

6

Po raz pierwszy wyczuliśmy tę czwartą świadomość, kiedy Jessica była w piątym miesiącu. Obudziliśmy się jednocześnie w środku nocy – złani potem, męczeni nudnościami i nagle świadomi obecności nowej osoby.

–To dziecko – rzekł Jonathan. – Chłopiec.

–Tak – powiedziałem, krzywiąc się pod wpływem psychicznego oddziaływania tej nowej istoty. – I chociaż jest jeszcze w twoim brzuchu, Jessico, jest już świadomy. Jeszcze się nie urodził, a już jest całkowicie świadomy.

Jessica zwijała się z bólu i pojękiwała bezradnie.

–Mały będzie taki jak my, nie będzie od nas potężniejszy – upierała się Jessica. – Nie chcę więcej słuchać tych twoich bzdur, Jonathanie.

Sama była ledwie dzieckiem, a już nosiła w brzuchu następne dziecko. Z każdym dniem wyglądała coraz bardziej groteskowo.

–Skąd możesz wiedzieć, czy nie będzie potężniejszy? – spytał Jonathan. – Żadne z nas nie umie czytać w jego myślach. Żadne z nas nie może...

–Nowe gatunki nie ewoluują aż tak szybko – oznajmiła Jessica.

–Tak? A my?

–Poza tym on jest niegroźny. Powstał z nas – zwróciła im uwagę, najwyraźniej sądząc, że to wyklucza teorię Jonathana.

–My też powstaliśmy z naszych rodziców – odparł Jonathan. – I gdzie oni są? A jeżeli wcale nie jesteśmy nową rasą? Jeżeli jesteśmy tylko krótkim etapem przejściowym, coś jak kokon między stadium gąsienicy i motyla? Dziecko może być...

–Nie mamy się czego obawiać ze strony naszego dziecka – upierała się Jessica, klepiąc się po brzudkim brzuchu. – A nawet jeśli masz rację, to ono i tak nas potrzebuje. Choćby do reprodukcji.

–Ciebie potrzebuje, nie nas – zauważył Jonathan. Siedziałem i słuchałem ich kłótni i nie wiedziałem, co o tym myśleć. Szczerze mówiąc, nawet mnie to bawiło, chociaż też się bałem. Chciałem im zwrócić uwagę, jakie to śmieszne.

–Może to wszystko nie tak – wtrąciłem się. – Może to ma być Drugie Nadejście, to, o którym pisał Yeats w swoim wierszu: bestia, co pełnie do Betlejem, żeby zostać narodzoną.

Żadne z nich nie widziało w tym nic śmiesznego.

–Nigdy nie znosiłem Yeatsa – oświadczył Jonathan.

–Ja też nie – dodała Jessica. – Ponury osioł. W każdym razie my jesteśmy ponad takie przesady. Jesteśmy nową rasą, mamy nowe marzenia, nowe nadzieje i nowe zasady.

–Jeny, to jest poważna groźba – powiedział Jonathan. – Tu nie ma z czego żartować.

I znowu zaczęli – dokładnie jak mama i tata, kiedy nie mogli dopiąć domowego budżetu. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Dziecko budziło nas regularnie co noc, jakby mu sprawiało przyjemność, że nie daje nam odpocząć. W siódmym miesiącu ciąży Jessiki przed świtem poderwał nas grom umysłowej energii, płynącej ze spoczywającego w łonie nienarodzonego.

–Chyba się pomyliłem – rzekł Jonathan.

–W czym? – spytałem.

Ledwo go widziałem w ciemnej sypialni.

–To dziewczynka, a nie chłopiec – odpowiedział.

Próbowałem sięgnąć myślami i wytworzyć sobie obraz stworzenia siedzącego w brzuchu Jessiki, ale dziecko przeciwstawiło mi się, tak jak zawsze przeciwstawiało się badaniu Jessiki i Jonathana. Ale byłem pewien, że jest rodzaju męskiego. Powiedziałem to głośno.

Jessica usiadła na łóżku, oparła się plecami o wezglowie, ręce położyła na ruszającym się brzuchu.

–Obaj się mylicie. Moim zdaniem to jest chłopiec i dziewczynka. Albo może żadne z nich.

Jonathan włączył lampkę nocną w naszym domu nad morzem i popatrzył na swoją siostrę.

–Co to niby ma znaczyć?

Jessica się skrzywiła, kiedy dziecko w brzuchu kopnęło ją z całej siły.

–Ja mam z nim bliższy kontakt niż wy obaj. Ja je czuję. Ono nie jest takie jak my.

–A więc miałem rację – podsumował Jonathan. Jessica milczała.

–Jeśli jest obojga płci albo żadnej, to nie będzie potrzebowało żadnego z nas – orzekł Jonathan.

Zgasił światło. Nie pozostało nic do zrobienia.

–Moglibyśmy je zabić – podsunąłem.

–Nic z tego – doszła do wniosku Jessica. – Jest zbyt potężne.

–Jezu! – burknął Jonathan. – Nawet nie możemy mu czytać w myślach! Jeśli potrafi całą naszą trójkę trzymać od siebie z daleka, to na pewno potrafi się obronić. Jezu!

W ciemności, gdy bluźnierstwo wisiało w powietrzu, odezwała się Jessica:

–Nie używaj tego słowa, Jonathanie. Jesteśmy ponad te stare przesady. Jesteśmy nowym plemieniem. Po nowemu myślimy, po nowemu czujemy i po nowemu postępujemy.

–Jeszcze przez jakiś miesiąc – podsumowałem.

Twardziel

Na czarnym niebie zatętniły świetlne arterie. W stroboskopowym błysku miliony zimnych kropel deszczu zamarły w pół drogi między niebem a ziemią. W lśniącej ulicy, jakby wybrukowanej potłuczonym lustrem, odbijały się niebiańskie ognie. Potem niebo na powrót zgasło i deszcz znów ruszył z miejsca. Chodnik ponownie stał się czarny, a tkanka nocy naparła na świat ze wszystkich stron.

Wyteżając oczy w ciemności i starając się ze wszystkich sił nie zważać na ból w prawym boku, detektyw Frank Shaw ścisnął w obu rękach smitha wessona kalibru.38 chiefs special. Złożył się do strzału i wypalił dwa razy. Przed nim Karl Skagg skręcił za róg najbliższego magazynu w samą porę, żeby ująć z życiem. Pierwszy pocisk wywiercił dziurę w powietrzu za jego plecami, drugi trafił w róg budynku.

Szum deszczu bębniącego o metalowe dachy magazynów w połączeniu z przetaczającym się grzmotem skutecznie zagłuszyły odgłos wystrzałów. Nawet gdyby kręcili się w pobliżu pracownicy ochrony i tak by niczego nie usłyszeli, Frank nie mógł więc liczyć na żadną pomoc.

A przydałaby się. Skagg był wyjątkowo groźnym seryjnym mordercą. Zabił co najmniej dwadzieścia dwie osoby. Nawet gdy miał najlepszy humor, należał do najniebezpieczniejszych ludzi na świecie, a w tej akurat chwili był równie łatwy we współzyciu jak wirująca piła tarczowa. To zadanie stanowczo przekraczało siły jednego gliniarza.

Frank zastanawiał się przez chwilę, czy nie wrócić do samochodu i nie wezwać wsparcia, ale Skagg zdążyłby się wymknąć, zanim policja otoczyłaby miejsce. Żaden gliniarz nie zrezygnowałby z pościgu wyłącznie z troski o własną skórę, a już na pewno nie Frank Shaw. Rozchlapując wodę w kałużach, obiegnął róg magazynu szerokim łukiem, na wypadek gdyby Skagg przycałił się na niego tuż za węglem, ale nikogo tam nie znalazł.

W przeciwieństwie do frontowej części budynku, gdzie betonowy podjazd prowadził do wielkich podnoszonych drzwi magazynu, tylna ściana była prawie zupełnie gładka. Sześćdziesiąt metrów dalej w drucianej osłonie wisiała pojedyncza żarówka oświetlająca metalowe drzwi wejściowe, których skrzydło właśnie się zamykało.

Krzywiąc się z bólu, Frank pobiegł w stronę wejścia. Ze zdumieniem stwierdził, że klamka w drzwiach była wyrwana, a zamek roztrzaskany, jak gdyby Skagg posłużył się łomem lub młotem. Czyżby znalazł narzędzie oparte o ścianę budynku i wykorzystał je do otwarcia drzwi? Zniknął mu z oczu raptem na kilka sekund, co najmniej pół minuty, to zdecydowanie za mało, żeby wylamać stalowe drzwi.

Dlaczego nie włączył się alarm przeciwwłamaniowy? Magazyn musi mieć zabezpieczenia, a Skagg nie wdarł się tu z finezją, która by mu pozwoliła przechytrzyć urządzenie alarmowe.

Przemoczony do suchej nitki Frank zadrżał mimowolnie, kiedy oparł się plecami o zimny mur

przy drzwiach. Zacisnął zęby, siłą woli powstrzymał dreszcze i zaczął nasłuchiwać.

Usłyszał tylko głucho bębnienie deszczu o metalowe dachy, plusk kropel rozchlapujących się o chodnik, chlupot wody w ściekach i rynnach. I czkanie wiatru. I syk wiatru.

Otworzył bębenek rewolweru, wysypał na rękę dwa nieużyte naboje, wrzucił je do kieszeni, i nabił broń ponownie. W ten sposób odpowiednio wyposażony wrócił do interesu.

Rwało go w prawym boku. Kilka minut temu Skagg go zaskoczył. Wpadł nań z cienia, wymachując prętem zbrojeniowym, który znalazł na budowie, niczym Mickey Mantle kijem baseballowym. Frank miał wrażenie, jakby głęboko w jego mięśniach i kościach ocierały się o siebie kawałki potłuczonego szkła, a ból nasilał się za każdym razem, kiedy wciągał powietrze. Mógł mieć złamane żebro albo nawet dwa. Pewnie nie... ale mógł. Był przemoczony, zmarznięty i zmęczony.

I naprawdę całkiem nieźle się bawił.

Wśród innych funkcjonariuszy wydziału zabójstw Frank był znany jako Twardziel Shaw. Tak samo nazywali go ponad dwadzieścia pięć lat temu kumple na szkoleniu podstawowym w korpusie piechoty morskiej. Był twardy, stoicko spokojny i dosłownie nic go nie mogło złamać. Przydomek poszedł za nim, kiedy skończył służbę i podjął pracę w Departamencie Policji w Los Angeles. Frank nigdy nikogo nie namawiał do używania tego przydomka, ale i tak wszyscy to robili, po prostu dlatego, że pasowało do niego jak ulał.

Był wysoki, szeroki w barach, wąski w pasie i w biodrach i miał ciało jak ze skały. Kiedy zacisnął wielkie dłonie w pięści, wyglądały tak groźnie, że zwykle wystarczyło mu nimi pomachać, aby nakłonić przeciwnika do współpracy. Szeroką twarz jakby wykuto w granicie... i to nie bez problemów – połamanych dłuć i popękanych młotków.

Koledzy z wydziału zabójstw twierdzili niekiedy, że twarz Franka zwykła przybierać wyraz podły lub podlejszy. Jasnoniebieskie oczy, przejrzyste jak deszczówka, patrzyły na świat z zimną podejrzliwością. Kiedy myślał, zwykle przez długi czas stał lub siedział zupełnie bez ruchu i tylko oczy, które poruszały się żywo, sprawiały wrażenie, jakby wyglądały ze środka twardej skorupy.

A skorupę miał piekielnie twardą, jak twierdzili koledzy. Ale to była tylko część tego, co o nim mówili.

Kiedy przeladował rewolwer, stanął przed rozwalonymi drzwiami do magazynu. Otworzył je kopnięciem. Przykucnął, opuścił nisko głowę i trzymając przed sobą trzydziestkęosemkę, szybko wpadł do środka. Rozejrzał się na prawo i lewo, czy Skagg nie skacze na niego z łomem, młotem albo innym narzędziem, którego lajdak użył, żeby się dostać do środka.

Po lewej stronie wznosiła się sześciometrowa ściana metalowych półek wypełnionych tysiącem pudełek. Po prawej wielkie drewniane skrzynie piętrzyły się na dziesięć metrów w górę i ciągnęły przez połowę długości budynku na przemian z korytarzami szerokości odpowiedniej, aby przejechał między nimi wózek widłowy.

Nie paliła się żadna z wielu świetlówek biegnących rzędami przez wysoki strop, piętnaście metrów nad ziemią. Tylko kilka lamp w cynowych abażurach, stanowiących nocne oświetlenie, rzucało bladą poświatę na przechowywane towary, reszta pomieszczenia tonęła w mroku.

Frank przesuwiał się ostrożnie i bezszelestnie. Chlupały mu wprawdzie przemoczone buty, ale ten dźwięk ledwo się przebijał przez bębnienie deszczu o dach. Woda kapiała mu z czoła, z brody, z lufy rewolweru, kiedy mijał jeden rząd skrzyń za drugim, zaglądając w głąb każdego przejścia.

Skagg stał na końcu trzeciego korytarza, jakieś czterdzieści metrów w głębi, w słabym mlecznym świetle i czekał, żeby się przekonać, czy Frank za nim idzie. Mógł się ukryć w cieniu

skrzyń, mógł przykucnąć tak, żeby go nie było widać, tymczasem stał na widoku, jakby Franka prowokował. Zawahał się, niepewny jeszcze, czy Frank go zobaczył, po czym zniknął za rogiem.

Przez pięć minut bawili się w chowanego, przemykając ukradkiem przez labirynt skrzyń i kontenerów. Trzykrotnie Skagg dał się Frankowi zauważyć, chociaż ani razu nie pozwolił mu się do siebie zbliżyć.

On też się nieźle bawi, pomyślał Frank.

To go zirytowało.

Wysoko na ścianach przyozdobione pajęczymi sieciami tkwiły małe okienka, które w ciągu dnia miały za zadanie chociaż odrobinę rozjaśniać tę ciemną pieczarę. W tej chwili dopiero światło błyskawicy zdradziło ich obecność. Chociaż nieregularne błysnięcia nie oświetlały magazynu, pobudzały do życia niespokojne cienie i Frank dwukrotnie o mały włos nie wypalił do nieszkodliwych widm.

Mijając kolejną alejkę i przeszukując wzrokiem ciemności po obu stronach, usłyszał nagle ostry zgrzyt. Od razu wiedział, co to jest: przesuwano skrzynię.

Spojrzał w górę. W szarym półmroku na krawędzi ściany chybotął się drewniany kontener wielkości kanapy. Z dołu widać było tylko jego czarne zarysy, sekundę później przechylił się i runął wprost na Franka.

Uwaga, kojocie.

Frank rzucił się przed siebie na podłogę i przetoczył dokładnie w chwili, kiedy kontener roztrzaskał się o beton w miejscu, gdzie przed chwilą stał. Odwrócił twarz, bo drewniane opakowanie eksplodowało tysiącem odłamków i drzazg. Na podłogę wysypały się błyszczące chromowane baterie i prysznic, kilka odbiło się od pleców i nóg Franka.

W oczach stanęły mu łzy, prawy bok palił go żywym ogniem. Od gwałtownego ruchu potłuczone żebra sprawiały wrażenie już nie tylko połamanych, ale wręcz startych na proch.

W górze Skagg wydał odgłos, który był po części wściekłym rykiem, po części zwierzęcym wyciem ku czci łowów, a po części obłąkańczym śmiechem.

Jakimś szóstym zmysłem Frank wyczuł nagle śmiertelne zagrożenie spadające na niego z góry. Przetoczył się na prawo i rozplaszczyl przy stercie skrzyń, na której stał Skagg. Tuż za jego plecami drugi kontener roztrzaskał się o podłogę magazynu.

–Żyjesz? – zawołał Skagg. Frank nie odpowiedział.

–Tak, musisz gdzieś tam być, bo nie słyszę, żebyś wrzeszczał. Szybki z ciebie drań, co?

Znów się roześmiał. Przypominało to atonalną muzykę wygrywaną na rozstrojonym flecie – zimny, metaliczny dźwięk. Nieludzki. Aż Franka przeszły ciarki.

Najbardziej lubił działać z zaskoczenia. W czasie pościgów starał się robić rzeczy, których jego ofiara najmniej się spodziewała. Korzystając z cienia pod ścianą skrzyń i zagłuszającego bębnienia deszczu o falisty metalowy dach, podniósł się, schował rewolwer do kabury, zamrugnął, żeby powstrzymać łzy bólu, które cisnęły mu się do oczu, i zaczął się wspinać.

–Nie chowaj się w ciemnościach jak szczur – krzyknął Skagg. – No, pokaż się i spróbuj do mnie strzelić. Masz spluwę, a ja nie. Więc niech to będzie twoja kulka przeciwko temu, co ja ci mogę zgotować. Jeszcze ci mało takiej przewagi, ty tchórzliwy glino?

Na wysokości sześciu metrów na dziewięciometrowej ścianie skrzyń Frank przystanął zdrętwiałymi palcami wczepiony w maleńkie zagłębienia, ze stopami wciśniętymi w wąziutkie występy. Ból w prawym boku zaciskał się jak łąso, gotowe w każdej chwili pociągnąć go w tył i strącić na ziemię z wysokości bez mała dwóch pięter. Przyłgnął mocniej do drewna i zacisnął oczy, myślał tylko o tym, żeby ból minął.

–Hej, dupku! – krzyknął Skagg. *Czego?*

–Wiesz, kto ja jestem?

Wielkim świrem na występach objazdowych, tak?

–Tym, którego w gazetach nazywają Nocnym Siepaczem. *Tak, wiem, wiem, ty zapluty degeneracie.*

–Całe to przeklęte miasto nie śpi po nocach, bo się mnie boi i wszyscy się zastanawiają, gdzie jestem! – wrzeszczał Skagg.

Stopniowo piekielny ból w żebrach zelżał. Nie zniknął zupełnie, ale przynajmniej zamienił się w tępe pulsowanie.

Wśród kolegów w piechocie morskiej i policji wszyscy wiedzieli, że Frank potrafi wytrwać i wygrać pomimo ran, które zwałyby z nóg każdego innego. W Wietnamie dostał dwie kulki z karabinu maszynowego Wietkongu – jedną w lewe ramię, drugą w lewy bok, tuż nad nerką, a mimo to się nie zatrzymał i wykończył strzelca granatem. Potem, chociaż rany obficie krwawiły, przeciągnął sto metrów ranego towarzysza aż do miejsca, gdzie mogli się bezpiecznie ukryć przed snajperami wroga i czekać na helikopter sanitarny. Kiedy sanitariusze pakowali go do samolotu, powiedział:

–Wojna to piekło, nie ma co, ale ma też w sobie coś ożywczego, no nie?

Koledzy mówili o nim, że jest facetem z żelaza, twardym jak skała. Ale to była tylko część tego, co o nim mówili.

Na górze Karl Skagg przeskakiwał ze skrzyni na skrzynię. Frank był na tyle blisko, że słyszał ciężkie tupnięcia mimo nieustannego szumu deszczu. Zresztą nawet gdyby nie słyszał kroków, wiedziałby, że Skagg się przemieszcza, bo podwójna ściana kontenerów zadrżała od stąpania, na szczęście nie dość gwałtownie, żeby zrzucić Franka z jego grędy.

Ruszył znów w górę, obmacując ostrożnie krawędzie skrzyń w poszukiwaniu oparcia dla rąk, przesuając się centymetr po centymetrze wzdłuż pak z urządzeniami hydraulicznymi.

Z nowego miejsca Skagg znowu zaczął krzyczeć, tym razem w kierunku innej części ciemnego magazynu, gdzie najwyraźniej podejrzewał, że kryje się Frank.

–Hej ty, cykorze! *Do mnie mówisz?*

–Mam coś dla ciebie, cykorze.

Nie wiedziałem, że dajemy sobie prezenty.

–Mam dla ciebie coś ostrego. *Wolałbym telewizor.*

–Mam dla ciebie to samo co dla tamtych.

No dobra, pal licho telewizor, zadowolę się dobrą wodą kolońską.

–No chodź, to dostaniesz swoje wyprute flaki, ty cykorze! *Idę, już idę.*

Frank dotarł na samą górę, wystawił głowę, spojrział w lewo, potem w prawo i zobaczył Skagga dziesięć metrów dalej odwróconego plecami i patrzącego w dół w następną alejkę.

–Hej, glino! Stań przede mną w pełnym świetle i popatrz mi w oczy! Możesz mnie zastrzelić bez trudu. Musisz tylko wyjść z ukrycia i wycelować. No co jest? Nawet na to cię nie stać sukinsynu?

Frank czekał, aż zagrzmie. Kiedy przetoczył się grzmot, podciągnął się na rękach, wydostał na najwyższą skrzynię i przykucnął. Tu na samej górze bębnienie deszczu było jeszcze głośniejsze i w połączeniu z hukiem pioruna mogło zagłuszyć każdy hałas.

–Hej, ty tam na dole! Wiesz glino, kim ja jestem? *Powtarzasz się. Nudy, nudy.*

–Jestem wielką zdobyczą! Każdy gliniarz marzy o takim łupie! *Jasne, twoja głowa będzie ładnie wyglądać na ścianie w mojej pieczarze.*

–Czeka cię wielka kariera, jak mnie załatwisz, cykorze! Awanse, medale.

Lampy stropowe wisiały tylko trzy metry nad ich głowami, a z takiej odległości nawet słabe nocne żarówki wystarczały, żeby oświetlić połowę skrzyń na szczycie. Skagg stał w najjaśniejszym miejscu, dając swój występ przed jednoosobowym audytorium, które, jak

sądził, kryje się na dole.

Wyciągając swoją trzydziestkęósemkę, Frank zrobił krok naprzód i wyszedł z cienia w krąg bursztynowego światła.

–Jak nie przyjdiesz do mnie, cykorze, to ja pójdę po ciebie.

–Kogo nazywasz cykorem? – zapytał Frank. Przestraszony Skagg obrócił się gwałtownie w jego stronę i zachwiał na krawędzi skrzyń. Zamachał rękami, żeby utrzymać równowagę i nie spaść na ziemię w korytarz między rzędami pak. Frank trzymał oburącz rewolwer.

–Rozłóż ręce na boki, uklęknij, a potem połóż się płasko na brzuchu.

Karl Skagg nie miał ani kanciastej szczęki, ani niskiego, tępego czoła, ani twarzy niczym z betonu, które większość ludzi przypisuje maniakalnym mordercom. Był przystojny jak gwiazdor filmowy. Miał szeroką wyrazistą twarz o męskich, ale delikatnych rysach. Oczy – wcale nieprzypominające ślepiów jaszczurki, węża czy innego dzikiego stwora – były brązowe, przejrzyste i pociągające.

–Kładź się na brzuchu – powtórzył Frank.

Skagg ani drgnął. Za to się uśmiechnął, a uśmiech ten rozwiał całą gwiazdorską powierzchowność, ponieważ nie miał w sobie ani krzty uroku. Był to pozbawiony wesołości grymas krokodyla.

Facet górował wzrostem i budową nawet nad Frankiem. Miał metr dziewięćdziesiąt albo może nawet dwa metry wzrostu, a sądząc po wyglądzie, musiał przez całe życie z pasją uprawiać podnoszenie ciężarów. Mimo zimnej listopadowej nocy miał na sobie tylko tenisówki, dżinsy i błękitną bawełnianą koszulę, która przemoczona deszczem i potem przylegała do jego umięśnionych ramion i piersi.

–I jak mnie ściągniesz na dół, co, glino? Myślisz, że dam ci się zakuć w kajdanki, a potem będę grzecznie leżał, kiedy pójdziesz wezwać posiłki? Nie ma mowy, świński ryju.

–Słuchaj i uwierz mi, że odstrzelę ci łeb bez sekundy namysłu.

–Tak myślisz? Odbiorę ci tego gnata szybciej, niż ci się zdaje. Potem urwę ci łeb i wepchnę w dupę.

Frank nie ukrywał niesmaku.

–Czy naprawdę nie można się obejść bez wulgarności? Skagg uśmiechnął się jeszcze szerzej i ruszył w jego stronę. Frank strzelił mu prosto w pierś.

Huk odbił się głośnie echem od metalowych ścian. Skagga odrzuciło w tył. Z

przeszywającym krzykiem runął głową w dół między skrzynie. Rozległ się głuchy łomot, po którym wrzask się urwał.

Od gwałtownego upadku Skagga ściana z luźno poukładanych pak zachybotała się niebezpiecznie i zatrzeszczała. Frak opadł na kolana.

Czekając, aż drewniana ściana przestanie się chwiać, myślał o całej papierkowej robocie, którą pociągało za sobą użycie broni, ale którą trzeba było ukoić wszystkie krwawiące serca, niezmiennie głęboko przeświadczony, że każda ofiara policyjnej przemocy jest niewinna niczym matka Teresa. Szkoda, że Skagg go do tego zmusił tak szybko. Taki morderca mógł być sprytniejszy, mogli się pobawić w kotka i myszkę, zanim doszło do punktu kulminacyjnego. A tak cały pościg nawet w połowie nie rekompensował okropnej papierkowej roboty, która czekała Franka.

Skrzynie szybko przestały się chygotać i Frank wstał. Podeszedł do miejsca, gdzie Skagg spadł w przepaść, i spojrzał w dół. W tym miejscu betonowa podłoga była dobrze oświetlona.

I pusta. Skagg zniknął.

Za oknem zamigotała błyskawica, pod nogami Franka wyskoczył jego cień, potem się skurczył, potem znów wyskoczył i znów się skurczył niczym cień Alicji po wypiciu mikstur po drugiej stronie lustra.

Przez nocne niebo przetoczył się grzmot i deszcz jeszcze mocniej zaczął walić o metalowy dach. Frank potrząsnął głową, jeszcze raz się przyjrzał pustej podłodze pod stertą skrzyń i aż zamrugał z niedowierzaniem.

Skagga naprawdę tam nie było.

Zszedł ostrożnie na dół i rozejrzał się po pustej alejce, usiłując przebić wzrokiem ciemne zakamarki. Potem przykucnął przy rozmazanych plamach krwi, gdzie Karl Skagg uderzył o ziemię. W miejscu upadku połyskiwały małe płytkie kałuże. Musiał tu być co najmniej litr krwi, która nie zdążyła jeszcze wsiąknąć w porowaty beton.

Żaden człowiek nie mógł przeżyć strzału w pierś z trzydziestkiósemki z takiej odległości i po prostu sobie pójść. Żaden człowiek nie mógł spaść na beton z wysokości trzech pięter i natychmiast poderwać się na nogi.

A jednak najwyraźniej tak właśnie zrobił Skagg.

Ślady krwi wskazywały, którędy szedł. Frank mocniej ścisnął rewolwer i ruszył za Skaggiem do najbliższego skrzyżowania alejek, skręcił w następny korytarz w lewo i mijając chyłkiem plamy światła i cienia, uszedł tak trzydzieści metrów, aż znalazł się w miejscu, gdzie krwawy trop urywał się w środku alejki.

Obejrzał sterty skrzyń po jednej i po drugiej stronie, ale przy żadnej ze ścian nie czaił się Skagg. Nigdzie też nie było żadnego innego przejścia ani wnęki, w której można by się ukryć.

Skagg był poważnie ranny, uciekał przed prześladowcą, a jednak najwyraźniej udało mu się bardzo starannie opatrzyć ranę, żeby powstrzymać krwawienie. Musiał to zrobić dosłownie w biegu. Tylko czym? Podarł koszulę, żeby osłonić ranę i zatamować krew?

Do diabła. Dostał śmiertelny postrzał w pierś. Frank widział na własne oczy, jak kula trafiła w klatkę piersiową, jak go odrzuciła w tył; widział krew. Skagg miał strzaskany mostek, odlupane kawałki kości musiały utkwąć w środku, w najważniejszych narządach; musiały rozerwać żyły i tętnice, kula na pewno przeszła przez serce – żadne opatrunki żadne opaski uciskowe nie mogły zatamować takiego krwotoku ani nakłonić rozszarpanego mięśnia sercowego do podjęcia regularnych skurczów.

Frank wsłuchał się w odgłosy nocy. Deszcz, wiatr, grzmoty. Poza tym cisza.

Nieżywi ludzie nie krwawią, pomyślał Frank.

Może ślad urwał się tak nagle, bo Skagg doszedł do tego miejsca i tutaj zmarł. Tylko że nawet jeśli umarł, najwyraźniej śmierć go nie powstrzymała. Poszedł dalej.

No i kogo ja teraz gonię? Trupa, który za nic nie chce się poddać?

Na tę myśl większość policjantów wybuchnęłaby śmiechem z zażenowania. Ale nie Frank. Frank był twardy i nieugięty, ale i elastyczny. Olbrzymim szacunkiem darzył skomplikowane tajemnice wszechświata. Chodzący trup? Mało prawdopodobne, ale jeśli tak, to sytuacja robiła się naprawdę ciekawa. Fascynująca. Od wielu tygodni Frank nie miał okazji tak się

zaangażować w swoją pracę jak w tej chwili.

Magazyn był wprawdzie wielki, ale oczywiście nie nieskończony. Kiedy jednak Frank przeszukiwał chłodne i ciemne zakamarki, odniósł wrażenie, że osobliwa budowla jest dużo większa w środku niż na zewnątrz, jak gdyby pewne jej części rozciągały się na inne wymiary lub jakby wielkość budynku zmieniała się w czarodziejski sposób, aby wywołać wrażenie niekończących się przestrzeni.

Szukał Skagga w alejkach między ścianami drewnianych skrzyń i w korytarzach między rzędami metalowych półek z kartonowymi pudłami. Raz po raz zatrzymywał się i sprawdzał wieka, jakby podejrzewał, że morderca mógł się ukryć w pustym kontenerze. Nie znalazł jednak żadnej prowizorycznej trumny chodzącego trupa.

Dwukrotnie przerwał poszukiwania, żeby przeczekać pulsujący ból w prawym boku. Tak go pochłonęło tajemnicze zniknięcie Skagga, że mało nie zapomniał o własnych obrażeniach. Ta niezwykła umiejętność blokowania bólu w dużym stopniu przyczyniła się do jego reputacji Twardziela. Jeden z serdecznych kumpli z wydziału zabójstw powiedział kiedyś, że próg bólu Twardziela waha się pomiędzy poziomem odporności nosorożca i drewnianego kolka. Były jednak sytuacje, w których ból stawał się wręcz pożądany. Przede wszystkim wyostrzał zmysły i wzmacniał czujność. Był upokarzający, ale tym samym przywracał człowiekowi właściwą perspektywę, przypominał, jakie cenne jest życie. Frank nie był masochistą, po prostu wiedział, że ból jest nieodłącznym aspektem ludzkiej kondycji.

Piętnaście minut upłynęło, odkąd strzelił do Skagga, i w dalszym ciągu nie mógł go znaleźć. Mimo to był pewny, że morderca nie uciekł z magazynu w deszczową noc. Żywy czy martwy był tu nadal. Frank nie opierał tego przekonania wyłącznie na przecuciu. Miał niezawodną intuicję, która odróżnia dobrych policjantów od genialnych policjantów.

Nieco później sprawdzał właśnie odległy kąt budynku, gdzie stało dwadzieścia wózków widłowych i kilkanaście elektrycznych pojazdów, kiedy jego intuicja okazała się denerwująco precyzyjna. Z guzowatymi hydraulicznymi przegubami i gołymi odnóżami podnośniki wyglądały jak olbrzymie owady, a ich cienie w przydymionym żółtawym świetle jak polujące modliszki.

Właśnie między tymi kolczastymi cieniami skradał się cicho Frank, kiedy za jego plecami odezwał się Skagg.

–Mnie szukasz?

Odwracając się, Frank podniósł pistolet. Skagg stał cztery metry od niego.

–Widzisz mnie? – spytał morderca. Jego pierś była niedraśnięta.

–Widzisz mnie?

Nie miał po upadku z trzeciego piętra żadnej złamanej kości ani nawet widocznego siniaka.

Na błękitnej koszuli widniały plamy krwi, ale nigdzie na ciele nie było widać rany.

–Widzisz mnie?

–Widzę – odpowiedział Frank. Skagg wykrzywił twarz w uśmiechu.

–A czy wiesz, co widzisz?

–Kupę gówna.

–Czy twój mały mózdzek może choćby domyślić się mojej prawdziwej natury?

–Jasne. Jesteś psim łajnem.

–Nie potrafisz mnie obrazić – rzekł Skagg.

–Spróbuję.

–Twoje nędzne obelgi nic dla mnie nie znaczą.

–Boże broń, żebym chciał cię zanudzić.

–Stajesz się denerwujący.

–Jesteś czubkiem.

Skagg wyszczerzył zęby w tym samym ponurym uśmiechu, który wcześniej przywiódł Frankowi na myśl grymas krokodyla.

–Jestem o tyle lepszy od ciebie i całego twojego gatunku, że nie potrafisz mnie osądzić.

–W takim razie wybacz mą zuchwałość, panie.

Krzywy uśmiech na twarzy Skagga ustąpił miejsca złośliwemu grymasowi, oczy mu się rozszerzyły. Nie wyglądały już jak zwykle brązowe oczy. W ciemnych czeluściach krył się głód i mrożąca krew w żyłach gadzia czujność, od których Frank poczuł się niczym mysz polna patrząca w hipnotyzujące oczy kobry.

Skagg zrobił krok naprzód.

Frank zrobił krok do tyłu.

–Twój gatunek ma tylko jedno zastosowanie: jesteście dość ciekawą zwierzyną łowną.

–To miło, że wzbudziliśmy twoje zainteresowanie – powiedział Frank.

Skagg zrobił kolejny krok naprzód, przez jego twarz przebiegł uśmiech modliszki.

Frank zrobił krok w tył.

–Ty i twoi pobratymcy rodzicie się, żeby umierać.

Jak chirurg zawsze z zaciekawieniem bada nowotwory, które wycina ze swoich pacjentów, tak Frank zawsze z zainteresowaniem obserwował pracę obłąkanych zbrodniczych umysłów.

–Moi pobratymcy, tak? To znaczy dokładnie kto?

–Rodzaj ludzki.

–Aha.

–Rodzaj ludzki – powtórzył Skagg, wymawiając te słowa, jakby to była najgorsza obelga.

–A ty nie jesteś człowiekiem, tak?

–Tak – odparł Skagg.

–Więc czym jesteś?

Skagg wybuchnął obłąkańczym śmiechem, przenikliwym jak lodowaty arktyczny wiatr. Frank miał wrażenie, jakby we krwi tworzyły mu się okruchy lodu. Przeszły go ciarki.

–Dobra, dość tego. Na kolana, a potem kładź się na brzuch.

–Jakiś ty nierozgarnięty – powiedział Skagg.

–Teraz ty mnie nudzisz. Kładź się, sukinsynu, ręce i nogi na boki. Skagg wyciągnął przed siebie prawą rękę. Przez chwilę Frank myślał, że zbrodniarz zmieni taktykę i zacznie błagać o litość. Tymczasem jego ręka zaczęła się przeobrażać. Dłoń urosła wzdłuż i wszerz, palce się wydłużyły o pięć centymetrów, knykcie pogrubiały, wykrzywiły się i ściemniały, aż nabrały niezdrowego, plamistego, żółto-brązowo-czarnego koloru. Skóra pokryła się szorstką szczecina, paznokcie urosły w ostre śmiercionośne szpony.

–Taki był z ciebie twardziel, co? Prawdziwy Clint Eastwood. Ale teraz strach cię obleciał, co, mały człowieczku? Teraz się nareszcie boisz, prawda?

Poza ręką nic w postaci Skagga się nie zmieniło. Najwyraźniej potrafił doskonale panować nad swoją metamorfozą.

–Wilkołak – rzekł Frank osłupiały.

Po raz kolejny Skagg wybuchnął obłąkańczym śmiechem, który rozdzwonił się echem o ściany magazynu. Jednocześnie poruszał palcami, zwijając, to znów rozwijając spotworniale

palce.

–Nie, nie wilkołak – wyszeptał demonicznie. – Coś, co się znacznie łatwiej przystosowuje, coś dużo silniejszego i znacznie ciekawszego. Boisz się teraz? Narobiłeś już w portki, tchórzliwy glino?

Dłoń Skagga znów się zaczęła zmieniać. Szorstkie owłosienie cofnęło się w głąb skóry, plamy jeszcze bardziej pociemniały i zlały się w jednolity zielonocarny kolor, a na powierzchni wyrosły łuski. Końce palców zgrubiały i uformowały przyssawki, a między palcami wyrosły błony pławne. Pazury zmieniły nieco kształt, ale pozostały tak samo długie i ostre jak poprzednio.

Skagg przeszywał Franka wzrokiem, patrząc przez odrażające rozczapierzone palce, ponad czarnymi półksiężycami błon pławnych. Potem opuścił trochę dłoń i wyszczerzył się w uśmiechu. Usta też mu się zmieniły. Wargi były teraz cienkie, czarne i guzowate, zęby ostro zakończone, a na wierzchu wystawały dwa zakrzywione haczykowate kły. Między nimi prześlizgiwał się cienki rozszczepiony język, który oblizywał grudkowate wargi.

Roześmiał się, widząc osłupienie i przerażenie na twarzy Franka. Jego wargi wróciły do normalnej ludzkiej postaci, ale ręka znów zaczęła się przeobrażać. Łuski zamieniły się w gładką purpurowo-czarną tkanę przypominającą wyglądem twardą chitynę, palce niczym wosk w pobliżu ognia rozpuściły się i zlały się w jedną masę, aż nadgarstki Skagga przekształciły się w ostre niczym brzytwa, ząbkowane kleszcze.

–Teraz rozumiesz? Nocny Siepacz nie potrzebuje noża – szepnął Skagg. – Mam w rękach nieskończoną różnorodność ostrzy.

Frank cały czas mierzył do przeciwnika ze swojej trzydziestkiósemki, ale teraz już wiedział, że nawet magnum.357 z pociskami powlekanymi teflonem nie zapewniłoby mu żadnej ochrony.

Na dworze ciemne niebo rozrąbał topór błyskawicy. Błysk elektrycznego ostrza przeciął wąskie szyby wysoko pod stropem magazynu.

Kiedy przez noc przetoczył się grzmot, odezwał się Frank.

–Coś ty za jeden, do diabła?

Skagg nie odpowiedział od razu. Przez dłuższy czas przyglądał się Frankowi i sprawiał wrażenie zakłopotanego. Kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie brzmiały dwie ostre nuty – gniewu i zaciekawienia.

–Twój gatunek jest miękki. Twoim pobratymcom brak odwagi, to stworzenia bez jaj. W obliczu nieznanego zachowują się jak owce, które zwietrzyły wilka. Gardzę waszym cherlawym plemieniem. Najsilniejsi z was pękają, kiedy się przed nimi ujawniam. Wrzeszczą jak dzieci, uciekają przerażeni albo stoją sparaliżowani i oniemiają ze strachu. Ale ty nie. Co w

tobie jest innego? Skąd u ciebie ta odwaga? Może z tępoty? Nie rozumiesz, że już jesteś martwy? Czyżbyś był na tyle głupi, żeby sądzić, że wyjdiesz stąd żywy? No proszę, nawet ręka z pistoletem ci nie drży.

–Przeżyłem gorsze rzeczy – powiedział Frank ostro. – Dwa razy przeszedłem kontrolę skarbową.

Tym razem Skagg się nie roześmiał. Najwyraźniej chciał widzieć przerażenie na twarzy swojej ofiary. Nie zadowalało go zwykle morderstwo, żądał poniżenia i ostatecznego upokorzenia ściganej zwierzyny.

Nie licz, draniu, że dostaniesz ode mnie to, czego chcesz, pomyślał Frank.

–Coś ty za jeden, do diabła? – powtórzył.

Stukając śmiercionośnymi kleszczami, Skagg zrobił powoli krok naprzód.

–Może właśnie tym jestem, hm? Piekielnym nasieniem. Jak myślisz? Czy to dobre wyjaśnienie?

Trzymaj się ode mnie z daleka – ostrzegł Frank. Skagg zrobił następny krok naprzód.

–Może jestem demonem z czeluści cuchnącej siarką? Czujesz w duszy zimno? Czujesz bliskość mocy diabelskich?

Frank uderzył plecami o wózek widłowy, ominął przeszkodę i cofał się dalej. Tymczasem Skagg szedł niepowstrzymanie naprzód i ciągnął:

–A może jestem istotą z innego świata, obcym poczętym pod innym księżycem, urodzonym pod innym słońcem?

W trakcie tej metamorfozy prawe oko zapadło mu się w czaszkę, zmalowało, aż w końcu znikło. Oczodół zasklepił się jak powierzchnia stawu po wrzuceniu kamyka i po chwili miejsce, gdzie było oko, pokryło się gładką skórą.

–Obcy? Potrafisz w to uwierzyć? – naciskał Skagg. – Czy masz dość rozumu, żeby uwierzyć, że przybyłem do tego świata przez niezmierny ocean przestrzeni, niesiony galaktycznymi prądami?

Frank przestał się już głowić, w jakiś sposób Skagg otworzył drzwi do magazynu – mógł zrobić sobie z rąk zakrzywiony młot albo łom. Bez wątplenia potrafił też zamienić palce w cieniuteńkie wypustki, żeby wyłączyć alarm.

Na lewym policzku Skagga zrobił się dołek, a po chwili otwór. Następnie w dziurze powstałej w ten sposób tuż pod lewym okiem wykwitło drugie, które przed chwilą znikło po prawej

stronie. Nie były to już ludzkie oczy, tylko wylupiaсте fasetkowane owadzie ślepie.

Skagg przemówił niskim, chropawym głosem, jakby przemiany zaszły również w jego gardle.

–Demon, obcy... a może jestem efektem jakichś genetycznych eksperymentów, które przybrały straszliwy obrót? Hmm? Jak myślisz?

Znów ten śmiech. Frank nie znosił tego śmiechu.

–Jak myślisz? – naciskał Skagg, idąc w jego stronę. Cofając się, Frank odparł:

–Prawdopodobnie nie jesteś żadną z tych istot. Tak jak powiedziałeś: jesteś dziwniejszy i ciekawszy niż te wszystkie diabły.

Obie dłonie Skagga zamieniły się teraz w kleszcze, ale tym razem metamorfoza poszła dalej, nadając muskularnym ramionom skorupiakowate kształty. Pękły rękawy koszuli, potem szwy na ramionach, kiedy przemiana sięgnęła tułowia. Chitynowe narośle zmieniły kształt i wielkość klatki piersiowej Skagga i guziki od koszuli zaczęły jeden po drugim odskakiwać.

Chociaż Frank wiedział, że to strata amunicji, wypalił szybko trzy razy. Jeden pocisk trafił Skagga w brzuch, drugi w pierś, trzeci w gardło. Trysnęła krew, dostrzegł poszarpane rany i pogruchotane kości. Zmiennokształtny stwór zachwiał się w tył, ale nie upadł.

Frank widział dziury po kulach w ciele Skagga. Każdy człowiek zmarłby od tych ran w ciągu kilku sekund, a tymczasem Skagg się jedynie zachwiał, a kiedy odzyskał równowagę, rany zaczęły się zasklepiać. Pół minuty później znikły.

Czaszka Skagga, trzeszcząc, urosła do podwójnych rozmiarów. Twarz mu się zapadła, rysy jakby wchłonęły się do środka, ale natychmiast na wierzchu wybrzuszyła się bezkształtna masa innej tkanki i zaczęła formować dziwaczny owadzi łeb.

Frank nie czekał, żeby zobaczyć szczegóły nowego groteskowego oblicza Skagga. Wystrzelił dwa razy w kuriozalnie plastyczny łeb i puścił się biegiem. Przeskoczył nad elektrycznym wózkiem, ominął duży wózek widłowy, wpadł między wysokie metalowe półki i popędził przed siebie, nie zważając na rwący ból w prawym boku.

Kiedy zaczynał się ten dzień – deszczowy, szary, wlokący się korkami przez miasto, kapiący z palm, posępny w burym burzowym świetle – Frank pomyślał, że duch tego dnia będzie równie rozmokły i ponury jak pogoda – nudny, ubogi w wydarzenia, może nawet przygnębiający. A tu niespodzianka. Dzień się okazał ekscytujący, ciekawy, wręcz ożywczy. Nigdy nie wiadomo, co życie trzyma dla człowieka w zanadrzu, i właśnie dzięki temu warto żyć.

Koledzy mówili o Franku, że pod tą swoją twardą skorupą ma ogromny apetyt na życie i zabawę. Ale to tylko część tego, co o nim mówili.

Skagg wydał beklowy odgłos wściekłości, który brzmiał zupełnie niehumanie. Niezależnie od tego, jaki tam w końcu przybrał kształt, puścił się w pogoń za Frankiem. A biegł szybko.

Frank wspinał się błyskawicznie i bez wahania, nie zważając na bolące żebra. Podciągnął się na szczyt następnej sterty skrzyń – z obrabiarkami, łożyskami kulkowymi i skrzyniami biegów – i wstał. Na wierzchu leżało jeszcze sześć pak ułożonych luzem na chybił trafił. Przepchnął jedną pakę na brzeg ściany. Według informacji na opakowaniu zawierała dwadzieścia cztery przenośne odtwarzacze kompaktowe, takie, których antyspołecznie nastawieni młodzi ludzie używają jako broni przeciwko niewinnym przechodniom. Nie miał pojęcia, co ten sprzęt robił między obrabiarkami i łożyskami, ale ponieważ skrzynia ważyła tylko niecałe sto kilo, mógł ją bez większego trudu przesuwąć.

Na dole rozległ się piskliwy, przeszywający skrzek – na wpół gniewny, na wpół wyzywający.

Frank wyjrzał zza skrzyni, którą przysunął do brzegu, i wyteńczywszy wzrok w ciemnej alejce, stwierdził, że Skagg przyjął odrażającą owadokształtną formę, która nie do końca była stukilogramowym karaluchem i nie całkiem modliszką, ale czymś pośrednim.

Nagle stwór poderwał chitynowy łeb, aż zatrzęsły mu się czułki, i błyszczące fasetkowane oczy przeszły człowieka wyglądającego znad sterty pak. Frank zepchnął skrzynię, a straciwszy równowagę, o mały włos nie spadł razem z nią. Odchylając się rozpaczliwie w drugą stronę, zachwiał się i usiadł.

Pudło z odtwarzaczami gruchnęło na ziemię z ogłuszającym łoskotem. Dwudziestu czterech aroganckich punków z okropnym gustem muzycznym, ale za to nieodpartą żądzą słuchania cyfrowego dźwięku przeżyje rozczarowanie na Gwiazdkę.

Frank szybko podszedł na czworakach do brzegu ściany, spojrzął w dół i zobaczył, jak owadokształtną postać Skagga wygrzebuje się spod roztrzaskanej skrzyni, która na krótko przyspiliła ją do podłogi. Poderwał się i zaczął się bujać w przód i w tył, żeby rozkołysać ciężki kontener pod nogami. Wkrótce kołysało się pół drewnianej ściany, a kolumna skrzyń pod Frankiem chwiała się bardzo niebezpiecznie. Włożył jeszcze więcej energii w swój szalony taniec, po czym odskoczył w tył dokładnie w chwili, kiedy stos ciężkich pak oderwał się od reszty ściany. Wylądował na sąsiedniej skrzyni, która też się chwiała, ale na razie nie groziła zawaleniem. W obie dłonie powbijaly mu się głęboko wielkie drzazgi, lecz ponieważ w tym samym momencie rozległ się łomot kilku ciężkich kontenerów roztrzaskujących się na ziemi za jego plecami, okrzyk, który wydał, był raczej wyrazem triumfu i radości niż bólu.

Odwrócił się i tym razem na brzuchu podpełzł do krawędzi ściany. Spod wielkiej sterty porozwalanego sprzętu Skagga nie było nawet widać, ale nieludzkie wściekle wrzaski zaświadczały, że zmiennokształtny potwór bynajmniej nie zginął. Pobojuwisko zaczęło się poruszać, kiedy Skagg próbował się wygrzebać spod tony przygniatających go odpadów.

Zadowolony, że zyskał na czasie, Frank poderwał się na nogi, pobiegł na drugi koniec ściany, zszedł na dół i uciekł pod przeciwległą ścianę magazynu.

Biegnąc na oślep, minął na wpuł roztrzaskane drzwi wejściowe, którymi on i Skagg dostali się do środka. Były teraz zabarykadowane kilkoma ciężkimi skrzyniami. Widocznie Skagg zablokował wyjście, żeby Frank nie zdołał się cichcem wymknąć na zewnątrz, bez wątpienia zniszczył również włączniki elektrycznych drzwi wjazdowych z drugiej strony budynku i zablokował wszystkie pozostałe wyjścia.

Mogłeś się nie trudzić, pomyślał Frank.

Wcale nie miał zamiaru uciekać. Jako policjant miał obowiązek rozprawić się ze Skaggiem, ponieważ stanowił on ogromne zagrożenie dla spokoju i bezpieczeństwa publicznego. Frank mocno wierzył w takie wartości jak obowiązek i poczucie odpowiedzialności. No i był dawnym żołnierzem piechoty morskiej. No i... cóż, może nigdy by się do tego nie przyznał, ale sprawiał mu przyjemność ten przydomek Twardziela i reputacja, która mu towarzyszyła. Za żadne skarby świata nie uczyniłby nic, żeby ją narazić na szwank.

Poza tym, chociaż zaczynała go męczyć ta gra, w dalszym ciągu nieźle się bawił.

Żelazne schody na południowej ścianie prowadziły na balkon z podłogą z metalowej kraty. W głębi mieściły się cztery pomieszczenia biurowe – gabinet kierownictwa, sekretariat i pokoje dla reszty pracowników magazynu. Każde pomieszczenie połączone było z balkonem szklanymi przesuwanymi drzwiami, przez które Frank widział w środku ciemne zarysy biurka, foteli i sprzętu biurowego. Nigdzie nie paliło się światło, ale w każdym gabinecie okno po drugiej stronie wychodziło na dwór i wpuszczało do środka żółtawy blask lamp ulicznych i od czasu do czasu światło błyskawicy.

Deszcz bębnił tu głośno, bo strop był tylko trzy metry wyżej. Kiedy w górze przetoczył się grzmot, dudnienie rozbrzmiało echem pod całym dachem.

Frank stał na środku balkonu i patrzył nad poręczą na ogromną halę magazynową. Widział, co się dzieje w niektórych alejkach, ale nie we wszystkich, w większości zalegał mrok. Obserwował ciemne rzędy wózków widłowych i elektrycznych, gdzie doszło do spotkania ze Skaggiem i gdzie po raz pierwszy odkrył niewiarygodne zdolności swego przeciwnika. Widział też zawaloną częściowo ścianę skrzyń, gdzie pogrzebał Skagga pod stertą obrabiarek, skrzyń biegów i odtwarzaczy kompaktowych. Nic się nie poruszało.

Wyjął rewolwer i naładował. Nawet gdyby z bliska wpakował sześć pocisków prosto w pierś Skagga, to i tak jedynie opóźniłby atak o minutę, może mniej, dopóki drań by się nie zregenerował. Pewnie minutę. Akurat tyle, żeby naładować broń. Miał jeszcze kilka magazynków, ale ten zapas nie był nieskończony. Rewolwer był bezużyteczny, niemniej Frank miał zamiar rozegrać tę grę do samego końca, a broń była jej częścią.

Nie czuł już bólu w prawym boku. Zbliżała się ostateczna rozgrywka i nie mógł sobie teraz pozwolić na luksus bólu. Musi udowodnić, że zasługuje na swoją reputację, musi się teraz stać prawdziwym Twardzielem Shawem, odsunąć na bok wszystko, co może go rozpraszać w czasie rozprawy ze Skaggiem.

Jeszcze raz przeszukał wzrokiem cały magazyn. Wszędzie panował bezruch, ale cienie w gigantycznej hali zdawały się złowieszczo połyskiwać jakąś ukrytą energią, jakby żyły i – chociaż chwilowo nieruchome – przygotowywały się do skoku, gdy tylko Frank odwróci się plecami.

Z dworu do gabinetów wpadły nerwowe, oślepiające odbłaski błyskawic, a odbłaski tych odbłasków prześliznęły się przez suwane szklane drzwi i zatańczyły na balkonie. Frank uprzytomnił sobie, że to odbite, krztuszące się elektryczne światło zdradza jego obecność, ale nie ruszył się z miejsca. Nie miał zamiaru ukrywać się przed Skaggiem. Magazyn był ich Samarrą i zbliżał się czas umówionego spotkania.

Tylko że Skagg się zdziwi, pomyślał Frank, kiedy odkryje, że rola Śmierci w Samarze nie będzie należała do niego, tylko do mnie.

Znów błysnęło, a światło błyskawicy wpadło do środka nie tylko przez biura za plecami Franka, ale również przez wąskie okna pod dachem. Rozedrgane widmowe błyski przewaliły się przez metalowy strop, tonący zwykle w mroku i ukazały Skagga pełznącego do góry nogami po suficie niczym pająk, który nie musi się troszczyć o prawa grawitacji. Chociaż widać go było tylko przez mgnienie oka, wyglądało na to, że przyjął teraz postać nie tyle pająka, ile raczej jaszczurki.

Trzymając rewolwer w obu dłoniach, Frank czekał na kolejny akt iluminacji, podczas ciemnego antraktu ocenił, jaką odległość może pokonać Skagg, i śledził wyliczoną trasę lufą rewolweru. Kiedy okna pod dachem ponownie zamigotały niczym upiorne lampy, okazało się, że trzyma jaszczurokształtnego mordercę dokładnie na muszce. Strzelił trzy razy, dwukrotnie na pewno trafił.

Skagg zaskomlał i odpadł od sufitu, lecz zamiast runąć w dół jak kamień, zdążył się wyleczyć w powietrzu i jeszcze w locie porzucił pajęczo-jaszczurczą formę, wrócił do ludzkiej postaci, a z ramion wypuścił skórzaste skrzydła nietoperza. Wydając nieprzyjemny klapiący dźwięk, poszybował w kierunku balkonu, przeleciał nad poręczą i wylądował na metalowej kracie podłogi sześć metrów od Franka. Podczas kolejnych przemian ubranie łącznie z butami popękało w szwach i pospadało, tak więc Skagg był teraz kompletnie nagi.

Kiedy stanął, skrzydła znów zamieniły się w ręce i Skagg wyciągnął palec w stronę Franka.

–Nie uciekniesz przede mną.

–Wiem, wiem – odparł Frank. – Jesteś jak nudziarz na przyjęciu, potomku pijawki.

Palce Skagga wydłużyły się niespodziewanie jak teleskopy do długości dwudziestu pięciu centymetrów, stwardniały na kość i zwęziły się na końcu, przybierając kształt noży o dwóch ostrych jak brzytwa, tnących krawędziach. U podstawy każdego śmiernego palca wyrosły haczykowate kolce, aby lepiej ciąć i rozdzierać ofiarę.

Frank wystrzelał trzy ostatnie naboje. Trafiony Skagg zatoczył się w tył i poleciał na podłogę balkonu.

Frank załadował rewolwer. Kiedy zamykał bębenek, zobaczył, że Skagg już się dźwignął z powrotem na nogi i zanosząc się chorobliwym, psychopatycznym śmiechem, idzie w jego stronę. Obydwie ręce miał teraz zakończone długimi kościstymi szponami. Najwyraźniej dla czystej przyjemności, którą sprawiał mu widok przerażenia na twarzy ofiar, Skagg zaprezentował zdumiewającą sprawność, z jaką kierował przemianami ciała. Na piersi otworzyło się pięcioro oczu, rozrzuconych na chybił trafił, a wszystkie bez mrugnięcia powieką spoglądały na Franka. Na brzuchu pojawiła się paszcza pełna szpiczastych zębów, z górnych klów kapala obrzydliwa żółtawa ciecz.

Frank wystrzelił pięć pocisków, które znów zwały Skagga z nóg, a pozostałe dwa wślizgnęły się w niego, kiedy stwór leżał na podłodze balkonu.

Załadował ostatni magazynek, a kiedy skończył, Skagg był już z powrotem na nogach i siedł w jego stronę.

–Jesteś gotowy? Jesteś gotowy na śmierć, tchórzliwy glino?

–Nie bardzo. Szczerze mówiąc, została mi ostatnia rata za samochód i chociaż raz chciałbym, do cholery, wiedzieć, jak to jest mieć coś na własność.

–W końcu będziesz krwawił jak wszyscy inni.

–Czyżby?

–Będziesz wrzeszczał jak wszyscy inni.

–Skoro zawsze jest tak samo, to czemu ci się to jeszcze nie znudziło? Nie wolałbyś, żebym krwawił i wrzeszczał inaczej niż wszyscy inni? Choćby dla zwykłego urozmaicenia?

Skagg puścił się biegiem w jego stronę. Frank wpakował w niego cały magazynek. Trafiony potwór padł, potem wstał i wybuchnął przeszywającym obrzydliwym śmiechem.

Frank odrzucił pusty rewolwer. Z piersi i brzucha Skagga znikły oczy i gęba, a w ich miejsce wyrosły cztery krótkie odnóża, podzielone na segmenty jak u kraba i z palcami zaopatrzonymi w szczypce.

Cofając się po ażurowej podłodze balkonu, mijając błyskające szklane drzwi gabinetów, Frank powiedział:

–Wiesz, na czym polega twój problem, Skagg? Jesteś zbyt krzykliwy. Może i mógłbyś mnie przestraszyć, gdybyś to robił subtelniej. Te oszalałe metamorfozy, to odrzucanie jednego kształtu po drugim, jest po prostu zbyt ekscentryczne. Wiesz, umysł nie daje rady tego wszystkiego pojąć, więc efekt jest bardziej absurdalny niż przerażający. Rozumiesz, co mam na myśli?

Jeśli Skagg zrozumiał, to albo się z tym nie zgadzał, albo go to nie obchodziło, bo wyrzucił z piersi kościste kolce i powiedział:

–Przyciągnę cię tu i nadzieję na te ostrza, a potem wyszę ci oczy z czaszki.

Aby zrealizować drugą część swojej groźby, jeszcze raz przeobraził swoją twarz, wysuwając w miejscu ust rurkowaty otwór gębowy uzbrojony dookoła w drobniutkie ostre zęby i wydający wstrętne wilgotne odgłosy ssania.

–Widzisz? O to mi właśnie chodziło, kiedy mówiłem o ekscentryczności i krzykliwości – powiedział Frank, uderzając plecami o poręcz na końcu balkonu.

Skagg był o trzy metry od niego.

Z żalem, że gra się skończyła, Frank porzucił ludzki kształt, który nadał swemu ciału. Jego kości się rozsypały. Paznokcie, włosy, narządy wewnętrzne, tłuszcz, mięśnie i wszystkie inne formy tkanki zlały się w jednolitą, niezróżnicowaną masę. Ciało straciło formę i z rękawa marynarki wylała się ciemna, galaretowata, pulsująca substancja.

Z cichym szelestem puste ubranie osunęło się na stertę na podłodze balkonu. Obok porzuconego ubrania Frank ponownie przybrał ludzką postać i stanął nagi na wprost swego niedoszłego oprawcy.

–Tak się zmienia postać, nie niszcząc ubrania. Biorąc pod uwagę twój nieokiełznany temperament, dziwię się, że w ogóle została ci jeszcze jakaś garderoba.

Skagg osłupiały porzucił swój potworny wygląd i również przyjął ludzką powłokę.

–Jesteś moim pobratymcem!

–Nie – odrzekł Frank. – Należymy do tego samego gatunku, owszem, ale w żadnym wypadku nie jestem jednym z twoich obłąkanych pobratymców. Żyję w pokoju pośród ludzi, tak jak większość nas od tysięcy lat. Ty za to jesteś odrażającym degeneratem, opętanym żądzą władzy i obsesją na punkcie własnych zdolności.

–Żyć w pokoju z nimi? – prychnął Skagg pogardliwie. – Przecież oni są stworzeni do tego, żeby umierać, podczas gdy my jesteśmy nieśmiertelni! Oni są słabi, my jesteśmy silni. Sensem ich życia jest dostarczanie nam przyjemności, podniecanie nas swoim cierpieniem.

–Przeciwnie – rzekł Frank. – Są bardzo cenni, ponieważ nieustannie nam przypominają, że życie pozbawione samokontroli jest chaosem. Niemal zawsze byłem zamknięty w tej ludzkiej postaci i z wyjątkiem bardzo rzadkich sytuacji zmuszałem się, aby znosić ludzki ból, aby doznawać zarówno cierpienia, jak i radości płynących z ludzkiego istnienia.

–To ty jesteś obłąkany. Frank pokręcił głową.

–Pracując w policji, służyłem rodzajowi ludzkiemu i dlatego moje istnienie ma sens. Oni rozpaczliwie potrzebują naszej pomocy.

–Potrzebują nas?

Na dworze rozległ się grzmot i ulewa rozszalała się jeszcze bardziej. Frank szukał odpowiednich słów, które by trafiły nawet do chorego umysłu Skagga.

–Ludzki los jest nieskończenie smutny. Sam pomyśl: ich ciała są kruche, życie krótkie, każde niczym drganie dogasającej świecy; w porównaniu z wiekiem Ziemi ich najgłębsze związki z przyjaciółmi i rodziną są krótkotrwałe i przemijające, ledwie rozżarzone błyski miłości i dobroci, niezdolne rozjaśnić wielkiego, nieskończonego strumienia rzeki czasu. Mimo to rzadko się poddają okrucieństwu swojego losu, rzadko tracą wiarę w siebie. Ich nadzieje rzadko się

spełniają, ale oni prą naprzód, zmagając się z ciemnością. Ich zacięte zmagania w obliczu własnej śmiertelności są esencją odwagi i godności.

Przez długi czas Skagg wpatrywał się w niego w milczeniu, po czym znów wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

–To zwierzyna, głupcze. Zabawki stworzone dla naszej rozrywki, nic więcej. Co to za bzdety z tym życiem, co niby potrzebuje celu, walki, samokontroli? Chaosu nie trzeba się bać ani go odrzucać, przeciwnie, trzeba się z nim zjednać! Chaos, piękny chaos, jest fundamentalnym stanem we wszechświecie, gdzie tytaniczne siły gwiazd i galaktyk ścierają się ze sobą bez celu i sensu.

–Chaos nie może współistnieć z miłością – rzekł Frank. – Miłość jest siłą ładu i równowagi.

–No to na co komu miłość? – spytał Skagg, wymawiając ostatnie słowo szczególnie pogardliwym tonem.

Frank westchnął.

–Ja doceniam potrzebę miłości. Doznałem oświecenia dzięki współżyciu z ludzkim gatunkiem.

–Oświecenia? „Zepsucie” byłoby właściwym słowem. Frank pokiwał głową.

–Oczywiście ty to będziesz tak właśnie widział. Smutne jest tylko to, że aby bronić miłości, będę cię musiał zabić.

Skagga ubawiły ponuro te słowa.

–Zabić mnie? Co to za dowcip? Nie możesz mnie zabić, tak jak ja nie mogę zabić ciebie. Obaj jesteśmy nieśmiertelni.

–Jesteś młody – powiedział Frank. – Nawet według ludzkich miar jesteś młodzieniaszkiem, a według naszych miar dzieckiem. Jestem co najmniej trzysta lat od ciebie starszy.

–No i co z tego?

–To, że są zdolności, których nabywamy tylko w bardzo podeszłym wieku.

–Jakie znowu zdolności?

–Obserwowałem dzisiaj, jak się afiszujesz ze swą genetyczną plastycznością. Widziałem, jak przybierasz fantastyczne formy. Ale nie widziałem, abyś osiągnął najwyższy stopień komórkowej kontroli.

–To znaczy?

–Stadium całkowitego rozkładu w jednorodną masę, która pomimo swojej amorficzności pozostaje spójnym bytem. Dokonałem tego, wychodząc z ubrania. To wymaga żelaznej kontroli, ponieważ stajesz na krawędzi chaosu, gdzie musisz podtrzymywać swą tożsamość, drżąc na granicy rozpadu. Nie doszedłeś jeszcze do takiego poziomu kontroli, bo gdybyś potrafił osiągnąć całkowitą amorficzność, próbowałbyś mnie przestraszyć pokazem tej możliwości. Twoje zmiany kształtu są tak dynamiczne, że wręcz historyczne. Zmieniasz się pod wpływem kaprysu, przybierasz postaci, które ci wpadną do głowy, wykazując typowo dziecięcy brak dyscypliny.

–No to co? – Najwyraźniej Skagg się nie przestraszył, w dalszym ciągu był arogancki i pewny siebie. – Nawet jeśli twoje umiejętności są większe, to w żaden sposób nie zmienia faktu, że jestem nieśmiertelny. Niezwyciężony. Moje rany, nawet najpoważniejsze, leczą się same w mgnieniu oka, truciznę mój organizm wypłukuje bez najmniejszej szkody; żaden żar, żaden arktyczny mróz, żaden wybuch o mniejszej sile niż bomba jądrowa nie może mi skrócić życia choćby o sekundę.

–Mimo to jesteś żywą istotą wyposażoną w układ metaboliczny – rzekł Frank – i w ten czy inny sposób, czy to płucami, kiedy przybierasz ludzką postać, czy innymi narządami, kiedy się przekształcasz w różne stworzenia, musisz oddychać. Musisz mieć tlen, żeby utrzymać się przy życiu.

Skagg gapił się na niego, nie w pełni rozumiejąc zagrożenie.

W mgnieniu oka Frank porzucił ludzką postać, rozpuścił się w zupełnie jednorodną masę, rozplaszczyl się niczym gigantyczny diabeł morski w odmętach oceanu, podpłynął do Skagga i owinał się wokół niego szczelnie. Jego ciało przylgnęło do każdej faldy, każdego załamania, każdej wklęsłości i wypukłości w ciele Skagga. Spowił swego przerażonego przeciwnika, pokrywając każdy milimetr, każdy włos, zatykając nos i uszy, odcinając mu całkowicie dostęp powietrza.

W środku tego kokonu Skagg zaczął wyrzucać szpony, rogi i kościste haczykowate kolce z najróżniejszych części ciała, aby przebić tkankę, która go spowijała i dusiła. Ciało Franka jednak nie dawało się rozedrzeć ani przebić. Nawet w miejscach, gdzie jego komórki ustępowały przed tnącym ostrzem szponu, zbijały się na powrót momentalnie po jego przejściu.

Skagg wykształcił kilka otworów gębowych w różnych miejscach ciała. Niektóre miały kły zakończone ostro jak igła, inne na podobieństwo rekina zaopatrzone były w dwa rzędy zębów, a wszystkie szarpały zaciekle ciało przeciwnika. Jednak tkanka amorficznej postaci Franka zamiast ustępować przed uzębionymi otworami, wpływała do środka – *Oto jest ciało moje, posmakuj go* - i zatykała je, oblepiała zęby, tępiła ich ostre krawędzie, uniemożliwiała gryzienie i polykanie.

Skagg przybrał wstrętą owadzią formę. Frank się do niej dopasował. Skagg rozwinął skrzydła i próbował się wzbić w powietrze, ale i wówczas Frank dostosował swój kształt do

jego postaci i przykuł go do ziemi, uniemożliwiając mu wyrwanie się na wolność.

Na dworze nocą zawładnął burzowy chaos. W magazynie, gdzie skrzynie poustawiano w równe rzędy, gdzie temperatura i wilgotność powietrza były stale kontrolowane, ład panował wszędzie z wyjątkiem histerycznie miotającego się ciała Karla Skagga, ale jego chaos mocno trzymała w karchach nieprzenikniona powłoka Franka Shawa.

Śmiertelne objęcie, w którym Frank zamknął Skagga, nie było wyłącznie uściskiem egzekutora, ale także brata i kapłana. Łagodnie oddawał go w ręce śmierci, a robił to z takim samym smutkiem, z jakim obserwował ludzi cierpiących, umierających od chorób, ginących w wypadkach. Śmierć jest dzieckiem chaosu, niechcianym we wszechświecie, który rozpaczliwie pragnie ładu.

Przez całą następną godzinę Skagg ze słabnącą energią zwijał się, rzucał i szamotał. Człowiek nie wytrzymałby tyle czasu bez tlenu, ale Skagg nie był człowiekiem, tylko kimś więcej i kimś mniej zarazem.

Frank był cierpliwy. Przez setki lat, kiedy to dobrowolnie narzucał sobie ludzką postać i przystosowywał się do jej ograniczeń, nauczył się ogromnej cierpliwości. Przytrzymał Skagga jeszcze pół godziny po tym, jak morderca po raz ostatni dał wyczuwalny znak życia. Przez cały ten czas stwór tkwił zamknięty szczelnie w ciele Franka niczym owady na wieczność znieruchomiełe w bursztynowej bryle.

Potem Frank powrócił do swojej ludzkiej postaci.

Zwłoki Karla Skagga również miały ludzki kształt, bo tę właśnie postać przyjął w ostatnich sekundach życia. Po śmierci wyglądał równie krucho i żałośnie jak każdy zwykły człowiek.

Frank się ubrał, a potem ostrożnie zawinął ciało Skagga w plandekę, którą znalazł w kącie magazynu. Nie mógł dopuścić, żeby zwłoki wpadły w ręce patologów, bo głęboko ukryte sekrety tego ciała zdradziłyby ludzkości istnienie tajemniczej rasy, która żyła między ludźmi. Wyniósł Skagga z magazynu i zatańczył do swojego chevroleta. Delikatnie ułożył ciało w bagażniku i zamknął klapę.

Jeszcze przed nastaniem świtu, na wzgórzach porośniętych gęstymi zaroślami przy granicy Państwowych Lasów Angeles Frank wykopał głęboki dół, do którego wrzucił ciało Karla Skagga. U podnóża zielonych zboczy na południu i na zachodzie świeciła zielonożółta poświata miasta Los Angeles. Frank zakopywał grób i płakał.

Z tego naturalnego cmentarza pojechał prosto do swojego przytulnego, parterowego domku. Przy drzwiach czekał na niego Murphy'ego seter irlandzki. Murphy przywitał go jak zawsze, prychając radośnie i merdając ogonem. Dla odmiany Seuss – jego kot syjamski – z początku okazał typową kocią powściągliwość, przybiegł do niego dopiero po dłuższej chwili i mrużąc głośno, zaczął się dopominać o głaskanie.

Chociaż Frank miał wyjątkowo męczącą noc, nie położył się do łóżka, bo Frank nie potrzebował snu. Zdjął przemoczone ubranie, włożył piżamę i szlafrok, zrobił sobie wielką miskę popcornu, otworzył piwo i usadowił się na kanapie razem z Seusem i Murphym, żeby obejrzeć stary film Franka Capry, który widział już ze dwadzieścia razy i nigdy mu się nie znudził: *Wspaniałe życie* z Jimmym Stewartem i Donna Reed.

Wszyscy koledzy Franka Shawa mówili o nim, że jest twardy, ale to była tylko część tego, co o nim mówili. Mówili też, że pod tą twardą skorupą bije serce miękkie jak żadne inne.

Kocięta

Łożyskiem rzeki wartko płynęła chłodna zielona woda, bulgocząc wokół brązowych otoczków i odbijając wierzby płaczące rosnące wzdłuż brzegu. Marnie siedziała na trawie, rzuciła do wody kamienie i obserwowała, jak zmarszczki rozbiegają się po powierzchni coraz większymi kołami i chlupią o mulisty brzeg. Myślała o kociętach, ale nie o tych z zeszłego roku, tylko o tych tegorocznych. Rok temu rodzice powiedzieli jej, że kotki poszły do nieba. Cały miot Pinkie zniknął trzy dni po tym, jak wśród pisków przyszedł na świat.

–Bóg je wziął do nieba, żeby z nim zamieszkały – powiedział tata.

Marnie nie wątpiła w słowa taty. W końcu to bardzo religijny człowiek. Co tydzień uczył w szkółce niedzielnej i był jakimś urzędnikiem w kościele – liczył pieniądze ze zbiórek i wpisywał je do małej czerwonej książeczki. A w świecką niedzielę zawsze go wybierano do wygłoszenia kazania. Co wieczór czytał im fragmenty Biblii. Wczoraj wieczorem Marnie spóźniła się na czytanie i dostała w pupę.

–Dzieci trzeba trzymać krótko – mawiał ojciec.

Nie, nie wątpiła, że tata mówił prawdę, bo nikt nie mógł lepiej niż on wiedzieć, jak to jest z Bogiem i kociakami.

Tylko że nie mogła tego zrozumieć – dlaczego, skoro na świecie były setki i tysiące kociaków, Bóg musiał zabrać akurat te jej, i to wszystkie cztery? Czy Bóg był samolubny?

Tak myślała kiedyś, ale przez ostatnie dwanaście miesięcy wydarzyło się dużo rzeczy i zupełnie zapomniała o kociętach. We wrześniu poszła po raz pierwszy do szkoły, tyle było zamieszania z przygotowaniami – trzeba było kupić zeszyty, ołówki, książki. Pierwszych kilka tygodni upłynęło bardzo ciekawie, poznawała Pana Alfabetę i Panie Cyferki, a kiedy w szkole zaczęło się robić nudno, to właśnie przyjechały święta – na wypolerowanych łyżwach, po roziskrzonym lodzie. Były zakupy, zielono-żółto-czerwono-niebieskie lampki i Święty Mikołaj na rogu ulicy, który zataczał się, gdy chodził, i kościół cały w świecach na Wigilię (wtedy, kiedy zachciało jej się do łazienki i tata kazał jej czekać, aż się skończy msza). Gdy wreszcie w marcu wydarzenia znowu toczyły się wolniej, mama urodziła bliźniaki. Marnie nie mogła się nadziwić, jakie były małe i jak wolno rosły przez następne tygodnie.

No i ponownie nastął czerwiec. Bliźniaki miały już trzy miesiące i nareszcie zaczęły porządnie przybierać na wadze, szkoła się skończyła, do świąt były jeszcze całe wieki i znów zaczęła się nuda. Tak więc, kiedy usłyszała, jak tata mówił mamie, że Pinkie będzie miała małe, uchwyciła się kurczowo tej wiadomości i wycisnęła z niej tyle radosnego podniecenia, ile się dało. Zaczęła przygotowywać w kuchni szmaty i ściereczki na dzień urodzin i fantazyjne pudełko na dom dla kociąt, kiedy przyjdą na świat.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment, Pinkie wymknęła się cichcem w środku nocy i okociła się w ciemnym kącie stodoły. Niepotrzebne okazały się czyste szmatki i ręczniki, ale pudełko było w sam raz. Urodziło się sześć kociaków, wszystkie szare z czarnymi łatkami, jakby ktoś je w pośpiechu pochlapał atramentem.

Marnie była zachwycona kociakami i jednocześnie bardzo się martwiła. Co się stanie, jeśli Bóg je sobie upatrzy, tak jak rok temu?

–Marnie, co robisz?

Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, kto za nią stoi. Mimo to odwróciła się grzecznie. Ojciec patrzył na nią z góry surowo. Pod pachami jego błękitnego spłowiałego kombinezону widniały ciemne plamy potu, a na brodzie i na lewym policzku rozsmarowany brud.

–Rzucam kamienie – odpowiedziała cicho.

–W ryby?

–Och nie, proszę taty. Tak sobie rzucam.

–A czy pamiętamy, kto padł ofiarą kamieni? – Uśmiechnął się protekcyjnie.

–Święty Stefan – odparła Marnie.

–Bardzo dobrze. – Uśmiech znikł. – Kolacja gotowa.

Siedziała sztywno, jakby kij polknęła i słuchała, jak ojciec czyta na głos fragmenty starej rodzinnej Biblii, oprawionej w skórę, podrapanej, z powyrywaniem kartami. Mama zajęła miejsce koło taty na kanapie obitej granatowym sztruksem, ręce złożyła na podolku i uśmiechała się z zachwytem nad „cudami zesłanymi nam przez Boga”. Twarz miała bezbarwną, ale ładną.

–„Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże”. * Ewangelia św. Marka (10:13-14), Biblia Tysiąclecia

Ojciec zamknął księgę z delikatnym trzaśnięciem, które wzbilo się w zatęchłym powietrzu i zawisło nieruchomo, spuszczając grubą kurtynę milczenia. Nikt się nie odzywał przez kilka minut, w końcu przemówił ojciec.

–Marnie, który rozdział której księgi dzisiaj przeczytaliśmy?

–Świętego Marka, rozdział dziesiąty – odparła posłusznie Marnie.

–Dobrze – pochwalił i odwrócił się do żony, której uśmiech już się zmienił i teraz wyrażał zadowolenie, że „zrobiliśmy to, co powinna była zrobić chrześcijańska rodzina”. – Mary, może byśmy się napiłi kawy, a Marnie mleka?

–Słusznie – zgodziła się matka, wstała i poszła do kuchni.

Ojciec siedział i oglądał wewnętrzne strony okładek świętej księgi, wodził palcami po zagnieceniach pożółkłego papieru, badał widmowe plamy wchłonięte na wieki przez stronę tytułową, gdzie któryś z pradziadków miliony lat temu wylał niechcący wino.

–Proszę taty – zaczęła niepewnie Marnie.

Ojciec podniósł wzrok znad książki, ani się nie uśmiechając, ani nie marszcząc.

–Co z kotkami?

–A co ma być? – odpowiedział pytaniem ojciec.

–Czy w tym roku Pan Bóg też je zabierze?

Półuśmiech, który wkradał się pomału na twarz ojca, wyparował w mgnieniu oka w gęste powietrze salonu.

–Możliwe.

–Nie może tego zrobić – chlipnęła Marnie.

–Młoda damo, czyżbyś miała zamiar mówić Bogu, co może, a czego nie może robić?

–Nie, proszę ojca.

–Bóg wszystko może.

–Tak, proszę ojca. – Marnie poruszyła się niespokojnie na fotelu, próbując się wcisnąć głębiej w szorstkie wytarte oparcie. – Tylko po co mu znowu moje kotki? Dlaczego chce akurat moje?

–Mam tego dosyć, Marnie. Cicho bądź.

–Ale dlaczego akurat moje?

Ojciec poderwał się z miejsca, podszedł do fotela i uderzył ją w delikatną twarzyczkę. Z kącika ust Marnie pociekł strumyczek krwi. Wytarła go dłonią.

–Nie wolno ci wątpić w boskie intencje! – powiedział z naciskiem. – Jesteś na to dużo za młoda. – Na ustach błyszczała mu ślina. Złapał Marnie za rękę i poderwał z krzesła. – A teraz marsz na górę i do łóżka.

Marnie nie zaprotestowała. Idąc w stronę schodów, otarła kolejną strużkę krwi. Wchodząc powoli na schody, wodziła ręką po gładkiej drewnianej poręczu.

–Przyniosłam mleko – usłyszała na dole głos matki.

–Nie będzie potrzebne – odparł szorstko ojciec.

Leżała w łóżku. W pokoju panował półmrok, rozświetlony pełnią księżyca. Żółtopomarańczowa poświata połyskiwała w szybkach i ramkach świętych obrazków, którymi obwieszona była jedna ściana. W pokoju rodziców matka, przewijając bliźniaki, przemawiała do nich czule.

–Moje wy boskie aniołeczki – mówiła matka.

Ojciec je laskotał i Marnie słyszała, jak „aniołeczki” śmieją się w głos, wydobywając z gardełek głęboki gulgot.

Ani ojciec, ani matka nie przyszli jej powiedzieć „dobranoc”. Została ukarana.

Siedziała w stodole i pieściła szare kocię. Zaniedbała chwilowo polecenie, z którym wysłała ją matka dziesięć minut temu. W powietrzu unosił się ciężki zapach złocistego siana. Pod nogami chrzęściła słoma wyścielająca podłogę grubą warstwą. Na drugim końcu budynku porykiwały dwie krowy, które pokaleczyły sobie nogi o drut kolczasty i w związku z tym zostały w oborze, żeby wyzdrowieć. Kociak miauczał i wymachiwał łapą pod brodą Marnie.

–Gdzie jest Marnie? – zagrział głos ojca na podwórzu przed stodołą.

Marnie już miała odpowiedzieć, kiedy usłyszała głos matki wołającej od strony domu:

–Wysłałam ją do Brownów po receptę od Heleny. Nie będzie jej jeszcze co najmniej dwadzieścia minut.

–To dużo czasu – powiedział ojciec.

Na żuźlowej ścieżce w wojskowym rytmie zachrzęściły jego kroki.

Marnie czuła, że coś jest nie tak; działo się coś, czego nie powinna widzieć. Błyskawicznie odłożyła kociaka z powrotem do czerwono-złotego pudełka i położyła się płasko na ziemi tuż za stertą słomy.

Wszedł ojciec, zdjął wiadro z kranu na ścianie i postawił je przed kociakami. Pinkie prychnęła i wygięła grzbiet. Wtedy ojciec złapał ją za kark i wsadził do pustego kubła po owsie, skąd zaczęły dochodzić żalosalne piski, spotęgowane karykaturalnie przez metalowy pojemnik, tak że bardziej pasowały do afrykańskiego stepu niż amerykańskiej farmy. Marnie o mało nie parsknęła śmiechem, ale przypomniała sobie ojca i stłumiła wesołość.

Ojciec znowu odwrócił się w stronę pudła z kociakami. Ostrożnie wyjął jednego za kark, poklepał dwa razy i wepchnął do wiadra głową pod wodę! W wiadrze wybuchła gwałtowna szamotanina, w górę wytrysnęły migotliwe kropelki wody. Ojciec się skrzywił i szybko wepchnął pod wodę całego kociaka. Po jakimś czasie szamotanina ustała. Marnie poczuła, że bolą ją palce, tak mocno próbowała je wbić w betonową podłogę.

Dlaczego? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Ojciec wyjął z wiadra zwiotczale ciało kotka. Z pyszczka wystawało mu coś różowego i przekrwionego – Marnie nie wiedziała, czy to był język, czy też kochane maleństwo w ostatniej, rozpaczliwej próbie wyslizgnięcia się ze śmiercionośnego uścisku wypluło do wody własne trzewia.

Nie minęło wiele czasu, kiedy na podłodze stodoły leżało sześć martwych kociąt. Wszystkie sześć futerkowych kuleczek wrzucono do płóciennego worka i zawiązano. Ojciec wypuścił Pinkie z kubła. Drząc i pomiaukując, kotka wyszła za nim ze stodoły, a kiedy się do niej

odwrócił, prychnęła.

Przez długi czas Marnie leżała bez ruchu, myśląc tylko o tej przerażającej egzekucji, i za wszelką cenę usiłując to zrozumieć. Czyżby ojciec został wysłany przez Boga? Czy to Bóg kazał ojcu zabić kocięta? Żeby jej odebrać? Jeśli tak, nie wyobrażała sobie, żeby mogła jeszcze kiedyś stanąć przed biało-złotym ołtarzem i przyjąć komunię. Wstała i poszła w stronę domu. Z palców kapłała jej krew. Krew zmieszana z betonem.

–Masz receptę? – zapytała matka, kiedy Marnie zatrzasnęła za sobą drzwi kuchenne.

–Pani Brown nie mogła jej znaleźć. Przyśle ją jutro. – Marnie sama się sobie dziwiła, jak łatwo jej przyszło to kłamstwo. – Czy Pan Bóg zabrał moje kotki? – wybuchła nagle.

Matka spojrzała na nią zmieszana.

–Tak. – Nie mogła wykrztusić nic więcej.

–Policzę się z Panem Bogiem! Nie może tego robić! Nie może!

I wybiegła z kuchni na schody.

Matka patrzyła za nią, ale nie próbowała jej zatrzymać. Marnie Caufield szła powoli po schodach, wodząc ręką po gładkiej drewnianej poręczy.

W południe, kiedy Walter Caufield wrócił z pola do domu, usłyszał głośny huk, brzęk porcelany i tłuczonego szkła. Wbiegł do salonu i ujrzał żonę leżącą pod schodami, a obok niej stolik z potłuczonymi pamiątkami i figurkami.

–Mary, Mary, nic ci nie jest? – Schylił się nad nią.

Żona spojrzała na niego zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem.

–Walt! Wielki Boże, Walt, wanna... nasze aniolki... nasze najdroższe aniolki!

Zamieć

Miał ponad sto lat i został skonstruowany przez inne roboty w zautomatyzowanej fabryce, która od kilkuset lat nieprzerwanie zajmowała się produkcją robotów.

Nazywał się Curanov i podobnie jak to miały w zwyczaju roboty jego gatunku, włóczył się po świecie w poszukiwaniu ciekawego zajęcia. Wchodził na najwyższe szczyty świata, korzystając ze specjalnego wyposażenia swego ciała (kolców w metalowych stopach, drobnych, acz niezwykle mocnych haczyków na koniuszkach wszystkich dwunastu palców, liny asekuracyjnej ukrytej w piersiowej komorze schowka, gotowej do awaryjnego wystrzelenia, gdyby spadał). Usunięto mu silniczki anty grawitacyjne, żeby wspinaczka była naprawdę niebezpieczna i tym samym bardziej emocjonująca. Kiedyś w ramach procedury uszczelniania elementów trwałych Curanov spędził osiemnaście miesięcy pod wodą. Poznał sporą część Oceanu Spokojnego, ale w końcu znudziły mu się nawet gody wielorybów i zmienne piękno dna morskiego. Przemierzył pustynie, przewędrował na piechotę koło podbiegunowe i zbadał niezliczone jaskinie w różnych formacjach skorupy ziemskiej. Przeżył zamieć śnieżną, wielką powódź, huragan i trzęsienie ziemi (w samym epicentrum), które sięgnęłoby dziewięciu stopni w skali Richtera, gdyby jej jeszcze używano. Raz nawet po specjalnym zaizolowaniu zszedł w głąb Ziemi aż do połowy drogi do jej środka, aby się pławić w świecących gazach, między sadzawkami płynnej skały, przypiekać w erupcjach magmy. W końcu jednak znużyły go nawet te barwne widowiska i wrócił na powierzchnię.

Przeżywszy sto z przeznaczonych mu dwustu lat, zastanawiał się, czy zniesie drugą setkę takiej nudy.

Osobisty doradca Curanova, robot o imieniu Bikermin, zapewniał go, że to znudzenie jest tylko przejściowe i łatwo mu zaradzić. Wystarczy być sprytnym – mówił Bikermin – a można znaleźć nieskończone emocje i niezliczone, bezcenne okazje do zbierania danych o własnych mechanicznych uzdolnieniach, o swoim otoczeniu i przeszłości. W ostatnim ćwierćwieczu życia Bikermin zgromadził w swojej komorze tak ogromną i skomplikowaną bazę danych, że mianowano go stacjonarnym dyżurnym doradcą, całkowicie nieruchomym i na stałe podłączonym do komputera matki. Nauczył się czerpać mocne wrażenia z drugiej ręki i w ogóle

nie żałował, że utracił zdolność ruchu – w końcu stał na wyższym poziomie rozwoju duchowego niż większość robotów sterowanych wewnątrz. Dlatego właśnie kiedy Bikermien udzielał porad, Curanov słuchał uważnie, nawet jeśli odnosił się sceptycznie do tego, co słyszał.

Problem Curanova, zdaniem Bikermiena, leżał w tym, że gdy tylko opuścił fabrykę i rozpoczął życie, rzucił się na największe potęgi na ziemi – najdziksze morza, najzimniejsze zimna, najgorętsze żary, najwyższe ciśnienia. Teraz, kiedy je wszystkie pokonał, nie widział przed sobą nic ciekawego, co byłoby dlań wyzwaniem. Niemniej Bikermien zwrócił mu uwagę, że przeoczył kilka najbardziej fascynujących terenów badawczych. Każde wyzwanie i jego stopień trudności ściśle zależą od zdolności, jakimi dysponuje dana jednostka, aby mu wyjść naprzeciw: im się czuje słabsza i mniej kompetentna, tym wartościowsze jest doświadczenie, tym pełniejsze doznanie i tym bogatsze dane w nagrodę.

Czy to ci nasuwa coś na myśl? - Bikermien przesłał pytanie telewiązką. *Nic.*

Bikermien mu wyjaśnił:

Walka wręcz z dorosłą dwunożną małpą może się na pierwszy rzut oka wydawać łatwym i nieciekawym zadaniem – robot jest i silniejszy i mądrzejszy od każdej małpy. A jednak zawsze można zmodyfikować siebie tak, aby wyrównać szansę w pojedynku, który zdawałby się z góry przesądzony. Gdyby robot nie umiał latać, nie widział w nocy tak dobrze jak za dnia, nie mógł się porozumiewać inaczej niż tylko głosowo, nie biegał szybciej niż antylopa, nie mógł słyszeć szeptu z odległości stu metrów... krótko mówiąc, gdyby wszystkie jego standardowe zdolności zostały nieco zredukowane, wszystkie oprócz zdolności myślenia – czy taka konfrontacja nie okazałaby się emocjonującym przeżyciem nawet dla robota?

Rozumiem, o co ci chodzi - przyznał Curanov. – *Aby pojąć wielkość prostoty, trzeba się samemu poniżyć.*

Właśnie.

I tak nazajutrz Curanov wsiadł do pociągu pospiesznego jadącego na północ do Montany, gdzie został zapisany na polowanie razem z czterema innymi robotami, których poddano znacznej redukcji.

W normalnych warunkach poleciliby własnym napędem, ale teraz żaden z nich nie mógł latać.

W normalnych warunkach porozumiewaliby się przez telewiązki, ale teraz musieli rozmawiać ze sobą tym dziwnym terkoczącym językiem, który stworzono specjalnie dla maszyn, ale bez którego roboty obchodziły się od ponad sześciuset lat.

W normalnych warunkach śmiertelnie by go znudził sam pomysł, żeby jechać na północ i polować na jelenie i wilki. Tymczasem wszyscy czuli osobliwy dreszczyk, jak gdyby czekała ich cięższa i ważniejsza przeprawa niż wszystko, co dotąd przeżyli.

W budynku małej strażnicy Straży Pieszej na najdalej na północ wysuniętym skrawku Montany powitał ich żwawy i wyjątkowo sprawny robot imieniem Janus. Curanov nie miał wątpliwości, że Janus spędził na tym nudnym posterunku wiele miesięcy i że prawdopodobnie niebawem kończy obowiązkową dwuletnią służbę dla Centralnej Agencji. Szczerze mówiąc, był nawet aż za bardzo żwawy i sprawny. Mówił szybko i zachowywał się tak, jakby musiał być nieustannie w ruchu, byleby tylko nie rozmyślać o monotonych i nieciekawych miesiącach spędzonych w Straży Pieszej. Należał do tych robotów, które nadmiernie kochają emocje; pewnego dnia rzuci się na wyzwanie, do którego nie będzie przygotowany, i marnie skończy.

Curanov popatrzył na Tuttle'a – jednego ze swoich towarzyszy, który w pociągu wszczął ciekawą, chociaż niezbyt mądrą dyskusję na temat rozwoju osobowości robotów. Utrzymawał, że jeszcze całkiem niedawno, dosłownie kilkaset lat temu, roboty nie miały zindywidualizowanych osobowości. Wszystkie były takie same – bezosobowe i sterylne, pozbawione własnych marzeń. Cóż za nedorzeczność, Turtle nie potrafił nawet wyjaśnić, jak, jego zdaniem, byłoby to możliwe, a mimo to nie chciał ustąpić.

Patrząc na Janusa trajkoczącego nerwowym staccato, Curanov w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić czasów, w których Centralna Agencja wypuszczałaby z fabryk bezmyślne roboty. Wszak cały sens istnienia tkwił w odkrywaniu, w starannym przechowywaniu danych, które konkretnemu robotowi wydawały się użyteczne, nawet jeśli dane te się powtarzały. Jak takie bezmyślne roboty mogłyby poprawnie funkcjonować?

Zdaniem Steffana, trzeciego z ich grupy, takie teorie mogą spokojnie iść w parze z wiarą w powtórzną świadomość. (Niektórzy bezpodstawnie wierzyli, że Centralna Agencja od czasu do czasu popełnia błąd i kiedy upływa przewidziany czas życia jakiegoś robota, tylko częściowo czyści jego nagromadzone wspomnienia, zanim po wyremontowaniu wypuszcza go znów z fabryki. Owe roboty – jak twierdzili co bardziej zabobonni – miały przewagę nad innymi i ponieważ dojrzewały szybciej niż pozostałe, częściej były wynoszone do rangi doradców, a czasem nawet do służby w samej Centralnej Agencji).

Turtle rozgniewał się niemiłosiernie, słysząc, że ktoś porównuje jego poglądy na temat osobowości robotów z bajkami o powtórnej świadomości. Steffan podjudził go jeszcze bardziej, sugerując, że może wierzy też w te superhobgobliny – w tych tak zwanych ludzi. Turtle się naburmuszył i z oburzenia przestał się w ogóle odzywać, podczas gdy inni śmiali się z dowcipu Steffana.

–A teraz – powiedział Janus, wrywając Curanova z zamyślenia – wydam wam zaopatrzenie i wyprawię w drogę.

Curanov, Turtle, Steffan, Leeke i Skowski ruszyli biegiem, żeby jak najszybciej rozpocząć przygodę. Każdy dostał lornetkę – dość staromodny model – parę rakiet śnieżnych przypinanych i przyśrubowywanych do stóp, apteczkę z narzędziami i smarami pierwszej

pomocy, na wypadek gdyby trzeba było dokonać naprawy, dużą latarkę, mapy i strzelbę z ładunkami usypiającymi wraz z dodatkową paczką tysiąca strzałek.

–I to ma być wszystko? – spytał Leeke.

Przeżył tyle samo niebezpieczeństw co Curanov, a kto wie, czy nie więcej, ale w tej chwili w jego głosie pobrzmiwał lęk.

–A czego wam jeszcze trzeba? – chciał wiedzieć Janus zniecierpliwiony.

–No, jak wiesz, przeszliśmy pewne modyfikacje – powiedział Leeke. – Po pierwsze nasze oczy nie są takie jak dawniej i...

–Macie latarki – rzekł Janus.

–A nasze uszy... – zaczął Leeke.

–Nasłuchujcie uważnie, stąpajcie po cichu – poradził Janus.

–Nogi też poddano poważnym zmianom – dodał Leeke. – Jeśli będziemy musieli biec...

–Podkradajcie się do zwierzyny, zanim spostrzeże waszą obecność, a wtedy nie będziecie musieli jej ścigać.

–Ale jesteśmy tacy osłabieni... – upierał się Leeke – jeśli przyjdzie nam przed czymś uciekać...

–Przecież macie polować tylko na wilki i jelenie – przypomniał mu Janus. – Jelenie nie będą was ścigać, a wilki nie przepadają za metalowym mięsem.

Skowski, który jak dotąd był dziwnie cichy i nawet w pociągu nie przyłączył się do ogólnych wesołych docinków pod adresem Tuttle'a, teraz wystąpił naprzód.

–Czytałem, że z tych rejonów Montany pochodziło niezwykle wiele... niewyjaśnionych doniesień.

–Jakich doniesień? – zainteresował się Janus.

Skowski omiół pozostałych żółtymi receptorami wzrokowymi, po czym znowu spojrzął na Janusa.

–No... o śladach stóp, podobnych do naszych, ale nienależących do żadnego robota, jak również o robotokształtnych sylwetkach, które widywano w lasach.

–Ach, o to chodzi. – Janus machnął błyszczącą ręką, jakby chciał odegnać od siebie sugestie Skowskiego niczym drobinę kurzu. – Co miesiąc dostajemy kilkanaście zgłoszeń o „istotach

ludzkich”, które podobno widywano w dzikszych rejonach na północny zachód stąd.

–Tam, dokąd my jedziemy? – zapytał Curanov.

–Tak – odparł Janus. – Ale ja bym się nie przejmował. Za każdym razem ci, którzy składają te doniesienia, są tacy jak wy: zmniejszono im zdolność percepcji, aby zwierzyna, na którą polują, miała większe szanse. To, co widzieli, bez wątpienia da się wytłumaczyć racjonalnie. Gdyby te same rzeczy zobaczyli, dysponując pełnym zakresem percepcji, nie wracaliby tu z takimi zwariowanymi opowieściami.

–Czy ktoś poza zredukowanymi robotami zapuszcza się w tamte strony? – spytał Skowski.

–Nie – odparł Janus. Skowski pokręcił głową.

–To wcale nie wygląda tak, jak się spodziewałem. Czuję się taki słaby, taki... – Rzucił swój sprzęt na ziemię. – Nie mam ochoty iść dalej.

Pozostali popatrzyli nań ze zdumieniem.

–No co ty, boisz się goblinów? – spytał Steffan, który był największym kpiarzem w całej grupie.

–Nie, ale nie lubię się czuć jak kaleka, niezależnie od tego, ile to dodaje przygodzie smaczku.

–Dobrze, w takim razie będzie was tylko czterech – rzekł Janus.

–Nie dostaniemy innej broni poza strzelbami usypiającymi? – spytał Leeke.

–Żadna inna nie będzie wam potrzebna – odparł Janus. Dziwne pytanie zadał Leeke, pomyślał Curanov. Podstawową wytyczną każdego robota, zainstalowaną w fabryce, jest zakaz odbierania życia, jeżeli nie można go przywrócić. Rozumiał jednak Leeke’a, bo podzielał jego obawy. Podejrzewał, że w parze z ograniczeniem percepcji szło również jakieś nieuniknione przytępienie umysłu, no bo jak inaczej wyjaśnić ten ich silny, irracjonalny strach?

–Jedną rzecz musicie wiedzieć: nad północną Montana zapowiadają na jutro wieczór zamieć, ale jeśli wrócicie na czas do kwatery, która wam posłuży za centrum operacyjne, to śnieg nie przysporzy wam kłopotów. Jakies pytania?

Nie mieli już żadnych.

–No, to powodzenia – powiedział Janus. – Oby upłynęło wiele tygodni, zanim wyzwanie straci dla was urok.

Była to tradycyjna formułka na takie okazje, ale Janus najwyraźniej mówił to szczerze. Curanov czuł, że strażnik po stokroć wolałby nawet poważnie „okaleczony” polować na jelenie i wilki, niż pełnić służbę za biurkiem w strażnicy Straży Pieszej.

Podziękowali mu, spojrzeli na mapy, wyszli z budynku i nareszcie wyruszyli w drogę.

Skowski odprowadzał ich wzrokiem, a kiedy się obejrżeli, pomachał im na pożegnanie błyszczącą ręką i pozdrowił zwyczajowym gestem, unosząc sztywne palce.

*

Szli przez cały dzień, wieczór i połowę nocy. Nie potrzebowali odpoczynku. Choć znacznie im zmniejszono moc w nogach, a dyżurny technik podkreślił prędkość chodzenia, to i tak nie czuli zmęczenia. Mogli sobie obniżyć zdolności percepcyjne, mogli być z nich nawet zadowoleni, ale nie mogli się zmęczyć. Nawet kiedy zasy stały się tak głębokie, że musieli włożyć rakiety śnieżne, nie zwolnili kroku.

Curanov czuł dreszczyk emocji i niecierpliwego oczekiwania, którego nie pamiętał już od wielu lat, gdy przecinali rozległe równiny, gdzie zasy smagane wiatrem przybierały niesamowite, poskręcane kształty, i maszerowali pod gęstym stropem splecionych sosnowych konarów w dziewiczym lesie. Ponieważ nie miał tak czułych zmysłów jak dawniej, wietrzył niebezpieczeństwo w każdym cieniu, za każdym zakrętem wyobrażał sobie przeszkody i komplikacje nie do przebycia. Było to porywające uczucie.

Przed świtem zaczął prószyć lekki śnieg i przywierać im do zimnej stalowej skóry. Dwie godziny później wraz z pierwszymi promieniami słońca wyszli na niewielki grzbiet góry i ponad morzem sosnowych lasów na drugim końcu płytkiej doliny zobaczyli swoją kwaterę: błyszczący funkcjonalny budynek w kształcie półwalca z błękitnawej blachy falistej z okrągłymi oknami.

–Jeszcze dzisiaj uda nam się trochę zapolować – rzekł Steffan.

–No, to ruszajmy – powiedział Tuttle.

Ruszyli gęsiego w dół zbocza, przecięli dno doliny i wyszli po drugiej stronie prawie idealnie na schodki kwatery.

*

Curanov nacisnął spust. Wspaniały jeleń z ogromnym porożem z dwunastoma odnogami stanął dęba, wierzgając przednimi kopytami i puszczając kłęby pary.

–Trafiony! – zawołał Leeke.

Curanov wypalił drugi raz. Byk opadł z powrotem na cztery nogi. Za nim w głębi lasu drugi jeleń odwrócił się i uciekł wydeptaną ścieżką. Trafiony byk tymczasem potrząsnął wielką głową, zatoczył się do przodu, jakby chciał pobiec za towarzyszem, lecz zatrzymał się nagle i przysiadł. Podjął jeszcze jedną daremną próbę, żeby się dźwignąć, po czym runął w śnieg.

–Gratulacje!

Cztery roboty wyszły z zasy, gdzie się ukryły, kiedy jeleń pojawił się w zasięgu wzroku, i podeszły przez niewielką polanę do uspiętego zwierzęcia.

Curanov przyłożył dłoń do miejsca, gdzie biło serce stworzenia. Patrzył na ziarnistą

powierzchnię nozdrzy drżących przy płytkich oddechach.

Turtle, Steffan i Leeke też przykucnęli i dotykając jelenia, podziwiali jego doskonale umięśnienie, potężne łopatki, mocno zbudowane tylne nogi. Zgodnie doszli do wniosku, że upolowanie takiej zwierzyny, kiedy ma się przytępione zmysły, jest naprawdę nie lada osiągnięciem. Potem po kolei wstali i odeszli na bok, zostawiając Curanova sam na sam ze swą zdobyczą, aby mógł się spokojnie napawać zwycięstwem oraz starannie zebrać i zapisać swoje uczucia i reakcje na mikrotaśmach w komorze danych.

Curanov kończył właśnie szacunkową ocenę ryzyka oraz wyników konfrontacji, a jelenź zaczynał się pomalu budzić, kiedy Turtle krzyknął nagle, jakby przeciążyły mu się systemy:

–Patrzcie tutaj! Patrzcie!

Stał dwieście metrów dalej, przy gęstych drzewach i wymachiwał rękami. Steffan i Leeke szli już w jego stronę.

Jeleń u stóp Curanova prychnął i szarpnął się, żeby wstać, ale nie dał rady. Zamrugał nieprzytomnie powiekami. Ponieważ Curanov nie miał już nic więcej do zanotowania, wstał i zostawiwszy zwierzę w spokoju, ruszył w stronę towarzyszy.

–Co tam macie? – zapytał, podchodząc.

Wszyscy trzej patrzyli nań palającymi bursztynowymi receptorami, które w tym szarym świetle zmierzchu świeciły wyjątkowo jasno.

–Tam – powiedział Turtle, wskazując na ziemię przed sobą.

–Ślady stóp – rzekł Curanov.

–To nie są nasze ślady – zauważył Tuttle.

–No i co? – zapytał Curanov.

–To, że to nie są w ogóle ślady robotów – odparł Tuttle.

–Jasne, że są.

–Przypatrz im się bliżej – zaproponował Tuttle. Curanov się schylił i stwierdził, że oczy, utraciwszy połowę czułości, zmyliły go w pierwszej chwili. Poza kształtem ślady te w niczym nie przypominały śladów robota. Stopy robotów były kreskowane i miały gumowe bieżniki, a tymczasem na odciskach niczego takiego nie było; stopy robotów miały otwory, które pełniły funkcję wylotów powietrza z układu antygravitacyjnego, kiedy jednostka wznosiła się w powietrze, a w tych śladach nie było żadnych dziur.

–Nie wiedziałem, że na północy żyją dwunożne małpy – zauważył Curanov.

–Bo nie żyją – odparł Tuttle.

–A więc...

–Więc to są ślady... człowieka – podsumował Tuttle.

–To niedorzeczne! – wykrzyknął Steffan.

–A znasz inne wyjaśnienie? – spytał Tuttle.

W jego głosie było słycać, że wcale nie jest zachwycony swoim wytłumaczeniem, ale był gotów przy nim obstawać, dopóki ktoś inny nie zaproponuje lepszego.

–Czyjs dowcip – powiedział Steffan.

–Czyj? – zainteresował się Tuttle.

–Jednego z nas.

Popatrzyli po sobie, jak gdyby wina miała być wypisana na ich identycznych metalowych twarzach.

–To nie ma sensu – orzekł Leeke. – Cały czas byliśmy razem. Te ślady powstały niedawno, bo inaczej przysypałby je śnieg. Przez całe popołudnie żaden z nas nie miał okazji, żeby się wymknąć i zostawić ślady.

–A ja i tak twierdzę, że to dowcip – upierał się Steffan. – Może Centralna Agencja przysłała tu kogoś, żeby to zrobił.

–Po co Centralna Agencja miałaby robić coś takiego? – był ciekaw Tuttle.

–Może to część naszej terapii – odrzekł Steffan. – Może to ma dodatkowo uatrakcyjnić polowanie, żeby wyprawa była jeszcze bardziej emocjonująca. – Machnął lekceważąco na ślady, jakby miał nadzieję, że dzięki temu znikną. – Może Centrala robi tak z każdym, kogo męczy nuda, aby przywrócić mu poczucie cudowności...

–To bardzo mało prawdopodobne – przerwał mu Tuttle. – Wiesz dobrze, że każdy ma obowiązek sam organizować sobie przygody i generować własne zapisywalne reakcje. Centralna Agencja nigdy nie interweniuje. Ona tylko ocenia, a potem awansuje tych, których komory danych dojrzały.

–Dokąd prowadzą te ślady? – zapytał Curanov, żeby przerwać tę dyskusję, Leeke pokazał na trop błyszczącym palcem.

–Wyglądają, jakby to coś wyszło z lasu, stało tu chwilę, może obserwowało, jak podchodzimy jelenia, a potem wróciło tą samą drogą, którą przyszło.

Cztery roboty poszły za tropem w stronę najbliższych sosen, ale tu zawahały się przed wejściem głębiej w las.

–Ściemnia się – zauważył Leeke. – Zbliża się zamieć, tak jak przewidział Janus. Powinniśmy raczej wracać do kwatery, póki jeszcze mamy dość światła.

Curanov zastanawiał się, czy jego towarzysze równie wyraźnie jak on widzą, że wszyscy nagle zaczęli dziwnie tchórzyć. Zgodnie utrzymywali, że nie wierzą w żadne mityczne potwory, ale nikt nie chciał iść za tajemniczymi śladami. Curanov musiał jednak przyznać, że kiedy próbował sobie przedstawić owego stwora, który mógł tu zostawić trop, owego „człowieka”, on również, podobnie jak inni, nie mógł się doczekać, kiedy znajdą się pod bezpiecznym dachem.

Kwatera miała tylko jedno pomieszczenie i więcej nie potrzebowali. Ponieważ z wyglądu wszyscy byli tacy sami, nikt nie odczuwał potrzeby posiadania prywatnej przestrzeni. Każdy mógł się dużo lepiej odizolować od innych, wyłączając po prostu dopływ zewnętrznych bodźców w jednej z nisz dezaktywacyjnych, i w ten sposób zamknąć się we własnym umyśle, przetwarzać stare dane, szukać przeoczonych związków między pozornie niepowiązanymi informacjami. Nikogo więc nie wprowadził w zakłopotanie widok pojedynczego pokoju o szarych ścianach, prawie zupełnie pozbawionego mebli, nawet jeśli mieli *tu* spędzić kilka nadchodzących tygodni, walcząc z wszelkimi komplikacjami czy własną nudą.

Położyli strzelby usypiające na metalowej półce, która biegła przez całą ścianę, i poodczepiali od swoich metalowych pokryw wszystkie inne elementy wyposażenia.

Stali przy największym oknie, patrząc na białą ścianę szalejącego śniegu, kiedy odezwał się Tuttle:

–Pomyślcie, co by się stało ze współczesną filozofią, gdyby się okazało, że mity mówią prawdę.

–Jakie mity? – zapytał Curanov.

–O ludziach.

Steffan, jak zawsze sztywny, szybko zdusił w zarodku nierozwinięty tok myśli Tuttle'a.

–Nie widziałem niczego, co by mnie przekonało, że powinienem uwierzyć w mity.

Tuttle miał wystarczająco oleju w głowie, żeby nie wszczynać kolejnego sporu o ślady na śniegu, ale nie miał też bynajmniej zamiaru zupełnie zaniechać dyskusji.

–Do tej pory wierzyliśmy, że inteligencja zrodziła się wyłącznie w mechanicznym mózgu. Gdyby się okazało, że stworzenia z krwi i kości mogą...

–Żadne z nich nie może – przerwał mu Steffan. Curanov pomyślał, że Steffan musi być bardzo młody – pewnie nie minęło więcej niż trzydzieści, może czterdzieści lat, od kiedy opuścił fabrykę. W przeciwnym razie nie byłby taki pochopny w odrzucaniu wszystkiego, co choćby w najmniejszym stopniu narażało na szwank status quo ustalone przez Centralną Agencję. Z biegiem dziesięcioleci każdy robot się uczy, że to, co niegdyś było niemożliwe, dziś może nikogo nie dziwić.

–Niektóre mity głoszą – nie dawał za wygraną Tuttle – że roboty pochodzą od ludzi.

–Z żywego ciała? – zapytał z niedowierzaniem Steffan.

–Wiem, że to brzmi dziwacznie – rzekł Tuttle – ale widziałem w życiu dziwniejsze rzeczy, które okazywały się prawdą.

–Podróżowałeś po całej Ziemi – powiedział Steffan. – Widziałeś wiele zakątków, dużo więcej niż ja. W czasie tych swoich wypraw musiałeś napotykać dziesiątki tysięcy gatunków zwierząt. – Urwał dla zwiększenia efektu. – Czyś kiedy spotkał stworzenie z krwi i kości, które reprezentowałoby choćby szczątkową formę inteligencji takiej, jaką mają roboty?

–Nie, nigdy – przyznał Tuttle.

–Ciała z krwi i kości nie są przystosowane do wyższych form wrażliwości – orzekł Steffan.

Zapadło milczenie. Śnieg nie przestawał sypać, ściągając niebo coraz bliżej ziemi. Nikt nie chciał się przyznać do ukrytego lęku, który ich dręczył.

–Fascynuje mnie wiele rzeczy – odezwał się w końcu Tuttle, zaskakując Curanova, który sądził, że skończyli już z tym tematem. – Na przykład, skąd się wzięła Centralna Agencja? Jak powstała?

Steffan machnął lekceważąco ręką.

–Centralna Agencja istniała zawsze.

–To nie jest odpowiedź – zauważył Tuttle.

–Niby dlaczego? W praktyce zakładamy również, że zawsze istniał wszechświat z gwiazdami, planetami i wszystkim innym.

–Przypuśćmy – mówił Tuttle – tylko dla celów dyskusji, że Centralna Agencja nie istniała zawsze. Prowadzi nieustanne badania na temat samej siebie, ciągle się przeprojektowuje. Co pięćdziesiąt albo sto lat ogromne zasoby danych przenosi się do coraz bardziej wyszukanych składów. Czy nie jest możliwe, że w całym tym procesie co jakiś czas Agencja traci jakieś skrawki informacji? Że przez pomyłkę niszczy jakieś fragmenty pamięci?

–Niemożliwe – doszedł do wniosku Steffan. – Przed takimi wypadkami chronią nas niezliczone zabezpieczenia.

Curanov jednak pamiętał wiele potknięć Centralnej Agencji, których był świadkiem przez ostatnie sto lat, i nie podzielał pewności Steffana. Poza tym zaintrygowała go teoria Tuttle'a.

–Gdyby się zdarzyło, że Centralna Agencja straciłaby większą część swoich wczesnych danych, jej wiedza o istotach ludzkich przepadłaby razem z utraconymi fragmentami informacji.

Steffan był zdegustowany.

–Głosowałeś w pociągu przeciwko teorii Powtórej Świadomości, a teraz wierzysz w coś takiego? Rozśmieszasz mnie, Tuttle. Twoja komora danych musi być jakąś dziwną zbieraniną bezsensownych informacji, sprzecznych poglądów i bezużytecznych teorii. Jeśli wierzysz w te ludzkie istoty, to musisz też wierzyć we wszystkie poboczne mity. Uważasz, że można je zabić tylko drewnianym narzędziem? Że śpią w nocy w ciemnych pokojach? Że jak zwierzęta potrzebują snu? A może wierzysz też w to, że chociaż mają ciała z krwi i kości, nie można ich zniszczyć, bo zaraz po śmierci wyskakują gdzieś indziej w nowym ciele?

W obliczu tylu ewidentnych przesądów, które nie wytrzymałyby krytyki, Tuttle ostatecznie się wycofał. Zwrócił bursztynowe receptory na śnieg padający za oknem.

–Snulem tylko przypuszczenia. Puszczalem wodze fantazji, żeby czas nam szybciej zleciał.

–Od fantazji nie dojrzewa komora danych – powiedział triumfalnie Steffan.

–A ty pewnie chcesz dojrzeć jak najszybciej, żeby dostać od Agencji awans – rzekł Tuttle.

–Naturalnie – odparł Steffan. – Przyznano nam tylko dwieście lat. A poza tym, jaki może być inny cel życia?

Może Tuttle chciał w spokoju przemyśleć swoje niezwykle teorie, w każdym razie niebawem udał się na odpoczynek do niszy dezaktywacyjnej, których rząd znajdował się w ścianie pod półką na broń. Wsunął się nogami do przodu i zamknął za głową klapę, zostawiając towarzyszy samych.

Piętnaście minut później odezwał się Leeke:

–Chyba pójdę za przykładem Tuttle’a. Potrzebuję czasu, aby przemyśleć swoje reakcje po dzisiejszych łowach.

Curanov wiedział, że Leeke szuka tylko wymówki. Nie należał do towarzyskich robotów, czuł się najlepiej, kiedy nie zwracano nań uwagi i pozwalano mu zajmować się samym sobą.

Curanov znalazł się w niezręcznej sytuacji. On też potrzebował czasu, aby przemyśleć sprawy w niszy dezaktywacyjnej, nie chciał jednak urazić Steffana. Nie chciał, aby tamten pomyślał, że wszyscy się od niego odsuwają. W gruncie rzeczy lubił młodego robota, który był taki świeży i energiczny – pierwszorzędny umysł. Jedyna rzecz, która mu u młodzika zgrzytała, to ta jego naiwność, to bezkrytyczne pragnienie akceptacji i sukcesów. Rzecz jasna z czasem i on nabierze oglady, a jego umysł dojrzeje, nie zasługuje więc na to, aby mu sprawiać przykrość. Jak się tu zatem grzecznie wycofać, żeby nie urazić Steffana?

Na szczęście młody robot wybawił go z kłopotu, dając do zrozumienia, że i on potrzebuje czasu w niszy dezaktywacyjnej. Kiedy Steffan zniknął za włazem, Curanov podszedł do czwartej z pięciu nisz, wśliznął się do środka, zamknął klapę i poczuł, jak odpływają od niego wszystkie zmysłowe doznania, jak staje się czystym umysłem, zawieszonym w ciemności,

kontemplującym bogactwo myśli swojej komory danych.

Dryfując w nicości, Curanov analizuje mit, który stał się głównym tematem tej wyprawy – istota ludzka, czyli człowiek:

- 1. Chociaż zbudowany z żywego ciała, człowiek myśli i poznaje.**
- 2. Sypia w nocy jak zwierzę.**
- 3. Odżywia się innymi żywymi ciałami, tak jak to czynią zwierzęta.**
- 4. Wydala resztki przemiany materii.**
- 5. Umiera i gnije, podlega chorobom i rozkładowi.**
- 6. Płodzi młode w przerażająco niemechaniczny sposób, a mimo to jego młode są również obdarzone wyższą wrażliwością.**
- 7. Zabija.**
- 8. Potrafi pokonać robota.**
- 9. Rozkłada roboty na części, chociaż nikt poza innymi ludźmi nie wie, co z tymi częściami robi.**
- 10. Jest antytezą robota. Jeśli robot reprezentuje właściwą formę bytu, człowiek jest niewłaściwą.**
- 11. Podkrada się niepostrzeżenie, przedstawiając się zmysłom robota (jeśli nie jest wyraźnie widoczny) jako niegroźne zwierzę, dopóki nie jest za późno.**
- 12. Ostatecznie można go uśmiercić tylko drewnianym narzędziem. Drewno jest produktem organicznej formy życia, ale jest równie trwałe jak metal; ponieważ stanowi coś pośredniego między ciałem i metalem, może zniszczyć człowieka.**
- 13. Zabity w inny sposób, to znaczy narzędziem innym niż drewniane, człowiek tylko wydaje się martwy. W rzeczywistości w tej samej chwili, kiedy pada przed napastnikiem, przeskakuje, nie doznawszy szkody, do innego ciała i w nim żyje dalej.**

Chociaż lista na tym się nie kończy, Curanov przerywa ten tok myślenia, ponieważ głęboko go on porusza. Wymysły Tuttle'a nie mogą być niczym innym jak tylko spekulacją, wytworem wyobraźni. Gdyby istoty ludzkie naprawdę istniały, jak można by wierzyć w nadrzędną zasadę Agencji Centralnej: że wszechświat jest pod każdym względem całkowicie logiczny i podległy racjonalnemu wyjaśnieniu?

*

–Strzelby znikły – powiedział Tuttle, kiedy Curanov wyszedł z niszy dezaktywacyjnej. – Znikły. Wszystkie. Dlatego cię przywołałem.

–Jak to znikły? – zapytał Curanov, patrząc na półkę, gdzie poprzednio leżała broń. – Gdzie znikły?

–Leeke je zabrał – odparł Steffan.

Stał przy oknie, na jego długich błękitnawych ramionach perlila się skroplona para wodna.

–Czy Leeke też zniknął? – chciał wiedzieć Curanov.

–Tak.

Curanov zastanawiał się nad tym chwilę, po czym zapytał:

–Ale dokąd mógł iść w taką zamieć? I po co mu były wszystkie strzelby?

– Jestem pewien, że nie ma się czym przejmować – odparł Steffan. – Musiał mieć ważny powód. Wytłumaczy nam wszystko, kiedy wróci.

–Jeśli wróci – zauważył Tuttle.

–Tuttle – rzekł Curanov – mówisz tak, jakbyś sądził, że coś mu może grozić.

–Biorąc pod uwagę to, co się ostatnio wydarzyło... te ślady, które znaleźliśmy, uważam, że może być w niebezpieczeństwie.

Słyszając to, Steffan prychnął drwiąco.

–Cokolwiek się dzieje – ciągnął Tuttle – musisz przyznać, że to dosyć dziwne. – Odwrócił się do Curanova. – Żałuję, że poddaliśmy się operacji przed wyjazdem. Wszystko bym teraz dał, żeby odzyskać pełną percepcję. – Zawahał się. – Myślę, że powinniśmy odszukać Leeke'a.

–Sam wróci – zaproponował Steffan. – Kiedy uzna, że tego chce.

–W dalszym ciągu uważam, że powinniśmy wszcząć poszukiwania – powtórzył Tuttle.

Curanov podszedł do okna i stanąwszy obok Steffana, popatrzył na szalejącą śnieżycę. Na ziemi leżało co najmniej trzydzieści centymetrów świeżego puchu; dumne drzewa ugiwały się pod białym ciężarem. Curanov nigdy, podczas żadnej swojej podróży nie widział, żeby padał taki gęsty śnieg.

–No więc? – spytał Tuttle.

–Zgadza się – odparł Curanov. – Powinniśmy go poszukać, ale musimy to zrobić razem. Z naszymi przytępienymi zmysłami łatwo możemy się rozdzielić i zgubić. Gdyby któryś z nas tam upadł i coś sobie uszkodził, mogłoby dojść do całkowitego wyczerpania baterii, zanim byśmy zdążyli go znaleźć.

–Masz rację – powiedział Tuttle i odwrócił się do Steffana. – A co z tobą?

–Och, niech wam będzie – burknął Steffan ze złością. – Idę z wami.

Latarki wydzierają jaskrawe plamy w tkance ciemności, ale niewiele mogły zdziałać, aby przeniknąć przez zaslonę smagającego śniegu. Ramię przy ramieniu roboty obeszy dookoła budynek kwatery, po czym kontynuowały poszukiwania, zataczając coraz szersze kręgi. Postanowiły obejść cały odkryty teren, ale zatrzymać się na linii lasu, nawet jeśli nie znajdą Leeke'a. Wszystkie na to przystały, chociaż nikt, nawet Steffan, nie przyznał się, że co najmniej w połowie powodem tego zawężenia terenu poszukiwań jest czysto irracjonalny strach przed tym, co się może kryć między drzewami.

Wejście do lasu okazało się jednak niepotrzebne, bo znaleźli Leeke'a niecałe dwadzieścia metrów od kwatery. Leżał w śniegu przewrócony na bok.

–Ktoś go zlikwidował – rzekł Steffan, chociaż nikomu nie trzeba było tego mówić.

Leeke'owi brakowało nóg.

–Kto mógł zrobić coś takiego? – zapytał Steffan Ani Tuttle, ani Curanov nie odpowiedzieli.

Głowa Leeke'a zwisała bezwładnie z szyi, bo kilka złączy w kablu obwodowym zostało mocno wykrzywionych. Receptory wzrokowe rozbito, a w zgniecionych oczodołach cały mechanizm doszczętnie strzaskano.

Kiedy Curanov pochylił się bliżej, stwierdził, że przez przewody wzrokowe Leeke'a wetknięto jakiś ostry przedmiot aż do komory danych i teraz rozszarpane taśmy stanowiły kompletnie bezużyteczne kłębowisko. Curanov miał nadzieję, że Leeke już wtedy nie żył.

–Okropność – ocenił Steffan.

Odwrócił się od makabrycznego widoku i ruszył powoli w stronę kwatery, lecz zatrzymał się raptownie, bo przypomniał sobie, że nie powinien się oddalać od pozostałych. W myślach przeszedł go dreszcz.

–Co z nim zrobimy? – zapytał Tuttle.

–Zostawimy – odparł Curanov.

–Żeby tu rdzewiał?

–Nic już nie czuje.

–Mimo to...

–Powinniśmy wracać – przerwał mu Curanov, wskazując latarką śnieżny krajobraz. – Nie powinniśmy tak wystawać na otwartej przestrzeni.

Trzymając się blisko jeden drugiego, wrócili do kwatery. Kiedy szli, Curanov przywołał w myślach pewne niepokojące dane: *9. Rozkłada roboty na części, chociaż nikt poza innymi ludźmi nie wie, co z tymi częściami robi...*

–Moim zdaniem – zaczął Curanov, kiedy znaleźli się z powrotem w kwaterze – to nie Leeke zabrał strzelby. Ktoś... albo coś tu weszło, żeby je ukraść. Leeke musiał wyjść z niszy dezaktywacyjnej dokładnie w chwili, kiedy winowajcy wychodzili. Rzucił się w pościg, nie tracąc czasu na budzenie nas.

–Albo został zmuszony, żeby z nimi iść – zauważył Tuttle.

–Wątpię, żeby go wzięli siłą – powiedział Curanov. – Tu, w środku, gdzie miał dość światła i miejsca do manewrowania, nawet z przytępiionymi zmysłami nie dalby sobie zrobić krzywdy. Ale kiedy się znalazł na dworze, był zdany na ich łaskę.

Wiatr zawył o blaszany dach, zadzwonił o metalowe futryny okien. Trzy roboty stały bez ruchu, nasłuchując, dopóki gwałtowny podmuch nie ucichł, jak gdyby źródłem hałasu nie był wiatr, lecz jakaś ogromna bestia, która stanęła dęba nad dachem domu i miała zamiar go rozszarpać na strzępy.

–Kiedy oglądałem Leeke’a – ciągnął Curvanov – stwierdziłem, że powalił go silny cios w kabel obwodowy, tuż poniżej głowy. Taki cios został prawdopodobnie zadany z nienacka od tyłu, a tutaj, gdzie jest tak widno, nikt nie podszedłby do Leeke’a niepostrzeżenie od tyłu.

Steffan odwrócił się od okna.

–Myślisz, że Leeke już nie żył, kiedy... – głos mu się załamał, ale po chwili wziął się w garść i dokończył: – kiedy mu wymontowali nogi?

–Możemy tylko mieć nadzieję, że tak było – rzekł Curanov.

–Kto mógł zrobić coś takiego? – zapytał po raz drugi Steffan.

–Człowiek – odparł Tuttle.

–Raczej wielu ludzi – poprawił go Curanov.

–Nie – zaprzeczył Steffan, ale jego sprzeciw nie był już taki stanowczy jak poprzednio. – Na co by im były jego nogi?

–Nikt nie wie, co robią z tym, co zabierają – odrzekł Curanov.

–Mówisz tak, jakby Tuttle cię przekonał, jakbyś wierzył w te stwory.

–Dopóki nie znajdziemy lepszego wyjaśnienia, kto mógł zlikwidować Leeke’a, bezpieczniej będzie, moim zdaniem, założyć, że zrobiły to istoty ludzkie – rzekł Curanov.

Przez chwilę panowało milczenie.

–Sądę, że rano powinniśmy natychmiast wyruszyć w drogę powrotną do strażnicy Straży Pieszej – zdecydował wreszcie Curanov.

–Jeśli wrócimy z jakimiś fantastycznymi opowieściami o ludziach grasujących w ciemności wokół kwatery, pomyślą, że jesteśmy niedojrzali – zauważył Steffan. – Widzieliście, z jaką pogardą Janus mówił o tych, którzy składali takie doniesienia.

–Mamy biednego martwego Leeke’a na dowód – stwierdził Tuttle.

–Możemy też powiedzieć, że Leeke zginął w wypadku, a my wracamy, bo znudziła nas cała przygoda – podsunął Curanov.

–Uważasz, że moglibyśmy nawet nie wspominać o... ludziach? – spytał Steffan.

–Możliwe – odparł Curanov.

–Tak by było najlepiej – doszedł do wniosku Steffan. – Wtedy do Agencji nie dotarłyby żadne meldunki z drugiej ręki o naszym... przejściowym zaniku rozsądku. Spędzilibyśmy trochę więcej czasu w niszy dezaktywacyjnej, aż w końcu udałoby nam się znaleźć prawdziwe wyjaśnienie śmierci Leeke’a. Jeśli tylko zastanowimy się nad tym odpowiednio długo, na pewno dostrzeżemy właściwe rozwiązanie zagadki. A wtedy, zanim nas wezwą do Agencji na następne przesłuchanie komór, zatrać się już wszystkie ślady tej nieracjonalnej reakcji.

–A jednak – wtrącił Tuttle – możliwe, że znamy już prawdziwą przyczynę śmierci Leeke’a. Przecież widzieliśmy ślady na śniegu i jego zdemontowane ciało. Czy to możliwe, żeby stały za tym te istoty, ci... ludzie?

–Nie – odrzekł Steffan. – To są bzdurne zabobony. To irracjonalne.

–O świcie ruszamy do Straży Pieszej – powiedział Curanov. – Bez względu na to, czy zamieć do tej pory ucichnie, czy nie.

Kiedy skończył mówić, niespodziewanie przestał działać generator kwatery, którego nieprzerwany daleki szum działał uspokajająco, i ogarnęły ich nieprzeniknione ciemności. Zapalili trzy latarki, po czym wyszli na dwór i skierowali światło na mały generator we wnęce na tyłach budynku. Śnieg przywierał do ich schłodzonych metalowych skór.

Z generatora znikła góra obudowy; w środku widać było wszystkie najdrobniejsze części urządzenia.

–Ktoś wyjął główny rdzeń – stwierdził Curanov.

–Ale kto taki? – zapytał Steffan.

Curanov skierował snop światła latarki na ziemię, pozostali zrobili to samo.

Pomieszane z ich śladami na śniegu widniały odciski podobne, ale z całą pewnością niepozostawione przez żadnego robota. Były to te same tropy, które oglądali po południu między drzewami; te same, które udeptały śnieg wokół ciała Leeke'a.

–Nie – odezwał się Steffan. – Nie, nie, nie.

–Myślę, że najlepiej zrobimy, jeśli wyruszymy do Straży jeszcze dzisiaj – orzekł Curanov. – Nie sądzę, aby w obecnej sytuacji rozsądnie było czekać do rana. – Spojrzał na Tuttle'a, obklejonego zmrożonymi grudkami śniegu. – Jakie jest twoje zdanie?

–Zgadza się – odparł Tuttle. – Ale podejrzewam, że to nie będzie łatwa podróż. Tak bym chciał mieć teraz wszystkie zmysły działające pełną mocą.

–Nadal możemy się poruszać bardzo szybko – powiedział Curanov. – No i nie potrzebujemy odpoczywać jak istoty z krwi i kości. Jeśli ruszy za nami pogoń, będziemy mieć przewagę.

–Teoretycznie – zauważył Tuttle.

–Musimy się tym zadowolić.

Curanov zaczął rozważać w myślach pewne aspekty popularnego mitu: *7. Zabija. 8. Potrafi pokonać robota.*

W kwaterze przy niespokojnym świetle latarek przymocowali do nóg rakiety śnieżne, przyczepili narzędzia pierwszej pomocy, zwinęli mapy, po czym znów wyszli na dwór.

Trzymali się blisko siebie. Wiatr dał im w szerokie plecy, a śnieg ze wszystkich sił próbował ich pokryć zbitym lodowym garniturem. Przeszli przez polanę, częściowo kierując się przybliżonymi wyliczeniami, częściowo nielicznymi punktami orientacyjnymi wyłowionymi z mroku przez światło latarek. Każdy w duchu myślał, jakby to było dobrze znów mieć dawną ostrość widzenia i działający radar. Niebawem dotarli do przecinki, która prowadziła w dół zbocza doliny i dalej do strażnicy Straży Pieszej. Zatrzymali się i popatrzyli w głąb ciemnego tunelu wiodącego pod sklepieniem sosen. Jakoś nie mieli ochoty iść dalej.

–Tam jest tyle cieni – powiedział Tuttle.

–Cienie nie zrobią nam krzywdy – odparł Curanov.

Od początku ich wspólnej podróży, od kiedy się poznali w pociągu jadącym na północ, Curanov wiedział, że jest wśród nich przywódcą. Rzadko korzystał z tego przywileju, lecz teraz zrozumiał, że musi przejąć pełne dowodzenie. Ruszył naprzód między drzewa i cienie i zaczął schodzić ośnieżonym zboczem.

Steffan niechętnie poszedł za nim. Na końcu dołączył Tuttle. Mniej więcej w połowie drogi do dna doliny tunel się raptownie zwęził. Drzewa wyrastały bliżej ścieżki i opuszczały konary niżej nad głowami wędrowców. I to właśnie tutaj, w tym ciasnym przesmyku, w najciemniejszym mroku zostali napadnięci.

Gdzieś rozległo się triumfalne wycie, obłąkańczy głos zagłuszył nieustanny ryk wiatru. Curanov obrócił się w kółko, przebijając ciemność między drzewami snopem światła. Nie był pewien, z której strony dobiegł głos. Z tyłu krzyknął Tuttle. Curanov i Steffan obejrzeni się błyskawicznie i w światłach latarek zobaczyli szamoczące się towarzysza.

–To niemożliwe! – krzyknął Steffan.

Tuttle upadł na plecy po zaciekłym natarciu dwunożnej istoty, która poruszała się jak robot, ale bez wątpienia była zwierzęciem. Miała na sobie futro, na nogach buty, a w ręku dzierżyła metalowy topór. I właśnie spuszczała jego obuch na kabel obwodowy Tuttle'a.

Tuttle podniósł rękę i odepchnął broń, ratując życie kosztem ciężkiego urazu w zawiasie łokciowym.

Curanov ruszył mu na pomoc, ale w tej samej chwili powstrzymał go drugi napastnik, zadając mu cios od tyłu. Broń trafiła Curanova w środek pleców i powaliła na kolana.

Curanov upadł na bok, przetoczył się kilka kroków, po czym poderwał na nogi jednym,

świetnie skoordynowanym ruchem. Odwrócił się błyskawicznie, żeby stawić czoło napastnikowi.

Obleczona ciałem twarz patrzyła na niego z odległości czterech metrów. W kapturze z futrzanym podbiciem, buchając w mroźnym powietrzu kłębami pary, wyglądała jak karykatura twarzy robota. Oczy miała dużo za małe jak na receptory wzrokowe, poza tym nie świeciły. Rysy nie były idealnie symetryczne jak powinny, proporcje twarzy zachwiane, w dodatku ciało od mrozu miejscami nabrzmiało, miejscami poczerwieniało. Nawet nie połyskiwało w świetle latarek, a mimo to...

...mimo to wyraźnie było siedliskiem inteligencji – agresywnej inteligencji bez wątplenia, może nawet zbrodniczej, niemniej inteligencji.

Niespodziewanie potwór przemówił do Curanova. Głos miał głęboki, jego mowa pełna była miękkich, zaokrąglonych głosek, nie przypominała stukającego języka, jakim rozmawiały ze sobą roboty.

Potem z okrzykiem stwór skoczył naprzód i zamachnął się metalową rurą na szyję Curanova.

Curanov odskoczył w tył i uniknął ciosu.

Demon znów ruszył do natarcia. Curanov zerknął na innych i zobaczył, że Tuttle został zepchnięty przez pierwszego demona głębiej w las. Steffana zaatakował trzeci potwór i młody robot z trudem dotrzymywał mu pola.

Tymczasem napastnik rzucił się na Curanova z krzykiem i wbił koniec rury w jego pierś. Robot runął na ziemię.

Człowiek podszedł do niego i wznosił metalową pałkę nad głową.

Człowiek myśli, chociaż jest z krwi i kości... śpi jak zwierzę, jada mięso innych zwierząt, wydała, gnije, umiera... Zabija... zabija... potrafi pokonać robota, rozbiera go na części i robi z nimi potworne rzeczy (jakie?). Ostatecznie można go uśmiercić tylko drewnianym narzędziem... a jeśli zabije się go innym narzędziem niż drewniane, tylko wydaje się martwy, lecz przeskakuje natychmiast w inne ciało...

Kiedy potwór zamachnął się pałką, Curanov przetoczył się w bok, poderwał na nogi i uderzył przeciwnika swoją długopalczystą dłonią.

Ciało na twarzy człowieka rozdarło się i zaczęło krwawić. Demon zatrzymał się oszołomiony, a tymczasem cały strach Curanova obrócił się w gniew. Zrobił krok naprzód i znów uderzył. I jeszcze raz. Wymachując z całej swej zredukowanej siły, złamał ciało demona i zabił go przejściowo. Na śniegu wykwitły czerwone plamy krwi. Następnie Curanov odwrócił się w stronę bestii, która atakowała Steffana, podszedł od tyłu i jednym ciosem stalowej ręki złamał jej kark.

Zanim dopadł do Tuttle'a i unieszkodliwił ostatniego demona, Tuttle miał już kompletnie zmiażdżoną jedną rękę, zgniecioną drugą dłoń i uszkodzony kabel obwodowy, co go jednak na szczęście nie zlikwidowało. Przy odrobinie szczęścia wszyscy trzej mieli szansę ocaleć.

–Już myślałem, że po mnie – powiedział Tuttle.

–Zabiłeś wszystkie trzy potwory! – krzyknął osłupiały Steffan.

–Gdybym ja ich nie zabił, one zabiłyby nas – odparł Curanov.

Głęboko w środku, gdzie żaden z towarzyszy nie miał wglądu, Curanov przeżywał jednak głęboką rozterkę.

–Ale przecież nadrzędna zasada Centralnej Agencji zabrania odbierać życie...

–Niezupełnie – zaprzeczył Curanov. – Zabrania odbierać życie, „którego nie można przywrócić”.

–To znaczy, że te istoty odzyskają życie? – zapytał Steffan, patrząc z niedowierzaniem na odrażające zwłoki.

–Widziałeś ludzi na własne oczy – rzekł Curanov. – Czy teraz wierzysz w mity, czy w dalszym ciągu będziesz się z nich naśmiewał?

–Jak się mogę naśmiewać?

–Wobec tego – ciągnął Curanov – jeśli wierzysz, że takie demony istnieją, musisz też uwierzyć w to, co się o nich mówi. – I zacytował fragment danych przechowywanych na ten temat w jego pamięci: „Zabity w inny sposób, to znaczy narzędziem innym niż drewniane, człowiek tylko wydaje się martwy. W rzeczywistości w tej samej chwili, kiedy pada przed napastnikiem, przeskakuje, nie doznawszy szkody, do innego ciała i w nim żyje dalej”.

Steffan skinął głową. Nie miał ochoty sprzeczać się na ten temat.

–Co teraz? – zapytał Tuttle.

–Idziemy dalej do Straży Pieszej – rzucił Curanov.

–I powiemy im, co znaleźliśmy?

–Nie.

–Ale moglibyśmy ich tu przyprowadzić i pokazać im zwłoki – zasugerował Tuttle.

–Rozejrzyj się tylko – odparł Curanov. – Dookoła obserwują nas inne demony.

Rzeczywiście między drzewami widać było kilkanaście palających nienawiścią białych twarzy.

–Nie sędę, żeby nas znowu zaatakowali – rzekł Curanov. – Widzieli, co potrafimy, widzieli, że zasada o nieodbieraniu życia nie stosuje się do nich. Ale kiedy odejdziemy, na pewno zabiorą ciała i pogrzebią.

–No to możemy wziąć je ze sobą – zauważył Tuttle.

–Nie – sprzeciwił się Curanov. – Ty masz obie ręce niesprawne, Steffan prawe ramię bezwładne. Przy zmniejszonym zasilaniu sam nie doniosę żadnego z tych ciał aż do strażnicy.

–To znaczy, że nikomu nie powiemy, co tu widzieliśmy? – zapytał Tuttle.

–Nie możemy sobie na to pozwolić, jeżeli chcemy być kiedyś awansowani – wyjaśnił Curanov. – Jedyną nadzieję możemy pokładać w niszy dezaktywacyjnej. Jeśli spędzimy dość dużo czasu na analizowaniu tego, cośmy widzieli, może kiedyś nauczymy się sobie z tym radzić.

Podnieśli ze śniegu latarki i trzymając się blisko siebie, ruszyli w dół doliny.

–Idźcie powoli i nie okazujcie strachu – ostrzegł ich Curanov.

Szli powoli, ale każdy z nich był pewien, że niezziemskie stworzenia czające się w mroku między sosnami doskonale widzą ich strach.

Szli całą noc i większą część następnego dnia, zanim w końcu dotarli do strażnicy Straży Pieszej. W tym czasie zamieć ucichła. Okolica była biała, cicha i spokojna. Patrząc na faliste śnieżne wydmy, miało się niezachwianą pewnością, że wszechświat jest logiczny. Curanova jednak nękała jedna nieznośna myśl: jeśli musi uwierzyć w istnienie widm i innych niewiarygodnych stworzeń, takich jak ludzie, to już nigdy nie będzie zdolny pojmować wszechświata racjonalnie.

Brzask świtu

–Czasami potrafisz być największym palantem, jaki chodził po ziemi – powiedziała moja żona w dzień, kiedy odebrałem synowi wiarę w Świętego Mikołaja.

Leżeliśmy w łóżku, ale ona najwyraźniej nie była w nastroju ani do spania, ani do amorów. Jej głos był ostry i pogardliwy.

–Jak można zrobić małemu chłopcu coś tak okropnego?

–On ma już siedem lat...

–On jest małym chłopcem – powiedziała, Ellen szorstko. Rzadko nam się zdarzały takie gniewne rozmowy. Na ogół byliśmy szczęśliwym i zgodnym małżeństwem.

Leżeliśmy w milczeniu. Okno balkonowe wychodzące na taras na piętrze było odsłonięte, toteż sypialnia tonęła w popielatym świetle księżyca. Nawet w tej bladej poświacie gniew Ellen uzewnętrzniał się w napiętej, sztywnej sylwetce, kiedy udawała, że chce spać.

–Wiesz co, Pete – rzekła w końcu – przez tę swoją obsesję strzaskaleś rzeźnickim toporem zupełnie nieszkodliwą dziecięcą fantazję.

–Ona nie była nieszkodliwa – odparłem cierpliwie. – A ja nie mam żadnej obsesji.

–Owszem, masz.

–Po prostu wierzę w racjonalistyczne...

–Och, zamknij się.

–Nawet ze mną o tym nie porozmawiasz?

–Nie. To bezcelowe.

Westchnąłem.

–Kocham cię, Ellen. Milczała przez długą chwilę.

Na dworze pod okapami domu wiatr szumiał swym odwiecznym głosem. W konarach wiśni rosnących na podwórzu, zahukała sowa.

–Ja też cię kocham – powiedziała w końcu Ellen – ale czasami mam ochotę skopać ci tyłek.

Byłem na nią zły, bo uważałem, że jest nie w porządku, ponieważ pozwoliła, aby jej najmniej chwalebne emocje zagłuszył zdrowy rozsądek. Dzisiaj, wiele lat później, oddałbym wszystko, żeby usłyszeć, że ma ochotę skopać mi tyłek, i nadstawiłbym się z uśmiechem na ustach.

Od kołyski mój syn, Benny, był uczony, że Bóg nie istnieje pod żadną postacią ani imieniem i że religia jest azylem dla słabych umysłów, które nie mają dość odwagi, by stawić czoło wszechświatowi na jego własnych prawach. Nie zgodziłem się na chrzest Benny'ego, bo według mnie ceremonia ta była niczym innym jak prymitywnym obrzędem inicjacyjnym, przez który dziecko wprowadza się w kult ignorancji i irracjonalizmu.

Ellen – moja żona i matka Benny'ego – została wychowana jako metodystka i w dalszym ciągu przejawiała (w każdym razie moim zdaniem) śladowe pozostałości dawnej wiary. Nazywała siebie agnostyczką, bo nie potrafiła zrobić jeszcze jednego kroku naprzód i dołączyć do mojego obozu ateistów. Tak bardzo ją jednak kochałem, że wybaczałem jej tę niekonsekwencję. Niemniej miałem w pogardzie wszystkich innych, którzy nie potrafili spojrzeć prawdzie w oczy, że wszechświat nie ma Boga, a życie ludzkie jest niczym więcej niż biologicznym przypadkiem.

Gardziłem wszelkimi metodystami, luteranami, katolikami, baptystami, mormonami, żydami i wszystkimi innymi, którzy uginali kolana, aby się korzyć przed wyimaginowanym panem stworzenia. Przypinali sobie różne etykiety, ale w gruncie rzeczy żywili te same chore złudzenia.

Najgłębszą nienawiść wszelako chowałem dla tych, którzy byli niegdyś czyści od religijnej skazy – mężczyźni i kobiety myślący racjonalnie tak jak ja – a potem zeszli ze ścieżki rozumu i wpadli w otchłań zabobonu. Porzucali swój najcenniejszy majątek – niezależnego ducha, myślową samodzielność i intelektualną uczciwość – w zamian za niewydarzone mrzonki o życiu po śmierci w togach i przy wtórze harf. Bardziej mnie odstręczało, kiedy ktoś odrzucał cenione niegdyś laickie oświecenie, niż gdyby mi stary przyjaciel wyznał, że zapalał nagle niepohamowaną namiętnością do sodomii i że się rozwiódł z żoną dla suczki owczarka niemieckiego.

Hal Sheen, mój wspólnik, z którym razem zakładaliśmy Fallon Sheen Design, również był dumny ze swego ateizmu. W liceum byliśmy najlepszymi kumplami i razem tworzyliśmy niezwykle groźny zespół dyskutantów, ilekroć w rozmowie wypłynął temat religii. Każdy, kto żywił wiarę w istotę wyższą, kto się ośmielił nie zgadzać z naszymi poglądami na wszechświat jako miejsce działania obojętnych sił, nieuchronnie żałował, że nas poznał, odsądzaliśmy go bowiem od dojrzałości, przedstawialiśmy go jako zidiociałe dziecko. Czasami nie czekaliśmy nawet, aż temat religii sam wypłynie, tylko sprytnie podsuwaliśmy przynętę kolegom, którzy – jak wiedzieliśmy – byli wierzący.

Dużo później jako dyplomowani architekci nie wyobrażaliśmy sobie, abyśmy mogli pracować oddzielnie, założyliśmy więc razem firmę. Marzyliśmy o budowaniu solidnych i zarazem eleganckich, funkcjonalnych i pięknych domów, które będą zachwycać i zdumiewać, które wzbudzą podziw nie tylko naszych kolegów z branży, ale całego świata. Zapręgnawszy do pracy szare komórki, zdolności i całą zawziętość, na jaką nas było stać, zaczęliśmy wcielać w

życie swoje marzenia. A byliśmy wtedy jeszcze bardzo młodymi ludźmi. Fallon Sheen Design wyrosło na cudowne dziecko branży architektonicznej i wywołało poruszenie nie tylko w środowisku studentów architektury, ale również wśród profesjonalistów.

Najważniejszym aspektem tego niewiarygodnego sukcesu był fakt, że u jego podłoża leżał właśnie nasz programowy ateizm, ponieważ z pełną świadomością postanowiliśmy projektować architekturę, która by w najmniejszym stopniu nie była inspirowana religią. Większość laików nie zdaje sobie nawet sprawy, że wszystkie budowle, jakie ich otaczają, łącznie z tworam najnowszych szkół projektanckich, wykorzystują rozwiązania architektoniczne, które pierwotnie miały na celu w subtelny sposób umacniać panowanie Boga na Ziemi i miejsce religii w życiu człowieka. Na przykład sklepienia wprowadzono początkowo w kościołach i katedrach, aby kierować wzrok wiernych ku górze i w ten pośredni sposób nakłaniać ich do kontemplacji spraw boskich oraz rozkoszy życia niebiańskiego. Sklepienia kolebkowe, krzyżowe, klasztorne, wachlarzowe, gwiaździste to coś więcej niż po prostu rodzaj stropu krzywoliniowego. Wymyślono je jako część religii, milczącą reklamę Boga i boskiej władzy. Od samego początku postanowiliśmy z Halem, że wykluczamy wszelkie sklepienia, wieżyczki, okna łukowe i drzwi, że jednym słowem żadne elementy architektoniczne mające związek z religią nie znajdą sobie miejsca w budynkach Fallon Sheen. Zamierzaliśmy zamiast tego skierować oko ludzkie ku ziemi i na setki sposobów przypominać tym, którzy wstąpią w progi naszych budowli, że są zrodzeni z ziemi – nie żadne dzieci Boga, ale zaledwie nieco bardziej inteligentni kuzyni małp.

Dlatego właśnie tak mną wstrząsnęła wiadomość o nawróceniu Hala na rzymski katolicyzm – wyznanie jego dzieciństwa. W wieku trzydziestu siedmiu lat, u szczytu zawodowej kariery, dowiodłszy swoim spektakularnym sukcesem wyższości wyzwolonego racjonalisty nad wyimaginowanymi bóstwami, radośnie powrócił do konfesjonału, upokorzył się przed ołtarzem, zmoczył pierś i czoło tak zwaną wodą święconą i tym samym odrzucił intelektualne podwaliny, na których do tej pory budował swe dorosłe życie.

Groza tego wydarzenia zmroziła mnie do szpiku kości. Zacząłem gardzić religią jeszcze bardziej niż dotąd za to, że odebrała mi Hala Sheena. Zdwoilem wysiłki, aby usunąć z życia mego syna każdy cień przesądu i religijnej myśli, zaciąłem się w postanowieniu, że żaden okadzony dzwonnik, żaden piewca hymnów, żaden zamroczony grzybkami, samooszukujący się głupiec o wypranym mózgu nigdy w życiu nie ukradnie mi Benny'ego. Kiedy we wczesnym wieku okazał się żarliwym czytelnikiem, uważnie doбираłem mu książki, starannie trzymając go z dala od wszelkich lektur, które choćby pośrednio przedstawiały religię jako dopuszczalną część ludzkiego życia. Niezłomnie kierowałem go na ściśle świeckie dzieła, byle tylko nie rozbudzać niezdrowych fantazji. Kiedy zauważyłem, że zainteresowały go wampiry, duchy i cała reszta panteonu potworów, które zwykle fascynują dzieci, dołożyłem wszelkich starań, aby wybić mu je z głowy. Wyśmiewałem je, a jednocześnie przekonywałem go, jaką satysfakcję odczuje, kiedy wzniesie się ponad całą tę dziecinadę, i jakie korzyści z tego płyną. Och, nie odmawiałem mu bynajmniej dobrego dreszczyku strachu, w którym nie ma nic ściśle religijnego. Wolno mu było się bać książek o morderczych robotach, filmów o Frankensteinie i wszelkich innych strasznych wytworach ludzkiej ręki. Cenzurowałem mu jedynie potwory diabelskiego i ogólnie rzecz biorąc, spirytystycznego pochodzenia, jako że wiara we wszelkie satanizmy jest

tylko jednym z licznych odprysków religii – odwrotną stroną kultu Boga.

Pozwoliłem mu na Świętego Mikołaja, dopóki nie skończył siedmiu lat, chociaż także co do tej słabości miałem wiele wątpliwości. Legenda o Świętym Mikołaju wiąże się rzecz jasna z chrześcijaństwem – dobry Święty Mikuś i tym podobne, ale Ellen bardzo nalegała, żeby nie odmawiać Benny’emu tej fantazji. Przyznałem, choć z oporami, że jest to prawdopodobnie nieszkodliwy przesąd, ale zgodziłem się tylko pod warunkiem, że będziemy traktować Gwiazdkę jako absolutnie świeckie święto, niemające nic wspólnego z narodzinami Chrystusa. Obchodziliśmy Boże Narodzenie jako święto rodziny i okres plawienia się w zdrowym materializmie.

Na podwórzu naszego wielkiego domu w okręgu Bucks w Pensylwanii rosły dwie wielkie stare wiśnie. W cieplejszych porach roku siadywaliśmy z Bennym pod ich gałęziami i graliśmy w szachy i karty. Właśnie pod tymi konarami, niemal zupełnie wówczas ogolonymi z liści przez szarpiące dłonie jesieni, pewnego wyjątkowo ciepłego dnia na początku października Benny, który skończył siedem lat, zapytał mnie, czy uważam, że Święty Mikołaj przyniesie mu w tym roku dużo prezentów. Odparłem, że za wcześnie jeszcze myśleć o Gwiazdce, na co on powiedział, że wszystkie dzieciaki myślą już o Gwiazdce i zaczynają robić listy prezentów. Po czym zapytał:

–Tatusiu, skąd Święty Mikołaj wie, czy byliśmy grzeczni, czy nie? Przecież nie może ciągle obserwować wszystkich dzieci, prawda? Czy on rozmawia z naszymi aniołami stróżami i one mu na nas donoszą, czy co?

–Anioły stróże? – zapytałem zaskoczony i niezadowolony. – Co ty wiesz o aniołach stróżach?

–Podobno czuwają nad nami i pomagają nam, kiedy mamy kłopoty, tak? Więc pomyślałem, że może rozmawiają też ze Świętym Mikołajem.

Miesiąc po urodzeniu Benny’ego zawarłem porozumienie z okolicznymi rodzicami, którzy mieli podobne zapatrywania jak ja, żeby założyć prywatną szkołę, której przyświecać będą idee świeckiego humanizmu i gdzie do programu nauczania nie dopuści się żadnych religijnych myśli. Chcieliśmy się upewnić, że nasze dzieci, kiedy urosną, będą się uczyć historii, literatury, socjologii i etyki w duchu antyklerykalizmu. Benny chodził do naszego przedszkola, a owego października był w drugiej klasie szkoły podstawowej, gdzie wszyscy jego koledzy pochodzili z rodzin o takich samych racjonalistycznych poglądach jak nasze. Zdziwiłem się, słysząc, że nawet w takim środowisku nie uniknął religijnej propagandy.

–Kto ci naopowiadał o aniołach stróżach?

–Niektóre dzieci.

–I one wierzą w te anioły?

–No, chyba tak.

–A wierzą też we wróżki?

–Ależ skąd, jasne, że nie.

–To czemu wierzą w anioły stróże?

–Bo widziały je w telewizji.

–Naprawdę?

–Był taki program, którego nie pozwoliłeś mi oglądać.

–I tylko dlatego, że widziały je w telewizji, uważają, że to prawda?

Benny wzruszył ramionami i przesunął pionek o pięć pól na planszy.

Uważałem wówczas, że telewizja jest prawdziwym przekleństwem dla wszystkich rozumnych kobiet i mężczyzn, ponieważ rozpowszechnia zastraszający wachlarz wszelkich religijnych przesądów, a przy tym jest wszechobecna w naszym życiu i niezwykle sugestywna. Książki i filmy w rodzaju *Egzorcysty* czy programy o aniołach stróżach mogą doprowadzić do rozpaczycy każdego rodzica, który usiłuje wychowywać swe dzieci w duchu nieskażonego racjonalizmu.

Wyjątkowo ciepły październikowy wiatr nie był na tyle silny, żeby rozwiać karty do gry, ale delikatnie zmierzwił brązowe włosy Benny'ego. Wyglądał tak drobniutko i krucho z tymi włoskami potarganymi przez wiatr, kiedy siedział na poduszce podłożonej na krzesło, żeby mógł sięgnąć do stołu. Kochałem go, chciałem mu zapewnić jak najlepsze życie i z sekundy na sekundę rósł we mnie gniew, nie na Benny'ego, tylko na ten cały niewydarzony intelektualnie i emocjonalnie motłoch o wypaczonych światopoglądach, który próbuje indoktrynować naiwne dziecko.

–Benny – powiedziałem – posłuchaj mnie, nie ma żadnych aniołów stróżów. Nic takiego nie istnieje. To kłamstwo wymyślone przez ludzi, którzy chcą ci wmówić, że twoje sukcesy w życiu nie są twoją zasługą. Każą innym wierzyć, że jeśli spotyka ich w życiu coś złego, to jest to kara za grzechy i sami są sobie winni, ale wszystko, co dobre, dzieje się z bożej łaski. Chcą w ten sposób manipulować ludźmi. Każda religia jest tym samym: narzędziem do manipulowania i ciemnienia.

Benny zamrugał.

–Pan Łaski?

Teraz z kolei ja zamrugałem.

–Co takiego?

–Mówiłeś o panu Łaskim? Tym ze sklepu z zabawkami? Jakim narzędziem będzie we mnie manipulować? – Zachichotał. – Śrubokrętem, jak w zepsutej kolejce? Tatusiu, to jakieś niemądre.

Miał w końcu dopiero siedem lat, a ja próbowałem z nim dyskutować o manipulacyjnych skłonnościach przywódców religijnych, jakbym sobie uciął pogawędkę z intelektualistą w kawiarni przy kawie. Zaczerwieniłem się ze wstydu za bezmiar własnej głupoty, po czym odsunąłem na bok planszę i zebrałem wszystkie siły, żeby mu wytłumaczyć, dlaczego wiara w takie bzdury jak anioły stróże nie jest tylko niewinną zabawą, ale również krokiem w kierunku intelektualnego i emocjonalnego zniewolenia, i to w dodatku wyjątkowo zgubnego w skutkach. Kiedy wyglądał już na kompletnie znudzonego, zdezorientowanego, zakłopotanego i zdumionego, za to ani trochę bardziej oświeconego, poczułem, jak narasta we mnie bezsilna złość i właśnie wtedy (teraz wstyd mi się do tego przyznać), aby wyrazić się wystarczająco jasno, rozwiąłem jego złudzenia na temat Świętego Mikołaja.

Dotarło do mnie niespodziewanie, że pozwalając mu na kultywowanie mitu o Świętym Mikołaju, sam kładę podwaliny pod irracjonalizm, przed którym tak usilnie staram się, go ustrzec. Jak mogłem popełnić taki błąd, by sądzić, że Boże Narodzenie da się obchodzić jako świeckie święto bez ryzyka dopuszczenia tradycji religijnej, która w końcu leżała u jego podstaw. Zrozumiałem teraz, że ubieranie w domu choinki i dawanie prezentów przez samą siłę skojarzeń z innymi atrybutami Bożego Narodzenia, takimi jak szopki w kościołach i grające na trąbkach plastikowe aniołki na wystawach sklepowych, musiało skłonić Benny’ego do przyjęcia duchowego aspektu świąt za równoprawny z jego aspektem materialistycznym, co z kolei stworzyło podatny grunt dla opowieści o aniołach stróżach i wszystkich innych bredni o grzechu i zbawieniu.

Podczas gdy październikowy wiatr wiódł nas pomалу ku kolejnym świętom, powiedziałem Benny’emu pod wiśnią prawdę o Świętym Mikołaju, wyjaśniłem, że prezenty kupujemy my z mamą. Zaprotestował, mówiąc, że ma przecież dowody na istnienie Świętego Mikołaja: ciasteczka i mleko, które zostawia dla wesołego grubaska, zawsze znikają. Powiedziałem, że tym lasuchem na słodczyce jestem tak naprawdę ja, a mleko, którego nie lubię, wylewamy do zlewu.

W ten sposób metodycznie i nieustępliwie, ale jak sądziłem, z czułością i zrozumieniem odebrałem Benny’emu całą tak zwaną magię świąt, nie pozostawiając złudzeń, że cała afery ze Świętym Mikołajem jest po prostu miłym, ale chybionym oszustwem.

Słuchał już dalej, nie protestując, a kiedy skończyłem, powiedział, że jest śpiący i musi się zdrzemnąć. Potarł oczy i ziewnął ostentacyjnie. Odechciało mu się grać, wszedł do domu i poszedł prosto do swojego pokoju.

Na koniec powiedziałem mu, że silni i zrównoważeni ludzie nie potrzebują wymyślonych przyjaciół jak Święty Mikołaj czy anioły stróże.

–Możemy liczyć tylko na siebie, na swoich przyjaciół i rodziny, Benny. Jeśli chcemy coś w życiu dostać, to nie możemy prosić o to Świętego Mikołaja lub tym bardziej się o to modlić. Możemy to dostać, tylko gdy na to zapracujemy albo otrzymamy w darze od przyjaciół lub krewnych.

Trzy lata później, kiedy Benny leżał w szpitalu i umierał na raka kości, po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, dlaczego ludzie odczuwają potrzebę wiary w Boga i szukania pociechy w modlitwie. Spadają na nas nieszczęścia tak ogromne i tak trudne do zniesienia, że pokusa, by szukać mistycznych odpowiedzi na okrucieństwo świata, jest zaprawdę potężna.

Nawet jeśli potrafimy zaakceptować fakt, że nasza śmierć jest ostateczna i żadna dusza nie przeżyje rozpadu ciała, znacznie trudniej jest pogodzić się z myślą, że nasze dzieci, za młodu dotknięte chorobą, muszą również odejść z tego świata i nie idą do żadnego innego. Dzieci są kimś szczególnym, więc jak to możliwe, że i one obracają się w proch, nie zostawiając po sobie śladu, jak gdyby nigdy nie istniały? Widywałem ateistów gardzących religią, niezdolnych do odmawiania modlitwy za siebie samych, a mimo to wzywających Boga w imieniu swoich ciężko chorych dzieci. Dopiero wtedy uprzytamnił mi się – nierzadko ze wstydem, ale też niejednokrotnie z głębokim żalem – że ich filozofia zabrania niemądrych petycji o boską interwencję.

Choroba Benny’ego nie wstrząsnęła posadami moich przekonań. Ani razu przez cały ten czas udręki nie odstąpiłem od swoich zasad i nie użalałem się Bogu. Byłem nieugięty, niezłomny i ze stoickim uporem trwałem w postanowieniu, aby dźwigać to brzemie samodzielnie, chociaż nieraz ciężar przygniatał mnie do ziemi i czułem, że lada chwila barki załamią mi się pod tą górą żalu.

Owego październikowego dnia, kiedy siedziałem pod wiśniami i patrzyłem, jak Benny idzie do domu się zdrzemnąć, nie przeczuwałem, jakiej ciężkiej próbie zostaną w niedalekiej przyszłości poddane moje zasady i moja niezależność. Rozpierała mnie duma, że uwolniłem syna od bożonarodzeniowych mrzonek o Świętym Mikołaju. Pysniłem się w duchu pewnością, że kiedy Benny dorośnie, podziękuję mi za to rygorystycznie racjonalistyczne wychowanie, jakie odebrał.

Kiedy Hal Sheen oświadczył, że powrócił na łono Kościoła katolickiego, pomyślałem, że stroi sobie ze mnie żarty. Po pracy poszliśmy na koktajl do baru hotelowego nieopodal naszego biura. Sądziłem, że zaprosił mnie tu, aby uczcić jakieś wielkie zlecenie, które dla nas załatwił.

–Mam ci coś do powiedzenia – oświadczył tajemniczo tego ranka. – Spotkajmy się w Regency na drinku o szóstej, dobra?

Tymczasem zamiast ogłosić, że wybrano nas do zaprojektowania wyjątkowej budowli, która otworzy nowy rozdział legendy Fallon Sheen, poinformował mnie, że mniej więcej przez rok toczył wewnętrzną cichą dyskusję z samym sobą, po której ostatecznie porzucił ateizm, jakby to był jakiś zatęchły kokon, i powrócił do owczarni wierzących. Roześmiałem się i czekałem na puentę, a tymczasem on się tylko uśmiechnął. W tym uśmiechu było coś, może litość dla mnie, co mnie w mgnieniu oka przekonało, że mówił poważnie.

Dyskutowałem z nim spokojnie, potem mniej spokojnie. Wysztydziłem jego zapewnienia, że na nowo odnalazł Boga, i próbowałem go zawstydzić, tłumacząc, że wyzbył się dobrowolnie swojej intelektualnej godności.

–Uznałem, że człowiek może być zarazem intelektualistą i praktykującym chrześcijaninem, żydem czy buddystą – powiedział z irytującą powściągliwością.

–To niemożliwe!

Uderzyłem pięścią w stół, żeby podkreślić, że nie zgadzam się z tym zacofanym twierdzeniem. Zadzwonily szklanki z koktajlami i nieużywana popielniczka spadła na podłogę, co ściągnęło na nas uwagę innych gości.

–Popatrz na Malcolma Muggeridge’a – mówił Hal. – Albo CS. Lewisa, Isaaca Singera. To chrześcijanie i żydzi, i bezsprzecznie wybitni intelektualiści.

–Posłuchaj samego siebie! – odparłem zbulwersowany. – Ile razy ludzie rzucali te nazwiska? I wiele innych, kiedy dyskutowaliśmy z nimi o intelektualnej wyższości ateizmu. A ty do spółki ze mną udowadniałeś, jakimi głupcami w istocie rzeczy są wszyscy Muggeridge’owie, Lewisowie i Singerowie tego świata.

Wzruszył ramionami.

–Nie miałem racji.

–Tak po prostu?

–Nie, nie tak po prostu. Uwierz mi, Pete, cały rok spędziłem na czytaniu i rozmyślaniu. Długo i czynnie przeciwstawiłem się własnemu pragnieniu powrotu do wiary. I przegrałem.

–Z kim? Co za książdz propagandysta...

–Nie chodzi o żadnego człowieka, Pete. To była całkowicie wewnętrzna dyskusja. Nikt poza mną nie wiedział, że chwieję się na tej linii.

–A co takiego sprawiło, że zacząłeś się chwiać?

–No cóż, od kilku lat czułem, że moje życie jest puste...

–Puste? Jesteś młody i zdrowy, masz piękną i inteligentną żonę, znalazłeś się w czołówce najlepszych specjalistów w swoim zawodzie, wszyscy podziwiają twoje projekty architektoniczne za świeżość spojrzenia. I jesteś bogaty! I ty to nazywasz pustym życiem?

Skinął głową.

–Tak. Byłem pusty, ale nie mogłem zrozumieć dlaczego. Tak jak ty teraz poskladałem wszystko do kupy i wyszło, że powinienem być najbardziej spełnionym człowiekiem na świecie. A mimo to czułem się wydrażony i każdy następny projekt, który robiliśmy, sprawiał mi coraz mniej przyjemności. W końcu zdałem sobie sprawę, że nic, co zbudowałem, i nic, co jeszcze mogę zbudować, nie da mi satysfakcji, ponieważ wszelkie osiągnięcia są nietrwale. Och, jasne, każda budowla może stać i dwieście lat, ale nawet kilkaset lat to tylko ziarnko piasku w klepsydrze czasu. Konstrukcje z kamienia, stali i szkła nie trwają wiecznie, nie są, jak sądziliśmy kiedyś, świadectwem ludzkiego geniuszu. Wręcz przeciwnie: przypominają, że nawet nasze najbardziej monumentalne dzieła są kruche, że nasze największe dokonania mogą zostać w mgnieniu oka starte w proch przez trzęsienia ziemi, wojny, powódzie albo po prostu przez trwające tysiąclecia działanie słońca, wiatru i deszczu. Więc jaki to ma sens?

–Taki – przypomniałem mu ze złością – że wznosząc te budowle, coraz lepsze i piękniejsze, czynimy lepszym życie innych ludzi, zachęcamy ich, aby sami sięgali po wyższe cele, a potem razem z nami tworzyli lepszą przyszłość dla rodzaju ludzkiego.

–I jaki ma być ten koniec? – upierał się. – Jeśli nie ma żadnego życia po śmierci, jeśli każde życie nieodwołalnie kończy się w grobie, to los całego gatunku jest dokładnie taki sam jak los jednostki: śmierć, pustka, nicość. Nic nie powstanie z niczego. Nie możesz mówić o wyższych, szlachetnych celach całego gatunku, jeśli odmawiasz wyższego celu ludzkiemu duchowi. – Podniósł rękę, żeby powstrzymać moją replikę. – Wiem, wiem. Masz argumenty przeciwko temu twierdzeniu. W końcu sam cię wspierałem w naszych niezliczonych dyskusjach. Ale więcej już cię nie mogę wspierać, Pete. Uważam, że życie ma cel inny niż ono samo w sobie. I gdybym tak nie uważał, to rzuciłbym tę pracę i spędził resztę życia, bawiąc się i rozkoszując każdym bezcennym dniem, który mi jeszcze pozostał. Ponieważ jednak wierzę, że istnieje coś takiego jak dusza i że przetrwa ona po śmierci ciała, mogę nadal pracować w Fallon and Sheen, bo to jest moim przeznaczeniem, co znaczy, że osiągnięcia mają jakieś znaczenie. Mam nadzieję, że potrafisz to zaakceptować. Nie będę próbował cię nawracać. To jest pierwszy i ostatni raz, kiedy rozmawiam z tobą na temat swojej wiary, ponieważ szanuję twoje prawo do

niewierzenia. Uważam, że wszystko między nami może być jak dawniej.

Nie mogło. Dla mnie religia była chorobą, degeneracją umysłu i od tamtej pory nie czułem się swobodnie w obecności Hala. Udawałem, że nadal jesteście sobie bliscy, że nic się między nami nie zmieniło, ale w rzeczywistości czułem, że nie jest już tym samym człowiekiem.

Poza tym nowa wiara zaczęła się nieuchronnie odzwierciedlać w jego architektonicznych wizjach. W jego projekty wkradały się sklepienia i łukowate okna i przeróżne inne szczegóły, które na każdym kroku kierowały oko i umysł ku górze i niebu. Niektórzy klienci powitali tę zmianę z zadowoleniem, krytycy w prestiżowych pismach również ocenili ją wysoko, ale ja nie mogłem się z nią pogodzić, ponieważ według mnie odchodziła ona od naszej architektury, w której punktem centralnym był człowiek i która stanowiła o naszej oryginalności. Czternaście miesięcy po nawróceniu Hala odsprzedłem mu swoje udziały w spółce i założyłem własną firmę, wolną od jego wpływów.

–Hal – powiedziałem mu podczas naszego ostatniego spotkania – nawet w czasach, kiedy twierdziłeś, że jesteś ateistą, nie rozumiałeś, że nicości, która jest końcem życia, nie trzeba się bać ani się przeciw niej buntować. Trzeba ją zaakceptować z żalem jako fakt albo... cieszyć się z niej.

Ja się z niej cieszyłem, ponieważ nie musiałem się troszczyć o swoje życie pozagrobowe i odczuwałem to jako wyzwolenie. Jako niewierzący mogłem się bez przeszkód skupić na zdobywaniu nagród w tym świecie. Jedynym, jaki istnieje.

W nocy tego dnia, kiedy odebrałem Benny'emu wiarę w Świętego Mikołaja i kiedy Ellen powiedziała, że chętnie skopałaby mi tyłek, powiedziała coś jeszcze. Leżeliśmy po dwóch stronach wielkiego łóża z baldachimem, w pokoju skąpanym w blasku księżyca.

–Pete, opowiedziałeś mi wszystko o swoim dzieciństwie, poza tym poznałam twoją rodzinę, więc świetnie sobie wyobrażam, jak to musi być, kiedy się dorasta w takiej obłąkanej atmosferze. Rozumiem, dlaczego przeciwstawiasz się fanatyzmowi religijnemu zdeklarowanym ateizmem, ale czasami cię ponosi. Nie wystarczy ci, że jesteś ateistą, tak zawzięcie i za wszelką cenę próbujesz narzucić innym swoją filozofię, że zachowujesz się chwilami dokładnie tak jak twoi rodzice, tylko zamiast wciskania innym Boga ty im wciskasz bezbożność.

Podniosłem się na łokciach i popatrzyłem na zarys jej ciała pod przykryciem. Nie widziałem jej twarzy, bo leżała do mnie tyłem.

–To było wredne, Ellen.

–Ale to prawda.

–Nie jestem taki jak moi rodzice. Ani trochę. Ja nie próbuję mu wbijać ateizmu do głowy tak, jak oni wbijali mi Boga.

–To, co zrobiłeś mu dzisiaj, było tak samo okrutne jak bicie.

–Ellen, wszystkie dzieci w końcu dowiadują się prawdy o Świętym Mikołaju, a niektóre nawet jeszcze wcześniej niż Benny.

Odwróciła się do mnie. Widziałem w półmroku jej twarz wystarczająco wyraźnie, żeby zauważyć na niej gniew, ale niestety nie dość, żeby dojrzeć też miłość, chociaż wiedziałem, że również się tam kryje.

–Jasne, wszystkie dowiadują się prawdy o Świętym Mikołaju, ale do diabła, to nie ojcowie odzierają ich z marzeń!

–Nie odarłem go z marzeń, tylko przekonałem, że są nieprawdą.

–To nie jest student w klubie dyskusyjnym – zwróciła mi uwagę Ellen. – Nie możesz przekonywać siedmioletniego chłopca. Dzieci w tym wieku żyją emocjami i sercem. Słuchaj, po tej rozmowie z tobą Benny przyszedł do domu i poszedł prosto do swojego pokoju, a kiedy zajrzałam do niego godzinę później, on jeszcze nie przestał płakać.

–O rany, dobrze, rozumiem – powiedziałem.

–Płakał.

–Dobrze już, czuję się jak szmata.

–I słusznie.

–I przyznaję, że mogłem to rozegrać lepiej. Mogłem być delikatniejszy.

Ellen bez słowa odwróciła się do mnie tyłem.

–Ale nie zrobiłem nic złego – dodałem. – Wydawało nam się, że można obchodzić święta Bożego Narodzenia na sposób świecki, i to był błąd. Niewinne fantazje mogą prowadzić do fantazji, które przestają być niewinne.

–Och, zamknij się wreszcie – odparła Ellen. – Zamknij się i idź spać, zanim zapomnę, że cię kocham.

Kierowca ciężarówki, który zabił Ellen, próbował zarobić więcej pieniędzy, żeby kupić łódź. Był wędkarzem i najbardziej lubił trolling. Żeby sobie pozwolić na łódź, musiał wziąć dodatkową pracę, a żeby nie zasnąć za kierownicą, brał amfetaminę. Jechał peterbiltem – największym modelem, jaki produkują. Ellen jechała swoim niebieskim bmw. Zderzyli się czołowo.

Benny był zdruzgotany. Odłożyłem na bok wszystkie prace i zostałem z nim w domu przez cały lipiec. Potrzebował dużo ciepła, pociechy i delikatnej pomocy, żeby zaakceptować to nieszczęście. Ja też byłem w fatalnej formie, bo w Ellen miałem nie tylko żonę i kochankę, ale najsurowszego krytyka, mistrzynię, najbliższą przyjaciółkę i jedyną powiernicę. W nocy, kiedy leżałem samotnie w łóżku, wciskałem twarz w jej poduszkę, wdychałem resztki jej zapachu i płakałem. Przez całe tygodnie nie mogłem się zdobyć, żeby uprać tę poszewkę. Przy Bennym starałem się trzymać w garści, żeby dać mu przykład siły, której tak potrzebował.

Nie zgodziłem się na żaden pogrzeb. Ellen poddano kremacji, a jej prochy rozsypano na morzu.

Miesiąc później, pierwszej niedzieli sierpnia, kiedy obydwaj zaczęliśmy się niechętnie i ze smutkiem godzić ze stratą Ellen, przyszło do nas czterdzieścioro czy pięćdziesięcioro znajomych i krewnych, aby uczcić jej pamięć. Była to cicha i całkowicie świecka ceremonia, bez cienia religijnego obrzędu. Zebraliśmy się na patio przy basenie i tam ponad dwadzieścia osób wystąpiło po kolei i opowiadało zabawne historyjki o Ellen lub mówiło, jaki wpływ miała na ich życie.

Przez całą uroczystość trzymałem Benny'ego blisko siebie. Chciałem, żeby zobaczył, że jego mama była powszechnie kochana i wiele znaczyła dla innych ludzi, nie tylko dla mnie i dla niego. Miał dopiero osiem lat, ale wydawało się, że zgodnie z moimi oczekiwaniami ta świecka ceremonia przyniosła mu pociechę. Kiedy słuchał, jak wychwalano jego matkę, nie mógł powstrzymać łez, ale na jego twarzy i w jego oczach widziałem teraz nie tylko smutek. Był dumny z matki, śmiał się z żartów, które robiła znajomym i które teraz wspominali, z zaintrygowaniem słuchał o tych stronach jej życia, o których nie miał pojęcia. Z czasem te nowe uczucia musiały rozproszyć smutek i pomóc mu oswoić się ze stratą.

Nazajutrz po uroczystości wstałem dosyć późno. Kiedy wyszedłem poszukać Benny'ego, znalazłem go na podwórzu pod wiśnią. Siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę, rękami obejmował nogi i patrzył na drugi koniec rozległej doliny, w której mieszkaliśmy, ale jego wzrok zdawał się sięgać dużo dalej.

Usiadłem przy nim.

–Co u ciebie?

–W porządku – powiedział.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał. Nad naszymi głowami delikatnie szemrały liście. Jaskrawe, białoróżowe kwiaty dawno opadły i gałęzie obsypane były niedojrzałymi owocami. Dzień był gorący, ale drzewo rzucało dużo chłodnego cienia.

W końcu odezwał się Benny.

–Tatusiu.

–Tak?

–Czy tobie nie będzie...

–Co takiego?

–Ja wiem, co ty powiesz...

–O czym co powiem?

–O tym, że nie ma nieba ani aniołów, ani tego wszystkiego.

–To jest prawda, Benny, a nie tylko coś, co powiem.

–Ale ja i tak bym chciał... jeśli tobie to nie przeszkadza, chciałbym narysować mamusię w niebie, ze skrzydłami i w ogóle.

Wprawdzie minął miesiąc od śmierci Ellen, Benny nadal był jednak w kiepskim stanie. Potrzebował jeszcze wielu miesięcy, jeśli nie lat, żeby odzyskać pełną emocjonalną równowagę. Powstrzymałem się więc od gwałtownych komentarzy na temat głupoty wierzeń religijnych, chociaż tak bym zareagował w normalnej sytuacji. Milczałem przez chwilę, po czym odpowiedziałem:

–Wiesz co, daj mi nad tym pomyśleć kilka minut, dobrze? Siedzieliśmy obok siebie i patrzyliśmy na drugi koniec doliny, ale wiedziałem, że żaden z nas nie widzi krajobrazu, jaki ma przed oczami. Ja widziałem Ellen taką, jak wyglądała rok temu na czwartego lipca: w białych szortach, żółtej bluzce bawiła się talerzem ze mną i z Bennym, promienna, roześmiana. Nie wiem, co widział biedny Benny, podejrzewam, że w głowie wirowały mu jarmarczne obrazy nieba i aniołków z aureolami i złote schody pnące się do złotego tronu.

–To niemożliwe, żeby mamusi już zupełnie nie było – powiedział po chwili. – Była za dobra, żeby jej zupełnie nie było. Musi... gdzieś być.

–Ale tak to już jest, Benny. Owszem, jest gdzieś. Jest w tobie. Nosisz jej geny, to po pierwsze. Nie wiesz, co to są geny, ale ty je masz: jej włosy, oczy... A ponieważ była dobra i wpoila ci właściwe wartości, wyrośniesz na dobrego człowieka i kiedyś sam będziesz mieć

dzieci, i mama będzie żyła również w nich, a nawet w dzieciach twoich dzieci. Poza tym mama nadal żyje w naszych wspomnieniach i we wspomnieniach swoich przyjaciół. Ponieważ była miła dla wielu ludzi, oni w jakimś małym stopniu zostali ukształtowani przez jej dobroć. Od czasu do czasu będą ją wspominać i dzięki niej może staną się lepsi dla innych ludzi i tak dalej; w ten sposób dobroć mamy będzie żyła zawsze.

Benny słuchał z powagą, ale obawiam się, że niewiele zrozumiał z mojej koncepcji nieśmiertelności poprzez dziedzictwo krwi oraz nieosobowej nieśmiertelności poprzez związki moralne. Zastanawiałem się, jak mu to wytłumaczyć jeszcze raz, tak aby mogło to zrozumieć ośmioletnie dziecko, ale on się odezwał pierwszy.

–Nie – oświadczył. – To nie wystarczy. To miło, że dużo ludzi będzie ją wspominać, ale to nie wystarczy. To ona musi gdzieś być, nie jej wspomnienie. Musi gdzieś żyć, więc jeśli ci to nie przeszkadza, będę myślał, że jest w niebie.

–Nie, Benny, tak nie można. – Objąłem go ramieniem. – Synku, człowiek powinien śmiało patrzeć w oczy nawet nieprzyjemnej prawdzie...

Benny pokręcił głową.

–Nic jej nie jest, tatusiu. Wiem, że mamusia tak naprawdę nie umarła. I jest szczęśliwa.

–Benny...

Benny wstał i popatrzył w górę na drzewa.

–Niedługo będziemy mieli wiśnie?

–Benny, nie zmieniaj tematu. Musimy...

–Czy możemy pojechać na obiad do miasta? Do restauracji pani Foster na hamburgery z frytkami i coca-colą, a potem na deser lodowy?

–Benny...

–Możemy, możemy?

–No dobrze, ale...

–Ja prowadzę! – krzyknął i pobiegł w stronę garażu, śmiejąc się ze swojego żartu.

Przez cały następny rok Benny uparcie nie chciał przyjąć do wiadomości, że jego matka odeszła na zawsze. Z początku było to frustrujące, a z biegiem czasu coraz bardziej irytujące. Prawie co wieczór rozmawiał z nią w łóżku przed snem i najwyraźniej głęboko wierzył, że ona go słyszy. Niejednokrotnie, kiedy pocałowałem go na dobranoc i wyszedłem z pokoju, wstawał, klękał przy łóżku i modlił się, aby jego matka była szczęśliwa i bezpieczna tam, dokąd poszła.

Dwa razy podsłuchałem go przypadkiem. Zdarzało się też, że po wyjściu od niego z pokoju czekałem na korytarzu i kiedy myślał, że zszedłem na dół, korzył się przed Bogiem, o którym niczego nie wiedział poza tym, co potajemnie usłyszał w telewizji lub dowiedział się z innych ośrodków kultury masowej, do których dostępu nie mogłem kontrolować.

Postanowiłem go przeczekać. Byłem pewien, że ta dziecinna religijność wygaśnie w naturalny sposób, kiedy Benny się przekona, że Bóg mu nigdy nie odpowie. Z upływem czasu, kiedy nie otrzyma cudownego znaku od Boga, że dusza jego matki przeżyła śmierć, pomału zrozumie, że to, czego go uczyłem o religii, jest prawdą, i stopniowo powróci do królestwa rozumu, gdzie przygotowałem dla niego miejsce i gdzie cierpliwie nań czekałem. Nie chciałem mu mówić, że wiem o jego modlitwach, nie chciałem robić nic na siłę, bo wiedziałem, że reakcją na zbyt autorytarną władzę rodzicielską może być jeszcze silniejsze przywiązanie do irracjonalnych mrzonek o wiecznym życiu.

Kiedy jednak po czterech miesiącach jego wieczorne rozmowy ze zmarłą matką i Bogiem się nie skończyły, uznałem, że nie mogę dłużej tolerować w moim domu nawet szeptanych modlitw, bo choć rzadko je słyszałem, to wiedziałem, że są odmawiane, a sama myśl o nich doprowadzała mnie do szału tak samo, jak gdybym słyszał każde słowo. Wziąłem Benny'ego na rozmowę. Przekonywałem go wiele razy i na różne sposoby. Dyskutowałem z nim, błagałem go, zastosowałem nawet metodę kija i marchewki: karałem go za każdy przejaw religijnych uczuć i nagradzałem za najdrobniejszy antyreligijny komentarz, nawet jeśli był nieświadomy lub wręcz stanowił tylko moją interpretację tego, co powiedział. W efekcie często go karałem i rzadko nagradzałem.

Nie białem go ani nie stosowałem żadnych innych cielesnych kar, tyle przynajmniej można zapisać na moją korzyść. Nie próbowałem wybić mu z głowy Boga w taki sposób, w jaki moi rodzice usiłowali mi go do niej wbić.

Kiedy wszystko inne zawiodło, zabrałem Benny'ego do doktora Gettona, psychiatry.

–Ma trudności z zaakceptowaniem śmierci matki – powiedział lekarzowi. – Po prostu... sobie z tym nie radzi. Martwię się o niego.

Po trzech spotkaniach, które odbył z Bennym w ciągu dwóch tygodni, doktor Getton zadzwonił do mnie i powiedział, że nie musi się już z nim widywać.

–Nic mu nie będzie, panie Fallon. Nie musi się pan o niego bać.

–Nie ma pan racji – upierałem się. – Potrzebna mu psychoanaliza. On w dalszym ciągu sobie z tym wszystkim nie radzi.

–Już pan to mówił, panie Fallon, ale właściwie nigdy pan nie wyjaśnił, co dokładnie według pana świadczy o tym, że chłopiec sobie nie radzi? Co takiego robi, co pana niepokoi?

–Modli się – odrzekłem. – Modli się do Boga o bezpieczeństwo i szczęście swojej matki. I mówi do niej tak, jakby był przekonany, że ona go słyszy. Rozmawia z nią codziennie wieczorem.

–Och, panie Fallon, jeśli tylko to pana niepokoiło, to zapewniam, że nie ma powodu do obaw. Rozmawianie z matką, modlenie się za nią, to wszystko jest absolutnie normalne i...

–Codziennie przed spaniem! – powtórzyłem.

–Nawet dziesięć razy dziennie byłoby zupełnie normalne. Naprawdę nie ma w tym nic niezdrowego. Rozmawianie z Bogiem o matce i rozmawianie z matką w niebie... to po prostu psychologiczny mechanizm, który pozwala mu powoli przyzwyczaić się do tego, że nie ma jej już z nim tutaj, na ziemi. To zupełnie normalne.

–To nie jest zupełnie normalne w tym domu, panie doktorze. – Obawiam się że tym razem krzyknąłem w słuchawkę. – Jesteśmy ateistami!

Milczał przez chwilę, po czym westchnął.

–Panie Fallon, musi pan pamiętać, że pański syn jest nie tylko pańskim synem, ale również pełnoprawną osobą. Małą osobą, ale osobą w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie może go pan traktować jak swojej własności czy nieukształtowanego umysłu, który można dowolnie urabiać...

–Doktorze Getton, mam najwyższy szacunek dla ludzkiej indywidualności, dużo większy niż nawiedzeni piewcy hymnów, którzy mniej cenią bliźnich niż swojego wyimaginowanego Pana w niebiosach.

Tym razem milczał dłużej niż poprzednio, zanim w końcu powiedział:

–No dobrze, zatem z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że nie ma żadnej gwarancji, że pański syn będzie pod każdym względem taką samą osobą jak jego ojciec. Ma własne pragnienia i wyobrażenia. I jego wyobrażenia na temat religii mogą z czasem coraz bardziej różnić się od pańskich. Ów psychologiczny mechanizm, który na razie służy oswojeniu się ze śmiercią matki, może się okazać początkiem głębokiej wiary, która przetrwa całe życie. W każdym razie musi się pan liczyć z taką możliwością.

–Nie mam zamiaru – odparłem twardo. Tym razem doktor Getton milczał długo.

–Panie Fallon – powiedział w końcu – nie muszę się więcej widywać z Bennym. Nic więcej nie mogę dla niego zrobić, ponieważ w istocie rzeczy on niczego więcej ode mnie nie potrzebuje. Ale może dobrze by było, gdyby pan przyszedł do mnie na wizytę.

Odłożyłem słuchawkę.

Przez następnych sześć miesięcy Benny doprowadzał mnie do szału i rozpaczony swoimi uporczywymi fantazjami o niebie. Możliwe, że nie rozmawiał już co wieczór z matką i może nawet zapominał czasami o modlitwach, ale nic nie mogło złamać jego uporu w kwestii wiary. Kiedy mówiłem o ateizmie, kiedy drwiłem z Boga, kiedy próbowałem go przekonywać, mówił tylko: „Nieprawda, tatusiu, nie masz racji” albo „Wcale nie jest tak, jak mówisz” i po prostu odchodził albo zmieniał temat. Albo robił coś jeszcze bardziej irytującego – mówił: „Nie masz racji, tatusiu”, obejmował mnie małymi ramionkami, przytulał się do mnie mocno i mówił, że mnie kocha, a w jego głosie brzmiał tak wyraźny smutek, w dodatku zabarwiony litością, jakby się o mnie martwił i uważał, że to ja potrzebuję otuchy i przewodnictwa. Nic mnie tak nie złościło jak właśnie ten jego ton. Był zwyczajnym dziewięciolatkiem, do diabła, a nie jakimś guru!

Jako karę za rozmyślne lekceważenie moich życzeń zabraniałem mu oglądać telewizję przez wiele dni, a czasem nawet kilka tygodni. Nie dawałem mu deseru po obiedzie, a raz nie pozwoliłem mu bawić się z kolegami przez cały miesiąc. Nic nie działało.

Religia – choroba, która uczyniła z moich rodziców zimnych i ponurych obcych ludzi, choroba, która zamieniła moje dzieciństwo w koszmar, która odebrała mi najlepszego przyjaciela, Hala Sheena, kiedy się tego najmniej spodziewałem, ta sama religia wkradła się znów niczym robak do mojego domu. Zatrula mi syna – jedyną i najważniejszą osobę, która mi pozostała. To nie było żadne konkretne wyznanie, w końcu Benny nie pobierał nauk teologicznych, więc jego wyobrażenia o Bogu i niebie były, by tak rzec – ekumeniczne, z grubsza rzecz biorąc chrześcijańskie, ale tylko z grubsza. To była religia bez struktury, bez dogmatów czy doktryn, religia oparta wyłącznie na dziecięcych odczuciach. Mógłby ktoś powiedzieć, że to w ogóle nie była religia i że w związku z tym nie powinienem był się w ogóle przejmować. Ja jednak wiedziałem, że doktor Getton miał rację: ta dziecięca wiara była ziarnem, z którego z czasem mógł wyrosnąć dojrzały religijny światopogląd. Zarazek religii grasował po moim domu. Byłem przerażony i zrozpaczony, może nawet bliski obłędu, bo nie potrafiłem znaleźć na niego lekarstwa.

Dla mnie była to najczystsza groza, horror w najgorszej, przewlekłej postaci, nie ostrej i miłosiernie krótkiej jak wybuch bomby czy katastrofa lotnicza. To był horror chroniczny, ciągnący się dzień po dniu i tydzień po tygodniu.

Uważałem, że spadło na mnie najgorsze możliwe nieszczęście i że jest to najczarniejszy okres w moim życiu.

I wtedy Benny zachorował na raka kości.

Prawie dwa lata po śmierci Ellen w pewien wietrzny lutowy dzień byliśmy w parku nad rzeką i puszczaaliśmy latawiec. Benny biegł, rozwijając sznurek, i nagle upadł. Potem drugi raz i jeszcze kilka. Zapytałem, co się dzieje, a on powiedział, że boli go noga.

–Widocznie ją skręciłem, jak wchodziliśmy wczoraj z chłopakami na drzewa.

Przez kilka dni kazałem mu oszczędzać nogę, a kiedy zasugerowałem, że powinniśmy iść do lekarza, powiedział, że już się czuje lepiej.

Tydzień później leżał w szpitalu i przechodził badania, a po następnych dwóch dniach potwierdzono diagnozę: nowotwór kości. Ze względu na rozległość zmian operacja nie wchodziła w grę. Lekarze zarządzili natychmiastowe naświetlania i chemioterapię.

Benny stracił wszystkie włosy, schudł. Zrobił się taki blady, że każdego ranka bałem się na niego spojrzeć, bo mi się zdawało, że jeśli zblednie jeszcze odrobinę, stanie się przezroczysty, a kiedy będzie już tak przejrzysty jak szkło, stłucze się na moich oczach.

Po pięciu tygodniach jego stan się niespodziewanie poprawił, a choć nie była to remisja, poczuł się przynajmniej na tyle dobrze, że mógł wrócić do domu. Chemioterapię i naświetlania kontynuowano ambulatoryjnie. Teraz uważam, że poczuł się lepiej nie na skutek promieniowania czy leków cytostatycznych, ale po prostu dlatego, że chciał po raz ostatni zobaczyć kwitnące wiśnie. Ta przejściowa poprawa była aktem czystej woli, triumfem umysłu nad ciałem.

Z wyjątkiem jednego dnia, kiedy popadał drobny deszczyk, Benny siedział w fotelu pod gałęziami uginającymi się od kwiatów i rozkoszował się wiosenną zielenią doliny, przyglądał się figlującym wiewiórkom, które przybiegły z lasu podokazywać na naszym trawniku. Nie siedział na ogrodowym krześle, tylko w wygodnym fotelu, który wyniosłem mu z domu. Nogi kładł na pufie, ponieważ był chudziutki i bardzo wątły i od twardego krzesła porobiłyby mu się sińce.

Graliśmy w karty i chińskie warcaby, ale na ogół był za słaby, żeby się skupić przez dłuższy czas na grze, tak więc najczęściej po prostu siedzieliśmy i odpoczywaliśmy. Dużo rozmawialiśmy o przeszłości, o tych wielu radosnych chwilach, które miał w swoim krótkim dziesięcioletnim życiu, i o jego mamie. Ale dużo też milczeliśmy. Nigdy nie zapadało między nami niezręczne milczenie, czasami melancholijne, owszem, ale nigdy niezręczne.

Nie rozmawialiśmy o Bogu ani o aniołach stróżach, ani o niebie. Wiedziałem, że nie przestał wierzyć w jakieś lepsze miejsce, do którego po śmierci poszła jego matka, ale nigdy o tym nie mówił, podobnie jak nie wspominał też o swojej nadziei na własne życie po śmierci. Myślę, że unikał tego tematu z szacunku dla mnie oraz ponieważ nie chciał w te ostatnie dni wywoływać między nami żadnych tarć.

Zawsze będę mu wdzięczny za to, że nie wystawił mnie na tę próbę, bo obawiam się, że nawet wtedy, w jego ostatnie dni, mógłbym próbować go nakłonić do przyjęcia mojego racjonalistycznego światopoglądu, a tym samym zrobić z siebie jeszcze większego palanta niż dotąd.

Po dziewięciu dniach nastąpił nawrót choroby i Benny wrócił do szpitala. Zarezerwowałem półprywatny pokój z dwoma łózkami – dla niego i dla siebie.

Nowotwór dał przerzuty do wątroby, gdzie stwierdzono guz. Po operacji nastąpiła kilkudniowa poprawa, Benny był prawie radosny, po czym znów przyszło pogorszenie.

Komórki rakowe znaleziono w układzie limfatycznym i śledzionie; wszędzie też były guzy.

Jego stan się poprawiał, to znów pogarszał, poprawiał i pogarszał. Każda poprawa dawała jednak mniej otuchy niż poprzednia, a każde pogorszenie było coraz głębsze.

Byłem bogaty, inteligentny i zdolny. Zdobyłem sławę w swoim fachu. I nie mogłem absolutnie nic zrobić, żeby pomóc własnemu synowi. Nigdy w życiu nie czułem się taki mały i bezsilny.

Mogłem przynajmniej być silny dla Benny'ego. Przy nim starałem się zachować pogodę ducha. Nie pozwoliłem, żeby zobaczył, jak płaczę, ale płakałem po cichu w nocy, zwinięty jak embrion, bezradny jak dziecko, podczas gdy on leżał w drugim końcu pokoju pogrążony w niespokojnym śnie pod wpływem środków nasennych. W dni, kiedy był na zabiegach lub na badaniach albo na operacji, siedziałem i wyglądałem przez okno, i niczego nie widziałem.

Zupełnie jakby ktoś rzucił alchemiczne zaklęcie, świat się zrobił nagle szary. Nie widziałem wokół siebie żadnego koloru, równie dobrze mogłem wtedy żyć w starym, czarno-białym filmie. Cienie nabrały ostrości i intensywności. Powietrze też poszarzało, jakby skażone niewidzialną mgłą. Głosy rozmywały się w dźwiękowy odpowiednik szarości. Kilka razy włączyłem telewizor albo radio, ale w muzyce nie mogłem dosłyszeć melodii. Mój wewnętrzny świat był tak samo szary jak świat dookoła, niewidoczna, lecz wyczuwalna toksyczna mgła, która zatrula wszystko na zewnątrz, przeniknęła mnie do szpiku kości.

Nawet jednak w najgłębszej rozpaczce nie zszedłem ze ścieżki rozumu, nie zwróciłem się do Boga o pomoc, nie oskarżałem go o torturowanie niewinnego dziecka. Nie brałem nawet pod uwagę szukania rady u kaznodziejów czy pomocy u religijnych uzdrowiaczy.

Wytrwałem.

Nikt by mnie nie winił, gdybym zblądził i zaczął szukać pocieszenia w zabobonach. W ciągu niespełna dwóch lat rozstałem się ze swoim najlepszym przyjacielem, straciłem żonę w wypadku samochodowym i patrzyłem, jak mój syn umiera na raka. Od czasu do czasu słyszy się o ludziach, których spotyka taki ciąg nieszczęść, czasami czyta się o nich w gazetach. Dziwnym trafem opowiadają zawsze o tym, jak cierpienie doprowadziło ich do Boga i jak odnaleźli spokój w wierze. Kiedy o nich czytacie, robi się wam smutno, budzi się w was współczucie i

możecie im nawet wybaczyć nierozumną religijną egzaltację. Rzecz jasna szybko wyrzucacie ich z myśli, bo wiecie, że i was mogłoby spotkać takie samo pasmo nieszczęść, a nikt nie lubi zbyt długo myśleć o takich sprawach. Ja musiałem nie tylko o tym myśleć, ale i to przeżywać, nawet jednak wtedy nie zламаłem swoich zasad.

Stałem w obliczu pustki i zaakceptowałem ją.

Po bolesnej i zaskakująco długiej i zażartej walce z nowotworem złośliwym, który go zżerał żywcem, Benny zmarł w końcu pewnej sierpniowej nocy. Dwa dni wcześniej przewieźli go na oddział intensywnej opieki medycznej i wolno mi było siedzieć przy nim tylko przez piętnaście minut co dwie godziny. Ostatniej nocy jednak wezwano mnie z poczekalni i pozwolono mi pobyc z nim przez kilka godzin, ponieważ było jasne, że nie zostało mu już dużo czasu.

W prawą rękę miał wkłuty wenflon z kroplówką, do nosa dochodziły rurki respiratora. Był również podłączony do elektrokardiografu, który śledził pracę serca zieloną linią świetlną na monitorze stojącym przy łóżku, i każde uderzenie odliczał delikatnym pikaniem. Co jakiś czas linie i pikania gubiły rytm i przez trzy lub cztery minuty zachowywały się chaotycznie.

Trzymałem Benny'ego za rękę i gładziłem spocone włoski na czole. Przykrywałem go pod szyję, kiedy miał dreszcze i odkrywałem, kiedy dreszcze ustępowały miejsca gorączce.

Na przemian tracił i odzyskiwał świadomość, ale nawet gdy był przytomny, nie zawsze mówił spójnie i przytomnie.

–Tatusiu?

–Słucham, Benny.

–Czy to ty?

–Tak, to ja.

–Gdzie jestem?

–W łóżku. Bezpieczny. Jestem z tobą, Benny.

–Czy kolacja już gotowa?

–Jeszcze nie.

–Chciałbym hamburgery z frytkami.

–Dobrze, będziemy jeść hamburgery.

–Gdzie są moje buty?

–Nie potrzebujesz dzisiaj butów, Benny.

–Myślałem, że idziemy na spacer.

–Dzisiaj nie.

–Aha.

Westchnął i znów odpłynął.

Na dworze padał deszcz. Krople stukwały o okna i spływały strumieniami po szybach. Burza potęgowała szarość, która owładnęła światem.

Okolo północy Benny obudził się zupełnie przytomny. Wiedział dokładnie, gdzie jest, kim ja jestem i co się dzieje. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się. Próbował się nieco unieść, ale był za słaby, żeby dźwignąć głowę.

Wstałem z krzesła, podszedłem i wziąłem go za rączkę.

–Popatrz no tylko na te wszystkie kable... lekarze chyba mają zamiar zastąpić kilka twoich narządów częściami z robota.

–Nic mi nie będzie – powiedział słabym, drżącym głosem, w którym brzmiała dziwna i poruszająca pewność.

–Chcesz kawałek lodu do possania?

–Nie. Chciałbym...

–Co takiego, Benny? Co tylko zechcesz.

–Boję się, tatusiu.

W gardle mnie ścisnęło, przestraszyłem się, że stracę nad sobą kontrolę, a za wszelką cenę chciałem nad sobą panować podczas tych długich tygodni jego choroby. Przełknąłem ślinę.

–Nie bój się, Benny, jestem z tobą. Nie musisz...

–Nie, nie, tatusiu – przerwał mi. – Ja się nie boję o siebie... tylko o ciebie.

Myślałem, że znowu majaczy, i nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Ale on nie majaczył i w następnych kilku słowach wytłumaczył mi boleśnie jasno, co ma na myśli.

–Chcę, żebyśmy wszyscy... byli znowu razem... jak kiedyś, zanim mamusia umarła. Ale boję

się, że ty... nas nie znajdziesz.

Reszta tego wspomnienia jest dla mnie prawdziwą udręką. Byłem tak opętany myślą, żeby wytrwać przy swoim ateizmie, że nie mogłem się nawet zdobyć na nieszkodliwe kłamstwo, aby ulżyć synowi w jego ostatnich minutach. Gdybym mu tylko obiecał, że zacznę wierzyć, że odszukam go w tym drugim świecie, odszedłby na wieczny spoczynek szczęśliwy. Ellen miała rację, kiedy nazwała to obsesją. Ścisnąłem go mocniej za rączkę, zamrugałem, żeby powstrzymać łzy, i uśmiechnąłem się.

–Bo jeśli nie będziesz wierzył, że możesz nas odszukać – mówił dalej – to boję się, że nas nie znajdziesz.

–Wszystko w porządku, Benny – powiedziałem uspokajająco.

Pocałowałem go w czoło, w policzek, a potem długo go tuliłem, próbując wynagrodzić mu to, czego odmówiłem: obietnicy wiary.

–Tatusiu... gdybyś tylko... poszukasz nas?

–Nic ci nie będzie, Benny.

–...tylko proszę... poszukaj nas...

–Kocham cię, Benny, kocham cię z całego serca.

–...Jeśli nas poszukasz... to nas znajdziesz.

–Kocham cię, kocham cię, Benny.

–...jak nie... nie znajdziesz...

–Benny, Benny...

Szare światełko elektrokardiografu padło na szarą pościel i szarą twarz mojego synka.

Szary deszcz spływał po szarych szybach. Benny zmarł, kiedy go przytulałem.

Niespodziewanie na świat wróciły kolory – o wiele za dużo kolorów, bardzo intensywnych, wręcz przytłaczających. Jasny brąz otwartych, niewidzących oczu Benny'ego był najczystszy, najostrzejszy i najpiękniejszy brązem, jaki w życiu widziałem. Jasnoniebieskie ściany oddziału intensywnej opieki medycznej nie były z gipsu, lecz z wody; miałem uczucie, jakbym tonął w niespokojnym morzu. Zielony kolor jablek, którym świecił monitor elektrokardiografu, jarzył się, aż bolały oczy. Zwalily się na mnie ściany błękitnej wody. Słyszałem kroki pielęgniarek i lekarzy, którzy nadbiegali, nie otrzymawszy odczytów telemetrycznych od swojego małego pacjenta, ale zanim przybiegli, porwał mnie błękitny przyływ i poniósł w głębokie błękitne prądy.

Zamknąłem firmę. Wycofałem się z rozmów na temat nowych zleceń, a rozpoczęte inwestycje przekazałem jak najszybciej innym firmom, które znałem i cenilem i które zaakceptowali moi klienci. Wypląciłem pracownikom duże odprawy i w miarę możliwości pomogłem im znaleźć nową pracę.

Ulokowałem pieniądze w obligacjach i tradycyjnych lokatach, które wymagały jak najmniejszego nadzoru. Kusilo mnie, żeby sprzedać dom, ale po namyśle postanowiłem go tylko zamknąć i wynająć dozorcę, który by się nim zajmował pod moją nieobecność.

Kilka lat później niż Hal Sheen doszedłem do tego samego wniosku co on – że żadne pomniki wykonane ręką ludzką nie są warte wysiłku włożonego w ich wzniesienie. Najpotężniejsze gmaszyska z kamienia i stali są w istocie rzeczy żalonymi marnościami, na dłuższą metę pozbawionymi wszelkiego znaczenia. Z perspektywy nieskończonego, zimnego wszechświata, w którym biliony gwiazd świecą na dziesiątki bilionów planet, nawet piramidy egipskie okazują się kruche niczym figurki origami. W ciemnym świetle entropii i śmierci nawet heroiczne czyny i dzieła geniuszu wydają się zwykłą głupotą.

Równie nietrwale jak ludzkie pomniki z kamienia są więzy rodzinne i związki przyjaźni. Powiedziałem kiedyś Benny'emu, że po śmierci żyjemy w pamięci i genetycznym dziedzictwie, w przejawach dobroci, która wzbudza dobroć w innych ludziach. Wszystko to teraz wydawało mi się równie niematerialne jak kształty uformowane z dymu ulatującego na wietrze.

W przeciwieństwie do Hala Sheena jednak nie szukałem pocieszenia w religii. Żaden cios nie był dość silny, aby skruszyć moją obsesję.

Myślałem kiedyś, że mania na punkcie religii jest największym przekleństwem człowieka, sam jednak znalazłem teraz gorsze: przekleństwo ateisty, który nie potrafi wierzyć w Boga i nagle przestał również wierzyć w wartość ludzkich zmagania i ludzkiej odwagi, a w związku z tym nie potrafi znaleźć sensu w niczym – ani w pięknie, ani w przyjemnościach, ani nawet w najdrobniejszym akcie dobroci.

Spędziłem jesień na Bermudach. Kupiłem dwudziestometrowy sportowy jacht Cheoy Lee i nauczyłem się żeglować. Samotnie opłynąłem Karaiby, od jednej wyspy do drugiej. Niekiedy przez wiele dni z rzędu włókłem się na ćwierć gwizdka, wtapiając się w rytm życia archipelagu, a zaraz potem ogarniała mnie szaleńcza potrzeba, żeby ruszyć z kopyta i przestać trwonić czas, wtedy pędziłem na złamanie karku z silnikami wyjącaymi na najwyższych obrotach, jak gdyby miało jakieś znaczenie, czy w ogóle gdzieś dobiję i kiedy.

Kiedy znudzili mi się Karaiby, popłynąłem do Brazylii, ale w Rio atrakcji wystarczyło mi na kilka dni. Zamieniłem się w bogatego włóczęgę, przenosiłem się z jednego luksusowego hotelu do drugiego, z jednego końca świata na drugi: Hongkong, Singapur, Stambuł, Paryż, Ateny, Kair, Nowy Jork, Las Vegas, Acapulco, Tokio, San Francisco. Szukałem czegoś, co by nadało

memu życiu sens, chociaż w trakcie tych poszukiwań miałem niezachwianą pewność, że niczego takiego nie znajdę.

Przez kilka dni myślałem, że poświęcę życie hazardowi. W przypadku rządzącym rozdawanymi kartami czy wirującą tarczą ruletki dostrzegłem niepokromiony przejaw losu. Rzucając się w wir głębokiej rzeki przypadkowości, sądziłem, że odnajdę harmonię z bezcelowym chaosem wszechświata i w ten sposób odzyskam spokój. W niespełna tydzień wygrywałem i traciłem fortuny, aż w końcu odszedłem od zielonych stolików uboższy o sto tysięcy dolarów. To była tylko drobna część tego, co mogłem przegrać, ale przez te kilka dni zrozumiałem, że zanurzając się w otchłani przypadku i ślepego trafu, również nie ucieknę od myśli o znikomości życia i wszystkiego, co ludzkie.

Wiosną wróciłem do domu, żeby umrzeć. Nie jestem pewien, czy miałem się zamiar zabić. Może wierzyłem, że straciwszy wolę życia, mogę się po prostu położyć w znajomym miejscu i oddać się śmierci, nie podnosząc na siebie ręki. Tak czy inaczej chociaż nie wiedziałem, jak to zrobić, nie miałem wątpliwości, że moim celem jest umrzeć.

Dom w okręgu Bucks pełen był bolesnych wspomnień o Ellen i Bennym i kiedy wszedłem do kuchni i zobaczyłem przez okno dwie wiśnie na podwórzu, serce mi się ścisnęło jak w imadle. Drzewa płonęły tysiącem białoróżowych kwiatów.

Benny kochał wiśnie, kiedy tak promieniały, i widok kwitnących gałęzi przywołał jego wspomnienie tak gwałtownie i wyraziście, że poczułem się, jakby ktoś mnie dźgnął nożem. Przez chwilę opierałem się o kuchenny blat i nie mogłem oddychać. Wreszcie złapałem powietrze i zapłakałem.

Po jakimś czasie wyszedłem na podwórze i stałem, patrząc na pięknie przystrojone gałęzie. Benny nie żył prawie od dziewięciu miesięcy, ale drzewa, które kochał, rosły nadal i w jakiś sposób, którego nie potrafiłem do końca zrozumieć, ich trwanie znaczyło, że małeńka cząstka Benny'ego również nadal żyła. Próbowałem zrozumieć tę zwariowaną myśl...

...gdy nagle kwiaty opadły. Nie kilka i nie setki – w ciągu jednej minuty na ziemię spadł każdy kwiat, który trzymał się na gałęzi. Obracałem się w kółko zdumiony i zdezorientowany, bo stałem w samym środku wirującej kwietnej śnieżycy. Płatki kwiatów unosiły się tak gęsto jak płatki śniegu w czas zamieci. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Kwiaty nie opadają z drzew tysiącami, wszystkie naraz, do tego w bezwietrzny dzień.

Kiedy to niesamowite zjawisko się skończyło, zdjąłem kwiaty z ramion i włosów i przyjrzałem im się z bliska. Nie były zwiędnięte ani uschnięte, nie nosiły też żadnych śladów choroby.

Podniosłem głowę i popatrzyłem w górę. Na drzewie nie ostał się ani jeden płatek.

Serce mi waliło.

Wokół moich stóp kwiaty zaczęły się lekko wzbijać w słabym zachodnim wietrzyku.

–Nie – powiedziałem, tak przerażony, że bałem się nawet pomyśleć, czemu zaprzeczam.

Odwróciłem się od drzew i pobiegłem do domu, z moich włosów i z ubrania opadały ostatnie płatki.

W bibliotece, gdy wyjmowałem z barku butelkę jacka danielsa, zdałem sobie sprawę, że w ręku nadal ściskam kwiaty wiśni. Cisnąłem je na podłogę i wytarłem dłoń o spodnie, jakbym trzymał w niej coś wstrętnego.

Poszedłem do sypialni z whisky w ręku i upiłem się do nieprzytomności. Nie odważyłem się nawet przed samym sobą przyznać, dlaczego właściwie musiałem sięgnąć po alkohol. Wmawiałem sobie, że to nie ma nic wspólnego z wiśniami, że piję, aby uciec od rozpaczyny ostatnich kilku lat. Moja obsesja była twarda jak diament.

Spałem jedenaście godzin i obudziłem się z okropnym kacem. Łyknąłem dwie aspiryny, po czym poszedłem pod prysznic i stałem piętnaście minut pod gorącą wodą, a potem minutę pod zimną. Wytarłem się energicznie, wziąłem jeszcze dwie aspiryny i poszedłem do kuchni, żeby sobie zrobić kawę.

Przez okno nad zlewem zobaczyłem wiśnie przystrojone w białe kwiecie.

Halucynacje, pomyślałem z ulgą. Wczorajsza zamieć kwiatów była zwykłym przywidzeniem.

Wybiegłem na dwór, żeby się przyjrzeć drzewom. Na soczysto-zielonej trawie pod wiśniami leżało tylko kilka białych płatków, tyle akurat, ile mogło opaść na łagodnym wiosennym wietrze.

Z ulgą, ale też dziwnie rozczarowany wróciłem do kuchni. Kawa się już zaparzyła. Kiedy nalewałem ją do filiżanki, przypomniałem sobie kwiaty, które cisnąłem wieczorem na podłogę w bibliotece.

Wypiłem dwie filiżanki mocnej kolumbijskiej kawy, zanim zdobyłem się na to, żeby pójść do biblioteki. Na podłodze leżała kupka zgniecionych płatków, które przez noc pożółkły i lekko zbrązowiały na brzegach. Podniosłem je i zacisnąłem dłoń.

–W porządku – powiedziałem sobie, drżąc na całym ciele – nie musisz wierzyć w Chrystusa ani w Boga Ojca, ani w jakiegoś bezcielesnego Ducha Świętego.

Religia jest chorobą.

Nie, nie, nie musisz wierzyć w żadne głupie obrzędy, dogmaty czy doktryny. Nie musisz w ogóle wierzyć w Boga, żeby wierzyć w życie po śmierci.

To irracjonalne, to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

Nie, poczekaj, pomyśl tylko: Czy to takie niemożliwe, żeby życie po śmierci było zgodne z prawami natury? Nie żaden boski dar, tylko zjawisko naturalne? Gąsienica żyje swoim życiem, a potem przekształca się i żyje drugi raz jako motyl. No to co, do diabła, czy to by było takie absurdalne, żeby nasze ciała stanowiły stadium gąsienicy, po którym duch ulatuje do innego życia, kiedy już nie potrzebuje ciała? Ludzka metamorfoza może być po prostu wyższą formą takiego samego przekształcenia, jak gąsienicy w motyla.

Powoli, z lękiem, a zarazem nadzieją przeszedłem przez dom, wyszedłem tylnymi drzwiami na podwórze i stanąłem pod wiśniami. Pod ukwieconymi gałęziami otworzyłem dłoń z wczorajszymi płatkami kwiatów.

–Benny? – powiedziałem zdumionym tonem.

Wtedy znowu spadł na mnie deszcz kwiatów. Z obydwu drzew gęsto sypały się białe płatki i leniwie spływały na trawę, czepiając się moich włosów i ubrania.

Obracałem się w kółko z zapartym tchem.

–Benny? Benny?

W ciągu minuty ziemia pokryła się białym całunem i znów na drzewie nie pozostał ani jeden kwiatek.

Zacząłem się śmiać, ale był to nerwowy śmiech, który w każdej chwili mógł się przerodzić w obłąkańczy chichot. Nie panowałem nad sobą.

Nie do końca pewny, czemu właściwie mówię na głos, powiedziałem:

–Cholera, ale mam pietra.

Kwiaty uniosły się w powietrze, nie kilka czy kilkadziesiąt, ale wszystkie, i poszybowały z powrotem na gałęzie, z których przed chwilą opadły. To była prawdziwa śnieżycą do góry nogami. Mięciutkie płatki ocierały mi się o policzki.

Znów się roześmiałem i śmiałem się niepowstrzymanie, ale cały strach niespodziewanie ze mnie opadł i tym razem był to dobry śmiech.

Minutę później drzewa na powrót stały okryte białym kwieciem i nic się nie poruszało.

Benny nie wcielił się bynajmniej w drzewo. Tego byłem pewien. To, co się wydarzyło, nie bardziej potwierdzało pogańskie wierzenia niż tradycyjny światopogląd chrześcijański. Ale Benny nie odszedł na zawsze. Był tam gdzieś i kiedy nadejdzie mój czas, aby udać się również tam, gdzie się udali Ellen i Benny, muszę tylko wierzyć, że mogę ich odnaleźć, a na pewno ich znajdę.

Trzask, jaki się rozległ, kiedy się rozpadała w gruzy moja obsesja, musiał być słyszalny nawet w Chinach.

Przyszedł mi do głowy pewien cytat z H. G. Wellsa. Przez wiele lat podziwiałem jego utwory, ale nigdy dotąd nic, co napisał, nie wydawało mi się takie prawdziwe jak te słowa, które przypomniały mi się wówczas pod kwitnącą wiśnią.

„Przeszłość jest tylko początkiem początku, wszystko, co jest i było, to nic innego jak brzask świtu”.

Mówił, rzecz jasna, o historii i o długiej przyszłości, którą ma przed sobą ludzkość, ale słowa te mogły się równie dobrze odnosić do śmierci i tajemniczych powtórných narodzin, które po niej następują. Człowiek może żyć nawet i sto lat, ale i wówczas jego życie będzie jedynie

pierwszym brzaskiem świtu.

–Och, Benny – powiedziałem.

Nie spadł już na ziemię ani jeden kwiatek, nigdy też więcej przez całe długie lata swego życia nie otrzymałem żadnego innego znaku. Bo też go nie potrzebowałem.

Od tamtego dnia wiedziałem, że śmierć nie jest końcem i że po drugiej stronie spotkam się na powrót z Ellen i Bennym.

A co z Bogiem? Czy istnieje? Nie wiem. Chociaż już od dziesięciu lat wierzę w jakieś życie po śmierci, nie zostałem żadnym praktykującym wierzącym. Ale jeśli w chwili śmierci przejdę na tę drugą stronę i On tam będzie na mnie czekał, nie bardzo mnie to zaskoczy. Wrócę do niego równie chętnie i radośnie, jak do Ellen i Benny'ego.

Chase

1971

W 1971 nie był sławny Bruce Springsteen ani Tom Cruise, który chodził wtedy do szkoły. Julia Roberts nie odwiedzała w snach młodych mężczyzn. Robin Williams, Steve Martin, Arnold Schwarzenegger – ich losy się jeszcze nie rozstrzygnęły.

Prezydentem Stanów Zjednoczonych był Richard Milhous Nixon. Wrzała wojna w Wietnamie. W Wilmington w Karolinie Północnej w styczniu doszło do prześladowań czarnych obywateli – podpaleń, zamachów bombowych, strzelaniny. W zakładzie penitencjarnym w Attice w stanie Nowy Jork najkrwawszy bunt więźniów w historii Stanów Zjednoczonych pochłonął czterdzieści trzy ofiary.

Na listach bestsellerów królowały *Wichry wojny* Hermana Wouka oraz *Another Roadside Attraction* Toma Robinsa.

Filmy: *Francuski łącznik*, *Mechaniczna pomarańcza*, *Kłute*, *Porozmawiajmy o kobietach*, *Ostatni seans filmowy*.

Muzyka: Carole King, John Denver, John Lennon jako solista, Led Zeppelin, rozpoczynający karierę Elton John.

Sprzedaż papierosów w Stanach Zjednoczonych przekroczyła pięćset czterdzieści miliardów. W wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat zmarł J.C. Penny. W ciągu tych dwunastu miesięcy w wyniku represji rządowych zginęło w gułagach pół miliona obywateli Związku Radzieckiego.

To były inne czasy. Inny świat.

Nie znano określenia seryjny morderca ani socjopata.

O siódmej przy stoliku ustawionym na podeście dla gościa honorowego podano Benowi Chase'owi niesmaczną kolację z pieczonej wołowiny, podczas gdy z obu stron nie przestawali do niego mówić rozmaici dygnitarze, sapiąc mu w niedojezoną salatkę owocową.

O ósmej burmistrz zaczął recytować nudny panegiryk ku czci najslawniejszego bohatera wojny wietnamskiej w mieście. Pół godziny potem przedstawił wreszcie Chase'a, odczytując ze specjalnego zwoju długą listę jego chwalebnych czynów, i na koniec jeszcze raz powtórzył, że miasto jest z niego dumne.

W podarunku od Stowarzyszenia Kupców Chase otrzymał również kluczyki do nowego mustanga kabrioletu. Tego się nie spodziewał.

O wpół do dziesiątej Benjamin Chase został uroczyście wyprowadzony z restauracji Iron Kettle na parking, gdzie czekał jego nowy samochód – ośmiocylindrowa gabłota w sportowej wersji, z automatyczną skrzynią biegów, dźwignią wbudowaną w podłogę, anatomicznymi siedzeniami, bocznymi lusterkami, białymi bieżnikami i odjazdowo błyszczącym czarnym lakierem, z którym ostro kontrastowały wyścigowe pasy na masce i bagażniku.

Dziesięć po dziesiątej, zakończywszy sesję zdjęciową dla fotoreporterów lokalnej gazety z burmistrzem oraz członkami Stowarzyszenia Kupców, wyraziwszy wdzięczność wszystkim obecnym, Chase odjechał swoim nowiutkim podarunkiem.

Dwadzieścia po dziesiątej minął podmiejskie osiedle domków jednorodzinnych, zwane Ashside, prując ponad sto sześćdziesiąt na godzinę na terenie, gdzie obowiązywało ograniczenie do sześćdziesiątki. Na czerwonym świetle przejechał skrzyżowanie z trzypasmową Galasio Boulevard, wziął zakręt z taką prędkością, że na chwilę stracił panowanie nad samochodem i przewrócił znak drogowy.

O wpół do jedenastej wjechał na stromy odcinek Kanackaway Ridge Road i postanowił sprawdzić, czy uda mu się dojechać z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę aż do samego szczytu. To była niebezpieczna gra, ale Benowi nie zależało na życiu.

Może dlatego, że silnik był niedotarty, a może po prostu samochód nie był przystosowany do takiej jazdy, w każdym razie nie jechał tak, jakby Ben sobie życzył. Mimo że wciskał gaz do dechy, prędkościomierz pokazywał tylko sto trzydzieści na godzinę, a minął dopiero połowę wzniesienia. Kiedy dotarł na szczyt, strzałka opadła do stu dziesięciu.

Zdjął nogę z gazu, bo chwilowo gniew się w nim wypalił, i pozwolił opływowej maszynie mknąć gładko po czarnej nawierzchni przecinającej grzbiety wzgórz nad miastem.

W dole rozciągał się widok z grą świateł, która mogła poruszyć serca kochanków. Po lewej stronie drogi wznosiła się lita skała, ale za prawym poboczem ciągnął się pięćdziesięciometrowy pas trawnika i parku z rzadka porośnięty zaroślami, który oddzielał drogę od żelazno-betonowej barierki na krawędzi przepaści. Dalej w dole ulice miasta wyglądały jak miniaturowa elektroniczna mapa ze światełkami zagęszczającymi się w okolicach centrum miasta oraz wokół centrum handlowego Gateway Mail.

W to miejsce na szczycie wzniesienia Kanackaway zwykli przyjeżdżać kochankowie, głównie nastolatki. Oddzielały ich od siebie kępy sosen i gąszcze jeżyn. To estetyczne upodobanie młodzieży do olśniewającej panoramy miasta przekładało się w większości wypadków i kilkanaście razy na noc na upodobanie zgoła cielesne.

Kiedyś nie inaczej było z Chase'em.

Zjechał na pobocze, zahamował i zgasił silnik. Z początku cisza wydawała się głęboka i niezmacona. Potem usłyszał świerszcze i pohukiwanie sowy gdzieś w pobliżu i od czasu do czasu stłumione śmiechy młodych ludzi dobiegające zza pozamykanych szyb samochodów.

Dopóki nie usłyszał tego śmiechu, nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, czemu tu właściwie przyjechał. Przytłoczyli go ci kupcy, burmistrz i cała reszta. Nie miał ochoty na ten bankiet ani tym bardziej na samochód, poszedł tylko dlatego, że nie znalazł żadnej uprzejmej wymówki. Patrząc na ich domowej roboty patriotyzm i lukrowaną wizję wojny, poczuł przygniatający ciężar, jakby się dusił. Może to była wina przeszłości, którą dźwigał na barkach, świadomość, że kiedyś on też był tak samo naiwny jak oni. W każdym razie kiedy się wreszcie od nich uwolnił, popędził w to jedyne miejsce w całym mieście, które budziło przyjemne wspomnienia, przedmiot nieustannych żartów – aleję kochanków na szczycie Kanackaway.

Tym razem jednak od ciszy, która tu panowała, zachciało mu się krzyczeć. Przyjemne wspomnienia też nie okazały się tak bardzo przyjemne, bo nie przyjechał tu z dziewczyną, a zresztą nawet gdyby przyjechał, to też by niewiele zmieniło.

Wzdłuż ciemnej ściany parku stało kilka samochodów wciśniętych między drzewa i zarośla. W zderzakach i szybach odbijało się światło księżyca. Gdyby nie znalazł powodu tych pielgrzymek, pomyślałby, że wszystkie te pojazdy zostały tu po prostu porzucone. Zaparowane szyby zdradzały jednak całą prawdę.

Od czasu do czasu w którymś samochodzie poruszył się cień, zniekształcony przez skroploną parę na szybach. Poza tymi sylwetkami oraz liśćmi dygocącymi na wietrze wiejącym z gór nic się nie ruszało.

Nagle coś się oderwało od skalnej ściany po lewej stronie drogi, przemknęło po asfalcie i stopiło się z mrokiem pod ogromną wierzbą płaczącą rosnącą mniej więcej trzydzieści metrów przed samochodem Chase'a. Chociaż cień poruszał się zwinnie niczym przestraszone zwierzę, był bez najmniejszej wątpliwości człowiekiem.

W Wietnamie Chase nauczył się instynktownie wyczuwać zbliżające się niebezpieczeństwo i teraz odezwał się jego sygnał ostrzegawczy.

Samotny mężczyzna przemykający nocą pieszo nie należał w alei kochanków do zjawisk zwyczajnych. Dla nastoletnich kochanków samochód był przenośnym łóżkiem, rekwizytem zalotów i atrybutem uwodziciela tak nieodzownym, że żaden współczesny casanova nie odniósłby bez niego zwycięstwa.

Możliwe oczywiście, że ów dziwny intruz zabawiał się w podchodzenie par ku własnej uciezce, a ich zakłopotaniu. Chase sam kilka razy padł w liceum ofiarą takich zabaw. Była to jednak na ogół rozrywka niedojrzałych lub społecznie nieprzystosowanych osobników, którzy sami nie mieli okazji, aby się znaleźć w środku samochodu, czyli w centrum wydarzeń. O ile Chase wiedział, dorośli nie oddawali się takim rozrywkom. Tymczasem człowiek przekradający się w mroku miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i robił wrażenie dorosłego mężczyzny, jego ruchom brakowało typowej młodszej niezgrabności. Poza tym w polowania na Kanackaway zabawiały się zwykle całe grupki niedorostków, aby nie narazić się na pobicie przez zaskoczonych kochanków. Kłopoty.

Nieznajomy wybiegł spod wierzby zgięty wpół. Zatrzymał się przy gąszczu jeżyn i zaczął obserwować trzyletniego chevroleta zaparkowanego na samym końcu, tuż przy barierce.

Chase nie miał pojęcia, co się dzieje, i nie bardzo wiedział, co robić. Odwrócił się, zdjął osłonkę lampki wewnętrznej, po czym wykręcił żaróweczkę i schował ją do kieszeni marynarki. Kiedy znów popatrzył przez przednią szybę, facet stał w tym samym miejscu w gąszczu jeżyn i nie spuszczał oka z chevroleta. Wyglądało na to, jakby zupełnie mu nie przeszkadzały kolce.

Rozległ się śmiech jakiejś dziewczyny, jej głos niósł się wyraźnie w nocnym powietrzu. Widocznie niektórym kochankom było za gorąco za zamkniętymi oknami.

Mężczyzna zrobił parę kroków w stronę chevroleta.

Chase wysiadł po cichu z mustanga, bo podejrzany osobnik stał niecałe pięćdziesiąt metrów od niego. Zostawił otwarte drzwiczki, żeby trzaśnięcie nie spłoszyło intruza. Obszedł samochód dookoła. Świeżo skoszona trawa była wilgotna i śliska.

W chevroletcie zapaliło się światło, rozproszone przez zaparowane szyby. Ktoś krzyknął, a potem rozległ się wrzask dziewczyny.

Do tej pory Chase szedł powoli, teraz, kiedy doszły go wyraźne odgłosy walki, ruszył biegiem. Kiedy dopadł do chevroleta, zobaczył, że drzwiczki kierowcy są otwarte, a nieznajomy siada na przednim siedzeniu, wymachując rękami. W środku poderwały się cienie, potem opadły i skoczyły na mlecznobiałe szyby.

–Nie ruszaj się! – krzyknął Chase za plecami napastnika.

Mężczyzna wysiadł z samochodu, w uniesionej ręce trzymał nóż. Zarówno broń, jak i dłoń były poplamione krwią.

Chase pędem przebiegł ostatnie dwa metry, dopadł napastnika i grzmotnął nim o nadwozie. Zacisnął mu przedramię na szyi i wykręcił rękę do tyłu.

Dziewczyna cały czas krzyczała.

Wykręconą ręką nieznajomy zamachnął się w tył, próbując dźgnąć Chase'a nożem w udo. Amator. Chase uchylił się przed ciosem i jeszcze mocniej zacisnął ramię na tchawicy intruza.

Dookoła rozległy się dźwięki uruchamianych silników. Zamieszanie rozbudziło nagle wyrzuty sumienia nastoletnich kochanków. Nikt nie miał ochoty sprawdzać, co się stało.

–Rzuć to – polecił Chase. Chociaż napastnikowi musiało brakować powietrza, zamiast rzucić nóż, zamachnął się w tył jeszcze raz i znowu chybił.

Chase wpadł we wściekłość. Szarpnął faceta w górę, podciągnął go na palce i zacisnął ramię

tak mocno, że z powodzeniem mógł go pozbawić przytomności. Wtedy jednak pośliznął się na zdradliwej, mokrej trawie i poleciał do tyłu, a na niego runął przeciwnik. Tym razem trafił Chase'a w udo tuż pod biodrem. Ben szarpnął nieznajomym i odrzucił go na bok. Nóż został w ranie.

Napastnik dźwignął się na nogi i zrobił kilka kroków w stronę Chase'a, jakby chciał odzyskać broń, ale widocznie zrozumiał, że ma do czynienia z groźnym przeciwnikiem, i uciekł.

–Zatrzymajcie go! – krzyknął Chase.

Większość samochodów już jednak odjechała. Dzieciaki, które jeszcze zostały, zareagowały na to wezwanie tak, jak ci, których spłoszyły ich pierwsze okrzyki: zapaliły się światła, ryknęły silniki, zapiszczały opony. W ciągu kilku chwil w alei kochanków zostały tylko dwa samochody: Chevrolet i mustang Chase'a.

Ból w nodze był przejmujący, ale setki razy w życiu Chase znosił silniejszy. W świetle bijącym z chevroleta widać było, że rana jest płytka, a krew nie tryska, tylko sączy się powoli, więc żadna tętnica nie została uszkodzona. Podniósł się i stwierdził, że z pewnym trudem może chodzić.

Podszedł do samochodu, zajrzał do środka i natychmiast pożałował swojej ciekawości. Ciało młodego mężczyzny – dziewiętnasto-, dwudziestoletniego – leżało rozciągnięte częściowo na siedzeniu, częściowo na podłodze. Był cały we krwi, usta miał otwarte, a oczy zaszkłone.

Za nim zwinięta w kłębek przy drzwiach z drugiej strony płakała drobna brunetka, rok lub dwa lata młodsza od swego zamordowanego kochanka. Ścisnęła dłońmi kolana tak mocno, że drobne palce wyglądały jak szpony zaciśnięte na upolowanej zwierzynie. Miała na sobie różową minispódniczkę i nic więcej – ani bluzki, ani biustonosza. Małe piersi były poplamione krwią, a sutki sterczały naprężone.

Chase zastanawiał się, dlaczego z całej tej makabrycznej sceny ten ostatni szczegół najbardziej utkwil mu w pamięci. Spodziewał się po sobie czegoś lepszego. Przynajmniej były czasy, kiedy spodziewałby się po sobie czegoś lepszego.

–Poczekaj tam – powiedział Chase od drzwi kierowcy. – Pójdę po ciebie od drugiej strony.

Dziewczyna milczała i tylko dalej płakała.

Chase zaczął odruchowo zamykać drzwi, ale uprzytomnił sobie, że zgasi w ten sposób światło w kabinie i zostawi dziewczynę w ciemnościach sam na sam ze zwłokami kochanka. Obszedł samochód dookoła, podpierając się o karoserię, żeby odciążać prawą nogę, po czym otworzył drzwiczki z drugiej strony.

Te dzieciaki najwyraźniej nie uznawały zamków. Był to prawdopodobnie przejaw optymizmu tego pokolenia, część ich teorii wolnej miłości, wiary we wzajemne zaufanie i braterstwo.

Chcieli żyć taką pełnią życia, że jeszcze trochę i zaprzeczyliby istnieniu śmierci.

Ich pokolenie. Chase był od nich zaledwie kilka lat starszy, ale nie uważał się za członka tego pokolenia, jak zresztą żadnego innego. Płynął sam w całym strumieniu czasu.

–Gdzie twoja bluzka? – zapytał.

Nie wpatrywała się już jak zahipnotyzowana w zwłoki, ale też nie patrzyła na Chase'a. Wbiła wzrok w swoje kolana, w zbiegające kły i mamrotała coś pod nosem.

Chase pogrzebał ręką na podłodze pod nogami dziewczyny i znalazł zwiniętą bluzkę.

–Lepiej to włóż – powiedział.

Dziewczyna ani drgnęła, tylko mruzczyła coś niezrozumiale.

–No, chodź – rzekł jak najłagodniej. Zabójca mógł się nadal kręcić gdzieś w pobliżu. Dziewczyna zaczęła mamrotać coraz szybciej i jakby wyraźniej, chociaż nadal bardzo cicho. Chase pochylił się, żeby ją zrozumieć.

–Proszę, nie rób mi krzywdy, proszę, nie rób mi krzywdy – usłyszał.

–Nic ci nie zrobię – zapewnił ją, prostując się. – To nie ja zabiłem twojego chłopaka. Ale człowiek, który to zrobił, może gdzieś tu być. Z tyłu stoi mój samochód. Proszę, pójdziesz ze mną?

Zamrugnęła, pokiwała głową i wyszła z samochodu. Podał jej bluzkę. Rozłożyła ją i strzepnęła, ale jakby nie potrafiła jej włożyć. Nadal była w szoku.

–Możesz się ubrać w moim samochodzie – zaproponował Chase. – Tam będzie bezpieczniej.

Mrok pod drzewami był gęstszy niż wcześniej.

Objął ją ramieniem i pomógł dojść do mustanga. Drzwi od strony pasażera były zamknięte, zaprowadził ją więc z drugiej strony, usadowił, po czym sam usiadł obok. Dziewczyna jakby nieco oprzytomniała, wsunęła rękę w jeden rękaw, potem w drugi i wreszcie powoli zapięła bluzkę.

Kiedy Chase zamknął drzwi i zapalił samochód, zapytała:

–Kim jesteś?

–Przypadkowym przechodniem. Zobaczyłem tego drania i pomyślałem, że coś jest nie tak.

–On zabił Mike'a – odrzekła głucho.

–To był twój chłopak?

Nie odpowiedziała, tylko gryzła wargę i z roztargnieniem rozmazywała na policzku krople krwi.

–Pojedziemy gdzieś do telefonu albo od razu na policję. Nic ci nie jest? Nie potrzebujesz lekarza?

–Nie.

Chase zawrócił i pomknął z powrotem Kanackaway Ridge Road tak samo szybko. Wziął zakręt na pełnym gazie, aż dziewczynę rzuciło na drzwi.

–Zapnij pas – poradził.

Zrobiła, jak kazał, ale nadal wpatrywała się nieprzytomnie przed siebie, na drogę, która uciekała im pod kołami.

–Kto to był? – zapytał Chase, kiedy dojechali do skrzyżowania na Galasio Boulevard i przejechali tym razem na zielonym świetle.

–Mike – odpowiedziała.

–Nie, nie chodzi mi o twojego chłopaka.

–Co?

–Ten drugi.

–Nie wiem – mruknęła.

–Widziałaś jego twarz? Zmarszczyła czoło.

–Jego twarz?

–Tak.

–Twarz – powtórzyła, jakby nie rozumiejąc słowa.

–Brałaś coś? – zapytał.

–Coś?

–Narkotyki?

–Wcześniej paliliśmy trochę trawy.

Może jednak więcej niż trochę, pomyślał. Spróbował jeszcze raz.

–Widziałaś jego twarz? Rozpoznałaś go?

–Twarz? Nie. Tak. Nie bardzo. Trochę.

–Może to twój dawny przyjaciel albo jakiś odrzucony konkurent, coś w tym rodzaju.

Nie skomentowała jego sugestii. Wobec jej wyraźniej niechęci do rozmowy Chase miał czas, żeby przemyśleć sytuację. Przypominał sobie, jak zabójca schodził ze skały, i próbował wywnioskować, czy facet wiedział od razu, którego samochodu szuka, czy też było mu wszystko jedno; czy był to jakiś akt zemsty, wymierzony konkretnie w Mike'a, czy dzieło szaleńca. Zanim jeszcze Chase'a wyprawiono za morze, w gazetach roilo się od informacji o absurdalnych rzeziach popełnianych bez widocznego motywu. Od powrotu z Wietnamu nie czytał gazet, ale podejrzewał, że takie bezsensowne morderstwa nie skończyły się nagle same z siebie.

Wytrąciła go z równowagi myśl, że mogło to być takie właśnie bezcelowe zabójstwo. Podobieństwo do Wietnamu, do operacji „Jules Verne”, w której brał udział, wywołało złe wspomnienia.

Piętnaście minut po tym, jak wyjechali z alei kochanków, Chase zaparkował samochód przed posterunkiem policji przy Kensington Avenue.

–Dobrze się czujesz? Na tyle, żeby z nimi rozmawiać? – zapytał dziewczynę.

–Z gliniarzami?

–Tak.

Wzruszyła ramionami.

–Chyba tak.

Zadziwiająco szybko doszła do siebie. Odzyskała nawet tyle przytomności umysłu, żeby wyjąć Chase'owi z kieszeni grzebień i uczesać włosy.

–Jak wyglądam?

–Dobrze.

Może lepiej żyć bez kobiety niż umrzeć i zostawić po sobie taką, która będzie cię tak krótko oplakiwać?

–No to chodźmy – rzucił.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu. Jej długie nogi błyskały spod króciutkiej spódniczki.

Otworzyły się drzwi i do małego szarego pokoju wszedł mały szary mężczyzna. Twarz miał pooraną zmarszczkami, a oczy zapadnięte, jakby od kilku dni nie spał. Jasnobrązowe włosy były potargane i wymagały strzyżenia. Podeszedł do stołu, przy którym po drugiej stronie siedział Chase z dziewczyną, i zajął jedyne wolne krzesło. Oklapł na nim tak, jakby już nigdy więcej miał nie wstać.

–Jestem detektyw Wallace.

–Milo mi pana poznać – rzekł Chase, chociaż wcale mu nie było miło.

Dziewczyna w milczeniu oglądała paznokcie.

–No dobrze, to o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Wallace, splatając dłonie na porysowanym stole i patrząc na nich zmęczonym wzrokiem, jakby słyszał ich historię dziesiątki razy.

–Opowiedziałem prawie wszystko sierżantowi dyżurnemu – powiedział Chase.

–On nie jest z wydziału zabójstw – odparł Wallace.

–Ktoś powinien tam pojechać. Ciało...

–Już wysłaliśmy samochód. Sprawdzamy wasze doniesienie. Zwykle sprawdzamy takie informacje, nie zawsze, ale na ogół tak. Więc mówicie, że ktoś został zamordowany?

–Jej chłopak. Nożem – wyjaśnił Chase.

Wallace przyjrzał się dziewczynie, która cały czas wpatrywała się w swoje paznokcie.

–Czy ona nie potrafi mówić?

–Może jest jeszcze w szoku.

–Od ilu dni? – zażartował Wallace.

Jego brak delikatności wprawił Chase'a w zakłopotanie.

–Potrafię mówić – odezwała się dziewczyna.

–Jak się pani nazywa?

–Louise.

–Louise, a dalej?

–Allenby. Louise Allenby.

–Mieszka pani w mieście?

–W Ashside.

–Ile ma pani lat?

Widać było, że rozzłościło ją to pytanie, szybko jednak stłumiła złość i wróciła do oglądania paznokci.

–Siedemnaście.

–Chodzi pani do liceum?.

–Skończyłam w czerwcu – odrzekła. – Jesienią idę do college’u stanowego.

–Kim był chłopak?

–Mike.

–I tyle?

–Co tyle?

–Po prostu Mike? Jak Liberace? Jak Picasso? Mike i koniec?

–Michael Karnes – powiedziała.

–Czy to był dla pani tylko chłopak, czy byliście zaręczeni?

–Chłopak, ale to było poważne. Chodziliśmy ze sobą ponad rok.

–Co robiliście na Kanackaway Ridge Road? – zainteresował się Wallace.

Dziewczyna spojrzała mu śmiało w oczy.

–A jak pan myśli?

Chociaż znudzony ton Wallace’a był irytujący, obojętność dziewczyny również drażniła Chase’a do tego stopnia, że miał wielką ochotę pozbyć się jej jak najszybciej.

–Detektywie – wtrącił się – czy to naprawdę konieczne? Dziewczyna nie była w to zamieszana. Myślę, że facet zabilby ją w następnej kolejności, gdybym go nie powstrzymał.

–A co pan tam w ogóle robił? – zapytał Wallace.

–Po prostu przejechałem – odparł Chase. W oczach detektywa błysnęło zaniepokojenie.

–Jak się pan nazywa?

–Benjamin Chase.

–Tak mi się zdawało, że gdzieś pana widziałem. – Detektyw zdecydowanie się ożywił, a ton jego głosu wyraźnie złagodniał. – Pańskie zdjęcie było dzisiaj w gazecie.

Chase skinął głową.

–To było naprawdę coś, co pan tam zrobił – ciągnął Wallace. – Do czegoś takiego trzeba mieć jaja.

–To nie wyglądało aż tak, jak to opisali – odrzekł Chase.

–No jasne – powiedział Wallace tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że jego zdaniem czyny Chase’a w Wietnamie musiały być jeszcze bardziej heroiczne, niż to przedstawiły gazety.

Dziewczyna spojrzała na Chase’a z nowym zainteresowaniem i przyglądała mu się teraz otwarcie.

Gdy Wallace się do niej zwrócił, jego ton też uległ zmianie.

–Chce mi pani opowiedzieć, co się wydarzyło? Relacjonując zdarzenia w alei kochanków, Louise straciła nieco swojego niesamowitego spokoju. Dwukrotnie Chase myślał, że się rozplacze, i nawet chciał, żeby to zrobiła. Ciarki go przechodziły, kiedy widział jej opanowanie tuż po krwawej tragedii. Może jednak nadal była w szoku i w ogóle nie przyjmowała do wiadomości tego, co się stało. Powstrzymała łzy i kiedy kończyła opowieść, była już znów całkiem spokojna.

–Widziała pani jego twarz? – zapytał Wallace.

–Tylko przelotnie – prychnęła.

–Może go pani opisać?

–Nie bardzo.

–Proszę spróbować.

–Miał brązowe oczy, chyba.

–Wąsy? Broda?

–Chyba nie.

–Długie bokobrody czy krótkie?

–Zdaje się, że krótkie.

–Jakieś blizny?

–Nie.

–A w ogóle coś szczególnego?

–Nie.

–Kształt twarzy...

–Nie.

–Co „nie”?

–Po prostu twarz bez szczególnego kształtu.

–Włosy? Gęste czy może lysiał?

–Nie pamiętam.

–Kiedy ją znalazłem, była w szoku – wtrącił się Chase. – Wątpię, żeby dużo zapamiętała.

Louise, zamiast okazać mu wdzięczność, spojrzała na niego gniewnie. Chase zrozumiał. Dla osoby w jej wieku to był najgorszy wstyd – stracić luz i wpaść w histerię. Chase zdradził jej chwilowe załamanie, i to w dodatku przed gliniarzem. Niewiele czuła teraz dla niego wdzięczności, mimo że uratował jej życie.

Wallace wstał.

–Chodźcie – mruknął.

–Dokąd? – zainteresował się Chase.

–Pojedziemy tam.

–Czy ja też muszę? – spytał Chase.

–Muszę mieć wasze zeznania, i to dużo bardziej szczegółowe niż te, które złożyliście teraz. Byłoby dobrze, gdyby opowiedział pan jeszcze raz dokładnie całą historię, kiedy znajdziemy się na miejscu zbrodni. To nie zajmie wiele czasu. Dłużej będziemy potrzebowali panny Allenby.

Chase siedział na tylnym siedzeniu radiowozu Wallace'a mniej więcej dziesięć metrów od miejsca zbrodni i odpowiadał na pytania, kiedy przyjechał samochód z ekipą „Press-Dispatch”. Ze środka wysiadło dwóch fotografów i dziennikarz. Dopiero teraz Chase uprzytomnił sobie, że na miejscu zdarzenia musiały się pojawić lokalne media. Zrobią z niego bohatera mimo woli. Znowu.

–Jeśli to możliwe – powiedział – wolałbym, żeby dziennikarze się nie dowiedzieli, że to ja pomogłem dziewczynie.

–Czemu?

–Mam trochę dosyć dziennikarzy – odparł Chase.

–Ale przecież uratował jej pan życie – zauważył Wallace. – Powinien być pan z tego dumny.

–Nie chcę z nimi rozmawiać – upierał się Chase.

–Jak pan sobie życzy. Ale i tak się dowiedzą, kto przeszkodził mordercy, bo to będzie w raporcie.

Gdy Wallace zakończył przesłuchanie i Chase miał właśnie wysiąść z samochodu, poczuł na ramieniu dłoń dziewczyny.

–Dziękuję panu – powiedziała, kiedy się do niej odwrócił. Może to była tylko gra jego wyobraźni, ale zdawało mu się, że dłoń przesunęła się po jego ramieniu pieszczotliwie i znacznie dłużej, niżby to wynikało ze zwyczajnej wdzięczności. Wzdrygnął się na samą myśl, co to mogło oznaczać. Spojrzał jej w oczy, a potem szybko odwrócił wzrok.

W tej samej chwili błysnął flesz fotoreportera. Światło rozbłysło na ułamek sekundy, ale to zdjęcie miało go prześladować do końca życia.

Kiedy wracał do miasta, policjant, który go wiozł, oświadczył, że nazywa się Don Jones, że czytał o nim w gazetach i że chciałby dostać jego autograf dla dzieci. Chase złożył podpis na odwrocie czystego formularza raportu wydziału zabójstw i na prośbę Jonesa dopisał na początku „Dla Ricka i Judy Jonesów”. Policjant wypytywał go dużo o Wietnam, ale Chase odpowiadał tak zdawkowo, jak tylko pozwalała na to grzeczność.

Gdy się wreszcie znalazł z powrotem w swoim nowiutkim mustangu, pojechał do domu, ale tym razem wolniej niż poprzednio. Wyparował z niego cały gniew, zostało tylko bezbrzeżne znużenie.

Piętnaście po pierwszej w nocy zajechał pod dom pani Fielding i z ulgą stwierdził, że światła są pogaszone. Najciszej, jak mógł, otworzył stary, zardzewiały zamek i starannie omijając

każdą trzeszczącą deskę, wszedł na poddasze do swojego mieszkania, które składało się z garderoby, łazienki i jednego wielkiego pokoju służącego jednocześnie za salon, kuchnię i sypialnię.

Zaniknął za sobą drzwi. Teraz dopiero poczuł się bezpiecznie. Wiedział doskonale, że nigdy więcej nie będzie naprawdę bezpieczny. Nikt nigdy nie jest bezpieczny; bezpieczeństwo to złudzenie.

Dobrze chociaż, że dzisiaj wieczorem upiekła mu się grzecznościowa pogawędka z panią Fielding, wdzięczącą się kokieteryjnie w swojej niedopiętej podomce odsłaniającej białe, galaretowate zarysy piersi. Nigdy nie mógł pojąć, jak kobieta w tym wieku może być tak wyzywająco nieskromna.

Rozebrał się. Umył twarz i ręce. Ściśle mówiąc, umył ręce trzy razy. Ostatnio bardzo często to robił.

Obejrzał dość powierzchowną ranę od noża na udzie. Krew już zakrzepła i rana zaczęła się zasklepiać. Umył ją, polał alkoholem, przyłożył opatrunek z merthiolatem i zabandażował.

W pokoju dokończył kuracji szklaneczką jacka danielsa z dwoma kostkami lodu. Ze szklanką w ręku położył się na łóżku. Zwykle wypijał pół butelki dziennie, co najmniej, ale dzisiaj ze względu na przekłęty bankiet starał się być trzeźwy. No, ale teraz już nie musiał.

Pijąc, na powrót poczuł się oczyszczony. Sam na sam z butelką dobrego trunku – tylko w takich chwilach czuł się naprawdę czysty.

Kiedy nalewał sobie drugą szklankę, zadzwonił telefon.

Wprowadzając się na poddasze pani Fielding, Chase nie chciał montować telefonu. Był pewien, że nikt nie będzie do niego dzwonił, a on nie miał ochoty utrzymywać kontaktów z ludźmi. Pani Fielding jednak nie wierzyła, że Chase może się obyć bez telefonu. Obawiała się, że przyjdzie jej biegać na górę i robić za posłańca, postawiła więc warunek: jeżeli chce wynająć pokój, musi założyć telefon.

To było na długo przedtem, zanim się dowiedziała, że jest bohaterem wojennym. Nawet on jeszcze o tym nie wiedział.

Przez wiele miesięcy telefon wisiał bezużytecznie, wyjąwszy sytuacje, kiedy pani Fielding dzwoniła z dołu, żeby mu powiedzieć, że przyszedł do niego list, lub żeby go zaprosić na obiad.

Dopiero od oświadczenia Białego Domu, od całego zamieszania, jakie wywołano wokół jego medalu, zaczęły się telefony. No ogół dzwoniłi rozmaici nieznajomi z gratulacjami, na które nie zasługiwał, lub z prośbami o wywiad na temat jakiejś publikacji, której nie czytał. Zwykle ich odprawiał. Jak dotąd nikt nie wykazał takiego tupetu, żeby dzwonić do niego w środku nocy, niemniej Chase podejrzewał, że nie uda mu się już odzyskać tej spokojnej samotności, do

której przywykł w ciągu kilku pierwszych miesięcy po powrocie z Wietnamu.

Postanowił nie odbierać i skupić się na alkoholu, ale kiedy telefon zadzwonił po raz szesnasty, zrozumiał, że dzwoniący jest uparty i nie da się zlekceważyć.

–Halo – odebrał.

–Chase?

–Tak.

–Znasz mnie?

–Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą.

W głosie mężczyzny brzmiało zmęczenie, ale poza tym jednym szczegółem Chase nie potrafił powiedzieć o swoim rozmówcy nic więcej. Mógł mieć dwadzieścia lat albo sześćdziesiąt, mógł być gruby albo chudy, wysoki albo niski.

–Jak twoja noga, Chase?

Tym razem w głosie mężczyzny zadźwięczało rozbawienie, chociaż Chase nie rozumiał, co go tak bawiło.

–Dziękuję, dobrze – odparł.

–Niezły jesteś w walce wręcz.

Chase nie odpowiedział, nie mógł wydobyć głosu. Dopiero teraz zrozumiał, z kim rozmawia.

–Naprawdę, bardzo dobry – powtórzył zabójca. – Pewnie nauczyłeś się tego w wojsku.

–Tak – potwierdził Chase.

–Pewnie wielu rzeczy nauczyłeś się w wojsku i pewnie myślisz, że potrafisz sobie poradzić w każdej sytuacji, co?

–Czy to ty? – zapytał Chase.

Mężczyzna się roześmiał, a z jego głosu w mgnieniu oka znikło zmęczenie.

–Tak, to ja. Masz absolutną rację: jestem mną. Wiesz, Chase, mam paskudnie poobijane gardło i rano będę strasznie chrypiał. Poza tym jednym szczegółem wyszedłem z całej awantury bez szwanku, mniej więcej tak jak ty.

Chase'owi stanął przed oczami moment szarpaniny przy chevrolecie tak wyraźnie, jak to się

zdarza tylko w chwilach poważnego zagrożenia. Próbował odtworzyć w pamięci również twarz zabójcy, ale nie udało mu się, podobnie jak nie udało mu się to w czasie zeznań na policji.

–Skąd wiedziałeś, że to byłem ja? – zapytał.

–Widziałem twoje zdjęcie w gazecie. Jesteś bohaterem wojennym, wszędzie pełno twoich zdjęć. Poznałem cię, kiedy leżałeś na ziemi obok noża, i szybko się stamtąd zmyłem.

–Kim jesteś?

–Naprawdę sądzisz, że ci powiem?

Chase całkiem zapomniał o swoim drinku. W głowie dzwoniły mu dzwonki alarmowe – przekłete dzwonki ryczały na cały regulator.

–Czego chcesz?

Nieznajomy milczał tak długo, że Chase już chciał powtórzyć pytanie, ale wtedy tamten się odezwał i tym razem z jego głosu znikło wszelkie rozbawienie.

–Wtrąciłeś się w coś, w co nie miałeś się prawa wtrącać. Nie wiesz, ile sobie zadałem trudu, żeby wybrać odpowiednie cele spośród tych wszystkich młodych cudzołożników, żeby wybrać tych, którzy najbardziej zasługiwali na śmierć. Planowałem wszystko przez kilka tygodni i wymierzyłem temu młodocianemu grzesznikowi należyłą karę. Zdzira przeżyła, bo ją uratowałeś, zanim zdążyłem wypełnić swój obowiązek. Uratowałeś dzirę, która nie miała prawa przeżyć. To nie był dobry uczynek.

–Masz źle w głowie – powiedział Chase.

Zdał sobie sprawę, jak absurdalnie i nieadekwatnie to zabrzmiało, ale wytrąciło go z równowagi to, że zabójca, podobnie jak cały współczesny świat, opowiada na jego temat wyświechtane frazesy.

Morderca jednak nie usłyszał albo udał, że nie słyszy tego, co powiedział Chase.

–Chciałem cię tylko poinformować, Chase, że to nie koniec. Nie jesteś narzędziem sprawiedliwości.

–I co to ma niby znaczyć?

–Jeszcze się z tobą policzę, Chase. Zbadam twoją przeszłość, osądzę cię i wydam sprawiedliwy wyrok. A potem, kiedy ty już za wszystko zapłacisz, zajmę się tamtą dziwką.

–Zajmiesz się? – powtórzył Chase.

Ten eufemizm przypomniał mu podobne słowne uniki, z którymi miał do czynienia na co dzień

w Wietnamie. Poczul się nagle dużo starszy i dużo bardziej zmęczony niż chwilę temu.

–Zabiję cię, Chase. Ukarzę cię za wszystkie grzechy, jakich się w życiu dopuściłeś, ponieważ ośmieliłeś się ingerować w oczywistą kolej rzeczy. Nie jesteś narzędziem sprawiedliwości. – Przerwał. – Rozumiesz? – zapytał po chwili.

–Nie bardziej niż wszystko inne.

–To wszystko, co masz do powiedzenia?

–A co mam więcej mówić? – zdziwił się Chase.

–Jeszcze z tobą porozmawiam.

–I po co to wszystko?

–Sprawiedliwości trzeba pomagać – odrzekł morderca i rozłączył się.

Chase odłożył słuchawkę i oparł się o wezglowie łóżka. Poczul w ręku coś zimnego, popatrzył w dół i ze zdziwieniem zobaczył szklankę whisky. Podniósł ją do ust. Była lekko gorzka. Zamknął oczy. Jak łatwo się nie przejmować.

A może jednak wcale nie tak łatwo? Gdyby to rzeczywiście było takie łatwe, odstawiłby na bok whisky i poszedł spać. Albo zamiast czekać, aż przyjdzie po niego morderca, sam strzeliłby sobie w łeb.

Jak łatwo się przejmować. Otworzył oczy. Musi zdecydować, co zrobić z tym telefonem. Policję na pewno ta rozmowa zainteresuje, bo to całkiem solidny trop i może pomóc szukać człowieka, który zabił Michaela Karaesa. Prawdopodobnie założyliby podsłuch w jego aparacie, licząc, że morderca znowu zadzwoni, zwłaszcza że to obiecał. Kto wie, może by nawet przysłali policjanta i kazali mu u niego nocować, i zaczęliby za nim lazić, żeby go chronić i przyszpilić przestępcę.

Nie palił się dzwonić do detektywa Wallace'a. Przez ostatnie kilka tygodni, od kiedy rozeszła się wieść, że przyznano mu Medal of Honor, całe życie Chase'a zostało wywrócone do góry nogami. Bardzo cierpiał z tego powodu. Przywykł do samotności, przerywanej jedynie rozmową ze sprzedawcami w sklepie i panią Fielding, która wynajmowała mu mieszkanie. Rano jechał do miasta i jadł śniadanie w barze Woolwortha. Potem kupował w kiosku kilka tanich książek, jakieś czasopisma, byle nie codzienne gazety. Robił niezbędne drobne zakupy, dwa razy w tygodniu również w sklepie monopolowym. Koło południa siadał w parku i obserwował dziewczęta w krótkich spódnickach, jak szły do pracy albo na lunch, po czym wracał do domu i resztę dnia spędzał w mieszkaniu na poddaszu, przez całe długie popołudnia czytając i pijąc. Wieczorem, kiedy już druk rozmazywał mu się przed oczami, włączał mały telewizor i oglądał stare filmy, które znał prawie na pamięć, scena po scenie. Koło jedenastej kończył butelkę albo przysługującą na ten dzień połówkę i po skromnej kolacji albo i bez niej, kładł się spać. Starał

się spać jak najdłużej.

Nie było to urozmaicone życie, z pewnością nie takie, o jakim marzył jako młody chłopak, ale znośne. Było proste i ustabilizowane, bezpieczne, wolne od zwątpienia i niepewności, pozbawione konieczności dokonywania wyborów i podejmowania decyzji, które mogłyby doprowadzić do kolejnego załamania.

Potem, kiedy AP i UPI zaczęły się rozpisywać o bohaterze z Wietnamu, który odmówił wzięcia udziału w uroczystości wręczenia odznaczeń Kongresu w Białym Domu (nie odmówił jednak przyjęcia samego medalu, uznał bowiem, że to wywołałoby zbyt dużą sensację), nie było już mowy o prostym życiu.

Przetrwał jakoś pierwszą burzę. Udzielał jak najmniej wywiadów, rozmawiał przez telefon monosylabami. Musiał iść na ten bankiet i zniósł to, gdyż wiedział, że zaraz potem będzie mógł wrócić do swojego jednostajnego życia, które mu wydarto.

Incydent w alei kochanków zmienił jego plany i odroczył upragniony powrót do spokojnej samotności. Gazety znów się zaczęły rozpisywać o medalu, znowu wydrukują zdjęcia Chase'a razem z relacją o tej jego nieprzemyślanej interwencji. Znowu się rozdzwoni telefon z gratulacjami i prośbami o wywiad, które trzeba będzie odrzucać.

A potem wszystko przycichnie. Za tydzień, dwa, jeśli wytrzyma tyle czasu w świetle reflektorów, będzie mógł wrócić do swojego spokojnego, ustabilizowanego życia.

Pociągnął jeszcze jeden łyk whisky. Tym razem smakowała lepiej.

Jego wytrzymałość miała swoje granice. Jeszcze dwa tygodnie wypełnione historiami w gazetach, telefonami, propozycjami pracy i ofertami matrymonialnymi i wyczerpałaby się jego cierpliwość. Nie wytrzymałby też, gdyby przyszło mu dzielić pokój z funkcjonariuszem policji i na każdym kroku wlec za sobą innego policjanta.

Czuł już, jak wzbiera w nim ta sama bezkształtna pustka, która wypełniła go bez reszty w szpitalu. Za wszelką cenę musi powstrzymać wszechogarniające poczucie bezsensu, nawet jeśli ma to oznaczać zatajenie informacji przed policją.

Nie powie im o telefonie.

Znów łyknął whisky.

Dobrzy ludzie w Tennessee destylują jacka danielsa ku pociesze świata. Wspaniały specyfik, lepszy od sławy, pochwał i miłości. I tańszy.

Podszedł do barku i z ciemnej butelki nalał sobie kolejną szklaneczkę.

Martwił się, że zatai przed policją ważny ślad w sprawie. Ale przecież są sprytni, znajdą

odciski palców na klamce chevroleta i narzędziu zbrodni. Wiedzą już, że zabójca będzie miał mocno posiniaczoną szyję i zapalenie krtani. To, co Chase by im powiedział, mogłoby co najwyżej odrobinę przyspieszyć działanie wymiaru sprawiedliwości.

Wiedział, że sam się oszukuje. Nie pierwszy raz.

Dokończył drinka. Alkohol wpłynął mu do gardła gładko i szybko. Dołał sobie whisky, wrócił do łóżka, wszedł pod koldrę i zapatrzył się bezmyślnie w puste oko telewizora.

Za kilka dni wszystko wróci do normy, przynajmniej na tyle, na ile to na tym świecie możliwe. Chase znów będzie żył spokojnie z renty i skromnych dochodów z majątku rodziców. Nie potrzebuje pracy, nie musi z nikim rozmawiać ani podejmować decyzji. Jego największym życiowym zadaniem jest wypić tyle whisky, żeby móc spać pomimo dręczących koszmarów.

Czasami miał wrażenie, jakby telewizor też go obserwował.

Czas płynął. Zawsze to robił.

Chase zasnął.

Nazajutrz wcześniej rano obudzili go umarli, mówili do niego z ustami pełnymi ziemi cmentarnej. Poderwał się przestraszony. Potem dzień stawał się coraz gorszy.

Błędem było to, że próbował żyć, jakby wczorajsza noc w ogóle się nie zdarzyła. Wstał, wykapał się, ogolił, ubrał i zszedł na dół, żeby sprawdzić, czy na stole w holu leżą jakieś listy. Nie było żadnych listów, ale za to usłyszała go pani Fielding i szybciotko wyszła z wiecznie ciemnego salonu, żeby mu pokazać poranny numer „Press-Dispatch”. Zdjęcie Chase’a widniało na pierwszej stronie. Odwracał się do Louise Allenby, która wychodziła z policyjnego radiowozu. Jedną ręką ścisnęła go za ramię. Wyglądała na zapłakaną i dużo bardziej zrozpaczoną, niż była w rzeczywistości zeszłego wieczoru.

–Jestem z pana taka dumna.

Pani Fielding powiedziała to matczynym tonem. W rzeczy samej wiekiem nawet by pasowała na matkę Chase’a, ale za każdym razem, kiedy okazywała coś w rodzaju instynktu macierzyńskiego, wypadło to nader sztucznie. Miała mocną trwałą i rozjaśnione włosy. Używała za dużo różu i jaskrawej szminki, przez co wydawała się jeszcze starsza.

–To wcale nie wyglądało tak, jak oni to przedstawili. Nie było w tym nic ekscytującego – powiedział Chase.

–Skąd pan wie? Przecież nie czytał pan gazet.

–Dziennikarze zawsze wszystko wyolbrzymiają.

–Och, jest pan po prostu zbyt skromny – orzekła pani Fielding.

Miała na sobie żółto-niebieską podomkę, rozpiętą u góry na dwa guziki i odsłaniającą blade wyrzuszenia piersi i rąbek żółtego koronkowego biustonosza.

Chase był od niej dużo młodszy i silniejszy, a jednak bał się jej, może dlatego, że nie rozumiał, czego od niego oczekuje, bo sprawiała wrażenie, jakby oczekiwała czegoś więcej niż czynszu i nawet czegoś więcej niż towarzystwa. Możliwe zresztą, że sama nie wiedziała, czego chce, i stąd się brała ta dziwna desperacja w jej zachowaniu.

–Założę się, że po tym artykule będzie pan miał dwa razy więcej ofert pracy niż po tamtych!

Wyglądało na to, że pani Fielding dużo bardziej zależy na tym, żeby Chase poszedł do pracy, niż jemu samemu. Z początku myślał, że to z obawy, aby nie zalegał z czynszem, ale po jakimś czasie doszedł do wniosku, że jej troska ma znacznie głębsze podłoże.

–Tyle razy panu mówiłam: jest pan młody i silny i ma pan przed sobą całe życie. Taki facet jak pan powinien pracować, i to ciężko, żeby zostać kimś. Jasne, że już pan w życiu zrobił dużo

dobrych rzeczy, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale teraz to się pan walkoni, a to panu nie służy. Schudł pan ze sześć kilo, od kiedy się pan tu wprowadził.

Chase nie odpowiedział.

Pani Fielding podeszła do niego i wyjęła mu z rąk gazetę. Popatrzyła na zdjęcie na środku pierwszej strony i westchnęła.

–Muszę już iść – powiedział Chase. Podniosła na niego wzrok znad gazety.

–Widziałam pański samochód.

–Tak.

–Podoba się panu?

–To po prostu samochód.

–Piszą o nim w gazecie.

–Podejrzewam.

–Prawda, że to ładnie z ich strony?

–Tak, bardzo ładnie.

–Nic nie robią dla tych chłopców, którzy tam służą, a wszyscy siedzą cicho. A potem to się czyta tylko o tych złych, a nikt palcem nie kiwnie w obronie tych dobrych, takich jak pan. Najwyższy czas, żeby to się zmieniło, i mam nadzieję, że cieszy się pan z samochodu.

–Owszem.

Otworzył drzwi frontowe i wyszedł na dwór, starając się, żeby nie wyglądało to na ucieczkę.

Pojechał do Woolwortha na śniadanie.

Samochód nieco już stracił ze swojej pierwotnej atrakcyjności. Chase wolałby się przejść. Jadąc samochodem, trzeba podejmować tyle decyzji. Prościej jest chodzić. Kiedy się szło, można było wyłączyć umysł i o niczym nie myśleć.

Zwykle, siedząc przy barze w Woolworcie, można było liczyć na całkowitą anonimowość, nawet jeśli wszystkie stolki były zajęte. Biznesmeni czytali rubryki finansowe gazet, sekretarki popijały kawę, rozwiązując krzyżówki, robotnicy pochylali się nad jajkami na bekonie, a wszyscy szukali tu chwili odosobnienia przed powrotem do codziennego zgiełku. Wbrew pozorom takie stłoczenie, kiedy siedziało się łokieć przy łokciu, sprzyjało zachowaniu prywatności. Jednak tego wtorkowego poranka mniej więcej w połowie posiłku Chase

zauważył, że większość klientów obserwuje go z ledwie skrywaną ciekawością.

Zdradziła go wszechobecna gazeta ze zdjęciem na pierwszej stronie.

Przerwał jedzenie, zostawił napiwek, zapłacił rachunek i wyszedł z barn. Ręce mu się trzęsły, a nogi miał jak z waty. Nie lubił, gdy go obserwowano. Nie lubił nawet, kiedy uśmiechała się do niego kelnerka albo sprzedawczyni. Chciał przejść przez życie jako jeden z tych nijakich ludzi, których inni mijają na ulicy niczym powietrze.

Kiedy skręcił za róg i podszedł do kiosku, żeby kupić książkę, ze stojaków z gazetami spojrzało nań tyle jego własnych twarzy, że odwrócił się od drzwi i nawet nie wszedł do środka.

W sklepie monopolowym sprzedawca po raz pierwszy skomentował jego zakupy. Najwyraźniej uznał, że taki człowiek jak Chase nie powinien kupować tak dużo alkoholu. Chyba że, oczywiście, whisky miała być dla gości.

–Wydaje pan przyjęcie, co? – zapytał sprzedawca.

–Tak.

Tak bardzo mu się spieszyło, żeby zamknąć się w samotności na swoim poddaszu, że przeszedł dwie przecznice w stronę domu, zanim sobie przypomniał o samochodzie. Wrócił zawstydzony, zastanawiając się z lękiem, czy ktoś zauważył jego pomyłkę.

Kiedy usiadł za kierownicą, był zbyt podenerwowany, żeby prowadzić samochód. Przez piętnaście minut siedział, przeglądając instrukcję obsługi i dokumenty własności, zanim w końcu uruchomił silnik.

Nie pojechał do parku, żeby obserwować dziewczęta przechadzające się w porze lunchu, bo bał się, że go ktoś rozpozna. Gdyby go ktoś zagadnął, nie wiedziałby, co powiedzieć.

W domu nalał sobie szklaneczkę whisky, wrzucił do niej kostki lodu i wszystko zamieszał palcem.

Włączył telewizor i znalazł stary film z Wallace'em Beerym i Marie Dressier. Widział go co najmniej sześć razy, ale to mu nie przeszkadzało. Powtarzalność scen, niezachwiane następstwo sekwencji i epizodów w tysiącach projekcji kinowych i telewizyjnych dawały mu poczucie trwałości, działały uspokajająco. Oglądał niezdarne miłosne podchody Wallace'a do Marie Dressier i te dobrze znane błazeństwa Beery'ego, widziane tyle razy i przewidywalne w najdrobniejszych szczegółach, działały jak balsam na jego skołataną myśl.

Pięć po jedenastej zadzwonił telefon. W końcu go odebrał, odmówił udzielenia wywiadu i odłożył słuchawkę.

O jedenastej dwadzieścia sześć znowu rozległ się dzwonek. Tym razem to był agent

ubezpieczeniowy, u którego Stowarzyszenie Kupców wykupiło roczną polisę na mustanga. Agent chciał wiedzieć, czy zakres ubezpieczenia jest odpowiedni, czy też może Chase życzyłby sobie go rozszerzyć. Mężczyzna był z początku bardzo gadatliwy, potem jednak stracił humor, kiedy Chase oświadczył, że wysokość ubezpieczenia jest odpowiednia.

O jedenastej pięćdziesiąt telefon zadzwonił po raz trzeci. Kiedy Chase odebrał, odezwał się zabójca.

–Dzień dobry, jak się masz?

Głos miał chrypliwy, niewiele głośniejszy od szeptu.

–Źle.

–Widziałeś gazety?

–Jedną.

–Śliczna relacja. Chase nie odpowiedział.

–Większość ludzi marzy o sławie.

–Ja nie.

–Niektórzy gotowi są dla niej nawet zabijać.

–Ty?

–Nie szukam sławy – rzekł zabójca.

–A czego szukasz?

–Sensu. Celu.

–Nie ma żadnego. Morderca milczał przez chwilę.

–Dziwny z ciebie typ, panie Chase. Chase milczał.

–Bądź pod telefonem o szóstej po południu. To ważne.

–Męczą mnie to.

–Ciebie męczą? To ja odwalam całą robotę. Cały ranek spędziłem na grzebaniu w twojej przeszłości, a po południu będę robił to samo. O szóstej powiem ci, co znalazłem.

–Po co? – zapytał Chase.

–Przecież nie mogę cię osądzić, dopóki nie będę wiedział, jakie grzechy popełniłeś, prawda?
– W świszczącym głosie kryła się ta sama nuta rozbawienia, którą Chase słyszał poprzednio. –
Bo widzisz, ja nie wybrałem na chybił trafił grzeszników, których należało ukarać na
Kanackaway.

–Nie?

–Nie. Bardzo starannie zbadalem sytuację. Chodziłem tam co wieczór przez dwa tygodnie i
spisywałem numery rejestracyjne. Potem je porównywałem, aż znalazłem ten, który powtarzał
się najczęściej.

–Po co?

–Żeby wykryć grzeszników, którzy najbardziej zasługują na karę – odparł nieznajomy. – W
tym stanie wydział motoryzacji za dwa dolary sprawdza numer rejestracyjny pojazdu na każde
żądanie. Zrobiłem to i znalazłem tożsamość młodego człowieka, do którego należał tamten wóz.
Potem zbadanie jego życia nie nastroczało już trudności, podobnie jak sprawdzenie nazwiska
jego partnerki w tych... praktykach. – Sztuczny ton tej wypowiedzi doprowadzał zabójcę do
dziwacznych sformułowań czy raczej słownych uników. – Ona nie była jedyną młodą kobietą, z
jaką tamten zabawiał się na Kanackaway, chociaż jej się wydawało, że jej przyjaciel nie
spotyka się z innymi. Ona zresztą też nie stroniła od przygód. Dwa razy widziałem, jak odwozili
ją po szkole jacyś chłopcy. Z jednym umówiła się na randkę.

–Słuchaj, dlaczego nie zostaniesz w domu i nie pooglądasz starych filmów? – zapytał Chase.

–Co?

–Albo nie poszukasz pomocy lekarza?

–Ja nie potrzebuję pomocy. To świat potrzebuje leczenia. Świat, nie ja. – Gniewny wybuch
spowodował następny atak kaszlu. – To były dwie dziwki, męska i żeńska. Zasłużyli na to, co ich
spotkało, tylko przez ciebie dziewczyna jeszcze nie dostała za swoje.

Chase czekał.

–Widzisz – odezwał się znowu mężczyzna – muszę cię sprawdzić równie dokładnie jak
tamtych dwoje, bo inaczej nigdy nie będę pewny, czy zasługiwałeś na karę śmierci, czy też
wyeliminowałem cię tylko dlatego, że mi pokrzyżowałeś plany i chciałem się zemścić. Krótka
mówiąc, ja nie zabijam ludzi, ja przeprowadzam egzekucję tych, którzy na nią zasłużyli.

–Nie chcę, żebyś tu więcej dzwonił – powiedział Chase.

–Właśnie, że chcesz. Chase nie odpowiedział.

–Jestem twoją motywacją – oświadczył zabójca.

–Moją motywacją?

–To przeznaczenie.

–Do czego masz mnie niby motywować?

–Sam musisz zdecydować – rzekł zabójca.

–Będę miał telefon na podsłuchu.

–To mnie nie powstrzyma – zapowiedział morderca rozbawiony. – Będę dzwonił z różnych aparatów i rozmawiał krócej, żeby mnie nie namierzyli.

–A jeśli nie odbiorę telefonu?

–Odbierzesz. O szóstej po południu – przypomniał i przerwał połączenie.

Chase rzucił słuchawkę. Miał nieprzyjemne wrażenie, że morderca zna go lepiej niż on sam. Oczywiście, że odbierze telefon, z tego samego powodu, dla którego odbierał wszystkie uciążliwe telefony przez ostatnich kilka tygodni, zamiast po prostu zastrzec sobie numer. Kłopot w tym, że nie miał pojęcia, co to był za powód.

Kierowany nagłym impulsem podniósł słuchawkę i zadzwonił do komendy głównej policji. Po raz pierwszy od dziesięciu miesięcy sam do kogoś zadzwonił.

Kiedy odezwał się sierżant dyżurny, Chase poprosił detektywa Wallace’a.

Wallace zgłosił się po chwili.

–Słucham, panie Chase?

Chase nie wspomniał o telefonach mordercy, chociaż początkowo sądził, że po to właśnie zadzwonił do Wallace’a.

–Jak postępuje śledztwo? – zapytał.

Wallace nie miał oporów przed rozmową o sprawach służbowych.

–Powoli, ale do przodu. Znaleźliśmy odciski palców na nożu. Jeżeli facet był kiedyś aresztowany za poważne przestępstwo albo pracował dla rządu, wkrótce go złapiemy.

–A jeśli nie był notowany?

–I tak go dopadniemy – odparł Wallace. – Znaleźliśmy w chevrolecie sygnet. Nie należał do zabitego i na pana byłby za mały o dwa albo trzy numery. Nie zgubił pan sygnetu, prawda?

–Nie.

–Tak myślałem. Powiniennem nawet do pana zadzwonić, ale byłem pewny, że to nie pański. To na pewno jego.

–Coś jeszcze poza nożem i sygnetem?

–Mamy cały czas na oku dziewczynę i jej rodziców, ale byłbym wdzięczny, gdyby pan o tym nikomu nie mówił.

–Myśli pan, że morderca jeszcze raz spróbuje ją zabić?

–Możliwe, jeśli uważa, że dziewczyna mogłaby go rozpoznać. Wie pan, przyszło mi nawet do głowy, żeby panu też dać obstawę. Co pan na to?

Chase przestraszył się nie na żarty.

–Nie, nie. Nie wiem, co by komu z tego przyszło.

–No wie pan, cała historia ukazała się dzisiaj w gazetach. Prawdopodobnie zabójca nie obawia się, że go pan rozpozna, ale może być na pana zły.

–Zły? To musiałby być jakiś świr. Wallace się roześmiał.

–No a któż by inny?

–To znaczy, że po przesłuchaniu dziewczyny nie znaleźliście żadnego motywu? Żadnych dawnych kochanków, którzy mogliby...

–Nie – odparł Wallace. – Na razie założyliśmy, że nie było żadnego racjonalnego motywu, że to psychopata.

–Rozumiem.

–Przykro mi, że nie mamy więcej konkretów – rzekł Wallace.

–A ja przepraszam, że pana niepokoiłem – powiedział Chase.

I odłożył słuchawkę, nie wspomniawszy Wallace'owi o telefonach zabójcy, chociaż kiedy wykręcał numer, miał zamiar to zrobić. Pilnują dziewczyny dwadzieścia cztery godziny na dobę. I to samo spotkałoby jego, gdyby się dowiedzieli o telefonach mordercy.

Ściany pokoju zaczęły się chwiać; to zamykały się niczym gigantyczne imadło, to znów odpływały jak skrzydła szarych wrót. Podłoga uniosła się i opadła. Chase tracił grunt pod nogami. Owładnęło nim przeświadczenie, że świat nie jest stabilny i trwały, lecz płynny niby migotliwe złudzenie. Właśnie przez to samo uczucie trafił do szpitala, a w efekcie dostał rentę z

orzeczeniem siedemdziesięciopięcioprocentowego inwalidztwa. Nie może dopuścić, żeby znowu go to dopadło, a to znaczy, że musi zawęzić granice swojego świata i pokrzepiającą samotność. Nalał sobie następnego drinka.

Telefon wyrwał go z drzemki dokładnie w chwili, kiedy umarły mężczyzna dotykał go białymi gnijącymi dłońmi. Poderwał się z krzykiem i usiadł na łóżku, zasłaniając się rękami przed zimnym dotykiem trupa. Kiedy się zorientował, gdzie jest, opadł wyczerpany na poduszkę i bez ruchu wsłuchiwał się w alarmujący dźwięk. Po trzydziestu dzwonekach nie miał innego wyjścia, musiał odebrać.

–Słucham.

–Już miałam iść na górę i sprawdzić, co się z panem dzieje – powiedziała pani Fielding. – Nic panu nie jest?

–Nie, wszystko dobrze.

–Tak długo pan nie odbierał.

–Spałem.

Pani Fielding wahała się przez chwilę, jakby przygotowywała się do tego, co ma powiedzieć.

–Robię na kolację stek z jarzynami, grzybami i tłuczonymi ziemniakami. Może zszedłby pan na dół? Nie zjem sama wszystkiego.

–Raczej nie...

–Taki chłop na schwał jak pan powinien jeść regularne posiłki.

–Już jadłem.

Milczała chwilę, po czym rzekła:

–No trudno, szkoda, że pan nie poczekał, bo mam tego tyle...

–Przykro mi, ale jestem bardzo najedzony.

–To może jutro wieczorem.

–Może – odparł Chase i odłożył słuchawkę, żeby nie zdążyła zaproponować wspólnego wyjścia do baru.

Lód, rozpuszczając się w szklance, rozcieńczył niedopitą whisky. Chase wylał ją do umywalki w łazience, wrzucił do szklanki świeży lód i nalał sobie nowego drinka. Smakował kwaśno jak skórka cytryny, ale i tak go wypił.

W lodówce nie miał nic poza paczką jabłek.

Znowu włączył mały czarno-biały telewizor i powoli zaczął przeskakiwać po lokalnych programach. Wszędzie tylko wiadomości, wiadomości, wiadomości i gdzieś tam film rysunkowy. Zaczął oglądać filmy rysunkowe.

Żaden nie był śmieszny.

Po filmach rysunkowych oglądał stare filmy. Poza telefonem, którego się spodziewał o szóstej, miał przed sobą cały wolny wieczór.

Punktualnie o szóstej zadzwonił telefon.

–Halo.

–Dobry wieczór, Chase – odezwał się zabójca. Głos miał w dalszym ciągu ochryply.

Chase usiadł na łóżku.

–Jak się masz dzisiaj wieczorem? – zapytał zabójca.

–Dobrze.

–Wiesz, czym się zajmowałem cały dzień?

–Zbieraniem informacji.

–Tak jest.

–Powiedz mi, co znalazłeś – poprosił Chase, jakby wiadomości o nim samym miały być dla niego nowiną.

A może były.

–Po pierwsze, urodziłeś się tutaj trochę ponad dwadzieścia cztery lata temu, jedenastego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku w Szpitalu Miłosierdzia. Twoi rodzice zginęli w wypadku samochodowym kilka lat temu. Chodziłeś do szkoły stanowej i skończyłeś trzyletni program przyspieszony ze specjalizacją w zarządzaniu. Dobrze ci szło ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem kilku obowiązkowych, głównie podstawowego stopnia fizyki, biologii stopnia pierwszego i drugiego, chemii pierwszego.

Zabójca chrypiał tak jeszcze przez dwie czy trzy minuty, recytując fakty biograficzne, które Chase jeszcze przed chwilą uważał za prywatne. Akta miejskie, dokumenty szkolne, archiwa prasowe i pół tuzina innych źródeł dostarczyło zabójcy znacznie więcej informacji o życiu Chase'a, niż można było zebrać z ostatnich artykułów w „Press-Dispatch”.

–Myślę, że za długo już rozmawiam na tej linii – zauważył w końcu zabójca. – Muszę się przenieść do innej budki. Masz pluskwę w telefonie, Chase?

–Nie.

–Mimo to i tak się rozłączę. Zadzwoń do ciebie za kilka minut.

W słuchawce zapadła cisza.

Pięć minut później morderca zadzwonił ponownie.

–To, co ci zrelacjonowałem wcześniej, to tylko suche fakty. Teraz dodam kilka nowszych informacji i trochę własnych domysłów. Zobaczymy, czy uda mi się złożyć układankę w całość.

–Rób, jak chcesz.

–Po pierwsze – zaczął mężczyzna – odziedziczyłeś dużo pieniędzy, ale niewiele z nich wydałeś.

–To nie było dużo.

–Czterdzieści tysięcy po odliczeniu podatków. Ale żyjesz nader skromnie.

–Skąd wiesz?

–Przejeżdżałem dzisiaj koło twojego domu i dowiedziałem się, że wynajmujesz umeblowany pokój na poddaszu. Widziałem, jak wracasz do domu; nie ma wątpliwości, że niewiele wydajesz na ubrania. Dopóki nie dostałeś tego ślicznego nowego mustanga, nie miałeś samochodu. To znaczy, że została ci znaczna część spadku, bo na rachunki wystarcza renta wojskowa.

–Chcę, żebyś przestał mnie śledzić. Mężczyzna się roześmiał.

–Nie mogę, Chase. Muszę przecież ocenić twój poziom moralny, zanim cię osądzę.

Chase odłożył słuchawkę.

To przejęcie inicjatywy bardzo go podniosło na duchu. Kiedy telefon zaczął dzwonić, zebrał wszystkie siły, żeby nie odebrać. Po trzydziestu sygnałach zapadła cisza.

Dziesięć minut później znów się rozległ dzwonek. Po dłuższym czasie Chase podniósł w końcu słuchawkę.

Morderca był wściekły, wrzeszczał mimo obolałego gardła.

–Jeśli zrobisz to jeszcze raz, obiecuję, że nie będzie to szybkie i czyste zabójstwo. Rozumiesz?

Chase milczał.

–Chase? – Cisza. – Co się z tobą dzieje?

–Sam chciałbym wiedzieć – odparł Chase.

Morderca postanowił porzucić ten temat i wrócił do poprzedniego tonu wymuszonej ironii.

–Wiesz, zaciekawilo mnie to „ranny w boju”, ta część twojego życiorysu. Bo jakoś nie wyglądasz na inwalidę. Poradziłeś sobie ze mną lepiej niż dobrze. To mi nasuwa na myśl przypuszczenie, że twoje najpoważniejsze rany wcale nie są fizyczne.

–A czyje rany są wyłącznie fizyczne?

–Myślę, że to przez problemy psychiczne trafiłeś do szpitala wojskowego, a potem dostałeś zwolnienie z wojska.

Chase nie odpowiedział.

–I ty mi mówisz, że to ja potrzebuję pomocy lekarza? Muszę w tym pogrzebać trochę głębiej. To bardzo ciekawe. No, możesz dzisiaj spać spokojnie, panie Chase. Na razie nie ma cię w harmonogramie umierania.

–Zaczekaj.

–Tak?

–Muszę mieć dla ciebie jakieś imię. Nie mogę ciągle myśleć0 tobie nieosobowo „mężczyzna”, „nieznajomy” czy „zabójca”. Rozumiesz, o co mi chodzi?

–Tak – przyznał.

–Imię?

Mężczyzna myślał, po czym rzekł:

–Możesz mnie nazywać Sędzią.

–Sędzią?

–Tak, Sędzia i Egzekutor.

Wybuchnął śmiechem, aż się zaniósł od kaszlu, po czym odłożył słuchawkę.

Chase poszedł do lodówki i wziął jabłko. Obrął je, przeciął na osiem części i zjadł, gryząc starannie. Nie była to zbyt obfita kolacja, za to szklaneczka whisky miała mnóstwo latwo

przyswajalnych kalorii, nalał więc sobie na deser sporego drinka.

Umył ręce, które kleiły mu się od jabłka. Umyłby je zresztą nawet, gdyby się nie kleiły. Często mył ręce. Od powrotu z Wietnamu. Czasami mył je tyle razy w ciągu dnia, że robiły się czerwone i spierzchnięte.

Z drinkiem poszedł do łóżka i zaczął oglądać film. Starał się nie myśleć o niczym poza swoim ulubionym rozkładem dnia: śniadanie w Woolworcie, potem kilka tanich książek w kiosku, stare filmy w telewizji; myślał o czterdziestu tysiącach dolarów, do diabła z nimi, na koncie oszczędnościowym, odcinku renty i o dobrych ludziach z Tennessee, którzy produkowali jacka danielsa. Te rzeczy naprawdę się liczyły, to dzięki nim jego mały świątek był bezpieczny i całkiem zadowolający.

I znów nie zadzwonił na policję.

Sny były tak okropne, że Chase spał z przerwami, budząc się co jakiś czas tuż przed punktem kulminacyjnym koszmaru – kiedy otaczający go ciasnym kręgiem umarli w milczeniu oskarżycielsko wyciągali po niego ręce.

Wstał wcześniej, porzucając nadzieję na spokojny sen. Wykąpał się, ogolił i szczególnie starannie umył ręce, dokładnie wymywając wszelki brud, jaki mógł się ukryć pod paznokciami.

Usiadł przy stole i obrał sobie jabłko na śniadanie. Nie chciał patrzeć w oczy klientom Woolwortha, teraz kiedy przestał być dla nich anonimową twarzą, ale nie wymyślił też żadnego innego miejsca, gdzie by go nikt nie rozpoznał.

Było pięć po wpół do dziesiątej, za wcześnie, żeby zacząć pić. Chase przestrzegał niewielu zasad, ale do tych, których przestrzegał, należał bezwzględny zakaz picia przed południem. Od tego były popołudnia i wieczory, ranki przeznaczal na żal, skruchę i wyrzuty sumienia. Rzadko łamał tę zasadę.

Tylko co ma zrobić z tymi długimi godzinami, które mu zostały do południa? Wypełnianie sobie czasu bez alkoholu sprawiało mu coraz większe trudności.

Włączył telewizor, ale nie znalazł żadnych starych filmów, więc go wyłączył.

W końcu, ponieważ nie miał nic do roboty, zaczął sobie przypominać szczegóły nocnych koszmarów, które go zbudziły, a to nie wróżyło dobrze, było niebezpieczne.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Po trzech sygnałach odezwał się energiczny głos młodej kobiety.

–: Gabinet doktora Fauvela, mówi panna Pringle, w czym mogę pomóc?

–Chciałbym się umówić na wizytę – powiedział Chase.

–Czy jest pan stałym pacjentem?

–Tak, nazywam się Benjamin Chase.

–Ach tak! – powiedziała panna Pringle, jakby się ucieszyła, że go słyszy. – Dzień dobry, panie Chase. – Zaczęła szeleścić kartkami kalendarza wizyt. – Jest pan zapisany do doktora w piątek o trzeciej.

–Muszę się z nim spotkać wcześniej.

–Jutro rano mamy pół godziny...

–Dzisiaj – przerwał jej Chase.

–Słucham?

Najwyraźniej rozmowa przestała być dla panny Pringle tak przyjemna jak na początku.

–Chcę się umówić na wizytę dzisiaj – powtórzył Chase. Panna Pringle poinformowała go o przeladowanym grafiku doktora i dodatkowych godzinach, które poświęca badaniu historii chorób nowych pacjentów.

–Proszę spytać doktora Fauvela, czy znajdzie czas, żeby mnie przyjąć – powiedział Chase.

–Pan doktor ma w tej chwili pacjenta...

–Poczekam przy telefonie.

–Ale nie można...

–Poczekam.

Panna Pringle westchnęła ostentacyjnie i zawiesiła jego rozmowę. Minutę później odezwała się ponownie i poirytowanym głosem poinformowała Chase'a, że ma wizytę dzisiaj o czwartej po południu. Była wyraźnie rozgoryczona, że przez niego zostaną złamane zasady. Musiała wiedzieć, że za leczenie Chase'a płaci rząd i w związku z tym doktor Fauvel otrzymuje z tego tytułu znacznie mniej pieniędzy niż od swoich bogatych neurotycznych pacjentów.

Jeśli już ktoś musiał cierpieć na zaburzenia psychiczne, to dobrze, by to były zaburzenia niebanalne, które mogły zainteresować lekarza, a jeszcze lepiej, żeby pacjent wsławił się czymś lub przeciwnie – okrył niesławą, żeby zasłużyć na najlepsze traktowanie.

*

O wpół do dwunastej, kiedy Chase się ubierał, żeby iść na lunch, znowu zadzwonił Sędzia. Głos miał już lepszy, chociaż wciąż daleki od normalności.

–Jak się dziś rano czujesz, Chase? Chase milczał.

–Czekaj na telefon o szóstej po południu – rzekł Sędzia.

–Od kogo?

–Bardzo zabawne. Punktualnie o szóstej, Chase – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu, jak ktoś przywykły do posłuchu. – Jestem pewny, że będę miał do przedyskutowania z tobą kilka bardzo interesujących kwestii. Miłego dnia.

*

Gabinet doktora Fauvela w apartamencie na siódmym piętrze budynku Kaine w centrum miasta nie przypominał typowych gabinetów psychiatrycznych opisywanych w książkach i pokazywanych w filmach. Nie był mały ani przytulny; wcale nie kojarzył się z matczynym łonem. Miał jakieś dziesięć metrów na dziesięć, wysoki sufit, który nieustannie tonął w półmroku, dwie całe ściany od podłogi do sufitu zawieszono półkami, trzecią obrazami, wśród których dominowały kojące pejzaże wiejskie. Czwartą ścianę na całej długości zajmowały okna. Na półkach stały książki, na ogół w drogich oprawach, oraz około trzystu szklanych figurek psów, nie większych od dłoni, a przeważnie znacznie mniejszych. Zbieranie szklanych psów było hobby doktora Fauvela.

Jak umeblowanie pokoju – zniszczone biurko, ciężki, wyściełany fotel i stolik do kawy noszący liczne ślady butów – nie pasowało do gabinetu lekarskiego, tak doktor Fauvel, czy to z wyrachowania, czy z natury, nie pasował do stereotypowego wyobrażenia psychiatry. Był niskim, krępy męczyzną o atletycznej budowie, włosach opadających na kołnierzyk i niedbałym sposobie bycia. Chodził zawsze w niedoprasowanych niebieskich garniturach ze zbyt długimi nogawkami.

–Siadaj, Ben – powiedział. – Chcesz coś do picia? Kawy, herbaty, coli?

–Nie, dziękuję – odparł Chase.

W pokoju nie było żadnej kozetki, doktor Fauvel nie wierzył w rozpieszczanie pacjentów. Chase usiadł w fotelu.

Fauvel ustawił sobie krzesło po prawej stronie Chase'a i oparł nogi na stoliku do kawy. Zachęcił Bena, żeby poszedł za jego przykładem, a kiedy obaj usadowili się w wygodnej, zrelaksowanej pozycji, zapytał:

–Więc nie będzie żadnych wstępów?

–Dzisiaj nie.

–Jesteś spięty, Ben.

–Tak.

–Coś się wydarzyło.

–Tak.

–Takie jest życie. Ciągłe coś się dzieje. Nie żyjemy w bezruchu, jakbyśmy zastygli w bursztynie.

–To więcej niż zwykle coś – rzekł Chase.

–W takim razie opowiadaj. Chase się nie odezwał.

–Przyszedłeś tu, żeby mi o tym powiedzieć, prawda?

–Tak, ale... rozmawianie o problemach czasami je pogarsza.

–Nieprawda, nigdy.

–Może u pana nie.

–U nikogo.

–Żeby o tym rozmawiać, muszę o tym myśleć, a kiedy o tym myślę, zaczynam się denerwować. Lubię, kiedy jest spokój. Spokój i cisza.

–Chcesz pograć w skojarzenia?

Chase się zawahał. Nie przepadał za tą grą, którą Fauvel stosował, żeby mu rozwiązać język. Czasami w odpowiedziach Ben ujawniał więcej, niż chciał. A Fauvel nie stosował się do ustalonych reguł, tylko zawsze był bezpośredni i bezwzględny i od razu docierał do sedna sprawy. Mimo to Chase w końcu skinął głową.

–Zaczynaj.

–Matka – powiedział Fauvel.

–Nie żyje.

–Ojciec.

–Nie żyje.

Fauvel złożył palce w piramidkę.

–Miłość.

–Kobieta.

–Miłość.

–Kobieta.

Fauvel nie patrzył na niego, wpatrywał się z uwagą w błękitnego szklanego teriera na półce obok siebie.

–Proszę, żebyś się nie powtarzał.

Chase przeprosił. Wiedział, że Fauvel tego od niego oczekuje. Za pierwszym razem, kiedy w podobnej sytuacji Fauvel dał do zrozumienia, że oczekuje przeprosin, Chase był zaskoczony. Wydawało się dziwne, żeby lekarz narzucał w stosunkach z pacjentem takie hierarchiczne stosunki i wywoływał u pacjenta poczucie winy za udzielanie wymijających odpowiedzi. Z czasem jednak przestał się dziwić czemukolwiek, co zaproponował doktor Fauvel.

–Miłość – powiedział jeszcze raz doktor.

–Kobieta.

–Miłość.

–Kobieta.

–Prosiłem, żebyś się nie powtarzał.

–Nie jestem utajonym homoseksualistą, jeśli do tego pan zmierza.

–Ale powtarzanie w kółko „kobieta” jest unikiem.

–Wszystko jest unikiem.

Ta odpowiedź zaskoczyła doktora, ale nie aż tak, żeby go odwieść od raz obranej metody.

–Owszem, wszystko jest unikiem, ale w tym wypadku jest to wyjątkowo bezczelny unik, ponieważ nie ma żadnej kobiety. Nie wpuściłbyś jej do swojego życia. A więc bądź łaskaw zdobyć się na więcej szczerości. Miłość.

Chase zaczął się pocić, chociaż nie miał pojęcia dlaczego.

–Miłość.

–Jest wzniosła.

–Niedopuszczalna dziecinada.

–Przepraszam.

–Miłość.

–Ja – powiedział w końcu Chase.

–Ale przecież to kłamstwo, prawda?

–Tak.

–Ponieważ ty siebie nie kochasz.

–Nie.

–Dobrze – rzekł Fauvel. Teraz słowa zaczęły padać coraz szybciej, wyrzucane błyskawicznie jedno po drugim, jak gdyby ktoś przyznawał punkty za czas. – Nienawiść.

–Ty.

–Zabawny.

–Dziękuję.

–Nienawiść.

–Autodestrukcyjna.

–To kolejny unik. Nienawiść.

–Wojsko.

–Nienawiść.

–Wietnam.

–Nienawiść.

–Broń.

–Nienawiść.

–Zacharia – powiedział Chase, chociaż przysięgał sobie nigdy w życiu nie wspominać tego nazwiska ani mężczyzny, który je nosił, ani w ogóle nie myśleć o tamtych wydarzeniach.

–Nienawiść – upierał się Fauvel.

–Proszę o inne słowo.

–Nie. Nienawiść.

–Porucznik Zacharia.

–Tam jest coś więcej niż Zacharia.

–Wiem.

–Nienawiść.

–Ja – rzekł Chase.

–I to jest prawda, mam rację?

–Tak.

–W porządku – powiedział doktor po dłuższej chwili milczenia. – Cofnijmy się do Zacharii. Benjaminie, pamiętasz, co ci rozkazał zrobić porucznik Zacharia?

–Tak jest.

–Jakie były te rozkazy?

–Obstawiliśmy dwa wejścia do sieci tuneli Wietkongu.

–I co?

–Porucznik Zacharia kazał mi oczyścić ostatnie wejście.

–Jak to zrobiłeś?

–Granatem.

–I co?

–Wszedłem do środka, zanim opadł kurz.

–I co?

–Użyłem karabinu maszynowego, panie doktorze.

–Dobrze.

–Niedobrze, panie doktorze.

–Dobrze, że możesz o tym mówić. Chase milczał.

–Co się stało później, Benjaminie?

–Później zeszliśmy na dół, panie doktorze.

–My?

–Porucznik Zacharia, sierżant Coombs, szeregowi Halsey, Wade i kilku innych.

–I ty.

–Tak. I ja.

–Co potem?

–W tunelu znaleźliśmy czterech zabitych i szczątki mężczyzny w przedsionku. Porucznik Zacharia rozkazał ostrożnie posuwać się naprzód. Sto pięćdziesiąt metrów dalej doszliśmy do bambusowej bramki.

–Która zagrażała drogę.

–Tak. Za nią byli wieśniacy.

–Opowiedz mi o nich.

–Głównie kobiety.

–Ile było tych kobiet, Ben?

–Okolo dwudziestu.

–A dzieci? – zapytał Fauvel. Milczenie.

–Były tam dzieci?

Chase zapadł się w wielkim wyścielonym fotelu, ściągnął ramiona, jakby próbował się w nim ukryć.

–Kilkoro.

–Czy ci ludzie byli tam uwięzieni?

–Nie. Bambusowe drzwi zagraadzały drogę, tunele Wietkongu ciągnęły się dużo dalej i głębiej. Nie doszliśmy nawet do składu broni. Wieśniacy pomagali Wietkongowi, kolaborowali z nim, zagraadzając nam drogę.

–Myślisz, że Wietkong ich zmusił, żeby wam zablokowali przejście? Czy też te kobiety i dzieci dobrowolnie współpracowały z wrogiem?

Chase nie odpowiedział.

–Czekam na odpowiedź – rzekł nieustępliwie Fauvel. Chase milczał.

–Ben, to ty czekasz na odpowiedź, nawet jeśli o tym nie wiesz. Czy ci wieśniacy zostali zmuszeni, żeby wam zablokować drogę? Czy ludzie Wietkongu, którzy się ukrywali w tunelu, zmusili ich pod karą śmierci, czy też ci ludzie robili to z własnej woli?

–Trudno powiedzieć.

–Czyżby?

–W każdym razie mnie jest trudno powiedzieć.

–W takich sytuacjach nigdy nie można mieć pewności, co?

–Zgadza się.

–Mogli współpracować z Wietkongiem albo być niewinni.

–Tak jest.

–No dobrze. Co się stało później?

–Próbowaliśmy otworzyć drzwi, ale kobiety trzymały liny, które je blokowały.

–Kobiety.

–Użyli kobiet jako tarczy. Niekiedy bywały najgorszymi zabójcami ze wszystkich. Potrafiły zabić z uśmiechem na ustach.

–Więc nakazaliście im, żeby zeszły wam z drogi? – zapytał Fauvel.

–I tak by nie posłuchały. Porucznik powiedział, że to może być pułapka, że Wietkong chce nas zatrzymać w tym miejscu i zyskać na czasie, żeby nas zająć od tyłu.

–Czy tak mogło być?

–Mogło.

–Czy to było prawdopodobne?

–Tak.

–Mów dalej.

–Było ciemno. Śmierdziało jakby potem, uryną i zgniłymi warzywami, okropny odór, prawie namacalny. Porucznik Zacharia rozkazał nam otworzyć ogień i oczyścić drogę.

–Posłuchaliście? Chase nie odpowiedział.

–Posłuchaliście?

–Nie od razu.

–Ale w końcu wykonaliście rozkaz?

–Ten smród... ciemno...

–Wykonaliście rozkaz.

–Tam było tak potwornie ciasno, Wietkong prawdopodobnie zachodził nas od tyłu jakimś ukrytym tunelem.

–Więc wykonaliście rozkaz?

–Tak.

–Czy ty też?

–Tak. Wszyscy.

–Zastrzeliliście ich.

–Oczyściliśmy drogę.

–Zastrzeliliście ich.

–Mogliśmy tam zginąć.

–Zastrzeliliście ich.

–Tak.

Fauvel pozwolił mu wytchnąć. Pół minuty.

–Kiedy oczyściliście drogę i przeszukaliście tunel, zniszczyliście skład broni. A później

wpadliście w zasadzkę, która dzisiaj przyniosła ci Medal of Honor.

–Tak. To było już na powierzchni.

–Przezołgałeś się pod ostrzałem prawie dwieście metrów i przyciągnąłeś ранnego sierżanta Coombsa.

–Samuela Coombsa.

–Odniosłeś dwie powierzchowne, ale bolesne rany w prawą nogę, w udo i w łydkę, ale nie przestałeś się czołgać, aż dotarłeś w bezpieczne miejsce. Położyłeś Coombsa za krzakiem, a potem po heroicznej przeprawie przez ostrzeliwany teren dostałeś się na flankę nieprzyjaciela i co zrobiłeś?

–Rozwaliłem kilku drani.

–To znaczy nieprzyjacielskich żołnierzy.

–Tak.

–Ilu?

–Osiemnastu.

–Osiemnastu żołnierzy Wietkongu?

–Tak.

–Czyli nie tylko uratowałeś życie sierżantowi Coombsowi, ale znacznie przyczyniłeś się również do poprawienia sytuacji całego oddziału.

Był to tylko lekko zmodyfikowany tekst listu, który Chase otrzymał pocztą od samego prezydenta. Chase nie odpowiedział.

–Czy wiesz, skąd się wziął twój heroizm, Ben?

–Rozmawialiśmy już o tym.

–Więc znasz odpowiedź.

–Z poczucia winy.

–Właśnie.

–Ponieważ chciałem umrzeć. Podświadomie pragnąłem śmierci, więc wyszedłem na ostrzeliwane pole, mając nadzieję, że mnie zastrzelą.

–Wierzysz w tę interpretację czy może uważasz, że chcę w ten sposób umniejszyć twoje zasługi i wartość medalu?

–Wierzę – odparł Chase. – Nigdy nie chciałem tego medalu.

–No dobrze – powiedział Fauvel, rozplatając ręce. – Spróbujmy teraz poszerzyć tę analizę. Chociaż miałeś nadzieję, że zginiesz w zasadzce, chociaż absurdalnie narażałeś się na niebezpieczeństwo, szukając śmierci, to jednak przeżyłeś. I zostałeś bohaterem narodowym.

–Życie płata figle, co?

–Kiedy się dowiedziałeś, że porucznik Zacharia wysunął twoją kandydaturę do najwyższego odznaczenia, przeszedłeś załamanie nerwowe, przez które trafiłeś do szpitala, a potem zostałeś honorowo zwolniony ze służby.

–Byłem po prostu wypalony.

–Nie. Załamanie było próbą ukarania się. Nie udało ci się zginąć, więc chciałeś się ukarać, żeby uciec od wyrzutów sumienia. Ale to też ci się nie udało, ponieważ wyszedłeś z załamania, zostałeś doceniony i z honorami odesłany do domu. Byłeś zbyt silny, aby nie wyzdrowieć, i w dalszym ciągu musiałeś dźwigać brzemię winy.

Chase milczał, a Fauvel ciągnął:

–Być może, kiedy trafiłeś na tamto miejsce zbrodni na Kanackaway, dostrzegłeś następną okazję, żeby się ukarać. Widocznie zrozumiałeś, że możesz zostać ranny albo zabity i podświadomie na to czekałeś.

–Nieprawda – zaprzeczył Chase. Fauvel milczał.

–Nieprawda – powtórzył Chase.

–Tak właśnie było – rzekł Fauvel z lekkim zniecierpliwieniem. Celowo użył tak kategorycznego zwrotu, żeby speszzyć Chase'a.

–Wcale nie. Byłem od niego cięższy o piętnaście kilo i wiedziałem, co robię. To był amator. Nie miał ze mną szans.

Fauvel milczał.

W końcu Chase powiedział:

–Przepraszam. Fauvel się uśmiechnął.

–No cóż, nie jesteś psychiatrą, więc nie możemy oczekiwać, że będziesz widział wszystko jasno i wyraźnie. Nie jesteś bezstronny tak jak ja. – Odchrząknął i znowu spojrzął na

blękitnego teriera. – A skoro do tego doszliśmy, czemu zażądałeś tej nadprogramowej wizyty, Ben?

Kiedy już zaczął mówić, dalsza część opowieści przyszła mu bez trudu. W ciągu dziesięciu minut zrelacjonował wszystkie wydarzenia wczorajszego dnia i powtórzył prawie słowo w słowo rozmowy z Sędzią.

–Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał Fauvel, kiedy Chase skończył.

–Chcę wiedzieć, jak mam postąpić. Potrzebuję rady.

–Ja nie udzielam rad, ja ci tylko służę za przewodnika i interpretuję twoje myśli.

–W takim razie niech mi pan pomoże jako przewodnik. Denerwuję się, kiedy dzwoni Sędzia, i to wcale nie z powodu jego gróźb. Chodzi o to uczucie... że stoję z boku, że jestem poza wszystkim co się dzieje.

–Kolejne załamanie?

–Czuję, jakbym był na krawędzi – rzekł Chase.

–Zignoruj go – powiedział Fauvel.

–Sędziego?

–Zignoruj go.

–Ale przecież mam obowiązek...

–Zignoruj go.

–Nie mogę.

–Musisz.

–A jeśli on mówi poważnie?

–Nie mówi.

–A jeśli naprawdę będzie chciał mnie zabić?

–Nie będzie.

–Skąd pan to może wiedzieć?

Chase był zlany potem. Koszula kleiła mu się do pleców, pod pachami pojawiły się ciemne

plamy.

Fauvel uśmiechnął się do niebieskiego teriera, a potem przeniósł wzrok na szklanego greyhunda zatopionego w bursztynie. Na jego twarz powrócił pewny siebie wyraz zadowolenia.

–Ponieważ wiem, że Sędzia nie istnieje.

Chase nie od razu zrozumiał, co Fauvel ma na myśli. Kiedy w końcu zrozumiał, wcale mu się to nie spodobało.

–Chce mi pan powiedzieć, że ten Sędzia jest nieprawdziwy?

–Czy tak właśnie uważasz, Chase?

–Nie.

–Ty to powiedziałaś.

–On mi się nie przywidział. Nic z tych rzeczy. O morderstwie i dziewczynie piszą w gazetach.

–Och tak, to się wydarzyło naprawdę – rzekł Fauvel. – Ale telefony... sam nie wiem. Jak myślisz, Chase?

Chase nie odpowiedział.

–Czy te telefony były prawdziwe?

–Tak.

–Czy też były złudzeniem?

–Nie.

–Wyobraziłeś sobie...

–Nie.

–Od pewnego czasu zauważyłem – powiedział Fauvel – że zacząłeś pomału pozbywać się tej swojej nienaturalnej potrzeby izolacji i że stopniowo, z tygodnia na tydzień, coraz bardziej otwierasz się na świat.

–Nie zauważyłem tego.

–Och tak. Bardzo nieznacznie, ale stałeś się ciekawy świata. Zaczynasz się niecierpliwić,

chcesz żyć dalej.

Chase wcale nie czuł się zniecierpliwiony, tylko przyparty do muru.

–Może nawet znowu budzi się w tobie pociąg seksualny, chociaż na razie dość słaby. Poczucie winy cię przytłacza, ponieważ nie zostałeś ukarany za to, co się wydarzyło w tunelu, i nie chciałeś wracać do normalnego życia, dopóki nie przecierpisz, ile trzeba.

Chase nie lubił tej zadowolonej pewności siebie doktora Fauvela. W tej chwili miał największą ochotę stąd wyjść, wrócić do domu, zamknąć drzwi i otworzyć butelkę.

–Nie mogłeś się pogodzić z faktem – ciągnął Fauvel – że znów chciałbyś zakosztować uroków życia, więc wymyśliłeś Sędziego, który uosabia groźbę kary. Szukasz usprawiedliwienia za powrót do życia i tu Sędzia również spełnia swoje zadanie. Prędzej czy później musiałbyś wykazać inicjatywę, żeby go powstrzymać. Mógłbyś udawać, że nadal chciałeś żyć w odosobnieniu i żalobie, ale nie dane ci już było korzystać z ich dobrodziejstwa.

–To wszystko nieprawda – powiedział Chase. – Sędzia jest prawdziwy.

–Nie sądzę. – Fauvel uśmiechnął się do bursztynowego greyhonda. – Jeżeli naprawdę uważałeś, że ten mężczyzna istnieje, że te telefony do ciebie są realne, to dlaczego nie poszedłeś na policję zamiast do psychiatry?

Chase nie miał na to odpowiedzi.

–Pan wszystko przekręca.

–Nie. Po prostu pokazuję ci prawdę.

–On jest prawdziwy. Fauvel wstał i przeciągnął się.

–Idź do domu i zapomnij o Sędzim. Nie potrzebujesz wymówek, żeby żyć jak normalny człowiek. Już wycierpiałeś swoje. Więcej niż trzeba. Popelnileś okropny błąd, w porządku, ale wtedy w tunelu działałeś w okropnym stresie, pod niewiarygodną presją. To był błąd, a nie wykalkulowane bestialstwo. Odebrałeś komuś życie, zgoda, ale ocaliłeś w zamian wiele innych. Pamiętaj o tym.

Chase wstał. Był kompletnie dezorientowany, nie wiedział już, co jest prawdziwe, a co nie.

Fauvel objął go ramieniem i odprowadził do drzwi.

–W piątek o trzeciej – powiedział. – Zobaczymy, jak daleko wytkniesz nos ze swojej nory. Myślę, że ci się uda, Ben. Nie trać nadziei.

O szóstej po południu Chase siedział na brzegu łóżka przy stoliku nocnym z telefonem i popijał whisky. Odstawił drinka, wytarł spocone dłonie w spodnie i odchrząknął, żeby głos go nie zawiódł, kiedy zadzwoni telefon.

Pięć po szóstej poczuł się nieswojo. Zastanawiał się, czyby nie pójść do pani Fielding i nie zapytać, która jest u niej godzina, bo może jego zegarek źle chodzi. Zrezygnował jednak z obawy, że telefon może zadzwonić, kiedy będzie na dole.

Piętnaście po szóstej umył ręce.

O wpół do siódmej poszedł do barku, wyjął butelkę whisky, którą miał na dziś, a którą ledwie napoczął, i nalał sobie pełną szklankę. Nie odstawił butelki. Przeczytał etykietkę, którą oglądał już setki razy, po czym wrócił z drinkiem do łóżka.

O siódmej poczuł, że alkohol szumi mu w głowie. Oparł się o wezglowie i zaczął rozmyślać o tym, co powiedział Fauvel – że nie ma żadnego Sędziego, że to było tylko złudzenie, mechanizm psychologiczny mający za zadanie zracjonalizować słabnące poczucie winy. Próbował to rozważyć, zastanowił się nad znaczeniem tego wszystkiego, ale nie potrafił powiedzieć, czy to dobra, czy zła oznaka.

Poszedł do łazienki, nalał wody do wanny, sprawdzając co jakiś czas temperaturę, aż była w sam raz. Rozłożył mokrą myjkę na brzegu wanny i postawił na niej drinka. Whisky, woda i unosząca się para sprawiły, że Chase zaczął bujać w obłokach. Oparł głowę o ścianę za plecami, zamknął oczy i starał się o niczym nie myśleć, zwłaszcza o Sędzim, medalu i dziewięciu miesiącach spędzonych w Wietnamie.

Zaczął więc myśleć o Louise Allenby, dziewczynie, której uratował życie. Przed oczami wyobraźni zobaczył jej małe, drżące piersi, które wyglądały tak kusząco w przytłumionym świetle samochodu. Myśl ta, jakkolwiek przyjemna, w niefortunny sposób przyprawiła go o pierwszą erekcję od prawie roku, a choć objaw ten sam w sobie był może pożądany, to Chase'owi wydał się niestosowny, zważywszy na okoliczności, w jakich widział na Kanackaway rozebraną Louise. Przypomniła mu się krew w samochodzie, a krew z kolei przypomniła mu powód wszystkich jego kłopotów. Powód ten był tak przytłaczający, że Chase nie ośmielił się zmierzyć z nim samotnie. Erekcja trwała bardzo krótko i niebył pewien, czy mogła oznaczać koniec jego psychologicznej impotencji, czy też po prostu tak podziałała na niego ciepła woda.

Opróżnił szklankę z whisky i wyszedł z wanny. Właśnie się wycierał, kiedy zadzwonił telefon. Zegar elektryczny pokazywał dwie po ósmej.

Nieubrany usiadł na łóżku i podniósł słuchawkę.

–Przepraszam, że się spóźniłem – odezwał się Sędzia. Doktor Fauvel nie miał racji.

–Myślałem, że już nie zadzwonisz – rzekł Chase.

–Potrzebowałem więcej czasu, żeby zebrać o tobie pewne informacje.

–Jakie informacje?

Sędzia najwyraźniej chciał pokierować rozmową po swojemu i zignorował pytanie Chase'a.

–A więc chodzisz co tydzień do psychiatry, tak? Chase nie odpowiedział.

–To potwierdza moje wczorajsze przypuszczenia, że twoja renta nie była wynikiem odniesionych ran, tylko urazów psychicznych.

Chase żałował, że nie ma pod ręką drinka. Nie mógł poprosić Sędziego, żeby poczekał, aż naleje sobie whisky. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił wyjaśnić, nie chciał, aby Sędzia się domyślił, że tak dużo pije.

–Jak się dowiedziałeś?

–Śledziłem cię po południu.

–To było śmiało.

–Sprawiedliwi mogą sobie pozwolić na śmiałość.

–Oczywiście.

Sędzia się roześmiał. Był z siebie bardzo zadowolony.

–Widziałem, jak wchodzisz do budynku Kaine. Udało mi się wejść za tobą do holu na tyle szybko, żeby zobaczyć, do której windy wsiadłeś i na które piętro pojechałeś. Na siódmym piętrze poza gabinetem doktora Fauvela mieszczą się dwa gabinety dentystyczne i trzy agencje ubezpieczeniowe. Wystarczyło zajrzeć do poczekalni i przepyttać sekretarki i recepcjonistki, podając się za twojego przyjaciela. Psychiatrę zostawiłem sobie na koniec, bo właściwie już wiedziałem, gdzie poszedłeś. Kiedy się okazało, że nigdzie indziej cię nie znają, nie musiałem nawet zaglądać do poczekalni Fauvela.

–No i co z tego? – zapytał Chase.

Miał nadzieję, że jego słowa zabrzmiały swobodnie. Zależało mu, żeby wyrzucić na Sędzim odpowiednie wrażenie. Znów się zaczął pocić. Zanim skończą rozmawiać, będzie musiał wziąć następną kąpiel. I następnego drinka. Zimnego.

–Kiedy się zorientowałem, że poszedłeś do psychiatry, uznałem, że muszę zdobyć kopię historii twojej choroby. Zamknąłem się w magazynie i odczekałem, aż wszyscy pracownicy pójdą do domu.

–Nie wierzę ci – rzekł Chase, przeczuwając, co zaraz nastąpi, i bojąc się tego, co może usłyszeć.

–Nie chcesz mi wierzyć, ale wierzysz. – Sędzia powoli nabral powietrza, a potem mówił dalej:
– O szóstej siódme piętro opustoszało. O wpół do siódmej otworzyłem drzwi do gabinetu doktora Fauvela. Wiem trochę o tych sprawach i byłem bardzo ostrożny. Nie popsulem zamka i nie włączyłem alarmu, bo żadnego nie było. Wystarczyło mi pół godziny, żeby znaleźć całą dokumentację Fauvela i twoją kartę chorobową. Skopiowałem na fotokopiarce doktora.

–To włamanie i kradzież – poinformował go Chase.

–Jednak drobiazg w porównaniu z morderstwem, prawda?

–Sam przyznajesz, że popełniłeś morderstwo.

–Nie. To był sąd. Ale policja tego nie rozumie. Nazywają to morderstwem. Nie nadają się na narzędzie sprawiedliwości.

Chase nie odpowiedział.

–Prawdopodobnie pojutrze dostaniesz pocztą kopie swoich akt z gabinetu doktora Fauvela razem z kilkoma artykułami, które Fauvel napisał do różnych pism medycznych. We wszystkich wspomina o twoim przypadku, a w kilku jesteś nawet głównym przedmiotem dyskusji, no, rzecz jasna, nie wymienia cię z nazwiska, nazywa cię „pacjentem C”, ale nie ma wątpliwości, że chodzi o ciebie.

–Nie wiedziałem, że to zrobił – powiedział Chase.

–To bardzo ciekawe artykuły, Chase. Zorientujesz się z nich, co doktor o tobie myśli. – W głosie Sędziego zabrzmiała pogarda. – Czytając twoje akta, znalazłem mnóstwo argumentów, żeby cię osądzić.

–Naprawdę?

–Wiem wszystko na temat tego, jak zdobyłeś swój medal. Chase czekał.

–Czytałem też o tunelach i o tym, co tam zrobiłeś. I o tym, jak nie wydałeś porucznika Zacharii, kiedy niszczył dowody i składał fałszywy meldunek. Uważasz, że Kongres przyznałby ci medal, gdyby wiedział, że zabiłeś cywilów?

–Przestań.

–Zabiłeś kobiety, prawda?

–Może.

–Zabiłeś kobiety i dzieci, Chase. Ludzi, którzy nie byli żołnierzami.

–Nie wiem, czy kogokolwiek zabiłem – odparł Chase bardziej do siebie niż do Sędziego. – Nacisnąłem spust... ale strzelałem na oślep... w ściany... nie wiem.

–Cywilów, Chase.

–Nie masz pojęcia, jak tam było.

–Dzieci, Chase.

–Niczego o mnie nie wiesz.

–Zabiłeś dzieci. Co z ciebie za zwierzę, Chase?

–Pieprz się! – Chase poderwał się na nogi, jakby obok niego coś wybuchło. – Co ty możesz o tym wszystkim wiedzieć? Byleś tam? Służyłeś choćby jeden dzień w tym parszywym kraju?

–Patriotyczne hymny pochwalne na temat służby krajowi nie zmieniają moich zapatrywań, Chase. Wszyscy kochamy naszą ojczyznę, ale większość nas zdaje sobie sprawę, że są granice...

–Przestań pieprzyć!

Nie pamiętał, żeby tak się rozgniewał od powrotu ze szpitala. Od czasu do czasu zdarzało się, że coś go zezłościło, ale ani razu nie dopuścił, żeby zawaładnęły nim takie skrajne emocje.

–Chase...

–Założę się, że chciałeś tej wojny. Założę się, że byłeś jednym z tych, przez których się tam w ogóle znalazłem. Łatwo ustalać zasady, wyznaczać granice tego, co słuszne, kiedy siedzi się na tyłku piętnaście tysięcy kilometrów od miejsca, gdzie się wszystko rozgrywa.

Sędzia próbował się odezwać, ale Chase nie dopuścił go do głosu.

–Nie chciałem tam jechać. Nie wierzyłem w tę zasraną wojnę i od początku do końca byłem przerażony. Myślałem tylko o tym, żeby przeżyć. W tym tunelu nie potrafiłem myśleć o niczym innym. To nie byłem ja, to był podręcznikowy przypadek paranoi, ogarnięty panicznym strachem i usiłujący po prostu przetrwać.

Nigdy dotąd nie mówił o tym, co przeżył, tak otwarcie i bezpośrednio, nawet Fauvelowi, który wyciągał z niego całą historię słowo po słowie.

–Zzerają cię wyrzuty sumienia – oświadczył Sędzia.

–To nie ma nic do rzeczy.

–Myśle, że ma. To dowodzi, że wiesz, że zrobiłeś źle i...

–To nie ma nic do rzeczy, bo, bez względu na moje wyrzuty sumienia, ty nie masz prawa mnie osądzać. Siedzisz tu z tą swoją maleńką listą przykazań, ale nigdy nie byłeś gdzieś, gdzie ta twoja lista traci wszelki sens, gdzie okoliczności zmuszają cię do robienia czegoś, co cię napawa odrazą.

Ze zdumieniem stwierdził, że płacze. Nie płakał od bardzo dawna.

–Próbujesz się usprawiedliwiać – zaczął Sędzia, chcąc odzyskać inicjatywę w rozmowie. – Jesteś nędznym mordercą...

–Ty jakoś nie przestrzegałeś swoich przykazań. Zabiłeś Michaela Karnesa.

–To było co innego – mruknął Sędzia, a głos mu zaczął bardziej chrypieć.

–Czyżby?

–Tak – bronił się Sędzia. – Ja starannie zbadalem jego życie, zebrałem przeciwko niemu dowody i dopiero później wydałem wyrok. Ty nic takiego nie zrobiłeś, Chase. Ty zabiłeś obcych ludzi, możliwe, że zupełnie niewinnych, którzy nie mieli splamionych dusz.

Chase odłożył słuchawkę.

Telefon dzwonił cztery razy w ciągu następnej godziny, ale Chase zignorował go bez trudu. Ani na chwilę nie osłabł w nim gniew. To było najgwałtowniejsze uczucie, jakie targnęło nim od wielu miesięcy przeżytych na granicy katatonii.

Wypił trzy następne drinki, zanim znów się nieco uspokoił, a ręce przestały mu się trząść.

O dziesiątej wykręcił numer komendy głównej policji i poprosił detektywa Wallace'a. Niestety, chwilowo go nie było.

Za dwadzieścia jedenasta spróbował jeszcze raz. Tym razem Wallace był i chemie podszedł do telefonu.

–Nic nie idzie tak dobrze, jak się z początku spodziewaliśmy – powiedział. – Wygląda na to, że facet nie był notowany, a przynajmniej nie znaleźliśmy jego odcisków w kartotekach zbrodniarzy, których uznaliśmy za najbardziej prawdopodobnych. Możemy go jeszcze znaleźć w innych zestawieniach: aktach wojskowych i tym podobnych.

–A co z sygnetem?

–Okazało się, że to tandeta za piętnaście dolców, w każdym sklepie takie sprzedają. Nie da się prześledzić, kto, gdzie ani kiedy go kupił.

Chase niechętnie podjął decyzję.

–W takim razie mam coś dla pana.

To powiedziawszy, w kilku krótkich zdaniach zrelacjonował Wallace’owi swoje rozmowy z Sędzią.

Wallace był wściekły, ale starał się nie krzyknąć.

–Dlaczego nie powiedział pan nam o tym wcześniej?

–Myślałem, że mając odciski palców, złapiecie go bez trudu.

–W takiej sprawie jak ta odciski prawie nigdy nic nie dają – rzekł Wallace nadal gniewnym głosem, ale już nieco łagodniej, najwyraźniej przypomniawszy sobie, że jego rozmówca jest bohaterem wojennym.

–Poza tym – dodał Chase – on wiedział, że rozmowa może być nagrywana. Dzwonił z automatów i nigdy nie rozmawiał dłużej niż pięć minut.

–Mimo to chciałbym go usłyszeć. Za piętnaście minut przyjadę do pana ze swoim człowiekiem.

–Tylko jednym?

–Postaramy się za bardzo nie zakłócić pańskiego porządku dnia.

Chase omal nie wybuchnął śmiechem.

*

Chase wyglądał przez okno ze swojego poddasza i kiedy podjechał samochód policyjny, wyszedł przed dom, żeby nie mieszać do całej sprawy pani Fielding.

Wallace przedstawił mu drugiego funkcjonariusza. Nazywał się James Tuppinger. Ubrany po cywilnemu Tuppinger był o piętnaście centymetrów wyższy od Wallace'a, jasne włosy nosił ostrzyżone na jeża tak krótko, że z daleka wydawał się zupełnie łysy. Miał niebieskie oczy, które bystro przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot i patrzyły przenikliwym wzrokiem księgowego dokonującego spisu inwentarza. W ręku dźwigał wielką walizę.

Pani Fielding udawała, że ogląda jakiś program w telewizji, ale obserwowała ich z okna salonu. Nie wyszła jednak zobaczyć, co się dzieje. Chase czym prędzej zaprowadził obu mężczyzn na górę, żeby nie zdążyła się zorientować, kim są.

–Przytulne mieszkanko – powiedział Wallace.

–Mnie wystarcza – odparł Chase.

Tuppinger momentalnie obrzucił wzrokiem nieposłane łóżko, brudne szklanki po drinkach na blacie kuchennym i na wpół opróżnioną butelkę whisky. Nie odezwał się jednak ani słowem. Położył walizę ze sprzętem koło telefonu i zaczął oglądać kabel i gniazdko w ścianie pod oknem.

Podczas gdy Tuppinger pracował przy podsłuchu, Wallace zaczął przesłuchiwać Chase'a.

–Jaki ma głos przez telefon?

–Trudno powiedzieć.

–Młody? Stary?

–Coś pośrodku.

–Akcent?

–Normalny.

–Jakieś wady wymowy?

–Nie. Tylko chrypi, pewnie po naszej szamotaninie.

–Pamięta pan, co mówił za każdym razem, kiedy dzwonił? – zapytał Wallace.

–Mniej więcej.

–Proszę mi powiedzieć.

Klapnął ciężko na jedyny fotel w pokoju i założył nogę na nogę. Wyglądał, jakby spał, chociaż w rzeczywistości był bardzo skupiony.

Chase opowiedział wszystko, co pamiętał ze swoich dziwnych rozmów z Sędzią. Wallace zadał mu kilka pytań, dzięki którym przypomniał sobie jeszcze kilka szczegółów.

–Wygląda na religijnego psychopatę – orzekł Wallace. – Te teksty o cudzołóstwie, grzechach i osądzaniu...

–Może. Ale nie szukałbym go na pielgrzymkach. Moim zdaniem to bardziej pretekst do zabijania niż prawdziwa religijność.

–Może i tak – odrzekł Wallace. – Często mamy z takimi do czynienia.

Tuppinger skończył swoją pracę. Wyjaśnił, jak działa podsłuch i system nagrywania oraz jakich metod użyje firma telekomunikacyjna, żeby wytropić Sędziego, kiedy zadzwoni.

–No, ja w każdym razie po służbie wracam do domu – oświadczył Wallace.

Na myśl o ośmiu godzinach snu powieki same zaczęły mu opadać na zmęczone, przekrwione oczy.

–Jedna sprawa – powiedział Chase.

–Słucham.

–Jeśli ten podsłuch dokądś doprowadzi, czy moglibyście nie wspominać dziennikarzom o moim udziale?

–Dlaczego? – spytał Wallace.

–Męczy mnie robienie za wielką sławę. Ludzie wydzwanają w dzień i w nocy.

–Jeśli go przyszpilimy, to pański udział i tak na pewno wyjdzie na rozprawie – odparł Wallace.

–Ale wcześniej nie?

–Myślę, że nie.

–Byłbym wdzięczny. Tak czy inaczej pewnie będę wezwany na rozprawę, prawda?

–Prawdopodobnie tak.

–Jeśli dziennikarze nie dowiedzą się teraz, to później też się będą mniej na ten temat rozpisywać.

–Naprawdę jest pan skromny, co? – rzekł Wallace. Zanim Chase zdołał odpowiedzieć, detektyw uśmiechnął się, poklepał go po ramieniu i wyszedł.

–Napije się pan? – zapytał Chase Tuppingtona.

–Nie, jestem na służbie.

–A nie będzie panu przeszkadzało, jeśli ja...?

–Nie, proszę bardzo.

Chase zauważył, że Tuppington przygląda mu się uważnie, jak wrzuca do szklaneczki lód i nalewa sporą porcję whisky. I tak nie nalał tyle co zwykle. Doszedł do wniosku, że w towarzystwie policjanta będzie musiał się trochę ograniczyć.

Kiedy usiadł na łóżku, Tuppington zapytał:

–Czytałem o pańskich wyczynach w Wietnamie.

–Tak?

–To było naprawdę coś.

–Tak naprawdę to nie.

–Było, było – upierał się Tuppington. Siedział w fotelu, który przysunął sobie do telefonu. – Musiało tam być ciężko, pewnie gorzej, niż my tutaj możemy sobie wyobrazić.

Chase skinął głową.

–Podejrzewam, że medale niewiele przy tym znaczą. Chodzi mi o to, że po tym wszystkim, co pan przeszedł, żeby na nie zasłużyć, to one są niewiele warte.

Chase podniósł wzrok znad drinka. Zaskoczyło go, że ten człowiek potrafił wykazać tyle zrozumienia.

–Ma pan rację, one nic nie znaczą.

–I pewnie trudno po tym wrócić do normalnego życia. Wspomnienia się tak szybko nie zacierają.

Chase już zaczął odpowiadać, ale zobaczył, że Tuppington spogląda znacząco na szklanekę z alkoholem, i zamknął usta. Znienawidził go tak samo jak Sędziego. Podniósł drinka i wypił

ostatniego, dużego łyka.

–Chyba sobie zrobię jeszcze jednego. Na pewno pan nie chce? – zapytał.

–Absolutnie – odparł Tuppinger.

Kiedy Chase wrócił z następną whisky, Tuppinger pouczył go, żeby nie odbierał telefonu, dopóki nie włączy się taśma. Potem poszedł do łazienki, gdzie siedział prawie dziesięć minut.

–Jak długo musimy jeszcze czekać z pójściem spać? – zapytał Chase.

–A czy dzwonił kiedyś tak późno? To znaczy poza tą pierwszą nocą.

–Nie – zaprzeczył Chase.

–W takim razie ja też się zdrzemnę – powiedział Tuppinger, zapadając się w fotel. – Do zobaczenia rano.

*

Rankiem obudziły Chase'a szeptu umarłych, które jednak okazały się niczym innym jak szumem wody w łazienkowej umywalce. Tuppinger wstał pierwszy i właśnie się golił.

Kiedy wrócił do pokoju, wyglądał bardzo świeżo.

–Łazienka należy do pana.

Był wyjątkowo rześki jak na noc spędzoną w fotelu.

Chase się nie spieszył. Długo się kąpał, potem powoli ogolił. Im dłużej posiedzi w łazience, tym mniej będzie musiał gadać z policjantem. Toaletę skończył za piętnaście dziesiąta. Sędzia jak dotąd nie zadzwonił.

–Co pan jada na śniadanie? – spytał Tuppinger.

–Przykro mi, ale w domu nic nie mam.

–Oj, coś tam ma pan na pewno. Nie muszą być jajka na bekonie, wystarczy równie dobrze kanapka z serem. Nie jestem rano wymagający.

Chase otworzył lodówkę i wyjął z niej paczkę jablek w plastikowej torebce.

–Mam tylko to.

Tuppinger otworzył szeroko oczy na widok jablek i pustej lodówki. Spojrzał na butelkę whisky na blacie. Nie skomentował tego ani słowem.

–Świetnie – powiedział z entuzjazmem, biorąc od Chase'a przezroczystą paczkę z owocami.

– Chce pan jedno?

–Nie.

–Powinien pan zjeść śniadanie. Chociaż niewielkie, żeby żołądek zaczął pracować.

–Nie, dziękuję.

Tuppinger obrał starannie dwa jabłka, rozkroił na kilka części i zjadł je powoli, dokładnie przeżuając każdy kawalek.

O wpół do jedenastej Chase zaczął się niepokoić. A jeśli Sędzia w ogóle dzisiaj nie zadzwoni? Nieznośna była myśl, że Tuppinger może tu zostać przez całe popołudnie i wieczór i że jutro znowu obudzi go odgłos policjanta golącego się w łazience.

–Ma pan jakiegoś zmiennika? – zapytał.

–Raczej dopilnuję tego sam, jeśli sprawa się zbytnio nie przeciągnie – odparł Tuppinger.

–Ile to może potrwać?

–Jeśli go nie namierzemy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, to wezwę zmiennika.

Chociaż perspektywa czterdziestu ośmiu godzin spędzonych z Tuppingerem nie pociągała Chase’a w najmniejszym stopniu, to towarzystwo innego policjanta ani trochę nie poprawiłoby sytuacji, a kto wie, czyby jej jeszcze nie pogorszyło. Tuppinger był zbyt spostrzegawczy, żeby Chase czuł się przy nim swobodnie, ale przynajmniej za dużo nie gadał. Niech sobie patrzy. I niech sobie myśli, co chce. Dopóki trzyma język za zębami, nie jest źle.

Koło południa Tuppinger zjadł następne dwa jabłka i namówił Chase’a do zjedzenia przynajmniej połówki. Ustalili, że wieczorem Chase pójdzie po piezonego kurczaka na wynos, frytki i sałatkę.

O wpół do pierwszej Chase zrobił sobie pierwszego drinka. Tuppinger obserwował go uważnie, ale nie odezwał się ani słowem. Tym razem Chase nie zaproponował mu alkoholu.

O trzeciej zadzwonił telefon. Chociaż obaj na to czekali od zeszłego wieczora, Chase wcale nie miał ochoty odbierać. Ponieważ jednak Tuppinger go ponaglał, włączając swój sprzęt, niechętnie podniósł słuchawkę.

–Słucham – powiedział głosem, w którym słyhać było napięcie.

–Czy to pan Chase?

–Tak – odpowiedział, natychmiast rozpoznając ten głos.

–Mówi panna Pringle z gabinetu doktora Fauvela. Dzwonię, żeby panu przypomnieć, że ma pan jutro umówioną wizytę o trzeciej. Pięćdziesięciminutowa sesja, jak zwykle.

–Tak, dziękuję pani.

Panna Pringle zawsze potwierdzała wizytę dzień wcześniej, ale Chase o tym zapomniał.

–Jutro o trzeciej – powtórzyła i rozłączyła się.

Za dziesięć piąta Tuppinger zaczął narzekać, że jest głodny i że wybitnie nie ma ochoty na piąte jabłko.

Chase nie miał nic przeciwko wcześniejszej kolacji, przyjął pieniądze od Tuppingera i wyszedł kupić kurczaka z frytkami i sałatkę. Wziął jeszcze dużą coca-colę, ale tylko dla policjanta, bo sam miał zamiar pić jak zwykle whisky.

Zjedli piętnaście po piątej, oglądając w milczeniu stary film w telewizji.

Niecałe dwie godziny później przyjechał Wallace. Wyglądał na bardzo zmęczonego, chociaż zaczął służbę o szóstej.

–Panie Chase, czy mógłbym zamienić z Jamesem kilka słów na osobności? – zapytał.

–Oczywiście – odparł Chase.

Wyszedł do łazienki, zamknął za sobą drzwi i odkręcił wodę w kranie, która zaczęła szemrać jak szepczący umarli. Wytrącił go z równowagi ten odgłos.

Opuścił klapę sedesu i usiadł, gapiąc się w pustą wannę. Stwierdził, że wanna wymaga porządnego szorowania. Zastanawiał się, czy Tuppinger to zauważył.

Niespełna pięć minut później Wallace zapukał do drzwi łazienki.

–Przepraszam, że tak pana potraktowałem we własnym mieszkaniu, ale rozumie pan, sprawy służbowe.

–Pewnie pan Tuppinger już powiedział, że nie mieliśmy szczęścia.

Wallace kiwnął głową. Był dziwnie zmieszany i po raz pierwszy nie patrzył Chase’owi w oczy.

–Słyszałem.

–To jak dotąd najdłuższa przerwa między jego telefonami. Wallace znów pokiwał głową.

–Wie pan, możliwe, że on już w ogóle więcej nie zadzwoni.

–Myśli pan, że wydał już na mnie wyrok i dlatego nie będzie dzwonił?

Zobaczył, że Tuppinger rozłącza kable i pakuje do walizki swój sprzęt.

–Obawiam się, że tak. Zabójca pana... osądził albo przestał się panem interesować, jedno z dwojga, i więcej nie będzie się próbował z panem kontaktować. Nie chcemy tu trzymać ludzi

uziemionych bez potrzeby.

–Wychodzicie? – zapytał Chase.

–Tak, myślę, że tak będzie najlepiej.

–Ale jeszcze kilka godzin i może...

–Może nic by to nie dało – powiedział Wallace. – Będziemy polegać na panu, panie Chase. Przekażę nam pan, co mówił Sędzia, jeśli zadzwoni, co wydaje się już mało prawdopodobne.

To powiedziawszy, uśmiechnął się do Chase'a, a ten uśmiech starczył Chase'owi za całe wyjaśnienie.

–Tuppinger do pana zadzwonił, kiedy mnie wysłał po jedzenie, prawda? – I nie czekając na odpowiedź, ciągnął: – I powiedział panu o telefonie od sekretarki doktora Fauvela. Prawdopodobnie zaniepokoiło go słowo „sesja”. I rozmawiał pan z poczciwym panem doktorem.

Tuppinger skończył pakować sprzęt. Wziął walizkę i rozejrzał się szybko po pokoju, czy czegoś nie zostawił.

–Sędzia istnieje naprawdę – powiedział Chase do Wallace'a.

–Z pewnością – rzekł Wallace. – Właśnie dlatego chcę, żeby informował nas pan za każdym razem, kiedy do pana zadzwoni.

Mówił to jednak takim tonem, jakim dorosły przemawia uspokajająco do dziecka.

–Ty głupi draniu, on jest prawdziwy!

Wallace też się zirytował. Kiedy zaczął mówić, słychać było, że wkłada dużo wysiłku, aby zachować spokój.

–Panie Chase, uratował pan dziewczynę. Zasługuje pan za to na pochwałę. Ale faktem jest, że nikt tu nie zadzwonił przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Gdyby pan wierzył, że istnieje ktoś taki jak ten Sędzia, powiedziałby nam pan to wcześniej, kiedy zadzwonił do pana za pierwszym razem. To byłby naturalny odruch, żeby nas powiadomić, zwłaszcza u człowieka o tak dużym poczuciu obowiązku jak pan. Wszystko to w świetle pańskich akt chorobowych i wyjaśnień doktora Fauvela świadczy, że oddelegowanie tu jednego z naszych najlepszych ludzi jest zbędne. Tuppinger ma inne obowiązki.

Chase zdał sobie sprawę, że dowody potwierdzające tezę Fauvela są rzeczywiście przytłaczające. Zrozumiał też, że nie pomogło mu jego własne zachowanie – skłonność do whisky, niechęć do prowadzenia najprostszej konwersacji, a co najgorsze, jego lęk przed rozgłosem mógł wyglądać na nieszczerze protesty człowieka, który w rzeczywistości pragnie

ściągnąć na siebie uwagę. Wszystko to doskonale rozumiał, a mimo to zacisnął mocno pięści.

–Wynoście się – powiedział.

–Spokojnie, synu – odparł Wallace.

–Wynoście się stąd natychmiast.

Wallace rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na butelce whisky.

–Tuppinger powiedział mi, że nie ma pan nic w lodówce, ale za to w barku stoi pięć butelek whisky. – Nie patrzył na Chase’a, był wyraźnie zakłopotany tymi szpiegowskimi poczynaniami swojego kolegi. – Masz z piętnaście kilo niedowagi, synu.

I nie czekając, aż Chase jeszcze bardziej rozwścieczony tą dyletancką psychoanalizą znów każe im się wynosić, wyszedł, a tuż za nim podążył Tuppinger.

Chase zamknął za nimi drzwi. Cicho. Zasunął zamek. Nalał sobie drinka. Znow był sam. Przywykł do samotności.

W czwartek o wpół do ósmej wieczorem Chase wyszedł z domu, szczęśliwie uniknąwszy po drodze spotkania z panią Fielding, wsiadł do swojego mustanga, i na wpół świadom, dokąd właściwie zmierza, pojechał na Kanackaway Ridge. W Ashside i na przedmieściach trzymał się ograniczenia prędkości, ale kiedy wjechał na górską drogę, docisnął gaz do dechy i brał zakręty daleko po zewnętrznej. Białe słupki barierek ochronnych migały tak szybko i tak blisko prawego błotnika samochodu, że zlewały się jakby w jeden ciągły płot, a łańcuchy między nimi wyglądały jak czarne bazgroły na wymyślnym białym murze.

Na szczycie Kanackaway zjechał z drogi dokładnie w tym samym miejscu co w poniedziałek w nocy. Zgasił silnik i zaczął nasłuchiwać szeptów wiatru.

Nie powinien się zatrzymywać, powinien za wszelką cenę być ciągle w ruchu. Dopóki był w ruchu, nie musiał się zastanawiać, co robić dalej; kiedy się zatrzymywał, dopadał go niepokój, lęk i zakłopotanie.

Wysiadł z samochodu, chociaż sam nie wiedział, czego tu właściwie szuka. Miał jeszcze mniej więcej godzinę dziennego światła, żeby przeszukać miejsce, gdzie wtedy stał Chevrolet. Tylko że policja przeczesywała to miejsce po wielokroć i dużo dokładniej niż on.

Szedł powoli w stronę miejsca, gdzie trzy dni temu parkował Chevrolet. Darń była zryta, zaśmiecona niedopalkami, papierkami po cukierkach i zgniecionymi w kulki kartkami z dziennikarskich notatników. Rozgarniał nogą śmieci i przyglądał się uważnie stratowanej trawie. To śmieszne, przecież przewaliło się tędy tylu gapiów spragnionych makabrycznych sensacji, że niby jakim cudem miałby znaleźć jakiś trop w tym bałaganie.

Podszedł do barierki zabezpieczającej brzeg urwiska, przechylił się nad nią i spojrzał w dół na skalną ścianę i niżej na splątane gąszcze jeżyn i kępy robinii. Kiedy podniósł głowę, widział przed sobą całe miasto rozłożone szeroko w dolinie. W przedwieczornym świetle miedziana kopuła sądu wyglądała niczym budowla z bajki.

Patrzył na zaśnieżony dach, kiedy nagle usłyszał ostry świst. Za chwilę drugi. Stalowa poręcz zadrżała pod jego dłońmi. Ten odgłos znał dobrze: kule uderzały o metal i odbijały się rykoszetem.

Z szybkością wyćwiczoną w wielu bojach padł na ziemię, rozejrzał się i stwierdził, że najlepiej będzie się ukryć za najbliższą kępą jeżyn. Przetoczył się za ten naturalny żywopłot i wpadł na klującą gałąź z takim impetem, że rozorał sobie o kolce policzek i czoło. Leżał bez ruchu. Czekał.

Minęła minuta. Potem następna. Cisza, tylko wiatr zawodził.

Podczołgał się na drugi koniec rzędu jeżyn, biegnącego równoległe do drogi. Wychylił się,

spojrzał na prawo. Park robił wrażenie opustoszałego.

Zaczął wstawać, odwracając się w stronę drogi, ale błyskawicznie rzucił się znowu w bok na ziemię. Instykt. W miejscu, gdzie przed chwilą kucal, wytrysnęły w powietrze odstrzelone kępki trawy. Sędzia miał pistolet z tłumikiem.

Żaden cywil nie mógł legalnie kupić tłumika. Morderca musiał mieć dostęp do czarnego rynku.

Chase przeczołgał się z powrotem tą samą drogą na środek zarośli. Szybko zdjął koszulę, przedarł ją na pół i owinał sobie dłonie. Leżąc na brzuchu, rozchylił kolczaste pnącza, aż zrobił szczelinę, przez którą mógł obejrzeć teren za krzakami.

Zobaczył Sędziego od razu. Zabójca kucal przy przednim błotniku mustanga i trzymał pistolet przed sobą w wyciągniętej ręce, czekając, aż jego ofiara wychyli się zza krzaków. Z odległości siedemdziesięciu metrów, w słabym świetle zapadającego zmierzchu Chase widział tylko ciemny zarys postaci, twarz tonęła w mroku.

Puścił gałęzie i odwinął ręce. Na czubkach trzech palców miał ślady po ukłuciach, ale poza tym nic mu się nie stało.

Półtora metra na prawo przez gałęzie jeżyn świsnęła kula, rozrywając liście na strzępy. Następna przeleciała niecały metr na lewo, na wysokości jego głowy i trzecia jeszcze dalej na lewo. Sędziemu brakowało zimnej krwi zawodowego zabójcy. Zmęczyło go czekanie, więc próbował szczęścia na oślep i strzelając, gdzie popadnie, marnował amunicję.

Chase podpełzł z powrotem do prawego końca żywopłotu i wyjrzał ostrożnie. Sędzia opierał się o samochód i próbował przeladować pistolet. Schylił głowę i chociaż powinno to być łatwe zadanie, gmerał nerwowo przy magazynku.

Chase rzucił się w stronę drania.

Przebiegł tylko jedną trzecią odległości, kiedy Sędzia go usłyszał. Podniósł głowę, w dalszym ciągu ledwie widoczną w słabym świetle, potem skręcił za samochód i zaczął uciekać brzegiem drogi.

Chase był wychudzony i zupełnie nie w formie, mimo to pomalutko tamtego doganiał. Za szczytem wzniesienia droga opadała tak ostro w dół, że musiał zwolnić, aby nie stracić równowagi.

Nieco dalej na poboczu stał zaparkowany czerwony volkswagen. Sędzia dopadł do samochodu, wsiadł za kierownicę i zamknął drzwiczki. Silnik cały czas pracował, zabójca musiał go celowo nie zgasić, kiedy przyjechał, teraz więc błyskawicznie ruszył z miejsca. Kiedy koła złapały przyczepność na asfalcie, opony pisnęły, z tyłu wystrzelił gęsty kłęb dymu i samochód pomknął w dół Kanackaway Ridge Road w stronę miasta.

Chase nie miał szans dojrzeć nawet kawałka numeru rejestracyjnego, bo przestraszył go klakson samochodu, który rozległ się tuż za jego plecami. Uskoczył z drogi, potknął się i poleciał na żwirowe pobocze, odruchowo osłaniając twarz przed kamykami.

Tylko raz szczęknęły hamulce, potem z ogłuszającym dudnieniem, kołysząc na boki załadowaną przyczepą, przemknęła obok Chase'a wielka ciężarówka meblowa z czarnym napisem na pomarańczowym tle: „Przewozy”.

Po chwili ciężarówka i volkswagen znikły mu z oczu.

Na czole miał głęboką pięciocentymetrową rysę, na policzku krótszą, ale w obydwu miejscach krew już zdążyła zaschnąć. Palce też sobie podrapał o kolce, ale wobec wszystkich innych dolegliwości nawet nie czuł tych drobnych draśnień. Od upadku na żwirowym poboczu bolały go żebra, chociaż kiedy naciskał, nie czuł, by były złamane. Przetoczył się spory kawałek po mniejszych i większych kamieniach, tak więc miał mnóstwo siniaków i potłuczeń na plecach, klatce piersiowej i ramionach. Zdarł sobie skórę na obydwu kolanach. Nie miał koszuli, bo ją podarł, żeby osłonić ręce przed jeżynami, a spodnie nadawały się tylko do kosza na śmieci.

Siedział w mustangu w alei kochanków, oglądał swoje obrażenia i był tak wściekły, że najchętniej by w coś przywalil, wszystko jedno w co. Zamiast tego jednak czekał, aż ochłonie.

Zapadł już zmierzch i w alei pojawiły się pierwsze samochody. Chase zdumiał się, widząc, że ci młodzi ludzie tak beztrąsko wracają na miejsce zbrodni, że zupełnie ich nie odstraszyły ostatnie wydarzenia na Kanackaway ani zabójca Michaela Karnesa, który nadal chodził na wolności. Zastanawiał się, czy zadali sobie choćby trud zamknięcia drzwiczek.

Ponieważ policja mogła patrolować Kanackaway, licząc, że morderca powróci na miejsce zbrodni, a samotny mężczyzna w samochodzie mógł się wydać podejrzanym, Chase uruchomił silnik i pojechał z powrotem do miasta.

Po drodze próbował odtworzyć w pamięci każdy szczegół tego, co się wydarzyło, aby nie umknął mu żaden ślad, który mógłby go naprowadzić na tożsamość zabójcy. Facet miał pistolet z tłumikiem i czerwonego volkswagena. Był kiepskim strzelcem, ale dobrym kierowcą. I to by było wszystko.

Co dalej? Na policję?

Nie. Do diabła z policjantami. Szukał pomocy u Fauvela i jedyne, co dostał, to chybioną radę. Z policją było jeszcze gorzej. Musi to załatwić sam. Musi wytropić Sędziego, zanim tamten go zabije.

*

Pani Fielding przywitała go w drzwiach i aż się cofnęła na jego widok.

–Co się panu stało?

–Przewróciłem się – odparł Chase. – To nic takiego.

–Ale ma pan krew na twarzy. Boże, cały pan podrapany!

–Pani Fielding, nic się nie stało. Miałem mały wypadek, ale nic mi nie jest.

Przyjrzała mu się uważniej.

–Czy pan pił, panie Chase? – zapytała, szybko zmieniając ton z zatroskanego na pełen przygany.

–Nie piłem – odrzekł Chase.

–Wie pan, że tego nie pochwalam.

–Wiem.

Minął ją i ruszył w stronę schodów, które zdawały się nieznośnie daleko.

–Nie rozbił pan samochodu?

–Nie.

Wszedł na schody, z utęsknieniem wyglądając skrzyżunku na podest i błogosławionej samotności swojego mieszkania. Zdziwił się jednak, bo wcale nie czuł się tak nieswojo jak zwykle, kiedy rozmawiał z panią Fielding.

–To dobrze – zawołała za nim. – Bo jak ma pan samochód, to łatwiej będzie panu szukać pracy.

Wypił szklaneczkę whisky z lodem, po czym napuścił sobie wody do wanny, najgorętszej, jaką mógł wytrzymać. Zanurzał się powoli i ostrożnie niczym staruszek połamany artretyzmem. Kiedy woda obmyła otwarte rany, aż westchnął z bólu i przyjemności.

Po kąpieli przemył poważniejsze otarcia merthiolatem, włożył cienkie, luźne spodnie, koszulę sportową, skarpetki i mokasyny. Nalał sobie drugiego drinka i usiadł w fotelu, żeby przemyśleć swoje następne posunięcia.

Perspektywa przystąpienia do działania napelniała go lękiem, ale i radosnym podnieceniem.

W pierwszej kolejności musi porozmawiać z Louise Allenby, która była z Michaelem Karnesem, kiedy został zabity. Ją i Chase'a przesłuchiowano oddzielnie. Jeśli spróbują razem przypomnieć sobie wydarzenia tamtego wieczoru, może wymyślą coś użytecznego.

W książce telefonicznej widniało osiemnaście Allenbych, ale Chase przypominał sobie, jak Louise mówiła Wallace'owi, że jej ojciec nie żyje, a matka nie wyszła ponownie za mąż. Tylko jedno nazwisko Allenby w książce telefonicznej należało do kobiety – Clea Allenby, zamieszkała przy Pine Street. To była ulica w dzielnicy Ashside.

Wykręcił numer i czekał, aż po kilku sygnałach odebrała telefon Louise. Rozpoznał japo glosie, mimo że brzmiał bardziej kobieco, niż Chase pamiętał z owego fatalnego wieczora.

–Mówi Ben Chase. Pamiętasz mnie, Louise?

–Oczywiście – powiedziała. Słysząc było, że jest zadowolona z jego telefonu. – Co u pana słyhać?

–Jakoś sobie radzę.

–Czy coś się stało? Mogę coś dla pana zrobić?

–Chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli to możliwe – rzekł Chase. – O tym, co się wydarzyło w poniedziałek.

–Dobrze, jasne.

–Czy to cię za bardzo nie zdenerwuje?

–Czemu miałoby mnie zdenerwować? – Odporność tej dziewczyny nie przestawała go zdumiewać. – Może pan przyjechać teraz?

–Jeśli nie masz nic przeciwko.

–Jasne, że nie. Jest dziesiąta. Za pół godziny? O wpół do jedenastej pasuje?

–Idealnie – odrzekł Chase.

–No to czekam.

Odłożyła słuchawkę tak delikatnie, że przez kilka sekund Chase nawet się nie zorientował, że się rozłączyła.

Ciało zaczynało mu sztywnieć od otarć i potłuczeń, czym prędszej więc wstał, przeciągnął się, wziął kluczyki od samochodu i szybko dokończył drinka.

Kiedy nadeszła pora, żeby wyjść, nagle poczuł, że nie ma ochoty. Pomyślał, jaką odpowiedzialność bierze na swoje barki i jak to zburzy ustalony porządek jego życia, dzięki któremu przeżył tyle miesięcy od zwolnienia z wojska i powrotu ze szpitala. Koniec z leniwymi porankami w mieście, koniec z popołudniami spędzonymi na oglądaniu starych filmów, koniec z wieczornym czytaniem i piciem aż do zaśnięcia. Żadna z tych rzeczy nie będzie już taka jak dawniej, przynajmniej dopóki cała ta sprawa się nie skończy. Gdyby został w domu, wykorzystał to bezpieczne schronienie, może udałoby mu się przeżyć kilka tygodni albo i miesięcy, dopóki nie złapią Sędziego.

Ale następnym razem Sędzia może nie chybić.

Przeklął w duchu wszystkich, którzy przyczynili się do tego, że musi opuścić swój przytulny azyl – prasę lokalną, Stowarzyszenie Kupców, Sędziego, Fauvela, Wallace'a i Tupperera.

Wiedział jednak doskonale, że nie ma innego wyjścia, musi ciągnąć to, w co został wplątany. Pocięszal się, że ich zwycięstwo jest chwilowe; kiedy wszystko się skończy, wróci do swojego pokoju, zamknie drzwi na klucz i znów będzie żył spokojnie i bez wstrząsów, jak do tej pory.

Pani Fielding nie zaczepiła go, kiedy wychodził, postanowił więc uznać to za dobry znak.

Pani Allenby mieszkała z córką w średnio zamożnym rejonie Ashside w jednopiętrowym domu z cegły w stylu neokolonialnym, zbudowanym na niewielkiej działce. Przy wejściu na krótki chodnik rosły po obu stronach dwa klony, a na końcu dwie sosny. Dwa schodki prowadziły do białych drzwi z mosiężną kołatką.

Drzwi otworzyła Louise. Miała na sobie białe szorty i cienką, białą bluzeczkę bez rękawów i pleców. Wyglądała, jakby ostatnie pół godziny spędziła na robieniu makijażu i szczotkowaniu długich włosów.

–Proszę, niech pan wejdzie – zaprosiła go.

Salon wyglądał mniej więcej tak, jak się Chase spodziewał: komplety mebli w stylu kolonialnym, kolorowy telewizor w regale, chodniki na błyszczącej sosnowej podłodze. W mieszkaniu nie było brudno, ale panował w nim nieład – czasopisma wypadały ze stojaka, na stoliku do kawy widać było zaschnięte plamy z wody, tu i ówdzie smugi kurzu.

–Proszę usiąść – powiedziała Louise. – Sofa jest wygodna i ten duży fotel w kwiaty też.

Chase wybrał sofę.

–Przepraszam, że ci zawracam głowę tak późno wieczorem...

–Nie ma sprawy – odparła wesoło. – Kto jak kto, ale pan na pewno nie zawraca mi głowy.

Z trudem rozpoznawał w niej tamtą roztrzęsioną, szlochającą dziewczynę z samochodu Michaela Karnesa.

–Skończyłam już szkołę, więc chodzę spać dopiero wtedy, kiedy już naprawdę jestem bardzo śpiąca – powiedziała Louise. – Zwykle koło trzeciej nad ranem. College zaczynam jesienią. Jestem teraz dużą dziewczynką. – Uśmiechnęła się bez troski, jakby morderstwo popełnione na jej oczach nigdy się nie zdarzyło, jakby nigdy w życiu nie widziała swojego zadżganego kochanka. – Zrobić panu drinka?

–Nie, dziękuję.

–Pozwoli pan, że zrobię sobie?

–Tak, proszę bardzo.

Patrzył na jej zgrabne nogi, kiedy podchodziła do barku między półkami książek.

–Sycylijski stinger. Na pewno pan nie chce? Jest świetny.

–Nie, dziękuję.

Mieszała koktajl z zawodową wprawą, stojąc odwrócona do Chase’a tyłem z przechylnymi biodrami i pośladkami lekko wypiętymi w jego stronę. Może przypadkowo tak stanęła, niczym podłotek na wpół tylko świadom swojej kobiecości, na wpół domyślający się, jak działają na mężczyzn jego krągłe kształty; a może była to starannie wystudiowana poza.

Kiedy wróciła do sofy z drinkiem, Chase zapytał:

–Nie jesteś za młoda na alkohol?

–Mam siedemnaście lat – powiedziała. – Prawie osiemnaście. Nie jestem już dzieckiem, no nie? Może nie jestem jeszcze pełnoletnia, ale to mój dom, więc kto mi zabroni?

–Fakt.

Jeszcze siedem lat temu, kiedy on był w jej wieku, siedemnastoletnie dziewczęta wyglądały na siedemnaście lat. Szybciej teraz dojrzewają. Albo tak im się zdaje.

Sącząc drinka, oparła się na kanapie i założyła nogę na nogę. Chase zauważył stwardniałe czubki jej piersi pod cienką bluzeczką.

–Chodziło mi o to, że może twoja mama położyła się do łóżka...

–Mama jest w pracy – powiedziała Louise i popatrzyła na niego z kokieterijną skromnością, przymykając rzęsy i przekrzywiając głowę na bok. – Jest barmanką. Zaczyna zmianę o siódmej, a kończy o trzeciej. Wraca do domu o wpół do czwartej nad ranem.

–Rozumiem.

–Boi się pan?

–Słucham? Uśmiechnęła się figlarnie.

–Boi się pan być ze mną sam na sam?

–Nie.

–To dobrze. No to... od czego zaczynamy? – spytała kusicielskim tonem i znów spojrzała na niego zalotnie.

Przez następne pół godziny Chase kierował wspomnieniami Louise z poniedziałkowego wieczoru – dodawał swoje spostrzeżenia, wypytywał ją o szczegóły, zachęcał, żeby zadawała pytania jemu, szukając jakiegoś drobnego punktu zaczepienia, który mógł być kluczem do sprawy. Nie przypomnieli sobie jednak nic nowego, chociaż dziewczyna naprawdę starała się mu pomóc. Mówiła o zabójstwie Michaela zupełnie obojętnie, jakby to nie ona siedziała obok

niego w chwili śmierci, tylko przeczytała o wszystkim w gazecie.

–Zrobię sobie jeszcze jednego, dobrze?

–Proszę.

–Dobrze się czuję. W dalszym ciągu pan nie chce?

–Nie, dziękuję.

Chase’owi zależało na tym, żeby jasno myśleć.

Louise stała przy barze w takiej samej prowokacyjnej pozie jak przedtem, a kiedy wróciła na kanapę, usiadła znacznie bliżej Chase’a.

–Właśnie przyszło mi coś do głowy. On nosił taki szczególny sygnet.

–Czemu szczególny?

–Srebrny, kwadratowy, z podwójną błyskawicą. Moja mama spotykała się kiedyś z jednym facetem, który nosił taki sam. Zagadnęłam go kiedyś o ten sygnet, powiedział, że to znak rozpoznawczy członków pewnego klubu, do którego należy.

–Jakiego klubu?

–Takiego tylko dla białych. Żadnych czarnuchów, żółtków, żydów czy innych. Tylko biali faceci.

Chase czekał, aż Louise weźmie łyka drinka.

–To taka grupa facetów, którzy chcą się bronić, jeśli zajdzie potrzeba, i nie pozwolą, żeby rządziły nimi jakieś mięczaki albo żydowscy bankierzy, albo inni w tym rodzaju, i zabierali to, co należy do nich. – Nie było wątpliwości, że Louise przyklaskiwała hasłom głoszonym przez ową organizację. Po chwili jednak zmarszczyła brwi. – Czyżbym właśnie przekreśliła swoje szanse?

–Jakie szanse?

–Jest pan przypadkiem żydem?

–Nie.

–Nie wygląda pan na żyda.

–Nie jestem.

–Nawet gdyby pan był, to i tak bez znaczenia. Podoba mi się pan.

–Więc zabójca mógł być białym rasistą?

–To po prostu faceci, którzy nie dają sobie wciskać kitu jak inni, i tyle. Powinno się ich podziwiać.

–Czy ten znajomy twojej mamy powiedział ci, jak się nazywa ta organizacja?

–Sojusz Aryjski.

–A pamiętasz może, jak się nazywał ten mężczyzna?

–Vic. Victor. Nazwiska nie pamiętam.

–A mogłabyś spytać mamy?

–Dobra, kiedy wróci. Na pewno nie jest pan żydem?

–Na pewno.

–Bo jak to powiedziałam, to od tamtej pory jakoś dziwnie pan na mnie patrzy.

Tak jakby patrzył na coś białego i wijącego się, co odkrył niespodziewanie pod wywróconym kamieniem.

–Powiedziałś o tym wszystkim Wallace’owi?

–Nie. Dopiero teraz mi się to przypomniało. Rozluźniłam się przy panu i tak mi nagle zaświtało.

Nic by nie sprawiło Chase’owi większej przyjemności niż zebranie wszystkich informacji na temat Sędziego, poczynszy od tego drobnego śladu, a potem podanie ich Wallace’owi na tacy.

–To może bardzo pomóc – powiedział.

Przysunęła się do niego zręcznie i gładko niczym maszyna stworzona do kuszenia o idealnych krągłych kształtach i złotej opaleniznie.

–Tak myślisz, Ben?

Ben kiwnął głową, szukając w myślach wymówki, ale takiej, żeby nie sprawić dziewczynie przykrości. Nie może jej do siebie zrazić, przynajmniej dopóki nie pozna nazwiska tamtego faceta.

Louise przyłgnęła do niego udem. Odstawiła drinka i odwróciła się do Chase’a, czekając, aż

ją obejmie.

Chase podniósł się raptownie.

–Muszę już iść. To była bardzo ważna informacja, nie liczyłem, że aż tak dobrze nam pójdzie. Muszę to przemyśleć.

Louise też wstała, ale nie odstępowała go na krok.

–Jest jeszcze wcześnie. Nawet nie ma północy. Mama wróci dopiero za kilka godzin.

Pachniała mydłem, szamponem i przyjemnymi perfumami. To był taki czysty zapach, ale Chase wiedział, że w głębi serca jest do cna zepsuta.

Był bardzo podniecony i jednocześnie zde gustowany swoim podnieceniem. Że też akurat ta pospolita dziewczyna, zimna, przeżarta nienawiścią musiała podziałać na niego tak, jak żadna kobieta nie podziałała na niego od roku. Gardził sobą za to nagłe pożądanie. Oczywiście w tej chwili prawdopodobnie na każdą atrakcyjną kobietę zareagowałby tak samo. Być może energia seksualna, tłumiona przez wiele miesięcy samotniczego życia, wybuchła nagle z niepowstrzymaną siłą, a może na nowo rozbudzone pożądanie było po prostu efektem wyjścia z długiej izolacji. Kiedy przyznał się wreszcie, że w dalszym ciągu żyje w nim zdrowy instynkt samozachowawczy, kiedy postanowił, że nie będzie stał bezczynnie i służył Sędziemu za cel, przyznał się tym samym do wszystkich potrzeb i pragnień, które są istotą życia. Niemniej i tak sobą za to gardził.

–Nie – rzekł, odsuwając się od Louise. – Muszę się jeszcze z kimś spotkać.

–O tej porze?

–Tak, z kilkoma osobami.

Przytuliła się do niego, przyciągnęła do siebie jego twarz i zaczęła mu lizać wargi. Bez żadnego pocałunku, tylko ten szybki, doprowadzający do oblędu ruch ciepłego języka na ustach – cudowna erotyczna zachęta.

–Mamy dom tylko dla siebie przez kilka godzin. Nie musimy nawet używać kanapy, w mojej sypialni na górze stoi wielkie białe łóżko z białym baldachimem.

–Nie jesteś zwyczajną dziewczyną – powiedział, mając jednak na myśli zupełnie co innego, niż przyszło na myśl Louise.

–Nie poznałeś jeszcze nawet połowy tego, jaka jestem.

–Ale ja nie mogę, naprawdę nie mogę, bo ci ludzie na mnie czekają.

Louise była dziewczyną doświadczoną w sztuce uwodzenia, potrafiła wyczuć, kiedy czas na

kuszenie minął. Cofnęła się z uśmiechem.

–Ale ja chcę ci podziękować za to, że uratowałeś mi życie. Zaslugujesz na porządną nagrodę.

–Nie jesteś mi nic winna – odparł Chase.

–Ależ jestem. W takim razie innego wieczoru, kiedy nie będziesz miał żadnych planów, tak?

Pocałował ją, mówiąc sobie, że robi to tylko po to, żeby jej do siebie nie zniechęcić.

–Stanowczo innego wieczoru.;

–Mmmm. Będzie nam dobrze ze sobą.

Była szybka, łatwa i gładka – żadnych ostrych kantów, żadnych punktów zaczepienia.

–Gdyby detektyw Wallace jeszcze raz cię przesłuchiwał, myślisz, że mogłabyś... zapomnieć o tym sygnecie?

–Jasne. Nie lubię glin. To oni nam przystawiają pistolety do głów i każą włożyć w tyłki mięczakom i żydom, i całej reszcie. Z nimi też jest problem. Ale dlaczego właściwie sam się zajmujesz tą sprawą? Nie prosiłam cię o szukanie zabójcy.

–Robię to z powodów osobistych – wyjaśnił Chase.

Po powrocie do domu Chase rozebrał się i od razu położył do łóżka. Ciemność była ciężka, ciepła i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przyniosła mu ukojenie.

Teraz w samotności zaczął się zastanawiać, czy był głupcem, odrzucając propozycję Louise Allenby. Od bardzo dawna nie miał kobiety i nawet żadnej nie pragnął.

Wmawiał sobie, że odtrącił Louise, ponieważ miała tyleż odstręczającą osobowość, co pociągającą powierzchowność, ale czy tak naprawdę nie wycofał się przypadkiem dlatego, że romans mógłby go jeszcze bardziej wyciągnąć na świat, jeszcze bardziej wytrącić z ukochanego trybu życia? Związek z kobietą, nieważne, że przelotny, byłby kolejną szczeliną w tak starannie wzniesionym murze.

Zapadał już w półsen, kiedy zdał sobie sprawę, że wydarzyło się coś znacznie ważniejszego niż jego erotyczna odpowiedź na kuszenie Louise, ważniejszego nawet niż stanowcze odrzucenie jej propozycji. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie potrzebował whisky, żeby zasnąć. Spłynął na niego naturalny sen, chociaż nadal zaludniony napastliwymi trupami.

8

Obudził się obolały po upadku na Kanackaway Ridge Road. Łupało go w każdym miejscu, gdzie coś potłukł albo obtarł. Miał wrażenie, że oczy zapadły mu w głąb czaszki, a głowa bolała go tak potwornie, jakby zamknięto mu ją w jakimś narzędziu tortur – żelaznym hełmie, który zaciskał się powoli i nieubłaganie, aż czaszka zostanie zgnieciona. Kiedy zaczął wstawać z łóżka, miał uczucie, jakby złapały go skurcze we wszystkie mięśnie naraz.

W łazience pochylił się przed lustrem. Twarz miał zapadniętą i bladą, za to plecy i piersi pokryte mnóstwem siniaków wielkości odcisku kciuka. Były to ślady po żwirze, po którym się wczoraj przeturlał, uciekając przed rozpędzoną ciężarówką.

Kąpiel niewiele pomogła, zmusił się więc do zrobienia kilku pompek, brzusków i głębokich przysiadów, aż zakręciło mu się w głowie.

Ćwiczenia okazały się jednak skuteczniejsze od kąpieli. Ruch i działanie to było jedyne lekarstwo na jego bóle. Prawdopodobnie było to również jedyne lekarstwo na jego cierpienia duchowe.

Krzywiąc się, zszedł po schodach.

–Przyszedł do pana list – oznajmiła pani Fielding, człapiąc z salonu, skąd dochodził śmiech teleturniej owej widowni. Wzięła ze stolika w przedpokoju szarą kopertę i podała Chase'owi. – Jak pan widzi, nie ma adresu zwrotnego.

–Pewnie ulotki reklamowe – powiedział.

Ruszył do drzwi, mając nadzieję, że pani Fielding nie zauważy jego sztywnych ruchów i nie zacznie go wypytywać o zdrowie.

Niepotrzebnie się martwił, bo panią Fielding bardziej niż jego zdrowie intrygowała szara koperta.

–Ulotki reklamowe nie przychodzą w niepodpisanych kopertach. Bez adresów zwrotnych przychodzą tylko zaproszenia na ślub, ale to nie jest zaproszenie na ślub, i nieprzyzwoita literatura. – Jej twarz przybrała wyjątkowo surowy wyraz. – Nie będę w swoim domu tolerować nieprzyzwoitej literatury.

–Rozumiem panią – rzekł Chase.

–Więc to nie jest nic z tych rzeczy?

–Nie. – Chase otworzył kopertę i wyjął z niej karty medyczne i artykuły z czasopism, które obiecał mu przysłać Sędzia. – Interesuję się psychologią. Pewien mój znajomy przysyła mi czasami artykuły, jeśli trafi na coś ciekawego.

–Aha. – Pani Fielding była najwyraźniej zdziwiona, że Chase ma takie intelektualne i do tej pory nieujawnione zainteresowania. – Mam nadzieję, że nie poczuł się pan zakłopotany...

–Nie.

–...nie mogłabym tolerować w swoim domu pornografii.

Z trudem powstrzymując się od komentarza na temat jej rozchelstanej podomki i wystającego stanika, powtórzył:

–Rozumiem.

Wsiadł do samochodu i odjechał trzy przecznice dalej, zanim zjechał na chodnik. Nie gasząc silnika, zaczął przeglądać odbitki.

Obszerne ręczne notatki, które doktor Fauvel robił podczas ich sesji, były tak nieczytelne, że Chase na razie odłożył je na bok i zajął się pięcioma artykułami, z których trzy były wycięte z czasopisma, a dwa miały formę maszynopisu. Ze wszystkich pięciu prac przebijała niewiarygodna pycha doktora, jego nigdy niesłabnący egotyzm. Pisał o swoim „pacjencie C”, ale Chase bez trudu rozpoznał w nim siebie, mimo że jego portret został wyjątkowo zdeformowany. Fauvel tak wyolbrzymił każdy objaw, że końcowa poprawa wydawała się jego ogromnym osiągnięciem. Żaden z artykułów nie wspominał o licznych chybionych próbach i badaniach, doktor przypisywał sobie za to skuteczne działanie metod, których w ogóle nie stosował, a które najwidoczniej wymyślił, patrząc na całą sprawę z perspektywy czasu. Według Fauwela Chase był jednym z tych młodych ludzi, którzy idą na wojnę, nie mając odpowiednio ukształtowanych zasad moralnych, i stają się gliną w rękach bezwzględnych zwierzchników.

Łatwo dają się nakłonić do popełniania najpotworniejszych czynów i nigdy nie kwestionują rozkazów dowódców”. W innym miejscu pisał, „«pacjent C» przyszedł do mnie ze szpitala wojskowego, gdzie odzyskał względną równowagę po kompletnym załamaniu nerwowym i obecnie następuje jego powolna resocjalizacja. Powodem załamania nie było poczucie winy, tylko skrajny lęk przed śmiercią, nie troska o innych, lecz paraliżująca świadomość własnej śmiertelności”.

–Ty draniu – powiedział Chase.

Poczucie winy było jego nieodstępnym towarzyszem, we śnie i na jawie. To nie przez świadomość własnej śmiertelności się bał, na litość boską. Przeciwnie, ona stanowiła jego jedyną pociechę i przez długi czas żył tylko nadzieją, że kiedyś będzie miał dość siły, żeby ze sobą skończyć.

„Nadal cierpi na senne koszmary oraz impotencję – pisał Fauvel – które uważa za swoje jedyne dolegliwości i efekt strachu. Ja jednak zdałem sobie sprawę, że prawdziwym problemem «pacjenta C» jest podstawowy brak wartości moralnych. Nigdy nie wróci do zdrowia psychicznego, jeśli nie pogodzi się ze swoją przerażającą przeszłością, jeśli nie zrozumie i nie przyjmie do wiadomości rozmiaru popełnionej zbrodni, mimo że doszło do niej na wojnie”.

„Nie zrozumie i nie przyjmie do wiadomości!”, jak gdyby Chase beztrąsko pociągał za spust, brodził we krwi swoich ofiar, a potem poszedł szukać pucybuta, żeby wypolerował mu plamy na butach. Jezu!

Doktor G. Sloan Fauvel – wybitny psychiatra, spowiednik i stróż zasad moralnych – rozpoczął przeto „długi i mozolny proces wszczepiania «pacjentowi C» – różnorodnymi i nad wyraz subtelnymi środkami – norm moralnych i zdolności do odczuwania wyrzutów sumienia. Jeśli uda się w nim rozwinąć szczere poczucie winy za to, co uczynił, w dalszej kolejności będzie można złagodzić wyrzuty sumienia standardową terapią. Dopiero wówczas wyleczenie stanie się możliwe”.

Chase schował materiały z powrotem do brązowej koperty i wsunął ją pod siedzenie pasażera. Wstrząsnęła nim myśl, że tyle czasu spędził pod opieką psychiatry, który nie tylko go nie rozumiał, ale wręcz nie był zdolny go zrozumieć. Zbyt długo czekał, ufając, że inni go uratują. W Bogu powinien szukać ratunku i w samym sobie. Ale co się tyczy Boga, to po tym, co przeżył w południowej Azji, wątpił, czy można na Niego liczyć.

*

W Biurze Danych Demograficznych w podziemiach urzędu miasta trzy kobiety stuknęły na maszynach do pisania w tempie i rytmie godnym orkiestry symfonicznej.

Chase stał przy kontuarze i czekał, aż go ktoś obsłuży.

Najstarsza i najbardziej korpulentna z trzech kobiet – NANCY ONUFER, *Kierowniczka*, jak informowała tabliczka na biurku – dokończyła pisać stronę, wyciągnęła kartkę z maszyny i ułożyła ją w pudełku z przezroczystego plastiku, pełnym identycznych formularzy.

–W czym mogę pomóc?

Chase już wcześniej się domyślił, jaką taktykę zastosował Sędzia, żeby zdobyć dostęp do akt archiwum.

–Próbuję odtworzyć historię rodziny, czy mógłbym sprawdzić kilka rzeczy w miejskich aktach?

–Oczywiście – odrzekła Nancy Onufer.

Poderwała się z krzesła, podeszła do barierki na końcu kontuaru i otworzyła Chase'owi drzwiczki. Pozostałe dwie kobiety pisały dalej z prędkością karabinu maszynowego. Biuro Danych Demograficznych szczyliło się wyjątkową jak na urząd państwowy wydajnością pracy. Niewątpliwie była to zasługa Nancy Onufer, która takiej właśnie wydajności wymagała od swoich podwładnych. Jej energiczny i przyjazny sposób bycia przypominał Chase'owi niektórych instruktorów musztry z wojska.

Wszedł za kontuar i ruszył za kobietą w stronę ognioodpornych drzwi, za którymi znajdował się obszerny pokój o betonowych ścianach, zapelniony metalowymi szufladami na dokumenty. Rzędy takich samych pólek z segregatorami biegly przez całe pomieszczenie. Z boku, pod jedną ze ścian stał mocno podniszczony stół z trzema krzesłami.

–Segregatory są oznakowane – powiedziała żywo Nancy Onufer. – Dział po prawej stronie zawiera świadectwa urodzenia; świadectwa zgonu są tam; dalej dział ze świadectwami zdrowia; koncesje na prowadzenie barów i restauracji w rogu. Tam po drugiej stronie pod ścianą trzymamy kopie raportów komisji poborowych, dalej protokoły i budżety rady miejskiej z ostatnich trzydziestu lat. No, to mniej więcej już pan wie. W zależności od materiałów zawartość każdej szuflady uporządkowana jest albo alfabetycznie, albo według dat. Wszystko, co pan wyjmie z akt, musi pan zostawić na tym stoliku. Niech pan nie próbuje chować ich samemu z powrotem. To moje zadanie i zrobię to na pewno dużo dokładniej. Bez urazy.

–Oczywiście, rozumiem.

–Nie wolno panu niczego stąd wynosić. Za symboliczną opłatę moje asyentki mogą panu

zrobić fotokopie dokumentów, które pana interesują. Za wyniesienie czegokolwiek z tego pokoju grozi kara grzywny w wysokości pięciu tysięcy dolarów oraz dwa lata więzienia.

–Auu.

–I zapewniam, że egzekwujemy te kary.

–Nie wątpię. Dziękuję pani za pomoc.

–I nie wolno tu palić – dodała.

–Nie palę.

–To dobrze.

Po czym wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Zatem Sędzia również dostał się tu bez wielkiego kłopotu. Chase sądził, że urząd miasta wymaga rejestracji osób, które proszą o wgląd w akta, aby można je było później zidentyfikować. Biorąc pod uwagę sprawność działania biura oraz przepisy prawne zakazujące wnoszenia dokumentów, Chase był zdziwiony, że Nancy Onufer nie prowadzi skrupulatnego rejestru wchodzących osób.

Zajrzał do własnego aktu urodzenia, przeczytał również protokół z zebrania rady miejskiej, na którym poddano pod głosowanie pomysł wydania uroczystej kolacji na jego cześć. W kopiach dokumentów z komisji poborowych znalazł potwierdzenie swojej zdolności do służby wojskowej oraz kartę mobilizacyjną do Sił Lądowych Armii Stanów Zjednoczonych.

Proste. Zbyt proste.

Kiedy wyszedł z archiwum, Nancy Onufer zapytała:

–Znalazł pan to, czego szukał?

–Tak, bardzo pani dziękuję.

–To żaden kłopot, panie Chase – powiedziała i natychmiast wróciła do pracy.

Jej odpowiedź zatrzymała Chase'a w pół kroku.

–Zna mnie pani?

Nancy Onufer podniosła wzrok znad maszyny i uśmiechnęła się.

–A kto pana nie zna? Podeszedł do jej biurka.

–Gdyby pani nie wiedziała, kim jestem, czy zażądałaby pani ode mnie nazwiska i dowodu tożsamości przed wejściem do archiwum?

–Oczywiście. Wprawdzie przez dwanaście lat, jak tu pracuję, nikt nigdy nie wyniósł żadnych dokumentów, ale i tak prowadzę rejestr wszystkich osób, które tam wchodzi. – Postukała w duży zeszyt leżący na rogu biurka. – Już pana zapisałam.

–Może to się wyda dziwną prośbą, ale czy mogłaby mi pani powiedzieć, kto tu był we wtorek? – zapytał, a widząc, że pani Onufer się waha, dodał: – Nęka mnie wielu dziennikarzy. Wcale mnie nie cieszy ten rozgłos, opowiedzieli o mnie wszystko, co można było opowiedzieć. To już jest przesada. Słyszałem, że ktoś miejscowy pracuje nad artykułem na mój temat do czasopisma ogólnokrajowego, chociaż nie wyraziłem na to zgody. Ciekaw jestem, czy był tu we wtorek.

Zdawało mu się, że jego kłamstwo aż bije w oczy, ale pani Onufer mu uwierzyła. W końcu miała do czynienia z bohaterem wojennym.

–To musi być dokuczliwe jak wrzód na tyłku. Ci dziennikarze nikogo nie zostawią w spokoju. No cóż, nie widzę nic złego w tym, żeby panu powiedzieć, kto tu był. Rejestr przychodzących osób nie jest tajny. – Zajrzała do zeszytu. – We wtorek było tylko dziewięć osób. Ci dwaj są z firmy architektonicznej, sprawdzali uzbrojenie terenu, który zabudowuje ich firma. Znam ich. Te cztery to kobiety, a pan szuka mężczyzny, więc możemy je wyeliminować. Zostaje trzech, ten, ten i ten.

To mówiąc, pokazała mu trzy nazwiska. Chase starał się je zapamiętać.

–Nie... to chyba żaden z nich.

–Czy coś jeszcze?

–Czy zwykle pyta pani tylko o nazwisko przychodzących osób, czy żąda też pani dowodu tożsamości?

–Jeżeli nie znam osoby, to zawsze żądam okazania dokumentu.

–Bardzo pani dziękuję za pomoc.

Nancy Onufer, która ani przez chwilę nie przestawała myśleć o swojej pracy, zamknęła zeszyt, uśmiechnęła się do Chase'a przelotnie i wróciła do pisania na maszynie.

Kiedy wyszedł z urzędu miasta, było za piętnaście dwunasta. Umierał z głodu. Pojechał do Diamond Dell, gdzie można było kupić jedzenie, nie wysiadając z samochodu. Kiedy był w liceum, przyjeżdżali tu prawie wszyscy uczniowie z jego szkoły.

Taki miał apetyt, że aż się zdziwił. Zjadł dwa cheeseburgery, dużą porcję frytek, sałatkę i

popił to wszystko pepsi-colą. Zwykle nie zjadał tyle przez cały dzień.

Po lunchu pojechał na najbliższą stację benzynową i w budce telefonicznej sprawdził telefony trzech mężczyzn z rejestru Nancy Onufer. Kiedy zadzwonił do pierwszego, odebrała jego żona. Dała mu numer męża do pracy. Chase go wykręcił i zamienił kilka słów z pierwszym podejrzanym. To nie był głos Sędziego. Drugi mężczyzna był w domu i miał głos jeszcze mniej podobny do mordercy niż pierwszy.

Trzeciego nazwiska jednak Chase nie znalazł w książce telefonicznej. Mogło to oznaczać tylko jedno z dwojga: albo Howard Devore miał zastrzeżony numer, albo nazwisko było fałszywe. Skoro jednak Nancy Onufer spisywała dane z dokumentu tożsamości, Sędzia musiałby mieć nie tylko fałszywe nazwisko, ale również dostęp do fałszywych dokumentów.

Ponieważ Chase nie ufał, że zapamięta każdy trop, poszedł do kiosku i kupił mały kolonotatnik i długopis. Pozostając niezmiennie pod wrażeniem sprawnej pani Onufer, sporządził staranną listę:

Sędzia

Alias Howard Devore (możliwe) Sojusz Aryjski

Nienotowany na policji (brak odcisków w kartotekach policyjnych)

Umie się włamywać (gabinet Fauvela)

Może mieć czerwonego volkswagena.

Ma pistolet z tłumikiem.

Siedząc w samochodzie na parkingu przed kioskiem, przyglądał się jakiś czas swojej liście, po czym dodał jeszcze jeden punkt:

Niezatrudniony albo na urlopie.

Nie potrafił inaczej wytłumaczyć, jak Sędzia mógłby do niego dzwonić o różnych godzinach, śledzić go wczesnym popołudniem i spędzić dwa dni na badaniu jego życiorysu. Na podstawie głosu oraz sposobu poruszania się trudno było przyjąć, że może być na emeryturze. Niezatrudniony albo ma wolne.

Tylko jak te wszystkie informacje miały mu pomóc w znalezieniu drania? Zawęźały wprowadzić krąg podejrzanych, ale nieznacznie. Sytuacja gospodarcza rejonu była zła, więc wielu ludzi nie miało pracy. W dodatku było lato – okres urlopowy.

Zamknął notes i uruchomił silnik. Zawzjął się, że wytropi Sędziego, ale jak na razie czuł się bardziej jak Nancy Drew niż Sam Spade.

Glenda Kleaver, młoda blondynka zarządzająca archiwum „Press-Dispatch”, miała około metra osiemdziesięciu wzrostu, tylko pięć centymetrów mniej niż Chase. Mimo to jej głos był delikatny jak szmer lipcowego wietrzyku leniwie trącającego liście klonu za osłonecznionymi oknami. Poruszała się z naturalnym wdziękiem, zafascynowała Chase’a od pierwszej chwili nie tylko swoją łagodną urodą, ale również tym, że świat wokół niej zdawał się uspokajać przez samą jej obecność.

Pokazała mu, jak obsługiwać czytnik mikrofilmów, i wyjaśniła, że wszystkie numery sprzed pierwszego stycznia 1968 roku przechowuje się na filmach, aby zajmowały mniej miejsca. Objęła, jak zamówić szpulkę z właściwym filmem oraz numery gazety, których jeszcze nie zapisano na kliszy.

Przy dwóch czytnikach siedzieli dziennikarze i przeglądali filmy, robiąc na boku notatki.

–Duzo tu przychodzi ludzi z zewnątrz? – zapytał Chase.

–Archiwum gazety służy głównie do wewnętrznego użytku wydawnictwa, ale udostępniamy je wszystkim bez opłat. Zwykle odwiedza nas kilkanaście osób w tygodniu.

–Czego tu szukają osoby z zewnątrz?

–A czego pan szuka? – spytała.

Po chwili wahania przedstawił jej tę samą historyjkę co pani Onufer w Biurze Danych Demograficznych.

–Zbieram informacje o historii rodziny.

–Większość ludzi właśnie po to tu przychodzi. Mnie, prawdę mówiąc, ani trochę nie interesują nieżyjący krewni. Nie przepadam nawet za tymi żyjącymi.

Roześmiał się zdziwiony, słysząc tyle gorzkiego humoru u osoby o tak łagodnym uroku i głosie. Glenda Kleaver była wcieleniem przeciwieństw.

–Cóż to, nie jest pani dumna ze swojego rodowodu?

–Ani trochę – odparła. – Więcej tam kundli niż osobników czystej krwi.

–Nie ma w tym nic złego.

–Jakby tak porządnie poszperać w moim drzewie genealogicznym – powiedziała – to głowę daję, że niejeden tam zawisł na gałęzi.

–Czyżby pochodziła pani od koniokradów?

–W najlepszym wypadku.

Czuł się przy niej tak swobodnie jak przy żadnej innej kobiecie od czasu podziemnej operacji w Wietnamie. Dawno jednak odwykł od grzecznościowych konwersacji i choć miał wielką ochotę poznać ją bliżej, nie potrafił wymyślić nic, żeby przedłużyć rozmowę.

–No to... czy mam coś podpisać, żeby obejrzeć materiały? – wykrztusił tylko

–Nie, ale muszę je panu przygotować. Przed wyjściem musi mi pan wszystko zwrócić. Czego pan potrzebuje?

Chase nie przyszedł tu szukać informacji w gazetach, tylko wypytać o ludzi, którzy byli w archiwum w ostatni wtorek, ale nie przyszła mu do głowy żadna odpowiednia historyjka. Nie mógł się przecież w tym miejscu posłużyć wersją o wścibskim dziennikarzu.

Poza tym, chociaż był przygotowany na wymyślenie bajeczki stosownej do okoliczności, doszedł nagle do wniosku, że przy tej kobiecie nie ma ochoty kłamać. Patrzyła z taką bezpośredniością i prostotą, jej niebieskoszare oczy były tak szczere, że Chase poczuł się zmuszony to uszanować.

Jeśli jednak powiem jej prawdę o Sędzim i o zamachu na moje życie, i jeśli ona mi nie uwierzy, wyjdę na skończonego idiotę, pomyślał. Dopiero co ją poznał, ale z jakiegoś powodu nie chciał się przed tą kobietą kompromitować.

W dodatku któryś z reporterów siedzących przy czytnikach mógłby za dużo usłyszeć, a wtedy jego zdjęcia znów trafiłyby na pierwsze strony gazet. Może potraktowałiby tę historię poważnie, a może (co bardziej prawdopodobne, jeżeli porozmawialiby z policją) ironicznie, tak czy inaczej Chase nie mógł dopuścić do kolejnego rozgłosu.

–Proszę pana? – powiedziała Glenda. – W czym mogę panu pomóc? Które numery chciałby pan przejrzeć?

Zanim Chase zdążył odpowiedzieć, jeden z reporterów przy mikrofilmach podniósł głowę.

–Glendo, kochanie, czy mogłabyś mi przynieść wszystkie dzienniki od piętnastego maja pięćdziesiątego drugiego do września tego samego roku?

–Za chwilę, ten pan był pierwszy.

–Ależ proszę bardzo. – Chase w mig wykorzystał sytuację. – Mam mnóstwo czasu, mogę poczekać.

–Na pewno? – zapytała jeszcze.

–Tak. Proszę przynieść temu panu to, czego potrzebuje.

–Wrócę za pięć minut.

Obydwaj mężczyźni – Chase i reporter – patrzyli za nią, jak szła przez salę, a potem przez szerokie przejście do magazynu mikrofilmów. Była wysoka, ale poruszała się z kocią gracją, co nadawało jej sylwetce pewną delikatność.

Kiedy wyszła, odezwał się dziennikarz.

–Dzięki, że zgodził się pan zaczekać.

–Nie ma sprawy.

–Muszę oddać ten materiał o jedenastej, a jeszcze nawet nie dotarłem do wszystkich źródeł.

To powiedziawszy, odwrócił się z powrotem do czytnika tak pochłonięty pracą, że najwyraźniej nawet Chase’a nie rozpoznał.

Chase wrócił do mustanga, otworzył notes i jeszcze raz uważnie przestudiował swoje notatki. Nie miał nic do dodania, nie znalazł też żadnych nowych związków w tym, co już wiedział. Zamknął notes, uruchomił samochód i wyjechał na autostradę Johna F. Kennedy’ego.

Piętnaście minut później jechał dwupasmową drogą międzystanową, nie przekraczając stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Wiatr huczał przez otwarte okno i targał mu włosy. Prawie nie zauważał uciekających kilometrów. Myślał o Glendzie Kleaver.

Skończywszy liceum, Chase poszedł do college'u stanowego Pensylwanii, bo miał stamtąd tylko sześćdziesiąt kilometrów do domu, mógł się więc często widywać z rodzicami, odwiedzać starych przyjaciół z liceum i dziewczynę, na której mu wtedy zależało, zanim Wietnam wszystko zmienił.

Kiedy wjechał na teren kampusu i zaparkował przed budynkiem administracji, miał wrażenie, jakby znalazł się w zupełnie obcym miejscu, jakby nigdy nie chodził do tych klas, nie spacerował po brukowanych ścieżkach pod baldachimem tych samych wiązów i wierzb. Utracił tę część życia sprzed wojny. Aby na powrót uchwycić tamten nastrój, aby odzyskać uczuciową więź z miejscami niegdyś tak bliskimi, musiałby przebyć rzekę wspomnień wojennych i wyjść na drugi brzeg przeszłości, a tej podróży obiecał sobie nigdy w życiu nie odbyć.

W Biurze Akt Studenckich podszedł do niego kierownik działu i Chase uznał, że tym razem najlepszy efekt uzyska, jeśli powie prawdę.

–Chciałbym wiedzieć, kto mógł tu być i dowiadywać się o mnie w tym tygodniu. Mam problem z pewnym dociekliwym jegomościem, który mi... zakłóca spokój.

Kierownik był drobnym, bladym i nerwowym mężczyzną o starannie przystrzyżonych wąsach. Nieustannie brał do ręki jakieś przedmioty tylko po to, żeby je zaraz odłożyć, potem znów je brał i znów odkładał: ołówki, pióra, notes, broszurę z rozkładem zajęć na uczelni. Powiedział, że nazywa się Franklin Brown i że jest mu niezwykle miło poznać tak szanowanego absolwenta.

–Ale w ciągu ostatniego miesiąca dziesiątki ludzi o pana wypytywały, panie Chase, od kiedy ogłoszono, że pan dostał Medal of Honor.

–Czy ma pan nazwiska i adresy wszystkich osób, które sprawdzały moje dane?

–Naturalnie. Jak pan zapewne wie, dokumentację studentów udostępniamy jedynie ewentualnym pracodawcom, i to tylko pod warunkiem, że student, kończąc szkołę, podpisał na to zgodę.

–Ten mężczyzna mógł się podać za pracodawcę. Jest bardzo przekonujący. Czy mógłby pan sprawdzić, kto się o mnie dowiadywał we wtorek?

–Mógł wysłać prośbę listownie. Większość podań otrzymujemy pocztą. Mało kto przychodzi osobiście.

–Nie, ten człowiek nie miał czasu na pisanie listów.

–W takim razie proszę chwilę poczekać – powiedział pan Brown. Przyniósł do kontuaru księgę wpisów i zaczął ją wertować. – We wtorek była tu tylko jedna osoba.

–Kto taki?

Pan Brown odczytał nazwisko, wskazując je Chase'owi palcem.

–Erie Blentz z restauracji Gateway Mail. To w mieście.

–Tak, wiem, gdzie to jest – powiedział Chase. Brown wziął do ręki pióro, obrócił je w palcach i odłożył.

–Rzeczywiście stara się pan u niego o pracę?

–Nie. To prawdopodobnie ów dociekliwy dziennikarz, o którym mówiłem. Sądzę, że zmyślił nazwisko Blentz. Czy pamięta pan, jak on wyglądał?

–Oczywiście – odparł pan Brown. – Niedużo niższy od pana, ale raczej cherlawy, bardzo chudy i przygarbiony.

–W jakim wieku?

–Trzydzieści osiem, czterdzieści lat.

–A twarz? Pamięta pan jego twarz?

–Bardzo ascetyczne rysy – rzekł Brown. – I ruchliwe oczy. Bez przerwy zerkał to na jedną pracownicę, to na drugą, to znów na mnie. Jakby nam nie ufał. Miał zapadnięte policzki i niezdrową cerę. Długi, wąski nos, taki wąski, że nozdrza były bardzo spłaszczone.

–A włosy?

–Blondyn. Nieprzyjemny i nadęty. Bez przerwy się irytował. Bardzo schludnie ubrany, buty na wysoki połysk. Każdy włos na swoim miejscu. Kiedy poprosiłem go o nazwisko i adres zakładu pracy, wyjął mi z ręki pióro, odwrócił księgę i sam wpisał swoje dane, bo jak powiedział, wszyscy ciągle przekręcają jego nazwisko i tym razem nie życzy sobie żadnych błędów.

–Jakim sposobem pamięta pan go tak dokładnie? – zapytał zdumiony Chase.

Brown się uśmiechnął, wziął pióro, odłożył, po czym zaczął się bawić księgą.

–Widzi pan w letnie weekendy i wieczorami prowadzimy z żoną teatr Światła Rampy. Może nawet chodził pan tam na przedstawienia w czasie studiów. Grywam właściwie we wszystkich naszych sztukach, więc wyrobiłem sobie zwyczaj podglądania ludzi, jak się zachowują, jakie robią miny.

–Musi pan być świetnym aktorem – zauważył Chase.

Brown splonął rumieńcem.

–Nie bardzo. Ale takie rzeczy wchodzą w krew. Nie zarabiam na tym wiele, ale dopóki wychodzę na czysto, mogę sobie pozwolić na taką przyjemność.

Wracając do samochodu, Chase próbował sobie wyobrazić Franklina Browna na scenie przed widownią: ręce mu drżą, twarz ma jeszcze bardziej pobladłą niż zwykle, podświadoma potrzeba robienia czegoś z dłońmi prawdopodobnie nasila się w świetle reflektorów. Może nic w tym dziwnego, że Światła Rampy nie przynoszą wielkich zysków.

W samochodzie otworzył notes i po raz kolejny przejrzał swoją listę, szukając czegoś, co by potwierdzało, że Sędzia i Erie Blentz, właściciel restauracji, to rzeczywiście jedna i ta sama osoba. Niemożliwe. Przecież od każdego, kto się ubiega o pozwolenie na prowadzenie restauracji, zwyczajowo bierze się odciski palców. A właściciel tak kwitnącego interesu jak Gateway Mail nie jeździłby volkswagenem.

Był tylko jeden sposób, żeby rozwiązać te wątpliwości. Chase uruchomił silnik i pojechał z powrotem w stronę miasta, zastanawiając się, jakie przyjęcie czeka go w restauracji Gateway Mail.

Wystrój Gateway Mail miał przypominać alpejską karcznię: niski strop z belkami, nierówno tynkowane bielone ściany, ceglana podłoga, ciężkie meble z ciemnego drewna sosnowego. Sześć okien z szybkami w kolorze burgunda i olowanymi ramkami wychodziło na pasaż handlowy i prawie nie przepuszczało światła. Pod ścianami ciągnęły się stoliki w boksach z wyściełanymi siedzeniami. Chase usiadł w jednym z nich w głębi sali, przodem do baru i wejścia.

Niebawem podeszła do niego wesola blondynka o rumianych policzkach w krótkiej brązowej spódnicy i białej ludowej bluzce z głębokim dekoltem. Zapaliła lampion na stoliku i przyjęła zamówienie na whisky z sokiem cytrynowym.

O szóstej nie było tu zbyt tłoczno, przy stolikach siedziały trzy pary, przy barze jedna samotna kobieta; w sumie oprócz Chase'a siedem osób. Żadna z nich nie pasowała do opisu przedstawionego przez Franklina Browna, toteż Chase szybko przestał zwracać na nich uwagę. Z obsługi tylko barman był mężczyzną – starszawym i łysiejącym, z okazałym brzuchem. Za to z dużą wprawą radził sobie z trunkami, a kelnerki najwyraźniej go uwielbiały.

Oczywiście Blentz wcale nie musiał zbyt często bywać w swojej restauracji, ale należałby wówczas do nielicznych wyjątków w swoim fachu. Większość właścicieli lokali wołała mieć bacne oko na kasę w tym gotówkowym interesie.

Chase uprzytomnił sobie, że jest bardzo spięty. Siedział sztywno, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, dopóki sobie nie uświadomił, że może czekać na Blentza nawet i kilka godzin. Oparł się więc i rozluźnił.

Po drugiej whisky z sokiem cytrynowym poprosił o menu i zamówił kotlet cielęcy z pieczonymi ziemniakami. Ze zdumieniem stwierdził, że po tym wielkim lunchu w Diamond Dell znowu jest głodny.

Po kolacji, około dziewiątej zapytał w końcu kelnerkę, czy pan Blentz przyjdzie dzisiaj do restauracji. Kelnerka rozejrzała się po zatłoczonej sali, bo o tej porze lokal zdążył się już zapelnąć, i pokazała grubego mężczyznę przy barze.

–To on.

Facet ważył ze sto trzydzieści kilo i był co najmniej dziesięć centymetrów niższy od mężczyzny z opisu Franklina Browna.

–To jest Blentz? – zapytał Chase. – Jest pani pewna?

–Pracuję u niego dwa lata – odparła kelnerka.

–Mówiono mi, że jest wysokim, szczupłym i wymuskany blondynem.

–Może dwadzieścia lat temu był szczupły i wymuskany – rzekła kelnerka. – Ale wysokim blondynem na pewno nigdy nie był.

–Na to wygląda – powiedział Chase. – Zdaje się, że szukam innego Blentza. Poproszę o rachunek.

Znowu poczuł się jak Nancy Drew, a nie jak Sam Spade. Oczywiście Nancy Drew rozwiązywała w końcu wszystkie zagadki, i to na ogół, choć nie zawsze, zanim ktoś został zabity. Kiedy wyszedł na dwór, parking przed centrum handlowym był pusty, zostały tylko samochody zaparkowane przed restauracją. Wszystkie sklepy pozamykano dwadzieścia minut temu.

Po wyjściu z klimatyzowanej restauracji wieczór wydawał się Chase’owi wyjątkowo duszny. Miał wrażenie, że gorąco przygniata go do asfaltu. Każdy krok był ciężki i głośny, jakby szedł po obcej planecie, na której panowała dużo większa grawitacja niż na Ziemi.

Wycierał właśnie pot z czoła, okrążając z przodu mustanga, kiedy za jego plecami ryknął silnik i blysnęły światła. Nie odwrócił się nawet, żeby zobaczyć, co się dzieje. Skoczył i rzucił się w bok, na maskę swojego samochodu.

Sekundę później nadjeżdżający pontiac otarł się z głośnym zgrzytem o bok mustanga. Na mgnienie oka noc rozświetliła fontanna isker, pozostawiając po sobie zapach rozgrzanego metalu i spalonego lakieru. Samochodem mocno zakolysało, ale Chase chwycił się palcami za wgłębienie, gdzie osadzone były wycieraczki, i utrzymał się na masce. Gdyby spadł, pontiac zapewne obróciłby się w kółko albo cofnął na pełnym gazie, i to szybciej, niż on zdołałby się podnieść.

Stanął na masce i próbował dojrzeć numery rejestracyjne pontiaca, ale na próżno – nawet gdyby samochód nie odjechał już za daleko, nic by mu z tego nie przyszło, bo Sędzia okręcił tablicę rejestracyjną jutowym workiem.

Pontiac dojechał do wyjazdu z parkingu i zbyt ostro wziął zakręt, aż przez chwilę groziło mu, że wpadnie na chodnik i najbliższą latarnię, ale kierowca szybko odzyskał kontrolę nad samochodem, dodał gazu i przejechał przez skrzyżowanie na pomarańczowym świetle, po czym skręcił w prawo na główną ulicę prowadzącą do śródmieścia. W ciągu kilku sekund dotarł na grzbiet wzniesienia i zniknął Chase’owi z oczu.

Chase rozejrzał się, czy ktoś poza nim widział to krótkie i gwałtowne starcie, ale na parkingu nie było żywej duszy.

Zszedł z maski i obejrzał mustanga. Przedni błotnik był mocno wgnieciony i przesunięty w tył, w stronę drzwiczek kierowcy, ale na szczęście nie zaklinował koła, więc samochód mógł jechać. Cały lewy bok był porysowany i powgniatany. Prawdopodobnie nie doszło do uszkodzenia konstrukcji ani żadnych mechanicznych usterek, niemniej naprawa będzie kosztować co najmniej kilkaset dolarów.

Tym się Chase nie przejmował. Pieniądze stanowiły teraz dla niego najmniejsze zmartwienie.

Otworzył drzwiczki, które lekko zaprotestowały piskliwym skrzypnięciem, usiadł za kierownicą, otworzył notes i jeszcze raz przeczytał listę. Ręce mu lekko drżały, kiedy dodawał ósmy, dziewiąty, dziesiąty i jedenasty punkt:

Alias Erie Blentz

Skłonny do lekkomyślnych działań pomimo poprzednich porażek.

Pontiac – drugi samochód (skradziony, żeby przeprowadzić atak?).

Siedział i patrzył na pusty parking, dopóki ręce nie przestały mu drżeć. Potem zmęczony pojechał do domu, zastanawiając się, gdzie Sędzia będzie na niego czekał następnym razem.

*

W sobotę rano obudził go telefon.

Wylaniając się z ciemności pełnej oskarżycielskich nieboszczyków, Chase położył dłoń na słuchawce i w tym samym momencie uprzytomnił sobie, że to może być Sędzia. Nie dzwonił do niego od środy wieczorem. Miał zaległości.

–Halo.

–Ben?

–Tak.

–Tu doktor Fauvel.

Po raz pierwszy Chase słyszał swojego psychiatrę przez telefon. Poza sesjami w gabinecie wszystkie inne sprawy załatwiała panna Pringle.

Na dźwięk nazwiska Fauvela Chase oprzytomniał błyskawicznie, nocne koszmary pierzchły w mgnieniu oka.

–Czego pan chce?

–Dlaczego nie przyszedłeś wczoraj na umówioną wizytę?

–Bo nie potrzebowalem. Fauvel milczał niepewnie.

–Posłuchaj – powiedział w końcu – jeżeli masz żal, że rozmawiałem tak otwarcie z policją, to musisz zrozumieć, że nie naruszyłem etyki lekarskiej. Oni cię nie oskarżali o żadne przestępstwo, a ja uznałem, że to leży w twoim najlepszym interesie, jeśli nie będą tracić czasu na tego Sędziego.

Chase się nie odezwał.

–Spotkamy się dzisiaj po południu, żeby o tym wszystkim porozmawiać? – zapytał Fauvel.

–Nie.

–Ben, myślę, że sesja dobrze by ci teraz zrobiła.

–Więcej nie przyjdę.

–To by było nierozsądne, Ben – rzekł Fauvel.

–Opieka psychiatryczna nie była warunkiem mojego zwolnienia ze szpitala, tylko

zaleceniem, z którego mogłem skorzystać dla własnego dobra.

–I nadal możesz na niej skorzystać, Ben. Jestem tu i czekam na ciebie.

–Wizyty u pana nie przyniosą mi już żadnych korzyści – odparł Ben.

Zaczynała go bawić ta rozmowa. Po raz pierwszy Fauvel stał na pozycji obronnej dłużej niż przez krótką chwilę. Chase'owi bardzo się podobał ten nowy układ sił.

–Ben, jesteś zły za to, co powiedziałem policji. O to ta cała sprawa, prawda?

–Częściowo – odparł Chase. – Ale są i inne powody.

–Jakie?

–Zagrajmy w skojarzenia – zaproponował Chase.

–W skojarzenia? Ben, nie bądź...

–Publikacja.

–Ben, jestem gotowy się z tobą spotkać w każdej...

–Publikacja – przerwał mu po raz drugi Chase.

–To nic nie da...

–Publikacja – upierał się Chase.

Fauvel milczał. Potem westchnął z rezygnacją i rzekł:

–Chyba książki.

–Czasopisma.

–Ja wiem...? Gazety.

–Czasopisma.

–Proszę o nowe słowo.

–Zawartość.

–Ach, artykuły?

–Pięć.

–Pięć artykułów?

–Psychiatria. Fauvel był zbity z tropu.

–Nie prowadzisz tego tak, jak się powinno. Następne skojarzenie powinno...

–„Pacjent C”. Fauvel umilkł osłupiały.

–„Pacjent C” – powtórzył Chase.

–Jak dostałeś...

–Jedno słowo.

–Ben, możemy to spokojnie przedyskutować. Na pewno jesteś zdenerwowany, ale...

–Zagraj ze mną, doktorze, a może... powtarzam: może... nie opublikuję odpowiedzi na pańskich pięć artykułów i nie ośmieszę pana publicznie.

Po drugiej stronie słuchawki zapadło tak głębokie milczenie, jakiego Chase jeszcze nie słyszał.

–„Pacjent C” – powiedział Chase.

–Cenny.

–Bzdura.

–Cenny – upierał się Fauvel.

–Wykorzystany.

–Błąd – przyznał Fauvel.

–Sprostowanie?

–Konieczne.

–Następnie?

–Sesja.

–Następnie?

–Sesja.

–Proszę nie powtarzać odpowiedzi – skarcił go Chase. – Nowe słowo. Psychiatra.

–Lekarz.

–Psychiatra.

–Ja.

–Sukinsyn.

–To dziecinada, Ben.

–Egomaniak. Fauvel tylko westchnął.

–Dupek – powiedział Ben i odłożył słuchawkę. Od lat się tak dobrze nie czuł.

Później, kiedy ćwiczył, żeby pozbyć się sztywności obolałych mięśni, zdał sobie sprawę, że zerwanie z psychiatrą było ważniejszym krokiem na jego drodze do wyjścia z depresji niż wszystko inne, co dotąd zrobił. Do tej pory wmawiał sobie, że kiedy aresztują Sędziego i wsadzą go za kratki, wróci do swojego zamkniętego życia na poddaszu u pani Fielding. Teraz jednak zrozumiał, że to już niemożliwe. Przerywając leczenie psychiatryczne, przyznał, że zmienił się nieodwołalnie i że wyrzuty sumienia już mu tak nie ciążyły.

Chociaż jednak poniżenie Fauvela sprawiło mu nieklamana przyjemność, tłumila ją dręcząca myśl, że teraz oto musi zacząć znowu żyć. Czym zastąpi pociechę, jaką dawała mu samotność?

Opadł go całkiem nowy głęboki, lecz cichy niepokój. Dużo łatwiej było kroczyć śmiało pod ogniem nieprzyjaciela, niż otworzyć się z powrotem na niepokojące światło nadziei.

Kiedy się ogolił i wykapał, uprzytomnił sobie, że wyczerpały mu się właściwie tropy, na które mógłby skierować swoje prywatne dochodzenie. Był wszędzie, gdzie pojawiał się Sędzia, i nie zyskał na tym nic poza rysopisem, który na nic mu się nie przyda, skoro nie może go połączyć z nazwiskiem.

Jedząc późne śniadanie w naleśnikami na Galasio Boulevard, postanowił jeszcze raz pojechać do Gateway Mail i porozmawiać z prawdziwym Erikiem Blentzem. Może właściciel restauracji potrafi dopasować nazwisko do rysopisu Sędziego, przedstawionego przez Browna. Wyglądało na to, że Sędzia nie wytrzasnął nazwiska Blentza, ot tak, po prostu z książki telefonicznej. Może się znali. A nawet jeśli restaurator nie podsunie mu żadnych nowych tropów, będzie mógł wrócić do Glendy Kleaver i wypytać ją o ludzi, którzy odwiedzili archiwum gazety we wtorek. Nie zrobił tego poprzednio, bo się bał ośmieszyć, poza tym nie chciał ściągnąć na siebie uwagi dziennikarzy, którzy siedzieli w pokoju.

Z budki telefonicznej przed restauracją zadzwonił do „Press-Dispatch”, ale okazało się, że archiwum gazety jest w sobotę zamknięte dla interesantów. W książce telefonicznej znalazł numer Glendy Kleaver.

Odebrała po czwartym sygnale. Już zapomniiał, jaki ma muzyczny głos

–Panno Kleaver, pewnie mnie pani nie pamięta. Byłem wczoraj u pani w archiwum. Nazywam się Chase. Musiałem wyjść, kiedy poszła pani po materiały dla jednego z waszych redaktorów.

–Oczywiście, pamiętam pana.

Zawahał się. Nie był pewien, jak to dalej rozegrać.

–Nazywam się Chase, Benjamin Chase. Chciałbym się z panią spotkać, dzisiaj, jeśli to możliwe – wypalił w końcu.

–Spotkać się ze mną?

–Tak.

–Panie Chase... – powiedziała Glenda po chwili wahania. – Czy pan mnie zaprasza na randkę?

Od tak dawna wyszedł z wprawy w tych sprawach, a w dodatku sam się zdziwił, kiedy odkrył, że faktycznie chce się z nią spotkać z powodów, które nie miały nic wspólnego z Sędzią, i zaczął się jąkać jak uczeń.

–No, tak, mniej więcej... jeśli można.

–Ma pan ciekawy styl bycia – zauważyła.

–Najwyraźniej.

Bał się, że mu odmówi, a jednocześnie drżał na myśl, że się zgodzi.

–O której? – zapytała.

–Szczерze mówiąc, myślałem o kolacji dziś wieczorem. Milczała.

–Ale rozumiem, że tak nagle...

–W porządku.

–Naprawdę?

Głos, który wydobył mu się przez zaciśnięte gardło, był taki piskliwy, jakby przechodził mutację.

–Ale jest jeden kłopot – powiedziała Glenda.

–Jaki?

–Zaczęłam właśnie marynować na kolację wyjątkowo apetyczne bassy. I nie tylko. Bardzo nie chcę, żeby się to wszystko zmarnowało, więc czy mógłby pan przyjść na kolację do mnie?

–Dobrze – powiedział. Podała mu adres.

–Proszę się ubrać swobodnie. Czekam na pana o siódmej.

–O siódmej.

Kiedy odwiesił słuchawkę, stał dobrą chwilę w budce i dygotał. Przed oczami przesuwały mu się jak żywe obrazy z operacji „Jules Verne”: wąski tunel, spadek, okropna ciemność, strach, bambusowe drzwi, kobiety, karabiny... krew. Kolana się pod nim ugięły, serce zaczęło mu łomotać tak samo szaleńczo jak wtedy. Trzęsąc się gwałtownie, oparł się o pleksiglasową ściankę budki i zamknął oczy.

To, że się umówił z Glendą Kleaver, wcale nie znaczyło, że zrzuca z siebie odpowiedzialność za śmierć tamtych wietnamskich kobiet. W końcu upłynęło wiele czasu, dość długo cierpiał skruszony. I to w samotności.

Mimo to nadal nie mógł się pozbyć poczucia niestosowności tego, co robi. Niestosowne, egoistyczne i bezduszne.

Wyszedł z budki telefonicznej. Dzień był gorący i wilgotny. Mokra koszula przykleiła się do

niego tak samo jak poczucie winy.

*

W centrum handlowym Chase szperał przez dłuższy czas w księgarni, a kiedy minęło południe, ruszył po wyłożonej dywanem promenadzie w stronę restauracji Gateway Mail. Barman powiedział, że spodziewają się pana Blentza o pierwszej. Chase usiadł na stolku przy barze i popijając piwo, obserwował drzwi.

Erie Blentz przyszedł w białej, wygniecionej lnianej marynarce i jasnożółtej koszuli. Wydawał się jeszcze grubszy niż zeszłego wieczoru, ale okazał się towarzyski i rozmowny.

–Szukam pewnego człowieka, który tu przychodzi – rzekł Chase.

Blentz klapnął ciężko na stolku i zamówił piwo. Wysłuchał uważnie rysopisu Sędziego, ale oświadczył, że nie zna nikogo, kto by do niego pasował.

–Może to nie klient, tylko pracownik.

–Nie, nikt taki tu nie pracuje. A tak w ogóle, to czego pan od niego chce? Winien panu pieniądze czy co?

–Przeciwnie – odpowiedział Chase. – To ja mu jestem winien.

–Tak? Ile?

–Dwieście dolców – skłamał Chase. – Nadal go pan nie pamięta?

–Nie. Przykro mi.

Chase podniósł się rozczarowany.

–Tak czy inaczej dzięki. Blentz odwrócił się na stolku.

–Jak to się stało, że pożyczył pan pieniądze od faceta i nie zna jego nazwiska?

–Obaj byliśmy pijani – odparł Chase. – Gdybym był chociaż odrobinę trzeźwiejszy, tobym pamiętał, jak się nazywa.

Blentz się uśmiechnął.

–A gdyby on był chociaż odrobinę trzeźwiejszy, toby nie pożyczył panu pieniędzy.

–Pewnie tak.

Blentz wziął szklankę z piwem i łyknął. Na jego palcu zamigotał srebrny sygnet. Z dwiema błyskawicami.

Kiedy Chase szedł do drzwi, a potem wychodził na promenadę centrum handlowego, wiedział, że Erie Blentz cały czas siedzi odwrócony tyłem do baru i obserwuje go.

Sojusz Aryjski. Coś jak Klub Wapiti czy Łoża Łosi, tylko dla bandy białych rasistów, których pewnie zmęczyło latanie po polach w białych prześcieradłach z kapturami i szukają nowego wizerunku, dla nowoczesnych mieszczuchów.

Tylko po co, do diabła, mieliby zabijać licealistę? Czemu jeden z tych fanatyków angażował się w kampanię przeciwko rozwiązłym nastolatkom i wygadywał przez telefon głupoty o grzechach i osądzaniu? Co to ma wspólnego z bezpieczeństwem świata i białej rasy? Michael Karnes był białym nastolatkiem, bardziej się nadawał do zwerbowania w szeregi Sojuszu Aryjskiego niż na ofiarę ich mordercy.

Asfalt na parkingu miejscami miękł od gorąca. Niebo było koloru płonącego gazu i puste jak ekran wyłączonego telewizora. I tak samo jak on z uporem milczało.

Chase wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Nikt do niego nie strzelał.

W domu włączył telewizor, pooglądał coś przez piętnaście minut i wyłączył, zanim program dobiegł końca. Otworzył książkę, ale nie mógł się skupić na tym, co czytał.

Zaczął chodzić tam i z powrotem, instynktownie trzymając się z dala od okna.

O szóstej wyszedł z domu na umówioną randkę z Glendą Kleaver.

Aby nie naprowadzić Sędziego na trop Glendy i nie narazić jej na niebezpieczeństwo, przez pół godziny jeździł bez celu, wybierając ulice na chybił trafił i obserwując w lusterku wstecznym, czy ktoś go nie śledzi. Ani razu jednak nie zauważył, żeby ktoś za nim jechał.

Glenda mieszkała na drugim piętrze dwupiętrowego domu w niezbyt drogim, ale zadbanym osiedlu mieszkaniowym z ogródkami przy St. John's Circle. Zanim otworzyła Chase'owi drzwi, wyjrzała przez wizjer. Miała na sobie białe szorty i granatową bluzkę.

–Jesteś punktualny – stwierdziła. – Proszę, wejdź. Zrobić ci coś do picia?

–A co ty pijesz? – zapytał, wchodząc do środka.

–Mrożoną herbatę, ale mam też piwo, wino, gin i wódkę.

–Poproszę mrożoną herbatę.

–Zaraz wracam.

Patrzył za nią, jak przechodzi przez pokój i znika w krótkim korytarzu, który najwyraźniej prowadził do jadalni i kuchni. Poruszała się jak słoneczny blask na powierzchni wody.

Salon był oszczędnie umeblowany, ale przytulny. Cztery fotele, stolik do kawy i kilka małych stolików z lampami. Żadnej sofy ani obrazów, ponieważ na wszystkich ścianach bez okien wisiały półki ciasno zapakowane papierami i książkami, w większości w twardych oprawach.

Czytał tytuły na grzbietach książek, kiedy Glenda wróciła do salonu z dwiema szklankami mrożonej herbaty.

–Jesteś moim księżkowym – zauważył.

–Tak, przyznaję.

–Ja też.

–Mamy jakieś wspólne zainteresowania?

–Całkiem sporo – rzekł, biorąc od niej herbatę. Wyciągnął z półki książkę. – Co o tym myślisz?

–Okropne.

–Prawda?

–Puste i przereklamowane.

Odłożył książkę na półkę i usiadł w fotelach.

–Lubię ludzi – przyznała się Glenda, co zabrzmiało dość dziwnie, dopóki nie dodała: – ale wolę ich w książkach niż w rzeczywistości.

–Dlaczego?

–Jestem pewna, że wiesz dlaczego. Wiedział.

–W książkach nawet najwięksi dranie nie mogą cię skrzywdzić.

–I nigdy nie stracisz przyjaciół, których tam zdobywasz.

–A kiedy dojdiesz do smutnego miejsca, nikt nie widzi, że płaczesz.

–Ani się nie dziwi, że nie płaczesz, kiedy powinieneś – powiedziała Glenda.

–Nie przeszkadza mi życie z drugiej ręki. Za pośrednictwem książek.

–Tak, ono ma dużo zalet – zgodziła się.

Zastanawiał się, kto ją skrzywdził, jak bardzo i ile razy. Nie miał wątpliwości, że musiała dużo cierpieć. Wyczuwał w niej głęboki, niepokojąco znajomy ból.

Mimo to nie była melancholiczką. Miała słodki, łagodny uśmiech i promieniała jakimś niespełnionym szczęściem, dzięki któremu Ben czuł się w jej mieszkaniu swobodniej niż gdziekolwiek indziej od czasu, kiedy siedem lat temu opuścił dom rodzinny, żeby rozpocząć naukę w college’u.

–Kiedy wróciłam z magazynu i zobaczyłam, że cię nie ma, pomyślałam, że się zdenerwowałeś, bo ci kazałam czekać.

–Nie, po prostu... przypomniałem sobie, że byłem umówiony.

–Będę miała dyżur w poniedziałek, jeśli chcesz wpaść.

–Lubisz tę pracę?

–Jest całkiem przyjemna i spokojna. Największe zagrożenie to jakiś redaktor podrywacz, to wszystko.

Uśmiechnął się.

–Potrafisz sobie z nimi radzić.

–Wszystkim dziennikarzom się zdaje, że są nieustępliwi i twardzi – powiedziała. – Ale nawet do pięć nie dorastają bibliotekarzowi z archiwum prasowego gazety.

–W każdym razie nie temu konkretnemu.

–Gdzie pracujesz? – spytała.

–W tej chwili nigdzie.

–Czekasz. Czasami czekanie jest najtrudniejsze.

–Tak, ale nic innego nie wchodzi wtedy w grę. Napila się herbaty.

–Pewnego dnia staniesz przed drzwiami, które będą wyglądać jak każde inne, ale kiedy je otworzysz, za nimi będzie właśnie to, czego szukasz.

–Milo pomyśleć, że to prawda – powiedział Chase.

–Wtedy zapomnisz o męczarniach czekania.

Chase nigdy w życiu nie prowadził tak dziwnej rozmowy, a jednak wydawała się ona bardziej naturalna niż wszystko, co kiedykolwiek powiedział i usłyszał.

–Znalazłaś te drzwi? – spytał.

–Takich drzwi jest wiele. A między nimi krótkie okresy czekania.

Kolacja była wyśmienita: sałatka ze świeżych warzyw, ziemniaki i makaron przekładane szpinakiem, bazylią i fetą, cukinia z kawałkami czerwonej papryki i delikatnie upieczony bass. Na deser Glenda podała plastry pomarańczy posypane wiórkami kokosowymi.

Kiedy nie rozmawiali tymi dziwnymi skrótami myślowymi, które przychodziły im najnaturalniej w świecie, milczeli, ale to milczenie nigdy nie było niezręczne.

Po kolacji, którą zjedli w części kuchni wydzielonej na jadalnię, Glenda zaproponowała, żeby wyszli na balkon.

–A co z naczyniami? – zapytał Chase.

–Później się nimi zajmę – odpowiedziała Glenda.

–Pomogę ci, to pójdzie nam dwa razy szybciej.

–Proszę, proszę, mężczyzna, który ofiarowuje się pozmywać naczynia.

–Właściwie to myślałem, że mógłbym wycierać.

Po umyciu naczyń usiedli na balkonie. Na dworze była ciepła lipcowa noc. Z innych balkonów dobiegały stłumione głosy, a miejskie świerszcze cykały tę samą samotną melodię co ich wiejscy kuzyni.

Kiedy wreszcie nadszedł czas, żeby wyjść, Chase powiedział:

–Czy to jest zaczarowane mieszkanie, czy też w każdym miejscu roztaczasz wokół siebie taki spokój?

–Na świecie nie trzeba roztaczać spokoju – odparła. – To pierwsza zasada. Trzeba się tylko nauczyć nie burzyć tego, który istnieje.

–Mógłbym tu zostać na zawsze.

–Zostań, jeśli chcesz.

Na balkonie nie paliło się światło, tylko świetliki fruwały w mroku za balustradą. W ciemności Chase nie widział wyrazu jej twarzy.

Przypomniały mu się zabite kobiety w tunelu na drugim końcu świata i ciężar winy po prostu go przytłoczył.

Zaczął przeproszać Glendę za to, co mogła odebrać jako dwuznaczną propozycję.

–Przepraszam, nie miałem prawa, nie myślałem o...

–Wiem – powiedziała łagodnie.

–Nie chcę...

–Wiem. Cicho. Umilkli.

–Samotność może być dobra – rzekła po chwili Glenda. – Samemu łatwiej odnaleźć spokój. Czasami jednak... być samemu to tak, jakby umrzeć.

Chase sam nie wyraziłby tego pełniej.

–Mam tylko jedną sypialnię i jedno łóżko – odezwała się po dłuższym czasie – ale fotele do salonu kupowałam używane, to tu, to tam i jeden z nich się rozkłada. Można na nim spokojnie spać.

–Dziękuję.

Dużo później, kiedy rozłożywszy częściowo fotel, czytał książkę z półki, do salonu weszła Glenda ubrana jak do spania – w podkoszulku i majtkach. Schyliła się i pocałowała go w policzek.

–Dobranoc, Ben.

Chase odłożył książkę i ujął jej dłonie.

–Nie jestem pewien, co się właściwie między nami dzieje.

–Wydaje ci się to dziwne?

–Powinno.

–Ale?

–Ale nie.

–To, co się wydarzyło... no cóż, oboje stanęliśmy po przeciwnych stronach tych samych drzwi.

–I co teraz?

–Damy sobie trochę czasu, żeby każde z nas mogło się przekonać, czy to jest to, czego potrzebuje.

–Jesteś wyjątkowa.

–A ty nie?

–Wiem, że ja nie – odparł.

–Mylisz się.

Pocałowała go i poszła do łóżka.

Jakiś czas później, kiedy Chase zgasił lampkę na brzegu stolika i ułożył się do snu, Glenda znów weszła do salonu i po ciemku usiadła w fotelu naprzeciwko niego. Chase nie tyle usłyszał, jak wchodzi, ile poczuł spokój, który ze sobą przyniosła.

–Ben? – powiedziała.

–Tak?

–Wszyscy ludzie są zdeformowani.

–Nie wszyscy – odparł Chase.

–Wszyscy. Nie tylko ty i ja.

Wiedział, czemu czekała, aż zgasi światło. O niektórych rzeczach łatwiej mówić, kiedy jest

ciemno.

–Nie wiem, czy kiedykolwiek będę jeszcze mógł... być z kobietą. To przez wojnę. To, co się stało... Nikt tego nie wie. Żyję z poczuciem winy.

–To oczywiste. Dobrzy ludzie przez całe życie dźwigają brzemień winy. Ponieważ czują.

–To... to coś znacznie gorszego, niż robią inni ludzie.

–Uczymy się i zmieniamy. Albo umieramy – powiedziała cicho.

Chase nie mógł wykrztusić ani słowa więcej. Glenda odezwała się z ciemności:

–Kiedy byłam małą dziewczynką, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku... musiałam... dawać to, czego nie chciałam... ojcu, który nie wiedział, co to poczucie winy.

–To okropne.

–To było dawno temu. Od tamtej pory było dużo drzwi.

–Nigdy w życiu nie powinienem cię nawet dotknąć.

–Ćśśś. Pewnego dnia to zrobisz, a ja będę szczęśliwa. Może za tydzień, może za miesiąc, a może za kilka lat. Kiedy będziesz gotowy. Wszyscy ludzie są zdeformowani, Ben, ale serce można uleczyć.

Kiedy się podniosła i poszła do sypialni, zostawiła po sobie przestrzeń napelnioną spokojem. Ben spał tej nocy bez koszmarów.

W niedzielę rano Glenda jeszcze mocno spała, kiedy Ben wszedł do jej sypialni. Stojąc w drzwiach, wsłuchiwał się w jej powolny, miarowy oddech, który miał w sobie subtelny siłę przyływu uderzającego o plażę.

Zostawił jej w kuchni notatkę: „Mam do załatwienia pewną sprawę. Wkrótce zadzwonię. Całuję, Ben”.

Poranne słońce prażyło jak szalone. Niebo było koloru płonącego gazu, tak jak wczoraj, ale dzisiaj nie wydawało się już pustym sklepieniem. Nabrało głębi, a za nim otworzyły się nowe przestrzenie.

Ben pojechał do swojego mieszkania. W holu na parterze spotkał panią Fielding.

–Spędził pan noc poza domem? – spytała, lypiąc na jego pogniecione ubranie, w którym spał.
– Chyba nie miał pan wypadku?

–Nie – odparł Ben, wchodząc na schody. – I nie włóczyłem się również po nocnych lokalach ze striptizem.

Sam się zdziwił, że zdobył się na taką opryskliwość wobec pani Fielding. Ona również była tak zaskoczona, że oniemiała.

Umył się, ogolił, wziął do ręki notes i usiadł, żeby się zastanowić nad kolejnymi poczynaniami.

Kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę z nadzieją, że to Glenda, ale to był Sędzia.

–Więc znalazłeś sobie napaloną sukę, co?

Ben nie miał wątpliwości, że nikt za nim wczoraj nie jechał do mieszkania Glendy. Drań wiedział po prostu, że Chase spędził noc poza domem, i domyślił się, że był z kobietą.

–Zabójca i cudzołóżnik – rzucił oskarżycielsko Sędzia.

–Wiem, jak wyglądasz – rzekł Ben. – Mniej więcej mojego wzrostu, blondyn z długim nosem. Chodzisz przygarbiony. I wymuskany.

Rozbawiło to Sędziego.

–Z tymi informacjami to musiałbyś mieć całą armię Stanów Zjednoczonych do pomocy, żeby mnie znaleźć.

–Należysz do bractwa.

Zabójca umilkł. Tym razem było to nerwowe milczenie.

–Do Sojuszu Aryjskiego – powiedział Ben. – Ty i Erie Blentz. Ty i cała zgraja skretyniałych dupków, którym się zdaje, że są rasą panów.

–Nie chciałbyś rozzłościć pewnych ludzi, panie Chase.

–Nie przestraszysz mnie. Ja już od dawna jestem martwy. Szuka cię umarły, Sędzio. A my, umarli, nigdy się nie poddajemy.

Sędzia zapłonął nagle gniewem gorącym niczym ten lipcowy poranek.

–Nic o mnie nie wiesz, Chase, nic, co może mieć jakieś znaczenie. I więcej się nie dowiesz, nie będziesz miał szansy.

–Ojjoj, spokojnie – powiedział Ben rozbawiony nagle faktem, że tym razem to on jest górą. – Wiesz, w tej rasie panów macie w żyłach za dużo kazirodczej krwi, kuzyni z kuzynkami, bracia z siostrami... przez to bywacie ciut niezrównoważeni.

Sędzia milczał, a kiedy się znowu odezwał, słychać było, że wkłada dużo wysiłku, by pohamować złość.

–Podoba ci się twoja nowa suka, Chase? Czy nie tak się nazywała dobra czarownica w krainie Oz? Dobra czarownica Glenda?

Benowi serce podeszło do gardła. Próbował blefować.

–Co? O kim mówisz?

–O wysokiej, złotowłosej Glendzie.

To niemożliwe, żeby Sędzia śledził go wczoraj do mieszkania Glendy

–Pracuje w archiwum – powiedział Sędzia. – Przechowuje martwe gazety. Chyba odeślę tę cudzołżnicę ad acta.

Sędzia odłożył słuchawkę. On nie mógł wiedzieć. A jednak wiedział.

Chase poczuł nad sobą rękę niewidzialnego mściciela. Wreszcie dopadła go sprawiedliwość. Prosto z tamtych dalekich ciemnych tuneli.

Glenda otworzyła drzwi i od razu wyczytała w jego oczach niepokój.

–Co się stało? – spytała.

Chase wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi na dwa zamki.

–Ben?

Miała na sobie różowy podkoszulek, białe szorty i tenisówki. Włosy zebrane za uszami związała w dwa kucyki. Mimo wysokiego wzrostu wyglądała jak dziewczynka. Wbrew temu, co opowiedziała mu ostatniej nocy, była wręcz uosobieniem niewinności.

–Czy masz broń? – zapytał.

–Nie.

–Ja też nie. Od czasu wojny nie chciałem widzieć na oczy żadnej broni. Ale teraz nic by mnie tak nie ucieszyło jak porządny pistolet w ręku.

W kuchni przy stole, przy którym wczoraj jedli kolację, Ben opowiedział jej o Sędzim i wszystkim, co się wydarzyło po zabójstwie Michaela Karnesa.

–Teraz przeze mnie jesteś w to wmieszana. Wyciągnęła rękę i ścisnęła go za dłoń.

–Nie, to nie tak. Teraz, ponieważ się spotkaliśmy, jesteśmy w to zamieszani oboje, a ty nie jesteś już samotny.

–Zadzwońię do detektywa Wallace’ a i poproszę go o ochronę dla ciebie.

–Czemu miałby ci teraz uwierzyć, skoro nie uwierzył poprzednio? – spytała Glenda.

–Może zobaczyć, jak wygląda mój samochód po ostatnim ataku Sędziego.

–Nie uwierzy, że to się stało tak, jak mówisz. Nie masz świadków. Powie, że byłeś pijany.

Ben wiedział, że Glenda ma rację.

–Musimy gdzieś znaleźć pomoc.

–Do tej pory sam sobie z tym radziłeś. Sam próbowałeś go wyśledzić. Czemu więc nie możemy robić tego we dwójkę?

Chase pokręcił głową.

–Co innego, kiedy w grę wchodziło tylko moje życie, teraz...

–Ludzie z książek – powiedziała.

–Słucham?

–Zwykle możemy ufać bohaterom z książek, ale tu i teraz nie możemy ufać nikomu poza sobą.

Ben bał się jak nigdy dotąd, i nie tylko o nią. Bał się również o siebie, bo po raz pierwszy od początku tej całej historii miał coś do stracenia.

–Tylko jak znajdziemy tego lajdaka? – myślał na głos.

–Zrobimy to, co miałeś zamiar zrobić sam. Najpierw zadzwoń do Louise Allenby. Zapytaj, czy dowiedziała się nazwiska tego faceta, z którym umawiała się jej matka, tego z sygnetem Sojuszu Aryjskiego.

–Ale to nie jest Sędzia. Gdyby tak było, Louise by go rozpoznała.

–Ale on nas może doprowadzić do Sędziego.

–To by było zbyt proste.

–Czasem życie bywa proste.

Ben zadzwonił do domu Allenbych. Odebrała Louise. Kiedy usłyszała, kto mówi, jej głos zamienił się w uwodzicielskie mruczenie. Zdobyła nazwisko, o które prosił, ale nie chciała podać mu go przez telefon.

–Musisz do mnie przyjechać – powiedziała zalotnie. – Moja mama wyjechała na weekend z tym facetem. Mam cały dom tylko dla siebie.

Kiedy Louise otworzyła drzwi, miała na sobie żółte bikini. Pachniała kokosowym olejkiem do opalania. Otwierając drzwi, powiedziała:

–Wiedziałam, że wrócisz po nagrodę... Przerwała na widok Glendy.

–Czy możemy wejść?

Louise zmieszana zrobiła krok w tył, po czym zamknęła za nimi drzwi. Ben przedstawił Glendę jako swoją przyjaciółkę i Louise od razu zrobiła nadąsaną minę.

Prowadząc ich do salonu, kołysała biodrami, prezentując jędrne pośladki.

–Napijcie się drinka?

–Nie za wcześnie na to?

–Już południe.

–Nie, dziękuję – rzekł Ben. – Mamy tylko kilka pytań, a potem musimy iść.

Usiedli na sofie. Louise mieszała sobie drinka przy barze, wyginając prawe biodro, po czym poszła ze szklanką do fotela naprzeciwko nich i usiadła z rozsuniętymi nogami. Skąpy kostium kąpielowy odsłaniał to, co miał zasłaniać, niewiele pozostawiając miejsca wyobraźni.

Chase poczuł się zakłopotany, natomiast Glenda wydawała się spokojna jak zawsze.

–Ten człowiek, o którego pytałeś – powiedziała Louise – ten od sygnetu, co moja mama się z nim spotykała, nazywa się Tom Deekin. Sprzedaje ubezpieczenia. Ma biuro przy Canby Street obok remizy. Ale to nie on zadźgał Mike’a.

–Wiem, ale mógłby nam podać nazwiska innych członków Sojuszu.

–Marne szanse. – Louise trzymała drinka w jednej ręce, podczas gdy drugą gładziła opalone udo. Robiła to niby nieświadomie, ale była zbyt wyzywająca, żeby ktoś mógł w to uwierzyć. – Ci faceci są mocno zaangażowani, wiesz, mają ideały, a ty jesteś z zewnątrz. Czemu mieliby ci zdradzić swoich kumpli?

–Może jednak.

Louise pokręciła z uśmiechem głową.

–Myślisz, że wyciśniesz jakieś nazwiska z Toma Deekina? Słuchaj, ci faceci mają żelazne jaja. Muszą być twardzi, żeby w każdej chwili móc się bronić przed mięczakami, żydkami i całą resztą.

Ben wierzył, że niektórzy członkowie Sojuszu' Aryjskiego mogą rzeczywiście być niebezpieczni, ale większość prawdopodobnie bawiła się w tę rasę panów, zamiast oglądać mecz w telewizorze – gawędząc przy piwie o rasowym Armagedonie.

–Louise – odezwała się Glenda – jeśli dobrze rozumiem, chodziłaś z Mikiem przez rok, zanim...

–Zanim ten świr go zadźgał? – dokończyła Louise, jakby chciała udowodnić, że jest tak samo twarda jak tamci. A może rzeczywiście była. – Rok, tak, mniej więcej. Bo co?

–Nie zauważyliście nigdy, żeby ktoś za wami chodził? Jakby was pilnował?

–Nie.

Ben zrozumiał, o co chodzi Glendzie. Sędzia badał życie swoich ofiar, żeby wykryć ich grzechy i usprawiedliwić własne mordercze popędy rzekomym wymierzaniem sprawiedliwości. Śledził Mike'a i Louise – sam to Benowi powiedział, mogli go więc zauważyć.

–Za szybko odpowiedziałaś, nie zastanowiłaś się nad tym – rzekł Ben. – Glenda nie mówiła o ostatnich dniach, ale o tygodniach, a może nawet miesiącach przed morderstwem.

Louise milczała, popijając drinka. Zsunęła dłoń z uda między nogi i zaczęła wodzić palcami kółka po żółtym materiale krótkich majteczek. Chociaż wpatrywała się głównie w Bena, od czasu do czasu rzucała przelotne, lustrujące spojrzenia na Glendę. Najwyraźniej czuła potrzebę rywalizacji.

Glenda wygrała wszystkie wyścigi wiele lat temu i nigdy nie musiała się mierzyć z nikim innym poza samą sobą.

–Zdarzyło się coś takiego na początku roku, w lutym czy w marcu. Kręciła się koło nas jakaś menda, ale nic się wtedy nie stało. Potem się okazało, że to nie był żaden tajemniczy nieznajomy.

–Nie nieznajomy? Więc kto?

–Kiedy Mike powiedział, że ktoś za nami lazi, z początku się roześmiałam. Wiesz, taki był Mike, ciągle bujał w obłokach, tylko przeskakiwał od jednej fantazji do drugiej. Chciał być artystą. Najpierw miał zamiar pracować gdzieś na poddaszu i zdobyć światową sławę jako malarz. Rany. Potem postanowił zostać ilustratorem książek. Później reżyserem, żeby „malować kamerą”. Ciągle się nie mógł zdecydować, ale za każdym razem był święcie przekonany, że będzie sławny i bogaty. Marzyciel.

–I uważał, że ktoś was śledzi? – zapytał Ben.

–To był ten facet w volkswagenie. W czerwonym volkswagenie. Gdzieś po tygodniu zorientowałam się, że to wcale nie jest jego fantazja. Ten facet w volkswagenie naprawdę ciągle gdzieś za nami jeździł.

–Jak wyglądał? – zapytał Ben.

–Nie wiem, nigdy go nie widziałam. Trzymał się z daleka. Ale nie był niebezpieczny. Mike go znał.

Ben ledwo mógł usiedzieć. Chciał jak najszybciej usłyszeć całą historię bez tego żmudnego dochodzenia: pytanie, odpowiedź, znowu pytanie. Zapytał jednak spokojnie:

–Kto to był?

–Nie wiem – odparła. – Mike mi nie powiedział.

–I nie byłaś ciekawa?

–Jasne, że byłam. Ale kiedy Mike coś sobie wbił do głowy, to nie było sposobu, żeby zmienić zdanie. Pewnego wieczoru, kiedy pojechaliśmy do Diamond Dell, to taki bar dla zmotoryzowanych na Galasio, wysiadł z samochodu i poszedł pogadać z tym kolesiem z volkswagena. Kiedy wrócił, powiedział, że go zna i że nie będziemy mieć z nim więcej problemów. I rzeczywiście tak było. Facet odjechał i więcej się nie pokazał. Nigdy się nie dowiedziałam, o co chodziło, i w ogóle o tym zapomniałam, aż do teraz, kiedy o to zapytaliście.

–Ale coś ci musiało przychodzić do głowy – upierał się Ben. – Nie wierzę, że tak to zostawiłaś i nie próbowałaś się czegoś dowiedzieć.

Louise odstawiła drinka.

–Mike nie chciał o tym gadać, a ja się chyba domyślałam dlaczego. Nigdy nie powiedział tego wprost, ale wydaje mi się, że ta menda w volkswagenie kiedyś się do niego przystawiała.

–Przystawiała? – zapytał Ben.

–Tak mi się tylko wydaje. Ale nie mam dowodów. W każdym razie to nie mógł być ten sam facet, ten, co go zabił, ten z sygnetem.

–Dlaczego? – spytała Glenda.

–Bo ci faceci z Sojuszu Aryjskiego nie znoszą pedałów tak samo jak kolorowych. Za nic by nie pozwolili, żeby jakiś dupodajec nosił ich sygnet.

–Jeszcze jedna sprawa – rzekł Ben. – Bardzo chciałbym dostać nazwiska kolegów Mike'a, pięciu czy sześciu chłopaków, z którymi się przyjaźnił, którym mógł powiedzieć o tym facecie w czerwonym volkswagenie.

–Pięciu czy sześciu, to strata czasu. Mike miał niewielu przyjaciół. Jego najlepszym kumplem był Marty Cable.

–W takim razie chcielibyśmy porozmawiać z Martym.

–Pewnie siedzi w parku Hanowerskim. Latem zawsze pracuje jako ratownik na basenie miejskim. – Popatrzyła wprost na Glendę, czego nie zrobiła, odkąd weszli do domu. – Jak myślisz, czy Ben mnie kiedyś w końcu przeleci?

–Prawdopodobnie nie – odpowiedziała Glenda, nie okazując ani krzty zaskoczenia.

–Jest ze mnie supertowar czy nie?

–Jak najbardziej – odparła Glenda.

–W takim razie to czubek – podsumowała Louise.

–Och, Ben jest zupełnie w porządku – rzekła Glenda.

–Tak myślisz?

–Tak – powtórzyła Glenda. – Ben to dobry facet.

–Skoro tak mówisz, to pewnie tak jest.

Obie kobiety uśmiechnęły się do siebie. Potem Louise zabrała rękę ze swoich majtek, popatrzyła na Bena i westchnęła.

–Szkoda – powiedziała.

W samochodzie, kiedy odjeżdżali sprzed domu Louise, Ben zapytał:

–Czy ten świat już całkiem schodzi na psy?

–Mówisz o Louise?

–Czy wszystkie dziewczęta są teraz takie jak ona?

–Niektóre. Ale na świecie zawsze były takie jak ona. Nic nowego. To po prostu dziecko.

–Ma prawie osiemnaście lat, jesienią idzie do college’u. Jest dość dorosła, żeby mieć szczytę rozumu.

–Nie o to mi chodziło. Jest dzieckiem i zawsze nim zostanie. Wiecznie niedojrzała, zawsze chce być w centrum uwagi. Nie trać czasu na pielęgnowanie w sobie niechęci do takich jak ona, Ben. Jej trzeba współczuć, bardzo współczuć, bo czeka ją bardzo złe życie i dużo bólu. Kiedy

jej uroda zblednie, nie będzie wiedziała, kim właściwie jest.

–Polubiła cię, wbrew własnej woli cię podziwiała – powiedział Ben.

–Tak, trochę.

–A ty ją polubiłaś?

–Nie. Ale wszyscy jesteśmy dziećmi Boga, prawda? Żadna kobieta nie zasługuje na to, co życie trzyma dla tej dziewczyny w zanadrzu.

Jechali aleją wysadzaną olbrzymimi drzewami. Na przedniej szybie słońce igrało z cieniami. Światło i cień. Nadzieja i rozpacz. Wczoraj i dziś. Migotanie.

–Ona jest wiecznym dzieckiem, a ty całe życie byłaś dorosła – powiedział po dłuższej chwili Ben.

–Mimo wszystko – odparła Glenda – to ja mam więcej szczęścia.

Pod drzewami w parku Hanowerskim każdy skrawek cienia zajęty był przez rodziny z wielkimi koszami piknikowymi. Na słońcu, na wielkich ręcznikach plażowych wylegiwali się amatorzy opalania, tu i ówdzie rozgrywano mecze siatkówki.

W wielkim basenie miejskim aż gęsto było od rozwrzeszczanych, pluskających się dzieci. Na obydwu końcach na wysokich krzesłach siedzieli ratownicy, a poniżej kręciło się kilka zachwyconych dziewcząt, licząc, że zostaną zauważone.

Ben przeprowadził Glendę przez ten jarmark nagich ciał, po czym przedstawił się Martinowi Cable'owi. Młody ratownik był szczupły i dobrze zbudowany. Miał gęste, długie ciemne włosy, a na gładkiej twarzy ani śladu zarostu, niczym u dużo młodszych chłopców.

–Jasne, że się kumplowaliśmy z Mikiem – powiedział, kiedy Ben zapytał go o Karnesa. – Bo co?

–Bo uważam, że policja za mało się stara, żeby złapać mordercę, a mnie się nie podoba, że na wolności biega wariat, który ma do mnie pretensje.

–Czemu ma mnie to obchodzić?

–Zginął twój przyjaciel.

–Każdy kiedyś umiera. Nie ogląda pan wiadomości? Cable nosił okulary lustrzane, toteż Ben nie mógł mu spojrzeć w oczy. To było drażniące uczucie – widział siebie podwójnie, za to nie miał pojęcia, czy chłopak patrzy na niego, na paradujące dziewczęta, czy na ludzi w basenie.

–Nie było mnie tam, kiedy to się stało – powiedział Cable. – Więc skąd mam coś wiedzieć?

Odezwała się Glenda:

–Nie chcesz, żeby morderca Mike'a został złapany? Ponieważ Cable nawet nie drgnął, nawet nie poruszył głową, żeby jej odpowiedzieć, było oczywiste, że przez te lustrzane okulary uważnie się Glendzie przygląda.

–Będzie, co ma być – odparł enigmatycznie.

–Rozmawialiśmy z Louise Allenby – rzekł Chase.

–Rozrywkowa, no nie?

–Znasz ją?

–Całkiem dobrze.

–Mówiła, że jakiś czas temu Mike miał kłopot z pewnym facetem.

Cable nie odpowiedział.

–Louise uważa, że ten facet się do Mike’a przystawiał. Cable zmarszczył brwi.

–Człowieku, Mike to był pies na baby.

–Nie wątpię.

–Do połowy przedostatniej klasy nie zasmakował porządnego rżnięcia, a kiedy w końcu zasmakował, kompletnie mu odbiło na tym punkcie. Nie myślał o niczym innym.

Ben rozejrzał się niespokojnie po nastoletnich dziewczętach, które próbowały ściągnąć na siebie uwagę ratownika. Niektóre miały ledwie czternaście, piętnaście lat. Miał ochotę zwrócić Cable’owi uwagę, żeby trochę pohamował język, ale to by oznaczało koniec rozmowy.

–Wiecie, jacy są jego starzy – ciągnął Cable. – Sami rozumiecie, dlaczego Mike, jak coś robił, to szedł na całość: panienki, narkotyki, alkohol, musiał czuć, że żyje.

–Nie znam jego rodziców – powiedział Ben.

–Państwo Sztyniakowie. A on się nagle wyrwał na wolność. I poszedł na całość. Oceny poleciały na pysek. Chciał iść do college’u stanowego, ale bez poprawienia średniej nie miał szans. No i nie byłoby mowy o odroczone. Witaj, Wietnamie!

W basenie rozległy się wrzaski. Mogły to być odgłosy zabawy jakiegoś nadpobudliwego dziecka albo rozpaczliwe krzyki tonącego. Marty nawet się nie odwrócił. Zdawał się pochłonięty Glendą.

–Najgorzej mu szło z fizyką. Musiał brać korepetycje w soboty. Facet był plugawym typem.

–Czy to on nadskakiwał Mike’owi? – zapytała Glenda. – Korepetytor?

–Próbował przekonać Mike’a, że nie ma nic złego w działaniu na dwa fronty. Mike dostał innego korepetytora, ale tamten facet dalej do niego wydzwaniał.

–Pamiętasz, jak się nazywał?

–Nie.

–Nawet imienia?

–Nie. Załatwili Mike’owi innego korepetytora i w końcu zdał fizykę. Ale jak się teraz nad tym zastanowić, to po co to było? Po co tyle zachodu? I tak nie poszedł do stanówki, no nie? Lepiej by mu było zapomnieć o fizyce i pieprzyć się, ile wlezie. Przynajmniej wykorzystałby ten

czas, co mu jeszcze został.

–Z takiego punktu widzenia po co w ogóle coś robić? – zauważyła Glenda.

–No właśnie – odparł Cable, najwyraźniej sądząc, że Glenda się z nim zgadza. – Jesteśmy mięsem i to wszystko. – Odwrócił się do Chase’a. – Pan wie, jak to jest, był pan w Wietnamie – kontynuował, jakby świetnie rozumiał okropieństwa wojny dzięki miesięcznej prenumeracie „Rolling Stone”. – Wiecie, ile głowic atomowych wycelowali w nas Rosjanie?

–Dużo – rzekł Chase, rozdrażniony cynizmem chłopaka.

–Dwadzieścia tysięcy – powiedział Cable. – Wystarczy, żeby nas wszystkich zabić po pięć razy.

–Zacznę się denerwować dopiero, jak będzie sześć.

–Super. – Cable roześmiał się, nie wyczuwając sarkazmu w głosie Chase’a. – Ja też. Nie będę się głównem przejmował. Brać, co się da, i mieć nadzieję, że rano znowu się obudzisz. Tak właśnie trzeba na to patrzeć.

Podniósł głowę, kiedy przeleciały nad nim dwie krzykliwe wrony. Słońce odbiło się w jego lustrzankach jaskrawym białym płomieniem.

*

Lora Karnes najwyraźniej nie uznawała makijażu. Miała krótko ostrzyżone, rozczochrane włosy, a mimo lipcowego upału ubrana była w długie spodnie khaki i bluzkę z długim rękawem. Musiała mieć niewiele ponad czterdziestkę, ale wyglądała co najmniej piętnaście lat starzej. Przysiadła na brzeжку krzesła, nogi złączyła mocno razem, ręce złożyła na podolku i pochyliła się zgarbiona do przodu niczym dziwaczny, niepokojący gargulec, nie dość jednak groteskowy, żeby stanąć na katedralnym gzymsie.

Cały dom wyglądał równie przygnębiająco i nijako jak jego gospodyni. Meble w salonie były ciemne i ciężkie. Zaslony zaciągnięto przed ostrym słońcem, za to paliły się dwie lampy rozsiewające nienaturalne szare światło. W telewizorze gestykulował żywiolowo jakiś kaznodzieja, ale głos był wyłączony, więc duchowny przypominał obłąkanego, kiepskiego pantomimistę.

Na ścianach wisiały płótna w ramach z wyhaftowanymi cytatami z Biblii. Nie było wątpliwości, że pani Karnes wykonała je własnoręcznie. Co dziwne, cytaty były tak niejasne i enigmatyczne, przypuszczalnie wyrwane z kontekstu, że Ben nie mógł zrozumieć, o co w nich właściwie chodzi, za jaką duchową wskazówkę mają służyć.

RĘKĘ PRZYŁOŻĘ DO UST

Hiob (40;4)

**PRZYPOMINAJ IM, ŻE POWINNI PODPORZĄDKOWAĆ SIĘ ZWIERZCHNIM
WŁADZOM**

Tytus (3;1)

A BŁOGOSŁAWIONY JEST, KTO BY SIĘ NIE ZGORSZYŁ ZE MNIE

Łukasz (7;23)

I UWARZYŁ SOBIE JAKUB POTRAWĘ

Ks. Rodzaju (25;29)

Poza cytatami z Biblii na ścianach wisiały też portrety przywódców religijnych, ale galeria ta stanowiła elektryzującą mieszankę: papież, Oral Roberts, Billy Graham i kilka twarzy, w których Chase rozpoznał krzykliwych kaznodziejów telewizyjnych, bardziej zainteresowanych datkami wiernych niż zbawieniem ich dusz. Wyglądało na to, że dom państwa Karnesów sypława bogactwem uczuć religijnych, ale brak w nim konkretnej wiary.

Harry Karnes był równie nijaki jak jego żona i dom: niski, jakieś dziesięć lat starszy od Lory, ale taki chudy i przedwcześnie postarzały, jakby miał za chwilę zasłabnąć. Ręce mu się

trzęsły, kiedy tylko nie spoczywały na oparciu fotela. Nie patrzył na Bena, kiedy do niego mówił, tylko gdzieś w przestrzeń nad jego głową.

Siedząc na sofie obok Glendy, Ben domyślił się, że w domu państwa Karnesów goście byli rzadkim zjawiskiem. Być może któregoś dnia ktoś sobie uprzytomni, że dawno nie miał wiadomości od Lory i Harry'ego i po przeprowadzonym dochodzeniu znajdzie tę parę dokładnie tak, jak siedzieli teraz, tylko skurczoną, zasuszoną i zmumifikowaną przez lata, podczas których nikt nie zauważył ich zejścia.

–Był dobrym chłopcem – powiedział Harry Karnes.

–Harry, nie opowiadajmy kłamstw panu Chase'owi – upomniała go Lora.

–Dobrze mu szło w szkole i wybierał się do college'u – rzekł Harry.

–Tatku, oboje dobrze wiemy, że to nieprawda – powiedziała Lora. – Michael zszedł na złą drogę.

–Ostatnio tak. Ale przedtem, mamusku, był dobrym chłopcem – upierał się Harry.

–Popsuł się. Nie powiedziałbyś, że to ten sam chłopak. Z roku na rok było coraz gorzej. Włóczył się. Późno wracał do domu. To się nie mogło inaczej skończyć.

Im dłużej Chase siedział w tym gorącym, dusznym domu, tym większy chłód go przejmował.

–Interesuje mnie ten korepetytor od fizyki, którego Mike miał na początku roku.

Lora Karnes zmarszczyła czoło.

–Tak jak powiedziałam, drugi nauczyciel nazywał się Bandoff, ale pierwszego nie pamiętam, a ty, tatuśku?

–Gdzieś mi się kołacze po głowie, ale nie mogę sobie przypomnieć – powiedział Harry Karnes.

I zaczął patrzeć z zainteresowaniem na bezgłośnie perorującego kaznodzieję w telewizorze.

–Przecież chyba musieliście mu płacić? – zapytała Glenda.

–Owszem, ale płaciliśmy gotówką. Nigdy nie pisaliśmy czeku – powiedziała Lora. Spojrzała ze zgorzeleniem na gołe nogi Glendy, po czym zażenowana szybko odwróciła wzrok. – Poza tym on go uczył tylko kilka tygodni. Michael nie mógł się u niego uczyć i musieliśmy wziąć pana Bandoffa.

–A jak znaleźliście tego pierwszego korepetytora?

–Michael go znalazł przez szkołę. Obydwu znalazł przez szkołę.

–Tę, w której się uczył?

–Tak, ale ten nauczyciel tam nie pracował. Uczył w szkole średniej imienia George’a Washingtona na drugim końcu miasta, tylko znajdował się na liście rekomendowanych korepetytorów.

–Michael był bystrym chłopcem – powiedział Harry.

–Bystry nigdy nie jest dość bystry – orzekła jego żona.

–Pewnego dnia mógłby być kimś.

–Do tego nie wystarczy być bystrym – sprostowała pani Karnes.

Ben czuł się nieswojo w obecności Karnesów. Nie potrafił ich zrozumieć. Byli fanatykami, ale wyglądało na to, że kroczyli jakąś dziwną własną ścieżką w chaosie zdezorganizowanej wiary.

–Gdyby nie zszedł na złą drogę – rzekła Lora – może zostałby kimś. Ale nie potrafił nad sobą panować. A jeśli człowiek nie umie nad sobą panować, to jak może skończyć inaczej niż tak, jak skończył Michael?

–Pamiętacie może cokolwiek, co miałyby związek z tym pierwszym korepetytorem Mike’a? Gdzie mieszkał? Czy Mike nie jeździł do niego na lekcje?

–Jeździł – odparła Lora Karnes. – Wydaje mi się, że to było w tej przyjemnej okolicy w zachodniej części miasta. Tam, gdzie są takie ładne parterowe domki.

–Chodzi pani o Crescent Heights? – zapytała Glenda.

–Tak jest.

Harry oderwał wzrok od telewizora i patrząc nad głową swojej żony, powiedział:

–Mamuśku, czy ten człowiek nie nazywał jakoś Lupinski albo Lepenski, czy jakoś tak?

–Masz rację, tatku. Liński. Tak miał na nazwisko. Liński.

–Richard? – zasugerował Harry.

–Właśnie. Richard Liński.

–Ale on się nie nadawał – oznajmił Harry ściance nad lewym ramieniem Bena. – Wzięliśmy innego korepetytora i wtedy oceny Michaela się poprawiły. To był dobry chłopiec.

–Kiedys tak, tatku. Ale wiesz, nie winię go za wszystko. Dużo było w tym również naszej winy.

Ben poczuł, że ten dziwny ponury nastrój zaraz go wessie niczym wir w czarną morską otchłań.

–Czy mogliby państwo przeliterować to nazwisko?

–L-i-n-s-k-i – powiedziała Lora. Richard Liński.

–Michael go nie lubił – dodała pani Karnes.

–Michael był dobrym chłopcem. – Harry miał łzy w oczach. Widząc, co się dzieje z mężem, Lora powiedziała:

–Nie zrzucajmy na chłopca całej winy, tatku. Zgadza się, Michael nie był niegodziwy.

–Nie można winić dziecka za wszystkie jego wady, mamusku.

–Trzeba się cofnąć do rodziców. Jeżeli Michael nie był doskonały, to dlatego że i my nie byliśmy doskonali.

–Nie wychowa pobożnego dziecka, kto sam popełnia niegodziwości – oznajmił Harry Karnes, jak gdyby mówił do wyciszonego kaznodziei w telewizorze.

Ben przestraszył się, że ta przerażająca para wda się lada chwila w litanię płaczliwych wyznań, równie zrozumiałych jak haftowane sentencje na ścianach. Poderwał się na równe nogi i złapał Glendę za rękę.

–Przepraszam, że kazałem państwu przez to wszystko przechodzić.

–Nic nie szkodzi – odrzekła Lora Karnes. – Wspomnienia napominają.

Uwagę Bena ściągnął jeden z cytatów na ścianie:

SIEDEM GROMÓW PRZEMÓWIŁO

SWYM GŁOSEM

Apokalipsa św. Jana (10;3)

–Pani Karnes, czy to pani sama wyhaftowała te cytaty?

–Tak. Haftowanie pomaga zająć ręce dziełem Pańskim.

–Są bardzo ładne. Zastanawiałem się tylko... co dokładnie znaczą te słowa?

–Siedem gromów naraz – odpowiedziała pani Karnes cicho, bez swady, za to nieznośnie pewnym siebie tonem, jakby to, co mówiła, rozumiało się samo przez się. – Tak właśnie będzie. Wtedy zrozumiemy, dlaczego powinniśmy byli robić, co w naszej mocy. Wtedy będziemy żałować, że się bardziej nie staraliśmy, dużo bardziej. Kiedy zagrzmie siedem gromów naraz.

Przy drzwiach, kiedy Ben i Glenda wychodzili, pani Karnes powiedziała:

–Czy jest pan narzędziem Boga, panie Chase?

–Czyż nie jesteśmy wszyscy narzędziami Boga? – odpowiedział pytaniem Ben.

–Nie. Niektórzy są na to za słabi. Ale pan, czy jest pan Jego ręką, panie Chase?

Ben nie miał pojęcia, jakiej odpowiedzi oczekuje od niego ta kobieta.

–Nie sądzę, pani Karnes.

Pani Karnes wyszła za nim na ścieżkę przed domem.

–A ja myślę, że tak – powiedziała.

–W takim razie boskie zamysły są jeszcze bardziej tajemnicze, niż ktokolwiek przedtem podejrzewał.

–Myślę, że jest pan ręką Boga.

Popołudniowe słońce piekło niemiłosiernie, a mimo to Bena przechodziły lodowate ciarki w obecności Lory Karnes. Odwrócił się od niej bez słowa.

Kiedy odjeżdżali zdezelowanym mustangiem, pani Karnes w dalszym ciągu stała w progu i patrzyła za nimi.

Przez całą drogę – od mieszkania Glendy do domu Allenbych, parku Hanowerskiego i domu Karnesów – Ben jeździł uważnie, oboje z Glendą wypatrywali ogona. Ani razu nikt ich nie śledził.

Nikt ich nie śledził również, kiedy wyruszyli sprzed domu Karnesów. Pojechali na najbliższą stację benzynową.

W budce telefonicznej na podłodze armia mrówek pracowicie dźwigała martwego chrząszcza.

Glenda stała w otwartych drzwiach, podczas gdy Ben szukał w książce telefonicznej Richarda Lińskiego. Znalazł numer i adres. W Crescent Heights.

Wziął monetę z portmonetki Glendy i zadzwonił.

Po drugim sygnale w słuchawce odezwał się głos:

–Halo? Ben milczał.

–Halo? – odezwał się Richard Liński. – Kto mówi? Ben bez słowa odwiesił słuchawkę.

–No i co? – spytała Glenda.

–To on. Sędzia nazywa się Richard Liński.

Pokój w motelu był mały. Słyszeć było głośny szum przyokiennego klimatyzatora.

Ben zamknął drzwi i upewnił się, czy zasuwą działa, jak należy. Potem sprawdził łańcuch. Również działał bez zarzutu.

–Tu będziesz bezpieczna – zapewnił. – Liński nie wie, gdzie jesteś.

Na wszelki wypadek nie pojechali do mieszkania Glendy po jej rzeczy. Zameldowali się w motelu bez bagażu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie zostaną tu nawet przez całą noc. To był tylko króciutki przystanek między samotną przeszłością a tym, co dla nich szykowała przyszłość.

Glenda siedziała na brzegu łóżka, cały czas w tych samych różowych skarpetkach i z kucykami, które nadawały jej tak dziewczęcy wygląd.

–Powinnam z tobą pojechać – powiedziała.

–Ja mam wyszkolenie wojskowe, ty nie. To prosta różnica. Nie zapytała, dlaczego nie chce wezwać policji. Po tym, czego się dowiedzieli, detektyw Wallace na pewno przesłuchałby Lińskiego, a jeśli Liński był zabójcą, dowody wykazałyby to niezbicie. Każdy na miejscu Glendy zadałby to oczywiste pytanie. Ale nie ona. Zapadł wieczór.

–Lepiej już pójdę – rzekł Ben.

Glenda wstała z łóżka i przytuliła się do niego. Obejmował ją przez dłuższą chwilę. Za sprawą jakiegoś milczącego porozumienia nie pocałowali się. Pocałunek oznaczałby obietnicę, a pomimo wojskowego wyszkolenia Ben nie był pewien, czy wyjdzie z domu Lińskiego żywy. Nie chciał składać obietnic, których nie mógłby dotrzymać.

Otworzył zasuwę, zdjął łańcuch i wyszedł na betonowy chodnik. Czekał, aż Glenda zamknie za nim drzwi.

Wieczór był ciepły i wilgotny. Niebo nie miało końca. Ben wsiadł w mustanga i pojechał.

*

O dziesiątej wieczorem zaparkował samochód dwie przecznice od domu Lińskiego i włożył rękawice ogrodnicze, które wcześniej kupił. Resztę drogi przebył pieszo przeciwną stroną ulicy.

Dom Sędziego był drugim budynkiem za skrzyżowaniem. Zadbany, z białej cegły ze szmaragdowozielonymi wykończeniami i ciemnozielonymi dachówkami stał na podwójnej działce ogrodzonej żywopłotem przystrzyżonym tak równiutko, jakby używano do tego

mikrometru. W kilku oknach paliło się światło. Najwyraźniej Liński był w domu.

Ben zawrócił, skręcił w ulicę biegnącą prostopadle, a potem w wąziutką pustą uliczkę przylegającą do posiadłości Lińskiego od tyłu. Żywopłot rozstępował się w miejscu, gdzie na teren posiadłości prowadziła furtka z kutego żelaza. Nie była zamknięta na klucz. Otworzył ją i wszedł. Znalazł się na tyłach domu Lińskiego.

Wąską drewnianą werandę obrastały z obu boków ogromne krzewy bzu. Deski nie zatrzeszczały mu pod nogami. Światło z Imchni przesączało się przez zasłonki w czerwono-białą kratę.

Ben czekał w ciemności przepojonej zapachem bzu i pozbywał się niepotrzebnych myśli. Przechodził jakby na jałowy bieg, przygotowując się do konfrontacji, tak jak go uczono w Wietnamie.

Ostrożnie nacisnął klamkę, ale okazało się, że drzwi są zamknięte. Otwarte za to były obydwie kuchenne okna, które wpuszczały do środka świeże nocne powietrze. W głębi domu grało radio, przez okno dochodziły dźwięki big-bandu Benny'ego Goodmana grającego *One O'clock Jump*.

Ben ostrożnie zajrzał do środka przez na wpół zasunięte zasłonki, które poruszały się na delikatnym wietrze. Pod oknem stał sosnowy stół z krzesłami, na środku stołu wiklinowy kosz pełen jablek. W głębi kuchni widać było lodówkę i kuchenkę, pojemniki na mąkę, cukier i kawę, wieszak z łopatkami i chochlami, mikser włączony do kontaktu.

Ani śladu Sędziego. Musiał być gdzieś w głębi domu.

Teraz rozległy się dźwięki *String of Pearls* Glenna Millera.

W oknie tkwiła siatka ochronna. Ben obejrzał ramkę i stwierdził, że trzyma się na zwykłych zaciskach. Zdjął ją bez trudu i odstawił na bok. Kiedy dostał się do środka, musiał wejść na stół, uważając, aby nie przewrócić kosza z jabłkami. Potem po cichu opuścił się na podłogę wyłożoną płytkami PCW. Radio zagłuszyło nieznaczny hałas, który spowodował.

Cały czas pamiętał, że jest bez broni. Zastanawiał się przez chwilę, czyby nie zajrzeć do szuflad koło zlewu i znaleźć jakiś ostry nóż, ale szybko porzucił tę myśl. Gdyby wziął do ręki nóż, historia zatoczyłaby koło, tyle że teraz to on byłby intruzem ze śmiertcionośnym narzędziem w ręku i zadawał sobie pytanie o własne zdrowie psychiczne.

Przystanął w przejściu między kuchnią a jadalnią, bo w jadalni było ciemno, tylko z kuchni i salonu wpadało tam nieco światła. Nie chciał po ciemku wpaść na jakiś mebel.

Kiedy wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności, ruszył powoli dalej. Gruby dywan tłumił jego kroki.

Na progu dużego pokoju znów się zatrzymał, aby na powrót przyzwycząić oczy do jasnego światła salonu. Ktoś zakasłał. Mężczyzna.

W Wietnamie, kiedy akcja była wyjątkowo niebezpieczna, Ben potrafił bez reszty skupić umysł na jednym jedynym celu – wypełnieniu zadania. Nigdy wcześniej ani później nie udawało mu się to w takim stopniu. Chciał teraz działać tak samo szybko, sprawnie i pewnie jak wtedy, w czasach operacji wojennych, ale za bardzo zaprzętała go myśl o Glendzie, siedzącej samotnie na brzegu łóżka i zastanawiającej się, czy drzwi pokoju motelu okażą się tymi wyjątkowymi drzwiami, za którymi czeka to, czego potrzebuje.

Rozprostował dłonie w rękawiczkach i wziął długi, głęboki oddech. Przygotował się.

Najmądrzej byłoby teraz odwrócić się, przejść jak najciszej przez ciemną jadalnię, wyjść kuchennymi drzwiami i wezwać policję.

Tylko że to by była prawdziwa policja, nie taka jak w książkach. Czasami można było na niej polegać, ale czasami nie. Wszedł do salonu.

W wielkim fotelu przed kominkiem siedział mężczyzna z gazetą rozłożoną na kolanach. Okulary w szylkretowych oprawkach miał zsunięte nisko na długim cienkim nosie. Czytając komiks, nucił półgłosem melodię Glenna Millera.

Przez krótką chwilę przemknęło Benowi przez myśl, że musiał się pomylić, nie mógł uwierzyć, że psychopatyczny zabójca może się jak każdy inny beztrudnie oddawać lekturze najnowszych przygód Snoopy'ego, Charliego Browna i Broom Hildy. Wtedy mężczyzna zaskoczony podniósł głowę. Wyglądał tak, jak go opisał Franklin Brown: wysoki blondyn o ascetycznych rysach.

–Richard Liński? – zapytał Ben.

Mężczyzna w fotelu zamarł niby manekin, którego ktoś tam posadził, żeby zmylić Bena, podczas gdy prawdziwy Sędzia, prawdziwy Richard Liński podkrada się doń od tyłu. Złudzenie było tak całkowite, że mało brakowało, aby Ben odwrócił się sprawdzić, czy jego obawy są uzasadnione.

–To ty? – szepnął Liński.

Zmiał w rękach gazetę, cisnął ją w bok i poderwał się z fotela. Z Bena w mgnieniu oka uleciał cały lęk. Ogarnął go nienaturalny spokój.

–Co tu robisz? – zapytał Liński.

Ben nie miał najmniejszych wątpliwości – to był głos Sędziego. Liński cofnął się od fotela w stronę kominka, szukając czegoś za plecami. Pogrzebacz.

–Nawet nie próbuj – ostrzegł Chase.

Zamiast jednak sięgnąć po mosiężny pręt, Liński chwycił coś, co leżało na kominku obok pozłacanego brązowego zegara: pistolet z tłumikiem.

Na widok broni w ręku Sędziego Ben rzucił się do przodu, ale zrobił to za wolno. Kula trafiła go w lewe ramię. Odrzuciło go w tył, stracił równowagę i poleciał na stojącą lampę. Przewracając się, pociągnął lampę na siebie. Obie żarówki roztrzaskały się o podłogę i pograżyły pokój w ciemnościach, rozpraszanych tylko bladym poblaskiem dalekich lamp ulicznych oraz światłem dochodzącym z kuchni.

–Cudzołóżnik – szepnął Sędzia.

Ben czuł, jakby mu ktoś wbijał gwóźdź w ramię, całą lewą rękę miał na wpół zdrętwiałą. Leżał nieruchomo, udając w ciemności martwego.

–Chase? Ben czekał.

Liński zrobił przed siebie kilka kroków, szukając po ciemku ciała Bena w bezładnej masie mebli i cieni. Ben nie był pewny, ale wydawało mu się, że sędzia trzyma pistolet wyciągnięty prosto przed siebie niczym wskaźnik wymierzony w tablicę.

–Chase?

Ben dygotał, słaby i zlany zimnym potem. Wiedział, że to wstrząs bardziej się przyczynia do tego stanu niż rana. A wstrząs można przeczucić.

–No i jak się ma teraz nasz bohater? – spytał Sędzia.

W tym momencie Chase rzucił się na niego, nie zważając na eksplozję bólu w ramieniu.

Pistolet wypalił – z bliska cichy dźwięk tłumika rozległ się wyraźnie – ale Ben był już wtedy niżej niż tor pocisku i kula przeszła mu nad głową, tłukąc coś szklanego na końcu pokoju.

Powalił Lińskiego na ziemię obok kominka. Padając, Sędzia ściągnął ze stojaka telewizor, który gruchnął z łomotem na podłogę, ale się nie stłukł. Pistolet wypadł Lińskiemu z ręki i poszybował w ciemność.

Ben przyciągnął Sędziego i wbił mu kolano w krocze. Liński cicho krzyknął. Próbował zrzucić z siebie Chase'a, ale nie miał siły.

Ben czuł w ramieniu ogień, mimo to szybko i bezbłędnie znalazł na szyi Sędziego właściwe miejsca i – tak jak go uczono – zacisnął dłonie, nie za mocno, tyle tylko, żeby go pozbawić przytomności.

Potem wstał i zataczając się jak pijany, zaczął szukać po omacku jakiegoś światła, aż w

końcu znalazł drugą lampę stojącą, która nie została przewrócona.

Liński leżał na podłodze nieprzytomny, z rękami rozpostartymi na boki niczym skrzydła. Wyglądał jak ptak, który spadł z nieba i złamał kark o wystającą skalę.

Ben wytarł twarz rękawiczką. Do tej pory miał żołądek ściśnięty ze strachu, a teraz, kiedy napięcie opadło, zrobiło mu się niedobrze.

Na dworze przejechał samochód z rozkrzyczanymi nastolatkami. Zapiszczał oponami na zakręcie, zatrał i znów pomknął z piskiem opon.

Ben przestąpił nad bezwładnym ciałem Lińskiego i wyjrzał przez okno. Nigdzie nie zauważył żywej duszy. Na trawniku było ciemno, nikt nie usłyszał ich szamotaniny.

Odwrócił się od okna i wsłuchał w oddech Sędziego. Był płytki, ale równy. Szybko obejrzał swoją ranę. Kula najprawdopodobniej przeszła na wylot, krwawienie nie było zbyt silne, niemniej rana wymagała jak najszybszego opatrzenia.

W toalecie przylegającej do kuchni znalazł dwie rolki plastra, zaciągnął Lińskiego do kuchni i przywiązał go nim do krzesła.

Potem poszedł do łazienki, zdjął rękawice i odłożył je na bok, żeby się nie zabrudziły krwią. Ściągnął zakrwawioną koszulę i wrzucił ją do umywalki.

Wyjął z apteczki spirytus salicylowy. Kiedy polał nim ranę, omal nie zemdlął z bólu. Zgiął się nad umywalką i przez chwilę stał kompletnie sparaliżowany.

Odzyskawszy władzę nad ciałem, zrobił z papierowego ręcznika tampon i przyciskał go do rany, dopóki częściowo nie zatamował upływu krwi. Potem przyłożył jeszcze myjkę i dopiero wtedy owinął wszystko plastrem. Trudno to było nazwać fachowym opatrunkiem, ale miał przynajmniej pewność, że nie zaplami wszystkiego krwią.

Poszedł do sypialni, wyjął z szafy koszulę Lińskiego i wcisnął się w nią, bo od rany szybko zaczynał drętwieć. Potem wrócił do kuchni po opakowanie dużych plastikowych toreb na śmieci. Wziął jedną do łazienki. Wrzucił do niej zakrwawioną koszulę, papierowymi ręcznikami wytarł ślady krwi na zlewie i lustrze, po czym zużyte ręczniki też wrzucił do worka. Stał w progu, włożył rękawice, zlustrował uważnie łazienkę, a kiedy stwierdził, że nie ma w niej śladu po tym, co tu robił, zgasił światło i zamknął drzwi.

Na schodach się potknął i musiał chwycić poręcz, żeby nie upaść. Zakręciło mu się w głowie, przed oczami zobaczył mroczki, ale po chwili wszystko to minęło.

Drugi strzał Sędziego nie trafił Chase'a, za to roztrzaskał wielkie stylowe lustro nad barkiem. Szkło wyleciało z ozdobnej brązowej ramy i rozprysło się w promieniu dwóch metrów. Pięć minut zajęło Benowi pozbieranie większych kawałków, ale wszędzie na dywanie i fotelu

migotały setki drobniutkich okruchów.

Właśnie się zastanawiał, co z tym zrobić, kiedy usłyszał, że w kuchni ocknął się Liński i zaczął coś wołać. Poszedł do kuchni. Sędzia siedział tak, jak go Ben zostawił – nadgarstkami przytwierdzony do oparcia, a kostkami do nóg krzesła. Skręcał się i wil, próbując uwolnić ręce lub nogi, w końcu jednak zrozumiał, że nie da rady, i przestał.

–Gdzie masz odkurzacz? – zapytał Ben.

–Co? – zapytał Liński, nie do końca jeszcze przytomny.

–Odkurzacz.

–Na co ci odkurzacz?

Ben zamachnął się dla postrachu.

–Przy drzwiach do piwnicy – powiedział Liński.

Ben przyniósł odkurzacz do salonu i wciągnął każdy okruszek szkła, który zdołał zauważyć. Piętnaście minut później, zadowolony ze swojej roboty, odstawił odkurzacz na miejsce.

Zaniósł ramę od lustra do garażu i ukrył ją w kącie za innymi rupieciami.

–Co ty wyprawiasz? – zapytał Sędzia.

Ben nie odpowiedział.

Wrócił do salonu, ustawił telewizor z powrotem na miejscu, włożył wtyczkę do kontaktu i włączył. Właśnie leciała jakaś komedia, jedna z tych, w których ojciec jest zawsze skończonym kretynem, matka idiotką, a dzieci sprytnymi małymi potworkami.

Cały czas miał lekkie zawroty głowy i bał się, że w każdej chwili może stracić przytomność, czym prędzej więc postawił przewróconą lampę i obejrzał metalowy klosz. Był wyszczerbiony, ale nikt by nie rozpoznał, czy szczyrba jest nowa, czy stara. Wykręcił stłuczone żarówki i wrzucił je razem z kawałkami lustra do worka na śmieci. Kartką z jakiegoś czasopisma zebrał drobniejsze okruchy i wszystko to, łącznie z gazetą, również wrzucił do worka.

Poszedł do kuchni.

–Gdzie trzymasz zapasowe żarówki? – zapytał Lińskiego.

–Idź do diabła.

Ben przyjrzał się szyi Sędziego i stwierdził z zadowoleniem, że nie ma na niej śladów po duszeniu. Bardzo precyzyjnie ucisnął wtedy odpowiednie miejsca – dość lekko i krótko, żeby

nie spowodować siniaków.

Bez pomocy Lińskiego Ben po pięciu minutach znalazł żarówki w głębi jednej z szafek kuchennych. Wkręcił dwie sześćdziesięciowatowe w lampę w salonie i zapalił. Obie działały bez zarzutu.

W kuchni przygotował wiadro z wodą, mydło, płyn do czyszczenia na amoniaku i karton mleka z lodówki – ulubiony odplamiacz jego matki. Wrócił znowu do salonu i za pomocą szmatki i gąbki usunął z dywanu niewielkie plamki swojej krwi. Kiedy skończył, kilka uporczywych śladów, które nie dały się wytrzeć, było właściwie niezauważalnych na długim włosie ciemnobrązowego dywanu. Nikt tu jednak nie będzie przeprowadzał drobiazgowych oględzin. Skoro pomieszczenie na pierwszy rzut oka wygląda, jakby nic się nie stało, policja nie będzie miała powodów do podejrzeń.

Sprzątnął środki czyszczące, szmatki wyrzucił do worka na śmieci. Potem stanął na środku pokoju i obejrzał uważnie całe pomieszczenie, czy gdzieś jeszcze nie zostały ślady po walce. Jedynym miejscem, mogącym zwrócić czyjąś uwagę, był pusty prostokąt po lustrze otoczony obwódką sadzy.

Ben wyjął ze ściany dwa haczyki, po których zostały niewielkie dziurki. Wziął kilka papierowych ręczników i przetarł brudną otoczką na ścianie, delikatnie strzepując osad, aby wyrównać ciemniejsze i jaśniejsze miejsca. Nadal było widać, że coś tu wisiało, ale teraz ktoś, kto na to patrzył, mógł pomyśleć, że przedmiot zdjęto ze ściany kilka miesięcy temu.

Znalazł pistolet, który wypadł Lińskiemu z ręki, i wrócił do kuchni.

–Mam do ciebie kilka pytań.

–Pieprz się – burknął Liński.

Ben przystawił Sędziemu lufę pistoletu do nasady nosa. Sędzia popatrzył na broń.

–Nie zrobiłbyś tego – powiedział.

–Czyżby? Przypomnij sobie moje dokumenty z Wietnamu. Liński zbladł, ale nadal patrzył na Chase'a wrogo.

–Tłumik domowej roboty. To takie rzeczy robią sobie przeciętni nauczyciele fizyki w ramach hobby?

–Nauczyliśmy się tego w Sojuszu. Sztuka przetrwania.

–Prawdziwi z was skauci, co?

–Możesz się śmiać, ale pewnego dnia będziesz dziękował Bogu, że się nauczyliśmy bronić.

Materiały wybuchowe, broń, otwieranie zamków... wszystko, czego będziemy potrzebować w dniu, kiedy miasta staną w ogniu, a my będziemy walczyć za naszą rasę.

–A co ma Sojusz Aryjski wspólnego z twoimi morderstwami? Liński spuścił nagle z tonu. Znikła gdzieś jego arogancja, zaczął nerwowo oblizywać wargi.

–Muszę wiedzieć, co się dzieje – powiedział Ben. – Czy ta postrzelona banda ma zamiar mnie ścigać, a jeśli tak, to dlaczego? W co takiego wdepnąłem, kiedy cię wyciągnąłem z samochodu w alei kochanków?

Ponieważ Liński nie odpowiedział, Ben podsunął mu pistolet pod prawe oko, aby mógł patrzeć prosto w wylot lufy. Sędzia zwisł zrezygnowany na krześle.

–To sięga daleko wstecz.

–Co?

–Sojusz Aryjski.

–Mów dalej.

–Mieliśmy wtedy po dwadzieścia parę lat.

–Kto?

–Lora, Harry, ja.

–Karnesowie? Rodzice Michaela?

–Tak się poznaliśmy. Przez Sojusz.

To połączenie tak zdumiało Chase'a, że przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie ma halucynacji. Ból promieniował od rany na szyję i tył głowy.

–Znaleźli się wtedy w tarapatach. Harry stracił pracę, Lora była chora, ale mieli... chłopca.

–Mike'a.

–To było śliczne dziecko.

Wtedy Ben zrozumiał. Nie chciał tego słuchać, ale nie miał wyboru.

–Wyjątkowo śliczne dziecko – powtórzył Liński, najwyraźniej widząc chłopca oczami wyobraźni. – Miał wtedy trzy, może cztery lata.

Ben zabrał pistolet od twarzy Sędziego, którego więcej nie trzeba było zachęcać do

mówienia. Jego zachowanie się nagle zmieniło, jakby poczuł ulgę, że go zmuszono do tego wyznania. Zrzucił z siebie ciężar i robił to bardziej dla siebie samego niż dla Bena.

–Miałem trochę środków, fundusz powierniczy. Lora i Harry potrzebowali pieniędzy... a ja potrzebowiałem czegoś, co mieli oni.

–Sprzedali ci go.

–Podyktowali wysoką cenę za każdą noc – powiedział Liński.

–Jego rodzice – powiedział Ben, przypominając sobie Lorę i Harry’ego Karnesów i haftowane enigmatyczne cytaty na ścianach salonu.

–Wysoką cenę, i to nie tylko w pieniądzech.

–Jak długo to trwało? – zapytał Ben.

–Niecały rok. Potem... no wiesz, skrucha.

–Zrozumiałeś, że to było złe?

–Nie ja, oni. – Głos Lińskiego, głuchy od rozpacz, od czasu do czasu ożywiała nuta sarkazmu. – Dostali pieniądze, których potrzebowali, wygrzebali się z kłopotów... więc mogli poczuć skruchę poniewczasie. Zabronili mi się spotykać z chłopcem i kazali już zawsze trzymać się od niego z daleka. To był taki anioleczek. Zagrozili, że rozpowszechnią w Sojuszu, że molestowałem Mikeya bez ich wiedzy. Są tam tacy członkowie, którzy by mnie wywieźli do lasu i zastrzelili jak psa, gdyby się dowiedzieli... kim jestem. Nie mogłem ryzykować, że zostanę zdemaskowany.

–I przez te wszystkie lata...

–Obserwowałem Mikeya z daleka – mówił sędzia. – Obserwowałem, jak dorasta. Nigdy już potem nie był taki śliczny jak wtedy... taki niewinny. Ale ja też się starzałem. Nienawidziłem patrzeć, jak się starzeję. Rok po roku coraz silniej do mnie docierało, że już nigdy... nigdy nie będę mieć nikogo... niczego tak ślicznego jak Mikey. A on tam był i przypominał mi o najwspanialszym okresie w moim życiu.

–Jak ci się udało zostać jego korepetytorem? Czemu przyszedł akurat do ciebie?

–Nie pamiętał mnie.

–Jesteś pewien?

–Tak. To było okropne, kiedy to zrozumiałem... zapomniał całą dobroć, którą mu okazywałem, całą czułość. Sądzę, że nie tylko mnie nie pamiętał, ale w ogóle niczego, co się wydarzyło... wszystkich pieszczot, całego uwielbienia, jakiego ode mnie doświadczał... kiedy

miał cztery latka.

Ben nie był pewien, czy robiło mu się coraz bardziej niedobrze na skutek rany, czy przez to, co słyszał od Lińskiego. Sędzia westchnął z żalem.

–W końcu któż z nas wiele pamięta z tak odległej przeszłości? Czas nas okrada ze wszystkiego. W każdym razie kiedy potrzebował korepetycji, przyszedł do mnie, ponieważ moje nazwisko widniało na liście, którą dostał w szkole. Może podświadomie wybrał nazwisko, które jednak tkwiło gdzieś w jego pamięci. Chciałbym wierzyć, że pozostały mu jakieś wspomnienia z tamtego czasu, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale tak naprawdę myślę, że był to czysty przypadek.

–Powiedziałeś mu, co z nim robileś, kiedy był mały?

–Nie. Nie, nie. Tylko... próbowałem wzbudzić w nim pożądanie.

–Ale on już się interesował dziewczętami.

–Odtrącił mnie. – Liński nie powiedział tego z gniewem ani z zimną wściekłością, tylko z głębokim smutkiem. – A potem powiedział rodzicom i oni znów mi zaczęli grozić. Widzisz, w pierwszej chwili odżyła we mnie nadzieja... odżyła, a potem prysła. To było takie niesprawiedliwe: najpierw obudzić we mnie nadzieję, a potem... nic. To bolało.

–Lora i Harry musieli podejrzewać, że to ty zabiłeś Mikeya.

–A jakie oni mają prawo wskazywać kogoś palcem? – powiedział Liński.

–Podali mi twoje nazwisko.

Benowi stanęła w pamięci tamta chwila, kiedy Karnesowie naprowadzali go na Lińskiego: Harry udawał, że z trudem przypomina sobie nazwisko, i podał je w pierwszej chwili przekręcone, a potem Lora go poprawiła. Zbyt tchórzliwi, aby złamać szóste przykazanie i samemu szukać zemsty, której pożądali, wymyślili sobie, że Ben jest „ręką Boga” i pokrętnymi drogami skierowali go do mordercy.

–Ich także powinienem był osądzić – powiedział Liński, ale bez gniewu. – Za to, że dopuścili, by chłopiec stał się tym, kim się stał.

–To nie ma nic wspólnego z tym, jaki był chłopiec. Zabiłeś go, bo nie mogłeś go mieć.

–Nie, to wcale nie tak – odpowiedział Sędzia opanowanym, poważnym głosem. – Czy ty tego nie rozumiesz? Był cudzołożnikiem. Nie mogłem patrzeć na to, co się z ním porobiło przez te wszystkie lata. Kiedyś był taki niewinny... a potem stał się tak samo plugawy jak wszyscy inni, jak my wszyscy, plugawy, niedojrzały cudzołożnik. Widziałem, kim się stał, i czułem się zbrukany, brukał moje wspomnienia. Ty to rozumiesz.

–Nie.

–Zbrukał mnie – powtórzył Liński, a jego głos coraz bardziej miękł i jakby się oddalał. –
Zbrukał mnie.

–A to, co ty mu zrobiłeś... to nie było plugawe? To nie był grzech?

–Nie.

–Więc co to było?

–Miłość.

Wojna ma zaprowadzić pokój. Molestowanie jest miłością. Witajcie w wesołym miasteczku,
gdzie w krzywych zwierciadłach przeglądają się twarze z piekła.

–Czy zabilbyś również dziewczynę, która z nim była? – zapytał Ben.

–Tak, gdybym zdążył. Ale mi przeszkodziłeś. A potem... potem już mi na niej nie zależało.

–Była świadkiem. Gdyby coś widziała... Liński wzruszył ramionami.

–Obróciłeś cały gniew przeciwko mnie – domyślił się Chase.

–Byłeś bohaterem – rzekł Sędzia zagadkowo.

–Co?

–Byłeś bohaterem wojennym... to na kogo ja wyszedłem?

–Nie wiem. Na kogo wyszedłeś?

–Na lajdaka. Potwora. – Łzy stanęły mu w oczach. – Dopóki się nie zjawileś, byłem czysty.
Byłem sądzącym. Ja tylko sądziłem. Ale ty jesteś wielkim bohaterem... a każdy bohater musi
pokonać potwora. Dlatego zrobili ze mnie potwora.

Ben milczał.

–Próbowałem tylko zachować wspomnienia o Mikeyu, chciałem go zapamiętać takiego, jaki
był wiele lat temu. Czysty i niewinny. Czy to takie złe?

W końcu Liński zaczął chlipać. Ben nie znosił chlipania.

Zabójca osunął się żałośnie na krześle i próbował podnieść przywiązane dłonie, żeby ukryć w
nich twarz.

Rozprawa. Prasa. Niekończący się rozgłos. Ucieczka na poddasze. Liński siedział na krześle żaloszny i oklapnięty. Nie trafi do więzienia. Do szpitala psychiatrycznego, owszem, ale nie do celi. U niewinniony ze względu na niepoczytalność.

Położył dłoń na głowie Lińskiego, pogładził go po włosach. Zabójca poddał się temu pocrzepiającemu dotykowi.

–Wszyscy ludzie są zdeformowani – rzekł Chase. Liński podniósł na niego zalzawione oczy.

–Niektórzy są za bardzo zdeformowani. I to dużo za bardzo.

–Przykro mi – rzekł Liński.

–W porządku.

–Przykro mi.

–Otwórz szeroko.

Liński wiedział, co teraz nastąpi. Otworzył usta.

Ben wsunął lufę między zęby Lińskiego i nacisnął spust.

Upuścił pistolet na ziemię, odwrócił się od martwego mężczyzny i wyszedł do holu. Otworzył drzwi do łazienki, podniósł deskę sedesową, uklęknął na podłodze i zwymiotował. Klęczał tak przez długi czas, zanim opanował odruchy wymiotne. Spuścił wodę trzykrotnie. Zamknął klapę i usiadł na sedesie, ocierając rękawiczką zimny pot na twarzy.

Otrzymałszy od Kongresu Stanów Zjednoczonych Medal of Honor – najświętsze i zazdrośnie strzeżone odznaczenie, jakim jego kraj nagradza swoich bohaterów wojennych – Ben pragnął jedynie wrócić do pokoju na poddaszu pani Fielding i na nowo podjąć swoją pokutę. Potem poznał Glendę i wszystko się zmieniło. Już nie było mowy o pustelniczym życiu w izolacji. Pragnął teraz tylko spokoju, szansy, aby ich miłość mogła rozkwitnąć. I życia. Do tej pory nie pozwalali mu na to Fauvel, policja, prasa i Richard Liński.

Podniósł się i podszedł do umywalki. Plukał usta tak długo, aż przykry smak zniknął.

Już nie musiał być bohaterem. Wyszedł z łazienki.

Odkleił plastry z nadgarstków i kostek sędziego i pozwolił, aby ciało osunęło się bezwładnie na podłogę.

Kiedy obejrzał pistolet, zdał sobie sprawę, że w magazynku będzie brakowało trzech nabołów. W gabinecie Lińskiego znalazł szafkę na broń i szuflady z amunicją. Załadował świeży magazynek, wyjąwszy tylko jeden nabój, po czym położył pistolet obok prawej ręki nieboszczyka.

Przeszukał salon, żeby znaleźć dwie łuski wystrzelone wcześniej przez sędziego. Jedną, tę, która przeszła mu przez ramię, znalazł w listwie przypodłogowej. Udało mu się ją wygrzebać bez zostawiania widocznego śladu. Druga leżała na podłodze za przenośnym barkiem, gdzie upadła po odbiciu się od brązowej ramy lustra.

Była za piętnaście dwunasta, kiedy wrzucił worek ze śmieciami i bawełniane rękawiczki do bagażnika mustanga.

Przejechał obok domu Lińskiego. Światła się paliły. Będą się palić całą noc.

Zapukał dwa razy i Glenda wpuściła go do pokoju. Przez chwilę trzymali się w objęciach.

–Jesteś ranny – powiedziała, a kiedy zrozumiała, skąd się wzięła ta rana, dodała: – Lepiej jedźmy do mnie. Zamieszkas z mną. Muszę cię pielęgnować, lekarze mają obowiązek meldować policji o każdej ranie postrzałowej, a nie możemy ryzykować, że dostaniesz zakażenia.

Glenda prowadziła. Ben zapadł się w fotelu pasażera. Ogarnęło go nagle ogromne zmęczenie – nie tylko po tym, co się wydarzyło przez ostatnich kilka godzin. Poczul zmęczenie wielu lat.

Bohaterowie muszą zabijać potwory i zawsze je znajdą – jeśli nie na świecie, to w samych sobie.

–O nic nie zapytałaś – odezwał się Ben, kiedy jechali przez noc.

–I nie zapytam.

–On nie żyje. Nie odezwała się.

–Myślę, że to było słuszne.

–To były drzwi, przez które musiałeś przejść, czy tego chciałeś, czy nie – powiedziała.

–Tylko Karnesowie mogliby naprowadzić policję na mój trop, ale oni będą milczeć. Policja mnie nie znajdzie.

–Tak czy inaczej – odparła Glenda – sam sobie wymierzysz karę.

Po nocnym niebie płynął księżyc w pełni. Ben patrzył na jego oblicze poryte kraterami i ze zgliszcz przeszłości próbował wyczytać przyszłość.

Nota do czytelnika

Kiedy miałem osiem lat, napisałem na kartkach z bloku kilka krótkich opowiadań, pokolorowałem okładki, zszyłem brzegi kartek, zakleilem zszywki taśmą izolacyjną, żeby wyglądały elegancko, i próbowałem kolportować te „książeczki” wśród krewnych i sąsiadów. Każdy z tych wyrobów sprzedałem za pięć centów, co było ceną wyjątkowo konkurencyjną, czy może raczej byłoby, gdyby w moim sąsiedztwie inni obsesyjno-kompulsywni pisarze w wieku szkolnym równie pracowicie wysilali wyobraźnię. Inne dzieci wszelako oddawały się tradycyjnym, zdrowym i kształtującym charakter zajęciom, takim jak baseball, koszykówka, obrywanie muchom skrzydełek, bicie i terroryzowanie młodszych oraz produkcja materiałów

wybuchowych ze związków chemicznych dostępnych w przeciętnym gospodarstwie domowym, czyli proszków do prania, spirytusu salicylowego i saletry amonowej. Sprzedawałem swoje opowiadania z takim niesłabnącym zapalem, że stałem się prawdziwym utrapieniem dla okolicznych mieszkańców, niczym karłowaty żebrak Hare Kriszny na głodzie kofeinowym.

Grosze zarobione na tej działalności nie miały jakiegoś szczególnego przeznaczenia, nie kierowały mną marzenia o nieprzebranych bogactwach. Zdołałem uzbierać ledwie dwa dolary, zanim przebiegli krewni i sąsiedzi zwołali potajemnie i w najwyższym stopniu nielegalne zebranie, aby zgodnie uchwalić, że nie będą dłużej tolerować handlu ręcznie powielaną literaturą ośmiolatek. Było to, rzecz jasna, ograniczenie wolności handlu, jeśli nie wręcz poważne naruszenie Pierwszej Poprawki. Jeśli kogoś z Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych to interesuje, myślę, że niektórzy z owych współpiskowców nadal przebywają na wolności i podlegają karze więzienia.

Chociaż nie zamierzałem lokować zarobionych centów w podwórkowej lichwie ani też roztrwonić na słodkie szaleństwa twinkie, czulem instynktownie, że jakieś opłaty muszę pobierać za swoje opowiadania, jeśli chcę, żeby je ludzie traktowali poważnie. (Gdyby Henry Ford zapoczątkował przemysł motoryzacyjny od rozdawania samochodów, ludzie nasypywaliby do nich ziemi i robili z nich żardyniery. Do dziś nie mielibyśmy porządnej sieci dróg międzystanowych, barów szybkiej obsługi dla zmotoryzowanych, Hollywood nie nakręciłoby tylu wspaniałych pościgów samochodowych i nikt by nie wymyślił tych zachwycających piesków kiwających głowami na półkach za tylnym siedzeniem). Niemniej w obliczu likwidacji interesu przez miejscowy kartel czytelniczy postanowiłem nadal pisać książki i rozdawać je za darmo.

Później, już jako dorosły (a przynajmniej tak bliski dorosłości, jak mi się to do tej pory udało), zacząłem pisać książki, które publikowali prawdziwi wydawcy z Nowego Jorku, tacy, co nie zszywają ich zszywaczami i taśmami izolacyjnymi, a w dodatku wydają więcej niż po jednym egzemplarzu każdej opowieści. Płacili mi też więcej niż pięć centów za sztukę, chociaż z początku niedużo więcej. Szczerze mówiąc, przez wiele lat nie wierzyłem, że można się utrzymywać z pisania bez dodatkowego źródła dochodów. Świadom, że dodatkowe zajęcie pisarza powinno być odpowiednio barwne, aby dobrze wypadło w biografii, rozważałem różne możliwości, w tym utylizację bomb oraz porywanie samolotów dla okupu. Szczęśliwie gospodarność oraz zatrważająco zdrowy rozsądek mojej cudownej żony uchroniły mnie przed zakończeniem kariery w zakładzie penitencjarnym lub pod postacią nieidentyfikowalnych szczątków.

Wreszcie, kiedy moje książki weszły na listy bestsellerów, pięciocentówki zaczęły się mnożyć i pewnego dnia otrzymałem propozycję umowy na czterotomowe dzieło, która pod względem intratności mogła konkurować z niejednym porwaniem samolotu państwowych linii lotniczych. Jakkolwiek napisanie tych czterech książek było ciężką pracą, nie musiałem przynajmniej nosić kombinezonów z kevlaru, dźwigać ciężkich bandolierów, ani pracować ze współnikami o pseudonimach w rodzaju Szalony Pies.

Kiedy rozeszła się wieść o tym szczęśliwym dla mnie zdarzeniu, niektórzy – w tym również

kilku pisarzy – mówili mi: „O rany, to kiedy skończysz ten kontrakt, już nigdy nie będziesz musiał pisać!”. Wyliczyłem sobie, że napiszę te cztery książki, zanim skończę czterdzieści dwa lata. I co będę potem robił? Odwiedzał bary i brał udział w zawodach w rzucaniu krasnoludami? Bo kiedy tacy jak ja nie mają się czym zająć, to nieuchronnie oddają się właśnie takim rozrywkom.

Wracając do rzeczy, pisałem przez większą część swego życia, nie zrażając się nędznym wynagrodzeniem, nie zawracając z drogi, kiedy pisanie nie przynosiło nawet pięciu centów, było więc nader mało prawdopodobne, że przestanę pisać akurat wtedy, gdy moje książki znalazły wdzięcznych odbiorców. To nie pieniądze zachęcają do pracy; trzeba lubić sam proces tworzenia, z upodobaniem snuć opowieść, tworzyć postaci, które żyją i oddychają, czerpać radość ze zmagania się ze słowami i komponowania z nich czegoś w rodzaju muzyki.

Pisanie beletrystyki bywa bardzo wyczerpujące, na przykład kiedy produkuję dwudziestą szóstą wersję strony (niektóre nie wymagają dwudziestu sześciu, ale inne nawet więcej, to zależy od dziennych wahań współczynnika niepoczytalności). Po dziesięciu godzinach spędzonych przed komputerem, po niekończącym się babraniu ze składnią i doborem słów, bywają chwilę, że wołałbym być magazynierem w supermarkecie albo wśród kłębów pary zmywać naczynia w zakładzie zbiorowego żywienia (robiłem i jedno, i drugie, chociaż najkrócej, jak się dało). W najczarniejszych momentach wołałbym nawet patroszyć halibuty w cuchnącej ładowni alaskiego trawlera albo, zmiłuj się Boże, uczestniczyć w owych proktologicznych badaniach, którymi istoty pozaziemskie tak się uparły dręczyć nieszczęsnych uprowadzanych Amerykanów.

Zrozumcie jednak, pisanie beletrystyki daje również emocjonalną i intelektualną satysfakcję. I jest świetną zabawą. Jeśli pisarz nie potrafi czerpać przyjemności z pisania, nikt nie będzie czerpał przyjemności z czytania jego książek. Nikt ich nie będzie kupował i jego kariera, a przynajmniej popularność wkrótce zbledną.

W tym właśnie tkwi według mnie tajemnica płodnego pisarstwa: czerpać z niego radość, bawić się przy pracy, śmiać się i płakać razem z bohaterami, czuć dreszczyk emocji w trakcie suspensu. Jeśli to potrafisz, to najprawdopodobniej znajdziesz wielu czytelników, ale nawet jeśli ich nie znajdziesz, będziesz wiódł szczęśliwe życie. Nie mierzę sukcesu liczbą sprzedanych egzemplarzy, tylko przyjemnością, jaką mam z pisania i ukończenia książki.

Owszem, od czasu do czasu jakiś niezrównoważony osobnik na forum publicznym rzeczywiście próbuje mierzyć mój sukces tym, co zarabiam, i bardzo się tym gorączkuje. Fakt, że moja praca daje ludziom przyjemność, taki dziwoląg traktuje jako dotkliwą osobistą zniewagę, produkuje więc od czasu do czasu długie epistoły najnieznośniejszej składni na podbudowanie twierdzenia, że świat schodzi na psy z tego wyłącznie powodu, że ja na nim żyję i w dodatku dobrze mi się wiedzie. (Nie mówię tu o prawdziwych krytykach; prawdziwi krytycy to inna grupa i dziewięćdziesięciu procentom z nich podoba się to, co piszę; pozostałe dziesięć jakoś potrafi nie lubić mojego pisarstwa bez sugerowania, jakobym wydzielał odrażający zapach lub był nieujawnionym seryjnym mordercą). Chociaż o wybitnych osiągnięciach w

dziedzinie medycyny donosi się dopiero na dwudziestej trzeciej stronie albo w ogóle, a każdego dnia miliony aktów najwyższej odwagi i bezinteresownej dobroci uchodzą niezauważone i nie donosi się o nich nigdzie, mimo to jeden z tych krzyżowców zapełnia zawrotną liczbę szpalt, *ipse dixit*, że jestem literackim antychrystem.

Rzecz jasna nie jestem jedynym obiektem takiej twórczości, każdy pisarz, który odniósł sukces, prędzej czy później pada ofiarą tego typu osobliwej fauny. W moim domu, jako że jesteśmy nader pogodną gromadką, nazywamy te osobniki dobrodusznie „zjadliwymi malkontentami” i „ponurymi szumowinami”. (W epokach bardziej oświeconych niż nasza indywidua takie postrzegano jako opętane przez demony i stosownie do tego traktowano).

Zmierzam do tego – nie traćcie wiary, naprawdę do czegoś zmierzam – że pisanie dla samej miłości pisania może być nawet obroną przed nieuzasadnionymi atakami ze strony szatańskiego pomiotu. Tego nigdy nie zrozumieją owi zakleksieni prześladowcy – że choćby ich życzenia się spełniły, choćby żaden wydawca na Ziemi nie chciał publikować moich dzieł, to i tak czułbym wewnętrzny przymus, aby pisać dalej, aby jeśli to konieczne, zszywać swoje książki zszywaczem i przysyłać im je za darmo, choćby po to, żeby im grać na nerwach. Nie ma przede mną ucieczki. Bójcie się. Bardzo się bójcie.

Większość agentów literackich odradza młodym pisarzom pisanie opowiadań. Trwonienie czasu na krótką prozę uchodzi powszechnie za jałowe, bezproduktywne i autodestrukcyjne zajęcie, widomy znak żalosego amatora, tudzież niezawodny symptom, że rzeczony pisarz jest owocem małżeństwa między bliskimi krewnymi.

Przesąd ów wynika z niepodważalnego faktu, że rynek na opowiadania jest niezwykle ograniczony. Nie drukuje ich większość czasopism, a na całym rynku wydawniczym rocznie wychodzi zaledwie kilka antologii z nowymi utworami. Gdyby Edgar Allan Poe żył w dzisiejszych czasach, jego agent walilby go po głowie zrolowanym wydrukiem wybitnych opowiadań i wrzeszczał:

–Powieści, kretynie! Może byś trochę uważał! Co z tobą? Ćpasz czy co? Masz pisać pod rynek! Koniec z tymi gównianymi średniakami w stylu *Zagłady domu Usherów!*

Co więcej nawet na tym niewielkim rynku opowiadań, który istnieje, wynagrodzenia są nader mierne. Średnio na jednym opowiadaniu da się zarobić kilkaset dolarów, chyba że jakiś autor zdola zamieścić swoje dziełko w „Playboyu” – wtedy szczęśliwiec może dostać nawet kilka tysięcy dolarów, a w ramach pocieszenia ludzić się radośnie, że choć jeden na milion oglądaczy przeczyta jego opowiadanie. Niemniej napisanie opowiadania zajmuje kilka tygodni – a czasem nawet miesięcy! – tak więc wliczając nawet sporadyczne publikacje w „Playboyu”, pisarz, który koncentruje się głównie na tworzeniu krótkiej prozy, musi jadać sporo ryżu i fasoli, a czasem nawet jeszcze mniej kosztowne pożywienie, jak na przykład siano. Wygrzmociwszy bezlitośnie biednego, znękanego Poego rękopisem *Zdradzieckiego serca*, jego agent krzyknie bez wątpienia:

–Powieści, kretynie! Powieści, powieści i jeszcze raz powieści! Tu leżą pieniądze, Eddie. Słuchaj no, weź tę pokraczną *Maskę czerwonego moru*, skróć tytuł do czegoś bardziej chwytliwego, niech będzie *Czerwony Mór*, podpompuj ją do jakichś trzystu tysięcy słów, zrób z tego coś, na czym można oko zawiesić, a wtedy będziesz coś z tego miał! Może nawet uda nam się ją sprzedać na film. I może byś łaskawie wpisał jakąś rolę dla Jima Carreya. Czy ten *Czerwony Mór* nie mógłby być trochę mniej ponury, co, Eddie? Nie mógłby być trochę durnowaty?

Tak więc wbrew groźbie wygrzmocenia przez własnych agentów, narażając się na opinię głupców-marzycieli-amatorów-maniaków w oczach innych pisarzy, dość rozumnych, żeby nie tracić czasu na pisanie krótkich form prozatorskich, niektórym z nas udaje się jednak wycisnąć od czasu do czasu jakieś opowiadanie czy nowelkę, a to dlatego że wpadają nam do głowy pomysły, które po prostu nie dadzą rady rozwinąć skrzydeł na sto pięćdziesiąt tysięcy słów, ale nas dręczą, nie dają nam spokoju i po prostu żądają, żebyśmy je napisali. No więc wyjmujemy bloki, zszywacze i rolki taśmy izolacyjnej...

Ta książka Zawiera czternaście utworów. Wielu z was wolałoby zapewne dostać do ręki

kolejną powieść, ale ta również zapowiada się na koniec tego roku (pamiętajcie, nie ma przede mną uciezki). Tymczasem sądzę, że z przyjemnością przeczytacie ten zbiorek, wielu z was nawet o niego wypytywało. Tak czy inaczej bawiłem się przy pisaniu niniejszych utworów równie dobrze, jak przy tworzeniu powieści, jeśli więc moja powyżej wyłożona teoria jest prawidłowa, wy też przeczytacie je z przyjemnością. Mam taką nadzieję. W końcu to dzięki wam odnoszę sukcesy, a skoro lokujecie pieniądze w książkach, macie prawo oczekiwać w zamian jakiejś przyjemności. Poza tym nie chciałbym, aby ktoś z was czuł potrzebę walnięcia mnie po głowie tym tomiszczem, które wszak musi trochę ważyć. Gdybym zbyt często dostawał po głowie, mógłbym zacząć plodzić jeszcze dziwniejsze historie niż dotychczas.

Dwa z opowiadań zamieszczonych w niniejszym tomie są, ściśle rzecz biorąc, powieściami, jako że objętość powieści określa się zwykle jako minimum pięćdziesiąt tysięcy słów. Pierwsze z nich – tytułowe *Trzynastu apostołów* - ukazało się w tym zbiorku po raz pierwszy i jest jedną z moich rzadkich wypraw w dziedzinę rzeczy nadprzyrodzonych. Napisałem kilka powieści ze świata nadprzyrodzonego, mianowicie *Zmrok*, *Tunel strachu*, *Maszkę*, *Przełęcz śmierci* i może jeszcze *Śludzy ciemności*. Chociaż jako czytelnik uwielbiam takie historie, nie pisuję raczej o wampirach, wilkołakach, nawiedzonych domach czy domowych zwierzątkach, które po śmierci powracają z tamtej strony opętane żądzą zemsty za to, że przez lata musiały jadać z miski na podłodze, a nie przy stole z resztą rodziny. Nie mogłem się jednak oprzeć pokusie *Trzynastu apostołów* i muszę przyznać, że opowieści o siłach nadprzyrodzonych mają w sobie specyficzną moc, dzięki której pisze się je z ogromną przyjemnością.

Drugim utworem o powieściowej objętości jest *Chase*. Pewną wersję tej opowieści opublikowało wydawnictwo Random House pod moim pseudonimem K.R. Dwyer, kiedy byłem jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Jako Dwyer napisałem również *Grozę*, która jednak ukazała się również pod moim prawdziwym nazwiskiem. Kiedy po latach czytałem *Chase* ‘a, aby wprowadzić ewentualne poprawki, co chwila czerwienilem się i jęczałem, ponieważ na każdej stronie widniało tam wypisane wielkimi literami „początkujący”, a także „pokrętny” i „niechlujny”, mimo że pierwsze wydanie spotkało się z przychylnymi recenzjami. W dalszym ciągu jednak intrygowała mnie postać Bena Chase’a, a w samym opowiadaniu tkwił potężny ładunek energii. Postanowiłem je więc poprawić i wysłać do Warner Books. Poprawianie skończyło się na wycięciu co najmniej jednej czwartej pierwotnego tekstu, dodaniu nowych scen i gruntownych porządkach zarówno w partiach narracji, jak i w dialogach. Jak zawsze, kiedy zaglądam do dzieł z wcześniejszych okresów swojej twórczości, kusilo mnie, aby całkowicie zmienić zamysł utworu, styl, bohaterów, intrygę i przerobić go na coś, co napisałbym dzisiaj. Nie na tym jednak oczywiście polega wydawanie dzieł zebranych. Książka taka jak *Trzynastu apostołów* ma przedstawić krąg zainteresowań autora oraz zmienne tendencje zarysowujące się w jego twórczości na przestrzeni lat. W końcu się więc powstrzymałem. *Chase* jest czystym psychologicznym suspensem, bez śladów nadprzyrodzoności. Jego siłą napędową jest bohater, Benjamin Chase, jeśli więc was ta postać w żaden sposób nie zainteresowała, to znaczy, że znalazłem się w niemalym kłopotcie. Jedno ostrzeżenie: to dość mroczna opowieść, niektóre wybory moralne Bena Chase’a mogą cię zdziwić, Wrażliwy Czytelniku, ale nie mógł on dokonać żadnych innych.

Nie będę pisał noty do każdego utworu, jaki składa się na niniejszy zbiór opowiadań. Jeśli macie ochotę się nudzić nad literackimi analizami, zawsze możecie się zapisać na zajęcia w college’u. Niemniej kilka utworów wymaga małego komentarza.

Kocięta są pierwszym opowiadaniem, jakie sprzedałem. Napisałem je w college’u i wygrałem doroczną nagrodę w konkursie literackim dla studentów college’ów, fundowaną przez „Atlantic Monthly”, a potem zarobiłem na nim pięćdziesiąt dolarów, kiedy kupiło je czasopismo „Readers

Writers”. Jeśli się nie mylę, „Readers Writers” wkrótce potem padło. Przez następne lata różne moje książki publikowały wydawnictwa, które następnie zniknęły z rynku: Atheneum, Dial Press, Bobbs-Merrill, J.P. Lip-pincott, Lancer i Paperback Library. Poinformowałem Warner Books o tym niepokojącym zjawisku, ale to ludzie o wielkim hartie ducha i przyjęli *Trzynastu apostołów* z entuzjazmem.

Bruno, fantastycznonaukowa parodia opowieści detektywistycznej (!), jest tu po to, żebyście się mogli po prostu pośmiać. Poprawiłem i uaktualniłem pierwotną wersję i świetnie się przy niej bawiłem. Jak wiecie, od czasu *Opiekunów* wszystkie moje powieści mają sporo elementów humorystycznych, a ponieważ większość opowiadań w tej książce ich nie ma, świerzbilo mnie, żeby zrównoważyć ten poważny ton czymś kompletnie głupawym. Wydaje mi się, że w *Bruno* udała się ta sztuczka.

Brzask świtu jest moim ulubionym utworem spośród wszystkich krótkich form beletrystycznych, jakie napisałem. Sprowokował on też najwięcej listów, mimo że pojawił się w stosunkowo mało znanej antologii. Sądzę, że przemawia do ludzi, ponieważ mówi o wierze i nadziei bez najmniejszego sentymentalizmu. Przez większą część opowiadania narrator jest zimny jak głaz, a kiedy w końcu skutek nieszczęść i cierpienia nabiera ludzkich cech, robi to w sposób bardzo wiarygodny. W każdym razie taki mi się wydawał, kiedy pisałem ten tekst.

Wreszcie opowiadanie *W potrzasku* ukazało się pierwotnie w antologii zatytułowanej *Stalkers* ze wstępem, który spodobał się wielu czytelnikom. A oto, co wtedy napisałem:

Pewne poważne ogólnokrajowe czasopismo, które niechaj pozostanie nienazwane, zwróciło się do mojego agenta z pytaniem, czy byłbym skłonny napisać dwuczęściowe opowiadanie traktujące o inżynierii genetycznej, z dreszczykiem, ale nie nazbyt krwawe, które zawierałoby motywy znane z *Opiekunów* (mojej powieści na ten właśnie temat). Zaproponowali bardzo atrakcyjną stawkę. Co więcej, publikacja utworu w dwóch kolejnych numerach czasopisma miała szansę dotrzeć do wielu milionów czytelników, a tym samym zapewnić sobie sporą reklamę. Od dawna już wtedy nosiłem się z pomysłem napisania opowieści *W potrzasku*, wcześniej nawet, niż napisałem *Opiekunów*, po których doszedłem do wniosku, że zapewne nigdy już nie napiszę tego opowiadania ze względu na zbyt dużo podobieństw. A tymczasem proszę – ktoś zamawia opowiadanie zawierające dokładnie takie podobieństwa.

No cóż, kismet. Wyglądało na to, że napisanie tego opowiadania jest po prostu moim przeznaczeniem. To mógł być miły przerywnik między powieściami. Nic łatwiejszego, co?

Każdy pisarz jest w głębi duszy optymistą. Nawet jeśli jego dzieła grają na nucie cynizmu i rozpaczy, nawet jeśli jest autentycznie zmęczony światem i ciężko mu na duszy, każdy pisarz wierzy, że w dniu publikacji jego następnej powieści zaświeci słońce. „Życie jest do dupy” – będzie mówił i nawet jakby szczerze, ale zaraz potem pogrąży się w rozmyślaniach o chwili swojego wkroczenia do panteonu amerykańskich pisarzy i jednocześnie na listę bestsellerów „New York Timesa”.

Redaktorzy czasopisma mieli pewne wymagania wobec zamówionego opowiadania. Musiało mianowicie mieć dwadzieścia dwa-dwadzieścia trzy tysiące słów i w naturalny sposób dzielić się na dwie części troszkę dalej niż w połowie. Żaden problem. Zasiadłem do pracy i w umówionym terminie skończyłem opowiadanie zgodnie z wytycznymi, bez szczególnego naciągania czy zniekształcania opowieści.

Redaktorom bardzo się spodobała moja praca. Nie mogli się doczekać, kiedy ją wydrukują. W myślach szczykali mnie z radości po policzkach, tak jak to robi wasza babcia, słysząc, że przynieśliście ładną cenzurkę i że nie jesteście jak inne ośmiolatki fanami satanistycznego rocka oraz składania ofiar z ludzi.

Minęło kilka tygodni, aż tu przychodzą do mnie ludzie z czasopisma i mówią:

–Wie pan co, tak nam się podoba pańskie opowiadanie, że nie chcemy rozcieńczać wrażenia, jakie robi jego publikacja i rozbijać go na dwa numery. Powinno wyjść naraz w jednym wydaniu. Ale nie mamy tyle miejsca, żeby je wydrukować w całości, więc musi je pan skrócić.

–Skrócić? O ile?

–O połowę.

Ponieważ napisałem dwuczęściowe opowiadanie o określonej długości na konkretne zamówienie, byłbym w pełni usprawiedliwiony, gdybym w odpowiedzi na tę sugestię wpadł w złość i stanowczo odmówił dalszej dyskusji. Zamiast tego zacząłem walić głową w biurko i waliłem tak przez... no, jakieś pół godziny. Może czterdzieści minut. Niech będzie, że nawet czterdzieści pięć, ale na pewno nie więcej. Potem z lekka oszołomiony i z drzazgami w czole, zadzwoniłem do swojego agenta i złożyłem inną propozycję. Jeśli poświęcę tekstowi kolejny tydzień pracy, uda mi się może obciąć go do osiemnasta, dziewiętnasta tysięcy słów, ale to wszystko, co mogę zrobić, jeśli mam zachować wartość utworu, która mnie w ogóle skłoniła do jego napisania.

Redaktorzy czasopisma przemyśleli moją propozycję i w końcu uznali, że jeśli wydrukują opowiadanie mniejszą czcionką niż zwykle, to jakoś im się uda zmieścić z tą nową objętością w przydzielonym miejscu. Zasiadłem więc ponownie do komputera. Po tygodniu robota była skończona, ale ja miałem w czole jeszcze więcej drzazg, a moje biurko przedstawiało rozpaczliwy widok.

Kiedy ta nowa wersja była skończona zgodnie z ustaleniami, redaktorzy doszli do wniosku, że osiemnaście czy dziewiętnaście tysięcy słów to w dalszym ciągu za dużo, że rozwiązanie z mniejszą czcionką nastrecza za dużo kłopotów i że trzeba jeszcze usunąć ze cztery, pięć tysięcy słów.

–Niech się pan nie martwi – powiedzieli. – Zrobimy to za pana.

Piętnaście minut później moje biurko się zawaliło (a ja po dziś dzień muszę stosować na czoło

olej cytrynowy do polerowania, ponieważ ze względu na zawartość drewna górną część mojej twarzy zgodnie z prawem federalnym zaklasyfikowano jako mebel).

Najwyraźniej wielkie wydawnictwa czasopism często majstrują przy drukowanej prozie, przy czym autorzy niezbyt się tym przejmują. Ja jednak owszem, przejmuję się i za nic bym się nie zrzekł autorskiej kontroli nad własnym tekstem. Poprosiłem więc panów redaktorów o zwrot tekstu, powiedziałem, żeby sobie zatrzymali pieniądze i odłożyłem *W potrzasku* na półkę, tłumacząc sobie, że tak naprawdę to nie była strata czasu, że zyskałem cenną naukę: notabene – nigdy nie pisać na zamówienie dla wielkich ogólnokrajowych czasopism, jeżeli nie możesz wziąć najukochańszego dziecka redaktora naczelnego jako zakładnika do czasu ukazania się numeru z twoim utworem.

Niedługo potem zadzwonił do mnie pewien zdolny pisarz suspensów Ed Gorman i powiedział, że wydaje antologię opowieści o prześladowcach i ofiarach. Natychmiast pomyślałem o *W potrzasku*.

Kismet.

Może jednak być niepoprawnym optymistą ma swój sens.

Tak właśnie doszło do powstania *W potrzasku*, z tego też powodu opowiadanie to zawiera motywy brzmiące znajomoczYTELNIKOM *Opiekunów* i dlatego też, jeśli się pewnego dnia spotkamy, będziecie wiedzieć, czemu moje czoło ma piękny dębowy połysk

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
1
2
3
4
1
3
4
6
8
9
10
12
13
15
1
*
2
3
4
*
*
2
3
4

*
3
4
*
5
*
*
*
6
7
*
*
*
*
*
9
*
*
*
*
*
10
*
*
*
SIEDEM GROMÓW PRZEMÓWIŁO SWYM GŁOSEM
11
*
2
3